

GUTOWO DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

MAŁGORZATA

GUTOWSKA-ADAMCZYK



CUKIERNIA POD AMOREM



CIASTKO Z WRÓŻBĄ



Nowa seria bestsellerowej sagi

Prószyński i S-ka

MAŁGORZATA
GUTOWSKA-ADAMCZYK



CUKIERNIA
POD AMOREM



CIASTKO Z WRÓŻBĄ

Prószyński i S-ka

Copyright © Małgorzata Gutowska-Adamczyk, 2017
First published in Great Britain in 2013 by Sphere

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcia na okładce
© Getty Images; Andreas Gradin/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Anna Sidorek

Korekta
Bogusława Piekielska-Piegat
Maciej Korbański
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8123-502-0

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Wstęp

W Gutowie, niewielkim miasteczku niedaleko Płocka, pod koniec sierpnia organizowane jest obrosłe już tradycją lokalne święto. Dni Gutowa gromadzą nie tylko licznych turystów, w swoistą podróż sentymentalną przyjeżdżają tu również nieobecni od dziesięcioleci dawni mieszkańcy. Jednym z ważnych punktów programu jest konkurs na ciastko, który rokrocznie mobilizuje miejscowe cukiernie.

Podczas zwiedzania miasta goście chętnie zaglądają do funkcjonującej od ponad stu lat cukierni Pod Amorem, dawniej zwanej Pod Aniołem, która kojarzy im się z dzieciństwem i latami młodości. Losy jej obecnych właścicieli, Hryciów, w przedziwny sposób splotły się z dziejami szlacheckiej rodziny Zajezierskich, dziedziców pobliskiego majątku ziemskiego.

Ostatni właściciel dóbr, hrabia Tomasz, zmarł w 1943 roku. Jego spadkobierca, Adam Toroszyn, nie zdecydował się na powrót z obozu jenieckiego do PRL-owskiej Polski, mimo że zostawił tu ukochaną sprzed wojny – Celinę Cieślak (po mężu Hryć). Do Gutowa dotarł dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wnuk Adama, Xavier, goszcząc tu z dziadkiem, zakochał się we wnuczce Celiny, Idze Hryć, domykając tym samym koło rodzinnej historii.

Aktualnie w pałacu Zajezierskich znajduje się hotel prowadzony przez Ięgę i Xaviera Toroszynów, a w jednym z pomieszczeń funkcjonuje Muzeum Zajezierskich, którego celem jest ochrona pamiątek pozostałych po szlacheckich rodach żyjących w okolicy.

Opowiedziała o nich w swej powieści pochodząca stąd autorka, Monika Grochowska-Adams. Zamieszkała dziś w Nowym Jorku prawniczka, zajmująca się odzyskiwaniem utraconych po wojnie nieruchomości, jest absolwentką tutejszego liceum im. Norwida oraz dawną przyjaciółką syna Celiny Hryć, Grzegorza, byłego burmistrza miasta, obecnie posła na Sejm RP.

Z powodu zleconych jej w Paryżu poszukiwań delikatnej natury Monika musi zbliżyć się do Heleny i Waldemara Hryciów, obecnych właścicieli cukierni, co powoduje, że poznaje ich codzienność oraz troski natury zawodowej i rodzinnej, a przy okazji robi swoisty rozrachunek własnego dzieciństwa i młodości, które dotychczas z różnych powodów wolała pomijać milczeniem.

Gutowo, sierpień 2016

O siedemnastej trzydzieści jak zwykle rozbrzmiały dzwony kościoła pod wezwaniem Świętego Mikołaja. Za pół godziny Helena Hryć zamknie cukiernię. Na szczęście na półkach zostało niewiele towaru, bo nie wszystko będzie można jutro sprzedać. Od lat żelazną zasadą Hryciów była świeżość ich wyrobów. Klient raz stracony nie wróci, dlatego codziennie, właśnie kiedy biły dzwony, następowała wyprzedaż ciast i ciastek. Latem przychodziło sporo klientów. Rynek o tej porze, zwłaszcza w tak piękne dni jak dzisiejszy, wciąż tętnił życiem. Na ławkach wokół fontanny przesiadywały matki z dziećmi i staruszkowie, którzy już czekali na okazję. Helena widziała, jak się podnoszą, kierując swe kroki w stronę cukierni. Po tańsze ciasta wpadały też zagonione gospodynie domowe, które na szóstą umawiały się z przyjaciółkami lub miały przyjąć gości. Przez pół godziny przeszklone półki niemal całkiem pustoszały.

Ukośne promienie sierpniowego słońca oświetlały ratusz i pobliskie kamieniczki ciepłym różowo-pomarańczowym światłem. Helena przez dłuższą chwilę chłoneła ten piękny widok, przypatrując mu się, jakby to był impresjonistyczny obraz. Chciałaby kiedyś taki namalować, ale zawsze brakowało jej czasu. Westchnęła zmęczona i oderwała wzrok od okna, skupiając uwagę na kasie. Podczas gdy raport się drukował, podeszła do drzwi, aby je zamknąć. Przez rynek od strony Szewskiej szła mieszkająca po sąsiedzku Kasia Malczyk, dziewczyna syna Hryciów, Zbyszka. Helena uśmiechnęła się, gotowa do niej pomachać, ale Kasia nie spojrzała jak zwykle w okno cukierni. Wróciwszy za ladę, Helena oderwała pasek z raportem sprzedaży, wyjęła pieniądze z kasy i poszła na zaplecze, aby je policzyć. Ekspedientki Basia i Nikola już zbierały swoje rzeczy. Na pożegnanie Helena rzuciła im nieuważne: „Do jutra”.

Kiedy po stromych schodach weszła do znajdującego się nad cukiernią mieszkania, uderzył ją dziwny spokój. Na ogół wraz z mężem i synem jedli o tej porze kolację, a właściwie późny obiad przygotowany przez pomoc domową. To jedna z nielicznych chwil w ciągu dnia, kiedy mogli przez dwadzieścia minut побыć razem, i tego rytuału Helena broniła zawsze z zaciętością, która jej mężczyznom wydawała się przesadna. Teraz nie było ani Waldka, ani Zbyszka. Zwyczajnie ją zlekceważyli.

Podeszła do okna, chcąc sprawdzić, czy nie idą właśnie przez podwórze, nikogo jednak nie spostrzegła. Pod domem nie parkował też samochód Zbyszka. Może Waldek posłał go do Płocka? Od dwóch tygodni w pełnej konspiracji przygotowywali ciastko niespodziankę na Dni Gutowa. Rokrocznie cukiernia Pod Amorem stawała w szranki z innymi cukierniami i prezentując nowe atrakcyjne ciastko, rzadko przegrywała. Nie bez powodu miała renomę najlepszej gutowskiej ciastkarni.

Zbyszek okazał się nieodrodnym synem swego ojca. Nie tylko byli fizycznie podobni, mieli te same zainteresowania i przez kilkanaście godzin dziennie mogli stać przy produkcji, bawiąc się wymyślaniem nowych receptur. Waldemar doczekał się godnego kontynuatora tradycji rodzinnej, a Zbyszek coraz częściej go zadziwiał. Wyobraźnia chłopaka pokonywała zdawałoby się nieprzekraczalne granice, polot oraz stały głód wyzwań czyniły zeń idealnego cukiernika. Dlatego rodzice mogli być spokojni, kto w przyszłości zajmie ich miejsce i będzie kontynuował dzieło rozpoczęte po wojnie przez Leona i Celinę Hryciów.

Helena uśmiechnęła się do siebie. Zbyszkowi przydałaby się odpowiednia partnerka, było jednak zbyt wcześnie na snucie planów. Kasia miała zaledwie szesnaście lat, chodziła do liceum i Helena zastanawiała się czasem, co tak inteligentna dziewczyna zobaczyła w jej synu, który z trudem ukończył technikum. Niby znali się od dziecka, ale mieli całkiem inne zainteresowania, a trzy lata różnicy to w młodości przepaść. Jednak pół roku temu Kasia zaczęła pojawiać się u nich coraz częściej, raz po raz gdzieś ze Zbyszkim wychodzili, czasem na dyskotekę, do kina, do Płocka. Aż wreszcie Helena zapytała:

– Chodzisz z Kasią?

Słyszając to, Zbyszek złapał szybki haust powietrza, jakby chciał zaprzeczyć. A przecież nie było w tym nagany, jedynie ciekawość.

– Sam nie wiem! – wyrzucił z siebie.

Patrzył na nią jakoś tak bezradnie, więc nie naciskała. Nie ponowiła już

potem tego pytania, bo Kasia przychodziła niemal codziennie. Helena słyszała dobiegające z pokoju Zbyszka śmiechy i przekomarzania. Tak im zazdrościła, że nie obciąża ich żadna przeszłość! Złe wybory, pomyłki, kalkulacje i wpadki. Życie nie wycisnęło na nich jeszcze swego piętna, nie nasyciło goryczą, rozpaczą, przemocą. Nadal mogli marzyć, mieć nadzieję na szczęście nieokupione cierpieniem. Byli dwiema czystymi kartami. Uśmiechała się, kiedy szli przez rynek, trzymając się za ręce. Przypominała sobie wtedy pierwsze randki z Waldkiem i siebie samą, przymuszoną przez okoliczności do uwiedzenia przyszłego męża.

Początkowo wcale jej się nie podobał. Duży, zwalisty, rudawy, ubierał się niechlujnie, wysławiał nieelegancko. Od wielu lat wdowiec, skupiony na pracy, zaniedbany. Gdyby nie przypadek, szczególny splot okoliczności, nie zatrzymałaby na nim spojrzenia. Ale stało się. Od razu wiedziała, że ma na nią ochotę, zresztą nie przekroczyła wtedy jeszcze czterdziestki, nie tacy jak on jej ulegali.

Gdy sprawa ciąży wyszła na jaw, zdecydowała się na wyjazd z Gutowa. Właściwie uciekła. Była wtedy w związku ze swoim pierwszym mężem. Nie mieli potomstwa i właściwie nic już ich nie łączyło, ale choć wszystkiego się domyślał, Ryszard postanowił adoptować jej dziecko. Zamieszkali w Gdańsku, gdzie on dostał pracę. Mimo że nie zostawili adresu, Waldek jakimś cudem ich odnalazł. Ukłękł przed nią i tak długo ze łzami w oczach błagał, aż wreszcie ją przekonał. Właściwie – dlaczego? Może przekonała ją miłość, której Helena nigdy nie doświadczyła? Prawdziwa, bezwarunkowa, pełna żaru. Mężczyźni romansowali z nią, ale żaden jej nie kochał, nawet Ryszard ożenił się z nią dla wygody i aby zamknąć ludziom usta. Tymczasem Waldek gotów był pokonać każdą przeszkodę. Dla niej chciał nawet zostać ojcem nie swojego dziecka.

Postawił jeden warunek: musiała wrócić do Gutowa. I w tym tkwił szkopuł, bo ojcem Zbyszka był starszy brat Waldka, Grzegorz. Waldek o tym wiedział, a Grzegorz poza jedynym razem, kiedy się przyznał podczas jakiejś kłótni, nigdy nie wrócił do tematu. Zresztą Zbyszek nawet nie był do niego podobny, co wszyscy, a zwłaszcza Helena, przyjęli z ulgą. To jednak niczego nie zmieniało.

Powrót nie był łatwy. Helena nie czuła sentymentu do miejsciny, gdzie

uważano ją za latawicę, ani do rodziny Hryciów, którą Iga, córka Waldka, obrazowo nazywała „sępami”. Helena do nich nie pasowała. Nie chciała też być żoną rzemieślnika. Jej marzenia i aspiracje dotyczące sztuki, ciągle odkładane na później, z powodu ciąży i drugiego małżeństwa zostały całkowicie zaprzepaszczone. W domu Waldka dramatycznie brakowało kobiety. Jego matka i zarazem współniczka już nie żyła, a córka właśnie kończyła studia. Należało zakasać rękawy i nie tylko zająć się niemowlęciem, ale też domem i firmą.

Te pierwsze miesiące nie zapisały się dobrze w pamięci Heleny: ciągle konflikty z Igą, nieustanne wspomnianie zmarłej teściowej, która rzekomo wszystko robiła najlepiej, jawna niechęć personelu cukierni. Jednak afronty i przytyki przyjmowała z kamienną twarzą. Znosiła je w spokoju. Robiła, co uważała za stosowne, i systematycznie odciskała na domu i cukierni swoje piętno. Jej talent plastyczny wkrótce się przydał. Zarządziła remont i dopilnowała go, na nowo zaprojektowała wnętrza, papier firmowy i opakowania, sprowadziła prawdziwe porcelanowe filiżanki, zmieniła stoliki i krzesła, a potem, kiedy nie była już tak bardzo potrzebna dziecku, wzorem starszej pani Hryć stanęła za ladą. Ktoś musiał się poświęcić, zwłaszcza że po śmierci Celiny, aby spłacić rodzeństwo Waldka, zachowując przy tym firmę, musieli zaciągnąć kredyt. Zatem on doglądał produkcji, jej zaś domeną stał się handel. W końcu to nawet polubiła i aby skutecznie zarządzać, skończyła kurs marketingu.

Z zewnątrz wyglądali na zamożnych, ale ścibolili każdy grosz, co ich chyba zbliżyło najbardziej. Waldek często ją za to przeproszał, ona jednak wiedziała, że walczy o przyszłość swego dziecka.

– Kiedyś wreszcie spłacimy ten kredyt – powtarzała, bojąc się, że pewnego dnia Iga zdecyduje się wyjść za mąż, a huczne wesele znów nadwątlili ich zasoby.

Ale Iga na razie nie planowała ślubu. Zakochana w pół-Angliku Xavierze, często wyjeżdżała, aż pomyśleli z Waldkiem, że może zechce u niego zostać na stałe. Jednak wróciła, a w końcu ściągnęła tu przyszłego męża. Mieli wielkie plany. W pobliskich Zajezierycach kupili hotel Orbisu i postanowili ów dawny pałac Zajezierskich przywrócić do niegdysiejszej świetności. Na punkcie tego hotelu Iga całkiem zwariowała. To nie był już biznes, lecz misja.

Helena nigdy nie uwierzyła w piękną bajeczkę, opisaną nawet w pewnej

powieści, że ostatni hrabia Zajeziński był dziadkiem jej teściowej Celiny. Nie mieli na to świadków, nie mieli dowodów poza pierścieniem, który rzekomo znajdował się kiedyś w posiadaniu ojca Celiny, a potem jej samej i jej brata Zygmunta. Skoro był w ich posiadaniu, to jakim cudem został odkopany w podziemnym korytarzu pod rynkiem? Tak czy inaczej, nawet jeśli nieprawdziwa, ta historia dodawała pałacowi i cukierni aury tajemniczości, która bardzo dobrze wpływała na sprzedaż.

Zwłaszcza latem pełno było w Gutowie turystów. Helena poznawała ich po tym, że wchodzili do cukierni z książką, kupowali jagodzianki, rożki francuskie, oglądali zawieszane na ścianach fotografie. Niekiedy o coś pytali. Zabawne, bo niektórzy mylili ją z Celiną! A przecież zdjęcie Celiny wisiało na ścianie, gdyby żyła, musiałaby już przekroczyć dziewięćdziesiątkę! Zresztą w ogóle nie były do siebie podobne! Jednak aby im nie sprawiać zawodu, Helena wpisywała się czasem do ich książek: „Pozdrawiam, Celina Hryć”. Lubiła też pojawiające się na niektórych twarzach zdumienie, kiedy chcąc ich sprowokować, rzucała tajemniczo:

– Ja jestem Helena, ta zła...

Zeszła na podwórko. Kiedy otwierała drzwi do zakładu, niemal zderzyła się z mężem.

– Kolacja stygnie.

– Już skończyłem! – Uśmiechnął się.

Wystukał na panelu kod uzbrojenia alarmu i zamknął drzwi. Kiedy się do niej odwrócił, promienny i zadowolony, nie musiała pytać, wiedziała.

– Czym ich tym razem zaskoczysz?

– A właściwie gdzie się podział Zbyszek? – Waldemar zignorował pytanie. – To nie jest czas na zabawy.

Wtedy Helena przypomniała sobie Kasię, najwyraźniej unikającą jej spojrzenia.

Może się pokłócili? – pomyślała. Nie chciała jednak niczego przesądzać.

– Nie widziałem go od kilku godzin. Miał mi coś kupić w Płocku, zanim zamkną hurtownię. Najwyraźniej coś go zatrzymało – Hryć powiedział niemal niefrasobliwie i wziął ją za rękę. – Ślicznie dziś wyglądasz!

Uśmiechnęła się kpiąco i pokręciła głową.

– Tylko jedno ci w głowie! – skarciła go z czułością.

Zjedli, nie czekając na syna. Jego komórka nie odpowiadała, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. Helena, sprząając po kolacji, zaczęła się niepokoić.

– Gdzie on się podział?! Dlaczego nie odbiera? Ja oszaleję!

– Mówił, że ma słabą baterię.

– Dlaczego nie dałeś mu na nowy telefon? Czy to warte moich nerwów?!

Hryć nie odpowiadał.

– Z nim się dzieje coś niedobrego! Może wpadł w nieodpowiednie towarzystwo?

– Nasz syn?!

Zbyszek przyjechał wreszcie koło dziewiątej. Najpierw usłyszeli, jak parkuje na podwórzu, potem wbiegł po schodach i poszedł do łazienki. Helena, ciekawa, co go zatrzymało, czekała, aż wejdzie do salonu, gdzie razem z mężem oglądali telewizję.

– Cześć! – krzyknął z kuchni. – Ale jestem głodny!

Wyglądał na zdenerwowanego. Szurał garnkami, nakładał sobie kolację, a potem pochylony nad stołem, jakby ktoś miał mu za chwilę wyrwać talerz, jadł, nie odrywając wzroku od gulaszu.

– Właśnie widzę. – Helena pokiwała głową. – Co się stało?

– Coś z alternatorem.

– Przywiozłeś marcepan? – krzyknął z salonu Waldemar.

– Nie. W całym Płocku nie mieli – bez zająknięcia odparł Zbyszek.

Nawet na niego nie patrząc, Helena wiedziała, że jej syn kłamie.

Paryż, sierpień 2016

Samolot przechylił się na bok, co oznaczało, że schodzi do lądowania. Monika Grochowska-Adams dopiła kieliszek chardonnay i wyjrzała przez okno. Miała już swoje lata i podróżowanie między Nowym Jorkiem a Europą stawało się coraz bardziej męczące. Wielogodzinne loty, kiedyś symbol statusu, zwłaszcza za czasów żelaznej kurtyny i kiedy jeszcze latały concorde'y, teraz były wyłącznie przykrą koniecznością, wynikającą z jednoczesnego życia na dwóch kontynentach. Monika lubiła intensywność, rzadko zwalniała, zajęta wciąż nowymi projektami, nie miała czasu na odpoczynek, ale jej ciało, choć wysportowane i sprężyste, nie było już ciałem młodej kobiety. Czas płynął nieubłaganie, z roku na rok coraz szybciej. Dni stawały się jakby krótsze i tak wiele wciąż było do zrobienia.

Po raz ostatni przed lądowaniem otworzyła laptop, aby ponownie przeczytać intrygujący mail, który dostała kilka dni temu. Wiadomość pochodziła od nieznannej jej bliżej Francuzki polskiego pochodzenia, która w powieści napisanej przez Monikę odnalazła fragment własnej historii rodzinnej, co więcej, uczyniła ją depozytariuszką pewnego sekretu.

Szanowna Pani.

Nazywam się Milena Marcoveanu i zdaję sobie sprawę z tego, że moje nazwisko niewiele Pani powie. Na Pani ślad naprowadziła mnie powieść Pani autorstwa, dotycząca Gutowa, miasta rodzinnego mojego ojca, Izraela Cukiermana vel Ireneusza Gawryły, najmłodszego z dzieci Natana, właściciela przedwojennej cukierni Pod Aniołem. Ojciec zmarł co prawda dwa lata temu, ale utrzymywał długo, że w domu, w którym obecnie znajduje się cukiernia Pod Amorem, jego ojciec, a mój dziadek, przed przymusowym przesiedleniem do getta zamurował cenne rodzinne pamiątki.

Kilka lat temu wybrałyśmy się z siostrą w podróż do Gutowa, usiłowałyśmy nawet odzyskać nasz dom w rynku, który w rodzinie pozostawał przez niemal

sto lat, ale mitręga urzędowa w końcu nas pokonała, nie miałyśmy również śmiałości zwrócić się w tej sprawie do właścicieli cukierni. Jak by nas zresztą przyjęli? Co najwyżej jako nieszkodliwe wariatki. Mamy co prawda w Gutowie przyjaciół, mecenas Michalina Gawryło-Frajnic jest mi dobrze znana, gdyż nasz ojciec wychowywany był przez rodzinę Gawryłów i do 1968 roku mieszkał w Polsce, ale nie zaliczają się oni do przyjaciół państwa Hryciów i nie bardzo wierzyłyśmy w powodzenie przedsięwzięcia.

Jak zaproponować komuś, aby szukał w swojej piwnicy pozostawionego tam przed siedemdziesięciu laty depozytu? Nie wiemy przecież, czy już wcześniej nie znaleziono i nie sprzedano tego, co nasz dziad ukrył. To bardzo utrudnia sprawę i czyni ją niezwykle delikatną. Musi Pani wiedzieć, że jesteśmy z siostrą i bratem raczej zamożni, nie kieruje nami chęć zysku. Na stare lata chcielibyśmy jedynie załatać lukę, którą wojna i czasy PRL-u uczyniły w historii naszej rodziny, oraz odzyskać pamiątki, które nasz dziad powierzył tym murom.

Piszę do Pani, gdyż wyczuwam w Niej osobę życzliwą ludziom i rozumiejącą ich, a nie oceniającą. Wiem również z Google'a, że jest Pani współnikiem dużej amerykańskiej kancelarii prawnej, zajmującej się pomocą Żydom i Polakom, którzy pragną odzyskać swoje mienie. Czy mogłaby nam Pani w jakikolwiek sposób pomóc?

*Z poważaniem
Milena Marcoveanu*

Dziś właśnie Monika miała się po raz pierwszy spotkać z autorką listu, aby ustalić dalszy tryb postępowania. Umówiły się w znanej kawiarni Angelina przy rue de Rivoli, niedaleko Luwru. Sprawa była rzeczywiście delikatna, ale z różnych względów zaintrygowała Monikę. Zresztą kochała Paryż i przy każdej okazji chętnie się tam zatrzymywała, nic więc nie stało na przeszkodzie, aby w drodze do Warszawy zrobić sobie krótką przerwę.

Mimo wczesnej pory w Angelinie było sporo gości. Monika zastanawiała się, czy to dobre miejsce na rozmowę w tak poufnej sprawie. Jedyne nadzieje, że będą rozmawiały po polsku. Usiadła niedaleko wejścia, wybrała coś z karty i czekała. Nim zrealizowano zamówienie, w drzwiach pojawiła się niewysoka, doskonale paryska, szczupła osoba po czterdziestce. Monika również przeszukała Internet i nie tylko wiedziała, jak pani Marcoveanu

wygląda, ale podziwiała też skromność kobiety, która nie pochwaliła się, że jest profesorem Sorbony, wybitnym naukowcem, cytowanym przez liczne periodyki branżowe. Uśmiechnęła się i pomachała do niej.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać! – usłyszała na powitanie.

Ubrana w lnianą sukienkę pani Marcoveanu miała figurę nastolatki. Subtelny makijaż pasował do jej delikatnych rysów twarzy. Kobieta usiadła przy stoliku i zamówiła kawę i croissanta.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – odpowiedziała Monika.

– Mój mail pewnie panią zdziwił?

– Nie sądziłam, że jestem czytana w tak wielu miejscach i przez tak wielu ludzi.

– Książkę kupiliśmy z siostrą podczas naszego pobytu w Gutowie, pięć lat temu. Wtedy jeszcze sądziłam, że wystarczy tam pojechać, aby wszystko załatwiło się samo.

– Odległość upraszcza perspektywę. – Monika westchnęła.

– Na miejscu zaś wydawało mi się, jakbyśmy brodziły w smole.

– Mimo upływu czasu ludzie nadal się boją, że przyjadą potomkowie gutowskich Żydów i wszystko im zabiorą. Długo nic nie wskazywało na to, że coś się zmieni, przez kilkadziesiąt lat wrosli w swoje nowe miejsca, a tu nagle ktoś się zjawia. Nie wiadomo, co z tym zrobić, czy będzie trzeba wszystko oddać, wyprowadzić się gdzieś, stracić dorobek życia? W dodatku przyjeżdżają ludzie niewyglądający na biednych, więc niby po co im majątek, który porzucili? – spokojnie tłumaczyła Monika, jednak pani Marcoveanu zareagowała nerwowo.

– Nie porzuciliśmy, wysiedlono nas pod przymusem! Najpierw Niemcy, potem Polacy. Pani na pewno pamięta marzec sześćdziesiątego ósmego roku.

– Niestety, pamiętam.

– Nikomu niczego nie zamierzam zabierać! Wciąż jest wiele nienaprawionych krzywd i to, że ktoś się nie upomina, nie znaczy, że nie czuje się ograbiony. Ci ludzie, tam w cukierni...

– Państwo Hryciowie?

– Zmienili szyld i żyją jak gdyby nigdy nic! W środku zawiesili nawet przedwojenne zdjęcia cukierni. Naszej cukierni! Korzystają z naszej historii, jakby ją sami stworzyli!

– Rozumiem panią, ale z tego, co się orientuję, kupili ten dom na przetargu – rzeczowo wyjaśniała Monika. – Nie oni, kupiłby ktoś inny. Nazwa jest

zmieniona, ale nie aż tak bardzo. Rodzina Hryciów kontynuuje waszą tradycję! Wolałaby pani, aby sprzedawano tam telefony?

– Nie, pewnie, że nie.

– A zdjęcia wyrażają szacunek. Znałam starą panią Hryć, miała wielki sentyment do cukierni pani dziadka. Bywała tam jako klientka. Dom zaś kupiła późno, w latach siedemdziesiątych bodajże. Wcześniej go znacjonalizowano, takie wtedy było prawo.

– Ale prawo w międzyczasie się zmieniło – powiedziała już ciszej Milena Marcoveanu.

– To prawda. Teraz samorządy w miarę swoich możliwości naprawiają szkody wyrządzone przez dekret Bieruta.

Umilkły. Pani Marcoveanu pogryzała croissanta. Nie patrzyła na Monikę, jakby zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, dzieląc się z nią swymi myślami.

– Zdumiewa mnie pani polszczyzna! Tyle lat poza krajem... – Monika próbowała rozluźnić gęstniejącą atmosferę.

– Rodzice mówili po polsku, mama była nauczycielką polskiego. Czytam polskie książki, to pomaga utrzymać kontakt z językiem. Czy nam pani pomoże? – rzuciła w końcu.

– To ciekawa i niełatwa sprawa, na dodatek nieco tajemnicza, bardzo takie lubię. Chociaż, szczerze mówiąc, mam trochę wątpliwości, czy uda mi się cokolwiek osiągnąć – Monika nie kryła sceptycyzmu.

– Rozumiem. Nie pozostało nam już nic poza nadzieją. Nasi rodzice odeszli. Moja siostra mieszka w Izraelu, ja i mój brat tu, w Paryżu. Cóż, jakoś przeżyjemy fiasko pani misji. O ile się jej pani podejmie. Naturalnie, przed podpisaniem umowy, chciałabym znać również wysokość honorarium.

– Na pewno się dogadamy. – Monika machnęła ręką. – Chciałabym jednak ostrzec panią, że powieść, którą napisałam, to fikcja, a moje związki z rodziną Hryciów nie są aż tak bliskie, jak by wynikało z tekstu. Owszem, znam ich, w końcu jakiś czas mieszkałam w Gutowie, chodziłam nawet do tej samej szkoły co Grzegorz Hryć...

– Ach, ten... Burmistrz...? – wyrwało się pani Marcoveanu.

– Aktualnie poseł – sprostowała Monika.

– Początkowo nie wiedziałam, że on i właściciele cukierni to rodzina, zbieżność nazwisk mogła być przypadkowa. Poszłyśmy z siostrą do urzędu jako dwie petentki, wyszłyśmy jako potencjalne przestępczynie. Jakbyśmy chciały kogoś obrabować albo, mój Boże, już to nawet uczyniły! Wszyscy

urzednicy byli przeciwko nam, widać mieli nakazane, aby się tak zachowywać. Nie wiem, czy to dotyczy każdego, kto usiłuje odzyskać swą własność, czy tylko my z wiadomych względów byliśmy wyróżnione. W każdym razie zraziłam się do polskich urzędników.

– Na jak wiele swobody mi pani pozwoli? – zapytała Monika, ignorując wyznania rozmówczyni. – Sprawa jest bardzo trudna. Dom miał kilku właścicieli, z pewnością też był wielokrotnie remontowany. Może skarb, tak go nazwijmy dla uproszczenia, już wcześniej wydobyto, na przykład podczas okupacji albo po wojnie? Budynek zdaje się nie uległ większym zniszczeniom podczas wyzwalań Gutowa, ale sprawdzę to jeszcze. Niestety, tak daleko moja pamięć nie sięga – spróbowała żartu.

– Dam pani wszelkie plenipotencje. Wiem, że skazuję panią na trudną misję, bo nawet nie wiemy, co mój dziadek ukrył. Mogło tam być trochę kosztowności, pieniędzy, ale prędzej dokumenty dotyczące własności domu, co już jest bez znaczenia, dlatego mam nadzieję, że właściciele cukierni pomogą w poszukiwaniach. Jestem też skłonna zapłacić im za to jakąś gratyfikację i odstępnę w razie znalezienia czegokolwiek.

– Cóż, pozostaje mieć nadzieję, że przekonamy ich do współdziałania... – w zamyśleniu powiedziała Monika.

Nie przypuszczała, dokąd ją ta sprawa doprowadzi.

Długołęka, styczeń 1945

Dzień budził się mglisty i wilgotny. Przez całą noc wiatr hulał po polach, tłukł w okna i wył w kominie. Zszarzały śnieg topniał z wolna, a z sopli wiszących pod okapem raz po raz spływały ciężkie krople. Wydawało się, że to już koniec zimy. Pelagia Janiuk, gospodyni dworu w Długołęce, wsunęła nogi w drewniaki i szczelnie otulona chustą poczłapała przez podwórze. Zmagając się z wiatrem, dotarła do drewnutni, skąd zabrała trochę szczap na podpałkę. Gdy zapłonęły, w kuchni zrobiło się cieplej. Na dworze szarzało. Kobieta pokręciła głową. W taki dzień lepiej siedzieć w domu i grzać się przy kominie, łuskając groch albo tkać dywaniki. Ale co zrobić, trzeba jechać do Zajezieryc, dziś rocznica urodzin hrabiego Tomasza. Pawlak, długołęcki dziedzic, szwagier hrabiego, już dawno zamówił mszę, jak teraz nie wziąć w niej udziału? Janiukowa nastawiła czajnik i poszła do obórki wydoić krowę. Kiedy wróciła, Zdzisław Pawlak kręcił się już po kuchni.

– Wieje? – rzucił zamiast powitania.

– Jakby kogo obwiesili! – Kobieta ciężko westchnęła, wlała trochę mleka do rondelka, postawiła na płycie i rwąc kawałki przygotowanego wcześniej ciasta, wrzucała kluski na wrzątek.

W milczeniu usiedli przy stole.

– Ale sanie chyba jeszcze przejdą? – zastanawiał się głośno Pawlak, omijając wzrokiem talerz z zacierkami, jakby nie czuł głodu. Spojrzał w okno, na rozhuśtane topole. – Piechotę za daleko, a wóz może utknąć.

– Pozostaje jechać sankami – podsumowała Janiukowa.

– Wy zostaniecie! – powiedział twardo. – Trzeba domu pilnować. Sam Azor nie wystarczy. Może nie będą tacy skorzy do napaści, jak dym w kominie zobaczą?

– Patrzcie no, anim pomyślała, że po wyzwoleniu człowiek się będzie bardziej bał jak w okupację!

– Miesiąc jeszcze nie minął, jak Niemcy się wycofali, i nowa władza nie

bardzo utrwalona, to korzysta na tym rozmaity element.

– Głód dodaje odwagi, ale i niegłodni kradną, a najwięcej nasi wyzwolicieli. W czasach zamętu zło wyłazi z człowieka – fuknęła gospodyni.

– Jakby coś kraść próbowali, zawrzyjcie się w komorze i udawajcie, że nikogo nie ma. Nie chcę, żeby was z mojego powodu na stare lata kto ukrzywdził.

– Ano niech będzie... – powiedziała. – Jednak sensu to w tym braknie. Mam zostać, ale nie bronić? Więc o co wam chodzi?

– Żeby ciepło w domu było i gorąca zupa, kiedy wrócę, bo jak pomyślę o drodze do Zajezieryc, to wiem, że łupanie w kościach mnie dziś nie minie.

– Wasza wola, moja dola – rzekła po cichu.

– Gdyby żył, hrabia skończyłby dziś osiemdziesiąt jeden lat... – Pawlak westchnął.

– No i na co by mu teraz przyszło?! – odrzekła Janiukowa, ucinając jego smętne dywagacje. – Pałac ograbiony, po ziemię dworską cudze się ręce wyciągają, żona dawno umarła, a syn w Watykanie. Został hrabia sam jak ten palec. Kiedy go Niemcy z pałacu wygnali, żył o wstydzie i waszym łaskawym chlebie. Lepiej, że parcelacji nie doczekał – pocieszała.

– Może i prawda... – Pawlak uniósł talerz, wybierając łyżką zacierki, i znów zadumany spojrzął w okno. Miał wiele szczęścia. Lata całe pozostawał na służbie u Zajezierskich, w końcu siostrę hrabiny pojął za żonę on, chłopski syn, i szwagrem hrabiego został. Pracował w majątku uczciwie, ale też traktowany był niczym przyjaciel. Kiedy Niemcy weszli do Polski, to go z dworku długołęckiego nie usunęli, a tych mórg, co je żona jego, Kinga Toroszyn, we wianie wniosła, niewiele było, toteż pod parcelację nie podpadały. Ale mimo wszystko jego los niewiele się od losu hrabiego różnił. Obaj jeszcze przed wojną zostali wdowcami, obaj bezdzietni, liczyli tylko na dwóch wychowanków hrabiego: Adama Toroszyńskiego, który był wnukiem żony Pawlaka, i Michała Podedworskiego – wnuka siostry Zajezierskiego. To między nich mieli podzielić swoje włości, ich dzieci niańczyć i przez nich mieli być kiedyś pochowani. Tak by było, gdyby nie wojna.

– Kończcie już, pora ruszać! – ponagliła go Janiukowa.

Pawlak zamrugał oczyma, jakby chciał strząsnąć z powiek obraz dwóch młodzieńców, którzy jeszcze do niedawna u niego mieszkali, chrząknął i opierając się na blacie, wstał. Włożył sweter, grubą wełnianą kurtkę, czapkę, gumowane filcowe walonki, wreszcie sięgnął po kozuch i poszedł zaprzęgać

konia. Mokry wiatr zacinał niemiłosiernie, lodowata mżawka osiadała na twarzy. W rozmiękłym śniegu trudno będzie dotrzeć do Zajezierzyc, ale mus to mus. Wsiadł na kozioł, okrył się kapotą i ruszył do kościoła.

Podczas mszy, pogrążony w zadumie, zrozumiał, że świat, jaki znał, nieodwołalnie się skończył. Dyskutowali zresztą o tym z hrabią od dawna, co najmniej od minionej wojny, kiedy to po raz pierwszy trwający od wieków porządek zatrzęsł się w posiadach. Pawlak doskonale pamiętał próby rozszerzenia na Polskę rewolucji sowieckiej podejmowane przez rozmaitych agitatorów. Pamiętał żądania rad robotniczych i żołnierskich, pamiętał oburzenie hrabiego i dowodzony przez starego Grzyba strajk zajezierzyckich fornali, który wypadł w samo Boże Narodzenie roku osiemnastego. Wtedy, dwadzieścia siedem lat temu, cudem udało się okiełznać to szaleństwo. Teraz, kiedy Armia Czerwona rozgościła się w Gutowie wyzwolonym miesiąc temu przez siły partyzanckie, nie było już nadziei. Syn Grzyba, dumny z roli, jaka mu przypadła, dzielił ziemię Zajezierskich, a on, szwagier hrabiego i zaufany zarządca jego dóbr, mógł się temu tylko bezradnie przyglądać.

Jak będzie na wsi bez szlachty? – myślał przygnębiony. – Bez dworów? Kto teraz będzie wiódł prym? Kto dawał przykład? Jak ludzie przyzwyczajeni do służby mają żyć? Kto będzie dla nich wzorem? Kto będzie ich pilnował? Kto za nich decydował? Nawet jeśli dostaną ten hektar albo dwa, czy to zmieni ich los? Mieli ordynarię, pensje, tego wszystkiego teraz zabraknie. Czy staną się gospodarzami, siedząc na gołej ziemi? Bez zabudowań, bez maszyn, bez zwierząt? Czy dzięki reformie skończy się głód na przednówku? Czy synowie chłopscy nie będą się już wywyższać, wypędzając z zabaw parobków i służące? Czy w kościele biedota będzie mogła siadać na ławkach dotychczas zarezerwowanych dla gospodarzy? W to nie sposób mu było uwierzyć, bo odwieczne zwyczaje zmienić najtrudniej.

Pawlak uniósł głowę i zapatrzył się na patronującego kościołowi świętego Floriana, który z wysokości lał wodę w ogień, jakby chciał ugasić gorączkę w ludzkich umysłach powstałą. Szlachta, prawem kaduka ze swych siedzib wygnana, tuła się teraz, wycierając obce kąty. Dziś żaden szlachcic ani szlachcianka pewni swego jutra być nie mogli. Opowiadają ludzie niby baśnie jakieś, że wszyscy teraz będą równi i nikt wywyższać się nie zdoła. Jak temu wierzyć? Czy kto widział gdzie krainę na równości opartą? Zawsze będą

panowie i służba, lepsi i gorsi, bogatsi i biedniejsi. Kto ma znajomości, spryt i pieniądze, przed tym się wszystkie drzwi otwierają, biednemu zaś po wiek wieków nędza. A porządku raz zburzonego na nowo ustanowić łatwo nie będzie. I kto na tym skorzysta? Jeśli to będą tacy sami ludzie jak ten Grzyb, to miej Polskę w swej opiece, Panie Boże.

Ku podniesieniu msza już zmierzała i Pawlak się do bliższych jego sercu spraw zwrócił, modły gorące zanosząc o wieczne odpoczywanie hrabiego, swej żony Kingi oraz jej sióstr – Adrianny i Wandy, co jako przełożona gutowskiego klasztoru kwietanek w pacyfikacji życie straciła. Ale modlił się też o żywych, a przede wszystkim o to, aby ci dwaj bliscy jego sercu młodzieńcy – Adam i Michał – szczęśliwie wojnę przetrwali. Adam Toroszyn w niemieckim obozie Murnau czekał końca wojny, który już pono niedaleko, a Michał Podedworski po cichu uciekł, kiedy przyszła wiadomość, że na partyzantkę AK-owską, co ją zaczęli nagle bandą nazywać, obława się w powiecie szykuje. Pawlak sam go zachęcał, aby sąsiadce z Cieciorki, pani Radzewiczowej, w wyjeździe dopomógł, a że strasznie był w jej córce Ewce rozmiłowany, to i długo się nie zastanawiał. Pojechali ku Białemustokowi, licząc na to, że może uda im się kiedyś wrócić do domu.

Pawlak westchnął głęboko, zapadając się w kołnierz kozucha, bo choć dzień nie był mroźny, to jednak wilgoć przenikała aż do szpiku kości. W kościele zgromadziło się niewielu wiernych. Był środek tygodnia, ranek, a dookoła tyle się działo. Kilka dni wcześniej Rosjanie wyzwolili Płock, w Gutowie odbywały się wiece, trójki parcelacyjne dzieliły i rozdawały pańską ziemię, kraj budził się do nowego życia. Jakie ono będzie? Tego Pawlak nie ośmielał się przewidywać.

Gdy koło południa dojechał do Długołaki, z ulgą wyprzągnął konia i marząc o gorącej zupie, wszedł do domu. Zdziwił się, widząc siedzącą w kuchni nieznaną dziewczynę. Mogła mieć z piętnaście lat. Była licho ubrana, w drewniaki i cienką kapotę. Chyba przyszła niedawno, bo kuliła się, jakby nadal chłód ją przenikał. Janiukowa wręczyła jej kubek gorącego mleka i pajdę chleba z masłem.

– A co? Mamy gościa? – zapytał.

– Jajek przyniesłam – powiedziała przybyła i rzuciła się ku niemu, jakby go chciała pocałować w rękę.

Pawlak wyrwał dłoń i skrzywił się z niesmakiem.

– Dajże spokój, dziecko!

– Co chcesz za te jajka? – twardo spytała gospodyni.

– Ja nic... Tylko pani naszej nie ma, kury znoszą i nie wiadomo, co z tym robić.

Za jej plecami Janiukowa zrobiła minę, która wskazywała, że inny musi być powód odwiedzin. Pawlak usiadł przy stole.

– Dajcie nam zupy, pani gospodyni! – rzucił z uśmiechem. – A czyjaś ty, panienko?

– Ja Stefcia od Prątków, z Cieciorki, panie dziedzicu, sierota – odpowiedziała skwapliwie.

– A sama zjeść tych jajek nie chciałaś?

– No, trochę zjedlim we dworze. Kur mało, kilka wszystkiego, cośmy przed ruską bandą uratowali w ziemiance.

– I szłaś taki kawał drogi, żeby nam te jajka przynieść? A czemuż to?

– Bo... Bo... Może nasza pani gdzie w głodzie? – wyrzuciła z siebie autentycznie zatroskana.

– Sam nie wiem – odparł Pawlak. – Nie miałem żadnych wieści o pani Marii.

– Myślałam... Poszłabym za nią, ale gdzie iść, nie wiem.

– Toś była jej bardzo oddana. Służyłaś we dworze? Nie pamiętam cię.

– Nie, ja przy krowach byłam. Teraz krów nie ma, to i do roboty nic nie zostało. A prawda to, że panicz Michał z moją panią wyjechał?

Janiukowa i Pawlak wymienili zdziwione spojrzenia.

– Nie! Panicz tylko za sprawą do magistratu, do Gutowa się wybrał – na wszelki wypadek skłamał Pawlak. – A czemu on dla ciebie taki ważny?

– Widziałam, jak jedną furą powoził, tom się ucieszyła, że panienka i panicze pod dobrą opieką pozostają – odparła podejrzenie szybko.

– Tylko go patrzeć! – zapewnił Pawlak. – Nam on tu też potrzebny.

Ciechanów, luty 1945

Szanowny Panie Zdzisławie.

Nadarza się okazja przesłania listu, toteż pamiętając o Pańskiej trosce, piszę z wieściami o nas.

Ostatnie dni spędzone w Cieciorce pokazały, jak wiele dla mnie znaczy to miejsce! Serce mi się kraje na myśl, że gdy Eduś wróci z obozu, nie zastanie nas we dworze. Kto tam będzie mieszkał, Bóg jeden raczy wiedzieć. Eksmitowano naszą rodzinę jak jakieś śmiecie, jakbyśmy byli nie obywatelami, a przestępcami. Prawda, w dzisiejszej Polsce słowo „obywatel” brzmi podejrzanie, teraz wszyscy mamy być „towarzyszami”!

Patrzę na to, co się dzieje dookoła mnie, i widzę jeden wielki chaos. Ludzie zabiegani za najbardziej podstawowymi artykułami, nowe prawo w powijkach, nie wiadomo, co z nami będzie. Resztkami sił chwytam się jeszcze nadziei, że może kiedyś odzyskamy naszą Cieciorkę, choć rozsądek mi podpowiada, że nikłe są na to szanse. Ironia losu polega na tym, że gdybyśmy mieli mniej niż pięćdziesiąt hektarów, może udałoby się zostać w majątku, bo nie podlegałby on wówczas reformie. Nasz, okrojony już i tak w czasie wojny, miał o dziesięć hektarów za dużo i w konsekwencji zabrano nam wszystko! Zostawiłam we dworze nie tylko większość wyposażenia, ale też serce i bogatą historię rodziny wraz z jej pamiątkami.

Pakując się do wyjazdu, nie mogłam zabrać wszystkiego, najważniejsze były odzież, żywność, materace i kołdry. Płakać mi się chciało, kiedy rozdawałam służbie meble, nakrycia stołowe i to wszystko, co się nie zmieściło na fure. Żegnały mnie litościwe słowa, ale i zacięte spojrzenia, jakby niektórzy tylko czekali, aby wreszcie wejść do dworu i sobie w nim pofolgować. Czy ja co komu ukradłam? Radziewiczowie żyli w Cieciorce od niepamiętnych czasów, zawsze szanowani i cenieni jako sąsiedzcy rozjemcy. Organizowane przez nas hubertusy ściągają sąsiadów z całego powiatu. Teraz nasze nazwisko oznacza infamię.

Zdanie kluczy karbowemu było najboleśniejszą chwilą. Jadąc przez Gutowo, wymeldowałam się w gminie i gdyby nie dzieci, tobym chyba wtedy gorzko zapłakała. Ale siedziały wpatrzone we mnie, zalęknione, niewiedzące, kto i dlaczego zgotował im taki los. Kurczowo trzymając tobołki ze swymi najważniejszymi skarbami, oczekiwały wsparcia, dlatego mimo wszystko musiałam się uśmiechać.

Do Ciechanowa dotarliśmy po dwudniowej podróży. Cudem znalazłam niewielkie mieszkanie w starym, ale ciepłym drewniaku przy Nadrzecznej. Teraz rozglądam się za pracą. Chciałabym chłopców jak najszybciej zapisać do szkoły, Zbyszka do drugiej klasy, Jerzyka do czwartej, Janka zaś do szóstej, nie wiem tylko, czy wystarczy im domowej, wojennej edukacji. Ewa pragnie rozpocząć naukę w liceum. Wasz kuzyn, Miron, również rozgląda się za pracą. To dobry chłopak, zawsze chętny do pomocy i taki wesoły! Nie wiem, co bym bez niego zrobiła! Żyjemy tu bardzo skromnie, ale dzięki zapasom na razie mamy co jeść. Czasem wymieniam zabraną z domu pszenicę na masło lub mleko, czasem coś sprzedam na targu, kiedy potrzeba czegoś dla dzieci. Ostatnio zapłaciłam litrowym słoikiem miodu za oszklenie okna. Oddałam lustro za podzelowanie dwóch par butów! Takie czasy nastąpiły, że się ze mnie zrobiła kupcowa. Konie i wozy musiały wrócić do majątku, bo byłyby teraz na wagę złota.

Drogi Sąsiedzie, nie chcę Was martwić, bądźmy dobrej myśli! Bo choć biednie, ale żyjemy i ufamy w nadejście lepszych czasów. Teraz najważniejsze, aby wojna się skończyła i mój mąż wrócił z niewoli. O to się modłę, a Wam przesyłam życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności!

Z wyrazami szacunku
Maria Radziewicz

Pawlak czytał na głos, a Janiukowa obierała kartofle i raz po raz ukradkiem wycierała łzy.

- Taka dobra pani, w takim okropnym położeniu...
- Godnie znosi swój los.
- A ten wasz kuzyn Miron – co za jeden? Nigdy o nim nie słyszała.
- Wszak pani Maria o Michale to pisze! Po tym, co Rosjanie i komuniści zrobili partyzantom, wywożąc ich w niewiadomym kierunku, nawet strach, że się kogoś takiego zna. A ona nie chce Michała zdradzić, bo szukać go u nas

mogą i jakby list znaleźli, to po nitce do kłębka i by doszli.

– Więc wy lepiej ten papier od razu spalcie! – rozsądnie zaproponowała Pelagia. – Po co kusić licho?

– Słusznie! – Zasmucony Pawlak spojrział raz jeszcze na list i zmiąwszy go, rzucił do ognia. – Gdyby nie wasz Kazimierz, nie byłoby już chłopaka... Jakie to swoją drogą szczęście, że Adaś do powstania w Warszawie przystąpił, że życie ocalił i jak Edward Radzewicz trafił do obozu jenieckiego! Gdyby tu został, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak by się sprawy potoczyły!

– Przynajmniej jest nadzieja, że ich kiedy żywymi obaczym!

– A wasz syn czemu z tej Milicji Obywatelskiej wystąpił, wszak on socjalista?

– Może o spokojniejszym życiu marzy? Już chyba dość się nieszczęścia naoglądał.

– Ożenić się nie zamierza? – spytał ze śmiechem Pawlak.

– Wspaniała byłaby to dla mnie nowina, bo inaczej wnuków nie doczekam, a już na czterdziesty mu idzie. – Janiukowa pokiwała głową z westchnieniem.

– Ale sami wiecie, że za dziećmi nie trafi. Była taka jedna z Zajezieryc, co ją na roboty zabrali, może na nią czeka? Czasem coś mu wspomnę, ale poganiać nie ma co, bo gotów na złość zrobić.

– Wasz Kazimierz dobry syn, nie sprzeciwiłby się. A samemu ciężko i na duszy, i na ciele. Wiem coś o tym, choć dzięki wam ja nie samotny przecież.

Zamilkli. Janiukowa wsłuchiwała się w te miłe słowa swego chlebodawcy, który rzadko jej coś serdecznego powiedział, on zaś zamyślił się, że być może warto by jakoś wyrazić wdzięczność gospodyni, zwłaszcza że od kiedy został sam, polegał na niej jak na własnej żonie.

– A nie potrzeba wam czego z Gutowa? – zapytał niewinnie.

– Może nafty, gdyby gdzie dostać się dało.

Nie tłumacząc swej decyzji i nie rozpamiętując jej, Zdzisław Pawlak, wdzięczny Pelagii Janiuk za wspólne przetrwanie okupacji, zaprzągnął konia i wyruszył do Gutowa. Miał też oczywiście jakieś swoje sprawy, a nade wszystko chciał zasięgnąć informacji o znajomej rodzinie Cieślaków, jak przeżyli wyzwolenie miasta i jak im się obecnie wiedzie.

Paweł Cieślak, przed wojną bogaty przedsiębiorca, zmarł w wyniku rany

postrzałowej, którą odniósł podczas akcji partyzantów. To u Pawlaka we dworze został umieszczony przed przewiezieniem do Gutowa. Tu niedaleko został ranny, a byli już niemal jak rodzina: jego córka Celina i Adam Toroszyn mieli się ku sobie. Przed śmiercią hrabia Tomasz myślał nawet o tym, czy się z Cieślakiem nie rozmówić w kwestii dzieci. Nigdy jednak do tego nie doszło, sprawy między młodymi nie posunęły się do zaręczyn, Celina była jeszcze zbyt młoda, wszyscy czekali na zakończenie wojny. I nim wojna się skończyła, Cieślak i hrabia Tomasz zmarli.

Dlatego właśnie Pawlak chciał sprawdzić, jak sobie radzi wdowa po Cieślaku, która została sama z piątką dzieci. Zabrał dla niej trochę mąki i kaszy, grochu i smalcu. Sam miał tego niewiele, ale wciąż myślał o Adamie i wiedział, że Adam myśli o Celinie, gotów był więc sobie od ust odjąć, byle im coś zawieźć.

Dzięki błyskawicznej i dobrze przemyślanej akcji Gutowo nie ucierpiało tak bardzo podczas wyzwalania. Gdzieniegdzie widziało się co prawda jeszcze powybijane szyby w oknach i poszczerbione mury domów, ale zniszczenia nie były znaczne. Ruch na rynku panował niewielki, pewnie za sprawą niesprzyjającej pogody. Nagle Pawlak poczuł przyjemny zapach chleba i zobaczył ludzi wychodzących z cukierni Pod Aniołem. Zatrzymał więc konia obok ratusza i wszedł do cukierni, aby sprawdzić, kto teraz prowadzi interes, bo chyba nie ten folksdojcz Papke, który urzędował tam, od kiedy Niemcy wysiedlili z miasta wszystkich Żydów?

Stanąwszy w drzwiach, stary aż zaniemówił. Za ladą zobaczył bowiem Celinę Cieślak! Mimo wczesnej pory na prawie pustych półkach leżało zaledwie kilka bochenków chleba. Była to teraz raczej piekarnia niż cukiernia. Dziewczyna bardzo się ucieszyła na jego widok.

– Dzień dobry panu!
– Co panienka tu robi? – zapytał.
– Zarabiam na życie – rzekła pogodnie.
– Chleba to wam pewnie nie brakuje – skonstatował Pawlak, zerkając jednym okiem na pozostawiony nieopodal wóz. – Ale mam też jeszcze trochę innych rzeczy, mąkę, kaszę, co nieco grochu i smalcu... A pani Zyta w domu? Czy może panience zostawić?

– Och, to pan nic nie wie! – powiedziała jakby zawstydzona. – My już nie

mieszkamy przy Parkowej.

– Nie? – próbował zrozumieć, ale spostrzegłszy jej skrepowanie, nie chciał się dopytywać.

– Tu mieszkamy, nad cukiernią. W tym mieszkaniu po Papkem. Pamięta go pan?

– Tak, naturalnie. Oczywiście, że pamiętam. A kto prowadzi cukiernię?

– Przyjaciel rodziny, pan Leon Hryć.

To ostatnie wypowiedziała zachrypłym głosem, niezręcznie próbując ukryć grymas zawstydzenia. Pawlak spojrział na nią uważnie. Nie znał tego Hrycia, a Celina mu najwyraźniej niczego nie chciała wyjaśniać, bo zajęła się innymi klientami. Kiedy przyniósł przywiezioną z Długołaki żywność, postawił ją na ladzie cukierni, wymamrotał słowa pożegnania i wyszedł zasmucony. W końcu nawet zapomniał o nafcie dla Janiukowej, bo nagle pomyślał, że Celina może już nie czeka na Adama. Ciężkie strapienie przygniotło mu piersi – kiedy chłopak wróci z obozu, pewnie go tu spotka wielki zawód.

Gutowo, maj 1945

Trzeci maja wypadał w niedzielę. Celina Cieślak z siostrą Weroniką wybrały się przed ósmą rano na poranną mszę do fary. Po drodze zdziwione usłyszały odgłos syren fabrycznych i wtórujące im dzwony kościelne. Ponieważ było to święto narodowe, którego obchodzenie zostało podczas okupacji zabronione, w kościele znajdował się tłum wiernych. Wstydząc się swoich skromnych sukienek, dziewczęta stanęły z tyłu. To pozwoliło Celinie dokonać zadziwiającego spostrzeżenia: wielu mieszkańców Gutowa miało się zupełnie nieźle! Ubrani w elegancką odzież, której na pewno nie dostali w sklepach, gdzie prawie niczego nie było, w całkiem dobre buty, kobiety miały na głowach jedwabne chustki. Wyglądali, jakby im się teraz wiodło lepiej niż przed wojną. Nagle zrobiło się cicho, bo na ambonie stanął proboszcz Juliusz Pasymont. Potoczył wzrokiem po zebranych, chrząknął i łamiącym się ze wzruszenia głosem powiedział:

– Dotarły do nas wieści, że Berlin padł. To oznacza koniec wojny. Podziękujmy Bogu za to, że dał nam dożyć tej chwili!

Zapanowało wielkie poruszenie. Ludzie rozglądali się, rzucali sobie w ramiona, wzdychali, wreszcie uklękli. Wielu szlochało, wspominając bliskich, których zabrała wojna. Celina myślała o zmarłym ojcu, o swej przyjaciółce, Laurze Rausch, do której śmierci mimowolnie się przyczyniła, o zaginionym bracie, ale najgoręcej modliła się o powrót Adama Toroszyna. Wielokrotnie wyobrażała sobie tę scenę, oglądała ją z różnych perspektyw, w odmiennych dekoracjach. I za każdym razem rzucała wszystko, aby zacząć z nim nowe życie. Marzenia wypełniały jej krótkie chwile przed snem, w który zapadała nagle, zmęczona pracą ponad siły, bo po zaginięciu brata Zygmunta to właśnie ona była odpowiedzialna za rodzinę. Matka, zaślepiona miłością czy głupotą, nieświadomie oddała Leonowi Hryciowi w zarząd pozostawiony przez męża majątek i nie zauważyła, że uważany za przyjaciela oszust roztrwonił cały dorobek rodziny. Potem się ocknęła i przegnała Hrycia, ale

wtedy nie mieli już nic: domu, pieniędzy ani nawet mebli. O każdy kawałek chleba, każdą szczapę drewna musieli się wystarać.

W lutym nowe władze wyrzuciły ich też z mieszkania nad cukiernią, które zajmowali jedynie na mocy ustnej umowy, i Cieślakowie sięgnęli dna. Przed wojną byli zamożną rodziną, której nic nie brakowało, matka robiła nawet śmiałe plany zbliżenia poprzez Adama Toroszyzna z bogatą i znaczącą w kraju rodziną Zajezierskich. Może by się to nawet udało, bo pewnie ojciec by dla Celiny przygotował piękny posag, ale wojna wszystko przekreśliła. Nie ma już hrabiego, Cieślakowie to dziś żebracy, a Adam...

Modląc się o pokój na świecie, Celina z bólem uświadomiła sobie, że choć miasto wyzwoliła polska partyzantka, na jego ulicach widać tylko żołnierzy rosyjskich. Polacy to niemal wyłącznie cywile, którzy czasem chodzą pod bronią, jednak Gutowo żyje wyraźnie pod dyktando Rosjan. To oni wybierają kandydatów na urzędy i wcale im nie przeszkadza, że ktoś wcześniej pracował dla Niemców, byle teraz ogłosił się lojalnym poddanym nowej władzy. Nie wiadomo skąd biorą się ci ludzie, karierowicze, śliscy i dwulicowi, niepotrafiący do trzech zliczyć, którzy obejmują ważne funkcje. Tylko takim jest obojętne, co się dzieje z Polską, myślą wyłącznie o swoim interesie i wysługiwaniu się nowej władzy! To od nich teraz zależą losy miasta i kraju! Przez takich jak oni Adam nie ma dokąd wrócić. Pozycji, którą zagwarantowałby mu hrabia Zajezierski, przepisując na niego swój majątek, nie da się odbudować. Nie ma już majątku, a w pałacu mieszkają podobno zajezieryccy fornale. Gdyby wrócił, jako element niepożądany klasowo, Adam mógłby się tylko narazić na przykrości.

Ktoś mówił w piekarni, że dawnych ziemian bez żadnego powodu aresztuje się i wsadza do więzienia, że partyzantów z oddziału Żbika wywieziono gdzieś w niewiadomym kierunku. Jej własny brat przepadł bez wieści. Za nic nie chciałaby dla Adama takiego losu! Już lepiej niechby nie wracał. Ta myśl zabolęła tak bardzo, że Celinie prawie zabrakło tchu. Modliła się gorąco, błagając Boga, aby ukochany uratował życie, by na razie nie wracał i nie oglądał jej w tej rozpaczliwej sytuacji, kiedy z córki zamożnego przedsiębiorcy stała się niemal żebraczką. W imię miłości wyrzekła się swego szczęścia. Kiedyś to wszystko musi się przecież zmienić!

Ciechanów, czerwiec 1945

Ewa Radziewicz czuła w sercu zamęt. Od zawsze kochała Adama Toroszyńskiego. Na mocy rodzinnych umów pomiędzy Radziewiczami a hrabią Zajezierskim pewnie zostałaaby jego żoną, wszystkim się ten pomysł bardzo podobał. Może z wyjątkiem starszego od niej o kilka lat Adama, który zawsze traktował Ewę jak dziecko. Na szczęście do Długołęki przybył Michał Podedworski i uratował jej honor. Nie chcąc stracić nadziei na małżeństwo z Adamem, Ewa długo udawała, że nie widzi zaangażowania Michała. Tu, na Mazowszu, był nikim. Jego rodzice prawdopodobnie nie żyli, majątek, który posiadali gdzieś na Kresach, został zabrany przez Sowieców, taki narzeczony Ewie zdecydowanie nie pasował. Ale trwała okupacja, Adam wyjechał i trafił do powstania, a matka Ewy, pozostawiona sama sobie, łaskawym okiem patrzyła na wizyty i oferowaną raz po raz pomoc chłopaka.

To Michał organizował ewakuację z dworu, to on pilnował ich bezpieczeństwa podczas podróży do Ciechanowa, on poszedł pracować na budowę, aby ich wspierać finansowo. Jego obecność stała się oczywista. Był wielkim autorytetem dla młodszych braci Ewy, którzy patrzyli na niego jak w obraz. Również ona sama zaczynała powoli zmieniać zdanie. Niewątpliwie przystojny, wysoki, z falującymi jasnymi włosami i niebieskimi oczyma mógł się podobać i podobał kobietom. Pewnego dnia Ewa postanowiła, że podoba się również jej.

W ten pogodny, czerwcowy wieczór szli za rękę w stronę ciechanowskiego zamku. Na okolicznych łąkach kwitły mlecze i raz po raz Ewa zrywała jeden, aby dmuchnąć i patrzeć, jak wiatr porывa nasionka niczym maleńkie spadochrony. Usiedli na trawie i przyglądali się spokojnemu nurtowi rzeki.

– Jak pięknie! – Westchnęła.

Nieśmiałym gestem Michał objął ją i czekał, czy mu pozwoli na więcej, a ona odwróciła ku niemu głowę i zamknąwszy oczy, czekała na pocałunek.

Serce w nim trzepotało z radości i chętnie wskoczyłby do rzeki albo zrobił coś równie głupiego.

– Myślałem, że nigdy... Że ty już nigdy... – szeptał, dotykając jej włosów i całując nos, czoło, policzki, oczy. – Tak bardzo cię kocham! Tak bardzo!

– Wiem, głuptasku! Wiem!

Leżeli na trawie, póki nie zrobiło się chłodno. Słońce zachodziło majestatycznie. A oni, wtuleni w siebie, smakowali chwilę, jedną z tych, które się nie powtarzą. Gdy na niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy, Ewa poczuła chłód, do domu na szczęście było niedaleko.

Wchodzili po schodach, drocząc się i żartując, a kiedy weszli do mieszkania, nie potrafili ukryć swego szczęścia. Pani Radziewicz od razu zauważyła, że stało się coś ważnego. Przygotowując skromną kolację, Ewa szeptała do matki radośnie. Nim zjedli, ktoś mocno zapukał. Nie czekając na zaproszenie, do mieszkania weszło dwóch młodych mężczyzn w długich butach i skórzanych kurtkach.

– Michał Podedworski? – ostrym tonem zapytał jeden z nich.

– To ja, słucham.

– Mamy tu nakaz zatrzymania. – Starszy z mężczyzn podał jakiś papier Michałowi, który przebiegł pismo wzrokiem.

– O co chodzi?

– Pójdziecie z nami! Przeszukanie, szybko: buty, płaszcz, kurtka! – zakomenderował starszy, a młodszy rzucił się ku stojącej w przedpokoju szafie. Wyjął z niej oficerki i kurtkę Michała oraz futro pani Radziewicz.

– Dokąd go zabieracie? – zapytała przerażona Ewa.

– Do komendy.

– Nie martw się, wrócę – spokojnym tonem powiedział Michał.

– To jakieś nieporozumienie! – próbowała go ratować przerażona pani Maria.

Gdy ucichł tupot nóg zbiegających po schodach, w pokoju zapanowała przerażająca cisza.

– A po co im było twoje futro? – zdziwił się Jaś, ale wstrząśnięta kobieta nie zdołała z siebie wydobyć głosu.

Długo siedzieli w milczeniu, chłopcy obstąpili matkę, tuląc się do niej, jakby była zdolna zapewnić im w ten sposób bezpieczeństwo. Ewa gryzła palce.

– Trzeba iść, trzeba go ratować! – powtarzała.

– Jest wieczór. Dziś nic nie zdziałyśmy. Nikt nas nie przyjmie ani nie udzieli

informacji.

– Ale to niemożliwe! Za co?! Za co?! – chlpała dziewczyna, a zmartwiona matka bezradnie patrzyła w podłogę. Spodziewałaby się takiego traktowania po Niemczech, ale aresztowanie we własnym kraju, tuż po wojnie, przez podających się za legalną władzę mówiących po polsku rodaków było dla niej szczytem bolesnej ironii.

– Przecież on nic nie zrobił... – łkała Ewa, kolejny raz doznając uczucia całkowitej bezradności i niezawinionej niczym krzywdy.

Rankiem pani Maria z butelką gorącej mięty, bo herbaty dawno już nie mieli, i dwoma kawałkami chleba ze smalcem poszła na komendę, aby się dowiedzieć, jakie zarzuty postawiono Michałowi. Nikt jej jednak nie przyjął, komendant był rzekomo bardzo zajęty. Kiedy zamierzała wracać do domu, zobaczyła kilkunastu młodych mężczyzn wybiegających z budynku, którzy na ulicy rozdzielili się i ruszyli w różne strony. Najwyraźniej trwała jakaś obława. Ale na kogo? Z jakiego powodu?

Wieczorem sytuacja trochę się wyjaśniła. Gospodyni domu, pani Różańska, powiedziała, że aresztowano kilku ziemian. Po powiecie jeździły komisje „chłopów i robotników” sprawdzające przebieg reformy rolnej. Jeśli we dworze napotykały właścicieli, natychmiast ich aresztowały, przy okazji robiąc bezduszną rewizję, która w rzeczywistości była grabieżą w biały dzień. Szukano też ziemian zamieszkałych w Ciechanowie, którzy już zdali swoje majątki. Celu tych poszukiwań nikt ze znajomych pani Radziewicz nie znał.

Co dzień rano Ewa przynosiła Michałowi śniadanie i gorącą kawę zbożową. Żywność w wartowni przyjmowano, jednak pytanie, czy dociera ona do adresata, pozostawało bez odpowiedzi. Na mieście mówiło się, że aresztowani są zakładnikami nowego ustroju i będą zatrzymani do czasu, póki nowi właściciele, to znaczy najczęściej ich dotychczasowi fornale, nie obejmą przydzielonej im ziemi.

– Ale przecież Michał nie jest ziemianinem! – zamartwiała się Ewa. – Aresztowali go na pewno przez pomyłkę albo ktoś go zadenuncjował. Tylko kto? I dlaczego? Może ktoś z dawnego oddziału Żbika? A jeśli to zemsta, że wtedy nie poszedł i nie dał się zgarnąć? Gdyby ktoś o tym wiedział, może już nie być dla niego ratunku.

Następnego dnia, jak zwykle przed lekcjami, wybrała się z kanapkami na

komendę. Tuż przed wejściem minęła ją grupka mężczyzn. Jeden z nich przyjrzał się jej uważnie.

– A co tu robi taka ładna panienka? – zapytał z mieszaniną kpiny i ciekawości.

– Przyszłam dowiedzieć się o kuzyna, który nic nie zrobił, a przetrzymują go tu od dwóch tygodni! – powiedziała hardo.

– Kuzyn? Jak się nazywa?

– Michał Podedworski.

– Ten dzieciak – podrzucił któryś z tyłu.

– Rocznik dwadzieścia trzy, zatrzymany pod zarzutem uchylania się od służby wojskowej! Młody, zdrowy, ładnie to tak dekować się na tyłach? – niby żartem zapytał ktoś starszy rangą.

Ewie chciało się krzyknąć. Jak to: „dekować się na tyłach”? Przecież Michał był w partyzantce! Przygryzła jednak wargi. Nie mogła go zdradzić.

– Ale wojna się chyba skończyła? – powiedziała, udając głupią.

– Nie dla wszystkich, panienko, nie dla wszystkich. Namówcie kuzyna, żeby do wojska polskiego wstąpił albo do MO, to go wypuścimy. Jest mnóstwo pracy dla takich jak on.

Po powrocie do domu Ewa nie mogła sobie znaleźć miejsca. Pragnęła, aby Michał wyszedł na wolność, ale nie śmiała mu sugerować sposobu, jaki zaproponował ten mężczyzna. Czuła, że znaleźli się w potrzasku.

Warszawa, sierpień 2016

Telefon Moniki rozdzwonił się z nienacka. Zamierzała zlekceważyć natręta, te wszystkie „numery zastrzeżone” budziły w niej głęboką niechęć. Komórka ucichła po kilku sygnałach, ale chwilę później odezwała się znowu.

– Słucham – rzuciła niechętnie Monika, przeczuwając, że dzwoni ta sama osoba.

– Dobry wieczór. Nazywam się Renata Molęda, jestem asystentką prasową pana posła Grzegorza Hrycia, czy mam przyjemność z panią Moniką Grochowską-Adams?

– Tak, to ja. O co chodzi? – Wspomnienie Grzegorza wywołało w jej ciele natychmiastową reakcję.

– W imieniu pana posła chciałabym zaprosić panią na lunch.

– A to z jakiego powodu? – Monika usiłowała pokonać drżenie głosu.

– Tak pięknie napisała pani o Gutowie! Od tego czasu do miasta przyjeżdża wielu turystów! Pan poseł też jest pod wrażeniem pani powieści! – paplała tamta, a Monika zastanawiała się, czy już ją spławić, czy też jeszcze przez chwilę posłuchać.

– Czyżby? – zapytała.

– Pan poseł jest zrozpaczony, bo wciąż nie ma pani autografu!

– Co mu przeszkodziło go zdobyć? Miałam kilka spotkań autorskich. W Warszawie i w Gutowie również, kiedy jeszcze był burmistrzem. Nie przypominam sobie, aby zaszczycił moje spotkanie swoją obecnością.

– Pan poseł jest taki zajęty!... – wyjęczała tamta. – No, ale chyba pani nie odmówi, skoro akurat przebywa pani w Warszawie? Jako była gutowianka i w ogóle...

To „w ogóle” prawie rozśmieszyło Monikę. Najwyraźniej dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, co się pod nim kryje. I skąd wiedziała o jej przyjeździe?

– Mam się spotkać z posłem Hryciem po to, aby złożyć podpis na jego

egzemplarzu powieści? Dobrze zrozumiałam? Nie prościej byłoby, gdybym mu go wysłała na adres Kancelarii Sejmu?

– Och, nie chcemy pani narażać na koszty! Zresztą jest jeszcze jedna sprawa, o której nie mogę powiedzieć, bo to niespodzianka! – radośnie zastrzegła rozmówczyni, a Monika z ciężkim westchnieniem usiadła na kanapie. – Czy mogę zaproponować najbliższy wtorek? Szesnastego sierpnia o godzinie trzynastej, restauracja Studio Buffo?

– Może pani.

– Rozumiem, że pani akceptuje? – dopytywała się tamta.

– Akceptuję.

– I że pani przybędzie?

– Przybędę – odpowiedziała Monika, naśladowując jej napszony ton, i podniosła się, aby zapisać spotkanie w kalendarzu.

Stojąc przy stoliku, który podczas pobytów w Warszawie służył jej za biurko, rozejrzała się po mieszkaniu, jakby spodziewała się tu znaleźć przyczynę swego dziwnego zachowania. Nie, nie chciała się spotkać z Grzegorzem Hryciem. Dawno, dawno temu przysięgła sobie, że już nigdy się z nim nie spotka. Zbyt drogo kosztowała ją ta znajomość, zbyt wiele z jej powodu wycierpiała. A czas, wbrew powiedzeniu, nie leczy ran, najwyżej je zabliznia. Tymczasem Grzegorz oznaczał wspomnienia. Wspomnienia, których nie chciała, których się obawiała, od których tak dawno i tak daleko uciekła. Dlatego postanowiła, że ograniczy się do podpisania książki i szybko pożegna, tłumacząc pośpiech kolejnym spotkaniem.

Spojrzała w lustro i natychmiast się za to skarciła. Chciała być młodsza i ładniejsza. Choćby tylko na pół godziny. Chciała w nim wzbudzić zachwyty. Chciała go ukarać. Pragnęła, żeby cierpiał, żeby pożegnawszy się, albo nawet jeszcze przed pożegnaniem, żałował tego, co się stało i do czego nigdy nie doszło. Żeby już sam jej widok wzbudził w nim pragnienie powrotu do tamtego lata.

Co za nedorzecznosc! – skarciła się w myślach. – Cóż on mnie może jeszcze obchodzić? To sprawa zamknięta. Pogrzebana. Zapomniana. Nie wróciłam tu dla niego. Zresztą jestem stara. On też jest stary. Dwoje starych ludzi, a pomiędzy nimi książka. Nie ma mnie w tej książce. Nie ma nas. Jest tylko on. Niezbyt pochlebnie opisany, ale jakie to ma znaczenie? Kto dziś czyta książki? A nawet jeśli, to w końcu fikcja, przypadkowe podobieństwo.

Ta myśl nie dawała jej jednak spokoju. Skoro Hryć do tej pory nie próbował

nacisków i ingerencji w tekst, dlaczego miałyby to robić teraz? Chciała się jakoś przygotować do rozmowy, ale w głowie miała pustkę. Kilka dni dzielących ją od spotkania przeżyła niczym w transie. Kolejny raz Grzegorz był w centrum jej uwagi. Sprawdziła, co o nim piszą w sieci, jak wygląda, czym się zajmuje i jaką ma opinię. Oczywiście startował z listy partii, która wygrała! Zawsze wiedział, skąd wieje wiatr! Aż dziw, że dawno nie wyjechał z Gutowa. Sądziła, że znacznie wcześniej zrobi karierę, ale i tak zdążył. Jako dyrektor szkoły byłby już pewnie na emeryturze. Teraz jest posłem. To pierwsza kadencja, a z jego talentem do intryg na pewno nie ostatnia.

Nie miała wątpliwości, kim jest Hryć. Kiedyś zdążyła go poznać, a ludzie się nie zmieniają, w każdym razie niezmiernie rzadko. Osiwiał, wyłysiał i przytył, nie był to już tamten licealny playboy, ale ona mimo wszystkich przykrych wspomnień i zła, jakie jej wyrządził, wciąż niestety patrzyła na niego oczyma tamtej nastolatki.

– To minie, przejdzie. Muszę tylko panować nad sobą. Pokazać, że nic mnie nie obchodzi.

Do spotkania przygotowywała się wyjątkowo starannie. Choć wiedziała, że on nie dostrzeże delikatnych pasemek, nad którymi fryzjerka biedziła się przez kilka godzin, nie doceni koloru lakieru na paznokciach i efektownej kompozycji jej stroju składającego się wyłącznie z markowych ciuchów, nie rzuci okiem na torbę i buty. To wszystko było dla niej i tylko dla niej, aby patrząc w szyby wystaw sklepowych przy placu Trzech Krzyży, mogła sama do siebie powiedzieć:

– Jest dobrze!

Na spotkanie poszła pieszo, przekonana, że wszystkie uczucia ma wypisane na twarzy. W restauracji pojawiła się z dziesięciominutowym opóźnieniem. Jednego nie przewidziała – Grzegorz nie przyszedł sam! Siedziała przy nim młoda dziewczyna, zapewne ta asystentka.

Doskonale! – pomyślała z ulgą Monika. – To uprości sprawę!

– Dzień dobry! Przepraszam za spóźnienie... Korki... – Uśmiechnęła się. Podała rękę dziewczynie. – Pani Renata, jak się domyślam?

– Renata Molęda. – Asystentka Hrycia wstała i dygnęła, co wyglądało absurdalnie.

– Miło mi. Panie pośle. – Monika wyciągnęła dłoń, a on, odchrząknawszy, lekko ją uściśnął.

– Witam panią! – powiedział jakby speszony, co jej z kolei dodało odwagi.

– Czyżby ze sobą sypiali? Tak, zapewne. Po cóż inaczej by ją ciągnął? Chce mi pokazać, jaki jest jeszcze sprawny, biedaczysko... Szkoda, że o tym nie pomyślałam, byłoby mi łatwiej przez te dni.

Usiedli. Po chwili kelner przyniósł menu. Hryć musiał być tu częstym gościem, bo jedynie zerknął na kartę dań. Pewnie zawsze zamawiał to samo: żurek z jajkiem i schabowego z kapustą. Urocze i takie wyrafinowane. Dziewczyna trochę marudziła, ale w końcu zamówiła sałatkę z kurczakiem, Monika ograniczyła się do kremu z zielonego groszku.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Zatem – nawiązała rozmowę. – Czego pan ode mnie oczekuje?

– Jest pani gutowianką... – zaczął, jakby nie miał przygotowanego planu rozmowy.

– Nigdy się tego nie wypierałam.

– I niewątpliwie odniosła pani sukces jako autorka – kontynuował.

– To przesada – Monika powściągała jego zapędy, nie bez pewnej słuszności podejrzewając, że za chwilę jej sukces stanie się jego bronią. – Jestem przede wszystkim prawniczką.

– Nieuzasadniona skromność. Zatem... – Hryć nabrał powietrza. – Zatem... No cóż, jest pani utalentowana, to wiemy nie od dziś.

Monika czekała.

– Potrzebuję się jakoś wyróżnić. Pomyślałem o biografii. Sporo już dokonałem. Nie muszą to być od razu trzy tomy, nie przesadzajmy. Jeden wystarczy. Chciałbym, aby powstało coś z polotem, nie jakieś opasłe tomisko, ale żeby... – Spojrzał na asystentkę.

– Podkreślić zasługi pana pośła dla kraju! – usłużnie dokończyła za niego.

– Chciałbym coś takiego u pani zamówić.

– Nie pisuję biografii osób żyjących – odpowiedziała Monika bez namysłu.

– A już zwłaszcza biografii polityków.

W tym momencie Renata Molęda wyjęła z torby wszystkie trzy tomy powieści Moniki. Najwyraźniej zostały przeczytane, co więcej, kolorowymi karteczkami ktoś w nich pozaznaczał rozmaite strony.

– To chyba nie do końca prawda? – Hryć poczuł się pewniej. – Ta powieść...

– Jest fikcją, chyba nie muszę tego wyjaśniać?

– Fikcja, w której użyto prawdziwych nazwisk! Mojego nazwiska! – podniósł głos, nie na tyle jednak, by wzbudzić zainteresowanie pozostałych

gości.

– Inni na miejscu pana posła byliby zachwyceni. – Z nienagannym uśmiechem Monika starała się wytrzymać jego spojrzenie.

– Czytają i roznoszą plotki, że mam nieślubne dziecko! – na dobre rozsierdził się Hryć.

– A ma pan poseł?

Co za ulga! Nie przypuszczała, że wyprowadzi go z równowagi. Sprawilo jej to niemal fizyczną przyjemność.

– Oczywiście, że nie! To jakieś brednie!

– Zatem gdzie tkwi problem? – Była niczym plaster miodu na ranę: gotowa nieść pomoc, uległa i współczująca.

– Bo wszyscy uważają, że to prawda! – twardo rzucił Grzegorz i ponownie zanurzył łyżkę w żurku, ale zdaje się, że ta rozmowa pozbawiła go apetytu.

– Jakoś to panu nie zaszkodziło w zostaniu posłem. Może nawet pomogło?

– Trzeba te miejsca trochę zatuszować... – zaproponował ugodowo.

– Jak?

– Zmienić miasto, nazwisko albo chociaż imię... – usłużnie zaproponowała asystentka. Najwyraźniej mieli to jednak wcześniej omówione.

– Tak po prostu zmienić?

– Po starej znajomości. – Hryć nie stracił nadziei, jeszcze starał się być miły.

Monika chciała mu coś powiedzieć o starej znajomości, ale wzrok sekretarki skutecznie ostudził jej zapał.

– Trochę już na to za późno. Co się stanie ze sprzedanymi egzemplarzami? Albo tymi, które są w bibliotekach?

– Pani rozumie, że za wszelką cenę muszę bronić mojej reputacji! – Hryć przybrał pompatyczny ton.

– A nie powinien pan poseł nieco wcześniej zadbać o swoją reputację? Jakies pięćdziesiąt lat temu? – powiedziała Monika i wstała. Wyjęła z portmonetki sto pięćdziesiąt złotych i rzuciła na stolik. – Dziękuję za uroczy lunch! Ja stawiam.

Wyszła zdecydowanym krokiem, podejrzewając, że obserwują ją przez okno. Przecięła ulicę Konopnickiej, przy hotelu Sheraton nagle się zatrzymała. Zmarszczywszy brwi, nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

Warszawa, lipiec 1945

U Radziewiczów nikt się nie spodziewał, że Michał Podedworski zostanie wypuszczony z ciechanowskiego aresztu tak szybko. Po trzech tygodniach, w połowie lipca, nieoczekiwanie pojawił się w porze obiadowej, kiedy chłopcy bawili się na podwórku. Ewy i pani Marii nie było, bo dostały pracę w małym sklepiku spożywczym przy rynku i do wieczora musiały tam zostać. Jednak rezolutny Jasiek zaraz przybiegł do sklepu z wieściami.

Ewa nerwowo przestępowała z nogi na nogę, chciała natychmiast zobaczyć ukochanego, zrobić mu coś do jedzenia, a choćby i posiedzieć przy nim, i kiedy się na chwilę wyrwała, zrobiło jej się przykro, bo Michał, leżąc w poprzek łóżka, spał. Nie mogła się więc niczego dowiedzieć.

Za to wieczorem radości i uściskom nie było końca. Chłopak miał dobry humor, żartował i jadł ze smakiem krupnik, który pani Maria ugotowała na kolację. Szybko jednak jego twarz spochmurniała.

– Obiecałem im, że jeśli mnie zwolnią, to wrócę i zaciągnę się do milicji – wyznał z niepewną miną.

– Jak to?! – oburzyła się Ewa. – Nie możesz tego zrobić! To byłaby zdrada!

– Ci, których mógłbym zdradzić, pewnie już nie żyją.

– Chcesz się wysługiwać czerwonym?! – krzyknęła.

Pani Maria próbowała spokojnie wytłumaczyć córkę:

– Przypomnij sobie, co zrobili twoim rodzicom, co zrobili nam wszystkim. Chcesz aresztować ludzi z twojej klasy? Zobacz, jak by wyglądało nasze życie, gdyby nie oni. Mieszkalibyśmy nadal w Cieciorce.

– I ptasiego mleka tylko by nam brakowało. Nie możesz przykładać ręki do ich zbrodni! Nie ty! – gorączkowała się Ewa.

Michał siedział z opuszczoną głową. Przyznawał Ewie rację, ale nie miał już siły walczyć. Chciał się usamodzielnic, zrobić maturę i jakieś studia, ożenić się, mieć dzieci. Był zmęczony wojną, okupacją, partyzantką i tym wszystkim, co się działo dookoła.

– I co mi po tej wolności? – Pociągnął nosem. – Co się zmieniło? Jest gorzej niż za Niemca!

– Nie grzesz! – przywołała go do porządku pani Radziewicz.

– Przecież nie myślę tak jak oni! Chciałbym tylko normalnie żyć! – powiedział cicho.

– Wyślą cię na jakąś akcję, żeby wygonić z domu albo aresztować niewinnych ludzi, i co wtedy zrobisz? Powiesz im: „Przepraszam, ja tak nie myślę?”. Będziesz z czerwonymi przesiadywał w tej samej komendzie, pił wódkę, uśmiechał się, brał od nich pieniądze? – niczym matka tłumaczyła pani Radziewicz.

– Chcesz do tego wszystkiego przyłożyć ręki?! To nazywasz normalnym życiem?! – Ewa podnosiła głos coraz bardziej.

– Ciszej! Ściany mają uszy! – mitygowała ją matka. – A co innego mógłby zrobić? Przecież nie miał wyjścia! Jeśli się nie zgodzi, wróci do aresztu.

– Możemy uciec! – szybko, jakby się nad tym długo zastanawiała, rzuciła Ewa.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek, do Warszawy albo do Szczecina czy Wrocławia.

– Jak to sobie wyobrazasz? – zapytała pani Radziewicz.

– Ja się nawet dziwię, że oni to zaproponowali komuś takiemu jak ja... – Michał westchnął.

– Nie dziw się, tak przecież działa propaganda. „Proszę bardzo, tu mamy takiego Michała Podedworskiego, niby ze szlachty, wysiedlony z Kresów, a do tego stopnia popiera władzę ludową, że sam się do milicji zaciągnął!” – przedrzeźniała Ewa. – Pokazywaliby cię na każdej masówce w powiecie, jakbyś był zwierzęciem cyrkowym. Naprawdę tego chcesz?!

– Daj mu już spokój, córeczko – pani Maria łagodziła nastroje. – Rozumiem, że dali ci kilka dni do namysłu?

– W poniedziałek kazali mi się zgłosić do pracy.

– To dość czasu – stwierdziła Ewa. – Nie pozwolę ci zmarnować życia! Jeśli do nich przystaniesz, prędzej czy później zgorzkniejesz, zaczną cię nękać wyrzuty sumienia, bo nigdy nie będziesz tego robił z przekonania. Ty nie jesteś karierowiczem i nie myślisz tak jak oni. To plama na honorze.

Zapadło milczenie. Siedzieli we troje nad pustymi talerzami, nie patrząc sobie w oczy, i desperacko czepiali się myśli, że wszystko się jakoś ułoży.

– Mieliśmy kuzynkę w Warszawie. Pamiętam jej adres: Wilcza siedem

mieszkania trzy, może tam? Chociaż Warszawa podobno całkiem zburzona... – powiedziała pani Maria.

– Dam sobie radę. A wy co zrobicie? – zaniepokoił się Michał.

– Ja jadę z tobą! – bez namysłu wykrzyknęła Ewka.

Pani Radziewicz podniosła wzrok na córkę.

– Jak to sobie wyobrazasz?!

– Normalnie. Spakujemy najpotrzebniejsze rzeczy i pójdziemy na stację. Kiedyś przyjedzie jakiś pociąg do Warszawy.

Ze spuszczoną głową Michał przygryzał usta. Pragnął tego jak niczego w świecie, wiedział, że potrafi otoczyć Ewę opieką, oddałby za nią życie, ale pani Radziewiczowa milczała, a to mu wystarczyło.

– To chyba nie jest dobry pomysł – wymamrotał.

– Róbcie, co chcecie, ja i tak pojedę! – fuknęła Ewa.

– Moja panno, od kiedy ty masz głos decydujący w tak poważnej sprawie? – strofowała ją matka.

Nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji. Pani Maria zastanawiała się właśnie, czy ona sama również nie powinna zmienić miejsca zamieszkania, czy jej i dzieci nie może rykoszetem dotknąć sprawa Michała, który w zasadzie nie należał do rodziny, ale przecież tu go aresztowano. Powiodła wzrokiem po mieszkaniu: cztery łóżka, stół, szafa, kilka krzeseł. Wszystko cudze, tylko ubrania, pościel i kilka drobiazgów przywiezionych z Cieciorki należało do nich. Ona też czuła znużenie codziennością, która ją przerastała, jednak w chwili zagrożenia zdobyła się na trzeźwy osąd sytuacji:

– Najważniejsze, żebyś opuścił Ciechanów, bo cię jeszcze gotowi profilaktycznie zaaresztować.

– A my, co zrobimy? – z bólem w głosie zapytała Ewa.

– Pojedziemy do Płocka. Poczekamy tam na tatę. Przez cały czas mi się wydawało, że Ciechanów jest za daleko, ale wybór był oczywisty...

– Ze względu na mnie – smutno kiwając głową, powiedział Michał.

– Mam nadzieję, że nikt mi nie zabroni osiedlić się w Płocku, to inna gmina niż Gutowo.

Ewa była rozdarta. Pragnęła wyjechać z Michałem, bała się, że go straci, ale czuła też ból na myśl, że mogłaby sprzeciwić się matce, którą zostawiłaby samą z trzema młodszymi synami.

– Są wakacje, może na parę dni zajedziemy do Długołaki. O tej porze roku musi tam być pięknie! Zboża już dojrzewają... – Pani Maria westchnęła,

kontynuując myśl. Z jej twarzy zniknął ból, a w oczach pojawiło się rozmarzenie. – No, zbieraj się! A wiadomości wysyłaj do pana Pawlaka. On będzie znał mój adres w Płocku.

Z ciężkim sercem Michał włożył do plecaka kilka sztuk odzieży i drobiazgi osobiste, w tym szczoteczkę do zębów i mydło. Długo zastanawiał się, co wziąć, a co zostawić. Szczękał zębami ze zdenerwowania, bo przecież mogło się okazać, że spotka kogoś z komendy na stacji i cały plan weźmie w łeb. Jednocześnie rozpieierała go radość i duma, bo oto wkraczał w nowe, dorosłe życie. Ufając jego rozsądkowi, pani Maria nie dawała żadnych dobrych rad ani ostrzeżeń. Kiedy około ósmej wieczorem był gotowy do drogi, zrobiła mu na czole znak krzyża i wyszeptała, nie kryjąc łez:

– Niech cię Bóg prowadzi!

Michał chwycił jej rękę i niczym dłoń rodzonej matki ucałował z szacunkiem.

– Uważaj na siebie, chłopcze, boś jeszcze dziecko – powiedziała pani Radziewicz i złożyła na czole chłopaka matczyzny pocałunek.

– Może pani być spokojna! – zapewnił.

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na Ewę, która właśnie wkładała sweter.

– Odprowadzę cię! – oznajmiła.

Wydawało się naturalne, że chce bez świadków pożegnać ukochanego. Wyszli na podwórze, gdzie bracia Ewy nadal grali szmacianą piłką. Michał przytulił każdego z osobna, ale nie pozwolił im się odprowadzić.

Szli na dworzec w milczeniu. Był piękny letni wieczór i Ewa czułaby się najszczęśliwszą z kobiet, gdyby miała zgodę matki na to, co w nagłym przypływie niesubordynacji zaplanowała, i gdyby nie obawa, że w ostatniej chwili coś pójdzie nie tak. Szła na sztywnych nogach, potykając się raz po raz. Michał, sam niepewny, widząc jej zdenerwowanie, przytulił ją i co chwile całował.

– Nie martw się! – szeptał jej do ucha. – Wszystko będzie dobrze. Znajdę pracę, jakieś mieszkanie albo chociaż pokój i niedługo przyjadę.

Na dworcu siedziało sporo ludzi. Michał kupił bilet i wyszedł do Ewy, która została na zewnątrz. Usiedli na trawie, nieopodal dworca.

– Wracaj, twoja mama się niepokoi.

– Nigdzie nie wracam! – odpowiedziała twardo. – Jadę z tobą.

– Nie możesz! – zawołał ze strachem.

Nim zdążył ją przekonać, na stację wjechał potwornie zatłoczony pociąg. Zaledwie kilka osób wysiadło, reszta zaczęła się cisnąć do środka. Ewa, nie zważając na Michała, chwyciła za rękę jakiegoś mężczyznę, który pociągnął ją, pomagając wsiąść. Chwilę później pociąg ruszył.

Michał był przerażony. Jak wytłumaczy pani Marii, że nie porwał Ewy? Przecież będzie jej szukała, a póki nie dostanie jakiegokolwiek wiadomości, zapewne nie ruszy się z Ciechanowa. Tymczasem Ewa, jak gdyby nigdy nic, przytulona do niego, próbowała się zdrzemnąć.

Kwadrans przed siódmą rano pociąg dotarł wreszcie do Warszawy. Michał jeszcze nigdy nie był w stolicy, Ewa знаła ją trochę. Ale byli na Pradze. Mimo wiadomości, które docierały do Ciechanowa, że nie ma już Warszawy, że leży w gruzach, dziewczyna nie sądziła, że rzeczywistość tak bardzo ją przytłoczy, a Praga nie była przecież aż tak zniszczona jak lewobrzeżna część miasta. Niemniej i tu niektóre domy wyglądały niczym widma: bez dachów, bez okien, podziurawione kulami, osmalone ogniem z miotaczy, z poodbijanym tynkiem. Praga została wyzwolona niemal rok temu! Działały tu już szkoły, urzędy, kwitł handel. Wszędzie pełno było zaabsorbowanych swymi sprawami, śpieszących dokądś ludzi.

Dokąd myśmy przyjechali? Jak tu można żyć? – zastanawiała się w panice, trzymając kurczowo Michała za rękę. Wyrwana ze swego środowiska ledwie zdążyła przyzwyczaić się do Ciechanowa, teraz musiała przywyknąć do życia w wielkim, zrujnowanym mieście. To, co widziała, było niepojęte.

– Głodna jesteś?

– Nie... – odparła, bo nie wiedziała, czy to, co czuje, jest strachem, głodem czy zmęczeniem podróży. Bolały ją nogi i chętnie by usiadła, nie miała jednak odwagi się do tego przyznać.

– To idziemy! – zakomenderował i ruszyli za dużą grupą ludzi, którzy najprawdopodobniej podążali w kierunku centrum.

Zupełnie przypadkiem trafili na bazar Różyckiego. Handlowano tu niemal wszystkim. Można było również kupić gorące flaki lub pyzy wprost z owiniętych szmatami baniaków. W ten słoneczny lipcowy poranek pyzy ze smażoną cebulą zjedzone z cynowej miski ustawionej na kolanach wydały się Ewie niebiańskim daniem. Chwilę odpoczęli i z werwą ruszyli ku przeprawie

na drugą stronę Wisły. Mnóstwo ludzi przemierzało w obu kierunkach wąski drewniany most. Niemal każdy niósł spory tobołek lub ciągnął załadowany do granic możliwości dziecięcy wózek. Przeprawa, ułożona na stojących wzdłuż nurtu łodziach, chybotwała się, wzbudzając zrozumiały lęk. Równolegle w obie strony pływały łodzie i barki, przewożąc podróżnych, którzy mieli pieniądze.

W tym tłumie na pewno uda nam się zatrzeć za sobą ślady – myślała z nadzieją Ewa, chociaż widok lewego brzegu napawał ją obawą. Praga jeszcze przypominała miasto; została już odgruzowana i w miarę możliwości przywrócona do życia. Strona warszawska budziła wyłącznie strach. Oniemiała ze zgrozy i rozpaczki dziewczyna, kurczowo trzymając dłoń przyjaciela, zaczynała się martwić, czy zdołają gdziekolwiek znaleźć dla siebie choćby kątek.

Ulice już mniej więcej oczyszczono z gruzu, ale i tak dotarcie do Wilczej zajęło im kilka godzin. Raz czy drugi pobłądzili, kilkakrotnie zatrzymywali się, aby odpocząć, przysiadali na jakichś murkach i kupkach kamieni. Otaczało ich morze ruin, spomiędzy których sterczały czasem spalone kikuty drzew. Miasto cuchnęło obrzydliwie mieszaniną kurzu, pyłu i rozkładających się resztek.

Mimo niezwykle trudnych warunków do Warszawy coraz liczniej wracali jej dawni mieszkańcy, uporczywie czepiając się wątpliwej nadziei, że akurat ich dom ocalał. W tych nienormalnych warunkach trwało normalne życie. Przy nielicznych czynnych hydrantach gromadzili się ludzie z pojemnikami na wodę, inni na prowizorycznych stoiskach, a choćby i z ręki, próbowali coś sprzedać. Raz po raz przejechał jakiś wóz konny, riksza, rzadziej samochód czy motocykl.

I kiedy wreszcie Ewa i Michał znaleźli się pod wskazanym adresem, nie zdziwili się, widząc tu wysokie na kilka pięter rumowisko. Jednak wydawało się, że w suterenie ktoś mieszka. Z klatki schodowej jedyne ocalałe drzwi prowadziły do piwnicy. Przytrzymując się ścian, zeszli po schodach w gęstniejący mrok. Najpierw usłyszeli głośny kaszel, potem szuranie, znów kaszel, a kiedy ich oczy przywykły nieco do skąpego oświetlenia, ujrzeli dziwacznie ubraną staruszkę w szlafroku i chustce zawiązanej pod brodą.

– Czego? – zapytała obcesowo.

– Szukamy państwa Borzęckich – grzecznie powiedziała Ewa. – Mieszkali tutaj. To jest Wilcza siedem?

– Może jest, może nie, ale żadnych Borzęckich tu nie znajdziecie.

Kątem oka Michał zauważył, że Ewie zaczyna się trząść broda.

– Czy moglibyśmy poprosić o trochę wody? – zapytał uprzejmie.

– A co to ja nosiwoda jestem?! – warknęła staruszka. – Poszukajcie sobie studni na ulicy i pijcie, choćby i do rana. Nachodzą człowieka w biały dzień w jego własnym mieszkaniu i jeszcze im usługuj! – krzyknęła, wzruszyła ramionami i weszła w głąb pomieszczenia, znikając im z oczu.

Ewa i Michał odwrócili się ku schodom i zobaczyli wychylającą się zza zasłony korpulentną blondynkę z kubkiem w dłoni.

– Proszę, napijcie się. I wejdźcie, zapraszam! – Zrobiła uprzejmy gest w kierunku swojej części piwnicy.

Czując ogromne zmęczenie, weszli do środka.

– Nie dziwcie się starej. Chyba siedziała tu przez cały czas. Nie wiem, jakim cudem przetrwała, zima była sroga tego roku. Borzęckich nie ma od powstania. A wy to...? – zapytała kobieta.

– Jestem ich kuzynką – słabym głosem wyjaśniła Ewa.

– Szukamy mieszkania i pracy.

– Jesteście małżeństwem?

– Tak – powiedział Michał.

– Nie – zaprzeczyła Ewa.

– No, nieźle się zaczyna. – Mówiąc to, kobieta zauważyła, że Ewa zachwiała się, walcząc ze snem. – Zmęczeni po podróży?

– Przyjechaliśmy z... – Michał zawahał się – ...daleka.

– Całą noc staliśmy w pociągu.

– Macie tu kogoś poza Borzęckimi?

– Nie, ale poradzimy sobie. – Ewa próbowała zebrać siły.

– Muszę wyjść, a wy prześpijcie się tymczasem, tam, za kotarą jest łóżko. Wrócę pod wieczór, to pogadamy.

Zbyt zmęczeni, aby dziwić się nieoczekiwanej gościnności, Michał i Ewa położyli się w ubraniach na wskazanym łóżku i sami nie wiedząc kiedy, w półobjęci, zasnęli.

Kobieta wróciła po kilku godzinach. Czekali na nią zaniepokojeni. Dokąd teraz pójdą po nocy? Gospodyni tymczasem przyniosła kawałek chleba i marmoladę. Na prymusie zrobiła kawę zbożową, zapraszając ich do wspólnej kolacji.

– Jeśli chcielibyście tu zostać, na razie mogę wam odnajdąć jedną komórkę.

To prawie jak pokój, ma ze cztery metry. – Zachichotała. – I okno, ale zasypane.

– Pani też tu była przez cały czas? – łamiącym się głosem zapytała Ewa.

– Po powstaniu Niemcy próbowali wszystkich wygnać do Pruszkowa, chociaż trochę ludzi poukrywało się w ruinach... Wróciłam w lutym. Napijcie się likieru? – dodała z nagłym błyskiem w oku.

Zdjęła z półki małą butelkę i trzy kieliszki. Nalała do wszystkich.

– No! Raz nie zawsze. Łodzian jestem. Na pohybel naszym wrogom! To likier malinowy. Dobry, przedwojenny!

Ewa i Michał nieśmiało sięgnęli po kieliszki. Michał wypił „po męsku”, bo tak wypadało, Ewa jedynie umoczyła usta.

– Jutro wybieram się do Łodzi – powiedziała Łodzianka. – Mam tam metę na wełnę. Nie wrócę od razu, bo na wełnę jest popyt w Katowicach i może być niezłe przebicie. Jedna znajoma mówiła, że w Miechowie idzie tanio dostać słoninę, to pewnie mnie nie będzie ze trzy, cztery dni.

Widząc ich smętne miny, dodała szybko:

– Spadliście mi jak z nieba.

Leokadia Kopeć, z zawodu fryzjerka, podczas okupacji nieoczekiwanie odkryła w sobie żyłkę do interesu. Początki były skromne i oczywiście przypadkowe, ot, jakaś podróż do Siedlec, skąd pod płaszczem przywiozła parę kilo rąbanki. Szybko się jednak okazało, że zaskakująco dobrze jak na fryzjerkę potrafi kojarzyć fakty, ma trochę znajomości, a jej klienci wielkie potrzeby. Z gotówką bywało u nich krucho, jednak mimo ciężkich czasów wielu nadal posiadało zapasy złota, porcelanę i dzieła sztuki, których wartość systematycznie spadała.

Łodzianka zdziwiła się, widząc, za ile może sprzedać przeschumowane ze wsi mięso. Etola z lisa w zamian za kilogram schabu? Czemu nie? Etoli z lisa zjeść się nie da. W kamienicy przy Wilczej 7 mieszkało kilka jej klientek, w okolicy kilka następnych, te znów miały znajome i przyjaciółki. Podaż nie nadążała za popytem. W krótkim czasie Łodzianka zgromadziła tak wiele gotówki, eleganckich strojów i kosztowności, że musiała znaleźć osobne miejsce na ich przechowywanie. Na nazwisko kochanka, niemieckiego oficera wysokiej rangi, wynajęła dwa mieszkania przy Kruczej i Mokotowskiej, gdzie gromadziła fanty, a sporadyczne zadania zlecane jej przez podziemie i hojne

datki na ten cel dawały poczucie bezpieczeństwa.

W 1940 roku nie jeździła już sama na wieś, miała od tego niemieckich przyjaciół. Ryzyko opłacało się wszystkim. Teraz jedynym jej zmartwieniem była zamiana fantów na gotówkę. To nie szło już tak łatwo jak pokątna sprzedaż żywności, ale nadal byli w Warszawie ludzie z pieniędzmi. Oczywiście przede wszystkim Niemcy, ale też trochę Polaków. W obu mieszkaniach, które Lodzia nazywała salonami, raz na kwartał odbywały się aukcje zgromadzonych dóbr, gdzie po śmiesznie niskich cenach można było nabyć interesujące kolekcjonerskie cacka.

Dwa lata później Lodzia była już posiadaczką obu mieszkań. W jednym urządziła nawet klub dla dżentelmenów. Aby nie wzbudzać ludzkiej zawiści, z pozoru nadal żyła skromnie i trudniła się fryzjerstwem, ale coraz rzadziej bywała w pracy. Cztery lata po wybuchu wojny chętnie dałaby na mszę, aby ta potrwała jeszcze trochę, bo namierzyła kamienicę przy Marszałkowskiej, którą, licząc na swoje szczęście, zamierzała wkrótce nabyć. Jednak Niemcy przegrywali właśnie na froncie wschodnim, więc nie zdążyła. Potem wybuchło powstanie i dorobek kilku lat pracy obrócił się w perzynę.

Dzięki Bogu umiejętności, które odkryła przypadkiem podczas okupacji, nie dały o sobie zapomnieć. Wprost z obozu w Pruszkowie, dokąd Niemcy zapędzili warszawiaków po powstaniu, wróciła do swego matecznika przy Wilczej. Rezydowała tu już dozorczyń, stara Domagałowa. Lodzia podejrzewała, że Domagałowa, siedząc w piwnicy, musiała przeoczyć ewakuację, i dokwaterowała się do niej za kilka obietnic. Mieszkały razem od marca, kiedy to niegdysiejsza marszandka zaczęła odbudowywać swoje małe imperium. Już miała na oku dwupokojowe mieszkanie przy Marszałkowskiej, gdzie zamierzała składać fanty. W zrujnowanym mieście z dnia na dzień przybywało ludzi i otwierało się nieograniczone pole popytu. Wystarczyło stanąć na ulicy z towarem w ręku.

Trzeba ruszyć w Polskę! – myślała. Ale jak odejść, zostawiając starą na takiej powierzchni? Owszem, swoją część piwnicy zamykała na kłódkę, ale wciąż szukała kogoś, kto by podnajął lokal, wynagradzając jej trudy urzędzenia i pozwalając na nim zarobić.

Ewa i Michał pojawili się w odpowiednim momencie. Dwójka dzieciaków z dobrych domów, bez grosza przy duszy. Zagubionych i przerażonych. Lodzia już marzyła, jak ich sobie wychowa i przysposobi do pracy w nowych warunkach. Na razie nie zdradzała się ze swoimi planami. Niech posiedzą,

odpoczną, zobaczą to i owo. A kiedy ona wróci z Miechowa, pokaże im, jak się robi interesy. Oczywiście nie mieli o tym pojęcia, ale głód już niejednego przymusił do pracy. Trochę martwiła się ogłoszonym w maju częściowym poborem do wojska, który obejmował też rocznik Michała, ale nie takie rzeczy udawało się jej załatwić.

Chłopak wydawał się pojętniejszy od dziewczyny. Dorosły, zakochany, opiekuńczy, rwał się, aby wziąć na siebie odpowiedzialność. A ona, dworkowa panienska, patrzyła na wszystko szeroko otwartymi oczyma. Trochę jej brakowało werwy potrzebnej w handlu. Pewnie czuła nawet obrzydzenie. Nie do takiej roli się szykowała. Na co liczyła, przyjeżdżając akurat do Warszawy?

– Macie jakieś plany na dziś? – zagadnęła ich z rana.

– Chyba nie... – z miną wyrażającą bezradność przyznał Michał.

– Kiedy wrócę, mogłabym nauczyć cię czesania – powiedziała do Ewy.

– Czesania? – Dziewczyna jakby nie rozumiała.

– Fryzjerka to bardzo popłatny zawód. Ale może być też manicure.

– Ja bym się chciała uczyć... – cicho odparła Ewa. – Ale w szkole. Muszę zdać maturę.

– Są wakacje. Zamierzasz przesiedzieć w tej piwnicy do września? A skąd weźmiesz na książki, zeszyty, na zimowe ubrania, na buty?

Ewa z trudem powstrzymywała łzy. Do tej pory nie zaprzętała sobie głowy takimi tematami. Co prawda żyło im się dość biednie w Ciechanowie, pomagała nawet trochę w sklepiku, ale to matka podejmowała wszystkie decyzje i o wszystko się martwiła. Że trzeba będzie na siebie pracować, Ewa nawet nie pomyślała. Ucieczka z Ciechanowa była piękną romantyczną przygodą. Trochę niewygodną i niebezpieczną, ale nie mogła się przecież zakończyć nauką fryzjerstwa!

– Dasz radę, to nietrudne – uspokajała Lodzia.

– To chyba nie dla mnie... – nieśmiało próbowała oponować Ewa.

– Ja pójdę do pracy! Choćby do odgruzowywania, na pewno potrzeba wielu ludzi, widziałem plakaty na mieście!

– A tak, wielu robotników potrzeba do noszenia cegieł, ale to akurat ostatnia rzecz, którą taki inteligentny chłopak powinien robić! Już lepiej się nająć za riksarza, przynajmniej rąk nie pobrudzisz.

Lodzia wyjechała na trzy dni, zostawiając ich samych. Nie mieli żadnych obowiązków i mogli je spędzić, jak chcieli, ale kiedy tylko Michał próbował zbliżyć się do Ewy, choćby po to, aby ją przytulić, ona sztywniała i odsuwała się. Zaproponował więc, aby wyszli na miasto. Zostało jeszcze trochę pieniędzy ze zwitka, który mu wcisnął Pawlak, i Michał rozglądał się za czymś do jedzenia. Wreszcie pod kościołem Świętego Aleksandra zobaczyli kolejkę do babiny z koszem, która sprzedawała chleb. Chłopak obawiał się, czy wystarczy dla nich, ale udało mu się kupić pół bochenka. Chleb cudownie pachniał! Chciało się go rwać, wkładać do ust i długo żuć. Ale Ewa pokręciła głową.

– Nie jestem głodna.

– Musisz coś zjeść! W domu nic więcej nie mamy – powiedział, a ona tylko wzruszyła ramionami.

– W domu... – powtórzyła z pogardą.

Spacer po morzu gruzów napełnił ją jeszcze większym smutkiem. Szła zasepiona, patrzyła dookoła z rezygnacją. Wszędzie ruiny, krzyże, Warszawa to jeden wielki cmentarz. Ewa nie miała sił, aby zmierzyć się z wyzwaniem i tu właśnie zacząć dorosłe życie. Zaczęła żałować, że nie została w Ciechanowie. Teraz nawet nie wie, gdzie szukać matki i braci. Michał szedł obok i patrzył, jak bije się z myślami.

– Zamilkłaś.

Nie wiedziała, jak mu to wszystko wyznać. Krępowwała się, pełna lęku, że ją wyśmieje, nazwie rozkapryszoną panienką, podejrzewała, że to będzie koniec ich miłości. A on, sądząc, że zrozumiał targające nią lęki, spojrzał jej w oczy i powiedział poważnie:

– Nie bój się, zarobię na nas oboje. Nie pozwolę ci zostać fryzjerką!

Zatrzymali się na jakimś rogu. Wziął ją za rękę, był tak śmiertelnie poważny!

– Ja się nie boję pracy – powiedziała tonem usprawiedliwienia i zagryzła wargi.

– Oczywiście, że nie! Ale przede wszystkim musisz się uczyć.

Usiadła na krawężniku i ukryła twarz w dłoniach. Michał kucnął obok i przytulił ją do siebie. Czuł, jak wstrząsają nią łkania.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał.

– Ja... Nie dam rady... – szeptała przez łzy. – Nie dam rady...

Zajezierzyce, sierpień 2016

Od kiedy Iga Toroszyn postanowiła produkować zdrową żywność, jej dobie brakowało godzin. Pieniądze otrzymane w spadku po Adamie, dziadku Xaviera, zainwestowali, dokupując kilkanaście hektarów wokół pałacu. Nie był to najlepszy interes, bo chłopci, wietrząc pismo nosem, żądali niebotycznych kwot za każdy marny kawałek ziemi, a po parcelacji była ona straszliwie poszatkowana. Jednak podczas jego ostatniej wizyty w Zajezierzycach w 2009 roku obiecali Adamowi, że postarają się skupić jak największą obszar dawnego majątku Zajezierskich i jeśli tylko ktokolwiek chciał we wsi sprzedać grunt, wiedział, że pałac da największą.

Ziemia nie mogła leżeć odłogiem, zdawali sobie z tego sprawę, ale też żadne z nich nie znało się na rolnictwie, a to oznaczało konieczność rozpoczęcia dodatkowej działalności. Postawili na warzywa, które wykorzystywali w hotelu. Produkcja powoli zaczęła przynosić zyski. Ale warzyw było dla nich za dużo, musieli jeszcze zacząć je przerabiać. Mieli już stałych odbiorców w ekskluzywnych delikatesach, gdzie marka „Pałacowa Spiżarnia” bardzo dobrze się przyjęła. Klienci cenili smak i jakość, chętnie płacąc za ekologiczne przetwory nawet trzy razy więcej niż za zwykłe dżemy, sałatki czy kompoty. Iga rozglądała się za lokalem w Płocku, aby rozwijać sprzedaż, a to znowu wymagało przyjęcia do pracy nowych ludzi. Tych było jak na lekarstwo, bo albo wyjechali, albo rozwijali własne firmy. Na rozmowy kwalifikacyjne przychodzili sami nieudacznicy z wymaganiami, jakby byli absolwentami Harvardu.

– Mały biznes – mały problem, duży biznes – duży problem – skwitował to Xavier. – Ale nie martw się, w końcu kogoś znajdziesz.

– Nie chcę znaleźć „kogoś”! Chcę mieć najlepsze ekspedientki w Płocku! Problem polega na tym, że ludzie nie szukają pracy! Gdzie to bezrobocie?!

– Może za mało im proponujesz?

– To tylko ekspedientki, mam im dać dyrektorską pensję? Na takie

stanowisko nie przyjdą dziewczyny z ambicjami. Rotacja na pewno będzie duża.

– Więc może na razie otworzymy sklep w Gutowie, będzie łatwiej przypilnować. Chyba widziałem jakiś wolny lokal przy rynku.

– Raczej w ogóle zrezygnuję ze sprzedaży detalicznej. W Gutowie mamy zbyt mało zamożnych klientów. Ludzie lecą po zakupy do Biedronki, do Lidla, kto z nich da piętnaście złotych za słoik dżemu o krótkim terminie przydatności? Będą się pukali w czoło i gadali na mieście, że nam się w głowach poprzewracało.

– Potrzebujesz asystentki – trzeźwo stwierdził Xavier.

– To jest kolejny problem. Gdzie taką znajdę?

– Gutowo to nie jest jakaś dziura, znajdziemy kogoś. A jeśli nie tu, to w Płocku.

– Jestem taka zmęczona! – Iga ciężko westchnęła.

– Bo za dużo na siebie bierzesz. Zwolnij trochę.

– Jak mogę zwolnić, jeśli trzeba przerobić śliwki, zwieźć jabłka. I ciągle ktoś mi jeszcze przynosi grzyby, to jak ich nie kupić?! Wszyscy lubią pierogi z kapustą i grzybami, a suszone grzyby są na wagę złota, tylko kto je przebierze i wysuszy?!

– Nie rozpędzaj się tak. Chciałbym cię zabrać na kilkudniowy urlop. Skoczylibyśmy może do Anglii? Zresztą dokądkolwiek.

– Nie ma mowy! Za dwa tygodnie są Dni Gutowa, weekend największego ruchu, nie wyobrażam sobie, żeby miało mnie wtedy nie być! Zresztą już obiecałam Karolinie, że pomogę jej w organizacji zjazdu absolwentów naszego liceum.

– To może sam wyjadę... Albo wezmę dzieci... – Zniechęcony Xavier pokręcił nosem i poszedł nalać sobie drinka.

– Ja też poproszę! – krzyknęła z kuchni Iga, ale nim zdążyła do niego dołączyć, ktoś zapukał. – O wilku mowa! – powiedziała, widząc na progu swą stryjeczną siostrę, Karolinę Hryć-Tasak. – Czego się napijesz? – zapytała.

– Sama nie wiem, może kawy? I tak spać nie mogę, wszystko mi się rozłazi! Przepraszam, że tak z wieczora, ale do tej pory siedziałam w szkole. Wszystko naraz: wystawa na Dni Gutowa, układamy plan lekcji, co roku ten sam problem, a tu jeszcze ten zjazd... Po co mi to było?! – Westchnęła i ciężko usiadła na kanapie. – Masz może coś do jedzenia? Od rana nic w ustach nie miałam.

- Iga sięgnęła po telefon i zamówiła kolację.
- Zaraz przyniosą jakąś sałatkę.
 - Mieszkanie w hotelu ma swoje plusy, sięgasz po telefon i zaraz ci kuchnia coś zaserwuje. Ja w lodówce mam tylko światło.
 - My podobnie. – Iga się roześmiała.
 - A jak twój mąż to znosi? – zainteresował się Xavier, widząc, że mieliby z Bartkiem wspólne tematy.
 - Wytrzymuje jakoś. Wie, że aby uciszyć plotki na temat mojej nominacji na dyrektora liceum, muszę się starać podwójnie, inaczej ludzie będą gadać, że tatuś mi ją załatwił. Gdybym mieszkała gdzie indziej, choćby w Płocku, nikt by się mnie nie czepiał. A tak muszę cierpieć, bo mój ojciec był dyrektorem tego liceum, a teraz jest posłem. I co z tego? Liczyć powinno się tylko moje zaangażowanie!
 - W końcu doczekasz się uznania! – Iga pocieszała kuzynkę.
 - Może nawet odznaczenia? – zażartował Xavier.
 - Posłuchajcie, przyjechałam, zamiast dzwonić, żebyście mi powiedzieli wprost, na co z waszej strony mogę liczyć. Chciałabym zarezerwować cały hotel, ale nie wiem, jak będzie z pieniędzmi. Na razie mamy niewiele zgłoszeń. Trwają wakacje, więc nic dziwnego, zjazd absolwentów jest dopiero pod koniec października. No i myślę, że bal też się u was odbędzie, bo gdzie indziej? Tylko znowu te ceny... Wasze są niebotyczne, nie da się ich chociaż trochę obniżyć? Też jesteś absolwentką naszego liceum...
- Dlaczego mielibyśmy nagle obniżać ceny? – niepokoił się Xavier, kiedy Karolina wreszcie pojechała do domu, uzyskując wcześniej zapewnienie Igi, że ta zrobi, co w jej mocy, żeby maksymalnie zejść z cen. – Październik to bardzo dobry miesiąc, ciągle trwają wesela, na pewno nie masz rezerwacji na tę sobotę?
- Nie pamiętam – skłamała Iga. – Zresztą mamy dwie sale.
 - Jak ich wszystkich zamierzasz pomieścić?! Pałac nie jest z gumy! Masz zbyt miękkie serce dla swojej rodziny. Traktują hotel, jakby był naszym domem. Od kiedy pamiętam, urządzają tu wszystkie chrzciny, komunie, osiemnastki, zaręczyny, wesela i konsolacje. Jak długo chcesz być dobrą ciocią? Kto z nich dał coś tobie?
 - To moja rodzina i moja sprawa!

– O nie, nie, moja droga! Rodzina jest też w końcu moja. I powiem szczerze, że mam już dość tego wykorzystywania nas. W recepcji jest cennik i od dziś ich obowiązuje. Możesz im dać piętnastoprocentowy rabat, na więcej się nie zgodzę. Kiedy Celina odeszła, te sępy nie poczekały nawet na koniec żałoby, tylko szarpały, ile wlezie. Bez kredytu twój ojciec nie dałby rady. Czy ktoś pomyślał, ile pracy kosztowało go spłacenie rodzeństwa? Ile dołożył do odsetek? I co z tego, że twoja babka zapisała wszystko na niego i na ciebie? A teraz ty chcesz być dla nich taka hojna, jakby nic od was nie dostali. Też mamy kredyt i jeszcze wiele lat spłacania przed nami. A kiedy prosiłaś ich o podżyrowanie, to nikt się nie znalazł. Dlatego powiedz mi, proszę, co to za dług wdzięczności wobec nich spłacasz? Kiedy go zaciągnęłaś, bo chyba nie po naszym ślubie!

Iga westchnęła.

– Nie wracajmy do tego – powiedziała cicho. – Zbyt często moja rodzina jest przyczyną naszych kłótni.

– To nie jest kłótnia, tylko rozmowa. Dość ostra w tonie, przyznaję, ale musisz w końcu zacząć im odmawiać, za dużo nas kosztują.

– Masz rację – mruknęła.

Czuła się jak zbity pies.

Warszawa, lipiec 1945

Ewa i Michał mieli przed sobą długą drogę powrotną na dworzec. Szli w milczeniu, nie rozglądając się, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Michał żałował, że nie odwiódł Ewy od ucieczki z Ciechanowa. To było głupie i dziecinne, niepotrzebnie jej uległ. Teraz musiał ją odwiedzić do matki, spojrzeć pani Radziejwicz w oczy i odpowiedzieć na niewygodne pytania. Kiedy wsiadali do pociągu, miał nadzieję, że sprawy przybiorą inny obrót. Nie przypuszczał, że przyjdzie im zamieszkać w ruinach, liczył na rodzinę Radziejwiczów. Czuł się winny, bo życie wystawiło go na próbę, której nie podołał. W tych warunkach, jeśli zostanie sam, będzie mu łatwiej. Niewiele potrzebuje, może ciężko pracować i wkrótce znów stanie się godny Ewy. Pani Maria powinna to zrozumieć. Ale zawiódł też tę Łodź, zostawiając jej mieszkanie, i nie wiadomo, czy ktoś się tam podczas jej nieobecności nie wprowadzi, pozbawiając ją dachu nad głową. Tak się odwdzięczył za dobre serce.

Ewa też czuła się, jakby dostała w twarz. Ale przecież nikt jej nie spoliczkował. Nikt nawet nie powiedział złego słowa. Nie wiadomo dlaczego, zobaczywszy to morze ruin, szła na Wilczą, uporczywie myśląc, że dom kuzynostwa stoi cały, a oni w swoim niezniszczonym mieszkaniu tylko na nią czekają, jakby w Warszawie zostało w nienaruszonym stanie to wszystko, co wojna jej odebrała. I dopiero kiedy dotarli z Michałem na miejsce, kiedy przespaała trzy noce na śmierdzącym potem, zbitym z desek wyrku, kiedy zaproponowano jej pracę fryzjerki i gdy naocznie przekonała się, że w Warszawie jest po stokroć gorzej niż w Ciechanowie, uznała, że jeszcze nie chce być dorosła. Teraz dopiero, aby złagodzić własny wstyd, przypomniała sobie o matce, która na pewno odchodzi od zmysłów. Dlatego Ewa wmawiała sobie, że to z jej powodu zmienia plany.

– Pojadę sama – powiedziała nagle.

– Nie ma mowy! – obruszył się Michał. – Odwiozę cię.

– Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś ci się stanie! – powiedziała z emfazą i dopiero teraz spojrzała mu w oczy. Mijali właśnie zrujnowany kościół Świętego Aleksandra.

Chciał odpowiedzieć, ale tylko westchnął. Nie tak wyobrażał sobie start w dorosłe życie. Cóż, sam jest sobie winien. To było głupie. Potwornie głupie.

Na pociąg czekali znów kilka godzin, potem głodni i zmęczeni tłoczyli się w niemiłosiernie zapchanym wagonie. Do Ciechanowa udało im się dotrzeć przed wieczorem. Miało to swoje dobre strony, może pod osłoną nocy nie natkną się na nikogo znajomego? Rzeczywiście, bezpiecznie dotarli do zajmowanego przez rodzinę Radziewiczów jeszcze kilka dni temu mieszkania. Jednak ani pani Marii, ani braci Ewy tam nie zastali.

– Widziałem, jak wsiadają na furę, ale nie mówili, dokąd jadą – powiedział dzieciak sąsiadów.

– Do Płocka? – zastanawiała się Ewa.

– Raczej do Długoleki, jeśli dobrze pamiętam – stwierdził Michał.

– To co robimy?

– Idziemy.

– Teraz? Nocą?

– Najwyżej prześpimy się w jakimś stogu siana.

– Jestem zmęczona, muszę odpocząć.

– Odpoczniesz później! – powiedział niespodziewanie ostrym tonem i ruszył, nie oglądając się na nią.

Ewa, powstrzymując łzy, dreptała za nim. Nie tak wyglądało szczęście, którego spodziewała się przy nim zaznać.

Zapadła noc, a oni nadal szli drogą na Płock. Michał wypatrywał jakiejś furmanki lub samochodu, który za niewielką opłatą zabierze ich w kierunku Gutowa, podjechali nawet ze dwa razy, jednak niezbyt daleko. Wreszcie przed dziesiątą, kiedy Ewa płakała już ze zmęczenia, udało im się wsiąść na wóz wiozący drewno. Niezbyt wygodnie po północy dotarli do Długoleki.

Zrobił się wielki rozgardiasz, kiedy Michał, nic sobie nie robiąc z pilnującego obejście spuszczonego o tej porze psa, przekroczył furtkę, a potem mocno zapukał w okno.

– Otwórzcie, to ja, Michał! – zawołał.

– Matko Boska, panie Pawlak! To dzieci, dzieci przyjechały! – usłyszeli

uradowany głos Marii Radziewicz, która dopinała sweter włożony na koszulę nocną.

Po przywitaniach, uściskach i łzach usiedli przy stole w kuchni.

– A tobie to się, moja panno, niezły wygawor należy! – powiedział surowo gospodarz. – Kto to widział, żeby matkę na takie nerwy narażać.

Pani Maria powstrzymała się od awantury, za co i Michał, i Ewa byli jej nieskończenie wdzięczni.

– A teraz mówcie: co tam w Warszawie?

Na opowiadaniach zeszło im do świtu. Dopiero wtedy wszyscy oprócz gospodarza i Janiukowej położyli się spać. Michał obudził się pierwszy. Szybko wstał, aby przed odjazdem jeszcze porozmawiać z Pawlakiem.

– Chciałbym zostać, ale...

Zanim zdołał skończyć, Pawlak, klepiąc go po ramieniu, powiedział:

– Nie masz tu co robić. I niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

– Zatrzymam się na Wilczej, a jesienią spróbuję pójść do szkoły. Ta kobieta... Łodzianka... Pomoże mi.

– Potrzebna ci ona, ta... Łodzianka! – Janiukowa skrzywiła się z niesmakiem. – Nie dość ci Ewki? I ta Stefcia znów tu była. Ciągłe o ciebie pyta, jak oczadziła. Coś ty jej zadał, pojąć nie sposób.

– Co to za jedna? – zdziwił się Michał.

– Dziewka folwarczna z Cieciorzki, wciąż się o ciebie dopytuje. Rozamorzona czy co?

Michał tylko wzruszył ramionami. Szkoda mu było czasu na dyskusję o folwarcznej dziewczynie. Nawet jej sobie nie przypominał.

Gutowo, sierpień 2016

Dorósł, a ty chcesz nadal sprawować nad nim kontrolę. Poluzuj mu trochę, w końcu ma już dwadzieścia lat... – powiedział Waldemar.

– Dobrze wiesz, że nie chodzi o wiek, tylko o zasady. Gdyby powiedział, że wróci późno, to byłoby co innego!

– Też byś się denerwowała. Zrozum, on kiedyś musi dojrzeć.

– Ty to nazywasz dojrzalszością?! To jest zwyczajne gówniarstwo! Znów specjalnie nie naładował telefonu, żebym się musiała denerwować! Tak wygląda według ciebie dorosłość?

Waldemar Hryć nie zamierzał kłócić się z żoną, a już zwłaszcza nie chciał dolewać oliwy do ognia. W zasadzie myślał tak samo, on też się martwił. Niepokoiły go dziwne objawy zachowania Zbyszka, który nagle zaczął o pewnych rzeczach zapominać, nie dotrzymywał danego słowa, spóźniał się, zamyślał. W pracy również nie był tak skupiony jak dawniej. Nawet on to zauważył, choć kiepski z niego psycholog. Kilkakrotnie próbował syna nagabywać o przyczynę owego rozkojarzenia, ale Zbyszek stanowczo twierdził, że ojciec się myli. Nic się nie zmieniło, jest taki jak zawsze. Ale nie był taki sam. Wyglądał, jakby go coś bardzo trapiło. Co się mogło wydarzyć?

– Na dodatek zaczął kłamać! – ciągnęła Helena. – Przecież on nigdy nie kłamał! To było takie dobre dziecko. Co się z nim dzieje?!

– Skąd wiesz? – zaniepokoił się Hryć. – Przyłapałaś go na czymś?

– Intuicja mi podpowiada.

– Może jest po prostu zakochany?

– Też wymyślił! – prychnęła Helena. – Kiedy wróci, sprawdzisz, czy jest trzeźwy i... No wiesz... Trzeba mu przetrząsnąć kieszenie.

Waldemar Hryć odwrócił głowę, żeby dokładniej przyjrzeć się żonie.

– Mówisz poważnie?!

– Najpoważniej w świecie. I porozmawiaj z nim jutro, bo na pewno się spóźni do pracy.

– Ja chyba też, jeśli wreszcie nie zasnę.

Dochodziła pierwsza w nocy, Hryć dawno już spał, kiedy Helena usłyszała samochód parkujący na podwórzu. Szybko zgasiła światło i czekała. Zbyszek starał się zachowywać bardzo cicho, wszedł po schodach, zaglądał do garnków, które zostawiła na kuchni, coś jadł. Potem poszedł do swojego pokoju i nie wchodząc do łazienki, zgasił światło.

Powtarzało się to przez kilka dni. Wreszcie Helena nie wytrzymała i przed otwarciem cukierni poszła do sąsiadów. Drzwi otworzyła jej sąsiadka, Magda Malczyk.

– Ja tylko na chwilę. Nie chcę przeszkadzać – usprawiedliwiała się Helena.
– Wiem, że zaraz otwierasz księgarnię.

– Wejź – smutnym głosem powiedziała Magda. – Chyba musimy porozmawiać.

Helenę przestraszył jej ton.

– Jest Kasia? – zapytała, rozglądając się.

– Wyjechała do mojej siostry. Czuje się przygnębiona tym wszystkim. Myśli o kontynuowaniu nauki w Warszawie.

– Ale co się stało?!

Zdumiona Magdalena Malczyk spojrzała na Helenę.

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Kasia jest w...?

– W ciąży?! No skąd! Oni ze sobą nie...

– Jesteś pewna?

Helena nie była.

– Znam moją córkę, mamy dobre relacje. Często mi się zwierza i powiedziała, że oczywiście Zbyszek chciał, ale ona nie była jeszcze gotowa.

– Bogu niech będą dzięki! – odetchnęła Helena. – Więc o co poszło?

– On ją rzucił.

– Mój syn?! Rzucił Kasię?! Co za idiota! Gdzie on znajdzie taką cudowną dziewczynę? A ja się bałam, że to Kasia jego rzuci... Bo wiesz, no szczerze, zastanawiałam się czasem, co ona w nim widzi. I co teraz będzie? – Helena się zasępiła.

– Nie wiem. Może jej przejdzie. Nie wyobrażam sobie, że nie mieszka

z nami, ale rozumiem, że może chwilowo nie chcesz wracać tu, gdzie będzie go często widywała.

Helena stała porażona wieściami. Zbynio? Jej Zbynio potrafił tak skrzywdzić Kasię? To słodkie dziewczę? Jak to się stało?! I choć miała zaraz otwierać cukiernię, zamaszystym krokiem poszła wprost do zakładu.

– Zbyszek! – zawołała, ledwie stanąwszy w drzwiach. – Zbyszek, natychmiast na górę! – krzyknęła raz jeszcze i ruszyła do domu.

Chyba było w jej tonie coś groźnego, bo chociaż podczas zmiany nie wolno było opuszczać stanowiska pracy, Waldemar Hryć kiwnął synowi głową, pozwalając mu odejść.

Tymczasem Helena wypita już pół szklanki wody i czekała na Zbyszka, chodząc w tę i z powrotem po kuchni.

– Wiem o wszystkim! – rzuciła oskarżycielsko, kiedy wszedł z niepewną miną.

– Co? – Trochę się przestraszył.

– Byłam u Malczyków.

Na tę wieść napięcie na twarzy chłopaka nieco zelzało. Nic jednak nie powiedział.

– Zrobiłeś Kasi krzywdę.

Nadal milczał. Wpatrzony w podłogę, nie zamierzał się bronić.

– Skrzywdziłeś ją i naraziłeś naszą znajomość z Malczykami. To najbliżsi sąsiedzi, nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji własnych czynów?! Masz się od dziś codziennie stawiać o szóstej wieczorem w domu! Żadnych wyjść, żadnych powrotów po północy! – Helena prawie krzyczała. – I masz odbierać nasze telefony!

– No chyba żartujesz! Nie jestem twoją własnością – powiedział tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszała. – Będę przychodził, o której będę chciał. Jestem już dorosły.

Opanowała wzburzenie. Zatrzymała rękę, która aż ją świerzbiła, aby wycelować w jego policzek. Spojrzała tylko przez okno, zamrugała powiekami i nie patrząc mu w oczy, powiedziała cicho:

– Wracaj do pracy.

A więc tak wygląda wchodzenie w dorosłość? Aż do dziś nie miała pojęcia, że ją to kiedykolwiek spotka, że będzie jej dotyczyło. Że sprawi aż taki ból, bo

nagle okaże się, że dziecko, o którym wiedziała wszystko, jest dorosłym, niemal obcym człowiekiem. Że bez liczenia się z jej zdaniem podejmuje własne decyzje zmierzające do nieznanych jej celów. Najchętniej natychmiast porozmawiałaby o tym z mężem, ale Zbyszek przecież domyśliłby się, dlaczego łamiąc wszelkie zasady, spotykają się w połowie zmiany. Choć wiele ją to kosztowało, spokojnie wydała dyspozycje Ukraince Nastce, która właśnie przyszła. Dochodziła dziesiąta, czas otwierać cukiernię.

Warszawa, sierpień 2016

Był pogodny wieczór. Monika Grochowska-Adams wyszła ze swego mieszkania przy Ogrodzie Saskim. Chciała zjeść kolację w jednym z ogródków przy Nowym Świecie. Apartament, który kupili z Fredem kilka lat temu, aby mieć się gdzie zatrzymać w Warszawie, kiedy akurat wpadali do Polski, był gustownie i funkcjonalnie urządzony, miał też kompletnie wyposażoną kuchnię, ale Monika rzadko robiła jakieś zapasy poza owocami, kawą, wodą, biszkoptami i czekoladą. Przylatywała zawsze na krótko, tydzień, góra dwa, jej dni były wypełnione po brzegi spotkaniami i pracą przy komputerze, na dodatek nie lubiła gotować. Czas spędzony w kuchni i na czynnościach domowych uważała za stracony. Nie potrafiła zrozumieć kobiet, zafascynowanych przepisami na domowe ciasta, sposobami wywabiania plam, pozbycia się moli z szafy czy muszek owocówek z kuchni. Prace zwane w Ameryce DIY, czyli zrób to sam, również w Polsce stały się szalenie modne, ale ona wolała skupić się na tym, co umiała lepiej niż inni i w czym odniosła sukces, a pieczenie ciast zostawić kolejnym Meksykankom, Portorykankom, Afroamerykankom, wreszcie Rumunkom czy Ukrainkom, które zatrudniała i które zawsze okazywały się w tym lepsze od niej.

Tak było w Nowym Jorku, kiedy zaś przyjeżdżała do Warszawy, korzystała z licznych barów i restauracji. Na szczęście nie odbiegały już jakością od amerykańskich. A gdy miała ochotę zostać dłużej w łóżku, konsjerż robił zakupy i przynosił z piekarni jeszcze ciepłe rogaliki i gazety z kiosku. Bo jeśli chodzi o papier, Monika nie dotrzymywała kroku nowym czasom. Kochała papierowe gazety, papierowe książki, notesy, kalendarze. Choć biegle posługiwała się klawiaturą, notatki zawsze robiła w papierowym notesie, pisała na kartkach, a dopiero potem przenosiła gotowy tekst do komputera. W jej wieku i z jej pozycją mogła sobie na to pozwolić.

Mijała właśnie fontannę w Ogrodzie Saskim, kiedy poczuła wibrowanie komórki. Wyjęła telefon z torby.

– Halo?
– Czy mam przyjemność z panią Moniką Grochowską-Adams?
– Tak, to ja, słucham.
– Nazywam się Karolina Hryć-Tasak, jestem dyrektorem liceum imienia Norwida w Gutowie i chciałabym panią serdecznie zaprosić na III Zjazd Absolwentów, który odbędzie się pod koniec października. Organizatorzy i na pewno wszyscy uczestnicy byłiby zaszczytzeni, mogąc panią poznać. Nasze miasto nie ma zbyt wielu wybitnych postaci.

Monika zastanawiała się, co odpowiedzieć. Była już przecież w Gutowie, kto chciał, przyszedł na jej spotkanie, ale nagle przypomniała sobie Jolkę, Elę, Lilkę, Teresę oraz resztę dziewczyn, które rozpierzchły się po świecie i których nigdy po maturze nie widziała.

– A kiedy dokładnie to będzie?
– Dwudziestego dziewiątego października.
– Muszę sprawdzić w kalendarzu. Na razie nie mogę niczego obiecać. Moje życie rozdarte jest między Polskę i Stany Zjednoczone, dużo pracuję, czasem to wymaga trudnych wyborów – powiedziała, przy okazji myśląc, że inny sławny absolwent, były dyrektor szkoły, poseł Hryć, zapewne ojciec jej rozmówczyni, nie jest najlepszą rekomendacją zjazdu.

– Najważniejsze, że pani nie odmówiła! – zawołała z entuzjazmem Karolina.
– A czy wobec tego mogłabym mieć jeszcze jedną prośbę?

Chyba nie chce się wstawić za tatusiem? – przemknęło przez myśl Monice.
– Słucham.

– Prosimy znaczniejszych absolwentów o napisanie krótkiego wspomnienia związanego z naszą szkołą. Nosimy się z zamiarem wydania pamiątkowej publikacji. Czy zechciałaby pani coś dla nas napisać?

– Pomyślę o tym.
– Dziękuję i jeszcze raz serdecznie zapraszam! Bardzo liczymy na pani obecność!

Monika wyłączyła komórkę i zamyśliła się.

Ciekawe, skąd pani dyrektor ma mój telefon, czyżby od tatusia? Westchnęła głęboko i wyszukała numer hotelu w Zajezierzycach. Zawsze kiedy się w nim zatrzymywała, wspominała swój ogromny żal, że dowiedziała się o jego sprzedaży zbyt późno. Czasem, nocując tam, zastanawiała się, jak urządziłaby pałac, gdyby udało jej się go kupić, i czy zostawiłaby hotel. Wszystkie te rozważania były kompletnie pozbawione sensu, bo utrzymanie takiego obiektu

i zarządzanie nim ze Stanów było nieopłacalne i pewnie po kilku heroicznym latach i tak skończyłoby się sprzedażą. Lubili z Fredem podróżować, od domów woleli luksusowe apartamenty, bo nie sprawiały tyle kłopotu. Ale może tym razem zrobiliby wyjątek? Kuszące byłoby zamieszkanie tu, w samym środku opowiedzianej w powieści historii, uczynienie z niej części własnego życia.

Od kiedy Monika zainteresowała się dziejami swojego miasteczka oraz związanych z nim rodzin Zajezierskich, Cieślaków i Hryciów, pałac i cukiernia Pod Amorem stały się jej bardzo bliskie, tak bliskie, jakby należała do rodziny. A przecież Celinę Hryć znała tylko z widzenia, zza lady, choć niewiele brakowało, aby została jej synową. Chociaż nie, bardzo wiele brakowało. Zawsze tak się dzieje, kiedy gotowość wyraża tylko jedna strona.

– Kim bym dziś była, gdyby Grzegorz mnie wtedy nie rzucił? Panią dyrektorową? Żoną posła, który romansuje ze swoją sekretarką? Stałabym za ladą w drogerii przy rynku i czekała na klientów? Nie przeczę, takie życie też może być piękne. Lubię Gutowo i nigdy nie przestanę lubić, ale w zasadzie Grzesiek, spławiając mnie wtedy, jednocześnie wyświadczył mi ogromną przysługę. Jak ptaki wyrzucające swoje młode z gniazda. Albo się zabijesz, albo pofruniesz. I pofrunęłam. Wykrzesalam z siebie siły, o które sama się nie podejrzewałam. Rozpacz i zawód mogą człowieka naprawdę daleko ponieść.

Wybrała numer hotelu i zamówiła najlepszy apartament na 29 października.

– Obawiam się, że jest już zajęty... – odpowiedziała recepcjonistka. – Mamy tego dnia ogromne obłożenie.

– Jestem waszą stałą klientką, proszę raz jeszcze sprawdzić.

– Niestety... Może zechciałaby pani inny pokój?

– Proszę zarezerwować cokolwiek – powiedziała zniechęcona i wyłączyła się.

Spojrzała na zegarek. W Nowym Jorku już dwunasta, pora zadzwonić do męża.

Długołąka, lipiec 1947

Żniwa zapowiadały się wyśmienicie. Zdzisław Pawlak z niecierpliwością czekał na Michała, który obiecał, że weźmie urlop i sam wszystkiego dopilnuje. Od kiedy stracił wszelką nadzieję na powrót Adama, Pawlak miał tylko jego. Traktował go jak syna i zamierzał przepisać nań gospodarkę, choć Michał uczciwie przyznawał, że pracy w Warszawie nie rzuci. Zaczepił się w Biurze Odbudowy Stolicy i chciał pójść na architekturę, nie mógłby tego osiągnąć, siedząc na wsi. Ale często wpadał do Długołąki, zwłaszcza kiedy kończyły mu się zapasy. Janiukowa zresztą zawsze wcześniej wiedziała, kto akurat zaszlachtował prosiaka, chłopak wyjeżdżał więc obładowany żywnością nie tylko dla siebie, ale i na handel. Raz czy dwa przywiózł tę Lodzię i Pawlak z Janiukową długo deliberowali, czy jest coś na rzeczy. Lodzia była fertyczną czterdziestką, mogła się podobać, a wiadomo, krew nie woda. Zagadnięty na ten temat, Michał gorąco zaprzeczał, aż Lodzia zaczęła opowiadać o swoim „narzeczonym”, pokazała im nawet zdjęcie jakiegoś mężczyzny, którego Michał nigdy nie spotkał.

Tej jesieni wszystko miało ulec zmianie, bo Ewa przystąpiła do matury i zdała ją z dobrym wynikiem. Na Wielkanoc zaręczyli się z Michałem, a na Boże Narodzenie mieli się pobrać. Czekał na nich pokój w zajęтым przez Lodzię czteropokojowym mieszkaniu. Pozostałe pokoje zajmowały rzekomo dwie inne rodziny. Nawet w łazience mieli się gnieździć jacyś lokatorzy. Tak zdarzało się wielu właścicielom mieszkań, jednak nie Łodzi. Na papierze jej apartament zamieszkiwało dwadzieścia osób, normalka w Warszawie, jednak wyjątkowo nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością. Na szczęście, bo inaczej Michał nie śmiałby Ewie zaproponować takich warunków. Od jesieni miała zacząć studia. Do czasu, aż się nie pobiorą, Lodzia obiecywała oddać jej jeden ze swoich pokoi.

Wszystko już było dogadane, ustalone, nawet sceptyczna pani Maria wyraziła aprobatę. Michała rozpieęły radość i szczęście. Lubił przyjeżdżać

do Długołaki, nigdy nie bał się wysiłku, Pawlaka kochał jak ojca, a na dodatek za kilka dni miała tu przyjechać Ewa! Jednak tę radość zmaćło pojawienie się Stefci. Zawsze niezawodnie wiedziała, kiedy on ma się zjawić. I choć Pawlak i Janiukowa zarzekali się, że nie przekazują jej żadnych wiadomości, gdy tylko Michał wyjeżdżał w pole, gdzieś na miedzy widział jej drobną postać. Przeważnie siedziała pod drzewem, wijąc wianki, a on czuł się dziwnie. Nie zaczepiała go, o nic nigdy nie prosiła, ale miał wrażenie, że za tym uporczywym przychodzeniem coś się kryje. Opowiedział o tym Janiukowej, a ona aż krzyknęła.

– A odegnajże ją, dziecko, czym prędzej! Wszyscy wiedzą, że zaciężyła!

– To może chce mnie na kuma prosić? – parsknął Michał, sięgając łyżką po ziemniak świeżo okraszony stopioną słoniną.

– Ja bym się na twoim miejscu nie śmiała, chłopcze – ponuro powiedziała Janiukowa. – Ona tu ciągle przychodzi i o ciebie pyta.

– Gospodyni ma rację. Dziwne to jakieś – przyznał Pawlak.

– Biedna i tyle. – Michał wzruszył ramionami. – Nie odegnam jej przecież. Nie przeszkadza mi, siedząc na miedzy.

– A jeśli cię oskarży, żeś jej to dziecko zmajstrował?! – przeraziła się Pelagia.

– Jak ma mnie oskarżyć? Przeciem jej nawet nie tknął!

– Wiem! – Pawlak poparł Michała. – Ale nikt w to nie uwierzy.

– Pojedziecie do niej i zażądacie, aby wreszcie dała Michałowi spokój. Bo jak nie, to ją psem poszczuję, kiedy tu znowu przylezie! – warknęła Janiukowa.

– W poniedziałek będę jechał do Płocka, to w powrotnej drodze z nią pogadam – obiecał Pawlak. – Ale spokojnie i bez żądań, bo wszak sierota, a teraz i przyszła matka, więc się nie godzi inaczej jak po dobroci sprawy załatwić.

Kończyli posiłek. Michał szybko przełknął ostatni ziemniak, dopił duszkiem zsiadłe mleko i wstał od stołu. Dziś miała przyjechać Ewa. Pawlak pozwolił mu zaprząć gniadosza do bryczki i odebrać ją z Gutowa. Trzeba się było pośpieszyć.

– Wrócimy na kolację! – rzucił na odchodnym, wskoczył na kozioł, cmoknął i wyjechał na drogę.

Ciesząc się na dwa dni, które Ewa obiecała spędzić w Długołące, zapomniał o głupiej Stefci. Nie widział też powodu, aby o niej opowiadać Ewie. Zresztą wkrótce oboje wyjadą do Warszawy, po co się zajmować błahostkami?

Ewa, w niebieskiej sukience, która pięknie podkreślała jej wiotką figurę, z niewielkim wiklinowym koszykiem w dłoni, wysiadła z autobusu i zaczęła się rozglądać. Wkrótce spostrzegła Michała i podeszła do niego z radosnym uśmiechem. Ucałowawszy narzeczonego w policzek, wsiadła do bryczki.

– Co za upał! – Westchnęła.

– Straszliwy – przytaknął. – Ale mamy w domu dużą bańkę podpiwku.

– Cudownie, uwielbiam podpiwek! Tak pomyślałam, że może jutro zrobilibyśmy sobie piknik nad jeziorem? Tylko ty i ja... Wzięłam ze sobą kostium kąpielowy...

Spojrzał na nią z ukosa i pomyślał, że nie zasłużył na tyle szczęścia.

Po niedzielnej mszy odwieźli Pawlaka i Janiukową do dworku i nie wysiadając z bryczki, pojechali do Zajezierzyc. Michał nie lubił bywać w okolicy pałacu. Patrzenie na zniszczony budynek sprawiało mu ból, dlatego nadkładając drogi, ominęli pałac i dotarli do jeziora od strony wsi. W małej zatoczce kąpało się kilkanaścioro wyrostków, dlatego przywiązawszy konia w cieniu rozłożystej kępy olch, poszukali dla siebie ustronnego miejsca nieco z boku. Ewa rozłożyła koc i ustawiła na nim koszyk z przygotowanymi wcześniej wiktuałami. Michał zdjął buty, koszulę i spodnie i poszedł zobaczyć, czy woda jest ciepła. W tym miejscu dno jeziora tworzyła piaszczysta łacha i można było dość długo iść, zanim poziom wody sięgnął do kolan, jednak potem, ni z tego, ni z owego, dno opadało i tutaj właśnie dał nura, aby chwilę popływać.

Ewa śledziła go wzrokiem, sącząc podpiwek i skubiąc ciasto drożdżowe z jagodami, specjalność Pelagii. Niespodziewanie usłyszała za plecami:

– Niech będzie pochwalony, panienko!

Niewysoka, ze spiętymi z tyłu włosami, w nędznej sukieneczynie i boso stała za nią dziewczka folwarczna z Cieciorki. Na głowie miała wianek, który dziwnie kontrastował z jej urodą i stanem, bo najwyraźniej była w ciąży.

– Na wieki wieków. Tyś jest... Wybacz, zapomniałam, jak ci na imię.

– Stefa, Stefcia. Pamiętacie mnie, panienko?

Ewa pomyślała, że następnym razem przywiezie jej jakieś swoje stare rzeczy, choćby buty, a może sukienkę lub sweter albo coś dla dziecka.

– Tak, pamiętam. Wyszłaś za mąż, Stefcu?

– Nie, panienko.

– Rozumiem. – Ewa westchnęła. – Ale masz narzeczonego? – dodała, chcąc być miłą.

– Mój narzeczonego poszedł się kąpać. O, tam! – wyciągniętą dłonią Stefcia wskazała miejsce, w którym kąpał się Michał.

Ewa spojrzała w stronę jeziora.

– Mylisz się, to mój narzeczonego.

– Paniemki narzeczonego niedługo zostanie ojcem. – Stefcia pogładziła się po wydatnym brzuchu.

– Co też ty?!... Cóż ty pleciesz?!

Stefcia nie odpowiedziała, westchnęła tylko głęboko, przyłożyła dłoń do oczu i pomachała dłonią w stronę jeziora. Ewa poderwała się na równe nogi, aby poszukać wzrokiem miejsca, w którym znajdował się Michał, jednak z tej odległości nie potrafiła go rozpoznać.

– To... To niemożliwe! To nieprawda! Ty zmyślasz! Kłamiesz!

Dziewczyna nie wchodziła w polemikę, wzruszyła tylko ramionami, odwróciła się i odeszła w kierunku kępy olszyn, a Ewa stała wstrząśnięta, nie wiedząc, co począć. Najchętniej by stąd uciekła do domu, ale musiała poczekać na Michała i zażądać odwiezienia na autobus.

Jak on mógł?! – myślała. – Przecież się zaręczył, przysięgał, że liczy dni do świąt, kiedy się wreszcie połączymy. Mówił czułe słowa, opowiadał o Warszawie, zarzekał się, że tęskni i będzie czekał tak długo, jak to będzie konieczne. A tymczasem uwodzi pierwszą lepszą wieśniaczkę?! Głupią Stefcię?! Co teraz będzie?! Taki wstyd! Boże, taki wstyd!

Wstrząśnięta, kręcąc głową i szepcząc coś do siebie, Ewa rozpięła sukienkę, zrzuciła ją z ramion i nie troszcząc się o pozostawione na kocu rzeczy, wbiegła do wody. Chciała się ukryć, myśląc, że wszyscy usłyszeli, co tamta powiedziała, że patrzą teraz na nią, pokazują sobie palcami i śmieją się w kułak.

Oszukana! Zdradzona! – huczało jej w głowie. – Cudze dziecko! Bękart twojego narzeczonego!

Biegła na oślep wprost w jezioro, aż nagle poczuła, że grunt się skończył, a chłodna toń wciąga ją coraz głębiej. Spojrzała do góry. Po gładkiej powierzchni ślizgały się promienie słoneczne.

Taka byłam szczęśliwa... – pomyślała.

Michał wyszedł z wody i zdziwił się, nie zauważywszy Ewy, która jeszcze przed chwilą siedziała na kocu, popijając z butelki podpiwek. Rozejrzał się,

ale nie zobaczył jej również przy zaprzęgu. Postanowił poczekać. Może poszła w ustronne miejsce? Rzucona na trawę sukienka sugerowała, że Ewa, nie doczekawszy się go, poszła popływać. Spojrzał więc ku tafli wody, ale tam również jej nie spostrzegł. Krzyknął raz i drugi. Zaczynał się niepokoić, bo nie nadchodziła. Starał się nie dopuścić do siebie myśli, że coś jej się stało, usiłował panować nad emocjami. Wszedł jeszcze raz do wody i powoli przyglądał się pływakom. Nie było ich wielu, zaledwie kilku w zasięgu wzroku. Raz po raz oglądał się też za siebie. Wciąż miał nadzieję, że Ewa, śmiejąc się z jego obaw, nagle wyjdzie zza krzaków. Ale minął kwadrans, a ona się nie pojawiała. Nie nadchodziła od strony drzew ani nie wychodziła z wody.

Odczekał jeszcze kilka minut i pobiegł w kierunku wiejskich dzieciaków, bawiących się nieopodal.

– Ewa, Ewa Radzewicz, panienska z Cieciorki, ktoś ją widział?! Była tam, siedziała na kocu.

Nikt nie kwapił się, aby odpowiedzieć. Wreszcie jakaś mała dziewczynka rzuciła jakby od niechcienia:

– Stała z taką jedną we wianku.

„We wianku”? Czyżby rozmawiała ze Stefcia? Może podeszła z nią w kierunku pałacu? Może gdzieś usiadły, żeby porozmawiać? Może Stefcia prosiła ją o pomoc? Ale dlaczego się oddaliła? Dlaczego bez sukienki? To do niej niepodobne. Nagle wydało mu się, że zauważył za bryczką głowę Stefcia. Pobiegł w tamtym kierunku. Nie oglądając się, szła ku pałacowi. Podbiegł do niej. Złapał za ramiona i nie wiedząc, co robi, zaczął nią potrząsać.

– Gdzie jest Ewa? Widziałaś ją?! Rozmawiałyście?

Stefcia wzruszyła ramionami.

– Poszła do wody.

Michałowi zawirowało przed oczyma. Puścił ją i raz jeszcze wbiegł w jezioro. Zaczął nawoływać. Krzyczał tak, że słyszeli go pewnie ludzie na drugim brzegu. Jeszcze chwycił się ostatniej nadziei, że Ewa pojawi się zdziwiona, o co tyle hałasu. Ale czas płynął, a jej wciąż nie było. Mijały minuty, kwadranse, godziny, a on, nurkując coraz głębiej w ciemnych wodach jeziora Nyć, prosił Boga o rychłą śmierć.

Gutowo, sierpień 2016

Kolację jedli sami. Tego się zresztą Helena od rana spodziewała. Zbytnio właśnie odgryzał pępowinę. Nawet gdyby miał cały wieczór przesiedzieć na ławce nad jeziorem, i tak nie zameldowałby się grzecznie w domu. Ona jako nastolatka tak by właśnie zrobiła. Zaczęło się starcie, padły słowa o dojrzałości, trzeba iść za ciosem, poszerzać pole walki, zdobywać terytorium, udowodniać swą wolność. Bała się o syna, ale go rozumiała. I chociaż serce jej krwawiło, usiłowała zachować spokój.

Nastia bardzo się postarała tego dnia, zrobiła ich ulubione gołąbki z kaszą gryczaną, ale ani Helena, ani Waldemar nie mieli apetytu. Grzebali widelcami w talerzach, raz po raz podnosząc do ust jakiś kęs, który bardzo długo i w milczeniu przeżuwali.

– Co zrobimy? – zapytała wreszcie Helena.

– Może powinniśmy z nim porozmawiać? – nieśmiało zasugerował Waldemar.

– O czym? Nie ma powrotu do *status quo*.

– Do czego? – nie zrozumiał.

– Musimy stworzyć nowe ramy współżycia. To, co było kiedyś, już nie obowiązuje.

– Nie zamierzam niczego zmieniać! – powiedział twardo Hryć.

– W firmie nie musisz, to dotyczy tylko naszej rodziny.

– Firma to też rodzina.

– Nie chodzi o życie zawodowe. Uważam, że teraz w pracy on się będzie nawet bardziej starał, chcąc przede wszystkim tobie udowodnić, że rzeczywiście jest dorosły.

– Dorosły do czego? Gdzie się podziewa całymi wieczorami? Z kim je spędza? Ty się o niego nie martwisz?

– A jak ci się wydaje?! – fuknęła oburzona. – Pewnie, że się martwię! Codziennie czekam, kiedy wróci. Ty już dawno chrapiesz, a ja w ciemnej

sypialni, żeby nie pomyślał, że go szpiegujemy, czekam cała w nerwach. Chciałabym wyjść, zapytać, gdzie był, sprawdzić, czy jest trzeźwy, czy czegoś nie brał.

– No przecież jeździ samochodem!

– I co z tego? Jesteś pewien, że nigdy niczego nie tknął? Od kiedy można się bawić bez alkoholu?

– Musimy sprawdzić, co on robi, zanim będzie za późno! – twardo powiedział Hryć.

– Musimy, ale on nie może się o tym dowiedzieć, bo byłby to nasz koniec jako rodziców.

– Nie martw się, ja to załatwię!

Helena spojrzała na męża z podziwem i lękiem jednocześnie, bo nigdy nie był mistrzem intrygi ani nie znał się na psychologicznych podchodach.

– Co zamierzasz?

– Najpierw musimy sprawdzić, gdzie on się podziewa. Widzę tylko jeden sposób.

– Chyba nie kazesz go śledzić?

– Dlaczego nie?

– Może jednak spróbujemy z nim porozmawiać? Wyjaśnić, że nie na tym polega dorosłość, żeby przepadać na całe wieczory. Daj mi kilka dni, potem zrobisz, co zechcesz.

Waldemar Hryć kiwnął głową i wrócił do gołąbków.

– Może wyszlibyśmy na spacer? – zaproponowała Helena po dłuższej chwili. – Taki piękny wieczór. Obejrzymy zachód słońca i wrócimy. Odetchniesz świeżym powietrzem, popatrzysz na przyrodę, może spotkamy kogoś znajomego?

– Nie dziś, zmęczony jestem, wolałbym się przespać.

Westchnęła i spojrzała na męża z troską. To późne rodzicielstwo dotychczas go uszczęśliwiało. Nie przeszkadzały mu nocne alarmy, bałagan w domu, pieluchy, choroby wieku dziecięcego. Znoszone z pogodą i radością odmładzały go. Dumny z syna chodził na wywiadówki, angażując się w życie szkoły, zasypiał na szkolnych meczach. Dopiero teraz, kiedy Zbyszek się od nich oddalił, kiedy być może wpadł w złe towarzystwo, Waldemar poczuł ciężar swoich sześćdziesięciu trzech lat. Helenie też niewiele brakowało do sześćdziesiątki, na dobrą sprawę mogliby mieć już wnuka w wieku Zbyszka. Czy dlatego tak źle znoszą jego dorosłość? Ale przecież wszystko można

zawczasu ustalić, wszystko można omówić, urządzić życie rodzinne tak, aby nikt nie cierpiał.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu nie powiedział, że potrzebuje trochę rozrywki? Po co ta cała awantura? Czy my go trzymamy pod kluczem? Dlaczego teraz, chcąc się czegoś o nim dowiedzieć, musimy to robić po kryjomu? – narzekała, mając poczucie, że mąż jej nie słucha.

– Położę się – powiedział tylko Waldemar i wstał, zostawiając ją na pastwę czarnych myśli.

Była zaledwie siódma wieczorem, lato, piękny, ciepły wieczór. Helena posprzątała po kolacji i postanowiła wyjść z domu. Pomyślała, że widok Igi, Xaviera i wnuków złagodzi jej podenerwowanie. Wsiadła więc w samochód i ruszyła do Zajezierzyc.

– Pan Xavier wyjechał z dziećmi do Anglii, a pani Iga jest gdzieś na terenie. Czy mam jej poszukać? – usłyszała w recepcji.

– Dziękuję, poradzę sobie – odparła i wyszła z hotelu.

Skierowała się do zabudowań gospodarskich. Idąc w kierunku dawnego lamusa, podziwiała urodę odrestaurowanych budynków. Przed czworakami zauważyła Igę, omawiającą coś z pracownikami. Kiedy ta zobaczyła zbliżającą się macochę, pomachała jej dłonią.

– Świetnie, że jesteś! Potrzebuję rady. Przyjeżdżają tu czasem większe grupy, klasy na zieloną szkołę, wycieczki, goście weselni. W czworakach są pokoje tańsze, ale takiej oferty wciąż mi brakuje. Tylko zobacz, między hotelem a czworakami mam zabudowania gospodarcze, stajnie, stodołę. To wszystko zabiera nie tylko widok i utrudnia komunikację, ale też oddala gości od restauracji. Jak to obejść, co tu wymyślić?

Helena rozejrzała się i rzuciła od niechcienia:

– Przenieść zabudowania gospodarcze.

Iga się roześmiała.

– Jak?

– Zbuduj nowe stajnie, a w tych zrób spa, siłownię albo sale konferencyjne, a może sklep z waszymi produktami. Szkoda takich pięknych murów na stajnie czy garaże. Możesz przesklić fragment ściany albo zrobić korytarz, żeby klienci musieli tędy przejść, co wystawi ich na pokusę skorzystania z oferty.

Iga rozpromieniła się.

– Xavier się wścieknie! Ale to genialny pomysł! Ciekawe tylko, czy mi to konserwator zabytków zatwierdzi? Co cię sprowadza? – rzuciła jednym tchem.

– Pójdziemy się przejść? Chciałabym popatrzeć na sad – odpowiedziała Helena, a Iga zrozumiała, że zanosi się na dłuższą pogawędkę.

Gutowo, sierpień 2016

Od kiedy po pięćdziesięciu latach stanęła twarzą w twarz ze swoją dawną miłością, Monika Grochowska-Adams nie mogła sobie znaleźć miejsca. I nie chodziło tu bynajmniej o postać Hrycia, tylko o nią samą. Od spotkania z Grzegorzem minęło kilka dni i chociaż nie obyło się bez oczywistego w takich wypadkach podniecenia, tamten lunch był przede wszystkim spotkaniem ze sobą. Patrząc na człowieka, który tak wiele kiedyś dla niej znaczył i który nie był już tamtym chłopakiem, tylko kimś całkiem jej obcym, Monika zrozumiała coś niezwykle istotnego, co w pogoni za sukcesem i dostatkiem dotychczas jej umykało: że powinna wrócić do lat dzieciństwa, bolesnych jak niezagojona rana, pozszywać kawałki własnej biografii, przytulić tę pozostawioną samej sobie małą dziewczynkę, która od lat w samotności na to czeka. Wiedziała, że musi pojechać do Gutowa i skonfrontować się ze swoją trudną przeszłością.

Dotychczas unikała tego, jak mogła. Wróciła do rodzinnego miasta, ale tylko po to, żeby napisać powieść osnutą na dziejach cukierni Pod Amorem. Nigdy nie poszła na Zarzecze, gdzie przy Mostowej znajdował się dom, w którym po wyzwoleniu w pokoju na strychu zamieszkała jej matka, Stefania. Monika nie miała ochoty sprawdzać, czy dom jeszcze stoi i w jakim jest stanie. Wolałaby nawet zobaczyć na jego miejscu nowe bloki.

Przyjeżdżając do Gutowa, odwiedzała grób Celiny Hryć, ale ani razu nie zapaliła znicza na grobie własnej matki. Z całego swego dzieciństwa nie chciała zapamiętać niczego, ale wspomnienia, im bardziej niechciane, tym częściej ją nawiedzały. Bieda, czasem nawet głód, zimno niedogrzanego pokoju, nędzne ciuchy, wstyd przed innymi dziećmi, zakłopotanie wobec dorosłych, którzy pochylali się z troską nad dziewczynką do późnej jesieni biegającą boso, z wiecznym gilem u nosa. Wspomnienia zastawały ją bezbronną w środku nocy lub nad ranem. Budziła się wtedy przerażona, zapalała światło i długo dygotała przejęta widziadłami, które zdawały się

prawdziwsze od dostatniej nowojorskiej rzeczywistości.

Była owocem przelotnego związku. Zapytana kiedyś o ojca, matka powiedziała najpierw, że wyjechał. Ale dziecku to nie wystarczało, na pytanie o imię, Stefania rzuciła z niechęcią: „Taki jeden”. Czy w ogóle wiedziała, kto to? Nie była zbyt bystra, może nie kojarzyła nawet seksu z aktem prokreacji. Miała zaledwie trzy klasy szkoły powszechnej z trudem ukończone przed wojną. Podczas okupacji dojrzała. Kiedyś, zbierając jagody, spotkała partyzanta. Był młody, urodziwy. Znała go, bo przychodził do córki jej państwa. Wracała kilka razy w to miejsce, ale już nigdy go nie zobaczyła. Kiedy przyszło wyzwolenie, chłopak nagle wyjechał. Stefania łudziła się, że odnajdzie swą miłość, i udało jej się, ale on uparcie nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Inni nie byli tacy.

W wieku szesnastu lat Stefcia poczuła się dorosła. A potem on wrócił, zakochany w paniencie wygnanej z dworku. A ona już była w ciąży. Kiedy jego panna się utopiła, jak kamień w wodę przepadł i on sam. Ani w Długołęce, ani w Gutowie go nie było. Stefcia nie miała pojęcia, gdzie go szukać, a wracać do Cieciorki nie chciała. Zostawszy w mieście, zdana na samą siebie, bez znajomości, bez pieniędzy, ledwie sylabizująca, utrzymywała się z trudem. Pracowała dorywczo to tu, to tam. Sprzątała, najmowała się do prania, ciągle dokądś biegła, przepadała na całe dni, ale pieniędzy przynosiła co kot napłakał.

Zostawiała córkę samą w pokoju umeblowanym starym żelaznym łóżkiem, chybottliwym krzesłem oraz poobijanym wiadrem i zardzewiałą miednicą. Parę gwoździ w oklejonej zakurzoną papierową tapetą ścianie i upstrzony przez muchy święty obrazek z zatkniętym z boku bukietem uschniętych kwiatów, zostawiony przez poprzedniego lokatora, dopełniały całości.

Kiedy matka wychodziła, Monika praktycznie nie opuszczała łóżka, chyba że było lato, wtedy biegała po podwórku, bawiąc się sama ze sobą porzuconymi przez lokatorów przedmiotami, kamykami, kolorowymi szkiełkami, kwiatkami. W deszczowe dni taplała się w kałużach lub drążyła patykiem kanały, aby woda mogła odpłynąć. Nigdy nie miała żadnej zabawki, lalki, misia, skakanki, wiaderka czy łopatki. Nigdy nie miała klocków ani książeczek.

Inne dzieci chodziły do przedszkola. Kiedy opowiadały czasem na podwórku o zabawach, czytaniu książek, o podwieczorkach z herbatnikiem maczanym

w kisielu, również próbowała im zaimponować na swój dziecięcy sposób, ale i tak zawsze kończyło się to drwinami, bo na tle biedy Zarzeczka bieda jej matki aż kłuła w oczy, bo ona sama mówiła „po wiejsku”, bo była córką „głupiej Stefci”.

Dlaczego to dziwne przyzwisko przylgnęło do jej matki? Przecież nie była głupia. Może tylko nieco nieporadna, zagubiona, zanadto ufna, może trochę powolna? Szukała mężczyzny, który dałby jej wsparcie, zarobił na dom, a ona by mu go poprowadziła, ale żaden nie zagrzebał miejsca w pokoiku na strychu. Przychodzili, odchodzili. Czasem pijani, zrywali z niej bluzkę, popychali na łóżko, zadzierali spódnicę i dyszeli, kołyszac się i jęcząc, póki zmęczeni, jakby mieli wyzionąć ducha, nie zasnęli z głośnym chrapaniem. To chrapanie było często kołysanką Moniki, bo matka zapominała o córce, skulonej na małym materacyku, owiniętej starym swetrem czy kapą z łóżka. Kiedy rankiem wstawiała do pracy, kroiała dwie kromki chleba, nalewała mleko, jeśli akurat miała pieniądze i je kupiła, a potem wychodziła na cały dzień.

Na szczęście były sąsiadki. To one wołały Monikę na placki z jabłkami, zupę szczawiową, kaszkę manną, na kompot ze śliwek. Jakby nie przeszkadzały im jej brudne rozczochrane włosy, podrapane kolana, czarne paznokcie, od dawna nieprane sukienki. To one nauczyły ją myć ręce, dały pierwszy w życiu grzebień i pokazały, jak czesać włosy i zaplatać w warkocz. One czasem wykapały małą, wyiskały jej wszy. One wycierały ją szorstkim ręcznikiem, raz czy dwa przytuliły, roniąc ukradkiem łzę. Dzięki nim miała czasem jakąś mniej zniszczoną sukienkę albo buty. Matka nigdy nie pytała, skąd Monika wzięła sukienkę, szalik czy rajtuzy. Nie dziwiło jej, że córka ma skądś buty. Wiedziała, że nie są nowe, czasem były za duże, pewnie się domyślała, że ktoś się zlitował, ale żeby nie czuć wdzięczności i nie musieć dziękować ani się rewanzować, nigdy o to nie pytała, zadowolona, że nie musi wydawać pieniędzy, których i tak zawsze brakowało.

Monika nie płakała, przypominając sobie tamtą wiecznie brudną dziewczynkę. Odgradzona grubym murem, nadal myślała o niej jak o obcej. Nauczyła się tego, kiedy ją umieścili w domu dziecka. Przyszły dwie miłe panie,abrały ją z podwórka i zaprowadziły do czystego domu pełnego dzieci. Początkowo sądziła, że to przedszkole. Była tam łazienka, gdzie po raz pierwszy zakosztowała kąpieli, co wprawiło ją w niebiański nastrój. Czuła

się, jakby weszła w inny, lepszy świat. Dostała czyste ubranie i wygodne buty, pasujące na jej nogi. A potem, zaprowadzona do świetlicy, zobaczyła zabawki. Nie śmiała żadnej dotknąć, bojąc się, że popsuje. Do szczęścia wystarczyło jej, że może na nie patrzeć.

Później podano obiad. Zalewajkę i naleśniki Monika zjadła w takim tempie, jakby od tygodni nie miała nic w ustach. Przypominała małe dzikie zwierzątko, uparcie milczała, oglądając wszystko rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Kiedy opiekunka wskazała jej łóżko, dziewczynka stała bezradna i patrzyła nabożnie, bojąc się usiąść. A kiedy zgasło światło, miała wrażenie, że łóżko wiruje, i było to bardzo przyjemne.

Zajęta tak wieloma nowymi rzeczami błyskawicznie przyswajała sobie prawa rządzące światem. Miała dopiero pięć lat, ale rozumiała, że niczego nie dostaje się za darmo, a już zwłaszcza pobytu w takim wspaniałym miejscu. Bała się tylko, że wkrótce będzie musiała wrócić na Mostową. Kiedy o to pytała opiekunkę, ta, zrozumiałwszy ją opacznie, uspokajała dziecko, mówiąc:

– Już niedługo, niedługo. Tęsknisz pewnie za mamą?

– Tak... – odpowiadało dziecko, czując, że takiej odpowiedzi spodziewa się ta śliczna pani. Chciałaby, aby matka też zakosztowała tych wszystkich niedostępnych jej luksusów. Na pewno jednak nie marzyła o powrocie do pokoiku na pięterku, do widoku półnagich mężczyzn sikających do wiadra, do samotnych zabaw na podwórku.

Czuła, że powinna tęsknić za matką. Wtedy wymyśliła sobie inną matkę, piękną, mądrą, która musi dużo podróżować, dlatego chwilowo ją zostawiła, ale wkrótce przyjedzie i zabierze ją ze sobą. Stefania rzeczywiście zjawiała się po kilku miesiącach. Znacznie lepiej ubrana, w wypastowanych pantoflach, miała na sobie wełniany płaszcz, na głowie chustkę, w ręce torebkę. Wyglądała dokładnie jak matka z jej opowieści, tylko że Monika na nią nie czekała. Wezwana do gabinetu kierowniczkii dziewczynka nie domyśliła się nawet, że to już koniec pięknego snu. Weszła niepewnie, sądząc, że musiała coś spsocić, gotowa przeproszać i obiecywać poprawę. Nawet nie zwróciła uwagi na tych ludzi, jednak kierowniczka spojrzała na nią i powiedziała karcąco:

– Nie przywitasz się z mamą?

A ona jej nawet nie poznała! Może dlatego, że matce towarzyszył sporo starszy mężczyzna. Dygnęła zatem grzecznie, a Stefania popatrzyła na nią i rzuciła sucho:

– Urosłaś!

Słyszac jej głos, Monika się rozplakała. Dorośli pomysleli, że z tęsknoty. Nie przypuszczali, jaka była prawda.

Gutowo w 1952 roku było znacznie mniejsze niż obecnie. Na Zarzeczu sięgało ledwie nieco poza Rudawkę. Nikt nie budował na bagnistym terenie, dopiero po melioracji w latach sześćdziesiątych zaczęły tu powstawać osiedla. Dom dziecka znajdował się przy Grodzkiej. Mężczyzna, Stefania i Monika wyszli na ulicę, kierując się w stronę rynku. Dzień był nieprzyjemny, dżdżysty, listopadowy. Matka przyniosła dla córki skórzane trzewiki, ciepłe palto i wełnianą czapkę z pomponem. Monika czuła, że chce ją przekupić, że to cena za opuszczenie domu dziecka. Idąc ulicą, ociągała się, jakby miała nadzieję, że ktoś nadbiegnie i powie, że nastąpiła pomyłka i pozwalają jej wrócić. Ale oddalali się coraz bardziej i nie pomagało odwracanie głowy, nikt za nimi nie biegł.

– Co tak marudzisz?! – powiedział zirytowany mężczyzna. – Chodźże szybciej!

Był wysoki, szczupły, ostrzyżony na jeża, posiwiałe na skroniach. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki, ale dziecku wydawał się starcem. Długa szrama na prawym policzku i jedno oko nieco mniejsze od drugiego tak przerażały Monikę, że starała się na niego nie patrzeć. Matka nie powiedziała jej, kim jest ten pan ani jak się nazywa. Dziewczynka bała się go, przyśpieszyła więc kroku. Truchtała, niemal biegnąc, a oni przecinali już rynek, kierując się w Owsianą.

Po kwadransie znaleźli się na Piaskach. Budowano tu nowe osiedle dla robotników z Gutowskiej Fabryki Maszyn Rolniczych. Bloki stały niemal w szczerym polu, poprzecinanym tu i ówdzie polnymi drogami i chodnikami z rzuconych byle jak desek, chybocących się na nierównościach. Gdzieś walały się cegły, w jakimś dole lasowało się wapno, leżała kupka nieużytego piasku.

Weszli do jednego z bloków. Mężczyzna otworzył drzwi do mieszkania na parterze. Był to pokój z kuchnią i łazienką. Matka zdjęła buty, chustkę i płaszcz. Monika, ociągając się nieco, poszła za jej przykładem. Stała boso na dywaniku w przedpokoju, matka tymczasem przygotowywała w kuchni posiłek.

– Umyj ręce! – krzyknęła, nie odwracając się.

Z łazienki słychać było spuszczenie wody, potem wyszedł z niej ów mężczyzna, którego matka kilka razy nazwała Kazimierzem.

W kuchni roznosiła się woń krupniku, gorąca zupa parowała z talerzy. Dziewczynka popatrzyła w okno. Przez nagie gałęzie drzew, nieco w dole, widziała cieką nitkę rzeki, a dalej gęste zabudowania miasta z wystającymi ponad dachami dwiema wieżami kościoła. Po drugiej stronie bloku miasta już nie było, okna pokoju wychodziły na ciągnące się aż po widnokrąg rozległe pustkowie. Matka kroїła właśnie chleb.

– Siadajcie! – powiedziała, nastawiając wodę na herbatę. – Coś taka naburmuszona? – rzuciła, wyjmując metalowe kubki.

Dziewczynka tylko pokręciła głową.

– Jedz! – mruknął Kazimierz.

Oczekując, że wszystko zrozumie, nie pofatygowali się, żeby jej cokolwiek wyjaśnić.

Wiedeń, sierpień 2016

Tego sierpniowego dnia z rana padało, jednak deszcz w niczym nie zmienił obyczajów Tessy Steinmeyer, która punktualnie o siódmej trzydzieści weszła do swego wiedeńskiego biura. Sekretarka, Maria Schmidt, stała już przy drzwiach, trzymając w ręku podkładkę z notesem i długopis, jak zwykle gotowa zapisać polecenia.

– *Guten morgen, Frau Steinmeyer.*

– *Guten morgen, Maria.* Proszę, umów mnie z doktorem Vigelandem.

Maria zanotowała prośbę szefowej. Już dawniej zauważyła, że przełożona źle wygląda. Miała podkrążone oczy, poruszała się wolniej i jakby z trudem, mówiła ciszej. Ten stan trwał od jakiegoś czasu, pogłębiając się powoli, i chociaż pani prezes starała się zachować dawny wigor, zwłaszcza podczas posiedzeń rady nadzorczej, bystre oko sekretarki wyławiało szczegóły, które zdradzały, że Tessa Steinmeyer ma problemy.

Pięć minut później Maria zapukała do gabinetu szefowej. Nie słysząc pozwolenia, musiała chwilę poczekać. Kiedy weszła, po raz pierwszy od dwudziestu lat nie zobaczyła jej przy biurku. Tessa Steinmeyer stała tyłem do wejścia i wyglądała przez okno. Maria z uszanowaniem i zrozumieniem czekała. Trwało to dłuższą chwilę, wreszcie pani prezes westchnęła cicho i odwróciła się.

– Tak?

– Doktor Vigeland oczekuje pani dziś o piętnastej.

– Bardzo dobrze! Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania.

– Jak pani sobie życzy.

– I podaj mi kieliszek koniaku – dodała Tessa, a zdumiona sekretarka ukłoniła się i wyszła.

Dotychczas koniak był zarezerwowany niemal wyłącznie dla gości. Jej szefowa nie prosiła nigdy o trunek z rana, na dodatek przed wizytą u lekarza! Maria zachodziła w głowę, jaki problem ją dręczy i jak mogłaby pomóc.

Nalała alkoholu do kieliszka i znów zapukała do drzwi gabinetu. Odzew był natychmiastowy. Weszła z niewielką tacą. Tym razem szefowa siedziała już przed komputerem.

- Czy podać też kawę lub wodę? – zapytała.
- Może podwójne espresso. Na którą umówiłaś wizytę?
- Na piętnastą – odpowiedziała.

Szefowa nigdy nie kazała sobie niczego przypominać. Musi być z nią kiepsko.

Punktualnie o piętnastej Tessa Steinmeyer weszła do kliniki doktora Vigelanda. Nie zdążyła jeszcze usiąść w poczekalni, kiedy dziewczyna z sekretariatu podeszła, aby jej towarzyszyć do gabinetu. Doktor wyszedł zza biurka uśmiechnięty, jak gdyby nic się nie stało. Nie odwzajemniła jego uśmiechu i opadła na wskazane krzesło.

- Cieszę się, że wreszcie znalazła pani dla mnie czas!
- Pan chyba rozumie, dlaczego zwlekałam – odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy.
- I tak, i nie. Sprawa jest poważna, w tej sytuacji wskazany byłby pośpiech.
- Obydwoje wiemy, że pośpiech niczego nie jest w stanie zmienić. Ile mam czasu? – zapytała obcesowo.

Doktor Vigeland westchnął. Nie lubił takich momentów, a już zwłaszcza nie lubił, kiedy pacjent wchodził w jego kompetencje. Przez lata praktyki nauczył się informować chorych o złych nowinach. Potrzeba tu było trochę patosu, współczucia, nadziei, bo wszak zawsze może zdarzyć się cud. Tymczasem stracił kontenans, bo pani Steinmeyer zabrała mu wstęp, okradając piękną mowę z filozoficznych konotacji.

- No cóż... – zawiesił głos, aby zebrać myśli. – Nie jest już pani najmłodsza...
- To wiem.
- Ale ogólny stan zdrowia jest zadowalający.
- To też wiem.
- Przy odpowiedniej terapii od trzech miesięcy do roku... Oczywiście zdarzają się wyjątki – dodał szybko, aby ją pocieszyć.

Ale Tessa nie potrzebowała pocieszenia. Nigdy na nie nie liczyła, zawsze gotowa na najgorszy scenariusz. To była podstawa jej powodzenia w biznesie.

Gdyby myślała inaczej, nie byłaby dziś właścicielką kilkuset nieruchomości i prezesem dużej firmy.

– Zatem trzy miesiące... Mało – powiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Ale cóż: trzy to trzy.

– Powiedziałem, że tego nie da się precyzyjnie określić. Podejmiemy wszelkie działania, aby opóźnić nieuniknione.

– O tym porozmawiamy kiedy indziej! – rzuciła twardo.

– Dlaczego pani nie zareagowała wcześniej? – niemal płacząco zapytał doktor. – Mielibyśmy większe pole do działania. We wczesnej fazie nowotwór jest często uleczalny. Mam dobre wyniki, wypracowaliśmy w klinice procedury...

– Wydawało mi się, że tak wygląda starość: nieunikniona utrata kontroli nad własnym ciałem. – Westchnęła, a doktor tymczasem wypisywał receptę.

– Proszę to przyjmować w razie złego samopoczucia. Zrobimy jeszcze raz wszystkie analizy. Czy moglibyśmy już dziś ustalić termin?

– Nie będziemy robić dodatkowych analiz. Nie mam czasu na pobyt w szpitalu. Zanim umrę, muszę pozatwierać wszystkie swoje sprawy.

Vigeland zagryzł wargi. Wiedział, że nie uda mu się nakłonić pani Steinmeyer do zmiany decyzji.

Kiedy opuściła klinikę, zwolniła kierowcę, informując go, że ma zamiar się przejść. Potem weszła do najbliższego baru i zamówiła duże frytki. Nałożyła na nie górę majonezu i po raz pierwszy od lat wyjmowała palcami jedną po drugiej, nie troszcząc się o higienę, o swój cholesterol ani o to, co na jej widok pomyślą przechodnie. Czuła się niewidzialna. A nawet jeśli taka nie była, zwolniła się dziś z dbania o etykietę, którą z takim trudem lata temu wpoił jej Edwin.

Spojrzała do góry, jakby spodziewała się go tam zobaczyć, i uśmiechnęła się do płynących nisko ciężkich deszczowych chmur. Uniosła lekko tutkę z frytkami:

– *Prost!*¹ – powiedziała.

Smakowały jej. Nie jadła frytek od tak dawna! Czego jeszcze nie robiła? Mnóstwa rzeczy! Nie chodziła pieszo, bo nie wypadało. Nie jadła ciastek – wyrzekała się ich w imię dłuższego, zdrowszego życia. Teraz już może sobie pozwolić na chwilę lenistwa, na tort u Sachera, na pieszy spacer Ringiem. Pal

sześć terminy, pośpiech, zebranie zarządu, ceny akcji, zysk miesięczny, kwartalny i roczny. Pewnie nie dożyje do przyszłego roku i już wkrótce z góry będzie patrzeć na tabele giełdowe, które codziennie napawały ją takim lękiem.

Zjadłszy frytki, otarła palce papierową chusteczką. Wyjęła telefon i napisała do córki SMS:

Zadzwoń w wolnej chwili.

Elena oddzwoniła natychmiast.

- Co się stało? – zapytała zdenerwowana.
- Chciałabym zjeść z tobą kolację – spokojnie odpowiedziała Tessa.
- Dlaczego sama dzwonisz?
- Bo jestem na mieście i zatęskniłam za tobą.
- Jeśli jesteś na mieście, to nie masz kalendarza. Zadzwonię do biura i ustalę jakiś termin z twoją sekretarką.
- Chciałabym, żeby to było dziś!
- Nie przerażaj mnie! Mam przed sobą jeszcze kilka godzin pracy, natychmiast mów, co się stało!
- Może być w Le Ciel? – kontynuowała Tessa, lekceważąc niepokój córki. – Wiem, że uważasz ją za pompatyczną, ale ja lubię to miejsce. Najwyżej zjemy na tarasie – rzuciła lekko. – Dziewiętnasta?
- Zgoda... – powiedziała zmęczonym głosem Elena. – Mam nadzieję, że to naprawdę coś ważnego.

Tessa zadzwoniła do biura z prośbą, aby Maria zarezerwowała stolik na kolację dla dwóch osób i zleciła kierowcy, żeby przyjechał o wpół do siódmej. Pieszko poszła do domu, który znajdował się niedaleko. Na jej widok Katia, pomoc domowa, omal nie dostała zawału.

– Nic się nie stało, zrobiłam sobie wolne – wyjaśniła Tessa. – Położę się i poczytam. Gdybym się zdrzemnęła, nie odkurzaj, proszę. I zrób mi mocnej herbaty.

– Ma się rozumieć! – Ukrainka dygnęła i kręcąc ze zdumienia głową, poszła do kuchni. Kiedy wróciła, jej pracodawczyni siedziała w fotelu z zamkniętymi oczyma.

- Czy przygotować łóżko?
- Nie, przynieś mi tylko koc, położę się na kanapie. Gdybym zasnęła, obudź mnie o szóstej.

Tuż przed szóstą cicho zadzwonił telefon. Tessa była zupełnie zdezorientowana. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, dlaczego leży w ubraniu na kanapie. Nie potrafiła sobie przypomnieć. Wstała, prostując się z trudem, i niepewnym krokiem ruszyła do łazienki. Popatrzyła w lustro. To nie była ona.

Potrzebowała pół godziny, żeby się doprowadzić do porządku. Czowała głód, bo od owej popołudniowej porcji frytek nic nie miała w ustach, ale nie było już sensu napychać się przed kolacją.

Do Le Ciel weszła trochę przed czasem. Wieczór był ciepły, choć wilgotny. Stolik na tarasie czekał. Popijając wodę z cytryną, Tessa zastanawiała się, co powie córce, ale gdy zdenerwowana Elena usiadła naprzeciwko niej, cała przemowa runęła.

- Musimy jechać do Polski – powiedziała zamiast powitania.
 - Kto: my? – nie rozumiała Elena.
 - Ja, ty i Mia.
 - Co ci nagle wpadło do głowy, mamo? Zawsze wszystko planujesz z rocznym wyprzedzeniem! Nie mam już urlopu, Mia ma praktyki. Kiedy chcesz wyjechać?
 - Jak najszybciej.
 - Nie znam cię takiej. Nie zachowujesz się jak Tessa Steinmeyer.
 - Bo już nią nie jestem. Jestem znowu Teresą Kuszel.
- Jak to: musimy jechać do Polski? Tak nagle, bez powodu? – nie mogła zrozumieć Mia. – Mam rozgrzebane projekty, jeśli się teraz wycofam, oddadzą je komu innemu!
- Ja mam pacjentów, których też muszę zostawić. To chyba nawet trudniejsze, nie uważasz? – Elena skarciła córkę. – A powód jest, bo nic nie dzieje się bez powodu – dodała.
 - Właściwie co się stało? Dlaczego babcia zrobiła się nagle nieobliczalna? Nie znam jej takiej – marudziła dziewczyna.

Elena nabrała powietrza, żeby usprawiedliwić matkę, ale wciąż nie mogła zacząć zdania. To wszystko spadło na nią tak nieoczekiwanie. Dopiero się pozbierała po rozwodzie z Georgiem, a tu ta straszna nowina! Jej świat znów się rozsypywał. Nie wyobrażała sobie życia bez Tessy. I nie chodziło o to, że przybędzie jej obowiązków, bo ktoś przecież będzie się musiał zająć biznesem tak bardzo rozkręconym przez matkę. Tessa raczej nie pozwoli sprzedać firmy, zawsze mówiła, że to posag Mii. Zatem ona, jedynaczka, będzie musiała wejść do zarządu. Co z jej ukochaną pracą, która nie była tylko zarabianiem pieniędzy? Zostając lekarzem, Elena realizowała swoją misję. Wiedziała, że nie pomoże wszystkim, ale oddawała serce, umiejętności i czas chociaż części pacjentów. Nie krytkowała matki, w końcu dzięki niej wygodnie żyły. Nie miałyby trosk materialnych, nawet wcale nie pracując, jak wtedy, kiedy jako młodziutka absolwentka medycyny wyjeżdżała na wolontariat do Afryki.

Elena zawsze uważała, że ma najlepszą matkę. Tessa niczego od niej nie wymagała, nie stawiała jej celów, pozwalała poszukiwać, mylić się, popełniać błędy i je naprawiać, nie krytkowała wyborów, była zawsze najbliższym kumplem. Elena zrobiłaby wszystko, aby zasłużyć na jej pochwałę. Dostawała ogromnie dużo wolności, za którą odwdzięczała się absolutną szczerością. Informowała Tessę o wszystkim: o porażkach, radościach, koleżankach, chłopakach, o nauczycielu, w którym się zakochała, i o swoim pierwszym razie. Choć nie obyło się bez drobnych sprzeczek i scysji, czuły się ze sobą szczęśliwe. Razem wychowywały Mię, trochę nie dając jej dorosnąć, choć miała już dwadzieścia dwa lata! Czy to wszystko teraz nagle się skończy?

Swoim spokojem w obliczu śmierci matka ją przerażała. Elena wolałaby chyba wcielić się w rolę opiekunki i pocieszycielki. Tymczasem kiedy Tessa rzeczowo i lakonicznie poinformowała o swej chorobie, to Elena płakała, a matka gładziła ją po dłoni i przemawiała czule, uspokajająco.

– Jest chora. Bardzo poważnie. Zanim odejdzie, chce załatwić swoje sprawy w Polsce – tłumaczyła córce Elena.

– Jak to: poważnie chora? – zdumiała się Mia. – Jeszcze wczoraj nic jej nie było!

– Wiesz, jaka babcia jest skryta. Zresztą dla niej samej stan zaawansowania choroby jest zaskoczeniem. To nowotwór.

– Nie można było wcześniej zareagować?

– Babcia nie jest moją pacjentką. A doktor Vigeland jest równie wstrząśnięty

jak my. Teraz jedyne, co możemy zrobić, to jej towarzyszyć.

Mia milczała, próbując pogodzić się z faktami.

– Naprawdę muszę z wami jechać? Na co ja się przydam? Nie jestem lekarzem.

– Wiem, że długo czekałaś na szansę wejścia do tego zespołu – Elena próbowała pokonać straszliwe rozczarowanie, które jej zafundowała Mia swoim zachowaniem. – Ale to tylko praktyki, nie praca zawodowa. Takich okazji będziesz jeszcze miała setki. Tymczasem babcia, co prawda jedna z dwóch, ale rzekomo taka kochana, jest bardzo chora. Chce pojechać do miasta swego urodzenia, odwiedzić groby, pożegnać się z miejscami jej bliskimi. Nigdy nas tam nie zabierała, to będzie pierwszy i zapewne ostatni raz, chyba żeby chciała tam zostać pochowana. To, że ktoś nie odwiedza stron rodzinnych, nie znaczy, że o nich nie myśli. A im jesteśmy starsi, tym powrót do dzieciństwa jest nam bardziej potrzebny, bo dzieciństwo to najważniejszy czas w życiu każdego człowieka. Zatem zwolnisz się z praktyk i będziesz towarzyszyła babci w tej podróży. Skorzystaj z możliwości zapytania o wszystko, co ci tylko przyjdzie do głowy, bo nie wiadomo, kiedy choroba odbierze jej zdolność myślenia, pamięć i to, co w niej chyba lubimy najbardziej – poczucie humoru. Cieszymy się każdą chwilą, bo ta ostatnia nadzieja niebawem.

Zawstydzona Mia milczała. Patrzyła w bok, raz po raz pociągając nosem. Nie bardzo do niej docierało, że to prawda. Że babki, która zawsze była, może nagle zabraknąć. Widziała ją kilka dni temu, nic nie wskazywało na jakąkolwiek chorobę, co się przez te parę dni zmieniło?

– Ta jesień będzie dla nas trudna – matka odgadła jej myśli. – Musimy być z babcią, dawać jej nasze wsparcie, resztą zajmie się doktor Vigeland.

– Nie ma żadnej nadziei? – wyszeptała Mia.

– Nadzieja jest zawsze. Dlatego tak ważna może być ta podróż. Babcia uważa, że jakieś sprawy domagają się załatwienia. Nie wiem, jakie to sprawy, zapewne jakieś zamierzchłe. Nigdy mi o nich nie opowiadała. Ale jeśli spotka się z ludźmi, których chce zobaczyć, i wyjaśni to, co uważa za konieczne, może jej stan się poprawi. Patrzyłam na nią dzisiaj i widziałam, że trochę się boi tej podróży, ale jest zdecydowana ją odbyć. Nam nie pozostaje nic innego, jak trzymać ją za rękę i cieszyć się, że jeszcze żyje. Wielu ludziom nie jest to dane.

Przygotowania zajęły im trzy dni. Przeloty, hotele, wszystko załatwiła przez Internet sekretarka Tessy. Ona sama w tym czasie skupiła się na wydaniu poleceń zastępującym ją członkom zarządu, sugerując rozwiązania i kierunek prowadzenia rozpoczętych spraw i negocjacji. Odwiedziła jeszcze bardzo niezadowolonego z pomysłu doktora Vigelanda, który wolałby położyć pacjentkę w szpitalu, zrobić jej dodatkowe badania, zalecić spokój, a jeśli już wyjazd, to w góry czy na wieś, gdzie mogłaby spędzić ostatnie tygodnie bez nadwężania sił. Tymczasem ona decydowała się na trudy podróży i spotkań z dawno niewidzianymi ludźmi, co może skutkować silnymi emocjami. Ale czy tej kobiecie ktokolwiek byłby w stanie cokolwiek narzucić? W każdym razie on, Jacob Vigeland, nie potrafił.

– Proszę to wykupić i przyjmować w razie potrzeby – podał jej receptę. – I proszę szybko wracać! Chciałbym wierzyć, że będzie pani bezpieczna.

– Drogi doktorze, Polska to kraj w środku Europy, cóż może mi się przydarzyć? Że umrę tam, gdzie się urodziłam? Czy to nie byłaby piękna śmierć? Taki powrót do korzeni...

– Proszę nie żartować.

– Wróć, wróć, niech się pan nie martwi! Bardzo sobie cenię pańską opiekę i troskę. Obiecuję, że zrobię wszystko, aby umrzeć na pańskich rękach! – Uśmiechnęła się szeroko, ale bynajmniej nie było jej do śmiechu.

Straszna diagnoza przewróciła jej życie do góry nogami, kazała myśleć o nieuchronnym, zmusiła do zastanowienia się nad przeszłością i przyszłością. Obok naturalnego lęku i żalu, bo nie uważała się jeszcze za staruszkę i miała nadzieję doczekać prawnuków, pojawiły się przygnębienie i złość. Chcąc jednak mieć wpływ na to, co się wydarzy, kiedy jej już nie będzie, uznała, że musi pewne sprawy wyjaśnić.

Skąd wziąć siły, aby się zmierzyć z przeszłością? Najprościej byłoby zapomnieć, ale od pięćdziesięciu lat to się Tessie nie udało. Codziennie wspominała przeszłość. Czasami, wracając pieszo do domu, wchodziła do katedry Świętego Stefana, by modlić się o zapomnienie. I za każdym razem, wstając z klęczek, słyszała ten sam głos wewnętrzny, który mówił jej, co ma zrobić. Ale pozostawała głucha i bezczynna. Tłumaczyła się na różne sposoby, wynajdywała tysiące przeciwności, wreszcie uznała, że sprawa jest tak przedawniona, iż lepiej jej w ogóle nie ruszać. I nagle perspektywa śmierci

znowu kazała jej myśleć o wyjawieniu prawdy i zadośćuczynieniu.

Dlaczego muszę się ukarać i unieszczęśliwić nas wszystkie? To jakiś absurd!

Ale ów głos wewnętrzny, który rozpoznawała jako sumienie, nakazywał jej uczciwość. Zawsze była rzetelna w interesach, budowała swoje imperium na jasnych i klarownych podstawach, taka była jej dewiza. Tylko w życiu prywatnym jeden raz zrobiła wyjątek. I to on właśnie spowodował, że teraz nie mogła odnaleźć spokoju. Jeśli się czegoś bała, to tego, co ją czeka w rodzinnym mieście. Truchlała na myśl o wstydzie, jaki stanie się jej udziałem. Teraz, kiedy decyzja zapadła, Tessa poczuła ulgę. Wiedziała, że nie będzie łatwo, spodziewała się wszystkiego, tylko nie wdzięczności, ale była dumna, że wreszcie potrafiła stawić czoło swym demonom. Jechała tam, aby się pokajać i uzyskać przebaczenie. Bez taryfy ulgowej i zasłaniania się bliskim końcem. Jechała zadośćuczynić.

Choć Polska była dla nich bardziej egzotyczna niż Mauritius, Elena i Mia nie wydawały się specjalnie podekscytowane wyprawą. Zostawiały swoje sprawy, bo takie było życzenie Tessy. Gdyby nie jej choroba, najchętniej nie ruszyłyby się z Wiednia. Tak bardzo ją przypominały! Praca była ich wspólną religią. Naturalnie usprawiedliwiały się, że chodzi o jej dobro, bo chorego nie wolno przemęczać, a już zwłaszcza podróżami. I nie przyznałyby nawet przed sobą, że mają na względzie cokolwiek innego, na przykład własną wygodę. Opiekowałyby się nią z wielkim oddaniem tu, w wiedeńskim szpitalu albo w jej domu. Tymczasem ona jak zwykle postawiła na swoim! Nie przypuszczały, ile ją ta decyzja kosztowała.

Żeby nie tracić dnia, wybrały poranny lot i kwadrans po dziesiątej znalazły się w Warszawie. Wynajęcie samochodu na lotnisku zajęło im tyle czasu co wypicie kawy i już jechały autostradą A2 w kierunku Płocka.

– To się właściwie tak bardzo nie różni od Austrii – wyglądając przez okno, wspaniałomyślnie uznała Mia.

– W końcu jesteśmy w Unii – zauważyła Elena, która prowadziła.

– Najważniejsze są różnice mentalne. Polacy to specyficzny naród – stwierdziła Tessa.

– To znaczy jaki? – zainteresowała się Mia.

– Cudowny i straszny.

- Myślisz, mam, że nie zmienili się przez te wszystkie lata?
- Mam nadzieję, że tak, ale rozum mi podpowiada, że to mrzonki.
- Czy w dobie globalizacji i Internetu można w ogóle mówić o czymś takim jak charakter narodowy? – zastanawiała się Mia.
- Absolutnie tak! – potwierdziła Elena.
- I będzie o nim można mówić jeszcze za sto lat, wspomnicie moje słowa! – dodała Tessa i wszystkie wybuchnęły śmiechem.

Kiedy skręciły z A2 na drogę, której nie osłaniały ekrany, Mia zaczęła baczniej się rozglądać.

- Ładnie tu – zauważyła wielkodusznie. – Chociaż jakby biedniej.
- Zabory, wojny, polska historia była bardzo niestabilna. Społeczeństwo musiało się kilkakrotnie wszystkiego dorabiać. Widać to na przykładzie hotelu, który wam pokażę. Kiedyś był pałacem miejscowej arystokracji. W czasie wojny stacjonowali tam Niemcy, po Niemcach, którzy wysiedlili prawowitego właściciela, wprowadzili się chłopi.
- Jak to? – nie rozumiała Mia. – Tak po prostu?
- Reforma rolna odbierała majątki obszarnikom, skazując ich na wysiedlenie – wyjaśniła babka. – Hrabia Zajezierski na szczęście dla siebie zmarł nieco wcześniej. Rodziny nie miał, jego syn był biskupem w Watykanie, no i wtedy chłopi, którzy mieszkali w nędznych chałupach, zasiedlili pałac. Była wśród nich moja matka ze swoimi rodzicami.
- Ciekawe, jak im się mieszkało w pałacu? Musieli być zachwyceni – rozmarzyła się Mia.
- Otóż nie, bo pałac był do cna ograbiony, okna powybijane, podłogi zerwane. Nie we wszystkich pokojach były kominki, a nawet jeśli były, nie było w nich kuchni, co jest oczywiste. Tymczasem każdej rodzinie przypadł jeden pokój, w większych gnieździły się po dwie, a nawet trzy rodziny. A rodziny były wtedy liczne. Życie w tych luksusach wcale się mojej babce nie podobało. Myślę, że poczuła ulgę, kiedy wreszcie pałac odebrano i przemianowano na szkołę.
- Dokąd się wyprowadzili?
- Do dawnych czworaków, które tymczasem wyremontowano. Dostali kawałek ziemi z reformy, za duży, żeby umrzeć z głodu, ale za mały, żeby godnie żyć. Zresztą nie mieli maszyn, koni, paszy, bo wcześniej pracowali na

pańskim. I niejeden zaczął żałować, że zabrakło hrabiego, który ich zatrudniał, zapewniając lichy, ale stabilny byt. Tak, kochana, wolność to bardzo drogi przywilej.

[1](#) Na zdrowie! (niem.).

Gutowo, grudzień 1953

W mieszkaniu unosił się zapach farby. Ściany pokoju pomalowane były na kolor nieba, które stanowiło tło dla białych chmur, co bardzo się Monice podobało. Stał tu ogromny tapczan z dwoma wałkami, które matka zdejmowała na noc, ciężki okrągły stół, cztery wyściełane krzesła, szafa, żelazne łóżeczko i duży kafłowy piec. Na drewnianej podłodze leżały dywaniki tkane ze szmatek. Okna przysłaniały siatkowe firanki, przez które widać było plac budowy. W kuchni oprócz stołu znajdowało się też kilka szafek. W kącie pod sufitem wisiał bojler z ciepłą wodą połączony rurami z kuchenką na węgiel.

W maleńkiej łazience obok wanny i sedesu znajdowała się jeszcze umywalka, a nad nią lustro.

Myjąc ręce przed posiłkami, Monika długo przypatrywała się swemu odbiciu. Czasem ostrożnie wysuwała język albo przystawiając kciuki do skroni, machała palcami, ćwicząc przedrzeźnianie. Doskonale pamięta to lustro z półeczką ze szkła pęknięte podczas przykręcania. Bogactwo mieszkania ją onieśmiało. Jaka różnica w porównaniu z domem przy Mostowej! Aż strach się było obrócić, wszystko czyste, nowe, świeże. Z szacunku dla tej czystości matka i Kazimierz zdejmowali buty na klatce schodowej, wchodząc do mieszkania boso. Ten brak wyobraźni nie mieścił się Monice w głowie. Dopiero dostała nowe trzewiki, jeśli je zostawi na klatce, za chwilę ich nie będzie! Targana lękiem, raz po raz naciskała klamkę, wyglądając wąziutką szparką, czy ktoś nie zabrał jej butów. Stoją! Co za ulga! Za chwilę jednak, słysząc czyjeś kroki na schodach, znowu skradała się do przedpokoju, przekonana, że tym razem trzeba będzie wszczać alarm. Robiła to po cichu, bo matka się wściekała z powodu przeciągów. Ale ku jej zdumieniu buty nadal stały. Szczęśliwa i rozczarowana jednocześnie doznawała chwilowej ulgi. Wracała do pokoju, kręciła się, szukając dla siebie miejsca. Choć Stefania w milczeniu zajmowała się szyciem, sprzątaniami lub gotowaniem, przyzwyczajona do jej nieobecności Monika czuła się

skrępowana. Ukryta pod stołem ze szmacianą lalką szeptała jej coś cichutko do ucha.

Kazimierz wstawał o piątej. Kiedy się golił, Stefania gotowała mu kaszę na mleku, owsiankę lub zacierki, rzadziej smażyła jajecznicę ze skwarkami. Ubierał się, zjadał i koło wpół do szóstej wychodził do odległego o dwa kilometry zakładu. Zabierał skórzaną teczkę, a w niej dwie pajdy chleba ze smalcem lub margaryną i butelkę herbaty. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Stefania wracała do łóżka. Spała, póki mogła. Słyszając kręcące się po domu dziecko, wstawała, aby dać małej śniadanie. Od kiedy związała się z Kazimierzem, nie chodziła już do pracy. Monika pamięta, jak stała przy oknie wychodzącym na ulicę, jakby na niego czekała. Ale kiedy wracał tuż przed trzecią, matka nie sprawiała wrażenia zadowolonej, tylko z tą samą obojętną miną podawała mu talerz zupy. Zjadali, wymieniając zaledwie kilka słów, i albo szli na miasto, albo siedzieli w domu. Stefania kręciła się przy kuchni, prasowała, prała. On coś reperował albo pił piwo. Czasem grali w karty. Rozmawiali krótkimi, urywanymi zdaniami.

Przy Kazimierzu Stefania nauczyła się palić papierosy. Początkowo wychodziła na korytarz, potem zaciągała się przy uchylonym oknie, wreszcie, nie natrafiając na jego sprzeciw, odważyła się palić w domu. Choć życie jej się ułożyło, nie wyglądała na szczęśliwą. Miała teraz piękne mieszkanie z wygodami, nie musiała pracować, nie głodowała, a jednak chodziła po domu zacięta, milcząca, odpowiadała półgębkiem, bez powodu podnosiła głos, czasem się nawet kłóciła.

Pewnego dnia Kazimierz przytaszczył skądś maszynę do szycia. Był to stary singer na pedały i korbkę, ale w bardzo dobrym stanie.

– Masz! Żebyś się nie nudziła!

– A mnie to na co? – Wzruszyła ramionami, jednak podeszła bliżej, ot tak, niby bez żadnej przyczyny. Monika widziała, że oczy jej się zaświeciły, jak do jakiegoś skarbu. – Pewno droga strasznie? – rzuciła obojętnie w przestrzeń.

– Tyle o ile – odpowiedział Kazimierz. – Nauczysz się szyć, to se dorobisz.

Od tej pory matka już nie wyglądała przez okno, tylko całe ranki spędzała na szyciu. Najpierw pruć stare koszule i zszywała jak bądź, potem zaczęła kupować jakieś tkaniny i szyła pościel. Kiedy już mieli spory zapas, kupowała gazety z wykrojami i kopiowała zamieszczone tam wzory. Pracowała bez

wytchnienia. Poprawił jej się też humor. Zaczęła kłaniać się sąsiadkom, czego wcześniej nie robiła. Nabrała animuszu, podśpiewywała podczas szycia.

Spadł śnieg. Monika długo stała przy oknie, wreszcie zapytała:

– Czy mogłabym wyjść na dwór?

– A idź, tylko butów nie przemocz!

Zajęta swoją robotą Stefania wzruszyła ramionami, a Monika drżącymi z emocji dłońmi już zapinała guziki płaszczyka. Matka widać uznała ją za dużą dziewczynkę, bo nie obchodziło jej, czy córka włożyła czapkę, czy dobrze zawiązała buty, a ona z rozwiązanymi sznurówkami i lekkim sercem wybiegła wprost w objęcia przygody. Na dworze nie było dzieci, ale to jej nie przeszkadzało, zawsze bawiła się sama. Wychodziła na dwór co rano, wracając dopiero wtedy, gdy głód ją przymusił.

Pewnego dnia pod blok zajechały sanie. Siedzący na koźle starszy mężczyzna zapytał, czy nie wie, gdzie mieszka Kazimierz Janiuk.

– Kazimierz mieszka u nas – odparła rezolutnie.

Weszli do bloku. Na widok mężczyzny Stefania nieco się stropiła.

– Pan dziedzic do mnie?

– Nie mów tak do mnie, dziecko. Pawlak, Pawlak jestem. Kartofli przywiozłem i co tam jeszcze było.

– Kazimierza nie ma... W pracy.

– Otwórz piwnicę, to ci zniosę.

– Ale to nie wypada, żeby pan dziedzic... – krygowała się Stefania. – Ja zniosę! – krzyknęła i zarzuciwszy na plecy waciek Kazimierza, wybiegła z domu, nakazując dziecku zostać.

Niedługo potem wrócili. Mężczyzna nazywany dziedzicem usiadł w kuchni. Czekając na herbatę, przyglądał się Monice.

– Ile masz lat?

– Pięć – odparła Stefania, zanim Monika zdołała pokazać pięć palców.

Pawlak sięgnął do kieszeni i wyjął z niej cukierek.

– Proszę, to dla ciebie.

Monika popatrzyła na matkę i gdy ta skinęła głową, wyciągnęła rękę.

– Może byście tak przyjechali na święta do Długolańki? – rzucił nieśmiało.

– To znaczy ja też? – nie odwracając się, jakby bała się z jego twarzy wyczytać odmienną intencję, zapytała Stefania.

– Wszyscy troje, ma się rozumieć.

– Czyj to pomysł? – spytała przez zaciśnięte gardło. – Wasz czy... jego

matki?

– Wspólny. Ona zresztą już się pogodziła, a ja... Co było, a nie jest... Zresztą nigdy nie przestanę być mu wdzięczny.

Stefania naląła do emaliowanych kubków cieką herbatę i postawiła na stole.

– Wy jemu?

– To on uratował Michała. Naraził się... – rzucił, dziwiąc się, że widzi w jej oczach pytanie.

– Nic mi o tym nie mówił... – Stefania powiedziała to jakby z trudem.

– Michał i Adam, byli w AK. Adam wyjechał latem czterdziestego czwartego do Warszawy i już nie wrócił. Po powstaniu trafił do obozu. Michał został. Był ranny i nie brał udziału w tym szturmie na Gutowo. A potem Kazimierz przyniósł wieści, że Rosjanie wszystkich partyzantów AK zgarnęli, i doradził mu zniknięcie na jakiś czas. Więc Michał siedział na strychu, ledwośmy z matką Kazimierza go tam utrzymali. Kiedy przycichło, wyszedł, chciał szukać swoich kolegów, ale mu powiedzieliśmy, że oddział się rozwiązał.

– Uwierzył?

– Początkowo tak, ale kiedy Celina Cieślakówna powiedziała mu, że od dawna nie widziała brata, zaczął coś podejrzewać. Szukał ludzi, kontaktów, tłukł się, jakby rozum postradał. Chciał sam oddział zakładać, ale kto tylko mógł, był w tej drugiej partyzantce, chłopskiej. Wtedy Michał umyślił sobie, że do jakiegoś innego oddziału przystąpi, no ale przyszedł Kazimierz i uratował go po raz drugi. Opowiedział, jakie rozkazy dostały podobne grupy i że jeśli to zrobi, to się w złodzieja i mordercę będzie musiał przedzierzgnąć, bo teraz takie zadania postawili przed tymi dzieciakami. Mieli siać dywersję, czyli zabijać swoich, bo przecież Niemców już w okolicy nie było.

– Nigdy mi o tym nie opowiadał.

– Kazimierz to dobra dusza, ale zamknięta. To i zresztą lepiej. No, pora już na mnie. Powtórz mu o zaproszeniu. Miejsca jest dosyć. Nie zawiedźcie nas! – powiedział Pawlak, po czym szybkim ruchem dopił herbatę i ruszył do drzwi.

Spoza firanki Stefania przyglądała się, jak zdejmuje z konia derkę, sadowi się w saniach i ściąga lejce. Z dłońmi przy ustach usiadła na tapczanie i przez długą chwilę zastanawiała się nad czymś w milczeniu.

Gutowo, sierpień 2016

Waldemar Hryć chodził poirytowany. Denerwowało go wszystko, ale najbardziej coraz większa opieszałość Zbyszka. Dotychczas chłopak każde polecenie łapał w lot, co więcej, potrafił wyprzedzać jego myśli i komentować nawet te niewypowiedziane. Hryć bardzo sobie cenił tę współpracę, dawał synowi coraz większy zakres odpowiedzialności, pozwalał mu na decyzje, na eksperymenty, ale teraz zaczął tego żałować, bo Zbyszek zrobił się powolny, leniwy, zamyślony. Trzeba mu było wszystko powtarzać dwa razy. Zmiana w zachowaniu chłopaka mogła firmę drogo kosztować: niedługo Dni Gutowa, a koncepcja ciastka konkursowego wciąż niedopracowana.

Tym razem zamierzali pokonać konkurencję prostotą. To był pomysł Zbyszka, który twierdził, że szokujących nowości gutowianie mieli co roku po uszy. Ciastka były coraz większe, coraz słodsze, coraz bardziej ozdobne.

– Zróbmy coś kompletnie na odwrót! – powiedział. – Ciastko bez ciastka.

– Ale jak to? – Hryć nie rozumiał.

– Coś, co nie będzie tylko ciastkiem, ale będzie tanie i pożądane.

– Czyli?

– Ciastko z wróżbą.

Hryć początkowo wydał wargi.

– A co ja jakaś Cyganka jestem? Zresztą kto by dał się nabrać na wróżbę z ciastka?!

– Każdy, kto czyta te durne horoskopy w gazetach.

Hryć skrzywił się pogardliwie, ale w głębi serca czuł, że syn może mieć rację. Niestety, on też chciał przeniknąć mgłą przeznaczenia i dowiedzieć się, co go czeka. Pod warunkiem oczywiście, że w toalecie znalazł jakieś pisemko z horoskopem. Bo na widoku nie dałby się z czymś takim przyłapać. Zatem ciastko z wróżbą? Pozostawało stworzyć ciasto na tyle zwięzłe, żeby dało się formować, i na tyle kruche, żeby można je było łatwo złamać w poszukiwaniu

wróżby.

– Ale skąd weźmiemy te wróżby? Przecież musi ich być co najmniej kilka setek – zastanawiał się przejęty.

– Damy radę! – Zbyszek uśmiechnął się szeroko. – Biorę to na siebie.

Ta rozmowa miała miejsce kilkanaście dni temu. Od tej pory próbowali różnych wersji ciasta: mniej i bardziej słodkiego, mniej i bardziej kruchego, z ozdobami i bez. Zaczęli już nawet wkładać do ciastek paski papieru. Nie mieli jeszcze tylko treści wróżb.

Ostatnio jednak entuzjazm Zbyszka znacznie zmalał. Chłopak wyglądał jak struty, chodził z ponurą miną. Wypełniał co prawda polecenia, ale bez tego szczególnego ognia, bez żaru, bez uśmiechu, kiedy coś wyszło. A najgorsze, że na fajrant zniknął. Obojętny na to, czy nie będzie potrzebny, wychodził, jakby był pracownikiem, a nie przyszłym właścicielem firmy. Na pytania, czy nic mu nie jest, odpowiadał, wzruszając ramionami:

– A co ma mi niby być?

Nigdy nie odznaczał się szczególną otwartością i gadatliwością, ale teraz nie sposób było z niego wyciągnąć cokolwiek.

– Zbyniu, jutro musimy zacząć piec ciastka. Co z tymi wróżbami? – zapytał Hryć. – Zostały trzy dni!

– Spoko, będą! – odparł Zbyszek i jak zwykle pojechał do Płocka.

Wrócił, kiedy Hryć już spał. Obudziło go światło i podniesiony głos syna.

– Co wy sobie wyobrażacie, że jestem jakimś przestępcą?! – Zbyszek krzyczał w kuchni, a Helena starała się go uspokoić. – Jeśli zlecacie komuś, żeby mnie śledził, to przynajmniej wybierzcie kogoś, kto się na tym zna, a nie jakiegoś palanta!

Hryć zerwał się na równe nogi i zbiegł na pierwsze piętro do kuchni.

– Co tu się dzieje?

– Masz swojego detektywa! – Zbyszek wyszarpał z kieszeni kurtki telefon i rzucił go ojcu. – Możesz mu to jutro oddać. Oczywiście żadnych zdjęć już tam nie ma.

– Co... Co... – Z wrażenia Waldemarowi zabrakło słów.

– Myślisz, że jestem durniem? Że nie mam w aucie wstecznego lusterka czy co? Że nie zauważę, że jestem śledzony?!

Przerażona Helena zakryła usta dłonią.

– Pobiłeś się z nim? – Hryć nie mógł uwierzyć.

– Nie! Dobrowolnie mi oddał! – krzyknął Zbyszek, przykładając sobie do

zakrwawionego czoła ścierkę zmoczoną w zimnej wodzie.

- Sam jesteś sobie winien! – wściekał się ojciec.
- Aż tak źle ze mną, że trzeba mnie śledzić? Chyba jestem dorosły?
- Gdybyś się zachowywał jak dorosły, nikt by cię nie śledził. Masz wróżby?
- zapytał Hryć, ale zaraz ugryzł się w język.
- Jakie znowu wróżby? – nie rozumiała Helena.
- Nie miałem głowy do wróżb.
- I to ma być dowód dorosłości? Jutro od rana mamy zacząć wypiek, ale nie zaczniemy, bo szanownemu panu zachciało się udawać dorosłego. Na dodatek przez ciebie muszę jeszcze pojechać do Płocka, żeby facetowi nie przyszło na myśl złożyć zawiadomienia o pobiciu, chyba że już złożył. A to wszystko tuż przed Dniami Gutowa!
- Mam gdzieś Dni Gutowa! – warknął Zbyszek. Waldemar podskoczył do niego, złapał za koszulę i przyciągnął do siebie, aż niemal zetknęli się nosami.
- Coś ty powiedział?! –
- To, co słyszałeś.
- Hryć puścił syna i wyszedł z kuchni.
- Jak mogłeś?! Natychmiast przeproś ojca! – powiedziała wstrząśnięta Helena.
- A mnie kto przeprosi?! Czym zasłużyłem na takie traktowanie?! Nie dość się starałem? Od dziecka harowałem jak wół. Nie należy mi się odrobina prywatności? Trochę czasu tylko dla siebie, spędzonego tam, gdzie chcę, a nie tam, gdzie wy chcecie?!
- Idź i przeproś ojca, zanim będzie za późno! – powiedziała Helena z lodowatym spokojem, choć wszystko w niej wrzało.
- Tak, wyjeżdżałem do Płocka i siedziałem tam do nocy, bo nie chciałem z nim gadać. Ciągłe ma jakieś uwagi, ciągle mi coś wytyka!
- Co ty opowiadasz?! Ojciec cię kocha i jest z ciebie dumny!
- Byłaś kiedyś na produkcji? Słyszałaś, jak mnie traktuje? Jakbym wciąż miał pięć lat! Ciągłe coś po mnie poprawia, staje i patrzy, jak wykonuję swoją robotę, chociaż nie jestem gorszy od niego!
- Nigdy tak nie mów!
- Bo co?
- Bo jesteś jego synem, a on jest twoim ojcem. Nie porównuj się, uszanuj jego władzę, bo to on jest szefem i za wszystko odpowiada. Również za pieniądze, które dają nam utrzymanie.

- Ojciec myśli jak cukiernik z poprzedniego stulecia! – warknął Zbyszek.
- Bo jest cukiernikiem z poprzedniego stulecia, jak ma myśleć? Dlaczego z nim o tym nie porozmawiasz?
- Sądzisz, że nie próbowałem? Musimy się zmieniać! Kto stoi w miejscu, ten się cofa.
- Ludzie lubią nasze wyroby, cenią tradycję, przyjeżdżają z odległych miejscowości, żeby kupić coś, co smakuje tak samo od lat. Teraz idź, przyklej sobie plaster, a jutro porozmawiaj z ojcem, najlepiej po pracy i bez świadków. On nie jest taki, jak myślisz. Ma swoje lata, ale na pewno gotów byłby przyjąć twoje argumenty, jeśli będą rzeczowe.
- Wątpię.
- Nie wątp, spróbuj. Ale zacznij od przeprosin.
- Nasłaliście na mnie kapusia! W dodatku beznadziejnego! Bo gdybym się nie zorientował, trudno. A może chcieliście, żebym zauważył?
- Nic nie wiem o żadnym kapusiu – broniła się Helena.
- Pewnie. Ty byś wybrała lepszego!
- Nie nakręcaj się. Wybrnij jakoś jutro z tego kłopotu i pomóż ojcu w przygotowaniach. Nasze kłótnie to woda na młyn konkurencji. Nie musimy wygrać, ale nie możemy się ośmieszyć. Ludzie przyjeżdżają tu także dla nas. Jeśli jesteś dorosły, jak twierdzisz, powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. A na śledzenie zasłużyłeś jak mało kto. I jeśli nie miałbyś nic na sumieniu, to na pewno nie rzucałbyś się z pięściami na tego biednego człowieka. Powiem ojcu, żeby potrącił ci z pensji jego wynagrodzenie. Dobranoc.

Płock, sierpień 2016

Waldemar Hryć musiał szybko zdecydować: idzie na wojnę z synem czy też dla dobra firmy zakopuje topór wojenny. Po wczorajszej wstrząsającej rozmowie nie był już pewien niczego, nawet własnych uczuć. Pierwszy raz od dawna nie mógł zasnąć. Żałował, że pozwolił rozgorzeć kłótni. To denerwował się konkursem na ciastko, to szukał przyczyn swojej kłęski wychowawczej. Chciał porozmawiać z żoną, ale ich małżeńska sypialnia i pokój Zbyszka sąsiadowały, bał się więc, że syn coś usłyszy. Na dodatek Helena odwróciła się do niego plecami i powiedziała „Dobranoc!”, wkrótce zasnęła.

Hryć słyszał jej spokojny oddech i dziwił się, że Helena śpi, niepomny, że do tej pory to ona zazwyczaj czuwała, póki syn nie wrócił.

Mimo zaawansowanego procesu przygotowań pomysł Zbyszka na ciastko konkursowe wciąż nie przekonywał Waldemara. Bo jakże tak: zwykłe kruche ciasteczko niemal bez ozdób miałoby pokonać torciki, bezy i biszkopty kunsztownie przekładane bitą śmietaną i ozdobione świeżymi owocami? Jakoś mu się to nie mieściło w głowie. Sądził, że Dni Gutowa i trwająca od lat rywalizacja zobowiązują do stanięcia na głowie, wymyślenia ciastka, jakiego jeszcze nie było, nawiązującego wszakże do tradycji miasta i regionu. Tymczasem Zbyszek proponował coś, co przypominało sprzedawane przez duże fabryki ciastka przemysłowe, które jako konkurencja dla produkcji rzemieślniczej od zawsze budziły w Hryciu niesmak. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeśli odstąpi od pomysłu syna, będzie to znaczyło, że Zbyszek wciąż jeszcze nie ma w firmie zbyt wiele do powiedzenia i to on, jego ojciec, dzierży stery.

Tak było w rzeczywistości, ale może dla dobra rodziny powinien jednak odpuścić sobie tegoroczny konkurs? A może wykonać ciastko zaproponowane przez Zbyszka, przegrać z kretelem, zebrać trochę połajanek od klientów,

pozazdrościć zwycięstwa chełpiącej się konkurencji i pokazać synowi, że w sprawach cukierniczych ma przed sobą jeszcze wiele lat terminowania? Zresztą nie było już czasu na wymyślenie czegoś zupełnie nowego, brakowało też pomysłu, a nawet zapału. Tego ostatniego chyba najbardziej.

Starzeję się – pomyślał Hryć i po raz pierwszy pożałował, że Iga oddała cały swój czas i zaangażowanie pałacowi. Z nią nigdy nie było problemów. Oczywiście córka doradzała mu, jeśli tylko o to poprosił, ale niepisana umowa czyniła Zbyszka naturalnym spadkobiercą dziedzictwa Hryciów. – Trudno, zrobimy to ciastko z wróżbą! – postanowił w końcu Waldemar. – Taka mała nauczka przyda się Zbyszkowi. Chłopak nabierze pokory, nauczy się, że konkurencji nie wolno lekceważyć. Jakoś przeżyjemy tę porażkę. Może to zresztą znak od opatrności?

Szarzało już, kiedy wreszcie zasnął. Śniła mu się matka. Celina nigdy nie poznała Zbyszka, urodził się po jej śmierci. We śnie stali obok siebie, patrząc, jak Zbyszek próbuje jeździć na małym dziecięcym rowerku.

– Jest już taki duży! – powiedziała Celina.

– Przewróci się! – Przerażony Waldemar drżał ze strachu.

– To tylko dziecięcy rowerek, nic mu się nie stanie – uspokajała go matka.

Hryć obudził się, niemal słysząc jej głos.

To tylko jeden konkurs. Nic nam się nie stanie, jeśli raz przegramy – pomyślał i wstał.

Podczas porannej toalety podśpiewywał, co zdumiało, ale i ucieszyło Helenę. Nie zapytała, jaki ma powód, ale taka zmiana po kilku dniach kłótni bardzo się przyda. Odetchnęła z ulgą i przekreśliła się na drugi bok, zasypiając jeszcze na chwilę.

Waldemar zjadł śniadanie i zszedł otworzyć zakład. Był z siebie bardzo zadowolony, a ten stan jeszcze się pogłębił, kiedy zobaczył minę Zbyszka.

– Dopilnujesz produkcji pierwszej partii ciastek z wróżbą, ja mam sprawy urzędowe, ale do czternastej wrócę. Gdybym nie zdążył, pozamykasz wszystko – powiedział i rzucił synowi duży pęk kluczy, z którym się niemal nie rozstawał. Któryś z pracowników gwizdnął, ktoś tam chrząknął i rozeszli się na swoje stanowiska.

Dziękuję, mam! – pomyślał Waldemar, wychodząc z zakładu.

Szykował się na długi, nerwowy dzień.

Zazwyczaj Helena wstawiała dopiero o siódmej. Do tej pory Waldemar zdążył już wypić kawę, posłuchać radia i wyjrzeć kilkanaście razy przez okno, jakby się spodziewał, że któryś z pracowników przybiegnie, wołając go na ratunek. Po podwórku nikt się jednak nie kręcił, najwyraźniej praca szła zwykłym trybem. Tylko o wpół do siódmej wpadł do domu zaaferowany Zbyszek.

– Coś się stało? – ze źle ukrywaną radością zapytał Hryć.

– Nie, nic. Przyszedłem po wróżby – krzyknął chłopak i pobiegł do swojego pokoju.

Waldemar wyteżył niemal wszystkie siły, aby za nim nie pójść. Nastawił więc ponownie wodę, tym razem na herbatę. Nerwowo uderzając się dłonią po udzie, czekał, aż czajnik zagwiżdże. Na górze pracowała drukarka, a kilka minut później do kuchni zszedł Zbyszek z jakimiś kartkami.

– Pomożesz mi? – zapytał.

– W czym?

– Trzeba to porozcinać.

Hryć popatrzył na kartkę:

– „Jak zawsze masz rację” – przeczytał na głos. – „Dobrze sobie radzisz”, „To jeszcze nie koniec”. To są te wróżby? – krzyknął, bo Zbyszek znowu pobiegł na górę.

– Tak! Możesz się pośpieszyć? Muszę zanieść chłopakom porozcinane paski. Jak myślisz, mogą obudzić mamę?

– A po co?

– Trzeba to jeszcze zrolować.

Waldemar westchnął, wyjął z szuflady nożyczki i choć ręce mu trochę drżały, zaczął rozcinać wąskie paski papieru. Przy okazji czytał wróżby jedną po drugiej. Zbyszek doniósł kolejne kartki i usiadł przy stole.

– Ile tych ciastek zejdzie, jak uważasz? – zapytał ojca.

– Piętnaście, dwadzieścia kilo? – zastanawiał się Hryć.

– To musimy piec na okrągło! – Chłopak westchnął. – O której wychodzisz?

– O dziewiątej.

– A moglibyście z mamą do tej pory pociąć i zrolować wszystko? Muszę już lecieć do zakładu.

Waldemar tylko wzruszył ramionami i gwizdząc ostentacyjnie, powrócił do cięcia.

Dziesięć po siódmej, wciąż w pizamie, weszła do kuchni Helena. Waldemar siedział przy stole i zwijał setki miniaturowych pasków papieru, wrzucając je do małego wiklinowego koszyka.

– Co to? – zapytała, ziewnąwszy.

– Wróżby.

– Wróżby?

– Ten rok na pewno zapamiętamy – powiedział z westchnieniem.

– Ciastka z wróżbą? – Zawiesiła głos. – To pomysł Zbyszka?

– Zwyczajna dziecinada. Przepis banalny, a te wróżby to katastrofa. Ale niech ma poczucie, że coś od niego zależy. Chce być dorosły, proszę bardzo. Jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz.

– Jesteś bardzo mądry! – powiedziała Helena, ucałowała męża w policzek i poszła się ubrać.

Dochodziła ósma, kiedy pierwsza partia ciastek konkursowych została wyjęta z pieca.

– Jeśli będzie za mało, to niech dziewczyny pomogą. Kazałem mu upiec dwadzieścia kilo – powiedział do żony Hryć.

– No, to chyba nam wystarczy do andrzejek... – Helena westchnęła.

– Kaczki w jeziorze będą miały brzuchy pełne wróżb! – Waldemar uśmiechnął się krzywo. – Jak ja w oczy spojrzę innym cukiernikom? Pomyślą, że zwariowałem.

– Dobrze już, dobrze, jedź do tego Płocka! Przeproś faceta i wypytaj go o wszystko. Ja zaniosę Zbyszkowi te wróżby.

– Zabiją nas śmiechem! – Hryć westchnął teatralnie i wyszedł, Helena zaś udała się na przespiegi do pracowni. Po raz pierwszy miała wstęp do zakładu przed Dniami Gutowa, ale bardziej jeszcze chciała wesprzeć syna, gdyby tego potrzebował.

Zastała go zaaferowanego. Razem z kierownikiem zmiany liczyli, ile ciastek muszą upiec. Prototypy ozdobione kolorowym lukrem prezentowały się nie najgorzej.

– Można? – Helena wskazała na ciastka.

Zbyszek kiwnął głową.

Drżąc z emocji, wzięła jedno i ostrożnie nadgryzła.

– W tej partii nie ma jeszcze wróżb.

– Jest za słodkie – powiedziała z powagą. – Jeśli ciastka nie będą smaczne, ludzie będą je wyrzucać. Zrezygnowałabym też z lukru, jest tandetny.

– Czekolada się roztopi, na weekend zapowiadają upały, a jakoś musimy je ozdobić, bo wróżba wróżbą, ale bez niczego wyglądają żałośnie nijako.

– Chyba mam pomysł! – powiedziała i poszła do domu.

Nie podzielała obaw męża, że ciastko z wróżbą jest zbyt skromne, aby stanąć w szranki z torcikami i bezami. Wręcz przeciwnie, było w tym produkcie coś, czego wszyscy cukiernicy poszukują: innowacja. Ludzie będą zaintrygowani. Należy tylko ciastko właściwie opakować, a od czego Zbyszek ma ją, swoją matkę? Ze sklepowego zaplecza wzięła kilkanaście sztuk przezroczystej folii, różnokolorowe tasiemki, których używali do pakowania wielkanocnych bab, i miniaturowe wizytówki cukierni. Z tym wszystkim poszła do pracowni. Na celofan położyła ciastko i wizytówkę, zebrała brzegi folii i obwiązała dwiema cienkimi wstążeczkami, rozchylając końcówki. Wyglądało to naprawdę dobrze.

– Jesteś genialna! – ucieszył się Zbyszek.

– Ciastko zrobiło się eleganckie i na dodatek nie będziesz musiał używać szczypców. Kiedy wystygną, przynies na zaplecze, to wam popakujemy. Przydałyby się jeszcze jakieś ładne kosze, najlepiej piknikowe, żeby podkreślić swobodną, wakacyjną atmosferę – zastanawiała się na głos Helena.
– Widziałam takie w sklepie AGD. Kiedy otworzą, kupię kilka.

Na spotkanie z prywatnym detektywem Waldemar jechał zdenerwowany. Jeśli mężczyzna okaże się sprytny, nieodpowiedzialne zachowanie Zbyszka może Hryciów drogo kosztować. Co mu strzeliło do głowy, żeby się wdawać w jakieś bójkę? A może ten facet odkrył kompromitujące dzieciaka fakty? Może Zbyszek zadał się z jakimś nieodpowiednim towarzystwem? Co, jeśli detektyw zacznie ich teraz szantażować? Pewnie ma również inne zdjęcia poza tymi zniszczonymi, to żaden problem w dzisiejszych czasach.

Pełen złych przeczuc Waldemar dojeżdżał już do Płocka. Umówili się z detektywem na parking pod Galerią Mazovia. Mężczyzna stał obok samochodu zajęty sprawdzaniem czegoś w telefonie. Hryć pożałował, że nie przegadał sprawy z Heleną. Powinien się przygotować na różne ewentualności, tymczasem miał w głowie pustkę.

Zaparkował i podszedł. Uścisnęli sobie dłonie. Dobiegający czterdziestki

szczupły mężczyzna miał świeży strup na policzku i podbite oko.

Co z niego za detektyw, skoro dał się pobić cukiernikowi? – nie bez pewnej satysfakcji pomyślał Hryć. – Żeby jeszcze Zbyszek kiedyś coś trenował...

– Czy to mój syn?... – zapytał, wskazując na obrażenia.

– Tak wyszło... – Detektyw machnął lekceważąco ręką, co dało Hryciowi pewną nadzieję.

– Nie wiem, jak pana przeprosić...

– Dogadamy się. Myślę, że mam dla pana pewne informacje.

Waldemar struchlał.

– Zdaje się, że chodzi o dziewczynę. A raczej o młodą kobietę.

– O mój Boże... – Hryciowi wyrwało się westchnienie ulgi. – Spodziewałem się nie wiadomo czego... Ile jestem panu winien za pobicie i telefon? – mówił szybko, wyciągając z kieszeni gruby zwitek banknotów i aparat z rozbitym wyświetlaczem. Chciał jak najszybciej załatwić sprawę i uspokoić Helenę.

– Nie tutaj! – syknął detektyw. – Wsiądźmy do auta. Nazywa się Martyna Nowak. Tu jest jej adres – zapisał coś w notesie i wyrwaną kartkę podał Hryciowi.

– Ile się należy?

– Tysiąc.

Waldemar był przygotowany na więcej. Dodał mu dwie stówki za dobrą nowinę, uściśnął dłoń i wysiadł z samochodu. Chwilę później, jadąc w kierunku Gutowa, zadzwonił do żony.

– Banalna sprawa. Chodzi o kobietę.

Długołęka, styczeń 1954

Przez kilka lat po śmierci Ewy Michał Podedworski nie zdołał przyjechać do Długołęki. Pisał listy z przeprosinami, zasłaniał się nauką i pracą, ale Pawlak rozumiał, że wciąż się zamartwia tragicznym wypadkiem i oskarża z powodu jej utonięcia. Wszyscy to zresztą bardzo przeżyli. Taka młoda i śliczna! Miała z nim wyjechać, planowali ślub... Niezbadane są wyroki boże.

Jako młody chłopak Michał stracił całą rodzinę, a okrutny los po raz kolejny go doświadczył. Dlatego Pawlak nie śmiał nalegać, ciągnąć go dla swej przyjemności tu, gdzie wszystko przypominało mu narzeczoną. Ale czas goi rany, nawet te najboleśniej. I w końcu po pięciu latach, w 1953 roku, Michał zapowiedział się z wizytą na Boże Narodzenie! Tak się cieszyli z Janiukową, że go wreszcie zobaczą! Na te święta zaprosili też syna gospodyni, Kazimierza, który teraz mieszkał w Gutowie. Michał nigdy mu nie podziękował za cynk, dzięki któremu zdołał w 1945 roku uratować życie, i Pawlak sądził, że to będzie dobra okazja, aby się poznali.

Tuż przed Wigilią wyciął w zagajniku wielki świerk i ustawił go w kącie salonu. Przybrana kolorowymi, pamiętającymi lepsze czasy ozdobami choinka pachniała lasem i cieszyła oczy. Michał się spóźnił, siedli więc do kolacji bez niego, popatrując niepewnie na puste nakrycie. Kiedy wreszcie dotarł, zmęczony podróżą i zziębnięty po długim marszu z Gutowa, usiadł przy stole i skupił uwagę na jedzeniu, wszystkie pytania zbywał półsłówkami. Na darmo starali się go rozbawić, nie był to już ten dawny wesoły i bez troski chłopak. Gdy wyszedł na papierosa, Pawlak podążył za nim. Michał nic nie powiedział na temat gości, a Pawlak nie domyślił się prawdy, dlatego nie oponował, kiedy następnego dnia Michał oznajmił przy śniadaniu, że musi wracać. Uściskali się czule i nie zobaczyli nigdy więcej. Kazimierz ze Stefcią i małą Moniką również tego dnia wyjechali.

W sylwestra, niezapowiedziany, ciągnąc dziecko na sankach, przyszedł do

Długołaki Kazimierz Janiuk. Okazało się, że tuż po świętach w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła Stefcia. Kazimierz prosił Pawlaka i swą matkę, aby zaopiekowali się małą, póki jakoś sobie nie zorganizuje życia. Ale nie śpieszył się z tym, zresztą nie umiał zajmować się dzieckiem, a może nie chciał. Stefcia się nie odnalazła i Janiukowa, uzyskawszy zgodę Pawlaka, zdecydowała, że dziecko zostanie we dworze. Prawie straciła już nadzieję na własną wnuczkę, a Monika przywiązała się do niej jak do rodzonej babki. Pelagia z uczuciem czesała jej długie jasne włosy i zbierała w gumkę uciętą ze starej dętki rowerowej. Również Pawlakowi nie przeszkadzało dziecko kręcące się po obejściu, przeciwnie, traktował je jak dar losu. Obwiązana ogromną wełnianą chustą dziewczynka dreptała tuż za nim, zadając tysiące pytań. Łzy z oczu wyciskała jej chęć niesienia pomocy. Budziła się skoro świt i z miejsca pytała, co może dziś zrobić, dumna z tego, że przynosi drewno na rozpałkę i zamiata podłogi, karmi psy i asystuje przy dojeniu.

Podczas nabożeństwa na Trzech Króli w zajezierzyckim kościele Janiukowa spotkała starą Paździochową, która również przyszła z wnuczką. Na jej prośbę kilka dni później Paździochowa przyprowadziła małą Teresę do Długołaki. Brzydkie to było, aż litość brała. Mała i chuda, z wiecznym gilem, który co chwila zlizywała albo wycierała wierzchem dłoni. Opatulona starą chuścina, człapiąca w drewniakach, budziła litość. Trudno z niej było wyciągnąć choćby słowo, ale szeroko otwarte oczy chłoneły wszystko z żarłoczną ciekawością. Kiedy siadła przy stole, omal nie poparzyła sobie ust mlekiem, któremu nie dała ostygnąć. Wielką pajdę chleba z masłem i powidłami śliwkowymi zjadła na trzy kęsy, ale nie poprosiła o dokładkę.

Monika, zadowolona z wizyty, bez przerwy paplała, a Teresa w milczeniu, niczym giermek, wykonywała jej rozkazy. Najpierw ulepiły bałwana, a potem pomagały w domu: łuskały fasolę, nakarmiły kota, nakryły do stołu. Po obiedzie Pawlak czytał im *Panią Twardowską* Mickiewicza. A potem zaprzągnął do sanek i zawiózł Teresę do domu. Od tej pory, kiedy tylko pogoda i babcia pozwoliły, Teresa zjawiała się w Długołące. Czasem szła pieszo, czasem ktoś ją podwiózł. Nie wiadomo, co było dla niej ważniejsze: obfity posiłek, zabawa z Moniką czy słuchanie bajek, może wszystko naraz. Pawlaka cieszyło, że obie się domagają czytania, bo jesienią miały zacząć naukę w szkole.

Pewnego dnia wyjął z szuflady jakieś kartki, zatemperował dwa ołówki i zaczął je uczyć pisania. Monika trochę grymasiła, Teresa traktowała naukę

śmiertelnie poważnie. Stawiały rzędkie koślawych kółek i lasek, z których potem miały powstać litery, a Pawlak czytał im na głos *Pana Tadeusza*, bo dziecięcych lektur w Długołęce nie było. Janiukowa sarkała trochę, wołała, aby dziewczynki pracowały w domu, uczyły się szycia albo gotowania, ale gospodarz zbeształ ją za to krótkowzroczne podejście.

– Żadna nie odziedziczy majątku, w nauce ich jedyna szansa – powiedział dobitnie.

O dziwo obie zapamiętały te słowa. Być może to jedno, prawdziwe, choć bez większego zastanowienia wypowiedziane zdanie zaważyło na ich życiu i podejmowanych przez lata decyzjach. Czasy, choć parszywe, sprzyjały takim jak one. Nauka wreszcie była bezpłatna, mogły zostać, kim chciały. Pragnąc je zachęcić do wysiłku, Pawlak zajrzał do szuflady, w której nadal przechowywał pamiątki po zmarłej dwadzieścia lat wcześniej żonie. Na wierzchu leżało metalowe pudełko po landrynkach, a w nim zerwany i nigdy nienaprawiony naszyjnik z cyrkonii. Pawlak wyjął jeden koralik, położył przed dziewczynkami i powiedział:

– Od dziś ta z was, która ładniej napisze swoją lekcję, dostanie w nagrodę taki koralik.

Dziewczynki spojrzały pożądliwie na połyskującą w świetle lampy magiczną kuleczkę i z zapalem zabrały się do pisania, a Pawlak ani przypuszczał, że tym drobnym gestem wywołuje rywalizację, która przetrwa dziesięciolecia.

Płock, sierpień 2016

Płocki detektyw Kamil Bańka trochę się dziwił łatwości, z jaką Waldemar Hryć odpuścił sprawę. Najpierw kazał mu śledzić chłopaka, a kiedy się spotkali, niczego nie chciał się dowiedzieć o dziewczynie, z którą jego syn spędzał tak dużo czasu. Ulga, jaką poczuł, słysząc, że chodzi o kobietę, sugerowała, że w tej samej chwili przestał się nią zajmować. Uznał widać, że to osobista sprawa jego syna. Pewnie bardziej by się zainteresował, gdyby chodziło o narkotyki. To zresztą lepiej, że z takim pośpiechem odjechał do Gutowa, bo pozostawił kwestię otwartą. Kamil odczekał kilka dni, gdyby klient jednak zmienił zdanie, wreszcie, nie mając innych zleceń, wskoczył do auta i ruszył w kierunku Mostowej.

Dom sąsiadujący z ogrodami Książnicy Płockiej wyglądał na dość zaniedbany. Był stary, chyba nawet przedwojenny, z drewnianymi przybudówkami, pewnie gnieździło się tu wielu lokatorów. Kamil siedział w aucie zaparkowanym na chodniku, pałac i obserwując furtkę. Mniej więcej pół godziny później na ulicy pojawiła się drobna szatynka. Nie było w niej nic, co by szczególnie zwracało uwagę. Ani ładna, ani brzydka, choć miała dwadzieścia parę lat, wciąż wyglądała na nastolatkę. Długie włosy ściągnęła gumką. Lekka sukienka w kwiaty, duża szmaciana torba, okulary przeciwsłoneczne i klapki sprawiały, że można by ją uznać za gimnazjalistkę. Jednak on nie dał się nabrać. Zresztą pchała przed sobą spacerówkę z niespełna roczną dziewczynką, drugą ręką trzymała niewiele starszego, może trzyletniego chłopca. Kiedy zrównała się z jego autem, Kamil wysiadł. Najwyraźniej go poznała.

- Czego?! – warknęła.
- A jak sądzisz?
- Mało ci było obicia mordy?! Koniecznie chcesz więcej?
- Do wesela się zagoi. – Uśmiechnął się, niezrażony jej ostrym tonem.
- Po coś tu przylazł?!

– Spotkałem się z szanownym tatusiem tego twojego amanta. Mogłem mu powiedzieć wiele ciekawych rzeczy... I nadal mogę to zrobić.

– Co cię powstrzymuje? – spojrzała na niego z politowaniem.

– Tysiaka i zapomnę o sprawie.

Dziewczyna tylko prychnęła.

– W takim razie przejadę się do Gutowa i zdam mu dokładny raport. Może to nie zniechęci małolata, ale tatuś będzie ostrożniejszy. Zdaje się, że synek jest jedynakiem? Dwa domy przy rynku w Gutowie plus cukiernia, jest o co walczyć...

– Nie jest jedynakiem – powiedziała obojętnie.

– Przyjadę jutro o tej samej porze.

Nie próbowała żadnych targów, nie miała przy sobie nawet całej stowy. Wypłata dopiero za trzy dni, zresztą niech sobie jedzie do Gutowa, już raz z nim gadał i stary odpuścił. A nawet jeśli Mały będzie miał szlaban, czy to warte tysiaka? Potrząsnęła głową, jakby chciała odpowiedzieć samej sobie, i przyspieszyła kroku. Kamil przez chwilę patrzył za nią, po czym wszedł do auta i odjechał.

Martyna z zaciętą miną pchała wózek, drugą ręką ciągnęła marudzącego synka. Gdy weszła w Tumską, usiadła na pierwszej z brzegu ławce. Ten durny kapuś poddał jej myśl, której do tej pory nie śmiała nawet rozważyć, ale może powinna? A jeśli to jest ten jedyny moment w życiu, kiedy trzyma w dłoni szczęśliwy los? Nie do końca szczęśliwy. Chłopak nie był w jej typie. Wielkie, ciężkie, zwaliste ciało, które nigdy nie widziało siłowni. Utuczony na pączkach tatusia, misiowaty, powolny, rudawy i piegowaty. Na dodatek przestraszony, co rodzice powiedzą, kiedy się chociaż trochę spóźni. Co prawda szastał forszą w klubie, a płacili jej za to, aby naciągała klientów na drogie trunki, potem raz czy dwa chciał się umówić. Odprowadził ją nawet do domu, kiedy nad ranem kończyła pracę. Wtedy właśnie widział ich ten detektyw. Ale nigdy do niczego nie doszło. A może powinno?

Popatrzyła na dzieci. Jak by zareagował Zbyszek, wiedząc, że ona jest matką? Może trzeba to sprawdzić? Pójść o krok do przodu? Wyjęła telefon i szybko wybrała jego numer. Raz kozie śmierć. Długo nie odbierał, aż zniechęcona przerwała połączenie. W końcu jednak oddzwonił.

– Nie mogę gadać, mam urwanie głowy! – rzucił szybkim szeptem.

- Będziesz dziś? – zapytała.
- Nie wiem jeszcze, może każą mi zostać na drugą zmianę...
- Nawet jeśli, będę czekać – powiedziała obiecująco.
- W porządku, przyjadę! – zdecydował, z wrażenia opierając się o ścianę. Dawała mu nadzieję! Wreszcie dawała mu nadzieję!

W zakładzie trwało pakowanie koszy piknikowych.

– W każdym mieści się sto ciastek, będzie łatwo policzyć. Mamy dwadzieścia koszy.

– Razem dwa tysiące. Chyba wystarczy? – zastanawiał się Hryć.

Zbyszek spojrzał na ojca.

– Jutro możemy jeszcze dorobić... – zaproponował.

– Jutro trzeba zrobić normalną produkcję do cukierni, przecież tu ludzie też przyjdą.

– Racja! – wykrzyknął Zbyszek, jakby ojciec odkrył Amerykę.

Zwłaszcza dziś nie zamierzał się sprzeczać. Kątem oka spojrzał na zegar ścienny, ale było jeszcze wcześnie, dopiero dochodziła piąta. Waldemar Hryć zauważył to spojrzenie.

– Widzę, że dziś znów nie zjemy razem kolacji... – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Mama będzie niepokieszona. – I nim Zbyszek zdążył odpowiedzieć, dodał: – Kiedy ją poznamy?

– Może już niedługo? – padła odpowiedź i obaj poczuli, że zrobili krok naprzód.

Godzinę później Zbyszek wszedł na chwilę do kuchni. Rodzice siedzieli przy kolacji. Ucałował jedno i drugie, skubnął trochę sałaty, z rondelka wyjął klopa i odrobinę sosu, z garnka dwie łyżki kaszy.

– Nałóż sobie na talerz, jak człowiek! – skarciła go Helena.

– Nie jestem głodny – odparł, ale po krótkim zastanowieniu sięgnął jednak po talerz.

– Myślicie, że mamy szansę? – zapytał Waldemar.

– Na wygraną? Moim zdaniem tak! – Helena próbowała iść w sukurs synowi, który wcale tego nie potrzebował. Jego myśli poszybowały już daleko i nawet gdyby z kretesem przegrali konkurs, nie bardzo by go to obeszło.

– Damy radę! – rzucił pomiędzy jednym a drugim kęsem, ale najwidoczniej

nie zamierzał podejmować dłuższej dyskusji. Zresztą nie było odwrotu. Mieli dwa tysiące ciastek i będą je musieli tak czy owak sprzedać.

Jechał do Płocka lekki i radosny. Pogodzony wreszcie z rodzicami, pełen nadziei na spełnienie. Marzył o tej dziewczynie od dawna. Od kiedy zobaczył ją w pizzerii. Często chodził tam po szkole, ale nie odważył się nawet na nią dłużej popatrzeć. Nigdy nie miał śmiałości do dziewczyn, nie bardzo wiedział, jak nawiązać rozmowę, jak bajerować, żeby je rozśmieszyć. Peszyły go. Wiedział, że jest brzydki, i to go hamowało. Długo nie potrafił ukryć skrępowania, przełamywał się powoli. Musiały mu pomóc, zrobić pierwszy krok, dać jakiś znak, że nie zostanie odrzucony, wyśmiany. Czasem wystarczyło słowo zachęty i dalej już sobie radził. Ona spojrzała na niego przelotnie, wydała resztę i już zajmowała się innym klientem. A jemu zrobiło się gorąco od tego spojrzenia. Musiał potem przyjść kilkakrotnie, żeby zaczęła go zauważać, ale potrzebował jeszcze dużo czasu, zanim się odezwał. Zawsze mówił tylko: – Duża capriciosa. – I to wszystko.

Zjadał, patrząc w talerz, jakby się gdzieś śpieszył, i wstawał, obmacując kieszenie kurtki. Zawsze był sam. Wychodził, udając, że jest czymś zaaferowany. Wyglądało to dziwnie, dlatego kiedy przyszedł znowu, powiedziała:

– Dziś proszę spróbować Napoli.

Podniósł na nią wzrok i patrzył, jakby mówiła w obcym języku.

– Napoli? – powtórzył.

– Jest pyszna. Wstyd nie spróbować.

– Aha. Dobrze – tyle usłyszała.

Od tamtej pory, a przychodził już niemal codziennie, proponowała mu inny smak i nie zdarzyło się, żeby nie zaakceptował jej wyboru. Nigdy by nie pomyślała, że brakuje mu odwagi, że na jej widok nie może wydobyć z siebie słowa. Że jest nieśmiały. Sądziła, że mu wszystko jedno, je, byle szybciej skończyć, i gna do jakiejś roboty. I postanowiła trochę się z nim podroczyć.

– Jaka dziś? – zapytała z lekkim uśmiechem.

Stał, wpatrując się w kartę, wreszcie wybrał pierwszą z brzegu. Był speszony! Nie potrafiła w to uwierzyć! Jak można się peszyć, wybierając pizzę?! Ale tak! Na policzki wystąpiły mu rumieńce, wzrok trzymał wbity w podłogę, a kiedy usiadł przy stoliku, nerwowo miał serwetkę za serwetką.

– Kłopoty? – zapytała, nie podejrzewając prawdziwej przyczyny.

– Mhm – rzucił, odwracając wzrok ku oknu.

Odeszła, nie chcąc przeszkadzać, a dla niego to był przełom. Wielki krok naprzód! Wsłuchiwał się w to słowo, przypominał sobie jego brzmienie, odtwarzał w pamięci setki razy. Gdyby wiedział, że po jego wyjściu Martyna powiodła za nim wzrokiem, pewnie, wracając do Gutowa, rozbiłby się na jakimś zakręcie. Ale przecież się nawet nie obejrzał, więc skąd miał wiedzieć?

Ona też nie wiedziała, że przychodzi tam dla niej, bo pizza była w gruncie rzeczy beznadziejna, ale nie wszyscy się na szczęście znają na pizzy. Ona w każdym razie nie miała interesu w tym, żeby go informować. Ale zrobiła to pewnego dnia, kiedy ten sukinsyn, jej szef, postanowił ją zwolnić.

Zaczął od pochwał, na które nie zasłużyła, a potem klasyka: obmacywanki, niedwuznaczne propozycje, wreszcie wprost powiedział, że ma na nią ochotę i żeby została po zamknięciu. Warknęła coś na odczepnego, że musi wracać do dzieci czy coś w tym stylu, ale drań nie odpuścił. Gdyby włożył w to trochę uczucia, minimalnie się postarał, coś poudawał, pewnie nie byłaby taka oschła. Ale jemu się nawet udawać nie chciało. Myślał, że zatrudnił ją nie tylko jako kelnerkę. Że za swoją kasę może mieć wszystko, że to oczywiste. Więc się postawiła. I najpierw go to śmieszyło, podkreśliło jeszcze, aż wreszcie zrozumiał, że „nie” znaczy „nie” i nic z tego nie będzie. Zapienił się i kazał jej spadać. Nawet tygodniówki nie wypłacił, radził jej zarobić pod hotelem. Powinna od razu się zabrać, ale miała jeszcze tyle skrupułów, że została do przyjścia zmienniczki. Żeby się zemścić, mówiła tylko wszystkim, że ktoś się właśnie zatrzał ich pizzą, chociaż to niemożliwe, żeby już w lokalu kogoś dopadło.

– Ta pizza jest okropna, dlaczego tu ciągle przyłazisz? – powiedziała wtedy do Zbyszka.

– Bo mam po drodze – wyjąkał i zaczerwienił się.

Nie chciało jej się wtedy z nim gadać. Była zła, że straciła pracę. Ale postanowiła sobie już dawno temu, że jeśli się komuś odda, to tylko za bardzo dobre pieniądze. Gołodupców miała w pogardzie. Dwóch stanęło na jej drodze, za każdym razem skończyło się ciążą, a żaden ze związków nie przetrwał nawet roku. Więc w grę wchodziła wyłącznie dobra kasa. Właściciel pizzerii chciał sobie pobzykać za friko. Miał żonę i jakieś dzieci, ale wiadomo, facetom nigdy dosyć. Myślał, że ona bez ceregieli robi mu

laskę na zapleczu. Pięć minut i gotowe. Chyba się nawet nie spodziewał odmowy. Ciekawe, czy teraz podczas rozmowy kwalifikacyjnej będzie sprawdzał kelnerki w toalecie? Całkiem możliwe.

– Co się tak gapisz? – wyrzuciła zła, że chłopak wciąż stoi. – Zamawiasz czy nie?!

– Tak. V-volcano.

– Volcano raz! – krzyknęła na zapleczu. – To mój ostatni dzień – dodała nie wiadomo dlaczego.

– Jak to? – zapytał z taką miną, jakby się dowiedział o końcu świata.

– Tak to! – burknęła, wydając mu resztę.

– A gdzie... – zaczął, niezdolny do zakończenia zdania.

– Gdzie co? Znajdziesz jakąś inną.

Chodziło jej o pizzerię, on zrozumiał to opacznie.

– Nie chcę innej! – powiedział i znów się zaczerwienił.

Spojrzała na niego z uwagą, nie bardzo rozumiejąc.

– Naprawdę ci smakowała? Zabawny jesteś.

– A gdzie będzie pani teraz?...

– Jaka pani?! Martyna jestem!

– Gdzie będziesz teraz pracowała?

Wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło. Ale obchodziło, jeszcze jak obchodziło! Dlatego przygryzła wargę i ignorując jego obecność, zajęła się innym klientem. Zbyszek wyszedł, czując, że ją stracił. Kręcił się po ulicy, nie mogąc odejść. Wreszcie poszedł do kwaciarni, kupił różę i wręczył jej, mówiąc:

– Dziękuję!

– Za co? – zdziwiła się.

– Pani jest miła.

– Ja?!

Rozśmieszył ją. Nie jest miła. W tej cholernej pracy panuje taki młyn, że nie da się być miłym. Ale różę przyjęła. Postawiła ją nawet ostentacyjnie obok kasy. Ale właściciel i tak nie przyszedł.

Zbyszek czekał na ulicy. To nie mogło się tak skończyć! Nie wiedział, co ma zrobić, kiedy ona wyjdzie. Liczył na cud. Po dwóch godzinach znów wszedł do pizzerii.

– To znowu ty? – Roześmiała się. – To może teraz Cztery Sery?

Kiwnął głową, uszczęśliwiony. Zjadł i znów czekał. Kiedy go zobaczyła po

zamknięciu, coś zaczęło jej świtać.

– O co ci chodzi? – zapytała wprost.

– Ja... Ja...

– Jesteś pełnoletni?

– Tak – wyszeptał suchymi ustami.

– To przyjdź w piątek o dziewiątej pod klub Enklava. Tylko niczego sobie nie wyobrażaj! – dodała ostro.

– Nie, pewnie, że nie... – wybąkał.

Tak szczęśliwy nie był jeszcze nigdy. Nocami prześladowała go myśl o jej nagim ciele. Pod prysznicem fantazjował, że weszli tam razem. Przymykał oczy, żeby ten obraz mu nie umknął.

Pod klubem stawiał się punktualnie, chociaż w Płocku był dwie godziny wcześniej. Trząsał się, jakby miał gorączkę, dygotał. Przysiadał na ławkach i wstawał, obszedł wszystkie ulice, wsiadał do samochodu, jechał na przedmieścia i wracał. Tuż przed dziewiątą stanął nieopodal klubu. Byłby ją przeoczył, bo wyglądała zupełnie inaczej. Miała kusą spódniczkę i bluzkę z cekinami. Mocno umalowana, nie przypominała tamtej dziewczyny. Spostrzegła go i podeszła.

– No co? Będziesz tak stał? Wchodzimy!

Posłusznie dreptał za nią. Na bramce selekcyjner powiedział do niej: – Siema! – i obciął go wzrokiem.

A ona wzięła go za rękę!

– O co chodzi? Jesteś spięty? – zapytała zdumiona. – Nie bój się, nie gryzę.

Chciał odpowiedzieć coś żartem, ale miał całkowitą pustkę w głowie. Szedł na miękkich nogach, gotów zrobić wszystko, czego od niego zażąda.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię – powiedziała.

– Zby... Zbyszek.

– Ładnie. I za to się napijemy! – Pociągnęła go w kierunku baru.

– Ja nie mogę! – bronił się. – Jestem autem...

– Ojejku! Jeden mały drink! O co tyle hałasu?! A mnie postawisz?

– Jasne!

Zamówiła drinki, zauważając kilka setek, które miał w portfelu. Kiedy wypili, pociągnęła go na parkiet. Opierał się trochę, chciał nawet powiedzieć, że nie umie tańczyć, ale było zbyt głośno, szedł więc za nią potulnie,

szczęśliwy i oszołomiony. Do końca wieczoru nie wyzbył się skrępowania. Może dlatego, że tak bardzo chciał jej się spodobać. Była dla niego miła, tańczyła tylko z nim, powinien być szczęśliwy, ale nie umiał. Po północy powiedziała, że musi wracać. Pozwoliła mu się nawet odwiedzić pod dom. I pewnie by się tak skończyło, gdyby nie zebrał w sobie całej odwagi, nie zapytał:

– Będziemy się mogli jeszcze spotkać?

– Jasne! – Wzruszyła ramionami i pocałowała go w policzek. – Jutro? W tym samym miejscu?

To było tak nieprawdopodobne, że chciało mu się krzyczeć. Jechał do Gutowa, uderzając dłonią w kierownicę. Tak! Umówiła się z nim! Taka dziewczyna się z nim umówiła! Myślał już tylko o niej. Spotykał się jeszcze z Kasią, ale to była dziecinada. Kochał prawdziwą, szaloną miłością. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Martyna to jego przeznaczenie. Ale ciągle mu się wymykała. Nie pozwalała się odwiedzić, nie chciała się z nim umówić. Żartowała, nie dając nadziei. Co się więc teraz zmieniło? Ta myśl przez chwilę go zaniepokoiła, jednak nie dał się jej ponieść. Co będzie, to będzie. Już sama nadzieja jest przyjemna. A jeśli wydarzy się coś więcej – tym lepiej. Jechał przez las, podśpiewując.

Następnego dnia jak zwykle stała pod klubem, a kiedy podszedł, zapytała:

– Masz auto?

– Jasne!

– To pojedziemy na wycieczkę. – Uśmiechnęła się kusząco.

Wsiedli do jego toyoty corolli, w której czuło się jeszcze zapach skóry.

Nówka sztuka, nieźle! – pomyślała Martyna.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Zbyszek, włączając silnik.

– Do Słupna. Motel Mazowsze, znasz?

– Pewnie!

– Mam ochotę na kolację z szampanem. – Westchnęła, a on poczuł się jak James Bond.

W restauracji było trochę gości, lecz kelner znalazł dla nich stolik w ustronnym miejscu. Zapalił świece i od razu zrobiło się nastrojowo. Popatrzyli w kartę. Zbyszek chciał z rozpędu zamówić pizzę albo burgera, ale Martyna wolała łososa w ziołach, więc poszedł za jej wyborem, bojąc się

ryzykować. Kelner zaproponował im białe wino, jednak ona uparcie trwała przy szampanie.

Wszystko było takie oszałamiające! To miejsce, w którym nie spodziewał się znaleźć, ta kolacja we dwoje, ten szampan. Zbyszkowi ze szczęścia kręciło się w głowie. Nie zauważył, że dziewczyna pomiędzy uśmiechami i przekomarzankami dyskretnie wypytuje go o cukiernię i jego sytuację domową. Chętnie odpowiadał na pytania, chwalił się swoją pozycją w firmie i zapraszał na jutrzejsze Dni Gutowa.

– Kto wie, może przyjadę... – Uśmiechnęła się. – A ty będziesz?

– Jasne! Ale pewnie będę zajęty...

– Nie szkodzi, chyba powinnam kupić takie ciastko z wróżbą, nie uważasz? Każdy chciałby wiedzieć, co mu przyniesie przyszłość...

Zbyszek zastanawiał się, czy wśród wróżb jest jakaś szczególna, która by się Martynie spodobała i przekonała ją do niego, ale było ich tak wiele... Wszystkie niosły jakieś pozytywne przesłanie bądź ostrzeżenie. Problem w tym, by nie trafiła na coś, co ją do niego zniechęci.

– No wiesz, to tylko takie żarty – powiedział asekuracyjnie.

– A ja lubię wróżby! – Dziewczyna się rozmarzyła. – Zawsze mam nadzieję, że wygram los na loterii, ale nigdy mi się nie powiodło.

– Obiecuję, że tak długo będę ci wciskał te ciastka, aż trafisz na wróżbę, która ci się spodoba!

Podszedł kelner.

– Czy podać jakiś deser?

– Dziękujemy! – odpowiedziała stanowczo Martyna. – Poprosimy o rachunek.

Zbyszek patrzył na nią z mieszaniną podziwu i lęku. Jednocześnie żał mu było, że postanowiła już zakończyć wieczór. Kiedy kelner przyniósł rachunek, Zbyszek spojrzął na wydruk i rzucił na talerzyk należną kwotę z dużym napiwkiem.

Trzeba to będzie ukrócić – pomyślała, ale uśmiechnęła się tylko.

– Bardzo się śpieszysz? – rzuciła niewinnie, a on spojrzął znów jakby z lękiem.

– N... Nie tak bardzo.

– A masz ochotę popatrzeć na gwiazdy?

– Pewnie.

Podeszła do recepcji.

– Jakiś ładny pokój poprosimy. Z dużym oknem.

Recepcjonistka uśmiechnęła się domyślnie i podała klucz.

– Apartament. Wyjątkowo jest dziś wolny. Są tam nawet dwa okna.

– To się świetnie składa! Dziękuję!

Martyna wzięła klucz i ruszyła przodem. Recepcjonistka popatrzyła na niezgrabnego młodego mężczyznę, który podążał za pewną siebie dziewczyną, i skrzywiła się z niesmakiem.

Pokój był przepiękny! Efektowny i elegancki. Satynowa pościel, śnieżnobiałe ręczniki, piękne wzory na zasłonach. Zbyszka to wszystko peszyło, stanął przy drzwiach i patrzył, jak Martyna próbuje, czy łóżko jest wygodne. Potem podeszła do niego i po raz pierwszy, wspinając się na palce, pocałowała go w usta. Był to długi pocałunek, a oszołomiony chłopak obawiał się każdego ruchu.

– Będiesz tak stał? – zapytała wreszcie.

Rozwiązała mu krawat i zaczęła rozpinąć guziki koszuli. Miał lekki rudawy zarost na piersi. Był pulchny, ale nie gruby, zresztą postanowiła, że cokolwiek się stanie, będzie jej się podobało. Kiedy sięgnęła do guzika spodni, Zbyszek jakby się ocknął, przypomniał sobie, że jest mężczyzną, że bardzo jej pragnie. Nie tyle zdjął, ile zdarł z niej bluzkę, a nie natrafiając na opór, rozbierał ją drżącymi z pożądania dłońmi.

Miała drobne gibkie ciało, lekko wystające kości biodrowe, małe piersi o jasnych sutkach i bardzo gęste owłosienie łona. Teraz ona przystąpiła do działania. Ściągnęła mu spodnie i trzymając za rękę, zaprowadziła do łazienki. Weszli razem pod prysznic. Nawet gdyby nie wydarzyło się to, co jednak miało miejsce, Zbyszek byłby w siódmym niebie! Ostrożnie, bo wciąż wahał się pomiędzy odwagą a tym, co uważał za bezczelność, przyciągnął ją do siebie i całował w strumieniach cudownie ciepłej wody. Na razie nie patrzył jej w oczy, ale wierzył, głęboko wierzył, że znajdzie w nich to, o czym od tak dawna marzył, i że ona odwzajemni jego uczucie.

Na razie to był sen, śniony na jawie, kolorowy sen. Martyna wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i usiadła na łóżku, zakładając nogę na nogę. A potem zapraszająco rozchyliła ręcznik. Ukląkł i przytulił się do niej.

– Chodź! – szepnęła, gotowa obdarować go największym szczęściem.

Gutowo, sierpień 2016

Ulica Polna, wtedy północna granica miasta, teraz znajdowała się niemal w centrum. Budynki wydawały się niższe niż kiedyś, a wąska, zastawiona autami uliczka w niczym nie przypominała ówczesnej. Było tu tłoczno, ciasno, ruchliwie. Plac zabaw urządzony nieopodal ich bloku wyglądał na świeżo wyremontowany, ale jakby się skurczył. Między domami wyrosły wysokie drzewa, których wtedy jeszcze nawet nie posadzono.

Monika spojrzała w okno tamtego mieszkania i poczuła się zawiedziona. Tyle się tu zmieniło! Ale przecież jej związek z tym miejscem od dawna nie istniał. Niepodtrzymywany i niepielęgowany najwyraźniej się ulotnił. Toczyło się tu nowe, cudze życie. Z otwartego okna dolatywały natrętne dźwięki modnego przeboju, matki z dziećmi w ładnych ubrankach pchały nowoczesne wózki po równych chodnikach z kostki Bauma. Staruszki przycupnęły na ławeczkach zmęczone długim wyczekiwaniem w pobliskiej przychodni zdrowia. Samochody stały ciasno jeden przy drugim. Od tamtej pory wytyczono tu kilkanaście nowych ulic, zbudowano sporo bloków, nową szkołę, pawilony ze sklepami, przychodnię oraz dom kultury. Dalej rozciągało się osiedle domków jednorodzinnych. A kiedyś te pola były puste, dzikie, niczyje.

Monika poczuła się całkowicie przezroczyta. Nikt jej nie zauważał, nie pozdrawiał, nie zaczepiał, nie wołał, aby się zatrzymała. A przecież należała do tego miejsca tak samo, jak ono należało do niej. Ich związek będzie trwał, dopóki trwa jej pamięć.

Schodząc ulicą Owsianą ku rynkowi, zobaczyła, że miasto ogarnęła już gorączka przygotowań do Dni Gutowa. Tu i ówdzie wisały kolorowe chorągiewki i balony, a wystawy ozdobiło dekoracjami przypominającymi o nadchodzącym święcie. Jak co roku handlowcy prześcigali się w promocjach.

Sierpniowy upał daskwierał. Monika minęła ratusz i weszła do cukierni Pod Amorem. Zamówiła kawę mrożoną i zapatrzyła się na rynek, ale przed oczyma wciąż miała długą drogę do Długołaki i chłód, jaki panował w tamten wigilijny wieczór...

Szli z matką i Kazimierzem pieszo, bo żaden transport publiczny wtedy nie funkcjonował. Liczyli tylko na jakiegoś spóźnionego chłopa i jego sanki, którymi mogliby się zabrać. Noc już zapadła, kiedy zmarznięci dotarli na miejsce. We dworku było ciepło, pachniało kapustą i smażonym karpem, świece płonęły na choince. Zdzisław Pawlak i Pelagia Janiuk, matka Kazimierza i gospodyni we dworku, oczekiwali ich od dawna. Zaraz zasiedli do kolacji, ale zmęczona i najedzona dziewczynka szybko usnęła.

Monika z trudem przypominała sobie młodego mężczyznę, który widać przyszedł późną nocą, bo rano usiadł z nimi do śniadania. Gospodarz nazywał go Michałem i patrzył weń jak w obraz, podsuwał dania, zachęcał do jedzenia, wypytywał. Kazimierz także znalazł z nim wspólny język, rozmawiali o wojnie, o odbudowie Warszawy. Jedyne Stefania milczała, wpatrując się w swój talerz. Odezwała się, dopiero kiedy zostali w pokoju sami. Monika bawiła się przy piecu z kotką, a matka, dotychczas sztywna i obojętna, przyłgnęła do młodego mężczyzny i wyszeptwała tonem, jakiego nigdy nie używała:

– Weź mnie ze sobą, błagam! Będę ci wierna jak pies!

Monika czuła, że dzieje się tu coś ważnego, podniosłego, co jednocześnie ją krępowało. Wzięła na ręce kota i prawiąc mu czułości, wyszła do kuchni. Zaraz po obiedzie Michał Podedworski zaczął się zbierać. Otrzymał duży koszyk z jedzeniem, a Kazimierz zaprzągnął do sanek i odwiózł go do Gutowa. Pawlak i Janiukowa zastanawiali się, czemu nie został na drugi dzień świąt, ale nie dociekli przyczyny. Zamyślona Stefania prawie wcale się nie odzywała. Kilka dni później, jeszcze przed Nowym Rokiem, wyszła rano z domu po zakupy i nie wróciła. Kazimierz zgłosił na milicji zaginięcie, ale poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Z dnia na dzień zostali z Moniką sami.

We dworze nikt nie połączył zniknięcia Stefanii z krótką wizytą Michała Podedworskiego. Pawlak i jego gospodyni codziennie rozprawiali o tym, czego Monika była świadkiem. I znów w sylwestra poszli z Kazimierzem do

Długołaki. Dziewczynka miała tam przebywać, dopóki Kazimierz nie znajdzie dla niej miejsca w przedszkolu. Potrwało to na szczęście o wiele dłużej.

– Można to sprzątnąć? – usłyszała za plecami. Odwróciła się i popatrzyła niewidzącym wzrokiem na kelnerkę. – Szklanę po kawie... Czy mogę zabrać? Dobrze się pani czuje?

– Doskonale. Nic mi nie jest. – Monika uśmiechnęła się słabo. – Zamyśliłam się.

Potarła dłonią czoło i głęboko westchnęła.

Na wieży ratuszowej kurant wybił melodię. Monika przywołała się do porządku. Spojrzała na zegarek. Dwunasta. Pora ruszyć na Owsianą do biura tej mecenas. Może ona coś podpowie?

Zajezierzyce, sierpień 2016

Moja matka, Wiesława, miała piętnaście lat, kiedy Niemcy zabrali ją na roboty – mówiła Tessa, patrząc przez okno samochodu na przesuające się z wolna krajobrazy Mazowsza. Zawsze tu było biednie, ale teraz, po dziesiątkach lat nieobecności, miała wrażenie, że Unia na coś się Polsce przydała. – W maju czterdziestego trzeciego nakazano obowiązkowy przegląd lekarski kilku roczników młodzieży. Po przebadaniu zamknięto wszystkich w baraku w Gutowie, oznajmiając, że zgłosili się na ochotnika. Za ewentualną ucieczkę miała odpowiedzieć cała rodzina, więc nikt nie odważył się zbiec. Zaopatrzeni przez najbliższych w żywność i co nieco z odzieży, poddali się biernie swemu losowi. Bez jedzenia i picia, wiezieni kilka dni bydłęcymi wagonami, wylądowali w Schlossbergu w Prusach Wschodnich. Na miejscu zrobiono wszystkim zdjęcia z numerem, który potem służył za imię i nazwisko. Po młodzież przyjeżdżali rozmaici ludzie, jednych brali do pracy na roli, innych do fabryk.

Moja matka trafiła do gospodarstwa rolnego. Kilka tygodni później, gdy okazało się, że mimo długiej podróży są całkiem blisko domu, wraz z trojgiem przyjaciół uciekła, ale złapano ich i osadzono w więzieniu w Gołdapi. Gospodarz odebrał matkę jak swoją własność i teraz już lepiej pilnował. Pracowała od czwartej rano do północy. Doiła krowy, karmiła świnie, pomagała w polu i przygotowywała posiłki. Nie było to dla niej niczym nowym. W majątku Zajezierskich już jako kilkuletnia dziewczynka doglądała gęsi, a potem pasła krowy. Wcześniej jednak była w domu i nie głodowała, teraz musiała czasem kraść gotowane w łupinach ziemniaki dla świń czy jajka, bo przydziały żywności były bardzo małe.

W gospodarstwie pracowali też inni Polacy. Z jednym z nich matka zaszła w ciążę. Był rok czterdziesty czwarty, czuło się nieuchronną klęskę Niemiec. Tuż przed porodem bauer pozwolił matce wyjechać do domu, zmuszając ją jednocześnie do przysięgi, że kiedy urodzi, znów zjawi się w pracy.

– To ty byłaś tym dzieckiem? – zapytała Mia.

– Nie, mój brat Józef. Litościwy komisarz z Arbeitsamtu, widząc zawiniątko z kilkudniowym niemowlakiem, odroczył matce wyjazd o kilka tygodni i tym sposobem ją uratował, bo tymczasem Niemcy wycofali się z naszych stron. Mój ojciec, chłopak poznany przez matkę u bauera, dołączył do niej późną wiosną czterdziestego piątego. Pobrali się zaraz potem. W domu panowała straszna bieda. Moi dziadkowie, jako byli fornale, dostali z rozparcelowanego majątku półtora hektara ziemi pod lasem. Byli szczęśliwi, że wreszcie są u siebie, ale nie mieli ani konia, ani krów czy świń, które dawałyby nawóz, żadnych maszyn, którymi mogliby obrobić tę ziemię. Chodzili więc do bogatszych gospodarzy i pracowali u nich za gnój, żeby pożyczyć konia czy pług i dopiero wróciwszy z odrobku, gospodarzyli na swoim. Dziadek zresztą zmarł przed moim urodzeniem i babcia została głową rodziny. Ale po co ja was nudzę! – Tessa westchnęła.

– Nie mogli wyjechać do miasta? – trzeźwo spytała Elena.

– Byli chłopami z dziada pradziada przywykłymi do ziemi, do gospodarki, tylko na tym się znali, choć to może zbyt wielkie słowo. Zresztą w miastach też nie było łatwo. Liczyli na łut szczęścia i zostawiwszy mnie z babcią, wyjechali gdzieś daleko, na Ziemię Odzyskaną, szukać opuszczonego przez Niemców gospodarstwa. Ale zanim to się stało, ja przyszłam na świat gdzieś na miedzy pod jakąś gruszą. Od tej pory mam do nich sentyment. – Tessa mówi cicho, jakby zawstydzona, z bólem.

– Jak to: na miedzy? – nie zrozumiała Mia.

– Matka pielęła buraki, a może to były kartofle? Poczwała skurcze i urodziła mnie do fartucha rozpostartego na miedzy albo na polu. Często się potem zastanawiałam, w jaki sposób pozbyła się łożyska, ale kobiety dawniej miały jakiś zwierzęcy instynkt. Teraz medycyna go w nich zabiła.

– Dlaczego nigdy o tym nie opowiadałaś? – zdziwiła się Elena.

– A było się czym chwalić? – spytała Tessa retorycznie, nie odwracając głowy od okna.

Zapadło milczenie. Elena i Mia zrozumiały, jak niewiele wiedzą o swej matce i babce.

– Na ogół nie wybieramy miejsca swego urodzenia – odezwała się w końcu Elena, chcąc jakoś pocieszyć matkę. Rzuciła ten banał bezwiednie, ot tak, byle tylko przerwać ciszę.

– Nie wybieramy też rodziców – dodała cicho Tessa, wpatrzona w odległą

ścianę lasu.

To niewinne zdanie zabrzmiało złowieszczo, ale ani Elena, ani Mia nie odważyły się zapytać, co konkretnie miała na myśli, zwłaszcza że wjechały właśnie do Zajezierzyc i Tessa bardzo się ożywiła.

– Ta wieś wyglądała kiedyś zupełnie inaczej – powiedziała. – Pamiętam jeszcze wyboistą niebrukowaną drogę wiosną pełną kałuż, w których kąpały się kaczki i gęsi. Latem wysychała i bawiły się na niej wiejskie dzieciaki. Z opowieści mojej babci wiem, że domy budowano z lichego drewna bez żadnego elementu żelaznego, na zimę trzeba było je ogacić. Przynosiło się z lasu ściółkę i ocieplało dom, sypiąc grubą warstwę gaconki, w której lęgło się potem rozmaite robactwo. Gdy chwycił mróz, dzieci przez całe dni siedziały na piecu. Przykrywały się owczymi skórami, bo kołder i pierzyn chłopcy oczywiście nie mieli. Podłogi ubijano z gliny, dachy kryto słomą. Wieś dzieliła się na gospodarzy i dziadów. Tych, którzy posiadali więcej ziemi i lepiej im się wiodło, i tych, którzy mieli mniej. Oni musieli odrabiać u bogatszych, najbiedniejsi zaś skazani byli na wieczną służbę. Służący na ogół sypiali w stajni. Z reguły nie dojadali. Bogatsze gospodynie robiły masło i sery, ale wyłącznie na sprzedaż, do jedzenia w domu pozostawały maślanka i serwatka. Podobnie było z jajkami. Sprzedawano je, aby kupić zapalki, cukier, mydło czy naftę do lamp. Wszystko inne starano się wytwarzać we własnym zakresie.

Elena i Mia rozejrzały się dokoła, jednak zobaczyły tylko nieciekawe, choć raczej zamożne murowane domy, kryte eternitem lub blachą z otoczonymi parkanem ogródkami. Droga była niezbyt szeroka, ale asfaltowa. Tu i ówdzie na podwórkach stały samochody osobowe i maszyny rolnicze. Oczywiście ta wioska nie przypominała austriackich, nigdzie jednak nie widać było ubóstwa, rozsypujących się budynków, dachów krytych słomą czy poprzewracanych parkanów ani wałęsających się dzieci.

– Tam, jedź tam, gdzie te wysokie drzewa! – zarządziła Tessa.

Przez paradną kutą bramę, osadzoną na betonowych słupach ozdobionych figurkami kąpiących się nimf, najpierw aleją lipową, a potem okrążając ogromny gazon, Elena podjechała pod pałac. Był to jednopiętrowy klasycystyczny budynek, bez zbędnych ozdób. Wejście ochraniał portyk z czterech kolumn zwieńczony tympanonem. Duże okna zostały ozdobione szprosami, po bokach dwie parterowe galerie prowadziły do piętrowych oficyn, niższych jednak od budynku głównego.

– O mój Boże! – Tessa z ciężkim westchnieniem wysiadła z auta i stanęła, patrząc na pałac z podziwem. – Kawał dobrej roboty! – orzekła. A znała się na tym jak mało kto, niemal całe swoje dorosłe życie poświęciła przecież nieruchomościom.

– Niestety, nie ma tu wolnych pokoi – stwierdziła z żalem Mia, trzymając w ręku kartki z rozpisanymi przez sekretarkę kolejnymi etapami podróży.

– Nie szkodzi – powiedziała Tessa. – Wejść do środka nam przecież nie zabronią. W końcu to hotel.

Weszły przez szerokie drzwi wprost do obszernego hallu. Niemal naprzeciwko zobaczyły ogromny portret przystojnego młodego mężczyzny.

– To zapewne hrabia Tomasz Zajeziński. – Tessa przyjrzała się malowidłu.

– Znałaś go? – zdziwiła się Mia.

– Bez przesady! – Tessa wyduła usta. – Nie jestem aż taka stara! Nigdy go nie widziałam, hrabia zmarł przed moim urodzeniem. Ciekawe, czy to oryginał? – Podeszła do obrazu i nachyliła się, aby przeczytać podpis. – Kopia – orzekła jakby z żalem. – Jasne, gdzie by się w tym bałaganie zachował oryginał. Może coś zjemy? – spytała nagle wesoło. – Coś polskiego? Coś kalorycznego? Mam ochotę na kurczę w śmietanie. Z dużą ilością koperku!

Elena i Mia wymieniły zdziwione spojrzenia, a ona już otwierała przeszklone drzwi do restauracji. Dochodziła trzynasta, idealna pora na lunch. Weszły do sali. Kilka stolików zajmowali goście, ale kelnerka bez trudu usadziła je w przestronnej niszy z widokiem na prześwitujący między drzewami zarośnięty rzesą staw.

– Ładnie tu – odezwała się Elena, chcąc zrobić matce przyjemność. – Meble są dyskretne i stylowe, obrusy uszyte z dobrej bawełny, a naczynia wykwintne i proste.

– To prawda! – Mia pokiwała głową. Nie spodziewała się tak eleganckiej restauracji na wsi, z dala od większych miast.

Kelnerka przyniosła kartę. Tessa przez chwilę niecierpliwie przewracała kartki, aż wreszcie dotarła do mięs.

– Jest! Dla mnie kurczę w śmietanie! Z ziemniakami i mizerią! – zawołała triumfalnie. – Ktoś bardzo mądry prowadzi tę restaurację. Bo przecież mogliby tu serwować chińszczyznę, pizzę i hamburgery! Tymczasem wszystko jest przemyślane: meble, obrusy, szkło, nawet sztucce! Pałac to pałac, trzeba tu trzymać fason. Oczywiście kuchnia francuska jest dopuszczalna w takim miejscu, ale bez kuchni polskiej cała ta robota z odrestaurowaniem nie byłaby

skończona. Ciekawe, kto jest właścicielem? – zastanowiła się. – A wy, co zjecie? – Podniosła wzrok na córkę.

– To samo – poprosiła Elena.

– Ale ziemniaki?! – oburzyła się Mia. – Ziemniaki należą do psiankowatych! Jedzenie ich to samobójstwo! Może chociaż ryż?... – spytała nieśmiało. Jednak coś w spojrzeniu babki powiedziało jej, że nie zmieni zdania. – Jak chcecie. Niech wam będzie. Raz nie zawsze. Dla mnie pierogi z jagodami.

– Z wegetarianami nie wygrasz! – Tessa westchnęła.

Widząc, że decyzje dotyczące zamówienia zostały podjęte, kelnerka podeszła do stolika.

– Poprosimy dwa razy kurczę z ziemniakami i mizerią. Raz pierogi z jagodami... – powiedziała Tessa, po chwili przerwy szybko dodając: – Oraz trzy szarlotki i trzy kompoty z jabłek. Dobrze, dobrze! – uspokoiła je wzrokiem. – Chociaż podczas deseru miejmy to samo na talerzach.

– Ty zawsze musisz postawić na swoim! – Mia pokręciła głową.

– Ja?!!! – zdziwiła się Tessa. – To ty jesteś ekoterrorystką!

– Mówiłaś, że pałac był zniszczony? – Elena zmieniła temat, bojąc się, że zaraz wybuchnie kłótnia.

– Potwornie. Pamiętam puste okna, zrujnowane wnętrza, pozrywane podłogi. Tak się tu u nas dokonywała dziejowa sprawiedliwość. Nie wiem, czy moja rodzina nie przyłożyła się do tej grabieży, zapewne tak. Moja matka miała dość długo absurdalnie małą porcelanową filizankę. Prawdopodobnie do espresso. Wtedy uważaliśmy, że to kubek od serwisu dla lalek, choć u Zajezierskich nie było dziewczynki, podobno mieli syna, a synowi się takich zabawek nie kupuje.

– Używaliście jej? – zainteresowała się Mia.

– Skąd! U nas były kubki emaliowane i aluminiowe, trwałe, kupowane raz na całe życie. Co zresztą mielibyśmy z niej pić? Wodę? Wódkę? Podpiwek? Zsiadłe mleko? Herbatę? Kompot? Jakoś do niczego nie pasowała. Stała na półce, póki ktoś jej nie stłukł. Trochę mi było żal, ale już wtedy, jako małe dziecko, rozumiałam, że jej miejsce było w pałacu, bo tam do czegoś służyła. Wiele lat później, dopiero po przeprowadzce do Wiednia, odkryłam ze zdumieniem do czego, bo przecież w PRL-u nie piło się espresso, tylko fusiareę ze szklanek albo kawę marago, czyli rozpuszczalną. Tyle lat musiało minąć, abyśmy zaczęli doceniać tę kulturę arystokratów! Kto miał nas tego zresztą nauczyć? Zburzyliśmy ją bez sentymentu, z mściwą radością wyrównania

krzywd dziejowych, odbierając jej jakąkolwiek wartość i nie zastanawiając się, że traci na tym nie tylko kultura, ale i całe społeczeństwo. Budowaliśmy na jej gruzach nasz nowy, robotniczo-chłopski ład. Ludziom, którzy ją tworzyli, próbowaliśmy odebrać tożsamość, nazywając ich pogardliwie bezetami, czyli byłymi ziemianami. Sądziliśmy, że wystarczy wygonić ich z domów zbudowanych na naszych zgiętych karkach, a wyrefinowana kultura wraz z dobrodziejstwem inwentarza spłynie i na nas, którzyśmy jej nie tworzyli i nie rozumieli. Nic bardziej mylnego, bo aby w nią wejść, potrzebowalibyśmy setek lat, jak w tym dowcipie o angielskim trawniku. Nie wystarczyło zabrać ziemianom dobytek i pozwolić go zniszczyć albo przenieść do naszych nędznych chałup. Nie staliśmy się nimi, bo nie wiedzieliśmy, do czego te sprzęty służą. Były zbędne, ponieważ nie mieliśmy takich potrzeb jak oni. Widziałyście po drodze te nieudolne podróbki dworców? Choć są anachroniczne, ludzie wciąż je budują. Dlaczego? Z sentymentu do świata, którego nie znali i nie pamiętają. Roszczą sobie prawo do spadku po kulturze, którą ich przodkowie zdewastowali upapranymi w błocie gumiakami.

Mia i Elena milczały, słuchając tyrady wygłaszanej na jednym oddechu. Tessa ocknęła się jednak, uśmiechnęła i samokrytycznie dodała:

– Marny wasz los, jeśli na wspomnienie każdego drobiazgu będę się tak rozgadywać! Zamówimy espresso?

Dopiero kiedy wyszły z restauracji, Tessa zauważyła naprzeciwko recepcji niepozorne drzwi z napisem „Muzeum Zajezierskich”. Głodna i zaabsorbowana portretem hrabiego nie spostrzegła ich wcześniej. Teraz nacisnęła kłamkę, mimo wywieszki głoszącej, że dziś muzeum jest nieczynne. Zaintrygowana, podeszła do recepcjonistki.

– Poszukam pani Igi, ale to może chwilę potrwać – odpowiedziała dziewczyna na nieśmiałą prośbę otwarcia muzeum. – Ja nawet nie mam klucza.

– To my się tu chwilę pokręcimy. Jesteśmy przejazdem – wyjaśniła Tessa i ruszyła ku drzwiom wejściowym.

Na zewnątrz panował zabójczy upał.

– Trzydzieści stopni w cieniu! – wykrzyknęła Mia, odczytując wskazanie dużego ściennego termometru zawieszonoego nieopodal drzwi wejściowych.

– Wyjmij z auta kapelusze, a my pójdziemy w tamtą stronę. – Tessa wskazała na zabudowania gospodarcze.

Szły bez słowa. Tessa oddychała z trudem i Elena kilka razy chciała zaproponować jej, aby usiadła na ławeczce, ale żadnej nie ustawiono w cieniu. Pomyślała, czy nie zmierzyć matce ciśnienia i nie osłuchać jej, ale podejrzewała, że byłaby za tę gorliwość natychmiast zbesztana. Obeszły lewe skrzydło pałacu. Tuż za nim, nieco na uboczu, znajdowały się stajnie.

– To wszystko jeszcze stoi? – zdziwiła się Tessa. – Nawet nieźle wyglądają, prawda? Mądry gospodarz! Widać, że mają tu całociowy pomysł. Zobacz! – Pociągnęła córkę za rękę – Tu się wychowałam!

Stały przed niepozornym jednopiętrowym budynkiem. Otynkowany na biało, kryty czerwoną blachodachówką, okna i drzwi miał obwiedzione czerwoną cegłą. Dwa wejścia prowadziły do pokoi dla gości rozmieszczonych na parterze i piętrze. Przed budynkiem rosła trawa i różowiał w kępach hojnie posiany kosmos.

– To było zwykłe wiejskie podwórze. Ciągłe deptana, zjadana przez zwierzęta trawa by nie urosła, a co dopiero kwiaty. Wszędzie panował brud i nieład tak oczywisty, że nawet go nie zauważaliśmy. Każdy gospodarował, jak mógł, prosiaki trzymało się choćby i w komórce. To samo kury czy króliki. Wszędzie wałały się jakieś niepotrzebne, zapomniane graty. Brud, smród i ubóstwo, jak to mówią.

Z kapeluszami w dłoni dołączyła do nich Mia.

– Tu mieszkała moja ukochana babcia Bronia. – Tessa wskazała okna na parterze. – Do dziś pamiętam, jak pachniało w jej kuchni.

– Mówiłaś, że mieszkaliście w pałacu.

– Wiem to tylko z opowieści, ale nie bardzo tam było wygodnie. Pomieszczenia duże i wysokie, brak pieca, zimno. Zresztą niedługo potem władze przegoniły robotników folwarcznych do ich dawnych, zrujnowanych mieszkań, przeznaczając pałac na siedzibę spółdzielni rolniczej, remizę straży pożarnej i szkołę. Wkrótce się okazało, że zmiana ustroju nie poprawiła naszego bytu. Bałagan w zarządzaniu gospodarstwem był ogromny. Nadal, jeszcze bardziej niż przed wojną, traktowano je jak cudze. Nijak nie zachęcano do dobrej pracy, ale też nie karano za drobne kradzieże, bo trzeba by karać wszystkich. Brak mądrego i uczciwego zarządcy skutkowało kiepskimi plonami, a ludzie mieli się gorzej niż wtedy, kiedy właścicielem był hrabia Zajeziński. Taka ironia historii. Ale o tym nie wolno było głośno mówić.

Gutowo, sierpień 2016

Monika Grochowska-Adams obeszła ratusz i skręciła w ulicę Owsianą. Tu, podobnie jak na rynku, nie było ani odrobiny cienia, ulica biegła bowiem niemal idealnie z południa na północ. Szczęśliwie kancelaria prawna, do której zmierzała, mieściła się niedaleko, a pani mecenas była gotowa natychmiast przyjąć gościa. Na biurku leżała książka Moniki, widomy znak, że prawniczka wie, z kim ma do czynienia.

– Jeszcze nie przeczytałam! – tonem przeprosin powiedziała tuż po powitaniu. – Proszę mi wybaczyć. Jestem po uszy zawałona robotą!

Monika uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Zdążyła już zaakceptować fakt, że w rodzinnym mieście jej powieść wzbudza zainteresowanie, które niekoniecznie prowadzi do lektury.

– Naturalnie!

– Ale nie odmówi mi pani autografu?

– Skądże! To dla mnie zaszczyt! – Wzięła książkę i podpisała się na stronie tytułowej.

– Bardzo jestem jej ciekawa. Odkładam sobie tę przyjemność na urlop – mówiła mecenas Frajnic. – A teraz znów zmaćci pani trochę spokój Hryciów...

Monika westchnęła.

– Mojej klientce niekoniecznie o to chodzi. To jest bardzo kulturalna, ale również rzeczowa osoba. Liczy się z zaszłościami, które mogą się dla nas okazać niekorzystne.

– Nie znam obecnej pani Hryć. To znaczy nie znam jej towarzysko, bo zakupy robię tam dość często. Te ciasteczka też są od nich, proszę się częstować. – Podsunęła Monice talerzyk niewielkich kruchych ciastek.

– Myśli pani, że powinnam zacząć właśnie od niej?

– Absolutnie tak! Helena Hryć to – jak kiedyś pani Celina – mózg tego przedsięwzięcia. Takie przynajmniej opinie krążą po mieście. Oczywiście ona tego nie potwierdzi, bardzo lojalnie wspiera męża, trochę się nawet przy

różnych okazjach chowa w jego cieniu, jednak sędzę, że z nią się pani łatwiej dogada. Nie to, że pan Hryć jest nieuprzejmy czy coś w tym rodzaju, jednak obawiam się, że nie zrozumie sprawy, może się zatnie, a jeśli raz odmówi, trudno nam będzie cokolwiek wskórać.

– To prawda. Domyślam się, że pani nie zdradziła mojej misji przed nikim z Hryciów?

– Oczywiście! To mogłoby spowodować falstart.

– Rozumiem też, że w razie gdybym musiała wyjechać przed zakończeniem poszukiwań, jest pani gotowa mnie reprezentować?

– Będzie to ciekawa odmiana po tych wszystkich rozwodach i sprawach o bezprawne zwolnienie.

– Pani Hryć wygląda na osobę otwartą i przyjazną – kontynuowała Monika.

– Każdy może sprawiać takie wrażenie, dopóki się od niego niczego nie chce. – Mecenas Frajnic zgasiła jej entuzjazm.

Monika uśmiechnęła się i nie skomentowała tej jawnie niekorzystnej opinii. Rozumiała ostrożność adwokatki, to sprawa bez precedensu, delikatne zlecenie, którego nie dało się w żaden sposób zaszufadkować, nie przewidziano na nie paragrafu.

– Nie będę jej nachodzić przed Dniami Gutowa. Dwa, trzy dni zwłoki nic nie zmieniają – powiedziała i sięgnęła po ciastko. Nadgryzła je lekko i uśmiechnęła się zadowolona. – Dobrze! Naprawdę dobre!

Mimo zjedzenia kilku ciasteczek po wyjściu z kancelarii Monika poczuła głód. Zdecydowała przeczekać południowy upał w klimatyzowanym pokoju hotelowym. Kiedy odbierała klucz w recepcji, usłyszała intrygująco znajomy głos. Za niedomkniętymi drzwiami do hotelowego Muzeum Zajezierskich, którego zbiory bardzo dobrze znała ze swoich poprzednich wizyt w pałacu, jakaś kobieta rozmawiała z właścicielką. Monika natychmiast się cofnęła, aby nie zwracając uwagi recepcjonistki, zajrzeć przez szparę do pomieszczenia. Nikogo jednak nie zobaczyła. Odwróciła się więc i wyszła z budynku, jakby czegoś zapomniała z samochodu. Spojrzała w okno muzeum wychodzące na podjazd, ale przez gęsto zmarszczoną firankę niczego nie udało jej się zobaczyć. Wróciła zatem do hallu. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, teraz musiała już wejść na schody, szła jednak wolno, symulując zmęczenie, a na piętrze, pewna, że jej nikt nie widzi, kucnęła, starając się coś dostrzec.

Bez rezultatu.

Chyba oszalałam! Ona tutaj? Akurat teraz, kiedy ja tu jestem? Przypadek jeden na milion? – Coś jej mówiło, że to głos dawnej przyjaciółki, zmieniony przez upływ czasu. – A właściwie jakim cudem wiem, jak by mógł po tylu latach brzmieć jej głos? Przecież nie rozmawiałam z nią prawie pięćdziesiąt lat! – besztła się w myślach. – Jestem zmęczona i głodna! – przypomniała sobie.

Zamknęła drzwi do pokoju i walcząc z pokusą ponownego wyjścia na korytarz, wyrzała przez okno. Przed hotelem parkowały wyłącznie samochody z polską rejestracją, ale to przecież niczego nie przesądzało. Właściwie na to czekała. Gdzież indziej miałyby ją spotkać, jeśli nie tu, gdzie się poznały, gdzie bawiły się jako dzieci, gdzie obiecywały sobie przyjaźń, która przetrwa do śmierci, a przetrwała zaledwie do studiów. Nie, to zbyt symboliczne. Chociaż może dowiedziała się o książce? Kupiła ją, przeczytała i dlatego postanowiła przyjechać? Przez pięćdziesiąt lat milczała, a teraz pod wpływem literatury nagle wezbrała w niej fala wspomnień? Pensjonarskie sentymenty.

Monika nalała sobie wody do szklanki i wypiła kilka łyków. Zdjęła buty, kapelusz, rozpięła sukienkę i rzuciła na krzesło. Wolnym ruchem odpięła zegarek, bransoletkę, naszyjnik i metodycznie ułożyła na biurku. Czekala przez chwilę na jakiś odgłos w hallu, nie usłyszawszy jednak nic szczególnego, poszła wziąć prysznic.

Kiedy pół godziny później schodziła na obiad, drzwi do muzeum były zamknięte. W restauracji też nie zobaczyła nikogo, kto przypominałby Teresę. Z lekkim niepokojem usiadła przy stoliku. Może zejdzie? Jest dość wcześnie. Teraz już była przekonana, że to Teresa Kuszel oglądała zbiory muzealne. Kogóż innego obchodziłoby tak maleńkie, nic nieznaczące muzeum? Trzeba zapytać w recepcji... Prawda, ochrona danych, nie powiedzą... To może właścicielka coś zdradzi, ale czy Teresa się jej przedstawiła? Raczej nie. Mogła wspomnieć, że kiedyś tu mieszkała, jest więc punkt zaczepienia.

Jedząc chłodnik, Monika czuła, że drżą jej ręce. Zastanawiała się, czy będą sobie jeszcze mogły cokolwiek ważnego powiedzieć? Perspektywa spotkania stała się tak niepokojąca, że Monika zaczęła modlić się w duchu, aby to była pomyłka. Nie, nie będzie rozpytywać o Teresę. Jeśli się mają spotkać, to się spotkają. Jutro rozpoczynają się Dni Gutowa. Trzeba poczekać.

Wyraźnie wzruszona Tessa Steinmeyer wylewnie podziękowała Idze Toroszyn za oprowadzenie po Muzeum Zajezierskich.

– Świetnie tu sobie pani poradziła! – Powiodła wzrokiem po podjeździe i pałacu. – A proszę mi wierzyć, znam się na tym!

– *Noblesse oblige*. Rodzinna legenda głosi, że jestem prawnuczką właściciela. – Iga uśmiechnęła się kpiąco. – Oczywiście z nieprawego łóża – dodała, konspiracyjnie ścisząc głos.

– Inaczej nie byłaby legendą, tylko faktem – skomentowała Tessa. – Cóż może być piękniejszego od miłości? – Westchnęła.

– Nieszczęśliwa miłość – zaproponowała Elena.

– Ale ze szczęśliwym finałem! A tu takiego nie było. Przepraszam panie bardzo, wzywają mnie obowiązki. – Iga bezradnie rozłożyła ręce. – Jutro nasze małe lokalne święto i wszyscy się z tego powodu niesłychanie stresujemy.

– Rozumiemy doskonale! Zresztą ruszamy w dalszą podróż.

– O, to nie zobaczycie Dni Gutowa? Wielka szkoda.

– Przyjedziemy i zobaczymy, może już więcej nie będzie okazji? A teraz wybieramy się na lody Pod Amora.

Iga ukloniła się i poszła na górę, a Tessa, Elena i Mia wsiadły do niemożliwie nagrzanego auta.

– Żałujesz, że go przegapiłaś, kiedy był na sprzedaż? – włączając klimatyzację, zapytała Elena.

– To piękny obiekt i wielkie wyzwanie, ale myślę, że jest w najlepszych rękach. Po kilkudziesięciu latach wrócił do rodziny.

– Z nieprawego łóża – zażartowała Mia.

– Jakie to ma dziś znaczenie? Jest otoczony troskliwą opieką, a duch hrabiego Tomasza krąży tu gdzieś pewnie, zadowolony z prawnuczki.

– Zrobiłaś się sentymentalna – skonstatowała Elena.

W każdym innym wypadku zapytałaby matkę, czy dobrze się czuje, ale dziś nie wypadało.

Na rynku w Gutowie panował straszliwy upał. Mimo parasolek ustawionych obok cukierni trudno było tam wytrzymać. Elena z Tessą weszły więc do środka, a Mia postanowiła obejść rynek w poszukiwaniu magnesów na lodówkę, które przywoziła babce z każdej zagranicznej podróży.

W sąsiadującej z cukiernią księgarni zauważyła na wystawie dużą makietę książki. Zainteresowana weszła do środka i po krótkiej rozmowie z ekspedientką kupiła egzemplarz dla babki.

– *Cukiernia Pod Amorem?* – zdziwiła się Tessa i spojrzawszy na autora, zamilkła.

– Nie cieszysz się? – Mia posmutniała.

– Ależ bardzo! – Tessa odruchowo spojrzała na właścicielkę cukierni, która stała za ladą. Jeden z tomów zatytułowany był jej nazwiskiem.

Helena Hryć zauważyła trzy tomy powieści zajmujące niemal pół stolika i pomyślała, że zaraz ją poproszą o autograf albo o wspólną fotografię. Ani tego, ani tego nie lubiła, podała jednak kawę, żeby klientki nie pomyślały, że je lekceważy.

– To musi być dla państwa duże obciążenie – powiedziała Tessa, która zdążyła już przeczytać opisy na okładkach.

– Nie aż tak bardzo. – Helena machnęła ręką. – A książki jeszcze nie zdążyłam przeczytać – dodała, aby uciąć dyskusję.

– My też nie. – Tessa się roześmiała. – To rzadkie, że firma rodzinna trwa tyle lat, państwu to świetnie wychodzi.

– Każdy biznes wymaga wielkiego nakładu pracy i oddania. Mój mąż i syn bardzo dobrze się dopełniają. Proszę odwiedzić jutro nasze stoisko na Dniach Gutowa, przygotowaliśmy coś naprawdę ekstra!

– Dziękuję, przyjedziemy!

– I proszę głosować na nasze ciastko! Oczywiście z przekonania, nie po znajomości! – Roześmiała się. – Chociaż jakie to ma znaczenie, liczy się wygrana!

– Absolutnie się z panią zgadzam! Kawa jest naprawdę świetna! – pochwaliła Tessa. – Gutowo to już europejskie miasto!

– Dziękuję! – Helena ucieszyła się z komplementu, a one tymczasem pochłaniały przyniesione przez ekspedientkę pyszne lody. Każdy z pucharków wyglądał smakowicie. Ozdobione sezonowymi owocami, puszyste i lekkie mogłyby być z powodzeniem podawane w którejś z eleganckich cukierni wiedeńskich, jak choćby w ulubionej przez Tessę Cafe Central.

– Historia cukierni sięga głęboko w dziewiętnasty wiek! – nieomal krzyknęła Mia, która wstała z pucharkiem w dłoni, aby obejrzeć powieszony na ścianie zdjęcie. – Cukierman to nazwisko żydowskie? – dodała.

– Tak. Przed wojną w tym lokalu znajdowała się cukiernia Pod Aniołem,

a sklep kolonialny Cukiermanów istniał jeszcze wcześniej. Wiem to oczywiście z drugiej ręki, bo przyjechałam do miasta dopiero w latach osiemdziesiątych – poinformowała właścicielka cukierni.

Tessa odłożyła łyżeczkę i stanęła obok wnuczki. Oglądała zdjęcia, wspominając, ile razy przechodziła kiedyś obok tej cukierni, z braku pieniędzy zadowolając się wyłącznie kuszącym zapachem. A Elena, która pozostała przy stoliku, patrzyła na lekko zgarbione plecy matki, myśląc, że nie pamięta Tessy tak spokojnej, i żałowała, że wybrały się w tę podróż dopiero teraz.

Anita Hryć zatarła ręce, zadowolona. Czuła, że jeśli nikt jej nie ubiegnie, zrobi świetny interes. Dawna mleczarnia, do tej pory wynajmowana przez hurtownię napojów, była co prawda w kiepskim stanie, ale wystarczyło mieć odrobinę wyobraźni, aby zrozumieć, że tu, na Zarzeczcu, tak duży budynek z ogromnym parkingiem to żyła złota. Sam plac wart jest majątek. Można tu będzie kiedyś postawić centrum handlowe albo ze trzy bloki... Pani Hryć zsunęła okulary i ponad nimi spojrzała na swego rozmówcę.

– Dziękuję za informację, to ciekawy obiekt i pewnie byłabym zainteresowana, ale rozumiem, że możemy jeszcze porozmawiać o cenie?

– Niżej nie zejdziemy. Powinienem zorganizować przetarg, ale zleciliśmy operat i znamy szacunkową wartość. Jest kilka osób w Gutowie, które dałyby nawet więcej. Miałem też zapytanie od Biedronki. Muszę się trzymać jakichś reguł, to nie moja własność, odpowiadam wobec spółdzielców, nie chcę mieć potem nieprzyjemności. Zresztą planujemy rozbudowę nowej mleczarni, musimy mieć środki.

Anita przygryzła wargi.

– To bardzo dużo pieniędzy, a procedury bankowe przeciągają się w nieskończoność.

– Jakoś się dogadamy u notariusza.

– Ile mam czasu?

– Na decyzję? Trzy dni. W poniedziałek muszę znać odpowiedź.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Myślę, że się dogadamy, panie Wańko.

– Interesy z panią to przyjemność! A jak pani sądzi, czy poseł Hryć znajdzie dla mnie jutro chwilę?

Godzinę później Anita Hryć wyszła z Banku Spółdzielczego w Gutowie,

wyjęła komórkę i zadzwoniła do córki.

– Musisz się wykręcić od tej umowy z Igą. To ja urzędę ci zjazd absolwentów!

Od chwili, kiedy zrozumiała, że może się tu spotkać z Teresą, Monika poczuła lekki niepokój. Nagle jej przyjazd do Gutowa zaczął obrastać w jakieś podwójne dna i głębokie sensory. Chciałaby wyjaśnić wszystkie nieporozumienia sprzed lat, dowiedzieć się, dlaczego przyjaciółka tak nagle ją wtedy zostawiła, a jednocześnie wcale nie była pewna, że chce poznać prawdę. W wyobraźni załatwiła tę sprawę już wiele razy i wina nigdy nie leżała po jej stronie. Bała się, że stanie przed nią ktoś, z kim trudno się będzie porozumieć, kogo życie nie rozpieszczało i z kim po pierwszych chwilach pocałunków, uścisków i euforii nie będzie o czym rozmawiać. Dlatego uciszała w sobie narastającą ciekawość i postanowiła raczej zająć się zleceniem.

Po obiedzie chwilę poczytała, następnie ucięła sobie krótką drzemkę, a późnym południem pojechała do Gutowa z nadzieją, że jako ostatnia klientka przedstawi się Helenie Hryć i poprosi ją o chwilę rozmowy. Ale gdy stanęła na rynku pół godziny przed zamknięciem cukierni, przy stolikach na zewnątrz wciąż siedzieli ludzie, a w środku nie było ani jednego wolnego miejsca. Również do kasy ciągnęła się długa, kilkunastoosobowa kolejka, mało prawdopodobne, że ktokolwiek będzie chciał odejść o osiemnastej. Musiała się zadowolić jedynie wypiciem kawy.

Gutowo, sierpień 2016

Ostatnia sobota sierpnia w Gutowie zapowiadała się słoneczna i upalna. Od rana do miasteczka zjeżdżali goście i trudno było znaleźć miejsce na zaimprovizowanych parkingach pod miastem, a i w samym mieście nie dałoby się wcisnąć szpilki. Tegoroczny program obejmował tak wiele różnych atrakcji, że wszystkie nie zmieściły się nawet na dużych plakatach. Spod hotelu w Zajezierzycach co pół godziny kursował do miasta mikrobus, tym razem więc Monika nie brała auta. Interesowało ją właściwie wyłącznie stoisko Hryciów. Zamierzała pokręcić się w pobliżu i może złapać kontakt z Heleną Hryć. Na deptaku jej jednak nie widziała. Dwie ekspedientki w jednakowych strojach sprzedawały z wiklinowych koszy drobne kruche ciastka i zachęcały do głosowania na najlepszy wyrób ciastkarski 2016 roku. Nad ich głową wisiał banner z napisem: TYLKO U NAS CIASTKO Z WRÓŻBĄ!

Monika nie miała ochoty na słodycze, była dopiero dziesiąta rano, ale stanęła w niewielkiej kolejce i zaintrygowana pomysłem kupiła jedno ciastko. Co też jej się trafi? Odwinęła szeleszczącą folię, rozgryzła ciastko i wyjęła papierowy rulonik.

Nadzieja pomaga iść naprzód, wytrwałość stać, a odwaga wracać.

Przeczytała złotą myśl i zamyśliła się.

Coś w tym jest. Z każdym rokiem muszę wykrzesać z siebie coraz więcej nadziei, że znajdę tu to, czego szukam. I wracam, a przecież nadal nie wiem, co to takiego. Moje dzieciństwo? Kochająca matka? Chłopak, który by mnie nie porzucił? Przyjaciółka, która by nią została do starości? Jest tyle pięknych miejsc na ziemi: Nowy Jork, Paryż i Londyn, co mnie zmusza, żebym chodziła po tych uliczkach, patrzyła w twarze tych ludzi? Czego w nich szukam? Stoję w miejscu, jakby mnie ktoś przykuł niewidzialnym łańcuchem – rozmawiała

sama ze sobą.

Rzuciła okiem na jezioro, po którym pływało kilka łodzi udających gondole. Gdzieś tam, po drugiej stronie, za zieloną ścianą drzew stał pałac Zajezierskich i Monika pomyślała, czyby w powrotnej drodze nie przeprowić się na tamten brzeg łodzią. Jeszcze nigdy tego nie próbowała.

– Szczęście to wynik dobrego planowania – odezwał się ktoś za jej plecami tym samym głosem, który słyszała poprzedniego dnia w muzeum. Pokusa, aby się odwrócić i zidentyfikować kobietę, była niezwykle silna, jednak coś Monikę powstrzymało i zamiast wreszcie stwierdzić naocznie, czy Teresa również przyjechała do Gutowa, szybkim krokiem ruszyła ku przystani, rzekomo po to, aby się dowiedzieć, czy zorganizowano również rejsy do Zajezierzyc.

– Powoli dochodzę do wieku, kiedy nikt już nie powie: „Taka młoda, mogła jeszcze pożyć”... – Tessa westchnęła, chowając karteczkę do kieszeni.

– Co też ty mówisz, mamó! – obruszyła się Elena. – „Szczęście to wynik dobrego planowania”, lepiej nie mogłaś trafić, przecież to o tobie!

– Cóż począć, jestem nudna, ale spontaniczność umarła we mnie dawno temu. – Tessa rozejrzała się dookoła. Po deptaku przechadzało się kilkadziesiąt osób. Rodzice z wózkami, staruszkowie, młodzież. Wszyscy radośni, uśmiechnięci, zatrzymywali się przy straganach, oglądali, kupowali. – To miejsce kiedyś porastały chaszczce. Uczniowie przychodzili tu na wagary, pili tanie wino, chłopaki i dziewczyny całowali się, palili ogniska, grali na źle nastrojonych gitarach i fałszowali, śpiewając socjalistyczne przeboje – powiedziała z rozrzewnieniem.

– Ty też? – zapytała rozbawiona Mia.

– Może raz albo dwa...

– Mogłam się tego domyślić. Pewnie nie miałaś czasu? – Elena westchnęła.

– Kto by wtedy przypuszczał, że kiedyś będzie tu tak światowo... Zobacz, jak bardzo ludzie pragną się bawić. Nie pamiętam, żeby tak było wtedy. Chociaż i my mieliśmy swoje święta. Taki Pierwszy Maja...

– Chciałabyś im tego zabronić? – Elena się uśmiechnęła.

– Nie. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że świat zdziecinniał.

– Zobaczcie, co wyciągnęłam! – Mia podsunęła im cienki pasek papieru.

Nieobecny sam sobie szkodzi.

– Powalająca głębia! – parsknęła Tessa.

Chciała jeszcze coś dodać, ale nagle jej się wydało, że to, po co przyjechała, jest na wyciągnięcie ręki. Właśnie dziś, właśnie tu, właśnie teraz. Przemknęło jej przez myśl, że tak powinna brzmieć owa wróżba z ciastka, i zrobiła dwa, trzy kroki, ale nagle się przestraszyła.

– Zaszło mi w gardle – powiedziała do córki.

– Tam na wzgórzu jest restauracja. Dasz radę wejść?

– Spróbuję. – Tessa pokiwała głową i odwróciła wzrok od Moniki i Grzegorza, którzy nie zdając sobie jeszcze z tego sprawy, zbliżali się ku sobie i zaraz musieli stanąć twarzą w twarz.

Grzegorz Hryć wyszedł z domu dość wcześnie. Nie był już burmistrzem Gutowa, ale dawne nawyki pozostały. Przespacerował się po rynku, odpowiadając grzecznie na padające zewsząd pozdrowienia, przyjrzał się straganom i zaszedł do ratusza. Tu podążył wprost do sekretariatu, sądząc, że zostanie przyjęty z honorami należnymi posłowi. Nowego burmistrza nie darzył sympatią. Nie dość, że należał on do opozycyjnej partii, to w dodatku miał zaledwie trzydzieści parę lat i długo jeszcze powinien uczyć się polityki na stanowisku radnego miejskiego. Hryć nie lubił, gdy ktoś z jego otoczenia robił zbyt szybką karierę. Tymczasem Walczak został czarnym koniem wyborów! Mogłoby się wydawać, i to dodatkowo zniechęcało Hrycia, że po długich latach jego rządów w mieście gutowianom marzyła się odmiana.

Widząc go, burmistrz uśmiechnął się kurtuazyjnie, wyszedł zza biurka i podał mu dłoń. Natychmiast też kazał sekretarce poczęstować posła kawą, która w ratuszu była na ogół okropna. Dlatego też Grzegorz Hryć poprosił jedynie o szklankę wody. Zapewnił, że nie zabraknie go na uroczystym zakończeniu pierwszego dnia obchodów. Przyjechał ze stolicy specjalnie, aby uświetnić ceremonię dekoracji zwycięzców kilku konkursów. Nie wiadomo, czy tego właśnie oczekiwano, bo burmistrz jedynie kiwnął głową i przeprosił, twierdząc, że ma jeszcze na głowie mnóstwo spraw niecierpiących zwłoki. Hryć znał to z autopsji i nie zamierzał polemizować. Toteż szybko opuścił chłodne mury ratusza i wrócił na rynek. Wypadało pójść Pod Amora, żeby zobaczyć się z bratem. Mimo że zajmowały go teraz inne, o niebo ważniejsze

sprawy, również jego ciekawiło, czy tym razem uda się Waldkowi wygrać w konkursie cukierniczym. Kiedy zobaczył przed cukiernią Zbyszka sprzedającego ciastka z ulicznego straganu, poczuł jednak rozczarowanie.

– Ciastko z wróżbą? – przeczytał i cmoknął niezadowolony. – Mojemu bratu najwyraźniej zabrakło dobrego pomysłu!

Zbyszek Hryć zbyt był zajęty sprzedawaniem ciastek, aby zauważyć krzywy uśmiech stryja. A nawet jeśli go spostrzegł, nie zamierzał psuć sobie humoru w dniu, kiedy los tak bardzo mu sprzyjał. Klienci, niesyci dobrych prognoz, kupowali po kilka ciastek, a potem wracali, jakby chcieli zagarnąć tylko dla siebie całe szczęście, nie pozostawiając niczego innym. Rozwijali szeleszczącą folię, marszczyli brwi i uśmiechali się do siebie zadowoleni. Kiedy zaś wróżby nie spełniały ich oczekiwań, dokupowali ciastka, niczym losy na loterii. Zbyszek czuł, że trafił na żyłę złota, i jeśli czegoś żałował, to tylko tego, że nie upiekł ich dwukrotnie więcej. Rozważał nawet, czy nie wrócić do zakładu, ale nagle gdzieś koło fontanny mignęła mu postać Martyny, która obserwowała go z daleka. Nie do wiary, ale chyba nawet wysłała mu całusa! Najchętniej od razu by do niej podbiegł, ale musiał stać na posterunku, dopóki ktoś go nie zastąpi.

Popatrzył na kosze. Ile potrwa sprzedaż? Godzinę? Dwie? Trzy? Czy ona poczeka? Tak się umawiali, ale może jej się znudzi? Tymczasem podszedł do niego stryj Grzegorz.

– Ciastko z wróżbą? – powiedział, udając entuzjazm. – W takim razie sprawdzmy. Poproszę jedno – rzucił dwa złote do koszyka i długo przyglądając się ciastkom, wyciągnął jedno z samego spodu.

Przeszłość nigdy się nie kończy.

– Co za głupoty! – fuknął i pogrzebał w kieszeniach spodni. Wyjął kilka dwuzłotówek, bez słowa pokazał bratankowi, położył na blacie i wyciągnął z kosza kolejne ciastko. Tym razem nie przeczytał wróżby na głos, tylko spojrzął na kartkę.

Bogactwo bywa przekleństwem.

Zbyszkowi wydawało się, że wydrukował same dobre wróżby, dlatego zdziwiła go niezadowolona mina stryja. Wyglądało na to, że nie poprzestanie na dwóch ciastkach. Rzeczywiście, poseł starannie wybrał kolejne i kiwając mu głową, oddalił się w kierunku ławki przy fontannie, akurat tam, gdzie mocząc dłoń w wodzie i czekając, aż przy stoisku trochę się rozluźni, siedziała wpatrzona w Zbyszka Martyna.

Nie odzyskasz młodości, powtarzając dawne szaleństwa.

Przeczytawszy trzecią wróżbę, Grzegorz zmiął kartkę i wyrzucił ją do kosza. Upał coraz bardziej doskwierał i Hryć pomyślał o winiarni przy Szewskiej, ale w ogródku panował tłok, a on miał ochotę na chwilę samotności. Ruszył więc przed siebie w kierunku bulwaru. Zamyślony i zły, nie zauważył nadchodzącej z przeciwka Moniki. Zabawne, bo ona też go nie spostrzegła i nagle stanęli twarzą w twarz, skrępowani, nie mając sobie nic do powiedzenia, gotowi uciec, ale z poczuciem, że trzeba się jakoś ładnie wykręcić.

– Pan poseł dziś bez asystentki? – zapytała, licząc na to, że młoda kręci się gdzieś niedaleko i zaraz uwolni ją od niechcianego towarzystwa.

– Dostała wolne – odparł ponuro Hryć.

– Ojej, to chyba straszna niewygoda, kiedy się przywyknie? – Monika udawała współczucie.

– Nie musisz być złośliwa! – syknął.

– Jakoś na twój widok tak mnie ponosi.

Wbrew jej oczekiwaniom Grzegorz się roześmiał.

– Co robiłaś przez te wszystkie lata, nie mogąc się na mnie wyzywać?

– Było wielu innych.

– Trochę tu cię brakowało – powiedział nieoczekiwanie.

– Nie wydaje mi się.

– Od kiedy napisałaś tę książkę... – urwał w pół zdania.

– Daj spokój! Nie wracajmy do tego tematu. – Monika westchnęła ciężko.

– Nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– Czyżby?

– Może nie jestem zbyt przenikliwy, ale nawet ja zrozumiałem, że za nami tęsknisz.

Przyjrzała mu się sponad okularów słonecznych.

– Nie uwierzysz, ale nawet mi to do głowy nie przyszło.

– Kłamiesz! Ta książka to pretekst, żeby wrócić. Nie zdziwiłbym się, gdybyś kupiła w Gutowie dom i przeniosła się tu na starość.

Monika odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się szczerym, perlistym śmiechem.

– Mam do wyboru każdą stolicę świata, Nowy Jork jest moim drugim domem, po co miałabym wracać?

– Sama sobie odpowiedz.

– Bzdury.

– To co tu dzisiaj robisz?

– Biznes.

– Dzisiaj? Nikt nie pracuje.

– Mylisz się. Ci, na których mi zależy, pracują właśnie dziś.

– Rozważyłaś moją prośbę? – Hryć postanowił wykorzystać dobry humor dawnej przyjaciółki.

– Nie, Grzesiu, nie zbuduję twojego pomnika. Nie zasługujesz na pomnik, akurat ja wiem o tym najlepiej. Ale mogę kiedyś zjeść obiad w twoim towarzystwie, tamten warszawski był zbyt naładowany emocjami. Nie uważasz? – powiedziała, a on stał przez chwilę, jakby nie rozumiał. Dopiero kiedy sama zaczęła śmiać się z własnego żartu, Hryć skrzywił się ironicznie.

– Kobiety... Dlaczego jesteście o siebie zazdrosne?

– Widać taka już nasza natura. Wiesz, gdzie mnie szukać, prawda? Zostanę jeszcze ze dwa dni. Niestety, wielki świat mnie wzywa... – odparła z nieszczerym westchnieniem, rozkładając ręce w geście bezradności, przekonana, że mu zagrała na nosie.

Przez krótką chwilę widziała w nim tamtego chłopaka. Albo może chciała widzieć. Kiedy jednak wspinała się Szewską, to uczucie powoli ją opuszczało. Gdy dotarła do rynku, nie rozważała już, czy chce się jeszcze spotkać z Hryciem. Usiadła na obramowaniu fontanny i zanurzywszy rękę w zimnej wodzie, wystawiła twarz na drobne kropelki, które cudownie chłodziły policzki. Miała teraz jak na dłoni zachodnią ścianę rynku z obydwojema budynkami należącymi do Hryciów, w których na parterze urządzono cukiernię Pod Amorem.

Patrzyła na domy, jakby je chciała przeświecić wzrokiem, zastanawiała się, gdzie ukryłaby rodzinne pamiątki, gdyby nagle musiała wyjechać, i jedyne, co jej przychodziło do głowy, to piwnica.

– Ależ jestem przewidywalna! – Westchnęła. – Jedyne nadzieja, że Natan Cukierman myślał podobnie i że nikt nigdy nie zrobił w tej piwnicy porządnego remontu. Nie burzył ścian, nie szukał ukrytych skarbów wykrywaczem metalu. Jak się do tego zabrać?

Młody Hryc stał za przenośnym drewnianym straganem i sprzedawał ciastka konkursowe. Szło mu nieźle, sporo ludzi kręciło się po rynku, podchodzili do niego, patrzyli na zapakowane w celofan ciastka, zadawali pytania. Kiedy tylko wyłaniał się spoza klientów, Monika przyglądała mu się z uwagą. Trudno było nie zauważyć autentycznej pasji, z jaką im odpowiadał. Chłopak naprawdę żył tym, co robił, i znał tu chyba wszystkich. Czy to zresztą dziwne w tak małym mieście?

Obok Moniki na murku siedziała jakaś dziewczyna. Zwyczajem nastolatków nie wypuszczała z dłoni telefonu. Przez cały czas z kimś się komunikowała, wysyłając i odczytując SMS-y. W pewnej chwili telefon rozbrzmiał innym niż do tej pory dźwiękiem. Dziewczyna odebrała połączenie. Monika starała się nie podsłuchiwać, co było trudne, bo siedziały ramię w ramię, jednak po kilku zdaniach ciekawość zwyciężyła. Nie od razu przebiło się do jej świadomości, w czym rzecz. Ale kiedy zrozumiała, o kim mowa, ponownie zamknęła oczy i wystawiając twarz do słońca, zaczęła z uwagą przysłuchiwać się rozmowie.

– No, jestem tu. Gorąco. Nic jeszcze, zajęty jest. Co? No, wiem przecież. Stoi i sprzedaje ciastka jak jakaś ciamajda. Widzi mnie. No. Pomachał mi ręką. Pamiętam. Nie wiem, czy się uda. Obiecał. O rany, przestań, nie jestem głupia! Pewnie zaraz skończy. Spokojnie, po ostatnim razie niczego mi nie odmówi. Nie jestem pewna siebie, wiem. Dobra już, bez takich. Nie panikuj, będę ostrożna. Ubrałam się jak gimbaza. W dwóch sklepach nie chcieli mi sprzedać fajek, to chyba dobrze? Kończę, nara.

Monika otworzyła oczy i spojrzała na zegarek, ukradkiem ją obserwując. Czy to, co usłyszała, jest tym, o czym siłą rzeczy musiała pomyśleć? Czy to możliwe, że młoda poluje na syna Hryciów? Właściwie czemu nie? Urodą może nie grzeszy, ale to nie Hollywood. Jest jedynakiem z cukiernią. W takim mieście jak Gutowo to majątek wart grzechu. Zabawne, że w dobie emancypacji kobiety nadal zabiegają o facetów z kasą, cóż, tak chyba będzie zawsze.

Dziewczyna wyłączyła telefon, ale nim schowała go do torebki, zrobiła jeszcze zdjęcie tego, na co obie teraz patrzyły, czyli frontu cukierni i młodego Hrycia sprzedającego na zaimprovizowanym stoisku ciastka z niespodzianką. Wreszcie wstała i ruszyła w jego stronę. Monika powiodła za nią wzrokiem. Widziała niewysoką licealistkę z długimi, źle ufarbowanymi blond włosami, ubraną w kwiecistą letnią sukienkę i sandały, ze szmacianą torbą na ramieniu. Zrozumiała, że to kamuflaż. Ponieważ stojący kilkanaście metrów dalej i wciąż pracujący syn Hryciów, patrząc w jej kierunku, uśmiechał się nieco zawstydzony, Monika uznała, że śmieje się do dziewczyny. Ta jednak nie zatrzymała się przy stoisku i nie sięgnęła po ciastko, tylko weszła do cukierni. Po chwili pojawiła się z dużą szklanką lemoniady, którą ze smakiem pociągała przez słomkę.

– Mogę? – zapytała, kładąc na ladzie dwuzłotówkę, a on w geście rzekomej bezradności rozłożył ręce, pozwalając jej wybierać.

Monika widziała, jak dziewczyna grzebie w ciastkach, a potem odwija z folii jedno z nich, rozgryza, wyjmuje zwitek papieru, rozwija, czyta i ze śmiechem pokazuje chłopakowi. Chyba spodobała im się wróżba. Wyglądali na szczęśliwych i wyluzowanych. Ona uwodziła go na swój sposób, ale on chyba już i tak połknął haczyk.

W koszyku było jeszcze trochę ciastek i Zbyszek pewnie najchętniej oddałby je do cukierni, bo przestępował z nogi na nogę, rozglądając się za klientami. Na wieży ratusza zegar wybijał właśnie dwunastą, kiedy od strony Szewskiej z pustym koszykiem w dłoni podeszła do niego jedna z ekspedientek cukierni. On wskazał jej własny koszyk, wtedy ona weszła do środka i po krótkiej chwili wróciła. Zbyszek oddał jej swój towar, widać Hryciowie zdecydowali, że ważniejsze jest sprzedawanie ciastek na deptaku. Właśnie na to czekał. Na dziś był wolny.

Monika pomyślała, że ma temat do rozmowy z Heleną Hryć.

Gutowo, sierpień 2016

Zbyszek sądził, że przy całym zamieszaniu spowodowanym przez Dni Gutowa najlepiej będzie, aby rodzice poznali Martynę właśnie w sobotę. Spodziewał się, że tego dnia nie będą już nic od niego chcieli, poza tym akurat oboje byli w sklepie. Na dodatek mogli poświęcić na rozmowę zaledwie kilka minut. Sytuacja wymarzona, na wypadek gdyby coś nie wypaliło. Nie bez pewnej obawy spojrzął na dziewczynę i powiedział:

- Chciałbym cię przedstawić rodzicom.
- Okej! – odparła, żując gumę, i wzruszyła ramionami, jakby godziła się na to wyłącznie dla niego.

Trochę ją dziwił podniosły ton Zbyszka. Żaden jej chłopak nigdy nie traktował tego momentu aż tak poważnie. Kiedy pojawiała się u któregoś w domu, nikt się jej specjalnie nie przyglądał. Koleżanka czy dziewczyna, to bez znaczenia. Dopiero kiedy zachodziła w ciążę, robił się problem. A tu taki ceremoniał! Zbyszek wziął ją za rękę i otworzył drzwi do sklepu.

Helena Hryć zauważyła ją już wcześniej, ale kiedy dziewczyna stanęła przy Zbyszku, zaczęła się domyślać. Widziała tylko plecy syna, lecz wyraz twarzy jego rozmówcy nie budził wątpliwości.

- To ona! – szepnęła do męża.
- Kto? – nie zrozumiał Hryć.
- Jego dziewczyna.
- Myślisz? Jakaś taka niepozorna...
- Nie wydziwiaj! – fuknęła.

Niedługo potem Zbyszek przyszedł rozliczyć sprzedane ciastka. Przsiedli z matką na zapleczu, gdzie znajdowało się jej małe centrum dowodzenia: biurko z dokumentami, laptop i telefon stacjonarny, którego wciąż używała chętniej niż komórki.

- Udało się! – z radością wykrzyknęła Helena, kończąc liczenie utargu syna.

– To twoja zasługa!

– Jeszcze nie wiadomo, jaki będzie werdykt – próbował oponować.

– Werdykt jest nieważny! Zobacz, dopiero dwunasta, a my już prawie wszystko sprzedaliśmy! No i nie zdziw się, kiedy tata ci powie, że postanowił wprowadzić ciastko z niespodzianką do stałego asortymentu, ale to już przesądzone!

Czekała na okrzyk entuzjazmu, jednak zamyślony Zbyszek tylko pokiwał głową.

– Widziałaś ją? – zapytał wreszcie.

– Kogo?

Chłopak westchnął z przesadą.

– Kupowała lemoniadę. Ma na imię Martyna.

– To ona? – wyszeptała konspiracyjnie Helena, udając, że się niczego nie domyśla. – Kiedy ją poznamy?

– Fajnych masz starych! – siląc się na obojętność, powiedziała Martyna, zlizując wierzch roztapiających się szybko lodów pistacjowych. Starła się nadać swojemu głosowi nawet trochę nieprzyjemne brzmienie, aby Zbyszek broń Boże nie pomyślał czegoś, czego nie powinien.

– Mhm – odparł.

Zabrzmiało sceptycznie, i o to chodziło. Nie chciał się z nią dzielić wątpliwościami, ale niejasno przeczuwał, że prezentacja nie wypaliła. Oczywiście trwała tylko chwilę. Rozmawiali może trzy minuty, ale rodzice uśmiechali się sztucznie i wszyscy byli spięci.

– Chyba im się nie spodobałam. – Wyczuł w jej głosie smutek.

– Jesteś moją pierwszą dziewczyną – wyznał.

– Nie bajeruj! – Roześmiała się. – To dlatego...

– Wszystkim się przejmują. Może gdyby byli młodszy, mieliby więcej luzu.

– Nie są tacy starzy! – zaoponowała Martyna. Zrozumiała, że teraz musi być pełna entuzjazmu, bo on też wyglądał na zmartwionego. – Co robimy? Idziemy na deptak?

Kiwnął głową, ale od ponad godziny myślał gorączkowo, gdzie by tu się z nią zaszyć i powtórzyć to, co go tak wczoraj oszołomiło. Myślał tylko o tym. Martyna popatrywała na stoiska, brała do rąk a to słomkowy kapelusz, a to drewniany gwizdek, jakieś bluzki, koraliki, gliniane naczynia. Grała przed nim

radosną, zakochaną nastolatkę. To jego najpierw musiała przekonać. Wreszcie zeszli z Szewskiej na deptak. Kiedy zobaczyła łódkę, wpadła w zachwyt jak mała dziewczynka.

– Och, popłynęmy! Proszę! Jeszcze nigdy nie pływałam taką łódką! To gondola, prawda? Jejku, jak w Wenecji!

Zbyszek uśmiechnął się, nareszcie zadowolony, a ona pomyślała, że powinna się trzymać tej strategii. Był od niej kilka lat młodszy. Musiała dać mu przewagę, puścić przodem, utwierdzić w przekonaniu, że o wszystkim decyduje. Na razie nie wydawało się to zbyt trudne. Patrzył na nią maślanymi oczyma, za seks mogła mieć wszystko. Jeśli zdecydowała się zdobyć go na wyłączność, nie mogła pokpić sprawy. Musiała doprowadzić ją do końca. Nie doceniła jednak przeciwnika. Kiedy w cukierni zrobiło się trochę luźniej, Helena mruknęła do męża:

– Nie podoba mi się ta dziewczyna!

– Dlaczego? – westchnął Hryc.

– Jest w niej coś... Nie wiem... Myślę, że jest nieszczerą.

– Wobec kogo?

– Nie chciałabym, aby Zbyszek cierpiał.

– Myślisz, że go zostawi?

Helena spojrzała na męża z troską, ale on nie zamierzał się dzisiaj martwić.

– Dajże spokój, nie uchronimy go przed wszystkim!

Monika Grochowska-Adams usłyszała te słowa przypadkiem. Była już bliska opowiedzenia Helenie tego, co niechcący podsłuchała przy fontannie, ale uznawszy, że Hryciowie mają się na baczności, zapłaciła za swoje lody i poszła śladem Zbyszka i jego dziewczyny.

Z baszty zamkowej rozciągał się przepiękny widok na jezioro i miasto. Tessa nie czuła się najlepiej, mimo to czyniła honory domu wobec Eleny i Mii. Wiedziała, że trudno im się będzie zachwycić Gutowem, a bardzo jej na tym zależało. Spoglądały teraz w dół, obserwując promenadę i jezioro, dachy miasta, cienkie nitki dróg i odległą ścianę lasów. Mia robiła zdjęcia, a Tessa zastanawiała się, jak i kiedy powiedzieć im, po co tu przyjechały.

– Może zjemy tutaj lunch? – zaproponowała Elena. – Chyba że masz inne plany.

– Nie, nie mam żadnych. Czuję się trochę dziwnie. Wszystko jest takie inne,

trochę jak dekoracja teatralna. Jakby na moją cześć wszystko tu posprzątało.

– To chyba dobrze? – zapytała Mia.

– Czy ja wiem... – Tessa zawiesiła głos, uporczywie wpatrując się w promenadę.

– Ktoś znajomy? – domyśliła się Elena.

– Chyba tak... – suchymi z emocji wargami wyszeptała Tessa.

Nagle poczuła lęk, że ją też ktoś może rozpoznać. Grzesiek Hryć stał u podnóża baszty zamkowej i rozmawiał z jakimiś ludźmi. Zmienił się, przytył, przerzedziły mu się włosy, ale niewątpliwie to był on! Ubrany w jasny lniany garnitur i niebieską koszulę wyglądał całkiem nieźle. Mogłaby teraz zejść i poprosić go o chwilę rozmowy albo umówić się na jutro. Mogłaby podejść do niego i jednym zdaniem wywrócić mu życie do góry nogami. Mogłaby się wreszcie zemścić, jednak nadal odkładała ten moment. Póki tylko ona znała tajemnicę, która dotyczyła ich trojga, czuła się bezpieczna. Kiedy wreszcie wyjawí prawdę, zostanie oskarżona o brak serca, choć tylko ona w najważniejszej chwili miała dość odpowiedzialności i nie bała się poświęcenia.

– Posprzątałam po nich, ale za dobro zawsze w końcu zostajemy ukarani. Czy warto cierpieć za prawdę? Czy warto umierać w pogardzie, jaka z pewnością stanie się moim udziałem?

Pociemniało jej przed oczami.

– Gorąco. Zejdźmy do restauracji. Zobaczymy, co mają w karcie – powiedziała, uśmiechając się słabo.

Już drugi raz tego dnia schodziła Hryciowi z oczu. Ciekawe, czy gdyby stanęli twarzą w twarz, on by ją w ogóle poznał? Nie rozpamiętywał przecież tego wszystkiego przez ostatnich pięćdziesiąt lat, szedł swoją drogą. Nie wiedział nawet, co się stało, dawno o wszystkim zapomniał. Sądził pewnie, że sprawa jest definitywnie zamknięta. Nie obciąża go. Jaką minę zrobi, kiedy się dowie, że prędzej czy później życie zawsze wystawia rachunek?

Czy zemsta jest mi w ogóle potrzebna? – pomyślała Tessa i mocno przytrzymując się poręczy, zaczęła schodzić wąskimi schodkami do podziemi zamku.

Tymczasem Grzegorz Hryć, przywitawszy się z radnym Zawadką, szybko uściskał mu dłoń i ruszył w kierunku zamku. Miał ochotę na kieliszek wódki.

Zjadłby też może coś niewielkiego w Basztowej, bo wyszedł z domu bez śniadania. Trochę pokłócili się rano z Anitą, która oczekiwała, że on zostanie na poniedziałek, aby podpisać jakiś wniosek o kredyt. Hryć zaś uważał, że żona zdecydowanie przecenia swoje siły i możliwości biznesowe. Wystarczyłoby dopilnować drogerii, po co się rzucać na niepewne, otwierać nowe przedsięwzięcia. W dodatku z tego, co powiedziała, prezes spółdzielni mleczarskiej będzie oczekiwał czegoś w zamian, a on, od kiedy został posłem, nie lubił być wpłątywany w zależności. Na próżno Anita tłumaczyła, że teren po dawnej mleczarni to łakomy kąsek, a Karolina już jej obiecała urządzić tam pałdziernikowy zjazd absolwentów i studniówkę. W mieście brakowało naprawdę dużej sali, wszystkie imprezy trzeba było organizować w hotelu w Zajezierzycach. To był argument z biznesowego punktu widzenia, ale Hryciowi nie podobało się, że jego żona wciąż chce rywalizować z Waldkiem i Heleną.

– Może jeszcze cukiernię otworzysz?! – krzyknął zezłoszczony. – A co będzie, jeśli koszty remontu przewyższą dochody? Z czego zapłacisz raty?

– Mamy przecież parę setek w banku. Wezmą je pod zastaw. W razie czego będzie też na spłatę, póki interes się nie rozkręci.

– Czyś ty oszalała?! To miało być na starość! Kto wie, jak długo będę posłem!

– Już twoja w tym głowa, aby cię wybrali na drugą kadencję. O resztę się nie martw.

– Jak mam się nie martwić? W końcu to także moje pieniądze!

Popatrzyła na niego z bezgranicznym zdumieniem i litością, której nienawidził. Nawet teraz z pensją poselską i wszystkimi dodatkami nie wyciągał tyle co ona.

– Pieniądze leżą w banku i tracą na wartości – tłumaczyła Anita. – A drugiej takiej okazji nie będzie.

Nie chciał się kłócić, wypił więc kawę i wyszedł, zostawiając problem jak zwykle na głowie żony. Dlatego nie miał humoru. Raz po raz wracała myśl o kolejnym kredycie i przedsięwzięciu Anity, którego nie miał ochoty wspierać. Dlaczego wciąż się wywyższała? Dlaczego nie chciała siedzieć w domu albo na jakiejś urzędniczej posadzie? Dlaczego wszystkiego jej było mało? I chociaż nigdy nie prosiła go o pomoc, jej przedsiębiorczość go złościła. Bo – nie krył tego przekonania przed nikim – kobieta powinna zawsze podążać krok za mężczyzną. Tak było w Biblii, tak praktykowano przez

tysiąclecia i to się sprawdziło. Od czasów emancypacji wszystko stanęło na głowie i stąd rozwody, związki patchworkowe i wszystkie inne patologie. Tak! Emancypację kobiet należy zwalczać wszelkimi dostępnymi metodami.

W Basztowej wreszcie odetchnął. Zaraz zamówi wódkę i tatar, wzmocni się, a potem pomyśli, co dalej. Na szczęście nie było tłoku. Ledwie minęło wpół do pierwszej, ludzie o tej porze jeszcze nie jedzą obiadu. Spojrzał w menu podane przez kelnerkę. A może wziąć chłodnik? Kiedy wreszcie zdecydował, co zamówi, rozejrzał się po sali. Jakieś trzy kobiety kilka stolików od niego rozważały kwestię wyższości kuchni polskiej nad austriacką. Najstarsza kogoś mu przypominała, popatrywała ku niemu z ukosa, jakby ciekawie. Ubrana elegancko, a nawet wytwornie, miała krótko ostrzyżone siwe włosy. Wyglądała na zamożną. Mogła być profesorką uniwersytetu albo emerytowaną lekarką. Hryć miał niejasne wrażenie, że skądś ją zna, ale nie potrafił jej nigdzie zlokalizować. Mogli się kiedyś przelotnie spotkać, ale gdzie? Na jakiejś sejmowej komisji? W radiu? Może jest szefową jakiejś fundacji, która lobbowała w Sejmie? Tylko co robi akurat w Gutowie?

– Pewnie wie, że jestem posłem, i chce coś załatwić. Nawet w święto nie dadzą człowiekowi spokoju!

Ale mimo że spojrzała ku niemu jeszcze kilka razy, kobieta nie wstawiała, aby podejść. Hryć zamówił chłodnik. Teraz już nie odważyłby się wypić wódki, może to jakieś dziennikarki z tabloidu?

– Wszędzie na cenzurowanym, wszędzie się pilnuj! – pomstował nad talerzem.

I jakby tego wszystkiego było mało, we drzwiach stanęła niespodziewanie Monika Grochowska-Adams!

– Śledzi mnie czy co? Zaraz tu usiądzie i już się nie uwolnię od jej towarzystwa! Czy to możliwe, że kiedyś mi się podobała? – zastanawiał się z irytacją.

Monika czekała przy wejściu, aż kelnerka wskaże jej miejsce, i ta chwila wystarczyła, aby go uratować od niechcianego towarzystwa, bo zupełnie jak na zawołanie usłyszał melodyjkę swojej komórki. Drżącym z przejęcia głosem sekretarka burmistrza oznajmiła:

– Panie pośle, dostaliśmy wiadomość, że za kwadrans przyjedzie wojewoda. Czy zechce pan przyjść do ratusza?

Gutowo, sierpień 2016

Kiedy po dłuższej chwili kelnerka wciąż nie kwapiła się, aby do niej podejść, Monika przecięła salę na skos, minęła stolik, przy którym mocno pochylony poseł Hryć, udając niewidzialnego, pośpiesznie siorbał swój chłodnik, i skierowała się ku najdalszemu kątowni. Usiadła, kładąc na krześle torebkę, i rozejrzała się.

Sala nie była duża, stało tu dziesięć, może dwanaście stolików, w dodatku nie wszystkie były zajęte, toteż prędzej czy później musiała je dostrzec. Siedziały pod przeciwległą ścianą, rozmawiając swobodnie: najstarsza, kobieta w średnim wieku oraz nastolatka. Starła się nie przyglądać zbyt natarczywie, jednak raz po raz wracała ku nim spojrzeniem. Coś jej mówiło, że to były te same kobiety, których nie udało jej się zobaczyć w hotelu.

Przeglądając przyniesione przez kelnerkę menu, zastanawiała się, czy to nie złudzenie i czy rzeczywiście zmieniony przez chrypkę głos jest głosem jej dawnej przyjaciółki. Nie wiedziała, co zrobić. Siedziała sztywno, rozważając, jak postąpić. Tamta jej nie ułatwiała. Monika nadal nie była pewna, może to przypadkowe podobieństwo? Jak na Teresę kobieta jest chyba zbyt dobrze ubrana, zbyt swobodna, zbyt światowa. Zresztą w ogóle nie spogląda w tę stronę, zatem pewnie jej nie rozpoznała. Albo nie chciała rozpoznać.

Poczuła lekkie ukłucie zawodu. Mimo że ich spojrzenia się skrzyżowały, w oczach tamtej nie zapaliła się żywsza iskra. Zatem to nie ona... I nagle Monika uświadomiła sobie, że przyjeżdża do Gutowa po wielokroć również w tym celu, aby odnaleźć jakiś ślad Teresy. Ale ludzie jej tu nie pamiętali i nikt, z kim rozmawiała, nie wiedział, co się z nią dzieje. Ślad urywał się w latach siedemdziesiątych. Oczywiście stać ją było na detektywa. Mogła się dowiedzieć, gdyby naprawdę chciała. Ale przez długie lata w ogóle o niej nie pamiętała. Zajęta wspinaniem się po szczeblach kariery, zostawiła dawną przyjaciółkę jej własnemu losowi. Pięćdziesiąt lat pustki, bagatela. Czy to możliwe, żeby teraz nagle Teresa pojawiła się w Gutowie w tym samym czasie

co ona? Nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

I chociaż była niemal pewna, że to niemożliwe, jeszcze raz uniosła wzrok. Teraz wydało się jej, że tamta kobieta lekko skinęła głową, jakby chciała się przywitać. Odpowiedziała jej tym samym, ale wtedy właśnie dostała swój posiłek, zresztą nie wypadało się tak natrętnie gapić. Chłodnik był doskonały. Łyżka po łyżce wracały wspomnienia związane z Teresą, przypominały jej się własne dzieciństwo i młodość.

Zaspokoiwszy głód, poprosiła o rachunek. Tamte kobiety kończyły kawę. Lekko pochylone ku sobie, o czymś szeptały z ożywieniem. Pewnie zaraz wyjdą. Może na dziedzińcu zamkowym uda się do nich zbliżyć? Monika rozważała nawet zapytanie kobiety wprost, ale wstrzymywała się przed tym, nie chcąc się narzucać. Postanowiła je wyprzedzić i stanąć na dziedzińcu obok wyjścia z Basztowej, żeby zobaczyć Teresę *en face*, a nie jak do tej pory z profilu, co mogło być mylące. I kiedy już wstawała od stołu, najmłodsza z nich nieśmiało podeszła do jej stolika.

– Przepraszam najmocniej – powiedziała z jakimś twardym akcentem. – Czy pani...? – Spojrzała na okładkę trzymanej w dłoni książki. – Czy to pani jest autorką?...

Monika uśmiechnęła się skromnie i skinęła głową.

– Kupiłam dziś dla babci, która pochodzi z tych okolic. Babcia mówi, że panią zna. Czy pamięta pani Teresę?

Monika spojrzała na dawną przyjaciółkę i poczuła drzenie podbródka, a po jej policzkach spłynęły dwie nieoczekiwane łzy.

Zajezierzyce, lato 1954

Babka Bronia w chustce zawiązanej z tyłu głowy siedziała na niskim drewnianym zydelku i darła puch z brzucha leżącej na jej kolanach gęsi. Ptak próbował się wyrwać, ale kobieta trzymała go mocno, wsadziwszy szyję gęsi pomiędzy nogi. Puch wyskubany z podbrzusza wkładała do starej poszewki, przy czym drobne białe kłaczkę przypominające płatki śniegu raz po raz wlatywały do góry i fruwały niczym maciupieńkie chmurki. Teresa, słuchając babczyńskich opowieści, próbowała schwytać puch, ale podmuch wiatru unosił go tak wysoko, że mogła się tylko bezradnie przyglądać.

– Panienska ze dworu dziś przyjdzie? – nie patrząc na wnuczkę, zapytała babka.

Miała na myśli Monikę, która nie była panienką ze dworu, tylko córką głupiej Stefcy z Cieciorki. Paździuchowa to wiedziała, ale lubiła się czasem podroczyć. Zresztą Monika pozostawała teraz na wychowaniu u Pawlaka, a to coś znaczyło. Ludzie w Zajezierzycach wciąż pamiętali jego rządy w majątku. Dobry to był gospodarz i zacny człowiek. Gdy nastały nowe czasy, musiał usunąć się w cień, bo nikt by go już na tym stanowisku nie zatwierdził. W końcu był ostatnim dziedzicem w okolicy. Zostawili go w spokoju, i słusznie, a te parę hektarów, co je miał po żonie, to tyle co nic, inni w okolicy mieli nawet więcej. Ciekawe, komu przypadną, jakby co? Chyba nie Janiukowej, choć ona u niego od lat za gospodynię robi. A jej syn ze Stefcia... Co mu do głowy przyszło? Biedne dziecko ta Monika. Niby we dworze mieszka, ale ojca swego nie zna, a i matka gdzieś przepadła...

– Nie wiem – odparła Teresa, podskakując, by schwytać unoszący się do góry biały puszek.

Swoich rodziców, Feliksa i Wiesławy, Teresa też nie znała. Kiedy skończyła pół roku, wyjechali szukać szczęścia na Dolnym Śląsku, tam go jednak nie znaleźli i przez Wielkopolskę dotarli aż na Pomorze. Wszędzie wypatrywali

wymarzonego gospodarstwa, ale być może za późno zdecydowali się na wyjazd, bo trafiały im się już tylko jakieś resztki. Feliks wciąż narzekał i awanturował się, sądząc, że po tym, co wycierpiał od Niemca podczas robót przymusowych, powinien zostać sownie wynagrodzony. Taka zresztą była oficjalna propaganda. Nikt jednak nie mówił, że gospodarstwa z dużymi arealami są zmieniane w PGR-y, gdzie takich jak on potrzebują co najwyżej na traktorystę czy oborowego. Więc kiedy tylko ktoś przebąkiwał o urodzajnych ziemiach leżących odłogiem a to w Leszczyńskim, a to w Pilskim, a to w Koszalińskim, rzucali wszystko i jechali, aby znaleźć gospodarstwo tylko dla siebie. Marzył im się murowany urządzony dom i kilka hektarów dobrej ziemi.

Po kilku latach bezowocnych poszukiwań Wiesława w zaawansowanej ciąży, przymuszana do kolejnej podróży, zaparła się i stanąwszy na wprost męża, rzuciła hardo:

– Nigdzie nie jadę!

I została na trzyhektarowym gospodarstwie, a on wyjechał na Śląsk. Tu wreszcie zrozumiał, że można żyć nie tylko z gospodarki. Dostał pracę w kopalni i obietnicę dwupokojowego mieszkania w nowym bloku. Pojechał więc po Wiesławę, uznawszy, że spodoba jej się życie, jakie wiodły żony jego kolegów, których jedynym obowiązkiem była praca w domu i oczekiwanie na męża.

Ona jednak nie dała się przekonać i Feliks sam wrócił na Śląsk. W rezultacie kiedy jego koledzy wprowadzali się do własnych mieszkań, on wciąż musiał się gnieździć w hotelu robotniczym. Dwa lata zajęło mu przekonywanie żony i nie wiadomo, czy to tęsknota pchnęła ją do miasta, czy też nieurodzajne, na przemian deszczowe i suche lata, kiedy plony nie starczały nawet na utrzymanie i Wiesława żyła głównie z tego, co udało jej się sprzedać z pozostałego po Niemcach majątku.

W tym czasie babka Bronisława, obarczona wychowaniem Teresy, nie wiedziała ani gdzie są, ani jak im się wiedzie. A oni, wciąż czekając na odmianę losu i zapuszczenie korzeni na swoim, zwlekali nawet z krótkim przyjazdem.

Teresa rosła i garnęła się do pomocy. Była pojętna i nie marudziła, kiedy jako czterolatka zaczęła chodzić za gęśmi. Stara Paździochowa miała rękę do gęsi, zawsze jej się udawały i miały najlepszy puch. Początkowo Teresa trochę się ich bała, syczały groźnie i wyciągały szyje, a były wyższe od niej. Ale

kiedy po raz pierwszy zobaczyła, jak się wykluwają, jak rosną, zmieniając wygląd i upierzenie, kiedy nosiła małe miękkie kuleczki, które potem biegały za nią jak za matką, przestała odczuwać lęk. I podczas gdy babka podskubywała gęsi, zbierając puch do lnianego woreczka, Teresa głaskała oszołomionego ptaka i przemawiała do niego czule.

– Za miętka jesteś! – mawiała czasem Paździochowa, uznając przyjaźń wnuczki z gęśmi za dziwactwo.

Dobrze im było ze sobą. Biednie, ale dobrze. Dookoła mieszkali podobni im ludzie z czworaków. Po reformie każdy dostał po działce, z której musiał się utrzymać. Niektórzy, jak babka Bronia, pracowali jeszcze w PGR-ze, inni dojeżdżali do Gutowa czy Płocka.

Dopiero kiedy po raz pierwszy weszła do dworku w Długołęce, Teresa zrozumiała, jak bardzo jej babka jest biedna. Bogactwo tego domu ją oszołomiło, jednocześnie dobroć Pawlaka i Janiukowej wydała jej się prostą konsekwencją zamożności. Dlatego postanowiła, że to jej przypadną wszystkie koraliki. Nagrody za dobrze odrobione lekcje u Pawlaka były pierwszą wartościową rzeczą, jaką zapragnęła zdobyć na własność, skarbem, który mógł właśnie jej przypaść w udziale. Starła się pisać równo i dokładnie, ale wysoka stawka sprawiała, że ręka jej czasem zadrżała, mimowolnie wychodząc poza linię.

Trzeba przyznać, że dziedzic był sprawiedliwy i zawsze koralik dostawała ta, która bardziej zasłużyła. Teresie marzył się naszyjnik z koralików, ale raz po raz pula zmniejszała się o nagrodę przeznaczoną dla Moniki. Należało się z tym pogodzić, zwłaszcza że zbliżała się wiosna i wiadomo było, że lekcje nie potrwają długo. Wiosną zaczynał się wypas gęsi i babka nie zamierzała zwolnić Teresy z tego obowiązku. Teraz, kiedy dziewczynka poznała już litery, chciałyby samodzielnie czytać. W pamięci miała te wszystkie cudowne opowieści zasłyszane z książek Pawlaka. Dzięki nim zaczęła się nawet trochę inaczej wysławiać. Babka ją karciła, twierdząc, że wysławia się jak dziedziczka i jeśli nie wróci do dawnego mówienia, nigdy nie znajdzie męża.

Po Wielkanocy zaczęła się praca w polu i nie było już zgody na bieganie do Długołąki. Babka z trudem zgodziła się na lekcje w niedzielę, a i tak wyłącznie dlatego, że Pawlak bardzo nalegał. Stara nie rozumiała, po co jej wnuczka miałaby zdobywać wykształcenie. Owszem, czytanie i pisanie były ważne, podobnie jak rachunki, to się mogło w życiu przydać, ale Teresa zaczęła mieć marzenia. Przebąkiwała o tym, że może wyuczy się na

nauczycielkę albo lekarza, a to się już w głowie nie mieściło.

– Niby po co ma nauczycielką zostawać? Dotąd wszyscy u nas w ziemi robili i dobrze było. Od tej nauki to tylko ludzie głupieją.

Kobieta nie potrafiła precyzyjnie wyrażać myśli, ale bała się o wnuczkę, a doświadczenie mówiło jej, że wybujałe ambicje prowadzą na manowce. Kto miał zresztą zapłacić za to kształcenie? Owszem, teraz w Polsce szkoły były za darmo, jednak samemu trzeba jeszcze kupić ubranie i książki, a to wszystko kosztuje. Zdecydowanie wołała, żeby Teresa została przy niej, hodowała gęsi i żyła z dnia na dzień. Bez zbędnych nadziei, bez wysiłku umysłowego i bez rozczarowania. Szeroki świat nigdy Paździochowej nie ciągnął. Gutowo było wystarczająco duże, w Płocku była może wszystkiego z pięć razy, a i tak zawsze wracała z bólem głowy. Miała żal do Pawlaka, że się uparł i zasiał w duszy Teresy tę zgubną myśl, która – ona to wiedziała – do niczego dobrego nie doprowadzi.

Pawlak, mimo wszystkich zmian, mimo wypędzenia panów z dworów i pałaców, był w gminie ważną osobistością. Ludzie traktowali go z szacunkiem, często szli po radę tak dotyczącą gospodarki, jak i wszystkiego innego. Pawlak był wykształcony. Ale Pawlak to co innego, on jest mężczyzną, jej wnuczce do szczęścia wystarczyłby majętny mąż z gospodarką. Nie liczyła jednak na zbyt wiele, bo dziewczynce Pan Bóg całkiem poskąpił urody.

Tej jesieni Teresa i Monika miały pójść do pierwszej klasy. Szkoła tuż po wojnie znalazła przytulisko w pałacu Zajezierskich. Zajmowała kilka pokoi, gdzie w łączonych grupach uczyły się dzieci z różnych roczników. Nauczycieli było troje, a dzieciaków pięćdziesiątka. Brakowało wszystkiego: ławek, tablic, książek i zeszytów. Jeśli rodzice nie dowieźli drewna, zimą w klasach się marzło, ale nauczyciele pracowali z oddaniem, a większość dzieci garnęła się do nauki.

Monika i Teresa były bardzo podekscytowane perspektywą pójścia do szkoły. Miały jednak jeszcze przed sobą całe lato. Spędzały je, pasąc gęsi, rwąc na łące mlecz dla królików i krwawnik dla kur. Zajadały się świeżym chlebem z olejem lnianym i cebulą, czytały pożyczone od Pawlaka książki, kąpały się w jeziorze albo opowiadały sobie różne historie. Najbardziej jednak lubiły tuż przed zachodem słońca usiąść na ławce przed dworkiem w Długolące albo na progu domu Paździochowej i słuchać opowieści

dorosłych o tym, jak było przed wojną. Pawlak miał album ze zdjęciami i czasem, kiedy dopisywał mu humor, pokazywał im fotografie hrabiego, pani Ady, swojej żony Kingi, pięknej aktorki Giny Weylen, która zawojowała świat, jej syna Adama Toroszyna, na którego powrót chyba wciąż jeszcze czekał.

Pawlak był powściągliwy. Musiały go ciągnąć za język, ale kiedy już zaczął, malował swymi słowami świat, który dziewczynkom nie mieścił się w głowie. Świat oszałamiająco bogatych ludzi, których życie upływało wśród pięknych przedmiotów, na ucztach, polowaniach, podróżach. Przyglądając się nieco wyblakłym fotografiom w kolorze sepia, prawie mogły ich dotknąć. Ciągłe niesyte dopytywały się to o Adę, to o jej siostry, o hrabiego Tomasza, Ewę Radzewicz, która utonęła w jeziorze, i jej braci.

– To jest Michał! – powiedziała Monika, wskazując palcem wysokiego przystojnego młodzieńca. – A dlaczego ciebie, dziadku, nie ma na zdjęciach? – zapytała w końcu.

– Tak jakoś wyszło – odparł speszony Pawlak.

Nie chciał tłumaczyć dziewczynkom swego niejasnego statusu. Bo przecież był szwagrem hrabiego, ale też jego zarządcą i prawie się nie zdarzało, aby więzy rodzinne wzięły górę nad zależnością zawodową. Ale dla nich był jedynym łącznikiem z tamtym światem z fotografii. Monice nie chciało się wierzyć, że pałac kiedyś wyglądał tak pięknie! Że na rozjeżdżonym przez samochody i furmanki podwórku królował klomb z kwiatami, a okazała zdobiona brama otwierała się szeroko na przybycie gości. Nie mogła zrozumieć, dlaczego kiedyś wokół panował porządek, a teraz wszędzie walają się śmieci, srają kury i gęsi, bramę ktoś ukradł i nikt się tym nie przejmuje.

– Takie czasy... – wzdychał Pawlak, starając się nie komentować polityki.

Jemu samemu niewiele już mogło grozić i nie bał się o siebie, ale z początkiem lata za rzekome malwersacje w fabryce aresztowano Kazimierza. Janiukowa bardzo to przeżyła, co odbiło się na jej zdrowiu. Smuciło ją, że aresztowali go za niewinność. W fabryce stery przejęli bowiem ludzie, którym jego uczciwy charakter stał się solą w oku. Woleli pozbyć się świadka swoich kradzieży, zrobiono więc z Kazimierza kozła ofiarnego. Sprawa w sądzie była krótka i bardzo ideowa. Znaleźli się świadkowie, którzy poświadczyli nieprawdę.

Pawlak od dawna czuł, że kraj, który przez zmianę ustroju dostał wielką szansę na wyrównanie różnic społecznych, powoli staje się ojczyzną

partyjnych karierowiczów, co dla siebie i swoich klik zagarnęli, ile się tylko dało. Dlatego nie brał udziału w życiu społecznym, choć ludzie z Długołaki namawiali go, aby został sołtysem, a potem by kandydował na wójta. Na szczęście mógł się wymówić wiekiem. Nie chciał w tym wszystkim brać udziału. Jego jedyną radością było teraz obserwowanie Moniki, którą kochał jak wnuczkę, a jedyną troską przeżycie kolejnego dnia.

Już od czerwca zaczął w sekrecie kompletować przybory szkolne do pierwszej klasy. Tekturowe tornistry, drewniane piórniki, atrament, stalówki i obsadki, kredki i ołówki, zeszyty z bibułą i podręczniki. Wszystko było podwójne. Pawlak każdy zakup chował przed Moniką i Janiukową, jakby to były prezenty pod choinkę.

Wreszcie pewnej sierpniowej niedzieli, kiedy Teresa po porannej mszy mogła przyjść, aby się pobawić, ułożył wszystko na stole i z tajemniczą miną zaprosił dziewczynki do pokoju. W nabożnym skupieniu, bojąc się cokolwiek powiedzieć, niemal wstrzymując oddech, z otwartymi ustami patrzyły na te wszystkie cuda.

– Co to? – odważyła się wreszcie zapytać Monika.

– Wasze szkolne wyprawki – powiedział Pawlak, szczęśliwy, że mu się udało niespodzianka. – Ale... – zawiesił głos. – Przyrzeknijcie mi coś... – Popatrzył na nie raz jeszcze. W tej chwili bez wahania obiecałyby mu wszystko. – Wiem, że nie muszę tego mówić, ale proszę, abyście szanowały te rzeczy i w szkole pomagały jedna drugiej.

Monika i Teresa skwapliwie pokiwały głowami.

– No, możecie już to spakować – powiedział, patrząc z uśmiechem, jak pieśczośliwie głaszczą swoje wyprawki, a potem siadają przy stole i nie zważając na piękną pogodę za oknem, czytają *Elementarz*.

Janiukowa, która ledwie sylabizowała, bo chodziła raptem trzy lata do szkoły, aż oderwała się od gotowania i wytarłszy dłonie w fartuch, weszła do pokoju.

– A wy co za głupoty wygadujecie?!

– Czytamy *Elementarz*! – pochwaliła się Monika.

Do obiadu dziewczynki pochłoneły całą książkę, co wprawiło je w nie lada konsternację.

– I z czego my się teraz będziemy uczyły? – zastanawiała się szczerze zmartwiona Teresa.

Mogło się to wydawać dziwne, ale niepiśmienna babka Teresy nie była zadowolona z prezentu. Wiedziała, że powinna podziękować Pawlakowi, bo oszczędził jej wydatków, jednak odczytała jego niewinny gest jako mieszanie się w nie swoje sprawy i długo zwlekała z wizytą we dworze. A im dłużej zwlekała, tym trudniej jej się było zdobyć na podziękowanie. Wreszcie zabiła gęś i z martwym ptakiem pod pachą powędrowała do Długołąki. Zadowolona, że nie zastała gospodarza, nie zabawiła zbyt długo, ale obiecała sobie w duchu, że kiedy spotka dziedzica, poprosi go, aby nie mieszał jej wnuczce w głowie.

Gutowo, sierpień 2016

Awiec to ty... – powiedziała Monika, przyglądając się ciekawie twarzy Teresy, która z wiekiem nabrała rysów niemal arystokratycznej szlachetności.

Teresa była doskonale ubrana, trzymała się prosto, choć w jej oczach czaiło się coś na kształt zmęczenia. Pewnie przez te upały.

– Poznaj moją córkę Elenę i wnuczkę Mię – dokonała prezentacji. Panie podały sobie ręce i wymieniły uśmiechy. – Oto, moje drogie, jedna z niewielu osób, którym zawdzięczam to, że jestem dziś tym, kim jestem, pani Monika Grochowska.

Monika pomyślała przelotnie, że Teresa chwali się ponad miarę, ale nie skomentowała, czekając, aż przyjaciółka powie, czym się zajmuje, a raczej zajmowała, bo pewnie już jest na emeryturze.

– Myślę, że najważniejszej osoby nie ma tu z nami i nigdy nie będą jej panie mogły poznać – zaczęła, ale Tessa przerwała jej w pół zdania:

– W naszym wieku to normalne. Trzeba się cieszyć, że my same jeszcze żyjemy.

Monikę rozbawił ten żart, szybko zorientowała się jednak, że ani córce, ani wnuczce Teresy nie było do śmiechu.

– Na długo przyjechałyście?

– Dwa, trzy dni, same jeszcze nie wiemy. Często bywasz w Gutowie? – zainteresowała się Tessa.

– Mamo, musisz zejść ze słońca, jest za gorąco! – skarciła matkę Elena.

– Moja córka jest lekarzem! – Tessa poinformowała Monikę tonem usprawiedliwienia.

– To wygodne!

– Może byśmy poszły w jakieś chłodniejsze miejsce?

– Chciałabym teraz trochę odpocząć. Zatrzymałyśmy się w Płocku, ale wieczorem mogłybyśmy przyjechać. Jesteś zajęta? – zapytała Tessa, a Monika wyczuła ton, którego się nie spodziewała, ton osoby przywykłej do

wydawania poleceń.

– Jestem tu sama, chętnie się dostosuję. Może u mnie w hotelu? Ma piękny taras od strony północnej, nie powinno tam być wieczorem zbyt gorąco – zaproponowała uprzejmie.

– Zgoda! O dziewiętnastej?

– Wspaniale!

– To do zobaczenia!

Skinęły sobie głowami, uśmiechając się trochę na pokaz, i Teresa z towarzyszkami ruszyła w stronę Szewskiej. Monika powiodła za nimi wzrokiem. Nie cieszyła się chyba tak, jak powinna.

Przepłynęli już niemal pół jeziora Nyć i powoli zbliżali się do południowego brzegu. Gdyby nie wstyd przed gondolierem, pewnie by się całowali, ale Zbyszek jakoś nie mógł przełamać skrupowania. Popatrywał na boki, mówił coś bez sensu, jakby to nie obcy człowiek ich wiózł na drugą stronę, tylko ojciec albo matka. Martyna z udawanym entuzjazmem komentowała przeprawę i ciekawie wypytywała o budynek, którego zarys pojawił się pomiędzy drzewami. Okazało się, że nigdy nie była w Zajezierycach i nie widziała pałacu.

– Serio? Mieszkasz tak blisko i nigdy tu nie byłaś? – zdziwił się Zbyszek.

– No właśnie dlatego nie byłam, że mieszkam niedaleko! – Roześmiała się.

– Gdybyś chciała, możemy się jeszcze przejechać bryczką. Można je tam wynająć – niby obojętnie, ale nie bez nuty chępliwości zaproponował Zbyszek.

– Naprawdę? Super! To taka dorożka, tak? A umiesz powozić?

– Kiedyś próbowałem.

Z tego miejsca oba brzegi prezentowały się równie pięknie. Zatłoczona promenada, zamek, wieża ratusza i wieże kościoła, a także stojące na skarpie domy i położone wyżej dzielnice malały z każdą chwilą. Po jeziorze pływało sporo łodzi. Martyna pomyślała o pozostawionych w domu dzieciach. Ależ Danielek by się cieszył, ale by piszczał, gdyby mógł oglądać te wszystkie atrakcje! To dzieciom się przede wszystkim należały takie rozrywki. Ale na razie Zbyszek za mało się zaangażował, aby mu wspomnieć o dzieciach. Gdyby Martyna za wcześnie zdradziła, że jest matką, gotów wziąć nogi za pas, a tego by sobie nie darowała. Zaczęła się już powoli przyzwyczajać do myśli,

że jej życie wkrótce się zmieni, że będzie mogła rzucić pracę w klubie, że dzień wypłaty alimentów nie będzie przynosił jej kolejnego rozczarowania. Uwierzyła w swoją dobrą wróżbę. Teraz należało tylko konsekwentnie podążać do celu.

Kwadrans później dobiegli do przystani. Wsiadłszy, Martyna dała upust szczeremu zachwytowi.

– O rany! Prawdziwy pałac! Tak blisko Płocka! Nigdy tu nie byłam! A ty?

Zbyszek uśmiechnął się z wyższością.

– Wiele razy.

– Nie świruj, po co? Chyba nie przywoziłeś tu jakichś lasek?! – rzuciła z udaną zazdrością.

– Nie. Zresztą i tak mi nie uwierzysz.

– Zobaczymy.

Zbyszek uśmiechnął się i odczekał chwilę.

– Bo należy do mojej siostry.

– Co?!!! – Jej mina warta była milion dolarów.

– Słyszałaś.

– Gadanie!

Zbyszek skłonił się niczym boy hotelowy i wyciągnął rękę w stronę budynku.

– Zapraszam. Chcesz poznać właścicielkę?

– Oj tam, oj tam, pewnie się z nią umówiłeś, żeby mnie nabrać.

– A po co?

– Faceci lubią szpanować.

– W sumie moglibyśmy już zjeść obiad. – Spojrzał na zegarek. – Masz ochotę?

Jeśli chodzi o jedzenie, Martyna nigdy nie odmawiała, sądząc nie bez racji, że co zje na mieście, tego nie zje w domu, a jeśli jeszcze można było spróbować czegoś innego niż pizza, zawsze była na tak.

– Jasne!

Weszli do zamkniętego jedynie na noc parku w stylu angielskim. Gęste zarośla i sztuczne wzniesienia z wygrabionymi zwirowymi alejkami zachęcały do zboczenia z drogi głównej i zaszycia się w soczystej zieleni. Było tu przyjemnie chłodno, wysokie drzewa nie dopuszczały promieni słonecznych, a spływający po kamieniach sztuczny strumyk dodatkowo chłodził powietrze.

Wyprzedzając go, Martyna wspięła się na sam szczyt pagórka i usiadła w zarośniętym przez krzewy zakątku. Zbyszek poszedł w jej ślady. Chociaż od strony pałacu słyszeli jakieś głosy, niewiele sobie z tego robili. Całując się zapamiętale, upadli na trawę. Nerwowym ruchem Zbyszek podciągnął jej bluzkę i dotknął dłonią cudownie krągłych piersi. Nie oponowała, co go zachęciło do dalszych poszukiwań. Zsunął dłoń poniżej pępka, a ona nadal się nie sprzeciwiała, oddając mu pocałunki i rozpinając suwak spodni. Od tej pory Zbyszek dał się kierować swemu pożądaniu. Ściągnął jej figi i uniósłszy się nieco, przywarł do niej, wypełniając to niebiańskie miejsce, stworzone właśnie po to, by mężczyźni i kobiety w cudownym zespoleniu stapiali się w jedno. Czuł, jak jej wnętrze pulsuje. Ścisnęła go kolanami i jeszcze bardziej uniosła biodra. Odrzuciwszy głowę do tyłu, dyszała z zamkniętymi oczyma. A on napierał, czując zbliżający się moment rozkoszy. Kiedy położył się obok, popatrzył przez ułamek sekundy na rozluźnioną twarz dziewczyny i poczuł dumę z władzy, jaką nad nią posiadał.

W pałacu niemal wszyscy pracownicy znali Zbyszka, toteż kiedy tam dotarli, idąc od strony parku i zabudowań gospodarczych, przez recepcję, aż do restauracji, witani byli uśmiechem, machnięciem dłonią lub wesołym „Siema”.

– O rany... – westchnęła ciężko Martyna, rozglądając się po eleganckim hallu. – Nie zgrywałeś się. Twoja siora ma na własność cały ten pałac? A to kto? – zapytała, wskazując na portret hrabiego Tomasza. – Twój dziadek?

Czuła się dziwnie. Trochę tu nie pasowała, ale próbowała maskować swoje zażenowanie.

– Aha. Tędy – wskazał jej drogę do restauracji, a potem na taras. – To jest najlepsza miejscówka w tej knajpie.

Usiedli.

– Co zjemy? – zapytał.

Martyna gorączkowo czytała opisy dań, chcąc wybrać coś najbardziej egzotycznego i najdroższego. To miał być ostatni test sprawdzający pokrewieństwo Zbyszka i właścicielki pałacu.

Ryby były dość drogie. Zamówiła więc rosół z domowym makaronem i pieczonego pstrąga z dodatkami. Zbyszek wziął ogórkową i stek z polędwicy. Jeśli jeszcze zaszaleją z deserem i winem, cena za obiad wyniesie ponad cztery stówy. Starła się nie pokazywać tego po sobie, jednak troszkę się

obawiała sytuacji, że on ją wystawi. Znała takich i nieraz płaciła za koleś, który udawał forsiastego, a potem wychodził do toalety i znikał.

Kelnerka nie spoufalala się ze Zbyszkiem, ale pomogła mu wybrać wino, które on zaakceptował. Zapytała też, czy ma zawiadomić panią Igę, na co Zbyszek pokręcił głową.

– To ona, ta Iga, jest właścicielką? – wyszeptała Martyna.

– Mhm.

– Ale bym chciała mieć taki hotel! – rozmarzyła się. – Jaka ona jest?

– A jaka ma być?

– Bo ja wiem? Ile ma lat?

– Czterdzieści parę.

Ta wiadomość nie spodobała się Martynie. Nie wiadomo dlaczego sądziła, że hotelem zarządza ktoś znacznie młodszy, czterdziestolatka mogła namieszać w jej planach. Po czterdziestce człowiek zna życie, ma już rozmaite, często nieuzasadnione lęki, chciałby nad wszystkim sprawować kontrolę. Ona pewnie trzęsie się nad młodszym o połowę braciszkiem... To jednak nie był dobry pomysł, aby tu dzisiaj przyjść.

Podano zupę. Martyna modliła się w duchu, żeby siostra Zbyszka nie dowiedziała się, że oni tu są, żeby dała jej jeszcze parę dni, chociaż tydzień... Ale oczywiście ktoś poleciał jej donieść i kiedy czekali na drugie danie, podeszła do nich szczupła elegancka blondynka, wyglądająca na niewiele ponad trzydzieści lat. Ubrana w jasną garsonkę i pantofle na niskim obcasie uśmiechała się już z daleka.

– No proszę! Co za gość! Dzień dobry, Zbysiu. Jestem Iga – wyciągnęła dłoń do Martyny.

– M-tyna.

– Co tam na drugim brzegu? Jak poszły twoje ciastka?

Zbyszek skinął głową skromnie.

– Spoko.

Martyna uznała, że chłopak zdecydowanie się nie docenia.

– Poszły jak woda!

– Znakomicie! Gratuluję! – Iga poklepała brata po ramieniu. – Smacznego! Ja zapraszam! – Uśmiechnęła się. – Wybaczcie, że nie dotrzymam wam towarzystwa, ale mam mnóstwo pracy. A ty skończyłeś już na dziś?

– Mhm. – Zbyszek skinął głową, a Iga zrobiła zdziwioną minę. Nie skomentowała tego jednak, tylko odeszła w stronę recepcji. Martyna powiodła

za nią wzrokiem.

– Myślisz, że mają tu wolne pokoje?

Zbyszek parsknął.

– Po czymś takim nie miałbym życia! I tak już pewnie dzwoni do matki...

– Serio?!

Nie wiedziała, czy mu współczuć, czy zazdrościć. Jej nigdy nikt nie pilnował. Najwyżej dostała od matki ścierką, jeśli się bardzo spóźniła.

– To gdzie zrobimy powtórkę? – wyszeptała. – Znów w parku?

Nie mogła mu dać od siebie wytchnienia. Póki miał na nią ochotę, ona musi grać tą kartą. Potem może być za późno. Na razie jednak przynieśli drugie danie.

Za dużo tego jedzenia – pomyślała. – Rozleniwi się...

Iga rzeczywiście od razu poszła do swojego biura i natychmiast zadzwoniła do Heleny. Trwało chwilę, zanim ta zdołała odebrać.

– Zbyszek tu jest! – informowała konspiracyjnym szeptem, choć nikt nie mógł ich podsłuchać. – Z tą...

– Martyną?

– Co o niej myślisz?

– Czy ja wiem, dziś zobaczyłam ją po raz pierwszy. Niebrzydka, ale jakaś taka... Nie wiem... Inaczej sobie wyobrażałam przyszłą synową.

– No właśnie... Mogłaby być trochę subtelniejsza... A on zakochany.

– Można to i tak nazwać – sucho podsumowała Helena. – Potem pogadamy, mam tu urwanie głowy.

Zajezerzyce, jesień 1956

Po obiedzie, kiedy Monika zabierała się do lekcji, Pawlak lubił jej towarzyszyć. Brał wtedy dla niepoznaki jakąś książkę albo zeszyt z wydatkami i siadał po przeciwnej stronie okrągłego stołu w jadalni. Janiukowa zapalała lampę naftową i wracała do swych zajęć, a Pawlak z ołówkiem kopiowym w dłoni przyglądał się ukradkiem skupionej na lekcjach dziewczynce. Monice nauka szła łatwo, wracała do ciepłego i czystego domu, a jedynym jej obowiązkiem było odrabianie lekcji. W klasie i całej szkole uchodziła za „panienkę ze dworu”, co bywało drażniące, zwłaszcza dla dyrektorki, gorliwie wysługującej się władzom. Mimo upływu trzech lat od śmierci Stalina, w klasach nadal wisiły jego portrety przepasane kirem. Pawlak nie lubił dyrektorki, a ona odpłacała mu tym samym, schodzili sobie jednak z drogi, unikając w ten sposób konfliktów. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że świat, który reprezentuje, odejdzie razem z nim i wtedy nastąpi ostateczne zwycięstwo socjalizmu w gminie.

Pawlak ostatnio myślał o tym coraz częściej. Miewał ataki duszności, co w jego wieku nie mogło dziwić, przekroczył już osiemdziesiątkę i zaczynał powoli żegnać się ze światem. Dlatego siadał nad otwartym zeszytem i robił notatki dotyczące swego stanu posiadania, przymierzając się do rozporządzenia tym, co zdołał zgromadzić. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że z braku Adama wszystko powinno przypaść Michałowi, nie chciał jednak skrzywdzić gospodyni, która w związku przypominającym małżeństwo przeżyła z nim ostatnie dwadzieścia lat. A wszak była jeszcze przyszywana wnuczka Janiukowej, Monika, którą i on darzył wielką miłością. Jednak w podjęciu decyzji nikt nie mógł mu pomóc. Dlatego tak często pochylał się nad pustą kartką i w zamyśleniu rysował sobie tylko wiadome znaki.

Kiedy już w jego głowie skryształizował się plan, który uznał za sprawiedliwy dla wszystkich, Pawlak pojechał do Gutowa i złożył

u notariusza testament. Ale natychmiast opadły go wątpliwości i przez kilka nocy śniło mu się, że dobijają się do jego drzwi jacyś obcy ludzie, wyciągają ręce, krzyczą i grożą. Dlatego dziś znów wybrał się do miasta.

Zgodnie ze swoim zwyczajem wszedł najpierw do cukierni przy rynku, aby zobaczyć, co nowego u Celiny Hryć. W rzadkich listach do Adama pisał mu o niej, jak sobie radzi i jak wygląda, choć sprawę następujących jedna po drugiej cięż skrzętnie pomijał. Nie miał nigdy pewności, że listy do adresata nie są otwierane, a nawet był przekonany, że ktoś je przegląda. Pani Hryć zazwyczaj stała za ladą i nigdy od niego nie przyjęła pieniędzy za pączek, który zawsze zjadał na miejscu, gawędząc z nią o błahostkach.

To Celina właśnie powiedziała mu o amnestii. Pawlak poczuł, jak załomotało w nim serce. Cieszył się ze względu na Kazimierza i Janiukową. Oby go wreszcie wypuścili! Od dwóch lat gospodyni raz na miesiąc jeździła do Ławy, a po powrocie przez tydzień odchorowywała tę podróż. Z cukierni Pawlak poszedł wprost do kiosku i kupił gazetę, co mu się od dawna nie zdarzyło. Już na stronie tytułowej towarzysz Wiesław obiecywał zmiany!

„Wypaczeniom mówimy stanowcze nie!” – grzmiały nagłówki.

Może nareszcie coś się zmieni? – pomyślał Pawlak i ruszył z ostatnią wizytą do notariusza.

Kiedy wreszcie wsiadł do bryczki, zmierzchało. W powietrzu wisiała mgiełka dżdżu i trzeba się było dobrze otulić kapotą, aby nie przemoknąć. Na szczęście koń znał drogę, ruszyli więc z kopyta. Gdzieś na wysokości mostu na Rudawce Pawlak zobaczył kobietę idącą w stronę Zajezieryc. Miała na sobie przemoczony płaszcz i chustkę. Żal mu się jej zrobiło, zatrzymał więc konia i krzyknął:

– Dokąd droga prowadzi? Może podwieźć?

Odwróciła się ku niemu, kiwnęła głową i bez słowa wsiadła do bryczki. Było ciemno i początkowo jej nie poznał. Dziwił się, że nie odpowiada na jego życzliwe pytania, w końcu miała nie lada szczęście, że trafiła się jej podwózka, mogłaby przynajmniej podziękować. Ale coś ją widać gryzło, bo kręciła się i tarła dłonie, a głowę miała opuszczoną. Raz po raz tylko pociągała nosem, jakby miała katar albo płakała.

Na wysokości sklepu w Zajezierycach popatrzył na nią i zwolnił, sądząc, że tu będzie chciała wysiąść. Dopiero wtedy się odezwała twardym,

pozbawionym emocji głosem. Raczej stwierdzała, niż zadawała pytanie:

– Pan mnie nie poznał.

– To ty, Stefcu? – zapytał z lękiem.

– Chcę odebrać dziecko i klucze od mieszkania.

Nic nie powiedział i nie odezwał się aż do samej Długołaki. Nie zapytał, gdzie się podziewała, nie wyznał, że zakończono poszukiwania, bo nawet milicja uznała ją za zmarłą. Nie okazał radości. Kamieniem ciążyła mu myśl, że Stefcia zabierze dziecko. To dziecko, które on tak pokochał i które chciał hojnie wyposażyć. Czy może zaufać matce? Powinien, w końcu to matka. Jednak nie potrafił. W głowie tłukła mu się uparta myśl: Muszę zmienić testament!

Do domu dojechali przed szóstą. Janiukowa spode łba patrzyła na gościa, Monika również czuła się skrępowana. Nie podbiegła i nie przytuliła matki. Stała w kącie naburmuszona, jakby jej nie poznawała. Pawlak, aby oczyścić atmosferę, powiedział gospodyni o prawdopodobnej amnestii, wywołując tym spazmatyczny płacz starej. Na Stefci wiadomość nie zrobiła żadnego wrażenia. Siedzieli przy stole w milczeniu. Stefcia nie opowiadała o sobie i o nic nie pytała. Nie przytuliła córki, nie chciała obejrzeć jej zeszytów. W końcu rzuciła zdawkowe:

– Przenocujecie mnie?

Janiukowa, która znała zwyczaje tego domu, skąd nie wyganiało się gości na noc, a zwłaszcza na chłód i deszcz, poczłapała do małego alkierzyka, aby posłać łóżko.

– Położę się wcześniej. – Pawlak westchnął. – Chyba mnie przewiało.

– Zrobię naparu z lipy! – Monika pobiegła do kredensu, aby poszukać ziół.

Pawlak poszedł do swojego alkierza, a kiedy Janiukowa przyniosła lipę, już spał. Nie budziła go, sen to najlepsze lekarstwo. Nie rozmawiała też ze Stefcią. Jak zwykle dopilnowała tylko toalety Moniki, spuściła psa z łańcucha, zaryglowała drzwi, pogasiła lampy i umywszy się z grubsza, poszła spać. Kilka razy budziła się w nocy, bo spała jakoś wyjątkowo niespokojnie. Słyszała wyjące psy i zastanawiała się, czy przypadkiem nie zaczyna się pełnia. Ale noc była pochmurna.

Kiedy rano o szóstej gospodarz swoim obyczajem nie pojawił się w kuchni,

weszła do alkierza, aby go obudzić. Nie zareagował na głos ani na lekkie dotknięcie. Poruszyła go mocniej i zrozumiała, że Pawlak nie żyje. Nie mogła pogodzić się z tym, że tak odszedł bez pożegnania, bez ostatniego namaszczenia, zostawiając ją ze wszystkim całkiem samą. Stała nad nim skamieniała z bólu, nie mogąc nawet poruszyć ustami, aby wypowiedzieć słowa modlitwy.

Monika wstała i ze zdziwieniem ujrzała, że Janiukowa nie kręci się po kuchni, tylko z płaczem siedzi w pogrążonej w ciemności sypialni Pawlaka. Podeszła do niej niepewnie.

– Dziadek zachorował? – spytała, a gospodyni pokręciła głową.

Dziewczynka stanęła obok niej, nie wiedząc, jak się zachować. Patrzyła na leżącego na wznak Pawlaka, który wyglądał, jakby się miał za chwilę obudzić, i nie rozumiała zmiany, jaka właśnie zaszła w jej życiu. Wreszcie się domyśliła.

– On... Umarł...? – zapytała, przełykając ślinę, bo coś strasznego złapało ją za gardło. – Nie żyje? – wyszeptowała, ale gospodyni nadal milczała.

Monika poszła do kuchni i przyniosła stamtąd zapaloną świecę.

– Pomódlmy się – powiedziała i uklękła.

Wiadomość o śmierci Pawlaka rozniosła się po wsiach i przyszło sporo ludzi, żeby się pomodlić za duszę dobrego człowieka. Stali i patrzyli bezradnie, a potem klękali i cicho szeptali „Wieczny odpoczynek”. Kilka kobiet z Długołaki na zmianę odmawiało dziesiątki różańca. Janiukowa jako najbliższa osoba wśród łkań przyjmowała kondolencje, a Monika siedziała w kącie kuchni bezradna i zasmucona. Tego dnia ani żadnego innego nie poszła już do Zajezieryckiej szkoły. Stefania została w Długołące i pomogła Janiukowej urządzić pogrzeb. Adresu Michała nie znały, więc nie wysłały mu depeszy, a innej rodziny Pawlak nie miał. Do kościoła w Zajezierycach trumna pojechała na furze. Kondukt był nadspodziewanie długi. Ksiądz wygłosił piękne kazanie, grabarze szybko się uwinęli z pochówkiem i wszyscy rozeszli się do domów. Znów mżyło, było zimno. Nic dziwnego, październik.

Po powrocie Janiukowa w jakiejś zaciętości, jakby nie chciała zaakceptować faktów, zabrała się do obiadu, a kiedy Monika przytuliła się do niej, szukając wsparcia, powiedziała:

– Ot, widzisz, był człowiek i nie ma człowieka. Takie to życie... – i znów zaczęła płakać.

– Na każdego kiedyś kres przyjść musi – mruknęła obojętnie siedząca przy stole Stefcia. – Lepiej kluczy poszukajcie, bo jutro chcę wracać.

Janiukowa nawet nie uniosła głowy, tylko dalej w zapamiętaniu obierała ziemniaki. Miała klucze od Kazimierzowego mieszkania, a Stefania już kilkakrotnie się o nie upominała. Chciała też zabrać dziecko i gospodyni pomyślała, że póki jej kluczy nie odda, ma nad Stefcją władzę i może żądać zostawienia Moniki w Długołęce.

– A wracaj sobie, choćby i dzisiaj! – odparła po dłuższej przerwie.

– To mi klucze od mieszkania zwróćcie!

– Myślałby kto, żeś jego żona. A nawet gdyby, toś się, zostawiając go, praw wszelkich wyrzekła! – rzuciła twardo. Chciała coś dodać, coś mocnego, jakieś słowo ciężkie, które by sprawę raz na zawsze zamknęło, wytrącając tamtej wszelkie argumenty. Jednak nic poza „wywłoka” nie przychodziło jej do głowy.

– Kazimierz mi wybaczył! – warknęła Stefcia.

– Nie do wiary! – z oburzeniem fuknęła Janiukowa.

– I nieboszczyk, jakeśmy tu z Gutowa jechali, też powiedział, że dobrze się stało, żeś wróciła, bo wyście już starzy, a dziecku opieki trzeba!

– Ty sobie, łajzo jedna, moim panem gęby nie wycieraj, bom z nim pod jednym dachem lata przeżyła i wmówić sobie nie dam, co ci tam powiedział! Ni dziecka nie dostaniesz, ni kluczy!

Stefcia patrzyła na starą bez słowa, ale w jej oczach nie było winy spowodowanej kłamstwem ani lęku, że ta swoje pogróżki spełni. Siedziała pozornie obojętna, jakby gospodyni nie była w stanie jej zaszkodzić.

– Byście nie pożałowali! – odezwała się w końcu.

Tego już było Janiukowej za wiele! Zerwała się na równe nogi i drzwi jej pokazując, krzyknęła:

– Wracaj, skądś przyszła! Nikt cię tu nie zapraszał i nikt po tobie płakał nie będzie! Gdzie się nie zjawisz, siejesz zamęt! – jednak wnet się zreflektowała, rzuciła okiem na Monikę skuloną w kącie. Dziewczynka słuchała rozmowy niczym sparaliżowana.

Gospodyni wcześniej tego nie mówiła, ale od samego początku winą za śmierć Pawlaka obarczyła Stefcję. Gdyby nie jej przyjazd, Pawlak by się tak szybko nie zabrał na tamten świat, przecież chciał się tylko ogrzać, odpocząć,

nie narzekał, że coś go boli. I tak od jednej myśli do drugiej Janiukowa doszła do wniosku, że to Stefcia jest winna. Miała już zresztą na sumieniu Ewę Radzewicz, to dla niej nie pierwszyna. Tam, gdzie się pojawia, ktoś zacy umiera. Janiukową aż dreszcz przeszedł, ale jeszcze bardziej złąka się na myśl, że coś złego może się teraz przytrafić Monice. Tak nią to wstrząsnęło, jakby lodowaty wiatr wtargnął zniecka do kuchni.

– Zostaw dziecko w spokoju – spróbowala nieco spokojniej. Przyszło jej bowiem do głowy, że Stefcia na złość właaśnie może Monikę zabrać. Ale w niej już się ta myśl zrodziła i byłaby pewnie pokazała starej, do czego jest zdolna, gdyby nie chłodna kalkulacja.

– Wy tu teraz pani na włościach... – powiedziała z nieukrywany podziwem. – Ciekawość, komu też to wszystko dziedzic zapisał?

– Nie tobie przecie! – warknęła do szczętu rozwścieczona gospodyni, przypominając Stefci bezskutecznie poszukiwanego przez ostatnie trzy lata Michała Podedworskiego.

– On tu nie wróci. Prędeż to wszystko sczeźnie – rzuciła złowrogo.

– A bodaj cię! – Janiukowa chętnie by splunęła, ale szkoda było czystej podłogi. W głębi serca liczyła właaśnie na to, że Michał przyjedzie i obejmie dwór, a ona przy nim żywota dokona. Ale ta wiedźma chyba coś wie, skoro taka pewna.

– Papiery trza przejrzeć. Może wyście teraz panią? – ciągnęła Stefcia.

– Gdzie zaś! – fuknęła gospodyni, której się to zdało cudownym, choć niemieszczącym się w głowie wywyższeniem. – Dziedzic jeszcze w trumnie nie ostygł, a ty już jego majątkiem rozporządzasz?! Nie wstyd ci?!

– Wstyd to kraść – ugodowo stwierdziła Stefcia. – Szukajcie testamentu, to się wszystkiego dowiecie.

Gutowo, sierpień 2016

Zniecierpliwiony Grzegorz Hryć schodził ze wzgórza zamkowego, przeciskając się pomiędzy mieszkańcami Gutowa i turystami, którzy zmierzali w kierunku baszty i restauracji. Musiał lawirować, wymijając grupy chaotycznie podążające ku górze i zatrzymujące się z byle powodu, ot, choćby po to, aby odwrócić się i spojrzeć na jezioro oraz przeciwległy brzeg. A jemu się właśnie śpieszyło! Oczywiście wojewoda może poczekać, ale nie wypadało spóźnić się za bardzo.

Trochę żałował, że dał swojej asystentce wolny weekend. W obstawie czuł się pewniej, zresztą tak wyglądało się o wiele poważniej. Wojewoda na pewno przyjedzie z tymi swoimi chłopaczkami. Ma ich dwóch, czasami trzech, taka mała świta. On też chyba powinien dla poprawy wizerunku jeszcze sobie kogoś dobrać. Ale kogo? Hryć nie lubił szastać pieniędzmi, zaraz... Aż przystanął, zdumiony genialnością swego pomysłu. Wyjął telefon i zadzwonił do żony.

– Zdaje się ten Wańko ze spółdzielni mleczarskiej ma syna na politologii?

– Chyba tak, a co?

– Może go wezmę na asystenta. I nic nie mów! – uprzedził. – Nie zamierzam mu płacić. Ma wystarczająco bogatego ojca.

Ze słuchawką przy uchu szedł niby skupiony na rozmowie, ale bacznie obserwował, kto mu się ukloni. Znał tych ludzi jak zły szeląg. Wiedział, kto na niego oddał swój głos, a kto nawet na ulicy udaje, że go nie zauważył. Choćby sobie człowiek flaki wypruł, ludziom nigdy nie będzie dosyć. Ale powoli nadchodził czas prawdy i nagrody dla tych, którzy nie zwątpili. Tak, temu Wańce trzeba trochę posłodzić...

Zatrzymał się i spojrzął na wyświetlacz telefonu. Chwilę później dzwonił już do prezesa spółdzielni.

– Panie Wańko, jest pan dziś w mieście?

– Jakże mogłoby mnie nie być, panie pośle? Mamy duże stoisko w rynku.

– Naturalnie. A może wpadłby pan na chwilę do ratusza? Za kwadrans może? Poznałbym pana z wojewodą, chyba nie mieliście dotychczas okazji?

– Panie pośle, lecę, natychmiast! Coś wziąć dla wojewody?

– A to już jak tam sam pan uważa – powiedział Hryć i zakończył połączenie.

Pięć minut później znów wchodził do chłodnego budynku ratusza. Co za ulga! Sądząc po ciszy panującej wewnątrz, wojewoda jeszcze nie dotarł. Nie chcąc się narażać na niepotrzebne spotkanie z burmistrzem, poseł usiadł w hallu tuż przy wejściu. Niedługo potem do ratusza wpadł zdyszany prezes Wańko. Z trudem dźwigał siatkę wypchaną produktami swojej spółdzielni.

– Trzeba by to gdzieś w chłodzie położyć... – powiedział zaaferowanym tonem.

– A na stoisku nie macie lodówki? – Hryć pośpieszył z pomocą.

– Mamy, jakżeby inaczej! – wyjaśnił prezes niemal obrażonym tonem.

– To przetrzymajcie, póki nie przyjedzie wojewoda, a potem się schowa.

– Racja!

– Co tam u pana słyhać, prezesie? Podobno interesy z moją żoną pan robi? – dobrotliwym tonem zapytał Hryć.

– Coś tam robimy. Pana posła żona to obrotna kobieta! Pozazdrościć!

Hryć chrząknął, aby nie zaprzeczać.

– Co u pańskiego syna? Ile mu jeszcze tej politologii do końca zostało?

– Pan poseł pamięta? – rozanielił się Wańko. – Dwa lata. Dwa lata jeszcze...

– On studiuje w Warszawie?

– Tak jest! W samej stolicy.

– A pracy czasem nie szuka?

Wańko nabrał szybki haust powietrza, jakby chciał zaprzeczyć. Ale odczekał chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

– W dzisiejszych czasach trudno o dobrą pracę. On młody, bez doświadczenia. Na razie na moim utrzymaniu, ale pewnie chętnie by sobie dorobił.

– Prosto z mostu powiem, bo zaraz wojewoda przyjedzie, a musi mi pan szybko odpowiedzieć. Pensji dać nie mogę, ale doświadczenie mógłby przy mnie zdobyć. Dwa lata asystentury poselskiej to nie w kij dmuchał. I kto wie, może potem do Brukseli bym go zabrał?

Wańko siedział z otwartymi ustami i gdyby Hryć nie musiał utrzymać powagi, pewnie by parsknął śmiechem. Wytrzymał jednak, aż prezes się

ocknie i ściskając mu dłonie, podziękuje z wylewnością znacznie przekraczającą doznaną łaskę.

– Ja wiedziałem, wiedziałem, że pan poseł to jest kryształowy człowiek i o swoich ludziach nigdy nie zapomni! Dziękuję! Dziękuję z całego serca! Nie pożaluj się pan poseł! Czarek to dobry dzieciak! Pracowity, uczciwy, języki zna. Można na nim polegać. A jakby co, to ze wszystkim do mnie!

– Oj, niechże pan nie przesadza, ja mam wycucie do ludzi. W końcu byłem nauczycielem i dyrektorem w liceum. Wiem, komu można zaufać.

– Ja przepraszam. – Wańko zaczął szukać telefonu. – Panie pośle, ja muszę zadzwonić do żony! Taki jestem szczęśliwy! Bo już, wie pan, takeśmy myśleli, gdzie by go tu umieścić. No, pan to jest dusza człowiek po prostu!

Wyjął telefon i odszedł na bok.

– Pojadę już – powiedziała Martyna, kiedy wyszli z hotelu.

– Coś się stało? – zapytał Zbyszek. – Dopiero druga, mówiłaś, że masz dziś wolne.

– Wiem, ale... – zastanawiała się, co powiedzieć. Przecież nie to, że na razie powinna zejść jego rodzinie z oczu. Czują, że jej nie lubią, nie mogła dopuścić do tego, aby ją znienawidzili. – Musisz wrócić do cukierni.

– Ja?! – prychnął prawie obrażony. – No co ty?! Poradzą sobie beze mnie.

– Już nie ma ciastek, prawda? Czym jutro będziesz handlował?

– Niczym. Będę miał wolne.

– To nie brzmi zbyt rozsądnie. Nie sprzedasz ciastek, nie rozdasz kartek do głosowania i kto inny wygra konkurs. Naprawdę ci na tym nie zależy?

Zagarnął ją rękoma i powiedział cicho:

– Zależy mi tylko na tobie... Zresztą jest sobota, nie ma ludzi w firmie... Tylko ja i ojciec.

– Nie poradzicie sobie we dwóch? To ja mogę pomóc...

Roześmiał się na cały głos.

– To nie takie proste. Nie masz książeczki zdrowia i – wybaczone – ale nic nie umiesz – zawiesił głos. – No, może z wyjątkiem... – Spojrzał na nią i pośrodku hotelowego podjazdu, tuż pod oknem gabinetu Igi, pocałował ją w usta, a potem pochylił się i wyszeptał jej do ucha coś, czego już nikt inny nie mógł usłyszeć.

Sprawdzili, o której przed hotelu odjeżdża bus do Gutowa, i to pozostałe im

niespełna pół godziny wykorzystali w sobie tylko wiadomy sposób, znikając gdzieś pośród parkowej zieleni.

Elena, Mia i Tessa schodziły z zamku, kierując się ku ulicy Szewskiej. Tessa miała szarą zmęczoną twarz. Oddychała z trudem. Upał ją męczył. Mia kupiła na jakimś straganie parasolkę przeciwśłoneczną i rozpięła ją nad babką.

– Pić mi się chce – wyszeptała Tessa.

Mia rozejrzała się, ale nigdzie nie zauważyła stoiska z wodą. Oddała więc matce parasolkę i ruszyła przodem. Pamiętała, że niedaleko przy Szewskiej znajduje się winiarnia, tam z pewnością uda jej się kupić dla babki coś do picia. Po chwili odnalazła to miejsce. Weszła do środka, aby nie czekając na kelnerkę, poprosić przy barze o wodę z cytryną. Ale w środku również znajdowało się sporo ludzi, a przy barze stała kilkuosobowa kolejka. Mia wyjęła więc telefon, żeby sprawdzić pocztę i swoje konta na portalach. Nagle usłyszała:

– Co dla ciebie?

Podniosła głowę i zamarła. Po drugiej stronie baru stał chłopak, z którym uciekłyby na koniec świata. Wysoki brunet o niebieskich oczach. A może były zielone? W tej chwili to nie miało znaczenia. Przerazona, że nawet nie może usiąść przy stoliku, aby mu się lepiej przyjrzeć, wyjąkała tylko:

– Duża woda z lemon, proszę.

– A ten lemon to jaki? Plasterek lemona czy wyciskany? – zażartował.

– Plasterek albo dwa. Albo poproszę dwie wody.

– Z dwoma lemonami?

– Tak. Oczywiście i ice koniecznie. – Zawstydzona swoją nieporadnością, zaczęła grzebać w portmonetce.

– Lód znaczy? Dodać słomki? Może kilka listków mięty?

– Poproszę.

Chłopak kręcił się za barem, a ona szukała pretekstu, żeby jeszcze nie wychodzić.

– Może jeszcze jedna woda – powiedziała, wiedząc, że w jego oczach wyda się idiotką.

– Też z lemonem? – żartował chłopak, a jej już niemal chciało się płakać.

Musiała natychmiast wyjść. Wyjść i nigdy nie wrócić. Takie spotkanie jak w filmie, tylko że on za nią nie wybiegnie, nie złapie za ramiona i nie pocałuje

wbrew jej woli. Nic nie będzie tandetne i cukierkowe, chociaż w mieście trwa letnia fiesta i naprawdę mogłoby się wydarzyć coś nieoczekiwanego. Chłopak nalał wodę do szklanek, wrzucił plasterki cytryny i kostki lodu. Mia podała mu kartę płatniczą. Nie zawiódł jej! Spojrzał na wyryte na karcie jej imię i nazwisko, przyglądając mu się dłużej, niż powinien.

– Mia Valente? – nie potrafił ukryć zdumienia. – Jesteś Włoszką?

Uśmiechnęła się tylko i pokręciła głową.

– Ej, Maciek, zostaw łaskę w spokoju! Ruchy, ruchy!

Barman przytknął kartę Mii do terminala. Płatność się dokonała i cóż, trzeba było wyjść. Na zewnątrz przecież czekały gdzieś Elena i Tessa. Ledwo niosąc w dłoniach trzy szklanki, Mia ruszyła w stronę matki i babki, siedzących na ławce pod rozłożystym klonem. Tessa szybko wypila wodę. Na jej czoło wystąpiły kropelki potu i Mia robiła sobie w duszy wyrzuty, że kazała babce tak długo czekać.

– Mogłam pójść do sklepu, byłoby dużo szybciej. Boże, jak ona cierpi!

Rzeczywiście, wystarczyło rzucić okiem na Tessę, żeby się o tym przekonać.

– Idźcie do samochodu – szybko powiedziała Mia. – Odniosę szklanki i zaraz do was dołączę.

Kiedy znowu wchodziła do winiarni, serce waliło jej jak oszalałe. Ale za ladą nie było przystojnego chłopaka, tylko niska rudowłosa dziewczyna. Mia postawiła szklanki, uśmiechnęła się do niej, kiwnęła głową na pożegnanie i wyszła.

Zajezierzyce, jesień 1956

Nudząc się w zimnym kościele podczas nabożeństwa żałobnego za dziedzica Długołąki, Teresa raz po raz popatrywała na plecy Moniki, siedzącej w krzesłach tuż za trumną pomiędzy Janiukową a głupią Stefcia, która nagle się odnalazła i podobno była jej matką. Czy panienka z dworku może być córką dziewczki folwarcznej?! Teresie nie mieściło się to w głowie i tak bardzo ją rozpraszało, że z wpółotwartymi ustami zapomniała o modlitwie i łzach, które przysły nieproszone, kiedy babka powiedziała jej o śmierci dziedzica. Wreszcie kuksaniec Paździochowej przywołał ją do rzeczywistości, ale i tak niczego nie zmienił.

Podczas pochówku Teresa nie mogła się dopchać do Moniki, aby jej zadać to pytanie, a potem Monika przez kilka dni nie zjawiała się w szkole. Początkowo nikt tego nie komentował, aż wreszcie nauczycielka, pani Zygałowa, czytając listę obecności, mimochodem ni to stwierdziła, ni to spytała:

– Ach, Monika, no chyba trzeba ją będzie w końcu wykreślić?!

Teresa nie rozumiała. Co znaczy: „wykreślić”? Czy to kara za to, że jej matką okazała się głupia Stefcia, która utopiła panienkę Ewę z Cieciorki? Monika nie przychodziła do szkoły i Teresa nie mogła otrzymać odpowiedzi na pytania. Brakowało jej przyjaciółki. Co prawda natychmiast dosiadł się do niej tłusty Olek, ale lekceważyła jego zaczepki. Po lekcjach, narażając się na burę ze strony babki, pomimo siąpiącego deszczu poszła do Długołąki. Nieomal nie poznała starej Janiukowej, która, zgięta w pałąk, siedziała bez ruchu w wyziębionej kuchni. Na jej powitanie stara nawet nie podniosła głowy.

Nieproszona Teresa poszła po szczapy do dREWUTNI. Rozpaliła ogień, w rondelku ugotowała kawę zbożową. W kredensie nie było chleba, nastawiła więc mleko, które znalazła w spizarni, i wrzuciła do niego zacierki ukrecone z mąki i wody. Kiedy mleko zawrzało, zdjęła je z ognia. Dosypała trochę cukru

i naląła do miski. Kątem oka obserwowała starą, na której jej rządy się nie zrobiło żadnego wrażenia. Siadła obok gospodyni i ujęła ją za zziębnięte ręce.

– Pani Janiukowa, zjeść trzeba!

Pociągnięta ku stołowi, stara podniosła się z trudem i poczłapała ciężko, jakby naraz przybyło jej kilkanaście lat.

– A gdzie one? – spytała Teresa, ale nie usłyszała odpowiedzi. – Wyjechały gdzieś? Na długo? Chcą w szkole Monikę wykreślić z dziennika, rozumie pani?

Janiukowa siedziała z opuszczoną głową, nie reagując na pytania, nie jedząc. Teresa wzięła łyżkę i podstawiła kobiecie pod same usta. Dopiero teraz gospodyni machinalnie przełknęła kilka łyków, ale po chwili, jakby się ocknęła, pokręciła przecząco głową.

– Nie chcę! Nie chcę!

Teresa odłożyła łyżkę i usiadła obok niej zmartwiona. W końcu jednak musiała wracać. Postanowiła prosić babkę o pomoc, ale ta powitała ją krzykiem. Dopiero wieczorem, kiedy obie leżały już w ciemnej izbie, tuż przed snem odważyła się wreszcie powiedzieć babce o swojej wizycie we dworku.

– I co jej żałujesz?! Pawlak nie ukrzywdził gospodyni za życia, to i po śmierci nie ukrzywdzi. Taki pan to los na loterii wygrany. A Monikę pewnie matka gdzieś zabrała, kto tam za nią trafi... Śpij, dziecko!

Stefcia poczuła, że wreszcie szczęście się do niej uśmiechnęło. Nie pozwoliło jej co prawda odnaleźć Michała, choć zjeździła za nim pół Polski, wróciła jednak w najlepszym momencie. Pawlak umarł, ale zostawił dla Moniki zapis: niewielką, za to co miesiąc wypłacaną kwotę w gotówce. Stefcia nie zamierzała wydawać tych pieniędzy tylko na córkę. Zresztą przecież małej nic nie brakowało: miała ubrania, książki i zeszyty, dobre buty i palto, jakieś zabawki też zabrała z Długołaki. Muszą mieć na jedzenie i czynsz, póki Kazimierz nie wróci z więzienia.

Następnego dnia po powrocie zapisała córkę do osiedlowej szkoły podstawowej, monstrualnego molocha z kilkuset uczniami. Monika nikogo tam nie знаła. Przerazał ją harmider na przerwach i to, że nie zawsze rozumiała, o czym się mówi podczas lekcji. Miała ogromne braki, nie potrafiła szybko notować, nie nadążała za nauczycielem. Któryś z kolegów zapytał, czy repetuje, nie znając tego słowa, odruchowo potwierdziła. Natychmiast została

„repeciara”.

Klasa liczyła ponad czterdziestkę dzieciaków. Monika czuła się onieśmielona. Jej wiejski akcent śmieszył kolegów, jej namyślanie się przed odpowiedzią wywoływało niemiłe komentarze. Czarny fartuch uszyty w pośpiechu przez matkę był za długi i zbyt obszerny, jakby miał wystarczyć do końca nauki w podstawówce. Monika wstydziła się swojego wyglądu, starała się więc schodzić wszystkim z drogi. Przerwy spędzała w ubikacji, w sali pojawiała się dopiero po dzwonku, czasem nie zdążywszy przed nauczycielką, za co dostawała piórnikiem po dłoni albo musiała stać w kącie.

Tak niedawno jeszcze „wnuczka dziedzica”, najlepsza uczennica w klasie, „panienka z dworku”, teraz została klasowym popychadłem. Nie miała siły stawiać temu czoła i gdyby nie jesienne słyty, zaczęłaby chodzić na wagary. Bardzo tęskniła za Teresą. Dużo o niej myślała i marzyła o powrocie do Długołąki. Pragnęła podzielić się z przyjaciółką tym wszystkim, co ją spotykało w nowej szkole, ale matka wciąż nie planowała wyjazdu na wieś.

Spadł pierwszy śnieg, było zimno i mokro, Stefcia dostała trochę szycia, z którym musiała się szybko uwinąć. Oczywiście zamierzała pilnować starej, żeby ta nie rozwłóczyła wszystkiego, co zostawił Pawlak. Michał kiedyś wróci, musi wrócić, a ona dopilnuje, aby niczego wtedy nie brakowało. Myślała o tym często podczas roboty, zła, że nie zrobiła spisu rzeczy. Ale przecież nie potrafiła tego zrobić, bo nie miała wprawy w pisaniu. Testament pozwalał gospodyni mieszkać w dworku aż do śmierci, ale Stefcia bała się, że Janiukowa zdąży rozprzedać wyposażenie domu i maszyny rolnicze. Po co wtedy Michał miałby wracać?

Choć dzieliła życie z Kazimierzem, Stefcia wciąż miała nadzieję na połączenie się z Michałem. Coraz częściej przysiadła się do Moniki, kiedy córka odrabiała lekcje, popatrując w jej zeszyty i oglądając książki. Wreszcie któregoś dnia powiedziała tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Nauczysz mnie pisać!

Nazajutrz przyniosła skądś stary elementarz i zeszyt w trzy linie. Od tej pory spędzały kilka godzin dziennie na wspólnej nauce. Monika bała się poprawiać matkę, ale Stefcia była dla siebie bardzo surowa. Pochylając się nisko nad zeszytem, sylabizowała słowa i mocno ściskając w dłoni obsadkę, raz po raz maczaną w kałamarzu, kreśliła w dziecięcym zeszycie nieporadne litery.

Tydzień po pogrzebie Pawlaka, skrzętnie skrywając cel swej wizyty, wybrała się do Długołąki. Zastała Janiukową, jak siedząc na niskim zydłu w kuchni, z leżących na podłodze makówek wytrząsała mak do szerokiego fartucha rozpostartego między kolanami.

– Pochwalony! – powiedziała, tkwiąc na progu, bo gospodyni nie kwapiła się, aby zaprosić ją do środka.

– Czego? – rzuciła obcesowo Janiukowa.

– Jak wasze zdrowie?

– Jeszcze nie umieram.

Stefcia rozejrzała się bacznie po kuchni. Chciałaby zerknąć do salonu, ale nadal miała na nogach buty, a deski w kuchni jak zwykle aż świeciły czystością i dywaniki ze szmatek też wyglądały na świeżo uprane, więc zabrakło jej śmiałości, aby wejść bez zaproszenia.

– Dacie kubek herbaty? – spytała pojednawczo.

– Jest kawa zbożowa.

– Mogę sobie nalać?

Janiukowa zrobiła nieokreślony ruch głową, który Stefcia odczytała jako przyzwolenie. Pośpiesznie więc zdjęła płaszcz i buty, sięgnęła po blaszany kubek wiszący na haczyku zamocowanym przy kuchni i nalała sobie kawy. Aby nie drażnić starej, nie spytała o mleko. Usiadła przy stole, grzejąc dłonie na gorącym kubku.

– Monika gdzie? – spytała stara.

– W szkole. Słabo jej idzie, ma zaległości.

– A skąd oni to wiedzą po paru tygodniach?!

Stefcia poczuła, że gospodyni mięknie, w tonie jej głosu usłyszała, że niespodziewanie są po tej samej stronie, po stronie dziecka, postanowiła to wykorzystać.

– Monika za wami tęskni.

– Po coś ją zabrała do miasta? Źle jej tu było?

– Ale do szkoły daleko, a zima idzie.

Janiukowa westchnęła, trudno się nie zgodzić z tym argumentem.

– Jeść co macie? – spytała już inaczej.

– Nie głodujemy, chociaż sami wiecie, co jest w sklepach.

Stara wzięła w ręce fartuch, wstała i wysypała mak do miski. Otrzeпаła dłonie i sięgnęła po chleb. Ukroiła dużą pajdę, posmarowała ją grubo masłem i miodem, i położywszy na talerzyku, podsunęła Stefci.

– Naści! Pewnie głodna?

Stefcia wgryzła się w kromkę, zadowolona, że skruszyła opór.

– Przyjdźcie w niedzielę, rosółu nagotuję – powiedziała Janiukowa, sama dziwiąc się swoim słowom, ale samotność już tak jej dojadła, że nie zważając na honor ani na to, co rozum dyktuje, roztkliwiła się na samą myśl, że siądą razem do stołu i choć to nie to samo, będą niby rodzina.

Na drogę zapakowała Stefci ciężki kosz z różnościami i stanęła w drzwiach, popatrując za nią i pociągając nosem.

Gutowo, sierpień 2016

Zbyszek chciał odwiedzić Martynę do Płocka, ale stanowczo się temu sprzeciwiła.

– Nie ma mowy! Idź do cukierni, jest dopiero po drugiej, zdążysz do jutra upiec tonę ciastek. Tylko pamiętaj: wróżby mają być dobre! Każdy potrzebuje nadziei!

Autobus właśnie nadjechał. Martyna wsiadła, zajęła miejsce po stronie chodnika i jeszcze raz mu pomachała. Zbyszek wyjął telefon i napisał SMS:

Przyjedziesz jutro?

Patrząc na niego przez okno, przeczytała wiadomość i pokiwała głową, a on pełen miłości i nadziei ruszył do cukierni. Miała rację. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Gdyby chodziło tylko o sprzedaż, może by machnął ręką na te kilka setek, ale przecież to był dzień walki o prestiż, gutowska olimpiada cukiernicza! W mieście funkcjonowało już kilka cukierni i każda walczyła o miano najlepszej. Prawda, że nikt nie mógł poszczycić się taką historią i lokalizacją, ale tradycja i położenie to nie wszystko. Ważny jest element zaskoczenia, moda, za którą trzeba nadażać, którą trzeba kreować. Zbyszek od dzieciństwa słyszał rozmowy między Heleną i Igą, które nie zwracając na niego uwagi, zastanawiały się nad wprowadzeniem nowych produktów. Dlatego mimo zawodu, jaki przeżył, kiedy Martyna oznajmiła, że wraca do domu, czuł jednocześnie wdzięczność, bo sam by się nie zdobył na rozstanie o tak wczesnej porze.

Przechodząc obok cukierni, zajrzał przez okno do środka. Ojca ani matki za ladą nie było. Widać sprzedały się wszystkie ciastka z wróżbą, bo ekspedientki wróciły z bulwaru i obsługiwały klientów. Była to zarazem dobra i zła wiadomość. Powinni upiec ich więcej. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. On tryskał energią, ma kilka godzin, do wieczora zrobi, co

trzeba.

Wysłał jeszcze jeden SMS do Marty.

Nie umawiaj się z nikim na wieczór!

I, gotów podbić świat, wszedł do domu. Najpierw trzeba było wydrukować wróżby. Pociąć mogły je dziewczyny w cukierni. Trzeba sprawdzić, czy są wstążeczki i celofan. Ale nawet jeśli nie ma, ciastka można brać szczypcami i podawać w papierowych serwetkach.

– Syn marnotrawny powrócił! – krzyknął z dołu.

– I chwała Bogu! – usłyszał głos matki.

Zdjął buty i wszedł na górę. Rodzice jedli w kuchni wczesny obiad. Dziś handel nie skończy się o szóstej. W zależności od ruchu potrwa pewnie do ósmej, może do dziesiątej. Hryciowie będą musieli zastąpić ekspedientki. Zbyszek wszedł do kuchni, wyjął z szafki szklankę i nalał sobie wody.

– Co tak wcześniej? – zdziwiła się matka.

– Muszę popracować. – Wzruszył ramionami.

Spodziewał się jakiegoś kąśliwego komentarza, ale odpowiedziała mu cisza. Nie zauważył, jak za jego plecami matka zrobiła do ojca minę, w której zdumienie mieszało się z uznaniem. Zbyszek oczekiwał pytań, jednak nie padły. Wcale go to nie ucieszyło, bo rodzice zachowywali się inaczej niż zwykle. Czuł jakąś obcość, jakby nadal byli obrażeni i chcieli go ukarać. A może tylko się przyczaili?

– O co chodzi? – zapytał, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia, i ze szklanką wody usiadł przy stole.

– Nie jesz? – zainteresował się ojciec.

– Jadłem w pałacu. Coście tacy skwaszeni? – nie mógł zrozumieć.

– Wydaje ci się – odparła matka.

Nie takiej reakcji na swój wczesny powrót oczekiwał, uważał, że zasłużył na dobre słowo, na jedno choćby zdanie pochwały, która zawsze kiepsko im wychodziła. Ale nie miał zamiaru uzalać się nad sobą, sięgnął po szklankę i poszedł do swojego pokoju. Miał mnóstwo roboty, dlatego dał sobie spokój z rozpamiętywaniem humorów matki.

Godzinę zajęło mu wyszukanie wróżb, ujednolicenie czcionki, wklejenie haseł do pliku i wydrukowanie kartek. Użył trochę starych, ale znalazł też

nowe hasła, specjalnie dla zakochanych. Takie wróżby sam chciałby znajdować w ciastkach. Zaniósł kartki do cukierni, jednak z żalem zauważył, że ekspedientki mają pełne ręce roboty. Przy ladzie nadal stała kolejka, której koniec wychodził aż na rynek. Przy stolikach też siedziało sporo ludzi. Zawahał się przez moment, nie wypadało zostawiać im dodatkowej roboty. Tym bardziej nie szukał pomocy rodziców, poszedł do pracowni i sam wszystko pociął.

Pracował jak w transie, jakby zdawał egzamin mistrzowski. Kontrolując wszystkie czynności po kilka razy, najpierw zastanowił się, ile ciastek potrzebuje, musiał mieć więcej niż dziś. W niedzielę zawsze był większy ruch, a przecież jakaś część towaru mogła zostać na poniedziałek. Kruche ciastka mają kilkudniową przydatność do spożycia. Przeliczył produkty na partię o połowę większą niż ta, którą przygotowali na dziś. Przyniósł z magazynu wszystkie składniki: mąkę, masło, jajka, cukier, cukier waniliowy, cynamon, olej i sól. Jeszcze raz pochylił się nad obliczeniami. Ile ciastek są w stanie sprzedać przez trzy–cztery dni? Zaryzykował i wybrał wersję najbardziej optymistyczną: trzy tysiące. Aż mu się zakręciło w głowie.

– Chyba oszalałem.

Ale trudno, jak spadać, to z wysokiego konia. Zresztą dzisiaj też jest dzień. Kolejny raz pochylił się nad obliczeniami. W domu krążyła opowieść, że kiedy ojciec zakochał się w matce, zamyślony dosypał do ciasta drożdżowego sól zamiast cukru. Zbyszek długo sądził, że to żart, opowieść wyssana z palca. Jak można pomylić sól i cukier, są przecież całkiem inne i w wyglądzie, i w dotyku, i w zapachu. Teraz już nie parsknął na tę myśl. Nie może mieć żadnej wpadki, od tego zależy przyszłość jego związku z Martyną. To ona go namówiła na powrót do pracy. Kiedy starzy się dowiedzą, zapunktuje u nich. Wszystko się zgadzało, ale zawahał się w ostatniej chwili: trzy tysiące było ilością przerażającą. Piec tyle czy tylko połowę? Czas naglił, a on nie potrafił podjąć decyzji. Na szczęście dziś kreatywność go nie zawodziła. Wziął do ręki komórkę i zadzwonił do Igi. Odebrała po trzech sygnałach, zawsze nosiła telefon w kieszeni.

– Cześć! Jeszcze raz dziękuję za... No wiesz... Za obiad.

– Zawsze do usług – odpowiedziała chłodno, gotowa się rozłączyć, ale najwyraźniej Zbyszek jeszcze nie skończył.

– Masz dużo gości? – zapytał bez sensu.

– Komplet, a co? Potrzebujesz pokoju? – skomentowała ironicznie. Zbyt

ironicznie, jak na jego gust.

– Za droga jesteś dla mnie – ignorując jawnie nieprzychylny ton, roześmiał się na jej sugestię.

– To o co chodzi?

– Bo widzisz, zabrakło ciastek. I jestem tu sam, potrzebuję pomocy.

– Wybacz, ale mam straszny kocioł...

– Nie o to chodzi. – Zbyszek się roześmiał. – Chcę upiec dużo, może zbyt dużo. I pomyślałem, czy nie mogłabyś wziąć do pałacu jakiejś partii? Sprzedawać w recepcji albo nawet rozdawać. To dla mnie ważne, moja pierwsza receptura, rozumiesz, ojciec patrzy mi na ręce... Wiem, że mi się udało to ciastko, dlatego szkoda zostać jutro bez towaru. Stoję w pracowni i nie potrafię sam podjąć decyzji.

Iga milczała, co nie było dobrą wróżbą. Wreszcie usłyszał w słuchawce:

– Doskonale. Przywieź, ile chcesz, żebym sprzedała.

– Iga... – szedł za ciosem. – A nie chciałabyś kupować ciastek na wesela, które organizujesz? No wiesz: jako prezent dla gości zamiast czekoladek?

– Przemyślę to. Kiedy je przywieziesz?

– Dziś przed wieczorem – odparł. – Dzięki.

Trochę zniechęcony jej oficjalnym tonem rozłączył się i już zamierzał zabrać się do dzieła, kiedy dotarło do niego, że sam nie da rady. Dochodziła czwarta, zostało mu kilka godzin. Dziś już zbyt wiele nie sprzedadzą. Ale jutro jest ważny dzień. Problem polegał na tym, że ciastka pieką się kilkanaście minut, on sam ze wszystkim nie zdąży. Trzeba ciasto rozwałkować, powycinać kółka, ułożyć wróżby, potem posklejać, umieścić na kastach. Piec będzie miał przestoje. Zdecydowanie dwie ręce to za mało. Kogo poprosić o pomoc? Ojca? Nie, to bez sensu. Znów sięgnął po telefon.

– Jesteś trzeźwy?

– Jasne! – odpowiedział Marcel, uczeń, którego Zbyszek lubił najbardziej.

– Jest stówa do zarobienia.

– Gdzie?

– W firmie.

– Już lecę!

– Zgarnij po drodze jeszcze kogoś. Może Pawła?

– Robi się, szefie! Wykopię go choćby spod ziemi!

Dumny z siebie, pogwizdując pod nosem, Zbyszek odłożył komórkę i zabrał się do mieszania składników na drugą partię ciastek z wróżbą.

Tessa, Elena i Mia jechały do Płocka w milczeniu. Tessa oddychała ciężko, najwyraźniej cierpiała. Może powodem był upał, może coś ją bolało. Ani córka, ani wnuczka nie próbowały pytać. Czekały zatem, aż sama o coś poprosi. Elena prowadziła, musiała się skupić na drodze, której zbyt dobrze nie znała. Mia zadumana patrzyła w okno, w myślach nadal stojąc w kolejce po wodę. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić, aby wieczorem jeszcze raz pójść do winiarni. Ale nie znajdowała żadnego pretekstu. Zresztą skąd pewność, że spotka tego chłopaka? A nawet jeśli przypadkiem go zobaczy, jak miałyby potoczyć się konwersacja? Matka wychowała ją trochę po staroświecku. Mia nie należała do dziewcząt, które narzucały się facetom. To, prędzej czy później, zawsze prowadzi do rozczarowania. Lubiła być zdobywana, co oczywiście w obecnych czasach rzadko się zdarza. Mężczyźni zdziennici, a ci naprawdę fajni to najczęściej geje. Męski facet, taki, który ma trochę kultury, potrafi na siebie zarobić i w dodatku jest przystojny, zdarza się raz na sto tysięcy. Albo rzadziej.

Współczesne dziewczyny dostosowały się do warunków. W inny sposób flirtują, inaczej zdobywają partnerów. Często z założenia w ogóle ich nie szukają, bo partnerstwo wymaga wysiłku, kompromisu, wyrzeczeń, a kogo na to stać? Każdy chce iść własną drogą, nikt nie zamierza podporządkowywać swego życia cudzym interesom i planom. Więc w zasadzie należy się skupić na czymś innym. Ale myśl o chłopaku z winiarni sprawiała Mii przyjemność z odrobiną bólu. Ból jest konieczny, aby czuć się przyjemnie. Trochę tęsknoty, niepewności, szczypta goryczy, ponieważ spotkali się w złym miejscu i czasie. I czeka ją zawód, bo już go polubiła, chyba przedwcześnie.

Nie musiała jechać do Płocka, nie potrzebowała drzemki ani odpoczynku. Mogła zostać w Gutowie: wałęsać się godzinami po małych uliczkach albo siedzieć w tej winiarni do siódmej. Mogła obejrzeć wszystkie kramy, na co Tessa nie miała siły ani ochoty. Ale cóż? Westchnęła ciężko. Nie zaprotestowała przeciwko powrotowi do hotelu. Znów westchnęła. Czy powinna pożegnać się z myślą o poznaniu tego chłopaka?

– Co tak wzdychasz? – chrapliwym głosem zapytała Tessa.

Sądziła, że wnuczka chce zmanifestować znużenie jej sprawami i miastem jej dzieciństwa. W zasadzie miała do tego prawo. Przyjechała na polską prowincję, gdzie wszystko było obce i egzotyczne tą obrzydliwą siermiężną

egzotyką miejsc, z których wyjeżdżamy, błogosławiąc los, że nie przyszło nam w nich zamieszkać. Wzdychała, bo nudziła ją cudza podróż sentymentalna. Co miała odpowiedzieć?

Tessa również doświadczała niespodziewanych uczuć. Sądziła, że przyjedzie jako triumfatorka, ona, biedna dziewczyna z Zajezieryc, której nie wrócono żadnej przyszłości. Myślała, że ich zadziwi, oszołomi, że podbije Gutowo, jak przez ostatnie lata podbijała Wiedeń. Tymczasem miasto niemal nie dostrzegło jej wizyty. Żyło swoim życiem. Zagarnęły je nowe pokolenia, zagospodarowały według własnego gustu, dodały mu blasku, którego nie miało, kiedy ona przeżywała w nim swoje najlepsze lata. Jej wizyta, to symboliczne podsumowanie całego życia, zginęła w zamieszaniu lokalnego święta, straciła swą wymowę i patos. Tessa zbyt długo na nią czekała, aby teraz wszystko odbyło się byle jak, bez należytej oprawy. To ją złościło i powodowało, że miała ochotę skarcić wnuczkę nawet za westchnienie. A przecież biedna Mia nie była niczemu winna.

– Przepraszam, jestem trochę zmęczona – powiedziała i zamknęła oczy, odchylając głowę na oparcie.

Zajezierzyce, zima 1956

Babcia Bronia gotowała kapustę z grochem na wieczerzę wigilijną. Teresa jej pomagała, ale bez werwy. W milczeniu, nie podśpiewując. Kolacja miała być skromna, nie chodziło jednak o frykasy, i tak zawsze jadły bardzo proste potrawy. Teresie nie chodziło też o prezenty, wcale ich się nie spodziewała. Było jej przykro, bo na robotach w szkole wykonała długi papierowy łańcuch i ozdoby choinkowe ze słomek, ale nie miały choinki, więc ozdoby pozostaną bezużyteczne.

Za oknem zaczęło zmierzchać. Gruby kożuch mrozu pokrył szyby. Teresa lubiła patrzeć na piękne wzory, jakie mróz maluje na oknie. Zawsze zimą chuchała, robiąc ciepłym oddechem kółko w oszronionym szkłe. Jednak dziś nie podeszła do okna.

Babka pokroiła chleb i nałożyła do misek kapustę. Teresa głęboko wciągnęła cudowny zapach. Na stole stał już talerz ze śledziem posypanym cebulą, kartofle w łupinach dochodziły w saganie. Babka odlała ziemniaki i gorące wyłożyła na miskę. Teresa nalała kompot z suszu do emaliowanych kubków, potem rozwiesiła na oknie swój kolorowy łańcuch z papieru, a na stole położyła słomkowego pajacyka, który miał zawisnąć na choince.

Podzieliły się opłatkiem i zabrały do jedzenia. W domu nie było już co robić, do pasterki zostało kilka godzin, więc babka pogoniła Teresę do spania. Sama zresztą poczuła się zmęczona, chętnie by się zdrzemnęła. Położyła się w ubraniu i niemal natychmiast usłyszała spokojny, równy oddech Teresy. Ale sama nie mogła zasnąć. Raz było jej zimno, to znowu gorąco. Przykrywała się derką, aby za chwilę zrzucić ją z siebie. Wreszcie nie wytrzymała, usiadła na łóżku, wsunęła nogi w trepy i nie zapalając lampy, po omacku poszła szukać onuc. Owinęła stopy szmatami, włożyła buty, potem kufajkę, sięgnęła po chustę i zawiązała ją mocno, bo na dworze był kilkunastostopniowy mróz. Wreszcie wyszła na dwór. Szczęśliwie noc była dość widna czy to przez księżyc raz po raz wyłaniający się zza chmur, czy przez śnieg, który spadł dość obficie.

Gdzieś we wsi poszcze kiwały psy, przydałby się jaki do towarzystwa. Babka Bronia otworzyła schowek, wyjęła siekiere, przez chwilę ważyła ją w dłoni, po czym zamknęła drzwiczki i z siekiere pod pachą ruszyła zasypanymi śniegiem polami w kierunku Długołaki.

Dookoła nie było żywej duszy.

Ludzie siedzą w domach przy wieczerzy albo śpią, tylko zwierzyna gdzieś w lesie poluje – pomyślała. Była zła, że nie wzięła lampy naftowej, bo obawiała się wilków, na szczęście dawno żaden w okolicy nie grasował.

Rozejrzała się uważnie, ale nigdzie nie dostrzegła tego, po co wyszła. Dla dodania sobie odwagi zaczęła odmawiać w duszy zdrowaśki. Może powiedziała ich dziesięć, może dwadzieścia, aż wreszcie dotarła do granicy lasu i dopiero tutaj znalazła mały świerczek. Zamachnęła się kilka razy, uderzając w pień tuż przy ziemi. Wreszcie drzewko upadło, a ona złapała za czubek i ciągnąc po śniegu, ruszyła w kierunku domu. Raz po raz oglądając się na las, jakby ją stamtąd miało jakie złe dopaść, wracała, znów uciekając się pod obronę Najświętszej Pani enki.

Droga powrotna wydała jej się dużo krótsza. Oto już zabudowania pałacowe. Teraz tylko trzeba znaleźć w szopie coś, w czym da się obsadzić świerczek, aby doczekał chociaż do Trzech Króli. Ale trudno dojrzeć cokolwiek po ciemku. Wreszcie wzięła kosz, wstawiła do niego świerk i przytrzymując jedną ręką drzewko, obsypała pień ziemniakami. Na szczęście choinka nie była wysoka i ta podpora wystarczyła. Babka z trudem wciągnęła kosz do domu, ułożyła na ziemniakach dwie białe poszewki, by imitowały śnieg. Powiesiła na drzewku zdjęty z okna łańcuch Teresy i słomkowe ozdoby. Wreszcie położyła prezent dla wnuczki zawinięty w kolorowy papier.

Usiadła i przy słabym świetle lampy naftowej zapatrzyła się na choinkę, przypominając sobie dobre i złe chwile swego niełatwego życia. Wreszcie wstała, aby sobie nalać kompotu. Szczęknięcie chochli obudziło Teresę.

– Już czas? – spytała rozespanym głosem.

– Dzwony jeszcze nie biły.

Ale wnuczka już usiadła na łóżku, przetarła oczy, nie wiadomo, z braku snu czy zdziwienia, wstała i podeszła do choinki.

– Babciu... – wyjąkała przez łyzy.

– Zobacz se, co tam leży.

Teresa wzięła do rąk paczkę, ale nie śmiała otworzyć.

– Co to?

Dziewczynka ostrożnie rozwinęła papier, wyczuwając, że to coś cudownie miękkiego, wreszcie położyła na stole wełnianą czapkę i rękawiczki. Nie zauważyła, aby babka kiedykolwiek robiła na drutach, nie widziała też w domu niebieskiej wełny, patrzyła więc teraz zdziwionym wzrokiem, a babka pokiwała głową przyzwalająco. Nieśmiało sięgnęła po prezent. Czapka miała nauszники i wiązadełka zakończone pomponikami, a rękawiczki, aby się nie pogubiły, zostały połączone wełnianym sznurkiem. Teresa nigdy nie miała równie pięknego kompletu.

– Czy mogę przymierzyć? – spytała wzruszona i na skinienie babki włożyła czapkę.

Podeszła do niewielkiego lusterka zawieszzonego byle jak na ścianie. Nic nie powiedziała, ale widać było, że jest szczęśliwa.

– To od Janiukowej. Podziękuj przy okazji – niepotrzebnie napomniała ją babka.

– Czy już były dzwony na pasterkę? – znów spytała Teresa, gotowa do wyjścia.

Przed kościołem kłębił się tłum, ale na szczęście dostrzegła Janiukową, która szła godnie, pod rękę z jakimś mężczyzną. Teresa nie rozpoznała w nim syna gospodyni, Kazimierza, co to go parę lat nie było, bo ponoć w więzieniu zamknięty za jakieś nieswoje przewiny siedział. Obok nich podążała głupia Stefcia wystrojona w płaszcz z futrzanym kołnierzem, na głowie miała nie chustkę, jak wszystkie kobiety we wsi, tylko kapelusz, przez co wyglądała śmiesznie, jakby kto świnię we wianek ustroił.

Wreszcie Teresa zauważyła Monikę. Momentalnie się rozpromieniła, ale Monika była jakaś inna, obca, nieprzystępna, smutna. Teresa tak się ucieszyła na widok przyjaciółki, że gotowa była jej oddać swoją czapkę i rękawiczki. Przytuliła ją i ucałowała w oba policzki, a potem nie odstępowała ani na chwilę aż do końca mszy, raz po raz poszeptując jej coś do ucha.

– Nienawidzę miasta, nienawidzę szkoły, nienawidzę ich wszystkich! – oznajmiła w końcu Monika.

– No co ty? – nie zrozumiała Teresa.

– Nie wracam tam! – wycodziła przez zęby Monika, a Teresę przeniknął strach wymieszany z podziwem. – Wolę umrzeć. Pójdę do lasu i nie wrócę, niech mnie wilki pożrą. Nienawidzę szkoły! Nienawidzę Gutowa! Nigdy tam

nie wróćę! Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Teresa słuchała zdumiona. Jak to możliwe, że Monika w zaledwie kilka tygodni tak się zmieniła? Co się stało? Trwała msza, w kościele był tłok, nie mogły teraz wyjść, Teresa jednak czuła, że powinna coś zrobić, uspokoić przyjaciółkę, ale nie wiedziała jak. Kręciła się, zacierała ręce, wzdychała i modliła się, popatrując na ołtarz z niemą prośbą o pomoc.

I pomoc nadeszła, choć z najmniej oczekiwanej strony. W wielkim tłoku, przeciskając się ku ołtarzowi, Teresa włożyła rękę do kieszeni, bo miała tam swój największy skarb, z którym nigdy się nie rozstawała: pudełko po zapałkach z kilkunastoma koralikami, nagrodą od Pawlaka za dobrze odrobione lekcje. Podczas komunii podziękowała Bogu za natchnienie. Otworzyła usta, by przyjąć hostię. Powiedziała „Amen” i ze złożonymi dłońmi wróciła na miejsce. Bez wahania wyjęła pudełko i położyła je na zmarzniętej dłoni Moniki.

Gutowo, sierpień 2016

Ledwo autobus wyjechał z Gutowa, Martyna spojrzała na wyświetlacz komórki. Szukała chyba odpowiednich słów, bo nie wybierała numeru, tylko zawisła wzrokiem na oknie. Wreszcie zdecydowanymi ruchami wystukała:

Lepiej niż myślałam. Jesteś na chacie?

Stojąc za ladą, Maciek usiłował przypomnieć sobie spojrzenie tamtej dziewczyny, jej lekko kręcone włosy, uwodzicielski, choć trochę speszony uśmiech i nazwisko, które obiecywało coś rzadkiego, egzotycznego i pięknego. Sfrunęła niczym motyl do winiarni i pewnie już tu nigdy nie zajrzy. Podczas Dni Gutowa turyści przyjeżdżają do miasta jedynie na kilka godzin. Należało się pożegnać z nadzieją ujrzenia jej jeszcze kiedyś. I całkiem niespodziewanie poczuł lekkie igiełki smutku, które nastroiły go nostalgicznie. Ale przecież zna jej imię i nazwisko, czego więcej trzeba w cyfrowym świecie? Kiedy tylko po zamknięciu winiarni wróci do siebie, natychmiast zacznie jej szukać.

– Weź się wreszcie do roboty! – warknęła z boku Agata, której nie umknęło zamyślenie chłopaka.

Niby nic takiego, ale z jakiegoś powodu jej się to nie spodobało. Agata nie miała zwyczaju się zakochiwać i teraz też nie była zakochana. Ani zazdrosna. Zresztą o kogo? O wakacyjnego pracownika? Oczywiście, że nie! Lubiła tylko, żeby klienci byli obsługiwani sprawnie i z jednakowym uśmiechem dla każdego. Chciała nawet zaproponować Maćkowi stałą pracę, bo widziała, jak on działa na kobiety. Takiego barmana ze świecą szukać, zwłaszcza po sezonie. Maciek był wysoki, przystojny, na luzie, miał niski głos i spojrzenie, któremu nie można się było oprzeć.

Skąd się taki ktoś wziął w Gutowie, gdzie notorycznie brakowało fajnych facetów? Nie miała pojęcia. Złapała się na tym, że czasami celowo zostawała po godzinach, udając, że jest coś do zrobienia, siadała z boku nad jakimiś

nieważnymi papierami i popatrywała na niego z ukosa. Czego tu szukał? Dlaczego pracował u niej za marną kasę, skoro chociażby w takim Płocku mógł dostać o połowę więcej? Mówił, że mu nie zależy. Ale komu nie zależy na pieniądzach? Szkoda, że chce pracować tylko trzy miesiące... A może on nasłany przez skarbówkę? Na tę pewnego dnia wypowiedzianą głośno insynuację Maciek roześmiał się tylko i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– A może się przed kimś ukrywasz?

– Zgadłaś! Przed taką jedną, co mnie ściga o alimenty! – wypalił, a ona zrozumiała, że to nie jest moment na szczerość.

– Dziś musimy zostać do ostatniego klienta – przypomniała.

– Pamiętam.

– Ale za to jutro możesz przyjść na dwunastą.

– Co za ulga! – zareagował przesadnie, a ona przyjrzała mu się przez zmrużone powieki. Chciałaby go dotknąć. Chciałaby wywołać w nim pożądanie. Wracając do domu, snuła fantazje o tym, że on zdiera z niej ciuchy i rzuca się, aby ją posiąść. Ale ta myśl przybiła ją jeszcze bardziej, bo Agata nie miała wątpliwości, że to scenariusz nie do zrealizowania. O dziesięć pechowych lat od niego starsza, była na dokładkę szefową, nie na każdego faceta to działa, miała syna licealistę, który lada dzień wróci z wakacji, i choć Agata nie wyglądała na swoje trzydzieści siedem lat, samą obecnością Kamil ustawi sprawy na właściwej pozycji. Przypomniawszy sobie o synu, wyszła na zaplecze, aby do niego zadzwonić.

Poseł Hryć i wojewoda Karwacki jakoś nie mogli porozumieć się z burmistrzem Gutowa. Wiadomo, politycznie nie było im po drodze, dlatego dość szybko wyszli z ratusza i postanowili przejść się we dwóch i pogadać. Hryć rzucił spojrzenie w kierunku cukierni. Nie, ze względu na temat tam też nie mogli czuć się bezpiecznie.

– Chodźmy do winiarni! – zaproponował.

Kłaniając się na prawo i lewo oraz ściskając dłonie i głaszcząc po główkach podsuwane im raz po raz maleństwa, kierowali się ku Szewskiej. Wciąż było upalnie, ale z niewiadomego powodu ludzie woleli siedzieć przy stolikach na zewnątrz. Hryć i Karwacki znaleźli zaciszne miejsce w kącie sali, niedaleko baru. Zamówili po kieliszku czerwonego wina i czekając na trunek, prowadzili niezobowiązującą konwersację.

– Żona każe mi pić czerwone. Chodzi o serce – westchnął wojewoda. – A piwa zakazuje, że niby jestem gruby. Kobiety... – Rozejrzał się raz jeszcze z miną, jakby właśnie kobiet szukał.

Nadeszła kelnerka, postawiła na stoliku dwa kieliszki i butelkę najlepszego wytrawnego wina.

– Prezent od szefowej. – Uśmiechnęła się trochę kwaśno. Może nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

Panowie nie zaprotestowali. Patrzyli, jak nalewa wino do kieliszków, a potem wzięli je w dłonie i stuknęli się na toast.

– Co to za goście? – zapytał Maciek, kiedy kelnerka wróciła do bufetu.

– Ten z lewej to nasz dawny burmistrz, teraz jest posłem. Tego drugiego nie znam, ale zawsze kiedy Hryć do nas przychodzi, mam nakazane za darmo podawać. Jego córka jest dyrektorką liceum, a syn Agaty chyba nie bardzo się uczy... Rozumiesz, ręka rękę myje. Na szczęście poseł siedzi teraz w Warszawie, no i niezbyt lubi wino.

Maciek popatrzył na gościa, kiedy ten podnosił kieliszek i nachylony nad stolikiem szeptał coś do swojego rozmówcy.

– Jest interes do zrobienia – rzucił tajemniczo Hryć.

Wojewoda upił łyk i popatrzył z uwagą.

– Ziemia. W trzy miesiące zarobek jak jeden do czterech.

– A czemu mamy to robić razem? – zainteresował się Karwacki.

– Jest wiele powodów, a jeden najważniejszy: na tym terenie mam trochę związane ręce.

– Klasyczny dylemat: mieć ciastko czy zjeść ciastko... – Wojewoda westchnął i znów sięgnął po kieliszek.

– Trzeba by założyć spółkę, żeby się rozmyło, bo ludzie zaczną gadać.

– Pana żona jest chyba w biznesie? – nieustępliwie drążył wojewoda.

– Ale jak na złość ubzdurała sobie, żeby kupić starą mleczarnię! Zresztą sam pan wie, czasem warto mieć trochę grosza na boku.

Wojewoda zrobił gest świadczący o poparciu dla tego rodzaju polityki domowej.

– Gdzie ta ziemia i jaki jest deal?

W tym momencie z zaplecza wyszła Agata. Zobaczywszy Hrycia, sięgnęła po

miseczkę z orzeszkami i skierowała się ku gościom.

– Panie pośle, witam serdecznie! To dla nas zaszczyt! Niczego panom nie brakuje?

Hryć spojrział na nią trochę zdziwiony, ale pokręcił głową na znak, że wszystko jest w porządku.

– Gdzie ta ziemia? – wojewoda wrócił do tematu.

– Tu niedaleko, w Długołęce. Ktoś z Warszawy sprzedaje. Na szczęście zlecił szukanie oferentów miejscowemu agentowi. Ten jest gotów przyblokować sprawę. Kupimy ziemię na spółkę jako rolną po dwa czy nawet po pięć złotych. Potem się odrolni i odsprzeda. Zmiana planu zagospodarowania w tej gminie będzie formalnością, wójt to swój człowiek. Coś mu się tam rzuci na żer, jakiś remont przedszkola czy remizy. Chyba znajdą się na to środki? – zawiesił głos, a widząc przychylną minę rozmówcy, kontynuował: – Według moich geodetów można by tam kopać żwir. Ziemia pod żwirownię to co najmniej czterdzieści złotych za metr. A gdyby z niej zrobić aport do spółki, dałoby się korzystać przez długie lata.

Wojewoda siedział nachylony ku posłowi i słuchał z lubością. Nie cierpiał tych weekendowych gospodarskich wizyt, ta jednak mogła przynieść wymierne rezultaty.

– To ile by trzeba mieć na początek?

– Jakież grosze... Trzydzieści tysięcy?

Maciek stał przy barze, wycierając kieliszki, i chcąc nie chcąc, słyszał fragmenty rozmowy. Popatrywał z boku na polityków, którzy tuż pod jego nosem kręcili lody, i skrzywił się z niesmakiem.

– Co to za typy? – spytał szefową. – Płasałaś przed nimi jak baletnica.

– Zazdrosny? – Agata przechyliła głowę, chwytając się tej nierozsądnej myśli, i zaczęła snuć scenariusz na dzisiejszy wieczór.

– Pewnie!

– Nasz poseł, Hryć.

– To wiem. A ten drugi?

Agą uważnie przyjrzała się Maćkowi.

– Nie mam pojęcia. A na co ci to?

– Na nic. Muszę coś przecież wiedzieć o gościach, nie uważasz?

Nagle Agatę olśniło. Maciek był zbyt inteligentny, żeby w Gutowie stać za

barem. Może to glina po cywilnemu? Albo dziennikarz, który prowadzi jakieś śledztwo w sprawie korupcji? Tak! To by coś wyjaśniało! Jeśli dobrze pogrzebać w papierach Hrycia, to na bank się coś znajdzie! Ta myśl tak bardzo przypadła jej do gustu, że nawet jeśli zdrowy rozsądek kazał w to wątpić, Agata uparła się przy swojej wersji, kombinując, jak by tu zwabić Maćka do siebie na noc. Jeszcze nigdy nie spała z gliną.

Dochodziła szesnasta. Monika, przejęta rychłym spotkaniem z Teresą, próbowała się zdrzemnąć. Jednak w hotelu panował rozgardiasz, ludzie nie byli skłonni odpoczywać po południu. Korzystali z wakacyjnego wypoczynku, zaznaczając na każdym kroku swoją obecność. Dzieci biegały z piskiem i tupotem, dorośli się nawoływali, wszyscy bez wyjątku trzaskali drzwiami. Mimo że hotel był dość drogi, goście zachowywali się tak, jakby nie słyszeli o dobrym wychowaniu. A przecież w takich miejscach chciałoby się czuć dawną atmosferę, której elegancja, dyskrecja i poszanowanie praw innych gości były ważnymi elementami. Tylko że już nie ma powrotu do tamtych zwyczajów. Wygoda zastąpiła sztywne reguły, strój się uprościł, posiłków niemal nikt nie celebruje. Czasy się zmieniły. Czy aby na lepsze?

Chcąc nie chcąc, Monika zrezygnowała z drzemki i mimo panującego wciąż upału postanowiła wyjść na spacer. Ubrała się w białe płócienne spodnie i bawełniany T-shirt, zapięła lekkie sandały. Wzięła kapelusz i mały składany wachlarz oraz butelkę wody, dokumenty i telefon, które włożyła do przewieszanej przez ramię płóciennej torby. Nie mając pomysłu na trasę, wiedziała jednak, że musi się trzymać miejsc jak najbardziej ocienionych, zatem skręciła ku parkowi i okrążywszy go, weszła na ścieżkę nad jeziorem. Panował tu przyjemny chłód, co kilkaset metrów stała drewniana ławka i z bezpiecznej odległości można było obserwować trwające po drugiej stronie szaleństwo Dni Gutowa. Na wieży zamkowej nadal tłoczyli się turyści, obserwując wyścig motorówek. Kolorowy tłum upstrzył brzeg jeziora różnobarwnymi cętkami i aż tu docierała kakofonia zmieszanych dźwięków: muzyki, ryku łodzi i nawoływań.

Monika wstała i ruszyła dalej. Postanowiła zatoczyć koło i przez las dotarła do drogi na Długołąkę. Bez trudu znalazła niedawno odnowioną starą kapliczkę z portretem Matki Boskiej Gutowskiej udekorowaną bukietem sztucznych kwiatów oraz dwa słupy dawnej bramy wjazdowej do dworu.

Kiedyś, pokryte drewnianymi dachówkami, prezentowały się elegancko, teraz spod resztek tynku tu i ówdzie przeświecały zmurszałe cegły. Brama i furtka, podobnie jak zabudowania dworskie, były drewniane i się nie zachowały. Dawna droga porosła trawą i krzakami, jej ślad wyznaczała już tylko kasztanowa aleja. Drzewa, choć zarażone szrotówkiem, dawały przyjemny cień, ale ich szpaler kończył się nagle, a tam, gdzie kiedyś było podwórze i dwór, wyrósł brzozowy młodniak. Po budynkach nie został nawet ślad, ale patrząc uważnie pod nogi, gdzieniegdzie można było dostrzec zarysy fundamentów. Kto nie wiedział, pewnie by się nie domyślił, że dawniej było tu gospodarstwo, zdziwiłaby go ta prowadząca donikąd aleja.

W ciszy wypełnionej jedynie śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów Monika wyjęła z kieszeni stare pudełko po zapałkach i ostrożnie wysypała na dłoń kilkanaście mieniących się szklanych paciorków. Przyglądała im się przez dłuższą chwilę, a potem zamknęła dłoń i głęboko westchnęła.

Zajezierzyce, lipiec 1958

Z początkiem lipca niespodziewanie przyjechali do Zajezierzyc Wiesława i Feliks Kuszlowie. Przywieźli ze sobą dwójkę dzieci: pięcioletniego Mietka i trzyletnią Danusię. O rodzicach Teresa miała mgliste pojęcie, nie pamiętała ich ani za nimi nie tęskniła, czasem babka coś napomknęła z rzadko przychodzących listów. Choć biednie, ale dobrze im się we dwie żyło. Teraz z dnia na dzień zrobiło się za ciasno, bo w jednej izbie zamiast dwóch musiało się naraz zmieścić sześć osób. Z przyjazdu rodziców i rodzeństwa Teresa autentycznie się ucieszyła. Akurat były wakacje i kiedy tylko miała trochę czasu, chodziła z dziećmi nad jezioro albo zabierała je na wygon i uczyła doglądać gęsi. Razem zbierali też jagody i grzyby w lesie.

Tymczasem dni mijały, a rodzice nie wracali na Śląsk i wreszcie wyszło na jaw, że Kuszlowie nie przyjechali, lecz wrócili! Feliks zaczął szukać pracy, jednak niewiele wskórał. Na dodatek po wypadku w kopalni miał krótszą jedną nogę, a inwalidy nikt w Gutowie nie chciał zatrudnić. Nie pozostało nic innego, jak znaleźć pracę na roli. Teraz, kiedy trwały sianokosy i zbliżały się żniwa, przydawały się każde ręce, ale co będzie po omłotach? Po wykopkach?

Babka Bronia patrzyła na to wszystko z obawą. Felek dostawał co prawda jakąś rencinę, ale prawie nikt poza nim tych pieniędzy nie widział, bo większość szła na wódkę. Co gorsza po pijaku zdarzało się zięciowi bijać żonę i dzieci. Gdy Wiesława opowiedziała matce o trudach swego życia na Śląsku, Paździochowa autentycznie się przeraziła. Więc jak to: teraz ona ma wykarmić nie tylko siebie i wnuczkę, ale dwoje jej rodzeństwa oraz córkę i zięcia?!

Aż wreszcie wpadła na pomysł. Chodziła z nim kilka dni, ale nie było co dumać po próżnicy, przebrała się w czyste ciuchy i poczłapała do Długołąki. Janiukową zastała w dobrym nastroju, więc zaczęła z miejsca:

– Pani gospodyni, z prośbą taką przyszedłam, czybyście jakiej roboty dla zięcia mojego nie znaleźli, bo z nudów tylko o wódcę myśli. W Gutowie pracy nie

dostał, a w ziemię my niezasobni.

– Mówiła mi Teresa, że rodzice ze Śląska wrócili. Źle im tam było?

– Po wypadku Felek się do pracy pod ziemią nie nadawał, to co mieli tam robić?

– Może i racja... – przyznała Janiukowa. – A on roboty w polu przez te lata nie zapomniał?

– Gdzie zaś! Ze wsi jest, całe życie w polu spędził!

– Tylko że to by trzeba było po gospodarsku się rozliczać, bo u mnie pieniędzy nie ma. Świętej pamięci dziedzic majątku nie zostawił, tyle co widzicie. Więc jeśli zięć chciałby robić jak u siebie i o sprzedaż płodów zadbać, to możemy spróbować, bo na Kazimierza liczyć za bardzo nie mogę. On się teraz w Płocku zaczął, to mu tylko ten dzień święty na odpoczynek zostaje.

– Wszystko jasne! U nich oboje do roboty zdolni, to obrobią wszystko jak ta lala!

Janiukowa westchnęła ciężko. Z dwojgiem to już trudniej, bo co innego zatrudnić jedno, co innego dwoje. Co innego jednemu zapłacić. Co innego dwojgu. Zastanawiała się właśnie, jak powiedzieć Paździochowej, że może na dwoje roboty i płacy nie starczyć, ale babka Bronia sprytna była i już wyczytała z jej twarzy, że nie powinna nadużywać dobroci, więc tylko rzuciła:

– Zresztą zrobicie, jak wam tam będzie wygodniej! Ja i tak wdzięczność dozgonną czuję, bo u nich jeszcze dwoje drobiazgu, co to się na świat nie prosiło.

Janiukowa teraz dopiero zrozumiała, że być może nie pomocnika zatrudniła, tylko kolejne gęby do wyżywienia wzięła sobie na głowę, bo wszyscy myślą, że ją dziedzic długołacki z wielkim majątkiem zostawił, co prawdą nie było, bo zasobów żadnych Pawlak nie posiadał. Żyli z miesiąca na miesiąc, jak i ona teraz żyje. Ale cóż było robić, musiała przystać na propozycję. Zresztą szukała kogoś do pomocy, bo szkoda pole odłogiem zostawić, a miała konia, wóz, trochę maszyn i wielką potrzebę męskiej ręki. Trudno też do każdej naprawy człowieka wołać, takie rzeczy to mężczyzna w domu robi, a kiedy go braknie... No, właśnie.

– Niech zatem przyjdzie, choćby i jutro. Zwiezie siano z łąki, bo na deszcz się zbiera.

Paździochowa tak się ucieszyła, że omal w rękę gospodyni dziedzicowej nie cmoknęła, ale Felek nie był szczęśliwy, że w dawnym dworze teściowa mu

pracę znalazła.

– Inne czasy są! Teraz wszystko wspólne. Nie będę się żadnym panom wysługiwał! – burknął i jakby mógł, toby splunął.

– A żyć chcesz, darmozjadzie? – fuknęła Paździochowa. – Bo jeśli ci w pegeerze na twoją krzywą gębę co dadzą, to możesz do Janiukowej na robotę nie chodzić. Ja moją córkę i jej dzieci wykarmię, choćbym miała pod kościołem żebrac. Ale tobie, leniu, to ani łyżki zupy nie dam! Bo nie po to twoja córka przed lekcjami i po lekcjach gęsi pasie, w nauce się zaniedbując, żebyś ty na wódkę mógł wszystkie pieniądze wydawać! Albo pójdziesz do Janiukowej i grosz każdy będziesz oddawał, albo zdychaj pod płótem, bo ja nie twoja żona i karmić cię za darmo nie zamierzam! I jeszcze jedno... – babka zawiesiła głos. – A uderz mi w złości które z dzieci albo i Wiesławę, to jak amen w pacierzu niczym psa motyką zatłukę albo łeb przez sen urznę przy samym karku!

Obruszył się na te słowa Felek i wyszedł z chałupy, trzasnąwszy drzwiami, ale pijany nie wrócił, a wieczorem wygarnął trochę grosza z portmonetki i cisnął na stół, że niby to wszystko, co mu z ostatniej renty zostało. Nikt go też i nie pytał, czy sobie czego głębiej nie schował, grunt, że trochę moresu przed babką poczuł.

Ale radość to była przedwczesna, bo z pijaka nikt dobrego robotnika nie uczyni. Wódka już takim rządzi i żaden mu strach nie straszny ani z domu wyrzucenie. Byłoby im jak u Pana Boga za piecem, gdyby Felek nie pił, ale nieraz zawałał robotę, bo go przypiliło, żeby pod spółdzielnią GS-u z jakimi ćwiartką obalić, a potem lec gdzieś w rowie. Wtedy cała robota spadała na Wiesławę i Teresę, bo na utratę zaufania Janiukowej i dochodu z pracy pozwolić sobie nie mogły. Babka Bronia odgrażała się i nawet raz czy drugi kijem zięcia obijała, ale wykurzyć zeń nałogu nie zdołała.

Zaczęło się dla Teresy trudniejsze życie, bo to jej przypadły liczne obowiązki w zagrodzie Janiukowej, która dawno zauważyła, że kobiety bardziej są do roboty przywiązane i bardziej obowiązkowe, toteż trochę je wykorzystywała, po cichu licząc na to, że innej pracy we wsi nie znajdą. Teresa skoro świt musiała krowę na łąkę wyprowadzić, a w południe do domu zagnać, napoić i znów po południu na łąkę polecieć. Często ją Janiukowa prosiła o zakupy w GS-ie i inne przysługi. Jej wymagania zdawały się nie mieć końca. Niektóre rzeczy Teresa robiła wspólnie z Moniką, ale to od niej gospodyni przede wszystkim wymagała i ją krytykowała, gdy była

niezadowolona. A przecież mogła rozdzielić prace po równo! Tymczasem ona traktowała Monikę jak wnuczkę, a Teresę jak służącą! Monika tego nie zauważała albo nie chciała zauważać i często siedziała w sadku z książką, rzekomo czekając na Teresę, kiedy ta będzie wolna. Ale ona nigdy nie była wolna, bo kiedy skończyła u Janiukowej, biegła do domu, gdzie czekały na nią gęsi albo dzieciaki do pilnowania, droga do spółdzielni albo i do Gutowa, wreszcie pielenie ziemniaków, lnu czy żniwa na tym skrawku gruntu, co to go dostali z reformy. Zaciskała więc zęby, starając się sprostać wszystkim obowiązkom, bo widziała, że matka z babką też się nie oszczędzają.

Ale mimo tej ciężkiej pracy w domu się nie przelewało, nawet kiedy ojciec oddał rentę, bo wtedy spłacali długi zaciągnięte w spółdzielni na zeszyt. I choć wydawało się, że latem prawie nic nie kupują, zawsze się z tego niczego uskładała spora sumka. Co miesiąc też im pani Lodzia ze sklepu surowo zapowiadała, że nie będzie sprzedawać bez pieniędzy, ale musiałyby pewnie zamknąć sklep, bo takich jak oni było we wsi niemało.

A tu znowu prąd w Zajeziarzycach zaprowadzili i z tym wiązały się nowe wydatki, bo sołtys po domach chodził i od każdego składkę zbierał. Nie było zmiłuj ni tłumaczenia, że groszem nie śmierdzą. Od razu też lampy i co tam jeszcze chciałoby się kupić, aby sobie człowiek żelazkiem czy prodżem życie ułatwić, a choćby i taką grzałką elektryczną, ale skąd na to wszystko brać? Więc prąd w domu mieli, ale nadal wieczorami siedzieli przy lampie naftowej, szczęście, że lato i dzień długi.

Jakoś wtedy Teresa zamarzyła o rowerze, bo na nim mogłaby szybciej dojechać do Długołaki albo Gutowa i też o wiele szybciej wrócić. Był stary rower we dworze, po Michale albo Adamie, zakurzony stał, bo nikt się na takim nie odważył jeździć, ale kiedy tylko Teresa o nim wspomniała, to się od razu spodobał Monice, która interesu żadnego poza rozrywką nie mając, zagarnęła dla siebie ten środek lokomocji. Zresztą nawet nie nauczyła się dobrze jeździć, bo duży był i ciężki, powietrza do dętek nie miał kto napompować i szybko jej ten początkowy zapał minął.

Nie minął jednak Teresie, która już wtedy, jeśli sobie coś postanowiła, to uparcie parła do celu. I mimo porażek, bo zanim się nauczyła jeździć, kilka razy spadła i nawet boleśnie stłukła sobie łokieć, wiedziała, że musi mieć rower. Jeśli nie ten, to jakiś inny, ale swój własny. Ponieważ na razie nie mogła liczyć na Janiukową, rozejrzała się w Gutowie, kiedy pojechała na targ, by sprzedać masło, sery i śmietanę. Trzeba przyznać, że do handlu miała jakiś

szczególny dar. Jeśli stanęła na targu obok innych bab ze wsi, to zawsze do niej najpierw podchodzili kupcy. Szybko zresztą panie z miasta zaczęły się z nią umawiać na dostawy do domu i gdyby Teresa tylko miała jak dowieźć, mogłaby sprzedać i trzy razy tyle wszystkiego. Ale dysponowała jedynie wiklinowym koszykiem i mogła tyle donieść, ile zdołała. Rower by tu zresztą nic nie pomógł, bo nabrał, a zwłaszcza jajka, nie dojechałyby do miasta.

Pewnego dnia, wracając od jednej z klientek mieszkającej na Ogrodach, przed sklepem ze starzyzną Teresa zauważyła ramę od roweru. Weszła do środka i zapytała o cenę. Właściciel burknął coś pod nosem, widać nie uznał jej za potencjalną klientkę. I zdziwił się bardzo, kiedy Teresa pewnym siebie głosem powiedziała:

– Niech pan ją dla mnie przechowa, przyjdę za dwa tygodnie.

Popatrzył na nią znad okularów, zastanawiając się, po co jej rama, do której nie ma ani kół, ani siodełka, ani łańcucha, ani kierownicy, ale spodobała mu się jej determinacja. Tymczasem Teresa musiała jakoś zarobić pieniądze. Gdyby nie szalony pomysł, mogłaby dalej wstawać o wpół do szóstej, ale ponieważ jedynym, co mogło jej przynieść dodatkowy zarobek, było runo leśne, zaczęła wstawać dwie godziny wcześniej i skoro świt mknęła do lasu.

Pierwszy kosz sprzedała Janiukowej. Gospodyni sądziła, że wystarczy poprosić, a mała Kuszelówna z uśmiechem odda jej to, co nazbierała, nie żądając niczego w zamian. Teresa jednak była stanowcza i posłużyła się kłamstwem, mówiąc, że grzyby ma zanieść do Gutowa dla jednej pani z sądu. Emanowała taką determinacją, że dostała swoje dziesięć złotych, choć Janiukowa przewracała oczyma na takie zdzierstwo i łapała się za serce, udając atak. Zresztą naprawdę aż jej tchu zabrakło. Nigdy jeszcze nie musiała płacić za grzyby, ale zapasy się skończyły, pora by nasuszyć na Wigilię, a kosz był duży, grzyby dorodne, same prawdziwki, podgrzybki, jeden w drugi.

Teresa zrozumiała wtedy, że skoro tak blisko lasu może dostać dziesięć złotych za kosz, w mieście cena będzie wyższa przynajmniej o połowę, i kiedy podczas następnego targu pytała klientki o grzyby, niektóre z nich wyraziły chęć zakupu.

Po upływie dwóch tygodni pojawiła się w sklepie ze starzyzną. Nie zauważyła ramy roweru na zewnątrz, co ją zaniepokoiło. Wchodząc do środka, nie zobaczyła też właściciela, tylko młodego chłopaka, może ze trzy lata od

niej starszego.

– Chciałam odebrać ramę do roweru – powiedziała trochę niepewnie.

– Jest na zapleczu. A możesz mi powiedzieć, po co ci ona?

– Potrzebuję roweru, a nie mam pieniędzy – odrzekła bez skrępowania.

– A skąd wiesz, że znajdziesz do niej wszystkie inne części? Bo my nie mamy. Oczywiście sprzedam ci ramę, ale na twoim miejscu nie kupowałbym jej. Nie znasz się na rowerach, prawda?

– Nie, ale powiedziałam, że po nią przyjdę. Nie mogę złamać słowa, to byłoby nieuczciwe.

– Ty jesteś całkiem niedzisiejsza.

– To nie twoja sprawa. Proszę, tu są pieniądze, tak jak się umawiałam.

Chłopak pokręcił głową ni to ze współczuciem, ni to z podziwem i wyszedł na zapleczu. Chwilę później wyprowadził stamtąd czerwoną damkę z jasnymi oponami, nawet niezbyt poobijaną. Niczego jej nie brakowało.

– No, jak? Podoba się? Dobry, przedwojenny!

Teresie aż oczy się zaświeciły. Ale jak szybko się zaświeciły, równie szybko zgasły. Wiedziała, że jej nie stać.

– Po co mi go pokazujesz? Mam tylko trzydzieści złotych.

– Rower kosztuje sto pięćdziesiąt.

– O matko... – jęknęła.

Jak zdobyć taką furę pieniędzy, przecież już te trzydzieści, które zarobiła na grzybach, wydawało jej się fortuną.

– Może poproś rodziców? – zasugerował sprzedawca.

– Nic nie rozumiesz! – warknęła Teresa i zabierając swoje trzydzieści złotych, ze łzami w oczach wybiegła na ulicę.

Po kilkunastu krokach zatrzymała się jednak i wróciła do sklepu.

– Masz te trzydzieści złotych jako zadatek. Powiedz właścicielowi, że za tydzień przyniosę następne trzydzieści albo więcej. Niech nikomu nie sprzedaje tego roweru. Zrozumiałeś?!

Jej stanowczy ton rozbawił go.

– Co miałem nie zrozumieć. Potrzebujesz pięciu tygodni.

– Czterech, już tylko czterech! – poprawiła go i wycierając dłonią mokry nos, wyprostowana wyszła ze sklepu.

Gutowo, sierpień 2016

O piątej trzydzieści jak zwykle rozbrzmiały dzwony na kościele, ale Helena prawie ich nie słyszała, bo dźwięk roztopił się w harmiderze disco polo zalewającym rynek. Odkąd zeszła z góry po zjedzonym na chybcika obiedzie, nie znalazła chwili, aby chociaż przysiąść. Zastanawiała się też, dokąd mógł pójść Zbyszek, zaniepokojona, kto jej pomoże, bo zaraz powinna zwolnić dziewczyny, a wtedy zostanie całkiem sama. Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do męża, a potem do syna, ale nagle usłyszała z zaplecza radosny pisk Nikoli. Odwróciła się i zobaczyła Zbyszka dźwigającego kastę pełną ciastek z niespodzianką. Początkowo nie zrozumiała, poczuła nawet złość, że Waldek i Zbyszek w niewiadomym celu ukryli część wypieków. Już nabierała powietrza, żeby powiedzieć coś kąśliwego, ale we wzroku Zbyszka było tyle radości i dumy, że dotarło do niej, co się stało.

– Co? Jak? Kiedy? – pytała zdumiona, a on postawił ciastka na ladzie i oczekiwał pochwały. – Nikola, wołaj mojego męża! – krzyknęła radośnie Helena, obejmując syna.

Musiała jednak wrócić do klientów, rzuciła więc do dziewcząt, aby przed wyjściem przełożyły towar na eleganckie tacki. Ciastka nie były jeszcze zapakowane, ale wiedziała już, że wystarczy ich na dziś i na jutro! Zaraz będzie można zacząć sprzedaż. W Helenę wstąpił nowy duch. Nagle przestała czuć zmęczenie, zastanawiając się, czy wystarczy wstążeczek i celofanu, aby wszystko ładnie zapakować. W tej chwili pojawił się w sklepie zaspany Hryć.

– Waldek, wystaw banner na zewnątrz! – zawołała do męża, a on, zupełnie jak ona chwilę wcześniej, stanął z głupią miną, próbując ogarnąć sytuację.

– Ja wystawię! – Zbyszek skoczył na zaplecze i wyniósł roll-up, który ustawił przed wejściem do cukierni.

Helena zajrzała pod ladę, gdzie miała jeszcze kilkanaście kartek do głosowania.

– Zbyszek, trzeba dodrukować karty!

Ekspedientki tymczasem, przez nikogo nieproszone, stanęły na zapleczu, tnąc celofan i wstążeczki. Helena sprzedawała jeszcze ciepłe ciastka prosto z tacy. Odwracając się, spostrzegła Waldka, który z dumą klepał Zbyszka po ramieniu. Wydało jej się, że usłyszała:

– Dobra robota!

Ale Waldkowi nie przyszło to do głowy. Zupełnie jak nauczyciel podczas egzaminu przepytывał syna ze szczegółów produkcji, dociekał, czy zostały zachowane konieczne procedury, chciał wiedzieć, kto mu pomagał. Zbyszek odpowiadał lekko na wszystkie pytania. Waldek słuchał go, kiwając głową. Wydawał się przekonany, a Zbyszek chciał już odejść, czuł podniecenie i marzył o nagrodzie od Marty, przecież to był jej pomysł! Chciałby to powiedzieć teraz rodzicom, oddać jej całą zasługę. Jednak żał mu się zrobiło tej chwili triumfu, pragnął ją na razie zachować dla siebie. Kiedyś jeszcze im powie, komu zawdzięczają drugą dostawę.

Helena już się nie rozczulała, wróciła do obsługi klientów, czując przypływ energii, uśmiechała się i żartując, namawiała do zakupu ciastek.

– Właśnie wyjęliśmy z pieca! Ile zapakować?

Zbyszek patrzył na matkę z podziwem. Niby była tylko właścicielką cukierni, ale poruszała się z gracją, zachowując się tak, jakby to było jej królestwo. Miała w sobie coś szczególnego, chłopak nie znajdował określenia na to połączenie czaru, dystynkcji i godności, nie umiał ich nawet nazwać, jednak przyglądał się matce, marząc, że kiedyś jego żona będzie zupełnie taka sama. Nagle zorientował się, że Helenie chyba trzeba pomóc. Pobiegnął więc na górę, wyjął z szafy białą koszulę i czyste dżinsy, wziął szybki prysznic i dwadzieścia minut później zbiegł na dół.

– Zapakujcie mi jeden duży kosz, muszę go zawieźć do pałacu! – zawołał do ekspedientek, nie widząc, jak matka i ojciec wymieniają za jego plecami porozumiewawcze spojrzenia.

– A właściwie gdzie ty mieszkasz? – niemal beztrąsko rzuciła Agata.

– Na działkach – odparł Maciek bez zastanowienia.

Popatrzyła na niego przez chwilę z otwartymi ustami, a potem wybuchnęła śmiechem.

– Zabawny jesteś! Ale wiesz... – Zbliżyła się do niego i unosząc się nieco na palcach, wyszeptowała mu wprost do ucha: – Strasznie mnie to kręci.

– Że co? – Maciek udał, że nie rozumie. – Że działki? W sumie: czemu nie? Fajnie tam, zwłaszcza w sierpniowe poranki. Chłód rosy, ptasi śpiew, te klimaty...

– Która to alejka? – nieustępliwie drążyła, bo nawet gdyby Maciek teraz zmyślał, a na pewno zmyśla, to przecież już sama ta rozmowa była dla niej wiele warta.

– Pani Agatko, poprosimy o serwetki! – ni z tego, ni z owego wydarł się poseł Hryć, psując jej całą zabawę.

– Nie ruszaj się stąd! – powiedziała cicho do Maćka i schyliła się po serwetnik. Szła w kierunku stolika, przesadnie poruszając biodrami, co zauważył nie tylko barman, ale też wojewoda, który już wyciągał rękę, aby ją posadzić przy stoliku. Agata zachowała jednak czujność i uchyliła się zwinnie, grożąc mu przy tym palcem.

– Serwetki się skończyły – poinformował ją sucho Maciek, kiedy wróciła za ladę, a ona popatrzyła w sufit i wypuściła z płuc powietrze na znak, że ma wszystkiego dosyć. Poszła na zaplecze, okazało się jednak, że skończył się żelazny zapas, złapała więc torbę i wybiegła na rynek, gdzie wszystkie sklepy nadal były otwarte.

Maszerując energicznym krokiem do księgarni, przed cukiernią Hryciów zauważyła banner reklamowy.

Ciastko z wróżbą? – pomyślała. – Superpomysł! Kupię kilka i będę je rozgryzać tak długo, aż wywróżę sobie szczęście! Uśmiechnęła się rozbawiona, weszła do środka i kupiła od razu dziesięć ciastek. Przed cukiernią przełamała pierwsze, rozwinęła karteluszek i z emocjami godnymi ważniejszej sprawy, odczytała:

Twoje szczęście znajduje się po drugiej stronie ulicy.

Brzmiało to głupio, bo przecież stała na rynku. Co to za wróżba?! Jednak nie wiedzieć czemu, zastanawiając się nad jej sensem, nagle coś zrozumiała. Nie, tylko nie to... Chciałaby rozgryźć wszystkie ciastka i dać Maćkowi taką wróżbę, która kazałaby mu myśleć o niej jak o kimś wartym uwagi. Ale przecież to tak nie działa. Musi oddać sprawę w ręce przeznaczenia. Teraz miała w torebce dziewięć ciastek i czuła pokusę, żeby jeszcze raz podejrzeć przyszłość. Najpierw jednak kupiła w księgarni serwetki. Idąc ukosem przez

rynek, postanowiła zaspokoić ciekawość. Usiadła więc na obramowaniu fontanny i rozgryzła kolejne ciastko. Znajdująca się w nim karteczka głosiła:

Nie każda droga prowadzi do celu.

Bliska rozłupania wszystkich ciastek, Agata zrobiła kilka głębokich oddechów.

Spokojnie! To tylko ciastko z wróżbą, nie ma się co załamywać – pomyślała, wyjmując trzecie.

Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

Wreszcie usatysfakcjonowana wstała. Mogła wrócić do firmy.

Podskakując niczym nastolatka, szła radosna przez rynek. Machała energicznie torbą, bo za sprawą ciastka od Hryciów niósł ją bajeczny nastrój, którym chciałaby się z kimś podzielić. O! Już znalazła! Przed drzwiami Agencji Nieruchomości Perfekt stał z papierosem jej właściciel, Tadek Fabian. Agata poczuła nagły przypływ czułości do byłego męża i z uśmiechem podeszła, aby się przywitać.

– Masz dzisiaj ruch w interesie? – spytała.

– Nawet.

– Wróciłeś do fajek?

– Nikomu to nie przeszkadza.

– Mnie tak!

Przekrzywił głowę, przyglądając się jej sceptycznie, a ona wyciągnęła w jego kierunku torebkę z ciastkami.

– Wróżyłeś już sobie dzisiaj?

Tadek lewą ręką wyjął z torebki ciastko i trzymając je między palcami, pochylił się do ucha byłej żony:

– Dalej jesteś cięta na Hrycia?

– Bo co?

– Może bym coś miał...

Tessa obudziła się, czując wyraźny zapach kiszonych ogórków. Co w hotelu może pachnieć ogórkami? Czy złudzenia dotyczą także węchu? Ta myśl ją

rozbawiła. Sięgnęła po telefon. Już szósta, pora wstawać. Mimo drzemki czuła się zmęczona. W pokoju panował miły chłód, klimatyzacja działała, jednak sama myśl o wyjściu na zewnątrz trochę ją przygnębiała. Dlaczego zgodziła się znowu jechać do Zajezerzyc, czy Monika zawsze musi dyktować warunki? Dlaczego nie zaproponowała, że przyjedzie do Płocka? Prawda, z Płockiem nie wiązało ich tyle wspomnień co z pałacem, Zajezerzycami czy Długąką. Tylko tam wspomnianie ma sens. Ona też zatrzymałaby się w pałacu, gdyby decyzja o wyjeździe zapadła pół roku wcześniej. Tessa westchnęła ciężko i poczłapała do łazienki. Chłodny prysznic trochę poprawił jej nastrój, ale kiedy pomyślała o tym, co ma Monice do powiedzenia, jej twarz znów spochmurniała.

– Co za durny pomysł! – fuknęła.

Ale wiedziała, że pomysł nie jest durny, gdyby taki był, nie ruszałaby się z Wiednia, zwłaszcza w tym stanie. Będą to jedne z najtrudniejszych jej negocjacji i tego Tessa się bała. Obawiała się, że przegra. Myślała o tym bardzo dużo, nie potrafiła sobie jednak do końca wyobrazić przebiegu rozmowy. Minęło zbyt wiele lat, Monika jest innym człowiekiem. A nawet gdyby nie była, trudno przewidzieć jej reakcję.

Wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i spojrzała w lustro. Krótko obcięte włosy nie wymagały modelowania. Tessa zrobiła sobie jedynie lekkie makijaż i kilka minut później była gotowa. O wpół do siódmej do drzwi zapukała Mia.

– Babciu?

Otworzyła wnuczce i patrzyła na nią z dumą. Mia włożyła cienką sukienkę na ramiączkach w kwiatowy wzór.

– Piękne kolory! – Pokiwała głową z uznaniem. – Nie zapomnij szala, wieczór może być chłodny, zwłaszcza nad jeziorem.

– Babciu... – Mia urwała jakby zawstydzona.

– Tak?

– Dlaczego właściwie stąd wyjechałaś?

Tessa zbyt często odpowiadała na to pytanie, żeby teraz się zawahać.

– Nie stąd, dziecko. Myślisz pewnie: takie ładne miasto, życzliwi, weseli ludzie, po co szukać szczęścia gdzie indziej? Ale to nie tak. To był inny kraj. Tu było duszno. Nie widzieliśmy przyszłości. Chcieliśmy żyć jak inni ludzie w Europie, ale nie mogliśmy. Myśleliśmy, że tu się nigdy nic nie zmieni. Dlatego kto mógł, uciekał. Niektórzy wyjeżdżali zarobić i wracali.

- Ty nie wróciłaś.
- Bo ułożyłam sobie życie gdzie indziej. Ale jednak to jest mój kraj. Stąd pochodzę, tu zawsze będą moje korzenie. A moje korzenie to wasze korzenie. Dlatego was tu przywiozłam.
- Mia pokiwała głową i przytuliła babkę.
- Dobrze zrobiłaś.
- Też czujesz zapach ogórków kiszonych? – lekko rzuciła Tessa, aby pokryć wzruszenie.
- Nie, a czemu pytasz?
- Dziwne, bo ja tak. Mam nadzieję, że w hotelu będą mieli. Idziemy?
- Rozejrzała się po pokoju. Wzięła torebkę, telefon, okulary i wyszły. Elena podjechała pod samo wejście, zrobiły kilka kroków i wsiadły do auta.
- Dziękuję! – powiedziała Tessa, czując przyjemny chłód.
- Na pewno możesz jechać? – spytała z troską Elena, słysząc w głosie matki cierpienie.
- Tak, tak! Nic mi nie jest! – zapewniła żywo starsza pani, nie przekonując jednak córki.
- Wystarczy jedno słowo i odwołam to spotkanie. Nie powinnaś się nadwerężyć!
- Dam radę.
- Mamo! To nie są zawody, chodzi o twoje życie!
- Wiem, pani doktor. – Tessa spróbowała żartu, a Elena, wiedząc, że nic nie wskóra, ruszyła z ciężkim westchnieniem.
- Jesteś niereformowalna.

Mia nie przestawała myśleć o chłopaku z winiarni. Szukała sposobu, aby wyrwać się ze spotkania staruszek i pojechać do miasta, żadne rozsądne tłumaczenie nie przychodziło jej jednak do głowy, dlatego nie zaprotestowała, kiedy matka skrzyła w inną drogę, kierując się do Zajezieryc przez Lubomiry i Długołąkę. Jakiś czas jechały w milczeniu, aż wreszcie Tessa nieoczekiwanie poprosiła:

- Zatrzymaj się tu gdzieś!

Elena zjechała na pobocze i tak wąskiej drogi. Na szczęście ruch był niewielki. Tessa z trudem wysiadła z samochodu i ruszyła ku małej murowanej kapliczce, którą przed chwilą minęły. Córka i wnuczka, podążając za nią,

weszły w aleję starych kasztanowców. Tuż przy drodze minęły dwa pochyłe murowane słupki, zapewne pozostałość po bramie. Na jednym z nich nadal wisiała mocno zardzewiała tabliczka adresowa z ledwie widocznym numerem: Długołaka 56.

Tessa dotknęła tabliczki niczym jakiejś świętości, rozejrzała się i weszła w głąb alei. Niczego tam nie było poza drzewami, ale ona zdawała się coś dostrzegać. Raz po raz oglądała się ku drodze, jakby sprawdzała odległość, i wytrwale szukała czegoś na ziemi. Wreszcie odkopała butem fragment podmurówki.

– Właśnie tu się urodziłam! – oświadczyła poważnie, zachowując na później wytłumaczenie sensu tego zdania.

Martyna przeciągnęła się leniwie. Nie chciało jej się jeszcze wychodzić, przecież dzieci oddała matce do wieczora, ale czuła, że coś jest nie tak. Daniel siedział na krześle tyłem do niej i pił piwo. Jego lewa stopa rytmicznie uderzała o podłogę, wreszcie po dłuższej chwili wybuchnął:

– Nie podoba mi się to. Skończ z nim!

Martyna zbyt długo znała Daniela, żeby się spierać o byle co.

– Okej – powiedziała obojętnym tonem.

– Mówię poważnie! – Mężczyzna sięgnął po jej komórkę i rzucił na łóżko. – Napisz mu!

– Co?

– Że wszystko skończone.

– Nie bądź śmieszny! – Nie zamierzała ustąpić tak od razu. – Jeszcze nic się nie zaczęło, to jak ma się skończyć? Chyba nie jesteś zazdrosny? – uderzyła w jego czuły punkt.

– Ja? O tego... – Daniel zawiesił głos. Nie wiedział, jak dosadnie określić Zbyszka, chwilowo nic mu nie przychodziło do głowy. – Grubasa...? – rzucił wreszcie.

Martyna oglądała swoje paznokcie, zastanawiając się, czy nie powinna ich już pomalować.

– Pewnie, że nie – powiedziała obojętnie.

– Naciągnij go na trochę hajsu, ale tak, żeby myślał, że sam ci dał. Na ciuchy albo coś.

– Aha...

Daniela wkurzało jej nieobecne spojrzenie. Zawsze tak wyglądała, chcąc zrobić po swojemu.

– Tylko się nie zabujaj! – przestrzegł, a ona popatrzyła na niego zdumiona i z politowaniem pokręciła głową.

– W grubasie? – spytała, parsknąwszy, i wiedziała już, że dobrze to rozegrała.

Daniel wzruszył ramionami i dopił piwo.

– Zrób coś do żarcia – zaproponował i wyszedł do łazienki.

Martyna zwlekła się z łóżka i próbowała znaleźć w szafkach jakiś makaron, a w lodówce warzywa, ale co da się ugotować z trzech piw, cukru w kostkach i zaschniętego sosu po dawno zjedzonej pizzy?

– Z czego? – mruknęła pod nosem. – Idę do domu! – zawołała, ale Daniel nie odpowiedział. – Idę do domu! – powtórzyła, otwierając drzwi do łazienki.

– Spoko! – usłyszała trochę zdziwiona nagłą zmianą frontu, ale nie chciało jej się dopytywać, dokąd się wybierał. Nawet było jej to na rękę.

Ubrała się pośpiesznie i nim on zdążył wyjść spod prysznica, była już na schodach. Nie miała pewności, czy dobrze zrobiła, wtajemniczając go w swoje plany. I co on się czepia tego biedaka?! Nigdy nie będzie miał w sobie nawet połowy tej czułości co Zbyszek! Ale przecież on jest rzeczywiście gruby... Za gruby... Martyna westchnęła i zbiegła po schodach. Na ulicy wyjęła komórkę i wybrała numer Zbyszka. Przez dłuższą chwilę nie odbierał i kiedy już chciała wyłączyć telefon, odezwał się nagle:

– Halo! Przepraszam! Stoję w sklepie, bo ekspedientki poszły do domu. Wszystko w porządku?

– Tak, chciałam zapytać, jak ci poszło.

– Super! Jeśli wygramy, to tylko dzięki tobie! *Love you!* – rzucił lekko, tak lekko, aby w razie czego można się było wycofać.

– *Love you too* – powtórzyła nieoczekiwanie. – Jutro też będziesz pracował?

– Nie, chyba nie. Mogę do ciebie później zadzwonić?

– Zawsze! – powiedziała z beztroską nastolatki i wróciła do dzieci.

Zajezierzyce, sierpień 1958

Od kiedy Teresa miała rower, między nią a Moniką coś się popsuło, coraz więcej też czasu spędzały osobno. Monice nie chciało się wstawać rano i pędzić z Teresą do lasu. Zresztą nie umiała odróżniać grzybów jadalnych od trujących i każde kolejne znalezisko musiała skonsultować, biegała więc, szukając przyjaciółki, i krzyczała na całe gardło, co w lesie było dziwne, niestosowne i strasznie Teresę irytowało. Dla Moniki grzybobranie było jeszcze jedną wiejską rozrywką, dla niej – pracą.

Musiała też więcej pomagać rodzicom a to w polu, a to przy dzieciach. Spoważniała, tego lata stała się niemal dorosła, tak się przynajmniej czuła. Na dodatek chyba się zakochała. Nikomu nie zwierzyła tej największej z tajemnic, bo do nikogo nie miała zaufania. Sądziła, że Monika będzie tą, która zachowa dla siebie sekret i zechce wysłuchać niekończących się opowieści o Włodku ze sklepu ze starociami, ale w końcu nic jej nie powiedziała. Jeśli chciałaby teraz z kimś spędzać czas, to z Włodkiem, ale on był daleko, w Gutowie, a ona nie miała kiedy tam jeździć, nawet na rowerze. Wpadała tylko czasem z serem albo jajkami, bo jego rodzice zamawiali.

Włodek przyjechał pewnej sierpniowej niedzieli do Zajezierzyc na rowerze. Wybrali się nad jezioro, a potem na przejażdżkę do lasu. Niedziela była jedynym dniem, kiedy Teresa dostawała trochę wolnego, chociaż zwierząt Janiukowej i tak musiała dopilnować. Ale jakie to było przyjemne usiąść i patrzeć, jak krowa się pasie, leżeć w trawie, ganiać się i śmiać albo nawet milczeć!

Kolejnej niedzieli Włodek przyjechał z latawcem. Teresa zabrała więc na łąkę dzieciaki, bo miały tak mało rozrywek! Danusia musiała już w zastępstwie za Teresę paść gęsi i to jej przede wszystkim Teresa pragnęła wynagrodzić. Chciała też zabrać Monikę, ale zrezygnowała. Czuła się gorsza od niej i bała się, że Włodkowi przyjaciółka spodoba się bardziej niż ona. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Monika była od niej ładniejsza. Miała jasne

kręcone włosy, była wyższa, lepiej się uczyła. Zresztą oboje mieszkali w mieście, nie byłoby im trudno spotykać się za jej plecami. Nie, Teresa nie mogła do tego dopuścić. Dlatego swoją nową znajomość wolała zachować w tajemnicy.

Ale to, co najgłębiej ukrywane, zazwyczaj najszybciej wychodzi na jaw. Kilka dni po drugiej wizycie Włodka Wiesława Kuszel wygadała wszystko Janiukowej, a ta natychmiast powiadomiła Monikę, że Teresa jest wobec niej nielojalna. Monika się popłakała. Nie wiedziała o co chodzi, przecież do niedawna były przyjaciółkami. I zamiast wszystko wyjaśnić, zaczęła jej unikać. Obie już zapomniały, że poszło o stary rower, którego pożałowała Teresie. Nie zdążyły też porozmawiać, bo skończyły się wakacje i Monika wróciła do Gutowa.

Zresztą swoim rowerem Teresa również długo się nie nacieszyła. Od początku ludzie z PGR-u patrzyli na niego z zawiścią, bo niby taka biedna ta Paździochowa, a wnuczce rower kupiła! I to nie byle jaki, przedwojenny, a wiadomo, że wszystko, co przedwojenne, to dobrej i solidnej jest roboty! A jeśli ktoś złym okiem spojrzy, to nie ma zmiłuj. Tak zginął rower Teresy równo w miesiąc po tym, jak ostatnią ratę z biciem serca zawiozła do handlarza starzyzną. Zostawiła go tylko na moment przed domem, a kiedy wyszła, roweru już nie było. Stała, nie dowierzając, bo jak to tak: był i nie ma? Obeszła dom dookoła, pewna, że musiała go zostawić w innym miejscu. Wreszcie opadła na nędzną ławkę przed domem i zasłochała.

Babki i matki nie było, pracowały w polu. Ojciec gdzieś przepadł. Danusia pilnowała gęsi, a Mietek bawił się na placu przed domem. Teresa nie wiedziała, co robić, ale postanowiła odnaleźć rower, nie mógł być daleko. Pochyliła się nad bratem:

– Mieciu, widziałeś rower?

– Tata ma rower – odpowiedział.

Teresa nie widziała ojca, ale przecież mógł być w wychodku, kiedy ona weszła do domu. Złapała więc dziecko za rękę i szybkim krokiem ruszyła do spółdzielni. Może ojciec chciał się tylko przejechać, może pojechał po piwo? Ciągnęła brata, który narzekał, nie mogąc nadążyć. Kiedy dotarli na miejsce, ojca już tam nie było, ale ekspedientka potwierdziła, że kupił ćwiartkę. Dokąd mógł pójść? Teresa zaglądała do wszystkich domów po kolei, wreszcie niemal na końcu wsi, u Kowalów, zobaczyła swój rower. Weszła na podwórko, sądząc, że ojciec pije ze starym Kowalem, złapała rower i już miała odejść,

kiedy z domu, wycierając dłonie w spódnicę, wybiegła stara Kowalowa.

– Zenek, Józwa, złodziejka! Łapcie! – zawołała.

Wyskoczyli jeden z obory, drugi ze stodoły, młody Kowal wyszarpał jej rower, stary się zamachnął, jakby chciał uderzyć, ale się uchyliła, zerkając tylko, gdzie się podział Mietek.

– A poszła ty won!

– Oddajcie rower, to pójdę!

– Co mam oddać, jak go kupiłem! – warknął Zenek, brzydki chłopak, parę lat starszy od Teresy.

– Nie kłam! Ukradłeś i tyle!

– Licz się ze słowami, gnojówo!

– Tatusia zapytaj, to on mu sprzedał! – wyjaśniła nie bez satysfakcji Kowalowa.

– Nie! To nieprawda! Nieprawda! – krzyczała Teresa, ale w głębi duszy wiedziała, że to jedyne wyjaśnienie. – Za ile go kupiliście? – zapytała, łkając.

– Oddam wam.

– Nieważne. Nie jest na sprzedaż – twardo rzucił Zenek.

– Ale on jest mój, ja go kupiłam! Zbierałam grzyby, wozilałam do Gutowa... Kosztował sto pięćdziesiąt złotych.

Kowalowie, słysząc to, zarechotali.

– He, he, chyba ciebie. Twój ojciec spuścił za trzydzieści.

– Co?! – Teresie aż w oczach pociemniało. Okręciła się na pięcie, złapała dłoń Mietka i ciągnąc go za sobą, niemal wybiegła z obejścia.

Poszła prosto na pole. Matka i babka akurat wracały do domu na południowy posiłek. Przestraszyły się, widząc brudną i zapłakaną Teresę.

– Co się stało? Gdzie Danusia?

– Rower! Rower ojciec sprzedał! Za trzydzieści złotych! – lamentowała Teresa.

– Ja go, skurwysyna, zabiję! – wydarła się babka i pobiegła przodem.

Ale w domu nikogo nie było.

– Najpierw nie wierzył, żeś sama na niego zarobiła, kością mu w gardle stał ten rower, boś mu pokazała, żeś sprytniejsza od niego. Ale żeby własne dziecko okraść, to mi się w głowie nie mieści. Niech no on się tylko zjawi, już ja mu wygarnę! Kanalia, darmożjad pieprzony! – klęła babka, a matka Teresy

nawet się nie odezwała. Kręciła się przy kuchni, jakby nieobecna myślami. – Wiesława, ani słowa nie powiesz?

– A co mam mówić? Już wiecie, czemuśmy tylko z jedną walizką przyjechali? Los mnie pokarał tym bydlakiem! – pomstowała, a Teresa siedziała wpatrzona w jeden punkt, zmartwiała.

Babka Bronia przysiadła obok niej, objęła wnuczkę, pocałowała ją w głowę i wyszeptała:

– Jesień idzie, sprzedamy gęsi i kupimy rower.

Teresa objęła babkę. Jak miała powiedzieć, że drugiego takiego roweru nie ma na całym świecie? Zresztą zaczął się wrzesień, trzeba było kupić dzieciakom buty, Teresie książki do szkoły, węgiel na zimę i nigdy na wszystko nie wystarczało. A gdyby nawet babka odkupiła ten rower od Kowalów, gdzie mieliby go schować przed ojcem?

Cała ta historia z rowerem miała tylko jeden plus: zarówno babka, jak i Teresa zrozumiały, że jedyna rzecz, której nikt nie zdoła jej ukraść, to wiedza. Babka czasem pytała Teresę o lekcje, a nawet przykazywała zostać wnuczce w domu i odrobić przed szarówką. Nie mówiła już o ożenku z bogatym kawalerem ze wsi, tylko radziła jej wytrwać w postanowieniu zdobycia wykształcenia i – z żalem, ale też całą miłością, na jaką ją było stać – ucieczki do miasta.

Gutowo, sierpień 2016

Nie przypominała sobie żadnej rozmowy biznesowej, która by ją tyle kosztowała co to zaplanowane na wieczór spotkanie z Moniką. Może dlatego, że żadna nie była dla niej tak ważna. Od tego, jak Monika się zachowa, zależało wszystko, a nawet jeszcze więcej. W jej rękach leżała teraz przyszłość Eleny i Mii, dlatego Tessa nie mogła działać pochopnie. Trzeba było przygotować grunt. Kto by przypuszczał, że sprawy tak się ułożą? Tu już nie chodziło o koraliki z pudełka po zapalkach, choćby nie wiem jak cenne, tylko o żywe istoty.

Naraz przyszło jej do głowy, że może niepotrzebnie ciągnęła córkę i wnuczkę od razu na pierwsze spotkanie. Może powinna najpierw wybadać grunt? Powspominać z Moniką stare czasy? Trochę się nacieszyć wspomnieniami, bo przecież może się okazać, że cały jej plan spali na panewce, a wtedy nie będzie już powrotu do *status quo*.

Jednak strach nie może nią zawładnąć. Powinna o nim zapomnieć. Musi przywdziać uśmiech i mimo bólu zachowywać się radośnie. Znów poczuła zapach ogórków. Pierwsze, co robi, to zamówi słoik małosolnych. Chyba powinni mieć w restauracji?

Elena zajęła właśnie przed pałac. Tessie przeszkadzało gorąco, chciałyby się odświeżyć, ale nie miała już czasu, bo zauważyła w drzwiach wejściowych uśmiechniętą Monikę. Która to z tych wielu dziewcząt skrywających się w jej wnętrzu? Beztroski trzpiot? Serdeczna kumpelka? Zazdrosna rywalka? Zdesperowana nastolatka? Ambitna studentka? Czują przyjaciółka? A może po tylu latach Monika jest jeszcze kimś innym?

Tessa wysiadła z auta, uśmiechnęła się i szeroko otworzyła ramiona. Podeszły do siebie i po trwającym mgnienie oka wahaniu przytuliły się serdecznie.

– A więc to prawda! To naprawdę ty! – wyszeptała Monika.

– Powrót w wielkim stylu, co? Pamiętasz, jak siedziałyśmy tam, pod tamtym

drzewem i zastanawialiśmy się, skąd wziąć pieniądze, żeby kupić pałac?

– To ja chciałam kupić, ty powiedziałaś, że wyjedziesz na koniec świata. Udało ci się?

– Nie bardzo. – Tessa chciała jak najszybciej wejść do chłodnego wnętrza. – Poznałaś już moje dziewczyny: Elena i Mia.

Monika kiwnęła im głową i czując delikatne ukłucie zazdrości, uśmiechnęła się do eleganckiej pani i ślicznej nastolatki.

– Wejdźmy, stolik czeka. Mam nadzieję, że jesteście głodne, bo karmię tu naprawdę wyśmienicie!

– Tak, miałyśmy okazję sprawdzić.

– Mamo, chciałabym pojechać na chwilę do Gutowa – nieoczekiwanie powiedziała Elena, budząc tym zdziwienie matki i córki.

– To może po kolacji? – kurtuazyjnie zapytała Monika.

– Zjedzcie, my dołączymy później – Elena ucięła dyskusję i gestem ręki przywołała Mię, która nie kładąc na siebie długo czekać, ruszyła do samochodu odprowadzana wzrokiem przez Monikę i Tessę.

– Ale my zjemy? – zapytała Monika.

– Oczywiście. Przepraszam, nie wiem, co im się stało.

– Nic. Dobrze wychowałaś córkę. Jest dyskretna. To rzadka cecha.

Tessa przez chwilę zastanowiła się nad słowami Moniki i w końcu przyznała jej rację. Elena jest dyskretna, czasem nawet zbyt dyskretna.

– Chciała coś kupić na straganie, zdaje się miód faceliowy. Nigdy takiego nie próbowałyśmy – mimo wszystko Tessa czuła potrzebę wytłumaczenia córki. – Ale było tak gorąco, że nie pozwoliłam jej się zatrzymać. Jestem marudna jak małe dziecko.

– Mnie też to dopada. To kwestia wieku.

– A jeszcze wczoraj byłyśmy dziećmi...

– Chciałabyś wrócić do tamtych czasów?

– Nie, chyba nie. Staram się nie wspominać dzieciństwa.

Weszły do restauracji. Kelnerka, słysząc nazwisko Moniki, podprowadziła je do zarezerwowanego wcześniej stolika.

– Nie było ono łatwe. Ani twoje, ani moje. – Monika westchnęła.

– Więc napisałaś książkę... – powiedziała Tessa, chcąc na razie uniknąć wspomnień.

– Rzeczywiście. Jakoś tak wyszło.

– Przeczytałam dopiero dwie strony.

- Jak wszyscy, na których mi zależy. – Monika się roześmiała.
- Są bardzo osobiste.
- To tylko dwie strony. Dalej nie ma nic o mnie ani o nas.
- Zrobiłaś Hryciom prezent. Taka reklama...
- Oni mają o tym inne zdanie. Grzesiek czuje się niedoceniony i oczerniony, nawet mnie trochę straszył, a ci od cukierni, cóż, chyba im ta reklama przeszkadza.
- Bzdury. Po prostu nie chcą ci nic zawdzięczać. A może trochę się dąsają, że odkryłaś rodzinne tajemnice, że nie oni na to wpadli? – zawyrokowała Tessa.

Monika przez chwilę słuchała jej nieuważnie, przyglądając się przechodzącej przez salę Idze.

- Widzisz, to jest Iga Toroszyn, Hryciówna z domu – szepnęła.
- Poznałam już panią Toroszyn.
- I co o niej myślisz?
- Miła osoba.

Monikę trochę rozczarowały reakcje Teresy. Chciałaby mieć we wszystkim podobne zdanie, a ona sama bardzo lubiła Igę. Tylko że Teresa dopiero ją poznała, trudno docenić kogoś tak od razu. Może problemem było też to, że Teresa wydała się Monice zdystansowana, wręcz oschła. Oczekiwała, że rzuci się sobie w objęcia z radosnym piskiem nastolatka, i doznała zawodu. Teraz chciałaby to ukryć, obawiała się jednak, że wszystko widać na jej twarzy. Rozjaśniła się więc w sztucznym uśmiechu, mówiąc:

- Co zjemy?

Teresa podniosła wzrok znad karty, patrząc na nią badawczo.

- Jesteś szczęśliwa?

Monikę zdumiało to pytanie.

- Tak, naturalnie – odpowiedziała zbyt szybko, aby to mogła być prawda. – A ty?

– Mam wszystko – rzuciła Teresa pozornie bez związku. – Więcej, niż kiedykolwiek będę potrzebowała.

– Brakuje nam tylko czasu... – dopowiedziała za nią Monika. – Też często o tym myślę. Pewnie dlatego tu przyjechałam, żeby poczuć, jak to było, kiedy się nie miało nawet porządnych butów, ale czasu całą wieczność.

– Wspaniałe uczucie: wiedzieć, że człowiek ze wszystkim zdąży. Chyba zamówię pierogi z mięsem... – Teresa znów zmieniła temat.

- Tak? To ja też. Ruskie. Jak się teraz nazywasz?
- Tessa Steinmeyer.
- Bardzo nobliwie. Kim jest twój mąż?
- Był – spokojnie sprostowała Tessa. – Przedsiębiorcą budowlanym.
- Mój jest prawnikiem. Współwłaścicielem kancelarii.
- Czyli udało się nam.
- Chyba tak... Zależy, czego oczekiwałaś. Pijesz wino? – zapytała Monika. – Może jakiś toast? – powiedziała, rozglądając się za kelnerką.
- Wciąż czuła się niepewnie, obcość Teresy nie mijała. Siedziała sztywna, wyniosła, jakby przyjechała ją oceniać. Monice wydawało się, że zdaje egzamin z przedmiotu, którego nie przerabiała.
- Nie pamiętam... – odparła Tessa z udawaną lekkością. – Wino? Tak, może mają *spätlese*?
- Zawsze byłaś taka poważna?
- Tylko wtedy, kiedy mi na czymś bardzo zależało.
- Nie pochlebiaj mi! – Monika się roześmiała. – Jakoś żyłyśmy bez siebie przez te lata. Nie przeczę, byłaś kimś ważnym w moim życiu, często cię wspominałam, zastanawiając się, gdzie się podziewasz i jak sobie radzisz. Ale aż do dziś żadnej z nas nie wpadło do głowy, aby się nawzajem odnaleźć. Zresztą takie spotkania na ogół bywają rozczarowujące.
- Ja o tobie myślałam codziennie – głuchym tonem, nie patrząc Monice w oczy, powiedziała Tessa.
- Zawstydzasz mnie, bo nie mogę ci odpłacić tym samym.
- Nie czuj się winna, nie oczekiwałam tego. Kiedyś zrozumiesz i może mi to nawet wybaczysz.
- Nie mam ci czego wybaczać! Och, Tereso, dlaczego spotkałyśmy się dopiero dziś?!
- Widać potrzebowałyśmy tego czasu. Albo nie potrzebowałyśmy siebie. Aż do dzisiaj.
- Pamiętasz Pawlaka? Wierzył w nas. Nie zawiódłby się. – Monika westchnęła, sięgając do torby. Po chwili przerzucania różnych drobiazgów wyjęła z niej stare pudełko po zapałkach, położyła je na stole i przesunęła w stronę Tessy, która bez otwierania domyśliła się zawartości. – Nie brakuje żadnego. Są twoje.

Tessa spojrzała na pudełko ze wzruszeniem. Delikatnie odsunęła przykrywkę i wysypała koraliki na dłoń, po czym ostrożnie, aby żaden nie upadł, jeden po

drugim strącała palcem do pudełka.

– Nie należą mi się.

– Co ty opowiadasz! Osiągnęłaś sukces!

– Nie skończyłam studiów, poszłam do pracy.

Kelnerka przyniosła pierogi. Wyglądały i pachniały wyśmienicie. Polane tłuszczem z przyrumienioną cebulką przywoływały w pamięci dawne czasy.

– Czy mają państwo ogórki małosolne? – nieoczekiwanie zapytała Tessa.

– Oczywiście.

– Poproszę o kilka sztuk. A czy można też prosić szklankę tej wody ze słoika?

Kelnerka wydawała się zdziwiona, ale uśmiechnęła się.

– Z pewnością.

– Polskie smaki... – Monika znów westchnęła. – Ja też je uwielbiam.

– Chodzą za mną, jakbym była w ciąży. – Tessa się uśmiechnęła, nadkroiła pierwszy pieróg i włożyła do ust mały kęs. – Mmmm... – Zmrużyła oczy i pokiwała głową. – Pyszne. Mia jadła tu pierogi z owocami, też jej smakowały.

– Nigdy nie nauczyłam się gotować – przyznała Monika.

– A ja tak. Życie mnie przymusiło. Ale lubiłam to i znam się na kuchni. Tak sądzę, chociaż od lat nie gotowałam.

– Nie musiałaś.

– Nie miałam kiedy. Edvin zmarł ponad ćwierć wieku temu. Mogłam oczywiście sprzedać firmę, ale zdążył mnie przygotować do jej poprowadzenia. Myślę, że byłby ze mnie zadowolony, gdyby dziś obejrzał księgi.

– Czyli Pawlak też byłby. Nie musiałaś kończyć studiów.

– Bóg jeden widzi, jak bardzo nie chciałam go zawieść. Brakowało mi wykształcenia. Studia ustawiają cię we właściwej perspektywie. Nawet jeśli, jak mawia moja wnuczka, nie dają żadnego wykształcenia, to pomagają zdobyć wiedzę, obycie w świecie, coś nieuchwytnego, ale bardzo ważnego, czego ja nie miałam. Dlatego wielokrotnie popełniałam rozmaite błędy, narażając się na śmieszność.

– Co nas nie zabije, to nas wzmocni.

– Tak mówią, a jednak wielokrotnie się zastanawiałam, czy życie nie postawiło mi poprzeczki zbyt wysoko.

Kelnerka przyniosła słoik ogórków kiszonych. Miał elegancką nalepkę

„Pałacowa Spizarnia”.

– To prezent od firmy i zaproszenie do naszego sklepu – powiedziała z uśmiechem, kładąc na stoliku ulotkę.

– Poczęstujesz się? – Tessa odkręciła słoik i przesunęła go w stronę Moniki.

Gutowo, maj 1959

Wyciskaną z tubki resztką pasty do zębów Monika czyściła w łazience pepegi, starając się nie słuchać kłótni matki i Kazimierza. Wystarczył drobiazg, a z ich ust wylewała się lawina oskarżeń, wyzwisk i przekleństw. Monika chowała się wtedy lub wymykała z domu, ale nie zawsze to się udawało. Czasem dorośli powoływali ją na świadka swoich racji, a ona stała zagubiona, bezradna, ze zwieszoną głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Im to zresztą nie było do niczego potrzebne. Krzyczeli, bo nie potrafili, a może nawet nie chcieli rozmawiać.

Po pobycie w więzieniu Kazimierz się zmienił. Często zaglądał do kieliszka, wracał z pracy później, podchmielony. Zjadał obiad i kładł się spać. Stefanii to nie odpowiadało, kręciła się po domu, utyskując. Ale wszędzie powtarzał się ten sam schemat: i u Nowaków, i u Kowalskich, i u Zarębów, i u Wiśniewskich. Wszędzie stały te same meble, to samo gotowano na obiad i próbowano rozwiązać te same problemy. Wszyscy ojcowie pili, a matki zapożyczały się do pierwszego lub dorabiały, gdzie się dało. Dzieci z osiedla chodziły do tej samej szkoły – dwójki na Piaskach – i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli. Kobiety plotkowały w domach, dzieci przeżywały się na podwórku, a mężczyźni pili piwo przy budce na Zarzeczcu.

Nie znając ludzi innego pokroju, Monika sądziła, że jest skazana na to samo, i nawet nie marzyła o innym życiu. Myślała, że też będzie wychowywała dzieci, siedząc w domu i czekając na męża, który schylony nad obiadem będzie mełł między zębami przekleństwa. Czasami tylko zdarzało się coś wyjątkowego, co zmieniało nudną codzienność w święto. I właśnie już jutro będzie taki dzień! Jutro po raz pierwszy w życiu Monika pójdzie w pochodzie pierwszomajowym! Strój szkolny już przygotowała. Biała bluzka i granatowa plisowana spódnica oraz białe podkolanówki leżały przygotowane na krześle przy amerykance, składanym łóżku, na którym sypiała. Wieczór był ciepły i pogodny. Monika miała nadzieję, że matka pozwoli jej jeszcze wyjść na

dwór, skąd dochodziły głosy rozbawionych dzieci grających w piłkę. W końcu jutro nie ma lekcji. Jeszcze tylko pranie sznurówek i gotowe! Wreszcie można wyjść!

Pod blokiem dzieciaki grały w dwa ognie. Monika dołączyła do jednej z drużyn, głęboko oddychając ciepłym, majowym powietrzem. W drużynie przeciwnej zauważyła Grześka Hrycia, który od razu ją zbił, zeszła więc z boiska i kucnęła, przyglądając się rozgrywce. Chwilę później również Grzesiek zszedł, zбитy. Usiadł na trawie obok niej, ale nie rozmawiali, bo on nie odrywał wzroku od Kaśki Zaręby. Monika dużo by dała, aby znaleźć się na jej miejscu. Kaśka, starsza o dwa lata, miała już piersi i nosiła stanik. Własny biustonosz był cichym marzeniem Moniki. Codziennie wieczorem oglądała swoje piersi w lustrze, to jednak nie pomagało, rosły zbyt wolno. Nie mogła się równać z Kaśką: niższa i szczuplejsza, nie miała porcelanowej cery, rumieńców ani włosów w kolorze pszenicy. Brakowało jej pewności siebie, nie śmiała się głośno, nie pyskowała nauczycielom, nie miała starszego brata. W jej pamiętniku oprawionym w dwie deseczki z motywem szarotki znajdowało się jeszcze wiele wolnych kartek, u Kaśki nikt już nie zdołałby się wpisać, a tyle tam wyznań, że w dołku ściska. Nie, nigdy nie będzie taka jak Kaśka, którą zawsze otaczało grono chłopaków. Coś ich do niej ciągnęło, co to mogło być? Te policzki, piersi, a może jej głośny, zaraźliwy śmiech, bo chyba nie rozum? Jednak mimo zazdrości i pogardy, jaką dla niej żywiła, Monika instynktownie trzymała się blisko Kaśki.

Tego roku dzieci z Zajezieryc również miały dostąpić zaszczytu uczestniczenia w pochodzie. We wsi nigdy się pochodu nie organizowało, bo i kto by chciał w nim uczestniczyć? Jeśli już, to chłopci obchodzili raczej Trzeci Maja. Ale zalecenia z gminy przyszły jednoznaczne: dzieci mają jechać do Gutowa na pochód. Tydzień wcześniej z cienkich patyczków i białej oraz czerwonej bibuły na pracach ręcznych uczniowie zrobili sobie małe flagi, pani poinstruowała je, jak się maszeruje, jak nimi efektownie macha, zrobiła też kilka prób pochodu na podwórku przed pałacem.

Święto Pracy wypadało w piątek. Około ósmej rano podjechał pod szkołę zajezierycki sołtys i zabrał na wóz wszystkich chętnych. Trzynastka dzieci wystrojonych jak do kościoła wsiadła na wymoszczoną sianem furę. Pogoda dopisywała, jasna zieleń falujących traw, śpiew ptaków, odświętny strój, to

wszystko napawało Teresę szczególną dumą. Czuła też treść, bo pani kazała jej nauczyć się na pamięć rewolucyjnego wiersza poety Władysława Broniewskiego – *Pieśń majowa*.

Jako jedyna z całej szkoły Teresa miała coś recytować podczas uroczystości pierwszomajowych w gutowskim parku. Dlatego nie mogła się cieszyć świętem tak jak inni. Wiersz był długi, trzęsąc się na furze, Teresa szeptała pod nosem kolejne zwrotki i czuła coraz większy lęk. Nie rozumiała zwrotu „niepotrzebne nam białe wersalki”, ciągle się potykała, to pociła, to trzęsa ze strachu, nie znajdując w sobie odwagi, aby się do tego przyznać i prosić o zwolnienie. Nauczycielka niczego nie zauważyła i nie domyśliła się mąk, jakie stały się udziałem Teresy. Nie widziała jej tremy i chyba już zapomniała, że złożyła na barki swej najlepszej uczennicy ciężar niemal nie do udźwignięcia.

Furmanka sołtysa zbliżała się powoli do Gutowa, a Teresa, w półprzytomna ze strachu, szczękała zębami, zastanawiając się, jak uniknąć kompromitacji. Dzieciaki, zeskoczywszy z wozu, szły na miejsce zbiórki pod Urzędem Powiatowym. Teresa znów rozłożyła kartkę, na której napisała wiersz, i czytając go półgłosem, raz po raz powtarzała. Od strony bramy nadchodziły tymczasem kolejne delegacje szkół i ustawiały się jedne obok drugich. Liczne i głośne, popychały grupkę z Zajezerzyc pod samą ścianę budynku. Robiło się coraz ciasniej.

Ponad tłumem królowały portrety Marksa, Engelsa, Lenina, Gomułki i Cyrankiewicza, powiewały transparenty z napisami i biało-czerwone oraz czerwone szturmówki. Ktoś podeptał Teresie po nogach, brudząc jej białe pepegi. Z nerwów rozboleł ją brzuch, chciało jej się pić i miała zawroty głowy. Po godzinie oczekiwania, kiedy wszystkie delegacje ustawiły się już na ogromnym placu przed urzędem, ktoś wydukał przez megafony przemówienie, z którego niewiele można było zrozumieć. A potem nastąpiła długa mowa pierwszego sekretarza PZPR, towarzysza Władysława Gomułki, transmitowana z samej Warszawy.

Do Teresy to wszystko docierało z trudem. Czuła się tak, jakby miała zaraz umrzeć. Wreszcie czoło kolumny rozpoczęło wymarsz przez bramę. Najpierw wywoływano zakłady pracy, potem szkoły, na placu pozostawało coraz mniej grup, wreszcie i ich mała grupka, przyłączona do jednej ze szkół podstawowych, ruszyła w pochodzie, który z Piasków przez rynek, gdzie zainstalowano trybunę honorową, skierował się ku Ogrodom. Raz po raz ktoś

wykrzykiwał przez megafon:

PRACA – POKÓJ – SOCJALIZM!
POKÓJ – PRZYJAŹŃ – BRATERSTWO!
PARTIA Z NARODEM – NARÓD Z PARTIĄ!

Reszta maszerujących powtarzała hasła, które jak echo płynęły ulicami. Przed trybuną wszyscy musieli machać dłońmi lub chorągiewkami i uśmiechać się, pozdrawiając partyjne władze miasta i powiatu. Gdy wreszcie dotarli do ulicy Klonowej i weszli do parku, gdzie znajdował się amfiteatr, a przed nim drewniane ławki, kto mógł, rzucił się do zajmowania miejsc. Kolejki ustawiły się też do saturatora z wodą sodową i dwóch żuków, z których sprzedawano pieczone kiełbaski z musztardą i kawałkiem chleba oraz lody Bambino. W powietrzu unosił się smakowity zapach i rozbrzmiewały dźwięki muzyki ludowej. To z programem artystycznym występowała młodzież szkół gutowskich. Najpierw śpiewał chór, potem nastąpiła wiązanka tańców ludowych, wreszcie ktoś zapowiedział występ Teresy.

Kurczowo trzymając się poręczy, weszła po kilku schodkach na wielką pustą scenę. Przed sobą miała nieskończone morze głów. W ustach czuła suchość, a całe Gutowo usłyszało nagle jej nazwisko: Teresa Kuszel z Zajezierzyc! Patrzyli na nią, bili brawo, jakby była jakąś aktorką. Na miękkich nogach podeszła do mikrofonu i zaczęła cicho:

Ty przychodzisz jak noc majowa,
biała noc, uśpiona w jaśminie,
i jaśminem pachną twoje słowa,
i księżycem sen srebrny płynie.

Nikt się nie śmiał, czego obawiała się najbardziej, ludzie słuchali, a nawet uciszali się nawzajem. Gdzieś z boku, daleko od sceny, pod drzewami, w grupce rozgadanych dziewcząt stała Monika. Słyszając zapowiedź i znajomy głos, poczuła ukłucie zazdrości. Wśród tłumu, przerażona, Teresa jej jednak nie widziała. Nie miała pojęcia, czy mówi po kolei, nie pamiętała, ile wiersz ma zwrotek, ale w jakiś cudowny sposób przychodziły jedna po drugiej, jakby z tyłu ktoś podpowiadał. Wreszcie wyrecytowała ostatnią i poczuła ulgę. Już

koniec. Po strachu. Stała jeszcze przez krótką chwilę nieruchomo, aż wreszcie usłyszała ciche syknięcie:

– Ukłoń się!

Dygnęła więc, zapominając o uśmiechu, i uciekła ze sceny. Na widowni rozległy się gromkie brawa. To dla niej? Niemożliwe. Z tyłu sceny zaczęło mijać napięcie i gdyby jej ktoś w ostatniej chwili nie podtrzymał, pewnie by upadła. Posadzili ją na jakimś pniaku, ktoś ją wachlował, machając chusteczką do nosa. Teresa nie zamierzała nikomu sprawiać kłopotu, spróbowała wstać, ale ciągle czuła mdłości. Wreszcie nadbiegła zadyszana nauczycielka. Zadowolona, uśmiechała się.

– Doskonale wypadłaś! – szeptała radośnie. – Doskonale!

Teresa nie przeczuwała, o jak wysoką stawkę grała dla swej pani, oskarżanej o brak zaangażowania politycznego. Czuła jednak, że to dla niej ważne. W nagrodę nauczycielka zabrała uczniów na lody do cukierni Pod Amorem. Nie oni jedni wpadli tego dnia na taki pomysł. W długim ogonku, który ciągnął się aż do ratusza, Teresa rozglądała się ciekawie. Nagle spostrzegła Włodka, syna właściciela sklepu ze starzyzną. Chłopak uśmiechnął się do niej, jednak wyglądał mizernie. Urósł, ale też wychudł.

– Serwus! – rzucił na powitanie. – Piękna recytacja!

– Dziękuję! – Uśmiechnęła się zawstydzona.

– Jak się sprawuje rower?

– Świetnie! – skłamała.

– Dawno się nie widzieliśmy... – Włodek jakby posmutniał, a ona chciała go zapewnić, że to się już nie powtórzy.

– Teraz babka handluje na targu. Ja się muszę uczyć, bo od września zacznę chodzić do szkoły w Gutowie.

– Może mógłbym w niedzielę do ciebie przyjechać? Pojechalibyśmy nad jezioro albo do lasu?

– W niedzielę nie, może kiedy indziej? – Teresa rzuciła szybko, zastanawiając się, jak mu wytłumaczy brak roweru. – Albo ja przyjdę do miasta?

On nie zwracał uwagi na słowa, tylko kiwnął głową, patrząc przy tym tak jakoś szczególnie, że Teresie nagle zebrało się na śmiech i płacz jednocześnie i poczuła się dziwnie przyjemnie.

Z cukierni dobiegło wołanie, aby przyszła i wybrała smaki swoich lodów. Weszła do środka oszołomiona, nie wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie

zamówiła, wracając pośpiesznie na rynek, gdzie Włodek nadal czekał. Przysiedli na murku, a czas się zatrzymał, by mogli tę chwilę smakować, póki lody się nie rozpuszczą.

Teresa nagle zauważyła Monikę zbliżającą się od strony ratusza w towarzystwie kilku dziewcząt. Uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za przyjaciółką. Nie miały przecież ze sobą kontaktu od wakacji! Teresa, która zapomniała już Monice dąsy o rower, ucieszyła się z tego spotkania.

– Cześć! – Podeszła uśmiechnięta.

Ale Monika zareagowała dziwnie: ledwo ją zauważywszy, wymruczała coś pod nosem i razem z innymi dziewczętami ustawiła się w kolejce do cukierni. Nie rozumiejąc, Teresa poszła za nią.

– Kiedy przyjedziesz do Długołaki? Może byśmy się spotkały?

– My? A co ja bym miała robić w Długołace? – pełnym wyższości tonem prychnęła Monika, wywołując tym śmiech pozostałych dziewcząt.

– Mamy w majątku małe kotki, są śliczne! I kurczaczki, takie żółciutki! – próbowała jeszcze Teresa. Monika zawsze lubiła koty. – A u Janiukowej urodził się mały cielaczek! Jest cały czarny i daje się głas... kać...

– O matko, co tu tak cuchnie gnojem? – krzyknęła głośno duża dziewczyna z jasnymi włosami, zatykając sobie nos i krzywiąc się wymownie. Monika zachichotała wraz z innymi, nie zwracając najmniejszej uwagi na Teresę, która, zraniona boleśnie, odwróciła się i ze spuszczoną głową odeszła.

– Nie przejmuj się! – pocieszał ją Włodek, a ona wzruszyła ramionami, jakby jej to w ogóle nie dotyczyło.

Gutowo, sierpień 2016

Agata znów stała za barem, pomagając Maćkowi. Było ciasno i kiedy się mijali, ocierała się o niego. Za każdym razem czuła podniecenie i czekała na moment, kiedy będzie mogła niby przypadkiem przytulić się i wyszeptać mu do ucha coś pikantnego. Ale, prawda! Przypomniała sobie, że ma jeszcze w torbie ciastka od Hryciów. Chwilę biła się z myślami, jednak poszła na zaplecze i przyniosła papierową torebkę.

– Chcesz sobie powróżyć? – zapytała.

– Że co?! – Maciek skrzywił się z niesmakiem.

– Mam jedyne i niepowtarzalne ciastka z wróżbą. Dziś możesz się dowiedzieć, co cię spotka.

– Przechytrzyć przeznaczenie? Wierzysz w te bzdury?

– Oj, nie bądź takim sztywniakiem!

Agata otworzyła torebkę i wyciągnęła w kierunku Maćka z proszącą miną. On zamknął oczy i sięgnął po jedno. Trzymał je teraz w dłoni niezdecydowanie.

– Trochę się boję... – zatrzęsł się teatralnie.

– Idź na całość! – ponaglała go. – Nie możesz się wyłamać, już wszyscy w mieście znają swoją przyszłość.

– Ty też?

Udając niepewność, Maciek nadgryzł ciastko, ale w tej samej chwili usłyszał zamówienie, odłożył więc nadgryzione, lecz wciąż z niespodzianką w środku. Wróżba musi zaczekać. I zanim wyjął z ciastka pasek papieru, od którego przecież nic nie zależy, zastanowił się przez krótką chwilę, jaką wróżbę chciałby przeczytać. Nieoczekiwanie stanęła mu przed oczyma dziewczyna widziana kilka godzin wcześniej. Tak, pragnął obietnicy. Chciałby ją spotkać, dostać jeszcze jedną szansę. Ale nadzieja była nikła. Mimo wrodzonego sceptycyzmu, rozwijając papierek, poczuł się trochę dziwnie.

Kiedy, jeśli nie dziś?

To pytanie jednocześnie stanowiło upragnioną obietnicę. Bez słowa pokazał pasek Adze, a ona uśmiechnęła się najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów. Tak, rzeczywiście, dziś był jej dobry dzień!

Elena prowadziła w milczeniu, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, że zostawiła matkę.

– Babcia wyglądała na bardzo przejętą – odezwała się po dłuższej chwili Mia.

jechały wolno w stronę Gutowa, mijane raz po raz przez zniecierpliwionych kierowców.

– Zauważyłam. Ale nie byliśmy tam potrzebne.

– Masz rację. Nie musimy wszystkiego wiedzieć.

– Nie musimy, choć być może niedługo będziemy żałować, że dziś nie zostałyśmy.

Mia milczała przez chwilę.

– Bo nigdy się tego nie dowiemy?

– Właśnie. Jednak każdy człowiek ma jakieś tajemnice lub sprawy, które chciałby zachować tylko dla siebie, i nie muszą być od razu wstydlive. Kontakty babci z tamtą panią to ich sprawa. Jeśli zechcą, same nam o nich opowiedzą.

– O ile jeszcze będą biesiadowały, kiedy wrócimy!

– Chyba mają sobie dużo do powiedzenia – stwierdziła Elena. – W końcu po to przyjechałyśmy.

– Skąd wiesz?

– To raczej przecucie niż wiedza. Naturalnie mogę się mylić. Czasem wiem, że pacjent nie chce wyzdrowieć. Skąd? Nie mam pojęcia. Coś jest w jego mowie ciała, może w głosie? To bardzo indywidualne przypadki.

– Babcia chce wyzdrowieć?

– Po to tu przyjechała.

– Naprawdę w to wierzysz?! Ty?! Lekarka?! – zdumiała się Mia.

– Człowiek składa się nie tylko z ciała, ale i z duszy. Dusza babci nieraz rwała się do tych stron, bo nigdy nie zapominamy własnego dzieciństwa. Jeśli kiedyś ofuknęła mnie za pytanie o przeszłość, nie znaczyło to wcale, że jej nie

miała, tylko że na razie nie potrafi się z nią uporać. Kiedy żyjemy w zgodzie z własną przeszłością, nie mamy oporów, żeby snuć wspomnienia.

– A babcia zawsze wtedy opowiadała baśnie...

Dojechały już do Gutowa i Elena rozglądała się za wolnym miejscem do parkowania. Trafiła jej się niezła miejscówka niedaleko klasztoru, zatem nie szukając dłużej, zatrzymała auto. Dalej pójda na piechotę.

– Nie byliśmy jeszcze w ogrodach klasztornych! – zauważyła Mia. – Wchodzimy?

– Zgoda, ale potem poszłabym coś zjeść...

– To może jutro tu wrócimy? Na razie poszukajmy czegoś do jedzenia.

– Na Szewskiej widziałam mały barek z sałatkami – zaproponowała Elena, a Mia poczuła, jak oblewa ją gorąco.

– Tak, to obok winiarni. Ciekawe, czy jeszcze będzie otwarte?

Barek był czynny. Weszły do środka i zamówiły dwie sałatki. Tym razem również Elena wybrała wegetariańską. Wyszły do maciupieńkiego ogródka i w oczekiwaniu na swój posiłek usiadły przy jedynym wolnym stoliku. Mia miała wrażenie, że szczękają jej zęby. Wiedziała, że tuż obok znajduje się winiarnia, ale przecież nie mogła ot tak tam pójść. Zresztą na ogół piła lemoniadę, jak wyjaśni matce, że ma ochotę na wino?

Chcąc umyć ręce przed posiłkiem, weszła do barku i spytała o toaletę. Ku jej radości dziewczyna zza lady odesłała ją do winiarni. Mia wróciła do ogródka, ale nagle nogi się pod nią ugięły, bo tuż za niewysokim płotkiem stał ten chłopak. Stał i patrzył jej w oczy, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał śmiałości.

Znieruchomieli obydwójce, wreszcie on zebrał puste naczynia z ogródka winiarni i bez słowa wszedł do środka. Nie wiedziała, czy usiąść, czy pójść za nim, wreszcie usiadła, by za chwilę znów wstać. Elena patrzyła na córkę zdziwiona.

– Spokojnie, zaraz nam podadzą.

– Pójdę umyć ręce – nieswoim głosem oznajmiła Mia i odprowadzana przez matkę wzrokiem, na sztywnych nogach ruszyła do winiarni. Starła się wyglądać nonszalancko i swobodnie, ale wiedziała, że jej to nie wychodzi.

Boże, jestem żałosna! Zachowuję się, jakby to było moje pierwsze

przedstawienie w przedszkolu – ubolewała. W toalecie umyła ręce, zastanawiając się nad dalszą strategią, ale z pustką w głowie opuściła winiarnię, nawet nie zerkając w stronę baru.

Maciek też udawał, że jej nie zauważył. Chciałby ją jakoś zatrzymać, ale na razie nie miał żadnego pomysłu.

– Ta dziewczyna już tu dziś była, znasz ją? – wyszeptał do Agi.

– Nie. A co? Wpadła ci w oko?

– Kogoś mi przypomina.

– To szybko o niej zapomnij i zajmij się zlewem, bo za chwilę zabraknie szklanek – rzuciła zezłoszczona i uświadomiła sobie, że chciała zadzwonić. Wyszła więc na zaplecze, domknęła drzwi i wybrała numer Igi Hryć.

Maciek tymczasem nalał kieliszek musującej cavy i wyszedł z nim na zewnątrz. Dziewczyna siedziała przy tym samym stoliku z jakąś starszą kobietą. Przeszedł więc do ogródka baru sałatkowego i postawił na stoliku wino.

– Cava dla pani – powiedział i skłonił się szarmancko.

Mia chciała zaprotestować, ale zrozumiała, że to znak, jeszcze jedna szansa, aby bezkarnie pójść do winiarni.

– Dziękuję! – odpowiedziała, starając się, by brzmiało to naturalnie, i udając, że nie widzi zdziwionego spojrzenia matki, choć czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Tuż przed dziewiątą wyszli ostatni klienci i Helena postanowiła zamknąć cukiernię. Wszyscy byli już bardzo zmęczeni, a jutro czekał ich nie mniejszy wysiłek. Samych ciastek z wróżbą sprzedali ponad dwa tysiące, do tego lody, napoje i ciastka z codziennej produkcji. Mieli dziś rekordowy utarg, a jutro będzie równie gorąco dosłownie i w przenośni. O ósmej przyjdą dziewczyny, ona też od rana musi być na nogach. Ale Helena lubiła to zamieszanie Dni Gutowa, świąteczną atmosferę, tłumy przewijające się ulicami, komplementy dotyczące ciastek, a czasem zwycięstwo w konkursie. Ciekawe, jak im się powiedzie w tym roku? Miała nadzieję, że klienci docenią ich ciastko, pierwsze autorskie ciastko Zbyszka, jego start w dorosłe życie cukiernika. Lecz nawet gdyby tak się nie stało, to przecież z punktu widzenia sprzedaży był to bardzo udany debiut.

– Zamkniemy już – powiedziała do syna. – Musimy odpocząć.

Zbyszek natychmiast wyszedł na zaplecze i tam cicho rozmawiał z kimś przez telefon. Helena domyślała się z kim, nie skomentowała tego jednak. Zamknęła drzwi wejściowe i ustawiła krzesła na stolikach. Kasa drukowała raport, a ona liczyła pieniądze. Zbyszek wrócił z zaplecza zadowolony.

– Pomóc ci jeszcze w czymś? – spytał.

– Mógłbyś umyć podłogę.

– Jasne! – odparł i pogwizdując, poszedł do łazienki po wiadro i mop.

Helena wstawiała do zmywarki ostatnie naczynia. Kwadrans później wyszli, zostawiając tylko nocne światła.

Elena czekała na Mię, która poszła zapłacić za cavę. Odniosła wrażenie, że córce spodobał się chłopak z winiarni, i była z tego powodu trochę niezadowolona. Ale cóż, nawet jeśli to prawda, pobędą tu najwyżej przez tydzień, trochę za krótko na poważny związek. Co może się stać w ciągu kilku dni? Elena знаła swoją córkę, każda znajomość trwała u niej miesiącami, zanim zmieniła się w coś głębszego. Zatem nawet jeśli to zauroczenie wyglądem tego chłopaka, nic się zapewne nie wydarzy. Mia jednak wróciła zaróżowiona, zadowolona i jakby skrepowana.

– To co? Wracamy? – zapytała lekko, a Elena kiwnęła głową, udając, że nic nie zauważyła.

Iga Toroszyn wciąż siedziała z telefonem w dłoni i nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od Agaty. Czy to możliwe, że po tylu latach odnalazł się właściciel Długołaki? Że chce sprzedać ziemię? Że trafia się okazja, aby połączyć oba majątki? Iga była tak podniecona, że drżały jej dłonie. Ile on może chcieć? Ile zaproponować, żeby nie przestrzelić i jednocześnie nie wypaść z gry? Ta transakcja, jeśli do niej dojdzie, to stąpanie po kruchym lodzie, bo będzie trzeba podkupić stryja, a relacje między nim a ojcem i tak są kiepskie. Ale cóż, poseł sobie wymyślił w Długołacie zwirownię. Tylko tego brakowało! Nie oglądając się na nic, chce zepsuć wygląd wsi, która żyje już głównie z agroturystyki. Co za krótkowzroczne podejście! Zryć wszystko na kilkanaście metrów w dół, zrobić tu księżycowy krajobraz, skasować zyski, otrzepać ręce i szukać okazji gdzie indziej. Nie, ona do tego nie dopuści! Długołaka musi być przyłączona do dóbr zajezieryckich! Tego by sobie z pewnością życzył hrabia i Pawlak, w końcu to majątki skoligaconych rodzin.

Iga popatrzyła na numer telefonu, który jej podała Agata z winiarni, i wystukała wiadomość, jakby się bała, że ktoś ją ubiegnie:

Jestem poważnie zainteresowana zakupem ziemi w Długołęce, czy możemy się spotkać?

Po chwili, która wydała jej się wiecznością, przyszła odpowiedź:

A jaka jest pani propozycja?

Iga wybrała pośpiesznie numer do Tadeka Fabiana.

– Ile chcesz za Długołąkę? – zapytała bez wstępu, bo znali się od lat i bywała już jego klientką.

– Na razie zbieram oferty.

– To po co dałeś mi jego numer?

– Czyj? – Tadek udał zdziwionego.

– Właściciela.

– Niczego ci nie dałem! – Tadek rzucił twardo. – Jeśli coś wyciekło z biura, to nie moja wina, ludzie są tacy wścibscy! Poseł Hryć daje sześćdziesiąt tysięcy.

– Ile?! – Iga z trudem przełknęła ślinę.

– To idealne miejsce na żwirownię – powiedział niewinnie Tadek. – Szukaj kasy.

Iga odłożyła telefon z ciężkim westchnieniem. Jeśli Hryć daje sześćdziesiąt, to ma drugie tyle w zanadrzu, bez stówy się nie obejdzie. Sto tysięcy to spory kawałek grosza jak za cztery hektary piasków. Ale po przekształceniu z rolnego na teren budowlany i podzieleniu na działki rekreacyjne cena od razu podskoczy. Trzeba się zaangażować.

Tadek udaje, że trzyma wszystko w tajemnicy, pewnie się wobec stryja zobowiązał, muszą mieć swoje układy, ale przecież żyje z prowizji, musiał zrobić ten przeciek.

Iga wyciągnęła dłoń po telefon, po chwili jednak zrezygnowała. Na razie da mężowi spokój, zresztą wiedziała, jaka będzie jego reakcja: Xavier nie zachwyci się tym pomysłem. Ciągłe tkwią w długach, kredyty pochłaniają większość zysków. A jednak – kto nie idzie naprzód, ten się cofa... Co robić?!

Łeba, lipiec 1960

Te wakacje zapowiadały się naprawdę wspaniale! Późną jesienią Kazimierz wrócił do pracy w swojej dawnej fabryce w Gutowie, a latem dostał jeszcze skierowanie na wczasy FWP! Po raz pierwszy mieli wszyscy troje pojechać nad morze! Matka kupiła Monice jednoczęściowy opalacz, plastikowe klapki i dmuchaną piłkę, dla siebie bikini, kapelusz i okulary. Uszyła też dla każdej rozpinaną z przodu piękną sukienkę w kwiaty. Dojazd nad morze w zatłoczonym do granic możliwości pociągu trwał kilka godzin, a kiedy już dotarli na miejsce, okazało się, że domek kempingowy, w którym mieli spędzić dwa tygodnie, cuchnie wilgocią, podobnie jak pościel, którą najpierw trzeba było porządnie wysuszyć.

Za to mieli blisko do plaży, wystarczyło tylko przejść przez rzadki sosnowy las, a z wydm rozciągał się widok najwspanialszy na świecie. Jedzenie stołówkowe nie mogło się równać z domowym, ale Stefania miała szansę odpocząć, co dobrze wpływało na jej humor. Częściej się uśmiechała, nie kłóciła z Kazimierzem, znów zaczęła podśpiewywać. Pogoda dopisywała. Co rano po śniadaniu schodzili na zatłoczoną plażę, rozkładali się na kocu i opalali. Monikę trochę nudziło leżenie, łąziła więc wzdłuż brzegu, zbierając muszelki i szukając bursztynów, grała w piłkę z innymi dziećmi i budowała zamki z piasku. Czasami wybierali się na spacer do lasu i do pobliskiego miasteczka na lody. Po kilku dniach Kazimierz i Stefania również zadzierzgnęli znajomości, urządzali więc wieczorami ogniska, przy których piekło się kiełbaski, żartowało i popijało.

Czasami Stefania zostawała po obiedzie w domku, mówiąc, że ma przepierkę, za bardzo się opaliła, boli ją głowa albo chce się zdrzemnąć. Wtedy Monika szła na plażę tylko z Kazimierzem. Wracali na kolację, a potem jeszcze ruszali na długi wieczorny spacer brzegiem morza. Kazimierz zaczął coś przebąkiwać o ślubie. Żartował przy tym, że Monika będzie niosła welon matki.

Aż pewnego dnia pod koniec wczasów do Moniki zagrzebanej po szyję w piasku podeszła dziewczynka z sąsiedniego domku. Kucnąwszy, chrząknęła, a kiedy jej zachowanie nie wzbudziło zainteresowania, powiedziała znienacka:

– Twoja matka pieprzy się z ratownikiem.

Chwilę trwało, zanim Monika zrozumiała. Nie wiedziała zbyt wiele o czynności, którą tamta nazwała „pieprzeniem”. Coś sobie wyobrażała, czegoś się domyślała, coś podsłuchiwała, ale bez konkretów. Jednak sposób, w jaki tamta wypowiedziała to słowo, znaczył, że matka robi coś bardzo, bardzo złego.

– Kłamiesz! – syknęła, ale tamta była przygotowana na jej reakcję.

– Wcale że nie! Idź, to się sama przekonasz!

Monika rozejrzała się za Kazimierzem. Pływał dość daleko od brzegu, to nawet lepiej. Zostawiając wszystkie rzeczy, szybko ruszyła w stronę kempingu. Ale w domku nie było ratownika. Matka, ubrana w kostium kąpielowy, dziwnie zamyślona, siedziała na krześle z papierosem.

– Co tam? – zapytała lekko.

– Przyszłam się napić – wyjąkała Monika.

– To pij.

Stefania nawet się nie obejrzała. Zamyślona wypuszczała do góry wielkie kłęby dymu. Monika wypija kilka dużych łyków wody i wyszła. Na schodkach małego domku nieopodal głównego wjazdu siedział ratownik: barczysty młody mężczyzna. On również palił papierosa. Nie wiadomo dlaczego to przekonało Monikę, że przed chwilą musieli robić razem coś strasznego. Kiedy następnego dnia matka znów została po obiedzie w domu, ona pod pozorem, że chce siku, szybko zeszła z plaży. Drzwi domku były zamknięte, ale stanąwszy pod uchylonym okienkiem, usłyszała odgłosy „pieprzenia”. Oboje głośno jęczeli, oddychali ciężko i bulgotali niezrozumiałymi słowami. To wzbudziło w Monice jakieś odległe, nieprzyjemne wspomnienia. Po kilkunastu minutach ratownik wyszedł. Był w samych slipkach. Splunął w bok i poszedł ścieżką w kierunku bramy, a ona posiedziała chwilę w krzakach, aby ochłonać, i wstrząśnięta wróciła na plażę.

Zostały cztery dni do końca wczasów. Ratownik już się nie pokazywał. Przedostatniego dnia Monika wróciła z plaży wcześniej. Stefania odpoczywała na ustawionym w cieniu leżaku i czytała „Przyjaciółkę”. W przeciwieństwie do córki, którą od kilku dni targały wątpliwości i obawy, wyglądała na

zadowoloną i zrelaksowaną. Monika posiedziała chwilę w milczeniu, kopiąc nogą w ziemię, wreszcie nie myśląc o konsekwencjach, powiedziała twardo:

– Wiem, że się pieprzyłaś z ratownikiem!

Wbrew oczekiwaniom Stefania nie poderwała się z miejsca, nie zaczęła krzyżeć ani wygrażać pięściami, nie stłukła też córki. W domu za takie słowa dziecko oberwałoby pięściami lub paskiem. Ale nic podobnego się nie stało. Stefania nawet się nie podniosła, nie spojrzała na Monikę ani nie oderwała wzroku od artykułu.

– Nie wracam z wami – powiedziała zimnym, okrutnym tonem.

Monice pociemniało przed oczyma. Miała wrażenie, że ta chwila już się kiedyś zdarzyła. Tak jak wtedy zabrakło jej tchu, wreszcie wstała i odeszła. Biegając ścieżką w kierunku morza, czuła, że musi teraz być z Kazimierzem. Powiedzieć mu, pocieszyć, zapewnić, że ona go nie opuści. Czy już nic nie da się zrobić? Przystanąła, aby złapać oddech, i ruszyła dalej. Na plaży poszukała wzrokiem ratownika, który tuż przy brzegu krzyczał coś do wariujących w wodzie dzieciaków. Monika stanęła obok niego, czekając na odpowiedni moment. I kiedy przelotnie na nią spojrzał, rzuciła jak gdyby nigdy nic:

– Kazimierz powiedział, że cię zabije.

Udając, że nie usłyszał groźby, mężczyzna wbiegł do wody i wrzaskliwie strofował niefrasobliwych pływaków. Monika wróciła na koc, nie spuszczając go jednak z oczu. Kilkanaście minut później ratownik zszedł z plaży, ale ona już za nim nie poszła.

Ostatnia kolacja wyglądała tak samo jak inne. Stefania i Kazimierz rozmawiali niewiele, ale też nie widać było między nimi napięcia. Wieczorem znów poszli we trójkę na spacer. Monika obserwowała matkę, jednak nie potrafiła nic wyczytać z jej zachowania. Wróciwszy na kemping, Stefania spakowała rzeczy. Wyglądała naturalnie i pogodnie, z cicha podśpiewywała. Kazimierz siedział na schodkach, czytał „Panoramę Północy”, palił papierosa i popijał piwo.

Wczesnym rankiem Monika obudziła się, usłyszawszy jakiś stukot. Wstała, ale widząc, że matka i Kazimierz śpią na swoich miejscach, uspokojona wróciła do łóżka. Podczas śniadania poczuła, że coś jest nie tak. Stefania, milcząca i zacięta, odpowiadała półsłówkami, prawie nie jedząc. Monika też nie mogła nic przełknąć. Kazimierz zezłościł się na obie, bo czekała ich długa podróż, ale w końcu dał za wygraną. Mając zaledwie godzinę do pociągu, musieli się pośpieszyć.

Monika w każdej chwili spodziewała się kolejnej kłótni, ale wszystko wyglądało normalnie. Kazimierz zabrał walizki, a Stefania poszła z kluczami do recepcji. Kiedy wróciła, razem udali się na dworzec. Mieli już bilety, nie czekali więc w kolejce do kasy. Ich stacja była ostatnia, pociąg już był podstawiony, a na peronie kręciło się sporo ludzi. Kazimierz wziął większą walizkę i wszedł, aby zająć miejsca. Widziały go, jak idzie korytarzem, wreszcie, w połowie wagonu, wychylił się przez okno i zamachał do nich. Monika z trudem wspięła się po wysokich stopniach, tuż za nią tarabaniła się rodzina z trójką dzieci, rozdzielając ją i matkę. Już w wagonie dziewczynka odwróciła się, ale nie zauważyła Stefanii. Nie mogła zawrócić wbrew prądowi, bo ktoś ją popychał głębiej i głębiej. Szła więc do przodu, szukając Kazimierza. Wreszcie go znalazła. Kiedy ją usadził i wyjrzał na korytarz, nie widząc Stefanii, spróbował wychylić się ponad głowy podróżnych. Podszedł też do okna i zaniepokojony wyglądał na peron.

– Gdzie ona jest?! – rzucił w kierunku Moniki, która skurczyła się pod naporem oskarżającego spojrzenia.

Znów wrócił do drzwi, ale plątanina ludzi i walizek uniemożliwiła mu wyjście z przedziału, zresztą ktoś już się wepchnął i mimo protestów usiadł na miejscu Stefanii. Jeszcze niczego się nie domyślając, Kazimierz wyglądał co chwila, kręcił się, wstawał, znowu siadał, wywołując złośliwe komentarze. Wybuchła awantura. Wreszcie zapowiedzieli odjazd pociągu. Monika jak zakłeta patrzyła w podłogę. Zrezygnowany Kazimierz zajął wreszcie swoje miejsce. Pociąg ruszył.

Siedziała w milczeniu, ze spuszczoną głową, raz po raz przeżywając kilka ostatnich dni. Czuła się winna. Wydawało jej się, że przestraszyła ratownika i są już bezpieczni. Gdyby opowiedziała Kazimierzowi o swoim odkryciu, może matka jechałaby teraz z nimi? Ale w głębi duszy lękała się o niego. Czy gdyby przyszło do bójki, Kazimierz dałby radę młodemu, silnemu ratownikowi? Zagryzając wargi, popatrywała na załamane starego mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej i pragnęła wynagrodzić mu krzywdę.

Kazimierz nie odezwał się przez całą podróż. O zmierzchu dotarli wreszcie do Gutowa. Z pociągu wysiadło tylko kilka osób. Wszyscy się dokądś śpieszyli, jedynie Kazimierz usiadł na ławce, jakby na kogoś czekał. Monika obserwowała każdy jego ruch. Wyjął paczkę papierosów, wypalił jednego,

mocno się zaciągając, i dopiero wtedy znów sięgnął po walizkę. Noga za nogą ruszyli do domu. Nie wiadomo dlaczego Monika miała jeszcze nadzieję, że matka otworzy im drzwi, śmiejąc się z niespodzianki, i podając ciepłą zupę.

Weszli do środka. Przywitał ich słodkawy zapach niewietrzonych od dwóch tygodni pomieszczeń i zeschnięte kwiaty na parapecie w kuchni. Monika uchyliła okno i nastawiła wodę na herbatę, ale w domu nie było nic do jedzenia.

– Dajcie pieniędzy, to pójde po chleb – powiedziała, używając słów matki.

Kazimierz pogrzebał w kieszeniach i rzucił na stół banknot dwudziestozłotowy.

– Idźcie się położyć – tonem Stefanii znów zakomenderowała Monika i wyszła do sklepu.

Kiedy wróciła, zrobiła kanapki ze smalcem i mielonką, na osobnym talerzyku podała jeszcze kiszone ogórki. Ale Kazimierz nie kwapił się do jedzenia. Nadal siedział przy stole ze spuszczoną głową i nie wiadomo: myślał czy spał. Monika krępowała się odezwać. Odsunęła więc cichutko krzesło i usiadła na samym brzegu. Sięgnęła po kanapkę, ugryzła kawałek i zaczęła wolno żuć, ale po chwili odłożyła ją i podeszła do Kazimierza. Lekko pogłaskała zgarbione plecy, mówiąc:

– Ona wróci.

Zajezierzyce, sierpień 2016

Zbyszek pędził na łeb na szyję do Płocka. Iga zatrzymała go trochę w hotelu, potem matka musiała wyściskać swojego syneczka, wreszcie auto nie chciało zapalić. Zbyszek czuł wściekłość, bo żal mu było każdej minuty. Chciałby już opowiadać Martynie, jak dzięki niej wszystko świetnie poszło, jak wreszcie, po raz pierwszy w życiu, poczuł się zwycięzcą. Ale jeszcze bardziej chciałby teraz patrzeć, jak się powoli rozbiera, poczuć ją, przytulić się, słuchać jej spokojnego oddechu, kiedy zaśnie. A tu jeszcze, jak na złość, korek w kierunku Płocka! Ze zmiennym szczęściem i poczuciem, że wciąż ma tak samo daleko do celu, próbował wyprzedzać wlokące się samochody. Kolumna posuwała się z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, co dla niecierpliwącego się chłopaka było torturą. Wybrał numer Martyny, ale teraz jej telefon milczał, co go dodatkowo sfrustrowało, bo się przestraszył, że może jedzie na próżno. Uderzał więc dłonią w kierownicę, jakby mógł w ten sposób pogonić auto.

Elena i Mia wracały do pałacu około wpół do dziewiątej wieczorem. Mia usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości, ale nie wyjęła telefonu, co dla Eleny było kolejnym znakiem.

– Nie sprawdzisz kto to? Może babcia? – zagadnęła niewinnie.

Mia wyjęła telefon, odczytała SMS i pokręciła głową.

– Nie – odparła spokojnie. Na jej twarzy nie rysowało się żadne uczucie, co Elena odnotowała z satysfakcją. Może to jednak nie on?

Kiedy dotarły do restauracji hotelowej, Tessa i Monika były już po kolacji. W doskonałych nastrojach, rozbawione, popijały białe wino.

– A oto i moje dziewczęta! – zawołała Tessa, wesoło machając im dłonią. Widząc matkę w dobrym stanie, Elena poczuła ulgę. – Siadajcie, zaraz coś dla was zamówię!

– Jadłyśmy w mieście.

– Planujemy jutrzejszy poranek – poinformowała Monika, przeglądając jakieś ulotki.

Mia patrzyła na babkę, rozbawioną niczym nastolatka, na jej uśmiech i błyszczące oczy, i uśmiechała się również, dziękując w duchu opatrności za te beztrudne chwile, oby nie ostatnie w jej życiu. Ale potem Tessa wsiadła do samochodu, pomachała na pożegnanie przyjaciółce i jeszcze nim Elena minęła bramę, powiedziała z ciężkim westchnieniem:

– To niepojęte, ona wszystko zapamiętała zupełnie inaczej!

Jechały znów drogą na Gutowo. Ruch był nadal duży, ale szczęśliwie głównie w przeciwnym kierunku. Wszystkie trzy milczały, zatopione w myślach. Kiedy Elena przejeżdżała przez mostek na Rudawce, Tessa, patrząc w okno, zaczęła melancholijnie:

– Począwszy od szóstej klasy, codziennie chodziłam tą drogą do szkoły. Przez wieś jeździły już autobusy, ale ja zwyczajnie nie miałam na bilet. Zresztą ludzie żalowali pieniędzy na te pięć kilometrów. Biedni zawsze wybierali się przecież pieszo do Gutowa. Moja babka też chodziła tam na targ. Raz w tygodniu szłyśmy razem. Nie dostawałam żadnych kanapek do szkoły i od południa kiszki grały mi marsza. Zazdrościłam, patrząc, jak koleżanki jadły na przerwie chleb albo bułki. Od dawna nie pamiętam, co to głód, wtedy doświadczałam go codziennie. Ojciec był już ciężko chory, więc musiałam pomagać w obrabianiu pola. Na szczęście mieliśmy konia. Starą chabetę, ale spokojną. Po powrocie ze szkoły do zmierzchu pracowałam na gospodarstwie: orałam, bronowałam, wywoziłam i roztrząsałam gnój. Nie u nas, to u Janiukowej. W tym czasie moje koleżanki uczyły się, bawiły, chodziły do kina. Opowiadały o tym na przerwach. Ja trzymałam się z boku, bo gdyby mnie zapytały, co miałam im powiedzieć? Niekiedy ogarniało mnie przygnębienie i złość na mój los, ale zamiast płakać, zaciskałam zęby. Dopiero po wieczornym obrządku siadałam do lekcji. Wielu rzeczy nie rozumiałam, bo podstawówka w Zajezierzycach miała o wiele niższy poziom, nauczyciele nie specjalizowali się w swoich przedmiotach, tylko uczyli, czego im kazano. Na dodatek dzieci wiejskie wciąż były traktowane jak tania siła robocza i wzywane podczas lekcji do pomocy w polu. Zbieraliśmy stonkę wiosną, a ziemniaki jesienią. W dodatku nauczyciele zdawali sobie sprawę, że

niewielu z nas pójdzie do szkoły średniej. Dopiero w miejskiej szkole okazało się, jakie mam braki. Teraz wiem, że to nie była moja wina, ale czułam ciężar odpowiedzialności i nieraz zasnęłam z głową na książce, bo już sił mi brakło. No i od razu w szóstej klasie zostawili mnie na drugi rok...

– Babciu... – wyszeptała Mia. – Tak mi przykro...

– Dajże spokój, sama nie wiem, po co wam to mówię... Przecież nie po to, żeby wywołać współczucie! – fuknęła Tessa. – Ale chyba nadal trochę mi wstyd, że powtarzałam klasę. W domu wybuchała awantura. Babka Bronia nie kryła rozczarowania. Nie mogła się z tym pogodzić, liczyła, że jak wcześniej bywało, przyniosę świadectwo wzorowego ucznia. Zawiodłam ją straszliwie, ale o wiele bardziej martwiło mnie, że zawiodłam Pawlaka, chociaż przecież on już nie żył. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem szczęście się ode mnie nie odwróciło za sprawą utraconych koralików.

– Koralików? – zapytała Elena, sądząc, że się przesłyszała. Nie mogła uwierzyć, jak wiele matka przed nią ukrywała.

– Tych. – Tessa wyjęła z torby stare pudełko po zapalniczkach i podała je Mii. Wnuczka odsunęła wieczko i ze zdziwieniem popatrzyła na małe, zupełnie zwyczajne, połyskujące tęczowo kulki. – To był nasz talizman: mój i Moniki. Dobra wróżba na przyszłość. Wtedy nasz jedyny majątek. Dostałyśmy go od naszego opiekuna i mentora, tutejszego dziedzica. Kiedy umarł, a był jakby dziadkiem Moniki, choć tak naprawdę nie łączyło ich żadne pokrewieństwo, w geście współczucia oddałam jej moje koraliki. Potem mi się wydawało, że od tej pory opuściło mnie szczęście.

– Musiały być dla was obu bardzo cenne – zauważyła Elena.

– Tak... Chyba tak... – odparła Tessa poważnym tonem.

Dopóki samochód nie skręcił w lewo, ginąc za wysokim szpalerem drzew i krzewów porastających pobocze drogi, Monika machała im dłonią, a potem westchnęła głęboko i ruszyła jeszcze na krótki spacer. Słońce już zaszło i zrobiło się przyjemnie. Odprężyła się podczas kolacji. Cieszyło ją to spotkanie z Teresą. Uświadomiła sobie, że po dziesięcioleciach, kiedy zajęta własnym życiem nawet o niej nie pomyślała, od jakiegoś czasu dawna przyjaciółka zaczęła pojawiać się w jej snach. Zawsze jako dziewczynka. Ale przecież często tak się dzieje, że kiedy o kimsz myślimy, za sprawą jakiejś magii ten ktoś pisze do nas albo dzwoni, jakby odebrał niewidzialny sygnał.

Od kiedy zaczęła regularnie przyjeżdżać do Gutowa, musiała też podświadomie wspominać Teresę. Zawsze jednak była to tylko krótka myśl, pytanie, na które nigdy nie spróbowała znaleźć odpowiedzi: „Ciekawe, co u niej?”.

Monika była zadowolona, że to się wreszcie stało, że już wie, ale jednocześnie poczuła jakiś nieuświadomiony lęk, jakby pojawienie się Teresy nie było przypadkowe. Czego przyjaciółka może od niej chcieć? Podczas rozmowy raz po raz przybierała poważny ton, ale chwilę później zbywała go jakimś żartem, jakby się nagle rozmyśliła albo obawiała jej reakcji. Co ukrywa? Jakie rachunki chce wyrównać?

Dojeżdżając do miasta, Tessa znów poczuła straszliwe pragnienie.

– Pić mi się chce! Chyba po tej wodzie z ogórków. Eleno, zatrzymaj się, proszę, na rynku, gdzieś tu powinien być czynny sklep.

– Może pobiegnę do winiarni? – nie zwracając uwagi na znaczące chrząknięcie matki, natychmiast ofiarowała się Mia. – Smakowała ci ta woda z cytryną i miętą.

– Tylko weź bez lodu – twardo nakazała Elena.

– Ty też chcesz? – Mia zapytała matkę i widząc nieznaczne skinienie głową, pobiegła przez rynek, a potem Szewską w dół, z nadzieją i sercem tłukącym się jak oszalale.

W ogródku winiarni nadal siedziało trochę klientów. Nieco niepewnie weszła do środka, poszukując wzrokiem tego chłopaka. Na szczęście był! Zauważył ją! Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Zimna cava? – zaproponował uradowany.

– Trzy wody, takie jak rano, poproszę. W papierowych kubkach.

– Znów na wynos? – Maciek posmutniał.

– Wracamy do hotelu.

– O tej porze? Przecież zabawa dopiero się rozkręca! Nie możesz zostać? Nad jeziorem będzie potańcówka.

– Mam tańczyć sama?

Maciek złościł się, że musi dziś pracować „do ostatniego klienta”. Jednak dobra wiadomość była taka, że Mia nie miała tu towarzystwa.

– A jutro rano?

– Jeszcze nie wiem, to nie ode mnie zależy. Przyjechałam z mamą i babcią.

– Z Wiednia? – upewnił się Maciek, a ona kiwnęła głową, nie komentując wyniku jego poszukiwań w Internecie.

– Tylko na kilka dni.

– Jutro rano Pod Amorem? Kawa i lody? Od dwunastej pracuję...

– Zobaczę... – Mia zapłacała i znów usiłowała objąć dłońmi tym razem trzy papierowe kubki. Gdyby mogła, pewnie zaśpiewałaby na cały głos *Odę do radości*. Zamiast tego maszerowała dziarsko w stronę rynku i jeszcze zanim wsiadła do samochodu, usłyszała przenikliwy dźwięk telefonu, znak, że w Messengerze pojawiła się nowa wiadomość.

Chwilę później podała matce i babce kubki z wodą. Wypiły duszkiem i Elena włączyła silnik. Na twarzy Tessy rysowało się zmęczenie. Odchyliła głowę i zamknęła oczy, ale po kilku chwilach znów siadła prosto.

– Gdzie jest ta książka? – rzuciła zaniepokojona.

– Zostawiłam ją w twoim pokoju – odparła Mia.

– Muszę do niej zajrzeć. Ona pewnie mnie jutro przepyta...

Korzystając z tego, że dzieci i mąż wyjechali na wakacje, Iga Toroszyn zamierzała wybrać się do Gutowa. Chciała rozważyć z ojcem, a jeszcze bardziej z macochą, sens walki o grunt w Długołęce. Sama była o nim głęboko przekonana, jeśli jednak stryj Grzegorz, choćby dla sportu, zechce podbijać cenę, może będzie potrzebna rodzinna pożyczka? Iga nie miała pewności, czy ojciec ją poprze. Może powiedzieć, że trzeba zarządzać tym, co się ma, a nie skakać na głęboką i nieznaną wodę. A ona już oczyma duszy widziała w Długołęce odbudowany dworek Pawlaka! Wiedziała, że można go dokładnie zrekonstruować, bo zachowało się trochę zdjęć z zewnątrz i ze środka wykonanych w latach trzydziestych.

Pierwszy kustosz Muzeum Zajezierskich, Igor Wolski, wykopał je chyba spod ziemi, jak zresztą mnóstwo innych pamiątek. Oczywiście nie odzyskał wszystkiego, było to niemożliwe po niemieckiej, rosyjskiej i polskiej grabieży, ale wiele rzeczy uznanych we wsi za bezużyteczne, jak na przykład książki w obcych językach zdobione exlibrisem Zajezierskich, przynoszono jeszcze do niedawna, sprzedając bez żenady i żądając całkiem sporych kwot. Skąd Wolski brał na to wszystko środki? Musiał chyba mieć dobre stosunki z władzami, bo zgromadził wiele cennych przedmiotów. Jeszcze więcej przepadło, ale przynajmniej albumy ze zdjęciami się zachowały.

Iga czuła dziwne powinowactwo z tym miejscem, z ludźmi, których nigdy nie poznała, których życiem nigdy nie żyła. Ale była przekonana, że duchy hrabiego Tomasza i jego żony Ady, jej siostry Kingi i Pawlaka krążą gdzieś w pobliżu, wspierając ją w trudnych chwilach, zadowolone z pracy, jaką wykonywała. Nie powiedziała tego jednak nigdy ojcu ani Helenie, boby wyśmiali jej romantyzm. Nie mówiła tego nawet mężowi, choć akurat jego powinno to cieszyć. Czasem tylko nachodził ją dziwny lęk, a raczej pytanie – kto odda swe serce pałacowi, kiedy jej zabraknie sił. To oczywiście śmieszne, bo dzieci są jeszcze małe, a ona niewiele po czterdziestce, ale myśląc o tym, wspominała swą rozmowę z babką Celiną, która namawiała ją do ucieczki z Gutowa i szukania szczęścia gdzieś w dalekim świecie. A przecież człowiekowi najłatwiej jest być szczęśliwym tu, gdzie się urodził.

Dowodzą tego tłumy gości, które rokrocznie w sierpniu zjeżdżają do Gutowa. Ot, chociażby te dwie panie, co tak zaśmiewały się podczas kolacji. Przyjaciółki, które spotkały się przypadkiem właśnie tutaj, gdzie upłynęło ich dzieciństwo. Bo człowiek podświadomie ciągnie do miejsca pochodzenia. Pomysł zorganizowania Dni Gutowa był strzałem w dziesiątkę! Latem ludzie są bardziej mobilni, mają urlopy i wielu przyjeżdża odwiedzić rodzinę albo przyjaciół, a choćby i groby. Coraz więcej firm mobilizuje się, aby stworzyć coś, co przyciągnie kolejnych gości. Nawet szkoły, chociaż trwają wakacje, robią okolicznościowe wystawy i otwierają swe podwoje.

Iga rzuciła okiem na kosz ciastek z wróżbą, które przygotowała do wystawienia w recepcji. Sięgnęła po jedno, przełamała je, włożyła do ust i z zamkniętymi oczyma smakowała. Ciastko jest delikatnie słodkie i kruche, można by je sprzedawać posypane cukrem albo z wtopionymi kawałkami czekolady.

Nasza gutowska magdalenka... Dobra robota, braciszku! – pomyślała.

Potem rozwinęła pasek papieru i przeczytała jakby specjalnie dla niej stworzoną wróżbę:

To, co cię dziś martwi, jutro będzie już tylko wspomnieniem.

Masz głowę na karku, chłopie. Uśmiechnęła się.

Płock, wakacje 1960

Jakoś na Wielkanoc ktoś przyniósł z miasta wieści, że władze zamierzają zlikwidować szkołę w pałacu, a dzieci mają chodzić do różnych szkół w okolicy. Młodsze do Cieciorki, starsze do Gutowa. Matki się trochę buntowały, bo komunikacji, zwłaszcza z Cieciorką, nie było, a zimy zdarzały się śnieżne i mroźne, ale kto by tam wysłuchał wiejskich kobiet! Zresztą przyszło odgórne zarządzenie, że pałac będzie remontowany i wszystkie działające tam instytucje mają się wynieść. A było tego sporo, bo oprócz szkoły działały tu i przychodnia zdrowia, i remiza strażacka, i biura kółka rolniczego.

Babcia Bronia zaczęła się zastanawiać, czy ich też przypadkiem nie wykurzą z mieszkania w czworakach, jako należących do dawnego majątku, ale na razie nikt o tym nie mówił. Teresy w każdym razie nie przerażało, że będzie musiała pieszo pokonywać tych kilka kilometrów. Szkoły w mieście miały wyższy poziom, co sprzyjało jej planom, ale ważniejsze było to, że będzie się mogła częściej widywać z Włodkiem! Na szczęście przyjeżdżał w niedzielę. I po mszy chodzili nad jezioro, czasami pilnowali gęsi, jemu nie robiło to różnicy. W końcu Teresa zdobyła się na odwagę i wyznała mu prawdę o rowerze. Natychmiast zaoferował wypożyczenie jakiegoś ze sklepu ojca, ale na to Teresa się nie zgodziła.

Moniki nie widywała. Podobno pojechała z rodzicami nad morze, tak przynajmniej twierdziła Janiukowa. Teresa jej nie zazdrościła, chociaż nie miała szansy na żaden wyjazd, bo schorowany ojciec już się prawie wcale nie brał do roboty, musiała więc pracować przez całe wakacje. Obrabiała pole i najmowała się do wszystkiego: zbierała truskawki, pomagała przy sianokosach, przy żniwach, chodziła na grzyby i z serami na targ do Gutowa. Skubała gęsi i pomagała przy świniobicu. Nie uważała swego losu za szczególnie – doświadczały go wszystkie biedne dzieciaki ze wsi. Cieszyła się,

kiedy jej ktoś potrzebował, bo to oznaczało, że zarobi parę groszy. Wiedziała też, że od września będzie mogła częściej spotykać się z Włodkiem i że wreszcie zacznie oddychać miejskim powietrzem.

Nim jednak wakacje dobiegły końca, Włodek gdzieś przepadł. Nie przyjechał jak zwykle w niedzielę, więc Teresa wprost z targu poszła do sklepiku jego rodziców. Ale drzwi były zamknięte. W następną niedzielę Włodek znów nie przyjechał. Teresa nadrabiała miną, ale czuła się nieszczęśliwa i porzucona. Lubiła Włodka, może się nawet w nim zakochała? Zaczęła snuć pierwsze dziewczęce marzenia o szczęśliwej rodzinie, co nie było trudne, bo we wszystkim się zgadzali. Włodek chodził do technikum. Uczył się na elektryka. Przekonywał ją, że to dobry zawód, nawet był gotów zamieszkać z nią na wsi, gdyby bardzo tego chciała. Obiecał, że nie będzie pił i że będzie jej pomagał w domu. Nigdy się nie pokłócili. Musiała się więc dowiedzieć, dlaczego przestał ją odwiedzać.

W kolejny dzień targowy poszła z koszykiem do Gutowa, niecierpliwiła się, sprzedała ser i śmietanę taniej, niż zamierzała. A kiedy już poszło ostatnie jajko, prawie pędem pognęła do sklepiku ze starzyzną. Tym razem był otwarty. Ojciec Włodka siedział za ladą, ale nawet na nią nie spojrzał, nie odpowiedział też na „Dzień dobry”. Skrępowana stała przy drzwiach, niby to coś oglądając, i nie wiedziała, jak zagaić. Niespodziewanie mężczyzna przemówił:

– Leży w Płocku w szpitalu.

Na moment Teresie zabrakło tchu. Ostatnio Włodek próbował jej coś powiedzieć, coś o wyjeździe, o oczekiwaniu. Ona tego nie rozumiała, przerywała mu, zagadywała. Chciała, aby co niedziela zjawiał się pod kościołem, kiedy szła na mszę, przestała się nawet wstydzić ojca pijaka i biednego domu.

– Co się stało? – wyjąkała wreszcie, a ojciec Włodka opuścił głowę i zaczął płakać.

– Módl się za niego, dziecko... – powiedział wśród łkań.

– Gdzie jest ten szpital? Można go odwiedzić?

– Przy Kościuszki. Leży na chirurgii. Miał operację.

Dopiero teraz Teresa zaczęła sobie wszystko przypominać. Jego zmęczenie, ciężki oddech. Wyraźnie chudsze ręce. Kiedy zapytała o przyczynę, powiedział, że nie ma apetytu, ale rosołem babci Broni nie pogardził.

– On wyzdrowieje! Musi wyzdrowieć! – powiedziała przez zaciśnięte zęby

i wybiegła na ulicę z oczyma pełnymi łez.

Następnego dnia wstała skoro świt i ruszyła do Płocka. W kieszeni miała marne grosze, liczyła się więc z tym, że większą część drogi będzie musiała przejść pieszo. Ale szczęście jej sprzyjało, bo tuż za mostkiem zatrzymała się furgonetka prowadzona przez sąsiada ze wsi. O szóstej rano była już w Płocku.

Odnalezienie Włodka zabrało zaledwie kilkanaście minut. Zdziwiona, że nikt jej nie zatrzymuje, szła przed siebie bez lęku i zwątpienia. Ale drżała, bojąc się, że ktoś ją wyprosi, zanim do niego dotrze. Wiedziała przecież, że dzieciom nie wolno wchodzić do szpitala. Wreszcie dotarła do chirurgii. Teraz już nie miała nic do stracenia, zapytała pielęgniarkę o Włodka, a ta wskazała jej salę. Krępując się trochę, bo nic dla niego nie przyniosła, chciała się nawet usprawiedliwiać, jednak głos zamarł jej w gardle. Przez te dwa tygodnie z Włodka pozostały tylko skóra i kości. Jego twarz wychudła, policzki się zapadły, wyglądał na dużo starszego.

Mimo lęku i skrępowania podeszła do łóżka i lekko wzięła w dłoń jego rękę. Włodek otworzył oczy i patrzył na nią, jakby nie poznawał, ale po chwili blady uśmiech pojawił się na jego zmęczonej twarzy.

– Tes-sa – wyszeptał z wysiłkiem. – Czekałem na ciebie.

Jego dłoń była przerażająco zimna. Teresa szukała słów, ale ich nie znajdowała. Milczała więc, ale milczenie oznaczało zgodę na chorobę i poddanie się, zaczęła więc opowiadać, co się wydarzyło na wsi i kto kupił od niej ser i śmietanę, a kto jajka, i jak go szukała, ile miała szczęścia z przyjazdem do Płocka, aż wreszcie weszła pielęgniarka. Teresa zamilkła, czekając na awanturę. Skurczyła się w sobie, ale kobieta uśmiechnęła się tylko.

– Siostra? – zapytała, jednak żadne z nich nie odpowiedziało. – O siódmej jest obchód – poinformowała, co oznaczało, że Teresa może jeszcze trochę zostać.

– Przyjedziesz jeszcze? – powiedział z trudem Włodek, a ona kiwnęła głową.

– W niedzielę. Przyniosę ci ogórków. Babcia zrobiła małosolne.

– Chciałbym... – zaczął Włodek, ale na resztę zdania zabrakło mu sił.

Teresa wpatrywała się w niego, ale zapadł już w drzemkę. Odłożyła więc dłoń chorego na łóżko i siedziała w milczeniu, patrząc na spustoszenie uczynione przez chorobę. I póki nie została wyproszona z sali, modliła się

gorąco o jego wyzdrowienie.

Wracała do domu przygnębiona, jednak starała się nie dopuścić do siebie myśli o tym, że Włodek może umrzeć. Nie brała tego w ogóle pod uwagę. Pracowała za dwoje, aby w niedzielę z samego rana znów ruszyć do Płocka. Widząc smutek na twarzy Teresy, babka ze swoich oszczędności dała jej na bilet.

Tamta sierpniowa niedziela była dżdżysta i chłodna. Idąc na przystanek, Teresa zmokła, jej cienkie buty przemiękły na wylot, ale ona się tym nie przejmowała. W szczelnie zakręconym słoiku dumnie niosła ogórki babci Broni. Miała nadzieję, że poprawią Włódkowi apetyt, a jedzenie jest najważniejsze. Z okna autobusu wszystko wydawało się inne, zamglony pejzaż korespondował z jej nastrojem, ale ona miała inny plan: dziś będzie rozśmieszała Włódka. Babka jej to doradziła.

– Śmiech to najlepsze lekarstwo – powiedziała.

Przez drogę Teresa usiłowała sobie przypomnieć różne śmieszne historyjki, które opowie Włódkowi, ale jakoś nic jej nie przychodziło do głowy. W Płocku odnalazła szpital i poszła wprost na oddział chirurgii. Weszła do sali, w której leżał Włodek, i na jego łóżku zastała już innego pacjenta. Początkowo nie rozumiała, co się stało, ale z kąta sali usłyszała ponure:

– Wywieźli go.

– Dokąd?

Odpowiedź nie padła. Teresa odwróciła się, żeby zobaczyć, kto do niej mówił, ale żaden z trzech mężczyzn leżących na łóżkach po przeciwnej stronie sali nie kwapił się, aby coś dodać.

– Do innego szpitala? – spytała cicho i choć nie chciała do siebie dopuścić tej myśli, wiedziała, że Włodek, nie pożegnawszy się z nią, odszedł. Wyszła z sali zdruzgotana. Nie potrafiła pojąć, że go już nigdy nie zobaczy.

Trasa autobusu wiodła przez Zajezerzyce, ale Teresa wysiadła w Gutowie. Na drewnianej tablicy pod kościołem Świętego Mikołaja pośród kilku innych znalazła też klepsydrę z informacją, że pogrzeb Włódka Rozpary odbył się poprzedniego dnia, w sobotę. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma. Miała żal, że nikt jej nie zawiadomił. Nie wiedziała nawet, gdzie został pochowany. Czuła, że z jego odejściem straciła coś niezwykle cennego. Coś, czego już nigdy nie odzyska.

Deszcz przestał padać, wyszło słońce i przeglądało się w kałużach, a Teresa ze zwieszoną głową szła wolno do Zajezierzyc. Chciała płakać, ale nie miała łez. I wiedziała, że nikt jej nie zrozumie.

Płock, sierpień 2016

Samochód prowadzony przez Elenę sunął wolno w kierunku Płocka.

– Skąd ten korek? Wszyscy byli na Dniach Gutowa? – zastanawiała się Mia, raz po raz sprawdzając coś w telefonie.

Tessa nie odpowiadała. Wspominając Włodka, usiłowała sobie przypomnieć, gdzie znajduje się szpital, w którym go odwiedziła tamtego lata.

– Sprawdź, proszę, gdzie jest ulica Kościuszki – odezwała się zniecierpliwiona. – Może byśmy tamtędy przejechały? Tam powinien znajdować się stary szpital.

Mia wrzuciła nazwę ulicy w nawigację telefonu.

– Kiedy dojedziesz do głównej, skręć w prawo, a potem w pierwszą w lewo – poinformowała matkę.

– Zresztą nie – Tessa nagle zmieniła plany. – Jutro tam pojedziemy. Za dnia. Teraz wracajmy do hotelu.

Elena nie zdążyła jeszcze dotrzeć do Piłsudskiego, nie przypominała też sobie żadnej opowieści matki o szpitalu. Próbowwała odgadnąć, co mogło się tam wydarzyć, i gdyby Tessa nie była chora, z pewnością spróbowałyby coś z niej wyciągnąć, jakąś historię sprzed lat, która rzuciłaby trochę światła na nieznaną Elenie przeszłość. Ale w tej sytuacji dała matce spokój, bojąc się ją rozdrażnić. Może jutro Tessa będzie bardziej otwarta i chętna.

Kiedy dotarły wreszcie do hotelu, przed Petropolem natknęły się na autobus z jakąś wycieczką. Głośny, rozbawiony tłumek blokował wejście, kłębił się przy recepcji, tłoczył w windach. Elena trochę zazdrościła ludziom tej weekendowej radości. Ona też by chciała śmiać się z matką, cieszyć latem, czuć rausz po wypitym winie. Ale nie potrafiła wyjść z roli pielęgniarki, nie umiała zrzucić z serca kamienia, który je przywalił kilka dni temu. Jakoś to się udawało Mii. Ten chłopak skutecznie odrywał jej myśli od choroby babki, Mia, podniecona perspektywą spotkania, wciąż odpowiadała na jakieś wiadomości, ciągle słychać było denerwujące pikanie Messengera, aż dziwne, że Tessa tego nie skomentowała na swój ironiczny sposób.

– Czemu jesteś taka ponura? – padło z jej strony nieoczekiwane pytanie.
– Ja? Skądże! – Elena zaprzeczyła nieprzekonująco.
– Jeszcze nie umieram. Wytrzymaj te parę dni. Wiem, że ci ciężko, bo się nudzisz. Ale długo to nie potrwa i wrócisz do swoich pacjentów.
– Mamo! Jesteś niemożliwa! Nie nudzę się, pamiętaj jednak, że ja tych miejsc nie znam, nic mnie z nimi nie łączy, z niczym mi się nie kojarzą. A ty nic nam nie mówisz. Jak mam się zachowywać?! Idę, dokąd każesz, jadę, dokąd każesz, wybaczone, że może bez należącego entuzjazmu. To nie Toskania, żeby się zachwycać każdym miejscem. Tak, wolałabym teraz podróżować po Italii, dasz radę znieść to wyznanie?! – wyrzuciła z siebie i zdziwiona patrzyła na matkę, która wybuchnęła radosnym, niepowstrzymanym śmiechem.
– No, nareszcie się doczekałam! Trzeba przyznać, że trzymałaś się nadzwyczaj dzielnie i długo! Rozumiem, że to nie twój świat, i strasznie cię nudzi moje smęcenie. Obiecuję skrócić je do niezbędnego minimum. I możesz mi wierzyć: dla ciebie też mam niespodziankę na finał! Na razie jednak chciałabym odpocząć – stwierdziła Tessa, przykładając kartę do drzwi swojego pokoju. – Tak, dam sobie radę – odpowiedziała na pytanie, które nie padło. – Dobranoc. Aha, jutro jedziemy do Gutowa o dziewiątej, może o ósmej trzydzieści rano. Nie za wcześnie? – rzuciła lekko i nie oglądając się, pomachała im na pożegnanie, po czym weszła do swojego apartamentu, a one, w lekkim szoku, zostały na korytarzu.

Tuż przy drzwiach Tessa zrzuciła pantofle i weszła boso do łazienki. Zdjęła spodnie, bluzkę i bieliznę i odkręciła kran prysznica. Pod chłodnym strumieniem poczuła ulgę po całodziennym skwarze. Szybko skończyła toaletę, posłusznie połknęła lekarstwa doktora Vigelanda, popiła je wodą i rozejrzała się za książką Moniki. Znalazła ją na dolnej półce szafki nocnej. Położyła się na łóżku, zapaliła lampkę i zabrała się do pierwszego tomu...

Kiedy po wpół do dziesiątej Iga Toroszyn dotarła wreszcie do Gutowa, w mieście wciąż trwała zabawa. Na rynku w rytm techno tańczyła spora grupa młodzieży, a ona z westchnieniem współczucia pomyślała o ojcu i Helenie, którzy będą musieli przy tej muzyce zasnąć. Szczelnie zamknięte okna nie wystarczą.

Iga zdjęła klapki na dole w sieni i wspięła się po schodach na piętro.

Zmęczona Helena z opuszczoną głową siedziała w kuchni nad kubkiem herbaty. Na widok Igi poderwała się jednak, aby zagotować więcej wody. Chodziła boso, chłodząc stopy na zimnej terakocie, nogi miała opuchnięte, widać było, że jest bardzo zmęczona.

– Ojciec śpi? – zapytała Iga.

– Zasnął przed telewizorem. – Helena się uśmiechnęła. – Co cię sprowadza tak późno?

– Nic takiego, chciałam się trochę odprężyć. Dzieci nie ma, czuję się nikomu niepotrzebna. A tak naprawdę to chciałam pogadać o...

– Próbowłaś ciastek Zbyszka? – przerwała jej Helena.

– Tak! Miał doskonały pomysł! Klienci na pewno to docenią. Nikt nie poprzestaje na zjedzeniu jednego! Sama pochłonięłam cztery, żeby znaleźć odpowiednią wróżbę.

– Tego się właśnie trochę boję. Żeby nie powiedzieli, że ciastko to tylko opakowanie, a przepis jest banalny. Bo jest banalny. A tak chciałabym, aby Zbyszek wygrał!

– Daj spokój, nic mu się nie stanie, jeśli od razu za pierwszym razem nie wygra. To nawet lepiej dostać od życia trochę w kość. Człowiek nabiera pokory.

– On dostaje codziennie. Twój ojciec nie jest dla niego zbyt pobłażliwy.

– Ale go kocha! – Iga starała się przekonać macochę. – Ojciec wymaga, bo go kocha. Musisz to zrozumieć.

Helena nie odpowiedziała, w zamyśleniu patrzac w bok.

– Sądziłam, że uda mi się zapomnieć, że nie jest jego ojcem. Ale nie potrafię. Wiem, że go kocha, jednak skoro ja codziennie myślę o tym, że to nie jego dziecko, on przecież tym bardziej musi...

– Co cię dziś naszło? Wszyscy kochamy Zbynia! Nikt się nie zastanawia, czyim jest synem, wiadomo, że waszym. Daj spokój, przemęczona jesteś i tyle.

– I jeszcze ta jego niby dziewczyna... – Helena pozornie zmieniła temat. – Wiem, że Zbyszek nie jest księciem z bajki, to tylko chłopak po technikum, cukiernik z małego miasteczka, ale to moje jedyne dziecko. A ona mi się nie podoba – jakby się usprawiedliwiają z zazdrości, powiedziała Helena.

– O matko, co ci się stało? Masz jakiś likier? Może się napij?

– Ona narobi nam kłopotów. Nie przerywaj mi, wiem, co chcesz powiedzieć: o mnie też wszyscy mówili, że jestem latawicą i mając męża, uganiam się za obcymi facetami. No i chyba teraz przyjdzie mi odpokutować

za grzechy.

– Ale przecież jeszcze nic się nie stało?... – upewniła się Iga.

– Patrzyła dziś na cukiernię takim wzrokiem, jakby ją taksowała, jakby mówiła: Poczekaj no, zaraz tu przyjdę i zaprowadzę moje porządki!

Iga poczuła się zaniepokojona. Nigdy jeszcze nie słyszała macochy mówiącej tym tonem.

– Nie za wcześnie wyciągasz te wnioski? – spróbowała złagodzić jej lęk. – Jeszcze jej nie znamy, może okaże się świetną dziewczyną, tak jak ty się okazałaś.

– Wspomnisz moje słowa! – Helena machnęła ręką, westchnęła i wyszła do salonu, skąd przyniosła butelkę porto i dwa kieliszki. Nalała do obydwóch, Iga jednak nie kwapiła się, by sięgnąć po alkohol. – Wiem, jestem wredna. Ale kiedy pomyślę, że to mogła być Kasia... – kontynuowała Helena. – Dlaczego faceci są tacy durni?! Znam Zbyszka, on jest nieśmiały, może nawet trochę zahukany. Nie miał chyba jeszcze dziewczyny. No wiesz, w tym sensie – powiedziała, kładąc nacisk na „tym”. – I ona musiała to wyczuć. Nie patrz tak na mnie, nie jestem zazdrosna, tylko bym chciała lubić dziewczynę mojego syna!

– A to jest w ogóle możliwe? – Iga powoli traciła nadzieję, że zdoła dziś porozmawiać z Heleną na temat zakupu działki w Długołęce.

– Może i nie. Jednak wyczuwam w niej coś dziwnego, jakiś fałsz.

– Porozmawiaj o tym ze Zbyszkiem.

– To nic nie da! Przecież jest teraz rycerzem na białym koniu, a ona księżniczką z wieży. Jak on zaczął dbać o siebie! Ma trzy różne wody po goleniu i kilka dezodorantów! Gdyby tu nie było dwóch łazienek, tobym się chyba spóźniała do pracy, bo on wystaje godzinami przed lustrem. Gada do siebie, podśpiewuje... Wszystkich stara się zadowolić. A ten drugi wypiek to co to było? Przecież gdyby nie ona, rzuciłby wszystko i poleciał nad jezioro.

– Krytykujesz go, że się zachował odpowiedzialnie?!

– To na pewno jej sprawka! – syknęła Helena. – Gdybym to ja powiedziała, wykręciłby się jak nic! A ona chce się pokazać z jak najlepszej strony. Zaczyna nim dyrygować i ma na niego wpływ. Zły wpływ. Zobaczysz, że to się źle skończy!

Iga pokręciła głową bezradnie. Nie miała pomysłu, jak uspokoić macochę. Czuła, że Helena przesadza, wiedziała jednak, że próba zaprzeczania jej słowom przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego.

– Poczekajmy parę dni, może się rozejdzie po kościach? – zaproponowała zadowolona, że do kuchni wszedł właśnie Waldemar Hryć. Ziewając, w pomiętej odzieży i z potarganymi włosami rzucił wesoło:

– Co tu tak spiskujecie?

– Przyjechałam się poradzić. I prosić was o pomoc – wyznała Iga.

– O co chodzi?

Wbrew zakazowi postoju Zbyszek zaparkował na ulicy Mostowej. Trudno, najwyżej zapłaci mandat. Zdenerwowany popatrywał w kierunku domu Martyny. Chwilę wcześniej odpisała mu, że musi poczekać, bo obiecała matce, że zrobi coś przed wyjściem. Więc czekał, niecierpliwie wybijając na kierownicy takt modnego przeboju.

Martyna złościła się, bo matka po obiedzie położyła dzieci na drzemkę i teraz nie dawały się uśpić, a ona nie chciałyby wystawić Zbyszka. Musiała go do siebie przywiązać jeszcze bardziej, żeby, kiedy się wreszcie o nich dowie, machnął na to ręką, żeby się zgodził na wszystkie warunki. W końcu jest bogaty, stać go nawet na piątkę. O nie! – jęknęła w duchu. Nie bardzo jej się chciało znowu zachodzić w ciążę, ale jeśli będzie trzeba... Nie mogła stracić najważniejszego argumentu. Czasem takie młodziaki chcą się bawić, używać życia, dzieci im nie na rękę, może Zbyszek jest z takich właśnie?

Wreszcie maluchy zaczęły oddychać wolnym, równym rytmem i Martyna pomyślała, że nic im się nie stanie, jeśli wyjdzie na chwilę do Zbyszka. Zbiegła więc po starych drewnianych schodach, otworzyła furtkę i podeszła do chłopaka opartego o maskę samochodu.

– Mam tylko chwilę! – wysapała zdyszana.

– Czemu? Myślałem, że gdzieś pojedziemy... – W jego głosie brzmiał zawód i należało natychmiast coś z tym zrobić.

– Wskakuj do tyłu! – Popchnęła go lekko.

Zdziwiony chłopak posłusznie wykonał polecenie, a ona również wsiadła do auta. Ruchem, w którym znać było doświadczenie, uklękła na siedzeniu, pochyliła się i rozpięła mu pasek w spodniach. Rozsunęła zamek błyskawiczny, podciągnęła swoją spódniczkę, pod którą nie miała majtek, co było dla niego przyjemnym zaskoczeniem, i siadła mu na kolanach. Wszystko trwało może trzy minuty. Potem szybko obciągnęła spódnicę, pocałowała go jeszcze na pożegnanie i kręcąc pupą, ruszyła w stronę domu. Ale w połowie ulicy

zatrzymała się i zawróciła. Otworzyła drzwiczki, znów go pocałowała i w końcu wyszeptała namiętnie:

– A teraz wracaj grzecznie do domu. *Bye!*

Wpółleżąc na kanapie przed telewizorem, Grzegorz Hryć drzemał. Okno w salonie było uchylone, żeby wpuścić trochę chłodnego powietrza, i od rynku aż tutaj płynęła rytmiczna fala muzyki techno. Jednak poseł tego nie słyszał. Dopiero gdy szarpnięty za ramię ocknął się z półsnu i popatrzył nieprzytomnie na żonę, przypomniał sobie, że jest w domu, skończyła się sobota i pora by się położyć do łóżka.

– Jaki miałaś dzień? – wysapał jeszcze do Anity, chcąc zadbać o pozory szczęścia rodzinnego.

– Całkiem niezły – odparła pani Hryć, rzeczywiście zadowolona z utargu, a jeszcze bardziej z rozmowy z córką. – Myślę, że zrobię niezły interes, kupując ten plac po mleczarni.

– To się dopiero zobaczy – wystękał mąż i z trudem rozprostował zeszywniałe stawy.

– Ludzie już dawno szukali alternatywy dla pałacu, gdzie jest drogo i jeszcze trzeba zapłacić za transport gości do Zajezierzyc.

– Co prawda, to prawda – przytaknął Hryć, przeciągając się.

– Będziemy obsługiwać wszystkie szkolne imprezy, półmetki i studniówki, bale maturalne i na pewno wiele wesel, komunii i chrzcin. Ludziom nie zależy na elegancji, na pałacowej wytworności, najważniejsza jest cena.

– Nie da się ukryć.

– I sprzątniemy Idze sprzed nosa ładny kawałek tortu! – z dumą i nieukrywaną złośliwością powiedziała Anita. – Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! Tyle lat! Nareszcie się doczekałam!

Grzegorz Hryć poczuł, że to najlepsza okazja, żeby powiedzieć żonie o kolejnej inwestycji.

– To pewnie ucieszy cię wiadomość, że jest szansa na kupienie dawnego majątku Długołaka.

Nie zrozumiała, nie dotarło do niej od razu, co mąż ma na myśli.

– Nie będziemy już nic kupować, trzeba pieniędzy na doprowadzenie mleczarni do stanu używalności. Mamy niecałe dwa miesiące, potem jest zjazd absolwentów, chyba pamiętasz?

– Zrobię, co zechcesz, powiem ci tylko, że według ekspertyz geologicznych tam jest żwir. Dużo żwiru. Myk polega na tym, żeby to odkupić od właściciela i sprzedać znacznie drożej. A że to tak blisko pałacu... Cóż, to już nie nasze zmartwienie... – stwierdził Hryć tonem niewiniątka i spostrzegł, że sprawił żonie prawdziwą przyjemność.

– Kilka lat wycia koparek, smrodu z ciężarówek, kurzu na drodze... A potem zamiast łąk i zagajnika krajobraz księżycowy! Fantastycznie! – Anita zatarła dłonie z triumfem. – Chyba dam na mszę!

Zakochany, rozmarzony i odprężony, Zbyszek Hryć wracał do domu. Droga była już luźniejsza. Mógł zresztą jechać na pamięć, pozwalał więc swoim myślom błąkać się po ulicy Mostowej, patrzeć w okna mieszkania Martynty, zastanawiać się, jak rozegrać po kolei wszystkie etapy znajomości, bo – tak! – właśnie tu i teraz postanowił, że nie ma na co czekać. Jutro kupi pierścionek. Wie ponad wszelką wątpliwość, że Martyna jest tą jedną jedyną, jemu przeznaczoną. Intuicja nie może go mylić, a jej zachowanie tylko to potwierdza. Kochają się, czemu mieliby zwlekać, odkładać realizację planów? Prawda, jeszcze tylko ta formalność, żeby ją zapytać i powiedzieć starym... Komu najpierw?

Tymczasem robił w głowie bilans i wychodziło mu, że nie ma kasy na przyzwoity pierścionek. Na jego konto wpływało zaledwie tysiąc złotych miesięcznie. Wszystkie wydatki ekstra pokrywał z pieniędzy od matki albo od ojca. Starzy zawsze lubią trzymać rękę na pulsie, jakie to męczące... Teraz widać, że nadeszła pora, aby pogadać o stałej pensji. A za rok, dwa trzeba będzie poszerzyć spółkę, bo on, mając rodzinę, na stanowisko pracownika się już nie zgodzi. Jutro z samego rana musi pójść do jubilera i obejrzeć pierścionki.

Dochodziła jedenasta wieczór, w winiarni panował tłok, brakowało stolików. Ludzie kupowali wino do papierowych kubków i wychodzili z nim na ulicę. Wiadomo, że dziś policja nie będzie nikogo zbyt skrupulatnie sprawdzać. Byle tylko nie wszczynać awantury. Zresztą do winiarni przychodzili lepsi klienci, tacy, którzy potrafili docenić smak. „Mamrotowcy” zazwyczaj kupowali alpagi w Biedronce i przesiadywali na ławkach pod blokami na Piaskach i Zarzeczu, żeby nie trzeba było potem daleko wracać na

chatę. W tę ciepłą noc niejeden padnie w trawie i tak przekima do świtu. Dziś i oni mieli taryfę ulgową.

Agata czuła zmęczenie, ale była zadowolona. Na ten jeden weekend czekają wszyscy w mieście. Właściciele otwierają nawet takie firmy jak kancelarie prawne czy biura nieruchomości, czynny jest salon samochodowy i sklep ogrodniczy. Wszyscy dają upusty, a i tak im się opłaca. Gorączka zabawy w dziwny sposób zachęca ludzi do załatwiania zaległych spraw, wielu przyjeżdża z daleka, przypominają sobie o małym mieście na końcu świata. Spotykają się przypadkiem na ulicach po dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu latach...

– A ty właściwie po co tu przyjechałeś? – patrząc na Maćka, znów poruszyła intrygujący ją temat, a on znów uśmiechnął się tajemniczo.

– I tak nie uwierzysz.

– Wymyśl coś wiarygodnego.

– Dziadek mnie prosił.

Parsknęła, ale spojrzał tak, że przestała się śmiać.

– Te rodzinne historie... Czasem tak pogmatwane, że się wierzyć nie chce. I co? Załatwisz mu sprawę?

– Jeszcze nie wiem, rzeczywiście jest zagmatwana – odparł, słysząc dźwięk nadchodzącej wiadomości. Nie sięgnął jednak po telefon, aby nie złościć szefowej.

Iga zatrzymała się przed pałacem, chcąc popatrzeć na gwiazdy. Noc była piękna. Spoglądając w niezmierną granatową przestrzeń kosmosu, pragnęła podziękować Stwórcy za swoje życie. W tej ciszy, przerywanej tylko przez dźwięki cykad dochodzące z zarośli, chciało się snuć wielkie plany. Po tafli jeziora z Gutowa płynęły co prawda odgłosy trwającej wciąż zabawy, ale nie przeszkadzały w snuciu marzeń. Ojciec dał jej wolną rękę, to ważne!

– W razie czego zaciągniemy kredyt! – powiedział z dziwną lekkością. – Kto nie idzie naprzód, ten się cofa – dodał, widząc skrzywioną minę Heleny.

Iga podzielała jego zdanie. Trzeba mieć wielkie plany, trzeba realizować odległe cele. Tego ją nauczyła babka Celina. Raz jeszcze spojrzała w niebo, jakby chciała odnaleźć swoją szczęśliwą gwiazdę.

– Wiem, że tam jesteś, babciu! I wiem, że nade mną czuwasz!

Zbyszek zaparkował samochód, ale nie poszedł do domu. Zobaczył światła w oknach oznaczające, że rodzice jeszcze nie śpią, a nie zamierzał im się dziś z niczego tłumaczyć. Zresztą co miałby robić w taką noc? Chciał się napić, poczuć delikatny rausz, jednak nie w domu, nie z rodzicami. Ruszył zatem w dół Szewską i wszedł do winiarni. Rzadko tu bywał i nie znał nikogo. Nie było miejsc, ale wypatrzył wolną przestrzeń przy barze. Nie bardzo wiedział, co zamówić. Maciek dostrzegł w nim nowicjusza.

– Proponuję Tinazzi Sangiovese czerwone wytrawne, nie nazbyt cierpkie, ale z mocą! Proszę zobaczyć, jak łagodnie rozlewa się po języku! – powiedział i nalał lampkę.

Ruchem zapożyczonym z jakiegoś filmu Zbyszek poruszył kieliszek i pod światło spojrzął na wino. Miało piękny kolor burgunda.

– Rubinowe z fioletową obwódką – skomentował Maciek. – W aromacie dominują nuty dojrzałych czerwonych owoców z przewagą wiśni i ziół, z miłym różanym akcentem.

Zbyszek, zdziwiony, że tyle można powiedzieć o winie, upił łyk.

– W ustach świeże i dobrze wyważone, pełne słonecznego owocu – teraz już pewnie Maciek sobie z niego żartował.

Mimo że tak zachwalane, wino niezbyt Zbyszkowi smakowało, ale wiedział, że musi wytrzymać, by być kimś więcej niż tylko cukiernikiem. Dla Martynty musi nauczyć się jeszcze wielu rzeczy. Tak bardzo chciał jej zaimponować! Dopił kieliszek i heroicznie skinął głową, zamawiając kolejny.

Dochodziła pierwsza w nocy. Skupiona na lekturze Tessa nie czuła zmęczenia, ale wiedząc, że jutro będzie potrzebowała dużo sił, odłożyła książkę i zgasiła światło. Chciałaby komuś powiedzieć dobranoc, ale już od wielu lat nie miała komu.

Dziekanów Leśny, jesień 1961

Rok z górą upłynął, a Stefania nadal nie wracała. Kazimierz jej nie szukał, bo wiedział, że odeszła z własnej woli. Dziwił się tylko, że zostawiła Monikę. Ale przecież nie zdarzyło się to po raz pierwszy. Nie mógł tego zrozumieć, ale cieszył się, że nie jest sam, a dziewczynka nie sprawiała żadnych kłopotów. Grzeczna i nadzwyczaj pracowita, dobrze się uczyła i robiła wszystko w mieszkaniu, jakby się bała, że on mógłby ją oddać do domu dziecka. W szkole miała niezłe stopnie, nauczyciele ją chwalili, aż przyjemnie było słuchać na wywiadówce. Wakacje spędzili w Długołęce, bo matka była coraz słabsza i Kazimierz musiał się zająć gospodarką. Nawet przez to odmłodniał, opalił się przy sianokosach i żniwach. Jego sękate ciało zaokrągliło się na matczynym wikcie. Ale w październiku Janiukowej się zmarło i już nie było po co jeździć do Długołęki, bo zgodnie z testamentem Pawlaka dom i ziemia od tej pory należały do Michała Podedworskiego.

Kazimierza trochę nawet zabolalo, że Michał, który miał mu przecież niemało do zawdzięczenia, a jeszcze więcej zawdzięczał jego matce, bo przez parę wojennych lat wychowywała go jak rodzzonego syna, nie przyjechał na pogrzeb. Ale pojawił się kilka dni później. Przyszedł przed fajrantem do fabryki i wyciągnął go na obiad. Zjedli w podłej knajpie GS-u i suto zakropili wódką. Michał zapytał, czy Kazimierz chciałby zamieszkać w Długołęce. Ku jego wyraźnemu zdziwieniu nie chciał. Nie zamierzał też obrabiać pola po Pawlaku, choć Podedworski nie żądał odeń za to żadnej opłaty.

– Puśćcie to komu w dzierżawę. Ja mam mieszkanie i robotę, nie na moje siły już taki trud.

I na tym stanęło. Podedworski dojadł bigos, dopił wódkę, uściśnął serdecznie Kazimierza i powiedział, że wieczorem wpadnie po klucze od dworu. Wyszedł z knajpy i już nigdy nie wrócił. Kazimierz jeździł czasami na cmentarz do Zajezierzyc, ale Długołękę omijał. Ludzie mówili, że tam straszy, ale on w żadne duchy nie wierzył. Majątek niszczał, rozkradany przez

miejscowych, potem zaległa się tam podobno jakaś szajka, nawet pisali o tym w „Trybunie Mazowieckiej”, wreszcie pijacy rozgrabili wszystko do cna. Podedworski powinien był sprzedać dwór, ale może chciał się tu jeszcze kiedyś osiedlić? Kazimierz w to nie wnikał, Michał nie był rodziną, więc on nie uważał za stosowne go pouczać.

Jako członek partii nie wierzył w życie pozagrobowe, niekiedy czuł jednak ból, że starania jego matki i Pawłaka obracają się teraz w perzynę i wkrótce już kamień na kamieniu tam nie zostanie. Zresztą miał swoje kłopoty, bo z początkiem listopada Monika, która we wrześniu zaczęła naukę w siódmej klasie, ot tak, podczas znoszenia do piwnicy węgla na zimę, powiedziała mu, że zapadła na gruźlicę. Kazimierz doznał szoku, ona sama, zdaje się, nie doceniała powagi sytuacji.

– Chciałam się zapisać na SKS. Nauczycielka powiedziała, że mam iść na prześwietlenie, to poszłam. I tam mi powiedzieli, że mam nacieki – wyjaśniała. – Ale nie przejmujcie się, proszę, ja niedługo wrócę! Dziś dzwoniли do szkoły, że jest wolne miejsce w szpitalu, w Dziekanowie Leśnym pod Warszawą, no i chyba jutro pojedę... Dacie sobie radę? – zapytała.

– Dziecko... – wyjąkał, zły na siebie, że nie opiekował się nią, jak powinien, że nie zwracał na nią należytej uwagi. – Dziecko drogie...

– Ja już właściwie jestem spakowana w tę małą tekturową walizkę, co ją miałam kupioną na wczasy. Tylko chciałabym, żebyście mi dali na bilet.

Kazimierz wstał i podszedł do przedpokoju, gdzie na wieszaku wisiała jego kurtka. Wyjął z portfela banknoty i podał je Monice, która zmarszczywszy brwi, ze zdziwieniem patrzyła na trzysta złotych.

– To za dużo. Nie potrzebuję aż tyle! – powiedziała spokojnie i wzięła jeden banknot. – Zresztą ktoś mógłby mnie okraść. I jeszcze w szkole kazali mi powiedzieć, że wy też powinniście się prześwietlić.

Kazimierz milczał wstrząśnięty. Znał wielu ludzi, którzy przegrali walkę z gruźlicą. Po wojnie więźniowie obozów wracali wycieńczeni, wychudzeni, często chorzy i zarażali rodzinę i bliskich. Ale kto zaraził Monikę? Zacisnął dłonie, chciałby coś zrobić, jakoś jej osłodzić ten straszny wyrok, ale nie potrafił, nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachować. Stał więc ze spuszczoną głową, a ona czuła się winna.

– Przepraszam... – wyszeptała.

Następnego dnia o wpół do szóstej rano Kazimierz odprowadził Monikę na autobus do Płocka. Dzień był ciemny, dżdżysty. Autobus z Płocka do Warszawy odjeżdżał przed ósmą. Należało wysiąść w Dziekanowie Polskim i przejść jeszcze cztery i pół kilometra pieszo. Monika nie miała parasolki i dotarła na miejsce całkiem przemoczona. Duży kompleks mieszczący szpital przeciwgruźliczy, ogrodzony wysokim płotem z siatki, zrobił na niej przygnębiające wrażenie. Była już bardzo głodna, ale na szczęście wstępne formalności zakończono bardzo szybko.

Jeszcze przed obiadem, który tradycyjnie miał miejsce o trzynastej, wskazano jej łóżko w pięcioosobowej sali i szafkę na rzeczy osobiste, kazano się przebrać w suchą odzież, a pielęgniarka ustawiła jej walizkę na półce w magazynie, opisując ją imieniem i nazwiskiem. Jedną z dziewcząt z sali, Basia Wesołowska z Hrubieszowa, stała się przewodniczką Moniki. Pokazała, gdzie znajduje się dyżurka pielęgniarek, gdzie pokój lekarski, gdzie łazienka. Wtedy zabrzmiał pierwszy z licznych dzwonek, który odtąd przez niemal rok miał kilka razy dziennie przypominać Monice o kolejnych czynnościach dnia.

– Oho, pora na obiad! – powiedziała Basia. – Jedno, co ci się na pewno spodoba, to jedzenie. Jest pyszne! Na śniadanie szynka, baleron albo jajecznica na kiełbasie, czasem zupa mleczna, herbatę możesz słodzić, ile chcesz, nawet cztery łyżeczki! Na obiad zupa i drugie, prawie codziennie mięso, jak w przedwojennym pałacu.

– Karmią nas tu jak jakieś gęsi przed ubojem... – mruknęła Andzia Majer, czarnowłosa dziewczyna z kąta. Miała piękne czerwone policzki, które wyglądały jak pomalowane burakiem.

– Musisz tyć, inaczej będą ci kazali pić citropepsin – wyjaśniła Baśka.

– Ja nie chcę tyć! – krzywiąc się, zaoponowała Monika.

– To przed ważeniem pij wodę. Ja przynajmniej tak robię. Dwie, trzy szklanki, powinno wystarczyć.

– I nie tyjesz?

– Trochę się tyje. Jak nie tyć, skoro nie robimy tu nic innego, tylko jemy i leżymy?

Na obiad był pyszny krupnik na kościach schabowych i leniwe pierogi. Monika dawno nie jadła tak dobrego obiadu. I kiedy znów znalazły się w sali, z radością przyjęła wiadomość, że po posiłku przez dwie godziny muszą leżakować. Położyła się więc na swoim łóżku i po chwili już spała. Obudził ją dzwonek, w salach rozdawano podwieczorek: chleb z masłem, surową

marchew i herbatę.

Zaraz potem rozpoczęły się zajęcia szkolne. Klasa Moniki liczyła siedem osób, co było bardzo miłe, lekcji też odbywało się codziennie zaledwie cztery. Żyć nie umierać! Baśka również chodziła do siódmej klasy, usiadły więc razem. Po kolacji do dziesiątej wieczorem miały czas wolny, więc Baśka długo jeszcze wtajemniczała ją w inne szczegóły funkcjonowania oddziału VII oraz pokazała to, co stało się dla Moniki najważniejsze – szpitalną bibliotekę. Odtąd podczas leżakowania nie spała, tylko odpływała ku nieznanym miejscom i czasom.

Pierwszego grudnia Kazimierz wyjął ze skrzynki pocztowej kopertę zaadresowaną do niego dziecięcym, okrągłym pismem. Nagłówek nie było, bo Monika nie wiedziała, jak ma go tytułować. Pisała:

Pomyślałam, żeście może ciekawi, co u mnie. To tak. Szpital jest duży i śmierdzący lizolem. Leczy się w nim wiele chorych dziewcząt, chłopcy mają szpital w Otwocku. Moja lekarka nazywa się doktor Wajsmann i przychodzi codziennie po śniadaniu do naszej sali na obchód. Czasem się ze mnie śmieje, że Prątka ma prątki i dopiero teraz wiem, że te prątki to bakterie, które roznoszą gruźlicę. Pytała też mnie, kto u nas w rodzinie chorował, to nie wiedziałam, co powiedzieć, i rzekłam, że nikt. Wstajemy rano i mierzymy sobie temperaturę, a potem ją same wpisujemy do karty. Jeśli się której nie chce iść do szkoły, to wpisuje wyższą, bo wtedy musi zostać w łóżku. Codziennie dostajemy zastrzyk, co się nazywa streptomycyna, a po śniadaniu prawie garść różnych leków: białych, żółtych, różowych i pomarańczowych. Ja na szczęście nie jestem tak bardzo chora, żebym musiała mieć wycinane żebra, bo opowiadają, że są i takie. Niektóre podobno nawet umierają. Mają gruźlicę lekooporną. Moja taka nie jest, ale leki powodują, że nic w szkole nie mogę zapamiętać. Mam kłopoty z nauką, mimo że przykładam się tak jak kiedyś. W szpitalu bardzo dobrze nas karmią, dużo też odpoczywamy, choć nie wiem, po czym, bo zmęczyć się tu nie można. Co niedzielę przyjeżdża taki pan, co wyświetla filmy w sali teatralnej. Bilet kosztuje dwa i pół złotego i to jest dla wielu dziewcząt dużo, bo nie mają w ogóle pieniędzy. Jednej takiej pożyczyłam, ale mi nie chciała oddać, i mam nauczkę, bo doktor Wajsmann jeszcze mnie za to zrugła, że nie chcę się podzielić, bo ona biedna. A ona

już kilka dziewczyn tak nabrała. Dla mnie to jest złodziejstwo, bo jeśli kogo nie stać, to niech nie chodzi albo niech poprosi, żeby za niego zapłacić, a nie oszukuje, że odda.

Mamy tu też kółko teatralne i będziemy przedstawiać sztukę Zapolskiej „Wieczór paniński”. Ja dostałam rolę babci. W magazynku była czarna sukienka, to będę miała z niej kostium, zrobię sobie tylko żabot, mankiety i taki wałek z tyłu, żeby wyglądała jak dawniej hrabiny, co je u Pawlaka na zdjęciach widziałam. No i nie mam lorgnon, czyli takich okularów na rączce, ale może jeszcze coś wymyślę. Na przedstawienie mają do nas przyjechać chłopcy z Otwocka, potem będzie zabawa. Jedna starsza dziewczyna z mojego pokoju polała sobie włosy wodą utlenioną i zawięła na noc w ręcznik, a rano była już blondynką. Mówi, że blondynki mają większe powodzenie.

W piątki nas ważą, a w niedziele są msze. Doktor mówi, że pobędę tutaj pewnie do końca roku szkolnego i tak myślę, jak Wy sobie sami radzicie w domu? Może oddajcie koszulę do prania jakiej sąsiadce? A w mieszkaniu ktoś Wam pomoże posprzątać? Bo to już zaraz święta. Co poczniecie sam jeden? Na koniec przepraszam za kłopot, ale potrzebowałabym łyżkę, nóż, widelec i mały płócienny woreczek, żeby je przechowywać. Gdyby Wam nie sprawiło kłopotu poprosić u jakiej sąsiadki, żeby mi uszyła, bo tu każdy musi mieć własne. Tylko jak je przesłać, to nie wiem...

Pozdrawiam Was i życzę zdrowia, Monika

Kazimierz często wyobrażał sobie sytuację, że do domu nagle wraca Stefania, a on musi jej wytłumaczyć, co się stało, dlatego list Moniki bardzo go ucieszył. Wielki kamień spadł mu z serca, gdy się okazało, że dla dziewczynki jest nadzieja. Postanowił, że pojedzie odwiedzić ją w szpitalu, kupił sztućce i zamówił u sąsiadki woreczek, tylko wciąż nie miał pomysłu, co powie, kiedy go w szpitalu zapytają, jakie łączy ich pokrewieństwo. Tu, w mieście, wszyscy wiedzieli, nie musiał się tłumaczyć, było oczywiste, że mieszkał z jej matką. Teraz, kiedy Stefci nie było, ludzie nawet jakby bardziej go szanowali za to, że nie pozbył się małej. Nie pomyślał, że w szpitalu nikogo nie będzie obchodziło, kto przyjechał z wizytą do chorej.

Do tej pory nie przejmował się też brudnym mieszkaniem. List Moniki jednak sprawił, że postanowił posprzątać. W resztkę proszku Radion, który

znalazł w łazienkowej szafce, namoczył koszule i bieliznę, a spodnie i marynarkę oddał do pralni. Wreszcie kanciastym pochyłym pismem podziękował Monice za list i obiecał, że ją wkrótce odwiedzi.

Gutowo, sierpień 2016

W słoneczny poranek niedzielny o wpół do siódmej Monika była już na nogach. Ubrała się lekko i wyszła na spacer. Wstał piękny dzień: przyjemny i rześki. Warto się przejść, choćby niedaleko. Postanawiając wrócić, kiedy zgłodnieje, na razie czuła się wspaniale, pełna wigoru i chęci do życia, jakby wczorajszy wieczór dał jej nową energię. Nie pamiętała o swoich prawie siedemdziesięciu latach, maszerowała szybko, wymachując rękami, nagle zachciało jej się śpiewać. Podniecona szalonym pomysłem, który w środку nocy przyszedł jej do głowy, musiała wyjść, poruszać się, oswoić z nim albo odrzucić, zresztą i tak nie zdołałaby usiedzieć na miejscu.

Spotkanie z Teresą bardzo ją poruszyło. Wiele strun od dawna ucichłych zaczęło znowu drgać. Ta przyjaźń, przez lata zapomniana, odżyła niespodziewanie. Monika miała wrażenie, że od pamiętnych wakacji 1968 roku minęło zaledwie kilka dni. Trochę zazdrościła przyjaciółce, że jej życie osobiste tak wspaniale się ułożyło. Teresa nie wygląda dobrze, ale ma córkę i wnuczkę, jaka to ulga, kiedy się człowiek starzeje! Ta dziewczyna, Mia, jest taka śliczna, świeża, delikatna i mądra! Ależ byłoby cudownie mieć taką wnuczkę! Zwiedzać z nią świat, dzielić fascynacje, lektury, zostawić jej jakieś rodzinne pamiątki, wiedząc, że będzie się nimi opiekowała.

Nagle nieznośny ból samotności wżarł się w jej serce. Aby go przegonić, przyśpieszyła kroku i znów bezwiednie skierowała się ku Długołące. Ciekawe, co Teresa mówiła Mii o przeszłości? Czy opowiadała o ich wspólnych lekcjach u Pawlaka? O gorącej kawie zbożowej z grubym kożuchem i drożdżowym cieście z kruszonką, które wpychały sobie do ust, niemal nie gryząc? Czy mówiła o biedzie i głodzie, czy też oszczędziła jej tych smutnych obrazów? Mia nie wygląda na rozkapryszoną pannicę, ale sama Teresa mogła nie chcieć wspominać.

Może trzysta metrów od bramy dworku w Długołące Monika zatrzymała się

nagle, jakby trafiła na niewidzialną przeszkodę. Że też wcześniej nie przyszło jej to do głowy! Musi się dowiedzieć, kto jest obecnym właścicielem majątku. Skoro terenu nikt nie użytkuje, porzucony leży odłogiem, zapewne nikomu na nim nie zależy, a skoro nie zależy, może właściciel zechce się go pozbyć?

Kawałek ziemi to nie to samo co pałac, w który trzeba inwestować. Pałacu Monika nie odważyła się kupić, za bardzo wiązałyby ją z Polską. Była wtedy zresztą w innym momencie życia. Jeszcze głodna dokonań, walki, triumfów i pieniędzy. Kawałek ziemi może sobie leżeć i czekać na decyzję, co z nim począć. Właściwie ziemia nie jest jej do niczego potrzebna. Najwyżej po to, aby załatać dziurę w sercu, podziękować Pawlakowi, który w nią uwierzył i za kilkanaście kolorowych koralików kupił dla niej przyszłość.

Fred mnie wyśmiej! – pomyślała, przez chwilę zastanawiając się, czy nie ukryć tego pomysłu przed mężem, bo miała niemal pewność, że uda jej się znaleźć właściciela i jeszcze przed końcem pobytu w Gutowie zrealizować swój plan.

Znów kroczyła kasztanową aleją, napawając się poczuciem własności, jakby to już była jej ziemia. Słuchała ptaków i wyobrażała sobie, że zrekonstruuje tu dworek, taki sam jak ten, który przed wojną Pawlak wybudował dla swojej żony, Kingi z domu Bysławskiej. Będzie stał dokładnie w tym miejscu, gdzie stał tamten – na końcu alei kasztanowej. I tak jak tamten będzie biały, niski i przysadzisty, z dwiema kolumnkami, a w środku musi mieć kuchnię na węgiel i piec chlebowy. Na drewnianych podłogach z prostych desek położy się szmaciane dywaniki. W pokojach będą stare meble, a zamiast kaloryferów zbuduje się piece kaflowe.

Oczyrna duszy Monika widziała już dom, który tu wkrótce stanie. Spojrzała pod nogi, próbując odnaleźć obrys fundamentów. Wyrывая mniejsze rośliny i trąc nogą po podłożu, musiała przerwać, bo spostrzegła, że zbliża się do niej młody człowiek prowadzący rower.

Wyglądał na chłopaka z miasta: ubrany w koszulkę z nadrukiem i wąskie dżinsy, miał niewielką torbę i czapkę z daszkiem, modne okulary, a w uszach małe słuchawki, podłączone zapewne do telefonu.

Jest na wycieczce i chce spytać o drogę? – pomyślała i w tej samej chwili usłyszała sympatyczne:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry! – odpowiedziała, patrząc z oczekiwaniem i jakby odgadła jego intencje, poinformowała uprzejmie: – Tędy nie ma przejścia.

– Tak, wiem. Wszystko pozarastało. Tu był ten dworek...

Chłopak wyjął z kieszeni spodni ulotkę – przewodnik po okolicy. Podobne Monika widziała w hotelowej recepcji, dlatego kiwnęła głową i uzupełniła:

– Dworek Bysławskich, a potem Pawlaków. Właśnie tu.

– A pani jest...? – młodzieniec się zawahał, szukając jakiegoś określenia.

Nadal patrzył na nią z życzliwą ciekawością. Ale w gruncie rzeczy co go to obchodzi? Monika chciała mu powiedzieć coś złośliwego, w stylu: „Nie pański interes”, ostatecznie jakiś żart, na przykład: „Jestem duchem czasów”, ale powiedziała tylko:

– Jestem Monika. Napisałam tę książkę, wie pan...

– Tak? – ni to zapytał, ni stwierdził, jednak widać było, że nie rozumie.

– *Cukiernia Pod Amorem*. Pan jest stąd?

– Od niedawna. Właściwie z Warszawy.

– No tak. Dni Gutowa... – znalazło się wreszcie wytłumaczenie i nagle oboje jakby poczuli ulgę.

– Właśnie!

– I jak się tu panu podoba? – zapytała z życzliwością starej ciotki.

– Jest tak... wiejsko. Cicho. Trochę dziwnie.

– Pan się wychował w mieście?

Chłopak nie odpowiedział, tylko zmarszczywszy brwi, nadal na nią patrzył.

– A pani jest stąd?

Monikę rozśmieszyło to pytanie.

– I tak, i nie. Właściwie to nie. Chociaż tak – potwierdziła wreszcie. – Zależy, kto pyta.

– Pani tu kiedyś bywała? Wygląda pani jak ktoś, kto znał to miejsce.

– Tak, jako dziecko, dawno temu.

– Początkowo myślałem, że zbiera pani grzyby. Tu są grzyby, prawda?

– Nie mam pojęcia. Nie znam się na grzybach.

Monika czekała na pytanie: „To co pani tu robi?”, ale chłopak go nie zadał. Odwrócił się i zastygł ze wzrokiem skierowanym w stronę szosy.

– Dziwnie to wygląda: ta aleja prowadząca donikąd. Pomyślałem, że musiało tu coś stać, na przykład jakiś dom. Dawno temu.

– I nic po nim nie zostało, tylko te drzewa. Smutne, prawda?

W zamyśleniu kiwnął głową i odwrócił rower, jakby zamierzał wracać. Zrobił kilka kroków, a potem spojrzał na nią przez ramię i zapytał jeszcze:

– *Cukiernia Pod Amorem*? Będzie w księgarni?

Monika kiwnęła głową, ale i tak nie wierzyła, że on zajrzy do środka. To zresztą bez znaczenia. Dochodziła ósma, pora wracać.

Elena, Tessa i Mia znów jechały do Gutowa. Tessa wydawała się dziś jakaś bardziej zamyślona.

– Nie za dużo cię kosztuje to wspomnienie, mam? – zaniepokoiła się Elena.
– Prawie nic nie mówisz.

– Nie ma powodu. Może jestem nieco zawiedziona, ale naprawdę dobrze się bawię.

– Jakoś tego nie widać – mruknęła Mia. – Chociaż twój wczorajszy występ na dobranoc, muszę powiedzieć...

– Monika to miła osoba, nie uważacie? – Tessa nagle zmieniła temat.

– Sympatyczna – przytaknęła Elena.

– Trochę wyniosła – dodała Mia.

– Zawsze taka była... Chyba myślała, że pochodzi z dworku. W każdym razie nie z chałupy. – Tessa zachichotała. – Musicie dać jej szansę.

– Musimy? Dlaczego musimy?

– Bo zamierzam ją zaprosić do Wiednia.

– Jak sobie życzysz. W końcu to twoja przyjaciółka...

– Ale będzie też waszym gościem.

Maciek Podedworski przyjechał do Gutowa prawie miesiąc temu i od tej pory dużo jeździł na rowerze po okolicy. A ponieważ zatrudnił się w winiarni, miał wolne całe ranki, co skrupulatnie wykorzystywał. Dziwił się, że nie tęskni za Warszawą. Właściwie zaczęło mu się tu podobać.

Planował szybką sprzedaż za jakiegokolwiek pieniądze. Zamierzał się trochę powłóczyć po świecie, zbierał fundusze, sprzedawał różne zbędne rzeczy. Nie wykluczał, że zostanie na dłużej gdzieś w Azji: w Indiach, Wietnamie czy Tajlandii. Potrzebował trochę gotówki. I wtedy przypomniał sobie o testamencie. Niecałe dziesięć lat wcześniej dziadek zapisał mu kawałek ziemi. Nikt tu nigdy nie bywał. Rodzice czuli się mieszcuchami, na wakacje jeździło się do Grecji, Hiszpanii, Włoch, Egiptu. Piaski mazowieckie nie były dla nikogo atrakcją. Co ciekawego mogło być w takiej Długołęce?

Może znalazłby potrzebne pieniądze gdzie indziej, ale pewnego dnia przyszło ponaglenie w sprawie opłaty podatku rolnego i matka powiedziała

chłodno:

– Twoje, to płąć!

Tak się zaczęło. Przeglądając papiery, Maciek trafił na dziwny list od dziadka, w którym ten prosił go, aby przed sprzedażą pomieszkał przez trzy miesiące we dworku. To ostatnie okazało się niemożliwe, bo dworku już dawno nie było. Splądrowany, jak opowiadali okoliczni chłopcy, spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach. Maciek przyjechał tu pod koniec lipca jedynie na rekonesans, ale jego warszawskie sprawy tak się ułożyły, że wynajął pokój w hostelu i został, aby znaleźć kupca na swą ziemię.

Z miejscowym agentem rozmawiał jedynie przez telefon, co okazało się trafną decyzją, kiedy zupełnie przypadkiem usłyszał w winiarni rozmowę posła i wojewody. Zatem agent nie do końca mówił prawdę, że ziemia jest bez wartości, w dodatku „przeklęta” i nikt jej nie chce. Najbardziej Maciek dziwił się temu, że nie minął miesiąc, a on już prawie zapomniał o planowanej wyprawie do Azji. Na razie chciał zrozumieć, dlaczego dziadek tak bardzo pragnął, aby on się tu zjawił, czyżby w historii spalonego dworku kryła się jakaś rodzinna tajemnica? Dlaczego nigdy mu o niej nie opowiedział? Dlaczego, póki jeszcze żył, nie chciał tu przyjechać i sam sprzedać ziemi? Na razie Maciek nie miał pojęcia, jak się w tym połapać. Czasem wsiadał na rower i jechał do alei kasztanowej, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź.

I nagle dziś spotkał tę kobietę. Niby człowiek z krwi i kości, a miał wrażenie, jakby była widmem. Na dodatek mówiła samymi zagadkami. „Napisałam książkę”... Co do dworku jego dziadka miała cukiernia Pod Amorem?

Kobieta była realna, mieszkała w hotelu, widział ją raz czy dwa na parkingu. Wyglądała na zamożną, zresztą biedni się tu nie zatrzymywali. On sam nie jadał w restauracji hotelowej, pokoje też wydawały mu się za drogie. Nie lubił przepłacać za luksus, którego nie potrzebował.

Dziś zamierzał kupić tę książkę, może czegoś się dowie? Bez większej nadziei, że znajdzie odpowiedź na nurtujące go pytania, chciał też przejrzeć zbiory Muzeum Zajezierskich. Jak ta kobieta powiedziała? Dworek Bysławskich, a potem Pawlaków? Pawlaków, nie Podedworskich?

Do miasta udało mu się dotrzeć po dziewiątej.

– Czy ma pani historię Gutowa? – spytał miłą właścicielkę księgarni.

- Oczywiście. Regionalia stoją na półce za panem.
 - A czy ma pani również *Cukiernię Pod Amorem*?
 - W jakim wydaniu? Miękkim, twardym, w audiobooku, e-booku czy w pockecie?
 - Taką zwyczajną... – odrzekł nieco oszołomiony i speszony szeroką ofertą.
 - Czy to możliwe, że autorka jest akurat w mieście?
 - Nie widziałam jej, ale regularnie tu bywa. Chciałby pan dostać autograf?
 - Jeśli to nie kłopot, byłoby miło.
 - Dla kogo? – właścicielka księgarni, wyjmując notes, zamierzała zapisać jego personalia.
 - Dla Maćka.
 - Jak dalej?
 - Wystarczy po prostu „Dla Maćka”. Dziękuję. Czy mógłbym zabrać pierwszy tom, a do podpisu zostawić drugi?
 - To trochę nietypowe, ale nie widzę problemu.
- Maciek wziął do ręki książkę i przyjrzał się zdjęciu Moniki na skrzydełku.
- Autorka chyba mieszka w pałacu. Zdaje się, że dziś ją spotkałem.
 - Tak, zazwyczaj właśnie tam się zatrzymuje.
 - W takim razie nie będę pani zawracał głowy i sam poproszę o autograf.
 - Jak pan sobie życzy. Miłej lektury!
- Zostało mu jeszcze sporo czasu do rozpoczęcia pracy. Wszedł więc po sąsiedzku do cukierni Pod Amorem, zamówił duże lody oraz kawę, kupił też kilka ciastek z wróżbą. Rozsiadł się w cieniu markizy i otworzył pierwszy tom powieści.

Zajezierzyce, sierpień 1962

Jakoś z wiosną zaczął się remont pałacu. Podobno konserwator zabytków sypnął groszem i początkowo prace szły całkiem sprawnie. Co tam sobie gospodarze w okolicy przy okazji swoich domów połatali, nikt nie zliczy. W każdym razie z budowy worki cementu, deski, cegły, stal zbrojeniowa i inne materiały wyjeżdżały całymi przyczepami, a remont zwolnił i końca nie było widać. Ale to normalna rzecz i pewnie wliczona w koszty, bo przecież to ani pierwsza, ani ostatnia okazja, przy której się różni wzbogacić musieli. I kiedy na budowie robota prawie stanęła, pierwszy sekretarz PZPR z Gutowa, Benon Grzyb, syn zajezierzyckiego fornała, tego, co niegdyś rozparcelował majątek, wielka powiatowa szycha, zaczął przyjeżdżać na budowę, niby to z gospodarską wizytą. Jedni gadali, że sumienie go ruszyło za ojca, który się do upadku domu Zajezierskich przyczynił, drudzy, że sobie pałac na willę szykuje, stąd to zainteresowanie. Ale po prawdzie to chciał szumnie wydać za mąż córkę jedynaczkę. I ni stąd, ni zowąd znalazły się brakujące środki, o które bezskutecznie zabiegali niżsi rangą. Teraz remont już ruszył z kopyta.

Potem jeszcze wyszło na jaw, że pałacem zainteresowany jest Orbis, który zamierza tu urządzić hotel. Ludzie się trochę dziwili, kto będzie chciał w takim miejscu nocować, gdzie nic ciekawego nie ma. Remont jednak trwał w najlepsze i wkrótce wieś znalazła sobie inny temat do plotek, bo po domach zaczął chodzić rzekomo nowo mianowany dyrektor hotelu, który obiecywał, że kupi wszystkie pamiątki po Zajezierskich. Niektórzy zwietrzyli w tym interes i zaczęli przekopywać komory i strychy, znosząc mu rozmaite rzeczy i wmawiając, że to sama hrabina Ada za wierną służbę im podarowała.

Wesele Grzybówny odbyło się z wielką pompą pod koniec września i, szczerze powiedziawszy, tak mogłaby wychodzić za mąż córka Zajezierskich, gdyby ją kiedykolwiek mieli. Towarzystwo co prawda zjechało się może nie herbowe, ale za to sami swoi. Sól ziemi, najszlachetniejsi przedstawiciele

ludu pracującego miast i wsi, którzy od lat ponosili wielki trud budowania i utrwalania socjalizmu.

Mogło najwyżej dziwić, że po cywilnym ślubie w Gutowie cały kilkusetosobowy orszak rozmaitych oficjeli partyjnych i państwowych przybył do kościoła w Zajezierycach, gdzie już przez trzy tygodnie z ambony leciały zapowiedzi. Młoda Grzybówna zresztą niemal co tydzień przyjeżdżała z matką do zajezieryckiego kościoła, tu również z miejscowymi dziećmi kilkanaście lat wcześniej przystąpiła do komunii. Msza się odbyła, jak Pan Bóg przykazał, szpilki nie dało się do kościoła wcisnąć i liczni goście musieli się zadowolić staniem na dworze, co chyba niespecjalnie im przeszkadzało. Sobota była ciepła i słoneczna, a wielu z nich już dawno wzięło rozbrat z Kościołem, więc nie bardzo im wypadało przed figurą świętego Floriana na klęczki padać.

Grzyb wydawał córkę za Krzyśka Majchra, wnuka najbogatszego tutejszego gospodarza, Stanisława Majchra, który miał więcej szczęścia od hrabiego, skoro władzy ludowej, mimo ponawianych raz po raz prób, jakoś nie udało się go rozkułaczyć. Teraz jego wnuk pieczętował sojusz miasta ze wsią i dobrze się ustawiał na długie lata, bo zięciowi pierwszego sekretarza to wiadomo, nikt nie podskoczy. Chłopak był inżynierem rolnikiem i czekało już nań parę hektarów pod szkłem, gdzie zamierzał hodować pomidory i inne nowalijki. Ludzie przebąkiwali, że to jego ojciec Ryszard kupił pałac dla syna, bo sam już nie wie, co robić z forszą. Ale to była tylko ludzka zawiść. Widać nie znali Majchrów, którzy zawsze umieli liczyć grosz i już dawno stwierdzili, że taki budynek na nic im nie jest potrzebny, bo tylko uwagę władz zwraca.

Wprost z kościoła goście przeszli pieszo do pachnącego świeżością, lecz ubożuchno umeblowanego pałacu. Tu zasiedli za prymitywnymi, skleconymi byle jak stołami. Ale białe obrusy długie na kilka metrów zakryły ledwo oheblowane deski. Krzesła i ławy przywieziono z remizy strażackiej, dywany z USC, Komitetu Miejskiego PZPR i innych instytucji Gutowa. Zespół muzyczny ściągnięto aż z Płocka. Poczęstunek przygotowała najlepsza gospoda ludowa z okolicy. W menu uwzględniono tylko to, co towarzyszył sekretarz osobiście zaaprobował. Miało być swojsko i smacznie, zatem: na zakąskę galaretką z nówek, tatar, sałatka jarzynowa i półmiski wędlin z małej masarni. Potem rosół i flaki. Na drugie kotlety schabowe z ziemniakami i ogórek kiszony. Wreszcie tort i inne ciasta od Hryciów, do tego kawa, herbata,

oranżada i ciociosan. Z wódek wyborowa, żytnia i żubrówka, bo inne niechybnie wywołują kaca. Dopiero po północy zaczęto donosić czystą i stołową, ale wtedy to już nikt nie patrzył na naklejki.

Kazimierz, przedwojenny komunista, partyzant i utrwalacz władzy ludowej, niesłusznie za politykę osadzony i zwolniony na fali odwilży, został wiosną pierwszym sekretarzem organizacji zakładowej PZPR u siebie w fabryce. I mimo że nie wiązały go z rodziną Grzybów żadne relacje, znalazł się wśród gości weselnych. Oficjalnie zaproszony przez ojca panny młodej wraz z osobą towarzyszącą, zabrał ze sobą Monikę. Siedząc obok niego i nudząc się nieskończenie, ciekawym uchem z rozmów pijanych gości wyławiała interesujące ją plotki. Podczas kuracji w Dziekanowie urosła i zaokrągliła się, zaczęły jej też nagle rosnać piersi i pewnie dlatego wciąż ją ktoś zapraszał do tańca. Jednak byli to przeważnie podochoceni wypitym alkoholem i swobodną atmosferą starsi panowie. Monice niedobrze się robiło od kwaśnego zapachu wódki i papierosów, krępowały ją komplementy i żarty, na które niemal każdy usiłował się wysilać, złościły podrygi niezręcznych tancerzy, w wyniku których jej stopy zostały wielokrotnie niemiłosiernie podeptane.

Wyszła więc do hallu, żeby choć trochę odpocząć. I wtedy zobaczyła Grześka Hrycia. Co on tu robił? Nawet nie był w stroju, który sugerowałby, że jest gościem.

- Cześć! – powiedziała, zadowolona, że ma się do kogo odezwać.
- Serwus! – Uśmiechnął się niepewnie.
- Co tu robisz?
- Matka mnie przysłała, żeby zobaczyć, czy czegoś nie brakuje.
- Ciasta są pyszne! Od razu się domyśliłam, że to od was!
- Jesteś z Gutowa?
- O matko, tak się zmieniłam?! To ja, Monika z osiedla na Piaskach. Przecież chodziliśmy do tej samej szkoły!
- Niemożliwe!
- Ostatnio mnie nie było. Wyjeżdżałam – powiedziała i zauważyła w jego oczach coś, co kazało jej się zarumienić.
- Polecę tylko do kuchni, zgoda? Zaczekaj tu na mnie! – poprosił Grzesiek i rzucił się, aby wypełnić swą misję. Wrócił po krótkiej chwili. – Mówią, że im wystarczy, co za ulga! Mogłabyś mi przynieść coś do jedzenia? –

wyszeptał.

– Pewnie! – wykrzyknęła, zadowolona, że może się na coś przydać.

W sali nie znalazła jednak żadnego czystego talerza, poszła więc do kuchni. Minęła Grześka czekającego w hallu, spojrzała na niego porozumiewawczo, a potem, zadowolona z siebie, tanecznym krokiem wróciła na salę. Nikt jej nie zatrzymał ani o nic nie zapytał.

– Proszę! – triumfalnie, niczym drogocenny dar, podała mu wielki talerz smakowitości.

– O kurczę! – zachwycił się Grzesiek. – To ci dopiero wyzerka! – Westchnął z lubością, po czym rozejrzał się, gdzie mógłby spokojnie zjeść, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Na tarasie są schodki – zaproponowała Monika.

Kiedy po kwadransie opróżnił talerz, wierzchem dłoni wytarł usta i wyznał coś zdumiewającego:

– Chciałbym z tobą zatańczyć, ale nie mam odpowiedniego stroju. Może innym razem?

Były to najpiękniejsze słowa, jakie usłyszała w życiu. Zawstydzona i spłoniona, ledwie zdołała wyszeptać: – Nie szkodzi... – ale on już wybiegł, wsiadł na rower i mocno pedałowując, popędził w stronę bramy.

Na podjeździe przed pałacem dzieciaki miały używanie. Darły się i tańczyły, bo muzyka z wielkiej sali płynęła szeroko nie tylko w kierunku jeziora, ale też na przeciwną stronę, gdzie zgromadził się niemały tłumek miejscowych, co to niemal od ćwierć wieku żadnej muzyki stąd nie słyszeli. A wszak niektórzy wciąż pamiętali jeszcze wielkie bale, jakie za życia hrabiny tu się odbywały. Tylko towarzystwo było wtedy jakby bardziej wytworne, na zewnątrz zaś żadnej hołocie nie zezwolono by na takie harce.

Babcia Bronia nie musiała podchodzić aż pod drzwi pałacu, żeby usłyszeć modne przeboje, które i tak leciały co dzień z radia u sąsiadów. Jakoś jej się dziwnie robiło, gdy widziała pałac rozjarzony światłami i rozbrzmiewający muzyką i śmiechem. Teresa z matką właśnie wróciły od masarza i zmęczone przycupnęły obok niej, aby użyć trochę radości.

– Patrzcie, matka, jak to się ten Grzyb panoszy, że też kary boskiej na takiego nie ma! – Wiesława westchnęła. – A dzieci gdzie?

– Wariują sobie na podjeździe. Tego nikt im nie zabroni.

Teresa, nawykła do pilnowania rodzeństwa, poderwała się szybko, aby sprawdzić, gdzie są Danusia i Mietek. Przede wszystkim jednak chciała podejrzeć choćby przez okno, jak się bawią goście w pałacu. Nagle przed drzwiami zauważyła Monikę. Chyba patrzyła w ślad za jakimś rowerzystą, który właśnie zniknął w czeluści głównej bramy. Czy to na pewno ona? Miała falbaniastą sukienkę w czerwone maki, w której wygląda prawie jak dorosła. Zapuściła włosy i rozjaśniła je. Zwisły w lokach zebranych szeroką czerwoną wstążką. Włożyła płaskie szare pantofle. Gdyby miały obcasy, Teresa by chyba nie przeżyła. Pewną ulgę sprawiało jej to, że przyjaciółka zrobiła się jakaś tęga, chociaż było jej z tym do twarzy.

Teresa zatrzymała się niepewnie kilka kroków od niej, ale Monika już ją zauważyła. Przez dłuższą chwilę mierzyły się wzrokiem, wreszcie ruszyły ku sobie, bardziej zakłopotane niż uradowane.

– Teresa?

– Monika? Co tu robisz o tej porze?

– Urwałam się z wesela.

Teresa uśmiechnęła się blado i wskazując swoją starą pobrudzoną sukienkę, powiedziała zażenowana:

– Przepraszam, dopiero wróciłam z roboty. Chodź do nas!

– Nie, już późno...

Coś je dzieliło. Coś więcej niż fakt, że jedna pochodziła z miasta, a druga ze wsi. To się czuło. Nie były już przyjaciółkami.

– Słyszałam, że byłaś chora... – mimo wszystko Teresa spróbowała nawiązać konwersację.

– Ale nie bój się, nie zarazam. Kazimierz mówi, że Polska Ludowa mnie wyleczyła. – Monika się roześmiała. – Przez tę chorobę nie zdałam, wiesz?...

– wyznała zawstydzona. – Muszę powtarzać klasę.

Teresa wzruszyła ramionami.

– No i co? Teraz już wszystko wiesz, możesz być prymuską.

– Nie mogę, coś jest nie tak z moją głową. Niczego nie potrafię zapamiętać. Mówią, że to minie, ale kiedy?...

– Więc to nie twoja wina. Ja też nie zdałam, kiedy przeszłam do miejskiej szkoły.

– Będą się ze mnie śmiać. Jestem za duża na podstawówkę.

– Szybko zapomną.

– Myślisz?

– Wyładniałaś! – rzuciła na pocieszenie Teresa i zauważyła, że sprawiła Monice przyjemność.

– Oj tam, taka gruba jestem... Piersi mi urosły. Strasznie dużo musieliśmy jeść w szpitalu.

– To pozazdrościć.

– Ciągłe tylko leżakowanie i jedzenie. Do znudzenia.

– Ale bym tak pochorowała... Odpoczęłabym sobie. – Teresa westchnęła.

– Akurat! Szybko by ci się znudziło. Wybierasz się do ogólniaka? – zapytała zniecierpliwiona Monika.

– Nie wiem, czy zdam egzamin – odparła Teresa, ale przecież już prawie zdecydowała, że pójdzie do zawodówki. Nie stać jej na liceum ani na studia.

– Fajnie byłoby się spotkać!

– No.

Monika nadal zerkała w kierunku bramy i myślała o czymś intensywnie, aż nagle zapytała:

– A ty już miałaś chłopaka?

Teresa domyśliła się, że Monice nie chodziło o to, co ona czuła, spotykając się z Włodkiem. Sądziła raczej, że pytanie miało jakiś związek z jej mikroskopijnymi piersiami. Zamiast więc odpowiedzieć, prychnęła zdumiona i oburzona.

– No co ty!

– Bo ja wszystko wiem, tylko jeszcze nie próbowałam. I mam już okres, a ty?

Teresa pokręciła głową. Zawstydzona własną ignorancją i nie zamierzała się zapuszczać w niebezpieczne rejony. Bała się nawet spojrzeć Monice w oczy.

– Dziewczyny mówią, żeby się nie śpieszyć, bo choroby „W” atakują! Więc uważaj! – Monika dodała usprawiedliwiająco.

Teresa chciała już stamtąd odejść. Rozglądała się za rodzeństwem, by niczym niesforne gęsi zagonić brata i siostrę do domu. Pożegnała się nieuważnie, jakby lada dzień znów miały się spotkać, a w rzeczywistości po prostu uciekła.

Monika zaś po raz ostatni spojrzała ku bramie i wzdychając głęboko, wróciła na salę, gdzie nikt na nią nie czekał.

W otwartych drzwiach na taras pan młody wymiotował bez skrępowania. Znad jeziora dochodziły wesołe krzyki pijanych mężczyzn i kobiet. Po pałacowym hallu z mętym wzrokiem snuli się biesiadnicy, paląc papierosy

i gasząc pety, gdzie popadnie.

Mimo uchylonych drzwi i okien na sali balowej nie dało się oddychać. Wisiały tu gęste opary potu, alkoholu i dymu. Monice zrobiło się niedobrze, chciała wyjść, ale napotkała wzrok Kazimierza. Już dobrze pijany, zawołał ją do siebie, szarmancko pocałował w rękę i zaprosił do tańca, podczas którego wydyszał jej do ucha:

– Tobie też urządzimy takie weselicho!

A ona, nie wiadomo czemu, pomyślała o Grzešku Hryciu.

Gutowo, sierpień 2016

Monika nieśpiesznie wracała ze spaceru do Długołaki. Z uwagą, jakby go widziała po raz pierwszy, przyjrzała się frontonowi pałacu i przypomniała sobie nigdy niespełnioną obietnicę opiekuna. Ale pałac, choć pięknie utrzymany, nie robił już na niej takiego wrażenia jak wtedy, gdy upojona weselem, z namowy Kazimierza wypiwszy kieliszek wina, wyobrażała sobie swoje przyszłe życie. Dziś uśmiechała się z rozrzewnieniem na wspomnienie dziewczynki, dla której pałac, nawet niewykończony i bez mebli, stanowił szczyt elegancji i luksusu. I nagle, nie wiadomo dlaczego, to wspomnienie wydało jej się niezwykle odległe.

– Żyję już tak długo... – westchnęła.

Zbyszek Hryć czekał w łazience, aż matka wyjdzie, i gdy usłyszał, że idzie otworzyć sklep, ubrał się szybko i przez podwórko wymknął na rynek. Sklep jubilerski znajdował się po przeciwnej stronie. Podobnie jak wszystkie inne był już otwarty. Chłopak obejrzał dokładnie wystawę, ale przy eksponatach nie umieszczono cen, a on bardzo na to liczył, musiał zatem wejść do środka. Pochylając się nad ladami, z uwagą studiował medaliki i łańcuszki, potem oglądał zegarki, bransoletki, wreszcie podszedł do pierścionków.

Właścicielka, Wanda Raczko, znała i lubiła Zbyszka, ale tylko odpowiedziała na jego powitanie i dalej przecierała lady. Nigdy nie narzucała się klientom, a on miał tak skupioną minę, że w lot odgadła jego problem. Przemknęło jej przez myśl, że może Zbyszek zostanie ojcem. Trochę za wcześnie, ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, w najlepszej rodzinie się zdarza. Zresztą teraz młodzi tak zwlekają z żeniactwem, że to by nawet dobrze było. Waldek i Helena wszak nie najmłodszy, synowa im się przyda. A dwa domy przecież mają, ten drugi, wynajmowany, chyba od zawsze miał być dla Zbyszka, więc nic, tylko zamawiać termin w pałacu i wesele urządzać.

Wanda snuła te radosne plany, a Zbyszek tymczasem zdążył się pożegnać

i szedł przez rynek w kierunku cukierni. Trochę zazdrościła Hryciom, bo żaden z jej dorosłych już przecież synów nie zamierzał się jeszcze ustatkować.

– Czy to miejsce jest wolne? – usłyszał niespodziewanie. Podniósł wzrok i natychmiast się poderwał. Przy jego stoliku z tacką, na której były lody i espresso, stała Mia.

– Przecież bym ci postawił! – Maćkowi zrobiło się przykro, że nie zauważył, kiedy podeszła.

– Taki byłeś zaczytany, nie chciałam przeszkadzać, ale nigdzie nie ma wolnego stolika, więc jeszcze raz pytam: wolne to miejsce? – Wciąż trzymała tackę, a on już odsuwał jej krzesło.

– Nie uwierzysz, ale czekałem na ciebie.

– Rzeczywiście, nie wierzę.

Jej uśmiech był cudowny. Maciek chciałby wziąć ją za rękę, ale bał się, że jeszcze na to za wcześnie.

– A gdzie twoje panie? – zapytał tylko.

– Zdaje się, że pojechały na cmentarz. Babcia odhacza punkt po punkcie. Nie mamy pewności, czy jeszcze kiedyś tu wróci.

– Zamykacie bilans? Też tu jestem z tego powodu.

– Ale chyba ty nie zamykasz bilansu?

– Nie, chociaż po to przyjechałem. Tylko że sprawy się skomplikowały.

– Ach tak... – usłyszał zawód w jej głosie.

– Nie aż tak bardzo. Nigdy nie byłem w Wiedniu – zmienił temat. – Zawsze mi się wydawał za blisko – wyznał, jakby oczekiwał zaproszenia.

– Ciekawa ta książka? – zapytała Mia z pozorną obojętnością.

– Nie ciekawsza od ciebie, ale dzisiaj rano poznałem autorkę.

– Przyjaciółka mojej babci. To znaczy z dawnych czasów.

– Nie uważasz, że to zabawne, jak ludzie strasznie tęsknią za dzieciństwem? A kiedy jest się dzieckiem, człowiek marzy, aby jak najszybciej dorosnąć.

– Dorosłym przecież wszystko wolno. I nie muszą chodzić do przedszkola.

– Piękne złudzenia... – Maciek westchnął. – Kiedy ci przeszło?

– A co, nie wolno im wszystkiego?

– W każdym razie wciąż próbują.

– I srodze się zawodzą.

– Skąd tyle goryczy u takiej ślicznej dziewczyny?

Komplement sprawił Mii przyjemność, skrzywiła się jednak na pokaz.

- Co tu właściwie robisz?
- Takie małe dochodzenie.
- Tutaj? W tym mieście? – parsknęła. – I dla niepoznaki zostałeś barmanem w winiarni?
- Najdziwniejsze, że się wciągnąłem.
- To chyba nici z wyjazdu do Wiednia? – zapytała kokieteryjnie.
- Zależy, kto zaprasza.
- A jeśli ja? – Dziewczyna się uśmiechnęła, a on miałby ochotę już dziś rezerwować bilet.
- Super, ale jest pewien problem... W lecie nie dam rady. Muszę tu zostać do końca października. Zawarłem umowę.
- Umowy się renegotjuje.
- Nie tę.
- Nie możesz rzucić pracy w winiarni? – Wyglądała na zawiedzioną i to mu pochlebiało.
- Nie chodzi o winiarnię, tylko coś znacznie ważniejszego.
- To będę się musiała pocieszyć lodami... – Mia wróciła do deseru.
- A ty nie mogłabyś tu trochę zostać? – spytał z głupia frant.
- Tu?! – parsknęła. – W tym mieście?! A co miałabym tu robić?! Pracować w winiarni?!
- Na przykład.
- Daj mi trzy dni do namysłu... – poprosiła, on jednak wiedział, że to tylko cytat z bajek.

Tessa stała zamyślona nad nagrobkiem rodziny Rozparów. Pochowano tu Włodka i jego rodziców. Zrobiły z Eleną porządek i zapaliły znicze na skromnym zaniedbanym grobie. Po krótkiej modlitwie nie było już sensu dłużej stać, ale ona się nie ruszała.

- To nasza rodzina? – zapytała Elena, Tessa jednak tylko pokręciła głową.
- Obcy ludzie.

Znowu tajemnica. Elena czuła się trochę przygnieciona tymi zagadkami, tajemnicami i niedopowiedzeniami, które na nią spadały. Gdyby matka była trochę bardziej otwarta, gdyby więcej opowiadała o dzieciństwie spędzonym w Polsce, Elena może miałaby jakąś radość z poznawania tych wszystkich

miejsc i ludzi. Ale ona z jakiegoś powodu zawsze trzymała swoje życie pod kluczem, dlatego rola jej towarzyszki była tak niewdzięczna.

– Ten chłopiec?... – zaryzykowała.

– Był moją pierwszą miłością – nieoczekiwanie odparła Tessa. – Już nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Wiem tylko, że miał rudawe włosy i piegi. Umarł w tamtym szpitalu, pod który podjechałyśmy. Nie byłam nawet na pogrzebie – wyznała i głos jej się załamał. – Miał szesnaście lat...

Elena milczała, pozwalając matce zmierzyć się ze wspomnieniami.

– To nie była jakaś wielka miłość, ale byłam w nim zakochana na swój sposób, lubiłam go, był moim przyjacielem. A potem nagle umarł. Wtedy zrozumiałam, że ja też kiedyś umrę, i bardzo się przestraszyłam. Nie przypuszczałam, że mi to zajmie tyle czasu... – z łobuzerskim prychnięciem skończyła wreszcie Tessa.

– Mamo!

– Przepraszam, to głupie. Co robimy? Jedziemy do Zajezierzyc? Tylko znajdziemy jakąś kwiaciarnię, chciałabym kupić kilka wiązanek.

Wiązanki sprzedawane pod cmentarzem nie zyskały aprobaty Tessy, ale po drodze Elena zauważyła małą kwiaciarnię. Zatrzymała auto i tam kupiły trzy kompozycje z żywych kwiatów. Pozostawiając Mię jej sprawom, jechały po Monikę. Między Gutowem a mostkiem na Rudawce Tessa oznajmiła nagle niezwykle poważnym tonem:

– W młodości zrobiłam coś złego.

Elenę przeraziło to wyznanie, ale zebrała w sobie wszystkie siły i odparła z pozorną lekkością:

– Nie rozśmieszaj mnie, mamo. Za dobrze cię znam. Nie jesteś zdolna do czynienia zła.

– Każdy jest zdolny. Chciałabym tylko, abyś zawsze pamiętała, że bardzo cię kocham.

– A cóż to za łzawy ton?! Wiem, że mnie kochasz, i nie pozwalam na żadne ckliwe zwierzenia!

– Czasami, chcąc zrobić dobrze, krzywdzi się tych, którym chciało się pomóc – ciągnęła Tessa.

– Jeśli nawet, jakie to po tylu latach może mieć znaczenie?

– Widać ma, skoro tu jesteśmy.

- Czasami lepiej nie wiedzieć.
- Może, ale doszłam do takiego wieku, że spokój ducha i poczucie, że nie zostawiło się niezalążonych spraw, że się zadośćuczyniło wszystkim, na których ci zależy, te może niemodne teraz rzeczy, dla mnie są ważne.
- Wydaje mi się, że przyjechałaś tu nie po to, żeby znaleźć ukojenie w chorobie, co jeszcze bym zrozumiała, ale żeby się dodatkowo ranić! – zezłościła się Elena.
- Jest w tym trochę racji.
- A nie mogłabyś cieszyć się życiem bez samobiczowania?
Tessa się roześmiała.
- Jak ty mnie znasz!
- I co mi z tego, skoro nie chcesz się zmienić?! Jesteś uparta i zawsze usiłujesz postawić na swoim, nawet kiedy nie masz racji. A ja muszę się na wszystko godzić.
- Już niedługo, córeczko, już niedługo...
- Teraz mnie jeszcze straszysz! Nie za dużo tego?! Dlaczego to nie może być miły wypad do kraju dzieciństwa! Dlaczego musisz zawsze wszystko komplikować? Może nikt nie chce twojej prawdy? Ludzie przyzwyczaili się do własnych prawd, umościłi w swoich przekonaniach, a ty chcesz im teraz wszystko wywrócić do góry nogami! Może lepiej byłoby zostawić sprawy ich naturalnemu biegowi? Pouśmiechać się trochę, powspominać, pogrzać na słońcu, popić kawy, polizać lodów i rozjechać się w zgodzie, nawet jeśli miałyby na tym ucierpieć czyjaś duma? Na przykład twoja.
- Moja mądra córka! – z nieukrywanym podziwem powiedziała Tessa.
- Skoro rzekomo jestem taka mądra, to chociaż raz skorzystaj z tej mądrości! Nie pakuj palców między drzwi, nie wywołuj wilka z lasu, czy jak to się tam jeszcze mówi. Po prostu odpuść, mamó. Obiecuj mi. Obiecujesz?
- Zastanowię się.

Gutowo, wrzesień 1962

Wbrew pozorom przez te kilka dni wakacji, które zostały do rozpoczęcia roku szkolnego, Grzesiek Hryć nie zapomniał Moniki. Przejechał nawet kilka razy pod blokiem, ale nigdzie jej nie spostrzegł. Sam przed sobą się nie przyznawał, że mu się podobała, zresztą myślał wyłącznie o jej piersiach. Żadna z dziewczyn, które znał, nie miała takich. No, może Kaśka, ale Kaśka była chwilowo poza jego zasięgiem. Grzesiek chętnie zaprosiłby Monikę na lody, zawsze tak zaczynał bliższą znajomość z dziewczętami. Wszystkie wiedziały, że jego rodzice mają cukiernię, i za trzy gałki lub za ciastko niekiedy pozwalały się pocałować albo rozpiąć bluzkę.

Ale tym razem nie chodziło o pocałunki, chociaż Grzesiek wiedział, że od tego wypadałoby zacząć. Jednak on już dawno dojrzał do bardziej intymnego eksperymentu. Dlatego szukał takiej dziewczyny, która będzie wiedziała, o co chodzi, i na dodatek nie uprze się przy jakichś ceregielach. Jego wyobraźnię rozpałały duże i pulchne. Kiedy zobaczył Monikę, od razu pomyślał, że świetnie się nadaje. Jej rozbuchana kobiecość bardzo silnie na niego podziałała. Męczył się, czekając na okazję i planując miejsce schadzki. Ze względu na rodzeństwo i zawsze pełny dom nie mogło się to odbyć u nich, ale wrzesień był ciepły, więc może gdzieś w ruinach zamku albo po prostu u niej? To mu się wydawało najwygodniejsze.

Nie był naiwny, wiedział, że najpierw musi ją poprosić o chodzenie. Z niewiadomego powodu dziewczyny strasznie się przy tym upierały. Co im dawały te wszystkie zapewnienia, które i tak miały za chwilę zostać złamane? Ale dobrze, gotów był kłamać, zapewniać, przysięgać, byle tylko pokazała, co tam ma, jak to jest. Byle chciała się obnażyć, bo to pragnienie, to ciśnienie gdzieś w środku, ta bez mała konieczność poznania damskich kształtów doprowadzały go do białej gorączki. Nie mógł się uczyć, nie mógł spać, nie mógł normalnie funkcjonować.

Rankiem wstydził się mokrych plam na pościeli i bał się, że matka je

zobaczy, dlatego co prędzej wrzucił pościel do schowka, ale ona i tak pewnie się domyślała. Oczekiwał nawet, że pewnego dnia weźmie go na rozmowę i zrugą, ale na razie tylko patrzyła, czasem jakoś tak bacznie i wciąż powtarzała, że nauka jest najważniejsza. Wiedział przecież, nie chciał życia spędzić w cukierni, marzył mu się wielki świat. Ale to też było ważne! Wielki świat i nauka nie uciekną.

Gdyby Monika przypuszczała, jak wielkie wrażenie zrobiła na Grześku, może by go szybciej poszukała, nie czekałaby, aż spotkają się przypadkiem na ulicy. Zresztą powtarzała siódmą klasę, a on już zaczął się uczyć w liceum. Musiała dużo czasu poświęcać na naukę, bo wciąż jej nie szło tak, jak by chciała. Myśląc ze strachem, że już nigdy nie odzyska pamięci i przyjdzie jej zostać sklepową, kuła całymi dniami i wieczorami, ale skutek nadal pozostawał mizerny. Czasem widywała go, jak przejeżdżał obok jej bloku, ale nigdy nie zdążyła otworzyć okna ani wyjść na zewnątrz. Nie przypuszczała też nawet przez chwilę, że on może właśnie jej szukać. Co z oczu, to z serca. Zresztą miał już wtedy wielkiego, trudnego do pokonania rywala – telewizor Szmaragd.

Z początkiem września Kazimierz awansował i zaczął pracę w Komitecie Miejskim PZPR. Kilka dni później podczas kolacji chrząknął, dając jej do zrozumienia, że powie coś ważnego, i wyjął z kieszeni kilka setek.

– Od dziś będę ci oddawał pensję – powiedział, jakby to wcześniej ustalili.

Dłoń Moniki, w której niosła do ust kanapkę z żółtym serem, zawisła w powietrzu. Jakoś nie ucieszyła jej ta wiadomość.

– A czemu tak?

– Bo mnie się pieniądze nie trzymają – odparł. – Wy, kobiety, macie lepszą głowę do oszczędzania. Teraz mam wyższą pensję i wejście do sklepów od zaplecza. Może tak byśmy coś kupili?

– Co na przykład?

– Bo ja wiem? Lodówkę, pralkę albo telewizor?

Monika aż podskoczyła. Telewizor w całym bloku mieli tylko Wasiakowie. Dopchać się do nich na film było nie lada wyczynem. Raz czy dwa Monika nawet stała przez całą „Kobrę”! A teraz mogłaby siedzieć sama w pokoju i oglądać film albo jakiś inny program! Gotowa była nie dojechać, byle tylko

odłożyć potrzebną kwotę.

Następnego dnia umówili się z Kazimierzem i poszli do sklepu ZURT, gdzie, o dziwo, można było niemal od ręki kupić telewizor. Brakowało im nieco mniej niż połowę potrzebnej kwoty, ale okazało się, że w pobliskim punkcie ORS-u², legitymując się zaświadczeniem z pracy, Kazimierz może dostać niskoprocentowaną pożyczkę. Kupili telewizor następnego dnia, a Monika wzięła na siebie pamiętanie o spłacie rat. Musiała też obiecać Kazimierzowi, że nie opuści się w nauce, ale obiecałaby wszystko, czuła się bogata i musiała wykazać się odpowiedzialnością: zdążyć z lekcjami i robotą w domu, a jednocześnie mieć czas na codzienny seans przed telewizorem. Na szczęście program zaczynał się późnym popołudniem, ale wtedy nawet nie włączała odbiornika. Wystarczyło jej obejrzenie wiadomości i filmu, a czasem, kiedy puszczały rosyjski dramat wojenny, bez żalu z filmu rezygnowała. W niewytłumaczalny sposób telewizor skłaniał ją do lepszej nauki.

Mimo szczelnie zaciągniętych zasłon sąsiedzi dojrżeli w oknie na parterze charakterystyczne sine światło. I raz ktoś wpadł pożyczyć szklanek mąki, innym znów razem jakieś dziecko zapytało, czy może zaczekać na matkę, dość, że po tygodniu już wszyscy wiedzieli. Zaczęli się schodzić najpierw po cichu, jakby ukradkiem, przysiadali na wersalce, niby na chwilę, ale nie było jak ich wyprosić. Potem już z własnymi krzesłami, bez dzwonienia, bez pukania nawet, o wpół do ósmej przychodzili na „Dziennik Telewizyjny” i zostawali do końca filmu, kiedy to komentując między sobą zakończenie lub zgoła nic nie mówiąc, wychodzili, bąknąwszy pod nosem „Dobranoc”.

Po tygodniu Monika tęskniła do czasów, kiedy nie mieli telewizora, ale za to w mieszkaniu panował spokój. Zamiast oglądać film, zamykała się w kuchni i wkuwała historię lub odrabiała matematykę. Kazimierz, który nie przewidział konsekwencji zakupu telewizora, też złościł się na siebie. Należało raczej kupić pralkę! Trudno mu było znosić codzienne wizyty obcych ludzi, toteż coraz częściej zostawał do późna w pracy, czasem szedł na wódkę i wracał po dziesiątej, kiedy miał pewność, że wszyscy goście już sobie poszli.

Pewnego zimnego październikowego wieczoru, kiedy deszcz łomotał o szyby, a wiatr wdzierał się w szczeliny wypaczonych ram okiennych, ten codzienny rytm został zakłócony. Kazimierz jeszcze nie wrócił z pracy,

a Monika jak zwykle siedziała w kuchni, odrabiając lekcje. Nie potrafiła się skupić, bo z pokoju co chwila dobiegały głośne śmiechy sąsiadów oglądających jakąś zagraniczną komedię. Już trzeci raz, wpatrując się w stronę podręcznika, czytała półgłosem treść zadania, kiedy nagle poczuła, że ktoś stoi w przedpokoju i na nią patrzy. Uniosła wzrok i lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. To była Stefania.

Wyglądała jakoś inaczej, chyba utyła. W przemoczonym prochowcu i chustce na głowie, nie ruszała się, oczekując zaproszenia. Monika przypuszczała, że matka kiedyś wróci. Dawniej, gdy spodziewała się, że nastąpi to lada dzień, wyobrażała sobie scenę powrotu, ale nigdy nie wymyśliła, co powinna wtedy powiedzieć. Ostatnio jednak nie wspominali z Kazimierzem o Stefcu. Nie czekali na nią i nie robili w związku z jej powrotem żadnych planów. Żyli tak, jakby już na zawsze mieli zostać tylko we dwoje. A teraz ona się zjawiła i – Monika nie miała co do tego żadnych wątpliwości – na pewno wszystko zrukuje.

Mimo braku reakcji ze strony córki Stefcia wolno rozwiązała chustkę, strzepnęła ją i poruszyła głowę. Potem rozpięła płaszcz i powiesiła na wieszaku. Ubrana w szarobrązową spódnicę z wełny i szary sweter, na nogach miała brązowe pantofle i grube pończochy. Wciąż nie mówiąc ani słowa, nastawiła wodę na herbatę, wyjęła z szafki pod oknem chleb, masło i kawałek salcesonu, który tam leżał, zrobiła sobie kanapkę, usiadła na taborecie i w milczeniu jadła. Nikt z oglądających program telewizyjny sąsiadów nie zauważył, że weszła do kuchni. W pokoju rozbrzmiewały dialogi filmowe i komentarze przejętych telewidzów.

– Gdzie Kazimierz? – zapytała w końcu Stefcia.

– W pracy.

– A ci ludzie?

– Sąsiedzi.

– Kupił telewizor, to macie... – stwierdziła tonem pełnym rezygnacji i nagany zarazem.

Monika, wciąż z nosem w książce, nie mogła zrozumieć treści zadania. Stefania posłodziła sobie herbatę i patrząc gdzieś w przestrzeń, popijała w milczeniu. Sąsiedzi, szurając krzesłami, zaczęli wychodzić. Nikt nie zwrócił uwagi na jej mokry płaszcz wiszący w przedpokoju ani na nią samą. Nikt się z nią nie przywitał. Zostały same. Dopiero teraz Stefania zaczęła szukać w szafce swoich kapci, ale już ich tam nie znalazła, wyjęła więc klapki

Moniki, które były odrobinę za duże, włożyła je i weszła do pokoju. Uchyliła lufcik, żeby wywietrzyć, sprawdziła palcem kurz na telewizorze, poprawiła serwetę, wzięła z łazienki szczotkę i zamiotła przedpokój. Monika obserwowała te czynności bez słowa. Reszką sił czepiała się nadziei, że Kazimierz każe jej iść precz. Zasłużyła na to. Niech wraca do swojego gacha, nikt jej tu nie potrzebuje.

Kazimierz wrócił podchmielony i chyba tylko tym można wytłumaczyć fakt, że pozwolił Stefanii zostać. Nie rozmawiali, rzucali jedynie pojedyncze słowa i Monika nie zdołała się zorientować, co on myśli. Zresztą powiedział, że jest zmęczony, i szybko położył się do łóżka. Stefcia chyba miała z góry ustalony plan, bo pośpieszyła za nim. Zamknęli drzwi, ale i tak usłyszała odgłosy tego, o czym półszepcetem opowiadały jej w szpitalu koleżanki. Sprężyny łóżka skrzypiały, a z pokoju dochodziły sapania i jęki. Dopiero kiedy ustały i przez dłuższą chwilę panowała cisza, Monika, nie włączając światła, wślizgnęła się do swojego łóżka.

Nazajutrz od samego rana matka krzątała się po domu jak gdyby nigdy nic. Zażądała też wszystkich pieniędzy, jakie mieli w domu.

– Chcesz mieć pieniądze, to sobie zarób! – warknęła ze złością Monika i trzasnąwszy drzwiami, poszła do szkoły.

Domyślała się, że matka nie poniecha prób odebrania jej oszczędności, a Kazimierz wkrótce przestanie oddawać jej pensję, bo zakupy będzie teraz robić Stefania, wydając pieniądze na co popadnie, na przykład na papierosy. Dlatego kiedy wieczorem matka wsparta przez milczącego Kazimierza jeszcze raz zażądała zwrotu przechowywanych przez Monikę oszczędności, przygotowana na to dziewczyna wysypała z portmonetki trochę drobniaków i jeden banknot dwudziestozłotowy.

– To wszystko?! – wściekła się Stefania.

– Przecież jest koniec miesiąca! – odparła hardo Monika.

Kazimierz nie zareagował i to bolało ją najbardziej. Sądziła, że ją lubi, że się dogadują, a tu proszę, wystarczyło, żeby Stefania zadarła spódnicę, i już zmienił front, zostawiając ją samą.

Matka oczywiście nie poszła do pracy. Zresztą nic nie umiała. Mogłaby co najwyżej pracować w szwalni, ale przecież nie po to wróciła. Nagle okazało się, że jednopokojowe mieszkanie jest dla nich dwóch za małe. Monika,

nieświadomie traktując matkę jak rywalkę, skończywszy lekcje, włączyła się po mieście, byle tylko nie wracać do domu, nie wysłuchiwać zrzędzenia, połajanek i nie wykonywać tego, co matka mogła i powinna zrobić sama. Stefcia zmieniła się. Stała się jakaś niemrawa, powolna, najchętniej zrzuciłaby robotę na barki córki i wyłącznie przesiadywała przed telewizorem, który już jej nie przeszkadzał. Gotowała byle co, w soboty nawet Kazimierza zaganiała do sprzątanania, a w niedziele nie robiła dosłownie nic poza pójściem do kościoła.

Kazimierz trochę się o to boczył, ale pomagał gorliwie, a nawet jej nadskakiwał. Gonił też Monikę do gotowania niedzielnych obiadów. Buntowała się oczywiście i kłóciła, ale nie było rady. Stawała przy kuchni, jak wtedy, kiedy mieszkali tylko we dwoje, i kiedy Stefcia modliła się na mszy, próbowała z nim rozmawiać. Żal jej było dawnych pogaduszek przy kolacji, gdy jeszcze nie mieli telewizora i Kazimierz opowiadał o partyzantce. Tak teraz, jak wtedy, nie dotykała tematu matki, bo po kilku próbach zrozumiała, że to nie ma sensu.

Powinna być zadowolona, bo on ją chyba kochał. A może po prostu tylko potrzebował? W takich chwilach ujawniała się jego łagodność. Monika nie potrafiła zrozumieć, że nie pogonił Stefci. Ich relacja zaczęła ją brzydzić. A kiedy matka wyjęła maszynę i zaczęła sobie poszerzać spódnicę, w Monice zrodziły się podejrzenia, że Stefania zaszła w ciążę i to jest przyczyną jej powrotu.

Nie wiedziała, o czym sobie szeptali w łóżku z Kazimierzem, bo na co dzień rozmawiali niewiele i raczej nie planowali powiększenia rodziny, ale i tak czuła się zbędna i niekochana do tego stopnia, że po lekcjach, nie mając gdzie się podziać, szła do biblioteki miejskiej. Przynajmniej w poziomie wykształcenia mogła mieć przewagę nad matką. Chciała jej pokazać, że wie więcej i więcej od niej osiągnie, że nie musi wieszać się na ramieniu mężczyzny i prosić go o pieniądze. Wkładała wiele pracy w naukę, ale wyniki nie przychodziły łatwo, bo skutki codziennych zastrzyków ze streptomycyny branej w szpitalu wciąż dawały o sobie znać. Jednak nadrabiała aktywnością. Przygotowywała szkolne gazetki, zapisała się do harcerstwa, pracowała w spółdzielni uczniowskiej. Nauczyciele zaczęli ją zauważać.

Na Boże Narodzenie Kazimierz dowiedział się, że zostanie ojcem. Stefcia miała trzydzieści cztery lata, on pięćdziesiąt siedem. Najbardziej Monikę zdziwiło to, że od razu uznał swoje ojcostwo. Nie mogła tego zrozumieć. Nie

znała się na prokreacji, wiedziała tyle, ile jej powiedziały dziewczyny w szpitalu, ale nawet ona miała podejrzenia, że Stefcia go oszukała. A on nie miał lub nie chciał ich mieć, choć wystarczyłoby mu palców u rąk, aby jej dowieść kłamstwo. Między dorosłymi musiało istnieć jakieś nieznanne jej porozumienie, jednak Monika się nad tym nie zastanawiała, czuła się jego córką. Zła na dziecko, które się miało urodzić i które go jej w pewnym sensie zabierało, nie myślała, że ona również została spłodzona przez innego ojca.

2 Funkcjonujące do 1969 roku państwowe przedsiębiorstwo Obsługa Ratalnej Sprzedaży pełniło funkcję quasi-banku.

Zajezierzyce, sierpień 2016

Elena zajechała przed pałac. Monika stała już w drzwiach wejściowych, oczekując ich przybycia, i zaraz wsiadła do samochodu.

– Pamiętasz wesele Grzybówny? – zapytała tuż po powitaniu.

– Jak mam pamiętać? – obruszyła się Teresa. – Przecież nie byłam zaproszona.

– Pamiętasz, jakimi byłyśmy wtedy nieopierzonymi kurczętami?

– Ty byłaś już niemal panną na wydaniu. Pięknie ubrana, ze wstążką wplecioną we włosy. Ja mniejsza, chudsza, w starej brudnej sukience, czułam się przy tobie jak służąca.

– Nigdy nie sprawiałaś takiego wrażenia.

– Miałam się skarżyć? Kogo by to obeszło?

– Ciekawe, co się z nią teraz dzieje? – wracając do tematu, Monika zignorowała słowa Tessy.

– A co ma się dziać? Pewnie bawi prawnuki.

– Popatrz, jakie to dziwne: o nic nigdy nie musiała walczyć...

– Zazdrościsz jej tego? – Tessa wydeła wargi.

– Był czas, kiedy zazdrościłam.

– I cóż ona osiągnęła? Rodziła dzieci i doglądała goździków, a potem gerber, bój się Boga!

– Niektórym to wystarcza.

– Chciałabyś mieć takie życie?

– Teraz już za późno, żeby coś zmienić.

Elena zaparkowała obok cmentarza w Zajezierzycach. Wyjęła wiązanki i wszystkie trzy ruszyły alejką w kierunku grobu Pawlaka. Stały nad skromnym pomnikiem i przez chwilę modliły się w milczeniu.

– Nie wierzę w przeznaczenie, ale czasem nie jestem pewna swoich przekonań. Gdyby nie on, nie byłoby nas. A w każdym razie nie byłybyśmy tymi, którymi jesteśmy – powiedziała Tessa, patrząc, jak Elena kładzie

wiązankę na grobie. – Chyba nie miał własnych dzieci?

– Nie. Ożenił się dość późno. Kinga Toroszyn też już była w zaawansowanym wieku.

– Byłby dobrym ojcem...

– Był dobrym ojcem. Naszym wspólnym ojcem.

– Ja miałam ojca... – nieoczekiwanie odparła Tessa. – Ale masz rację. Był jedynym człowiekiem, na którym mogłybyśmy się wzorować. Nikt inny, może poza moim mężem, nie miał tej klasy.

– Twój mąż był arystokratą?

– Nie, przedsiębiorcą, ale z rodziny z tradycjami. Austria ma swoje winy, zwłaszcza wobec Żydów, ale istnieje tam pewna ciągłość tradycji, istnieje etos, który u nas zamordowano wraz z arystokracją.

– Dlatego chcę kupić Długoską! – wyrwała się Monika.

– A po co?

– Sama nie wiem, żeby ocalić jego pamięć?

– Stać cię, to kupuj. To piękny gest – Tessa nie kryła sceptycyzmu. – Poza nami dwiema nikt go już pewnie nie pamięta. I nic tego nie zmieni, nawet jeśli kupisz tę ziemię. Masz jakiś pomysł na zagospodarowanie? Zamierzasz się tu przenieść?

– Mamo, ty jesteś zawsze taka konkretna... – Elena łagodnie skarciła Tesse.

– Chciałabym wiedzieć, po co się robi na stare lata taką inwestycję! Jakiś zamysł w tym chyba musi być?

– Rzeczywiście, potrafisz człowieka uskrzydlić! – Monika westchnęła i odwróciła głowę, aby ukryć rozdrażnienie.

– A co słyhać u twojego brata? – Tessa postanowiła zmienić temat, ale chyba był to kolejny niewypał.

– Pewnie to co zawsze: pije. W pewnym momencie przestałam się nim interesować. Kiedy zrozumiał, że już nic więcej ode mnie nie wyciągnie, zerwał wszelkie kontakty. Nie muszę ci chyba opowiadać, jakiej wtedy doznałam ulgi. Nie rozumiem, jak młody zdrowy facet może mieć tylko jeden cel: nażłopać się od rana!

– Alkoholizm jest chorobą – spokojnie wyjaśniła Elena.

– Najpierw miłym przyzwyczajeniem i sposobem spędzania czasu. Rozrywką i wypełniaczem nudy, kiedy się nie ma żadnych obowiązków i do niczego nie dąży. Zastanawiam się, skąd u nas to przyzwolenie na picie, zgoda na brudnych, zataczających się niechlujnych obiboków, na ich

awanturowanie się, na pracowników spragnionych od samego rana, na tłumaczenie, że przecież życie jest takie trudne, że bez kieliszka ani rusz.

– Tradycja – sucho skwitowała Tessa. – Żeby jeszcze nie okradali własnych dzieci, żeby nie bili ich i żon, ale to też tradycja. Więc nie wiesz, co porabia twój brat?

– Żyje sobie pewnie gdzieś z zasiłku albo z renty, ciesząc się, że państwo jest takie hojne. Nigdy nie lubił się przepracowywać. Ale oczywiście to on był najmądrzejszy.

– Wybacz mi, nie miałam zamiaru cię rozdrażnić. – Tessa westchnęła ciężko.

– Nie sądziłam, że mnie to wciąż obchodzi – odparła Monika zdziwionym tonem, ale zaraz się otrząsnęła i z uśmiechem odwróciła twarz do Tessy. – Dokąd teraz?

– Nie odwiedziłam jeszcze grobu mojej babki, pójdziesz z nami?

– Oczywiście! A pamiętasz, jak twoja babcia wysłała nas w pole, abyśmy pełły len?

– Jak to: pełły len? Przecież len to tkanina! – ni z tego, ni z owego wyrwało się Elenie.

– Dziecko miasta! – Tessa z dezaprobatą pokręciła głową. – Owszem, len to tkanina, ale podobnie jak bawełna, również roślina. Włókna na tkaniny przez wieki ludzie pozyskiwali z roślin.

– Lub ze zwierząt. Na przykład wełnę – Elena dała do zrozumienia, że coś jednak wie na ten temat.

– Tego lnu był długi zagon, a roślinki malutkie, musiałas mnie uczyć, które to chwasty, bo początkowo nie potrafiłam rozróżnić – rozrzewniła się Monika.

– Ile wtedy mogliśmy mieć lat? Osiem? Dziewięć?

– Ależ bym sobie znów popełła!

– Teraz już pewnie nikt nie sieje lnu. Tyle było przy nim roboty. Nawet ubrania z lnu są dość rzadkie, bo się gniotą. Wyparła go bawełna i różne sztuczne włókna. A przecież len jest doskonały! Naturalny, przewiewny, zdrowy dla skóry! Ta sukienka jest lniana i nie dbam o to, że się gniece, taka jej uroda! – zaperzyła się Tessa.

– Chcesz powiedzieć, że twoja babka siała len i potem tkła z niego materiał? A skąd wiedziała, co trzeba zrobić? – zainteresowała się Elena.

– Od swojej matki, a ta od swojej. Pokolenia przekazywały sobie tę wiedzę. Dojrzały len wyrwało się i ustawiało do wyschnięcia. Czasem babka jeszcze go sortowała. Wyschnięte snopki kładła na derce, przykrywała deską i młóciła

cepem. Czasem myśmy dostępowali tego zaszczytu. Pozyskane ziarno należało przewiać, bo pełno w nim było rozmaitego śmiecia. Czasem przesiewałam przez sito, czasem na szorstkiej derce, do której przywierały śmieci, a nasionka odsypywało się na bok, bo nie mieliśmy przecież wialni, i niosło się do olejarni.

– Olej lniany jest pyszny i zdrowy! Zwłaszcza na serce! – Elena przerwała matce, ale ta nie podjęła tematu oleju.

– Potem, pod koniec lata, następowało rosenie. Kładłyśmy słomę lnianą na trawie, aby zwilgotniała.

– To po co wcześniej suszono?

– Tak wyglądał proces technologiczny. Nie zastanawiałam się, dlaczego wykonuje się te kolejne czynności, widać były konieczne. Potem znów następowało suszenie i w końcu szło się do międlarza. Międlic było we wsi dwie albo trzy i zawsze ustawiały się do nich kolejki. Międlono słomę lnianą, aby połamać paździerze i łatwiej oddzielić od nich włókno. Potem te zmiędlone warkocze trzepało się, aby do reszty usunąć zdrewniałe części łodygi. Jeśli słoma była dobrze wyroszona i zmiędlona, to trzepanie stawało się przyjemnością, bo paździerze niemal same odchodziły. Co tak na mnie patrzycie?

– Po tylu latach ty to wszystko pamiętasz? – zdziwiła się Elena.

– Nie pamiętam, co robiłam wczoraj, ale dzieciństwo zawsze się pamięta w najdrobniejszych szczegółach. Może dlatego, że strasznie mnie to wszystko nudziło, a od pomocy matce i babce nie było ucieczki. Jeśli chcieliśmy mieć obrobione pole, z braku konia trzeba było mieć coś na wymianę. Miałyśmy puch, miałyśmy płótno. Zresztą gdyby nie len, chodziłybyśmy nagie, bo wszystkie ubrania przed wojną i tuż po niej były lniane. Z lnu babka szyła worki, płachty, pościel, obrusy, ścierki i ręczniki, że o koszulach nocnych, spódnicach czy bluzkach nie wspomnę.

– Ale na razie nie mamy nawet przedzy – trzeźwo zauważyła Monika.

Tymczasem doszły do grobu babki Broni oraz rodziców Tessy. Nagrobek był podniszczony i zaniedbany, ale widać ktoś kładł tu kwiaty i zapalał znicze. Tessa stała zamyślona, a Elena zaczęła zbierać wypalone lampki. Położyła też przyniesioną z samochodu wiązanekę i zapaliła kilka światełek. Przez dłuższą chwilę stały zamyślane.

– Przychodziłaś tu? – z ciekawością zapytała Tessa.

– Może raz czy dwa... – Monika nie chciała podziękowań. – Twoja babcia

miała we wsi wielu przyjaciół.

– Zapewne, ale kto z nich jeszcze żyje poza tobą?

– Przychodziłam tu czasem podczas pisania powieści. Niewiele jest już takich małych starych cmentarzy. Tej nowszej części, tam w dole, na szczęście stąd prawie zupełnie nie widać. – Spojrzała we wskazanym kierunku, zadowolona, że brzydkie czarne pomniki nie psują harmonii tego starego, biednego, ale właśnie chyba dlatego pięknego cmentarza. Nagrobki, otoczone krzewami i drzewami, które urosły nie wiadomo kiedy, nabrały patyny. – Chociaż i tu ludzie nie mogą obejść się bez sztucznych kwiatów. Co w nich widzą? Jakoś nie potrafię zrozumieć.

– Ja też nie. Sztuczne kwiaty to dowód na biedę społeczeństwa. Prawdziwe kwiaty zaraz zwiędną, sztucznych można latami nie zmieniać.

– Tak, zapewne o to chodzi – zgodziła się Monika. – Ale są brzydkie i nic nie zastąpi naturalnych, choćby takich z łąki.

– Zwłaszcza z łąki! – podchwyciła Elena. – Wracając do tematu lnu, to uszyłaś w swojej opowieści różne rzeczy z lnu, a przecież jeszcze nie utkałaś materiału, nie masz nawet przędzy, jakoś przeskoczyłaś ten etap.

– Po wytrzepaniu babka pilnie dzieliła włókno na przynajmniej trzy części. Wiedziała, jakie powinno być dobrej jakości, i w zależności od roku miewaliśmy lepsze lub gorsze. Najśłabsze zwane było pakułami. Najlepsze powinno być długie, miękkie niemal jak włosy, bez zanieczyszczeń. Lubiłam wachać lnianą przędzę. Miała szczególny, niezapomniany zapach i lśniła jak warkocze wiejskich piękności. – Tessa uśmiechnęła się do wspomnień. – Ale to wciąż nie koniec, bo kobiety czekało jeszcze czesanie włókna, a potem przędzenie i tkanie.

– Strasznie dużo tej pracy jak na parę metrów tkaniny. A ja już nawet nie pamiętam, kiedy kupowałam materiały, żeby z nich cokolwiek uszyć. Do sklepu idzie się nie po tkaniny, tylko po gotowe ubrania.

– I mimo że nie muszą już wykonywać tylu żmudnych czynności, ludzie wcale nie mają więcej czasu – zastanowiła się Elena.

– Oj mają, mają! Siedzą całymi godzinami przed telewizorem albo przed komputerem. Nijak nie da się tego porównać z tym, jak żyli w czasach naszego dzieciństwa.

– Może dlatego, że ogólna zamożność wzrosła? – wtrąciła się Monika. – Nikt już w Polsce nie chodzi boso, a ty przecież latem często biegałaś na bosaka, co mi zresztą bardzo imponowało, bo od kiedy moja matka związała

się z Kazimierzem, to już mowy nie było o chodzeniu bez butów. Choćby szmaciane pepegi, ale musiałam coś mieć na nogach.

– A teraz się okazuje, że chodzenie boso jest bardzo zdrowe i zalecane przez największe autorytety medyczne! I traf tu za ludźmi... – Tessa westchnęła. – Zmęczona jestem, wracajmy.

Gutowo, wrzesień 1963

Monika próbowała rozmawiać z matką o swoich planach, ale szybko się przekonała, że to próżny trud. Pół roku temu, kiedy musiała powtórzyć siódmą klasę, Kazimierz pocieszał ją, że na pewno da radę i dostanie się do liceum. Przesiadując nad książkami niemal do północy, powtarzała materiał i z tygodnia na tydzień nadrabiała braki. Pracowała sama, czasem jedynie udało jej się uzyskać pomoc pań z biblioteki miejskiej, gdzie stały duże wygodne stoły i było mnóstwo książek pod ręką. Ucząc się tam aż do zamknięcia, Monika czuła się już prawie jak licealistka. W trzecim okresie, kiedy rzadko dostawała ocenę dostateczną, zrozumiała, że musi spróbować. Wiedziała, że nie uzyska świadectwa z samymi piątkami, ale mogła przystąpić do egzaminu i zdać go tak, aby znaleźć się na liście przyjętych.

Stefcia, w zaawansowanej ciąży zajęta głównie sobą, nie zachwycała się planami córki. Sądziła, że powinna raczej pójść do szkoły, która da jej zawód, zasadniczej lub technikum, i czym prędzej zacząć zarabiać, aby pomóc w utrzymaniu rodziny. Nie mówiła o pomaganiu w domu, bo to było przecież oczywiste. Kazimierz miał odmienne zdanie, ale nie udało mu się przekonać Stefci, dlatego po cichu poradził Monice, żeby robiła, co uważa za najlepsze dla siebie.

Na Wielkanoc Kazimierz i Stefcia pobrali się. Oczywiście wzięli tylko ślub cywilny, choć Stefcia uparcie twierdziła, że bez sakramentów to jakby w ogóle ślubu nie było, Kazimierz jednak chciał uporządkować ich związek przed przyjściem na świat dziecka. Monikę dziwiła dwulicowość matki. Zastanawiała się, czy podczas spowiedzi Stefcia przyznaje się do wszystkich grzechów. Jednak zajęta swoimi sprawami, nie rozpoczęła dyskusji. Czuła, że łapie wiatr w żagle, i do ostatniego dnia szkoły starała się poprawiać stopnie. Kiedy odbierała świadectwo ukończenia podstawówki, dostała nawet nagrodę! Była to książka – album o Puszczy Białowieskiej.

Kilka dni później odbyły się egzaminy do liceum. Zestresowana, nie

rozglądała się za Teresą, ale obiecywała sobie, że zaraz na początku wakacji pojedzie do Zajezieryc i wszystko sobie ustali. Na przykład to, która kupi jakie podręczniki, bo po co kupować dwa komplety, kiedy można się wymieniać? Monika знаła dziewczynę ze starszej klasy, z którą już się umówiła na zakup książek.

Egzaminy wydały jej się łatwe. Musiała napisać wypracowanie o twórczości Kochanowskiego, a piętrowe ułamki ćwiczyła tyle razy, że poszły jak z płatka. Ustny kosztował ją trochę więcej nerwów, bo wyobraziła sobie, że nauczyciele, którzy ją przepytują, będą ją później uczyć i zapamiętają, jeśli noga jej się powinie. Miała dokonać rozbioru logicznego oraz gramatycznego zdania podwójnie złożonego i rozwiązać zadanie o pociągach, które wyjeżdżają z dwóch różnych miast, mijając się po drodze. Resztką sił opanowała treść i łzy, które pojawiły się nie wiadomo skąd, i dzielnie dobiegła do końca.

Wyniki egzaminów zawisły na tablicy ogłoszeń trzy dni później. Uczniowie zostali już przypisani do konkretnych klas. Monika znalazła się w klasie VIIIB. Natomiast nigdzie nie było nazwiska Teresy! Zaniepokoiło ją to i nie zważając na grożącą z tego tytułu awanturę, bo obiecała matce, że wróci jak najszybciej, wsiadła w autobus i pojechała do Zajezieryc. Nie zastała Teresy w domu – grabiła siano na odległym kawałku łąki, którą jej babka dostała z reformy. Monika pobiegła tam co tchu.

– Co się stało? – zapytała Teresa, przykładając dłoń do czoła.

Monika w szkolnym stroju: granatowej plisowanej spódnicy, białej bluzce z marynarskim kołnierzem i białych szmacianych pepegach, teraz już trochę zakurzonych, czuła skrępowanie. Teresa miała na sobie starą sukienkę w pasy i chustkę zawiązaną po wiejsku, z tyłu głowy. Była spocona i zaczerwieniona na twarzy.

– Nie dostałaś się do liceum... – smutno powiedziała Monika.

– Bo nie składałam papierów.

– Dlaczego?

– Pewno i tak bym się nie dostała, ostatnio znów nauka gorzej mi szła.

– To gdzie będziesz się uczyć?

– W zawodówce.

– Ty?! W zawodówce?

– Mój ojciec umarł – powiedziała nagle Teresa.

– Kiedy?

– Niecały miesiąc temu.

– Przepraszam. Nie wiedziałam...

Teresa wzruszyła ramionami, jakby jej to nie obchodziło. Potem powtórzyła ten gest i pociągnęła nosem.

– Najpierw wszyscy odczuliśmy ulgę, bo awanturował się bez przerwy, kiedy był napity i kiedy był trzeźwy. Bez wódki już nie dawał rady żyć. A kiedy babcia albo mama mówiły, że nie mają pieniędzy, darł się tak, że chyba w całej wsi było słychać. I tłukł nas, a czasem my jego... Sam już nic nie zarabiał, zresztą kto by go chciał nająć do roboty, skoro prawie nie trzeźwiał. Czasem myślałam, żeby wreszcie coś mu się po pijaku stało. No i umarł, ale w łóżku. Obudził się z takim rżącym oddechem. Kilka minut to trwało, nic nie zdążyliśmy zrobić i już było po wszystkim.

– Przykro mi...

– Potem miałam wyrzuty sumienia, bo pomyślałam, że moje życzenia spowodowały na niego tę ostatnią godzinę... – wyznała Teresa.

– Przecież nie jesteś do tego zdolna! – Monika krzyknęła oburzona.

– W domu zrobiło się tak jakoś dziwnie: pusto i cicho. Pogrzeb miał skromny, jeśli ktoś przyszedł, to tylko ze względu na babcię lub mamę, bo przecież jego kumple siedzieli w gospodzie albo leżeli pod płotem, uczuć to chyba nie ma żadnych. Dzieci płakały nad grobem i ja też. Młody jeszcze był, takiemu żyć, nie umierać.

– Ale już bił was nie będzie.

– Inne dzieciaki mają ojców, a choćby i nie miały, jak ty, to przynajmniej mają jakiego opiekuna... Co my teraz pocniemy? – powiedziała, pociągając nosem w przypływie nagłego wzruszenia.

Czuła litość bardziej nad sobą niż zmarłym ojcem, ale kto rozróżni, z jakiego powodu łzy płyną? Naraz przypomniała sobie, że przyszła tu grabić siano, machnęła więc drewnianymi grabiami, ściągając na kupkę wysuszoną trawę, a Monika stała smutna, nie mogąc jej pocieszyć ani pomóc, bo drugich grabi Teresa ze sobą nie wzięła.

– Mam brata – rzuciła nagle, żeby chociaż zmienić temat. – Okropna beksa z niego.

– Cieszysz się? – zainteresowała się Teresa, wiedząc, co znaczy mieć młodsze rodzeństwo, ale Monika tylko wzruszyła ramionami.

– Matka też chciała, żebym szła do zawodówki – wyznała.
– To masz szczęście, że tylko chciała. Idź na studia, nie marnuj życia. Wyjeżdż do Warszawy, chociaż ty. Napijesz się zsiadłego mleka? Stoi tam, pod gruszą – Teresa przypomniawszy sobie o drugim śniadaniu. Odłożyła grabie i wyprostowała się z trudem. Na jej poobcieranych dłoniach Monika zauważyła różowe ranki po zerwanych bąblach.

Podeszły do miedzy. Teresa rozpostarła fartuch, żeby Monika nie zabrudziła ubrania.

– Naści, czysty, nie bój się, usiądź. Mam chleb, chcesz kawałek?

Monika czuła już głód, kiwnęła więc głową i wzięła od Teresy pajdę chleba. Siadły w cieniu starej gruszy ulęgałki i długo w milczeniu żuły, popijając zsiadłym mlekiem z bańki. Widok stąd rozpościerał się aż do Lichosielec. Zieleń łąk na horyzoncie zlewała się z błękitem nieba, po którym płynęły leniwie białe obłoki. Powietrze pachniało sianem, a nad głowami dziewcząt śpiewał skowronek. Tę chwilę Monika zapamiętała jako jedną z najpiękniejszych w swoim życiu. Dla umęczonej Teresy nie miała ona większego znaczenia. Absorbowało ją najwyżej, czy zdąży z grabieniem do zmierzchu.

Choć to obiecała Teresie przy pożegnaniu, Monika nie przyjechała w czasie wakacji do Zajezieryc. Spotykały się tylko na targu, dokąd matka wysyłała ją regularnie po ser, masło czy jajka. Stefania wciąż karmiła synka piersią i starała się dobrze odżywiać. Zresztą twierdziła, że nabiał z gutowskiej mleczarni pachnie starą ścierką. Podczas zakupów nie było czasu na pogaduszki, bo przeważnie już ktoś stał za nią w kolejce. Monika miała wyrzuty sumienia z powodu przyjaciółki. Wciąż jej się zdawało, że nie zrobiła czegoś, co być może powinna była zrobić, żeby Teresa jednak poszła do liceum. Ale co by to miało być – nie wiedziała.

Czasami przychodziło jej do głowy, że będzie sama uczyć Teresę ze swoich podręczników, jednak kiedy przestąpiła próg liceum, wpadła w szkolny wir i zapomniała o niej. Poczowała się nagle dorosła. Na dodatek profesorowie codziennie narzekali na poziom szkół podstawowych i mnóstwo zadawali! Trzeba się było strasznie dużo uczyć, lecz Monice nie brakowało zapału. Koledzy z wiejskich szkół podstawowych byli jeszcze słabsi od niej i to ją motywowało do nauki.

W drugim tygodniu września przypadkowo spotkała na korytarzu Grześka Hrycia, ale jej nie poznał albo obrażony udał, że nie poznaje. Sprawił jej tym przykrość, bo ciągle pamiętała tę rozmowę w pałacu. Zresztą przydarzyło jej się tak niewiele podobnych chwil, że kiedy tylko czuła smutek, przypominała sobie tamto wesele. Czy taka duża i gruba mogła się komukolwiek podobać? Grzesiek dał jej nadzieję i była mu za to ogromnie wdzięczna. Chętnie poszłaby z nim na ciastka albo na lody, a potem ścieżką nad jeziorem aż do ruin. Nie musiałyby nawet być zakochany. Tak sobie marzyła w wolnych chwilach. Grzesiek nie był adoniszem, ale mógł się podobać. Pytanie, czy ona się komukolwiek spodoba?

Do jej klasy chodziło tylko kilku chłopców i żaden nie wzbudzał w Monice żywszych uczuć. Siedziała sama, w ostatniej ławce pod oknem, tam, dokąd ją wysłała wychowawczyni.

– Duża jesteś, będziesz wszystkim zasłaniać.

Nieparzysta liczba uczniów w klasie spowodowała, że tak już zostało. Monika miała towarzystwo tylko na niektórych lekcjach w pracowniach fizycznej, chemicznej i biologicznej, gdzie przy stołach znajdowało się miejsce dla trójki uczniów. Ponieważ nie potrafiłaby przyjąć bez odrobionej pracy domowej, koledzy szybko uznali ją za kujonkę i zrzynali na przerwach zadania z jej zeszytów. Ale to jej akurat nie przeszkadzało. Dzięki temu zdobywała popularność. Wybrali ją nawet na gospodynię klasy, co stanowiło pierwszy szczebel w szkolnej karierze.

Teresa tymczasem już pierwszego dnia odniosła wrażenie, że źle wybrała. Zespół Szkół Technicznych był starym, zaniedbanym budynkiem, przytłaczającym i ciemnym. Znajdował się w odległym rejonie miasta, niedaleko koszar. Od rynku szło się tam ponad dwadzieścia minut przez zapuszczoną dzielnicę Zarzeczce, a potem przez tak zwane Pustki. Z pewnością kiedyś był to jeden z pawilonów zajmowanych przez wojsko. Wysokie ciemne pomieszczenia napawały Teresę jakąś dziwną grozą. Pachniało tam kurzem i wilgocią. Koledzy, w przeważającej większości chłopcy, lekceważyli naukę, na przerwach biegli w kąt boiska i tam palili fajki. Nikt się tym nie interesował. Wyglądało, że chcą po prostu dostać jak najszybciej świadectwo ukończenia szkoły, a wykształcenie to dla nich sprawa drugorzędna. Jakoś inaczej sobie Teresa wyobrażała naukę w szkole średniej.

Na szczęście poza chemią i matematyką nie miała kłopotów, a nawet ze zdziwieniem zauważyła, że często pierwsza zgłasza się do odpowiedzi i nierzadko dostaje piątki. Tego też się nie spodziewała. Wreszcie wychowawczyni, nauczycielka języka polskiego, kazała jej zostać po lekcji i zapytała, czy Teresa jest pewna swojego wyboru. Co miała odpowiedzieć? Kiwnęła tylko potakująco, a kiedy wyszła z klasy, zachciało jej się płakać. Myślała, że to już koniec sprawy, jednak pani Zakrzewska nie dała za wygraną. Kilka tygodni później znów poprosiła Teresę o chwilę rozmowy.

– Moje dziecko – zaczęła po krótkim namyśle. – Nietrudno być orłem wśród wróbli. Ale jeśli człowiek nie stawia sobie coraz większych wymagań, to albo zaczyna się nudzić, albo schodzi na manowce. Dlaczego nie spróbowałaś swoich sił w liceum?

– Bo muszę szybko iść do pracy.

– Rozumiem, chcę ci jednak coś uświadomić. Praca w fabryce jest bardzo męcząca, a w fabryce chemicznej szczególnie. Sądzę, że będzie to dla ciebie znacznie gorsze niż praca w polu. Pensja oczywiście może wystarczać na utrzymanie, ale będzie ciężko, niewiele lżej albo i ciężej niż podczas obrabiania roli. Takiej zamiany pragniesz? Zamierzasz całe życie pracować w znoju? Jeśli już, to może lepiej byłoby wybrać jakąś szkołę rolniczą?

Teresa stała z opuszczoną głową. Wydawało się, że sprawa jest zamknięta.

– Ale tu w pobliżu nie ma, a ja muszę pomagać... – powiedziała cicho.

– Jeszcze możesz spróbować swoich sił w liceum. Pomyśl o tym.

Dziewczyna kiwnęła głową i bez słowa wyszła z klasy. Z jednej strony była wdzięczna pani Zakrzewskiej za troskę i wiarę, a z drugiej – czuła złość, bo wiedziała, że nie wolno jej zejść z obranej ścieżki. Matka liczyła miesiące, kiedy ona zacznie przynosić wypłatę, a w szkole zasadniczej od pierwszej klasy uczniowie mieli praktyki, pracowali wtedy w fabryce i trochę zarabiali. Te grosze też się liczyły. Szła zima, potrzebne były ciepłe buty dla dzieci, węgiel się kończył, musiały dokupić siana dla krowy, bo jeśli zabraknie i tego dochodu, który miały dzięki mleku krasuli, nie zdołają związać końca z końcem.

Ale myśl, że i ona mogłaby się uczyć w liceum, zapuściła już w sercu Teresy korzenie. Niby jej nie hołubiła, wręcz odganiała, śmiejąc się ze swoich rojeń, ale czasami wyobrażała sobie, że nagle wchodzi do budynku liceum i pierwszą napotkaną tam osobą jest Monika, która najpierw się dziwi, a potem przytula ją serdecznie i oprowadza po szkole. Oczywiście Teresa zapisuje się do tej

samej klasy i siadają w jednej ławce! I kiedy orientowała się, że weszła na ścieżkę marzeń, ze złością potrząsała głową, jakby chciała wyrzucić z niej nierealne myśli.

Raz podeszła tam niby przypadkiem. Nie zbliżała się jednak, tylko z odległości popatrywała na lśniąca świeżą jasną farbą elewację szkoły i pewnych siebie uczniów, którzy wychodzili z bramy, sprzecząc się o coś i śmiejąc. Podwórko było wybrukowane trylinką, krawężniki pomalowane na białe, a zieleń zadbana. Na budynku wisiał czerwony transparent z hasłem:

NASZE SERCA, MYŚLI, CZYNY TOBIE, LUDOWA OJCZYZNO!

Teresa westchnęła przeciągle, odwróciła się i przygryzłszy policzek, ruszyła w kierunku przystanku autobusowego.

Gutowo, sierpień 2016

Maciek dopił już kawę, pora biec do pracy.

– Jak długo zamierzacie tu zostać? – zapytał, wstając.

– Nie wiem... Do jutra? Pojutrze? – z pewnym wahaniem odparła Mia. –

W każdym razie niezbyt długo.

– Nie zostałabyś dłużej?

– Pytałeś już o to.

– A ty mi nie odpowiedziałaś.

– Nie ma żadnego powodu, żebym została.

– Rozumiem. Szkoda. Już południe. Na mnie pora. Miłego dnia! – rzucił, próbując się uśmiechnąć czarująco, ale mu to nie wyszło.

Mia siedziała nad niedojedzonymi lodami, kręcąc głową. Nie, nie zostanie tu, nawet jeśli wydaje jej się, że coś do niego czuje. Jeśli on chce ją bliżej poznać, niech przyjedzie do Wiednia. Tam jest przynajmniej co robić. Zresztą nawet gdyby chciała, nie może przecież opuścić Tessy w tym stanie. Jeśli coś by jej się stało, gdyby, nie daj Boże, umarła, kiedy ona by sobie siedziała na tym zadupiu...

Dopiła szybko swoje espresso i pobiegła w ślad za chłopakiem, który nie oglądając się, uszedł już kilkanaście kroków. Dogoniła go przy fontannie, chwyciła za rękaw i czując dziwną odwagę oraz chęć powiedzenia prawdy, popatrzyła mu w oczy.

– Nie mogę tu zostać z tego samego powodu, z którego ty nie możesz wyjechać. Mam swoje obowiązki, moja babcia jest bardzo chora. Ale jeśli będziesz chciał przyjechać do Wiednia, znajdę czas i pokażę ci miasto.

Maćkowi najwyraźniej ulżyło. Wziął ją za rękę, ucałował wierzch dłoni i zapytał cicho:

– Nie masz przypadkiem ochoty na kieliszek lodowatej cavy?

Mia włożyła rękę pod jego ramię i uśmiechnęła się uroczo.

– Zawsze.

Miłość! Ach, miłość! – z westchnieniem zawodu pomyślała Wanda Raczko, mijając tych dwoje młodych, wpatrzonych w siebie z czułością. – Kiedy to ja byłam ostatnio tak zakochana?... Odwróciła głowę i szła już prosto w kierunku cukierni Pod Amorem, niby po ciastko konkursowe, ale w rzeczywistości żeby się dowiedzieć od Heleny najnowszych plotek.

Pani Hryć przy pomocy dwóch ekspedientek sprawnie obsługiwała niewielką kolejkę. Na widok sąsiadki uśmiechnęła się.

– Ciastko z wróżbą? – zaproponowała.

– Czemu nie? Zawsze warto wiedzieć, co nas czeka – rzuciła beztróska Wanda i wyjęła z portmonetki kilka monet. Zapłaciwszy, rozłamała ciastko i wyjęła z niego zwitek papieru, przyglądając mu się z niedowierzaniem.

Helena obserwowała znajome ruchy, gotowa sprzedać sąsiadce kolejne ciastko, gdyby wróżba okazała się nie po jej myśli.

– „Przygotuj się na powiększenie rodziny!” – przeczytała na głos Wanda. – Chyba ty powinnaś to wyciągnąć! – skomentowała rozbawiona.

– Słucham? – Helenę rozśmieszył ten żart. – Dajże spokój, Wandziu... My z Waldkiem...

– Kiedy chłopak ogląda pierścionki zaręczynowe, to chyba coś musi być na rzeczy?

– Jaki chłopak? Zbyszek? – Helena domyśliła się wreszcie. – Nie, to... Za wcześnie... – wybąkała speszona i przerwała tkniętą myślą, że przecież Zbyszek już od dawna zachowywał się dziwnie. Ile trzeba młodym? Jeden raz wystarczy. A ten pierwszy raz to już na pewno za nimi. Helena sama nie wiedziała, czy raczej udawać zadowoloną, czy być nią naprawdę, ale czuła niepokój, który trudno przychodziło jej ukryć. – No, nawet jeśli, to on przecież już na siebie zarabia. – Rozłożyła ręce w geście, który miał znaczyć, że ona nie stanie synowi na drodze do szczęścia. Wanda wyczuła jednak lęk matki jedynaka albo coś jeszcze więcej.

– Zostaniesz teściową! – Uśmiechnęła się, a Helena chyba usłyszała złośliwość w jej głosie.

– Najwyższy czas! Oboje z Waldkiem marzymy o zostaniu dziadkami! – zawołała buńczucznie, robiąc dobrą minę do złej gry i nie przypuszczając, że ta chwila przyjdzie szybciej, niż można by się spodziewać.

Martyna znów siedziała na murku fontanny przed cukiernią. Zbyszek napisał jej w SMS-ie, że to bardzo ważne, a ona nie zamierzała go zawieść. Zresztą jest niedziela, więc zostawiła matce dzieciaki, żeby się zająć tym

największym, dopieścić go, dać mu to, czego faceci tak bardzo potrzebują, przywiązać do siebie, może porozmawiać o przyszłości? Patrzyła na fasadę cukierni i wzdychała. Niektórym to się powodzi! I po co im na trzy osoby aż dwa domy? Podobno jeden wynajmują jakimś firmom. No to firmy się będą musiały wynieść, bo ona z teściową mieszkać nie zamierza! Nie zamierzała też iść do pracy, co to, to nie! Ktoś się przecież musi zajmować dziećmi, a ona może mu urodzić jeszcze choćby i piątkę. Mus to mus. Zbyszek jako jedynak przecież dziedziczy cały majątek. Zresztą jest program 500+, teraz ma z tego zaledwie tysiąka, ale już wkrótce może znów być w ciąży... Cięża wiele by uprościła...

Martyna chłodziła dłoń w wodzie fontanny i marzyła o dużych lodach, ale nie chciała wchodzić do cukierni, pewnie stara stała za ladą. Nagle wydało jej się, że w oknie na drugim piętrze widzi sylwetkę Zbyszka. Zaraz potem dostała SMS.

Już lecę! Jedną chwilę.

Odpisała mu szybko.

Weź mi trzy gałki lodów. Śmietankowe, czekoladowe i cytrynowe.

Zbyszka chyba ucieszyła ta prośba. Wysłał krótkie OK, a po dziesięciu minutach szedł już w jej kierunku z dużymi lodami i szerokim uśmiechem na ustach. Miał na sobie białą koszulę z krawatem i spodnie w kant! Wyglądał jak pajac.

– Coś taki wyelegantowany?

– A bo dziś niedziela i w ogóle... Ty też ładnie wyglądasz – powiedział, przyglądając się jej uważnie.

Rzeczywiście, Martyna włożyła niebrzydka błękitną sukienkę, krótkie białe koraliki, które udawały perły, ale on się i tak na tym nie znał, taką samą bransoletkę i klapki na koturnie ze sztucznymi kwiatami. Zarzuciła na ramię torbę w kwiaty, wyglądała najwyżej na siedemnaście lat.

– Chodźmy stąd, zanim się zakrztuszę. Twoja stara pewnie się gapi przez okno – wyszeptała, łapczywie pochłaniając lody.

Zbyszek podejrzewał, że to może być prawda, więc póki się co nieco nie

oddalili, odmawiał sobie przyjemności pocałowania jej czy objęcia. Nie chciał dać matce pożywki do gadania, bo wiedział, że chociaż obsługiwała klientów, bez wątpienia śledziła go wzrokiem. I dobrze, niech się przyzwyczajają, bo już niedługo...

– Dokąd idziemy? – zapytała Martyna. – I w ogóle: jaki mamy gryplan na dziś?

– Zaraz zobaczysz... – Zbyszek starał się nadać swojemu głosowi poważny i tajemniczy ton.

Kiedy był już pewien, że z tej odległości nawet najbystrzejsze oko matki nie odróżni ich w tłumie, stanął i mocno pocałował Martynę w usta.

– Tęskniłem.

– Ojej! Moje lody! – ona skrzywiła się zabawnie, co go rozśmieszyło. W tym nastroju włożył palec do jej lodów i oblizał, mruczając z zadowolenia.

Martyna, uznawszy to za zachętę, zrobiła tak samo, tylko swój palec dała jemu do oblizania. Widząc, jak go to kręci, chciała powtórzyć ten ruch, ale dotarli właśnie przed sklep jubilerski i Zbyszek wyjął chusteczkę do nosa.

– Popatrz – wycierając palec, rzucił tak zwyczajnie, jakby pokazywał wystawę w warzywniaku i mówił o jabłkach. – Który ci się podoba?

Martyna na moment straciła rezon. Nie spodziewała się tak szybkiego obrotu sprawy.

– Wszystkie! – Roześmiała się, aby zyskać na czasie, jednak czuła się trochę oszołomiona.

– Kiedy skończysz, wejdziemy, bo w środku mają jeszcze inne.

– Ale... – Martyna świetnie grała zaskoczoną. – O co chodzi?

– Chcę ci kupić pierścionek. – Zbyszek mówił najbardziej naturalnym tonem, jaki kiedykolwiek słyszała.

– Dziś? Teraz?

– Tak. Dziś. Teraz. I chcę się z tobą dziś i teraz zaręczyć, ale nie w sklepie, tylko na tarasie Zamkowej albo na środku jeziora. Taki mam gryplan na dziś. Odpowiada ci?

– No raczej. – Martyna włożyła sobie do ust końcówkę wafelka i przełknęła, krzywiąc się zabawnie. – W porządku, jestem gotowa.

Weszli do sklepu. Właścicielki nie było, co dla Zbyszka stanowiło okoliczność sprzyjającą. Ta stara zaraz poleciała do matki na ploty. Pokazała Martynie ladę, w której wyłożono pierścionki. Dziewczyna żałowała, że nie widzi cen, bo wybrałaby najdroższy. Nie wiedziała, że te mają na ogół

najmniejsze oczka. Zamiast tego wybrała model z dużym kamykiem. Fajnie się go będzie pokazywało dziewczynom.

– Chciałabym przymierzyć ten. – Ekspedientka wyciągnęła z aksamitnego pudełka pierścioneł z dużym oczkiem i położyła go na irchowej szmatce. – I ten.

Kiedy drugi pierścioneł leżał już na ladzie, włożyła pierwszy.

– Pasuje idealnie! – ucieszyła się. Popatrzyła na swoją dłoń, przekrzywiając głowę, i uśmiechnęła się do Zbyszka.

– Przymierz jeszcze ten drugi!

Ale drugi pierścioneł był już na pierwszy rzut oka znacznie skromniejszy i wydawało się jej, że biorąc go, zrobiłaby kiepski interes.

– Nie. Ten mi się podoba.

– Jest odpowiedni? – spytała ekspedientka, ale widząc, że oczy dziewczyny zapłonęły radością i podnieceniem, uśmiechnęła się, trochę zazdroszcząc im tego momentu. – Zapakować czy zostanie na palcu?

– Zapakować! – zdecydowała Martyna.

– To wyjdź, proszę. Ja zapłacę – poprosił Zbyszek, a ona kiwnęła głową i wyszła.

Sprzedawczyni odcięła nitkę z metką, zapakowała pierścioneł do ozdobnego pudełeczka, podeszła z ceną do kasy i nabiła sprzedaż.

– Pięćset pięćdziesiąt dziewięć – oznajmiła.

Zbyszka zdziwiła niska cena. Przygotował się na dwa, a nawet trzy razy tyle, ale w końcu to Martyna wybrała, jej właśnie ten pierścioneł najbardziej się podobał, nie czuł więc wyrzutów, tylko zadowolenie. Podał sprzedawczyni kartę płatniczą i wstukał PIN. Chwilę później dostał paragon i potwierdzenie dokonanej płatności. Schował pierścioneł do kieszeni i uśmiechnięty od ucha do ucha wyszedł na zalany słońcem rynek. Martyna spoglądała wyczekująco.

– Chyba za wcześnie na obiad? Ale może napijemy się szampana? – zaproponował, mając cichą nadzieję, że miły barman dziś również ma dyżur w winiarni i znajdzie coś odpowiedniego na tę niecodzienną okazję.

– Cudownie! – krzyknęła Martyna. Chciałaby już, najlepiej natychmiast, nałożyć pierścioneł na palec i niechby wszyscy widzieli! Miała go! Już się jej nie wywinie!

Objęci szli w kierunku Szewskiej, a on, nie bacząc na klientów i znajomych, raz po raz całował ją w skroń.

Jestem najszcześliwszym facetem w tym mieście! – myślał, tocząc wzrokiem

po twarzach przechodniów. Czy zdają sobie sprawę z tego, że on, Zbyszek Hryć, wygrał dziś swój szczęśliwy los?

O tej porze w winiarni nie było jeszcze tłoku. Przy kontuarze na wysokim stołku siedziała tylko jakaś ładna blondynka, chyba nie z Gutowa, bo Zbyszek jej nie znał, a ten sympatyczny barman coś do niej cicho pomrukiwał. Poznał Zbyszka i kiwnął głową. Gdy siedli z Martyną przy stoliku, natychmiast podeszła do nich kelnerka.

– Butelkę szampana! – zamówił Zbyszek i niemal natychmiast wyjął z kieszeni małe czerwone pudełeczko.

Gutowo, marzec 1964

Klasa Teresy odbywała praktyki w Fabryce Farb i Lakierów. Szybko się okazało, że młodzieży nikt tu niczego nie zamierzał uczyć, zresztą praca nie wymagała jakichś szczególnych umiejętności, uczniowie zaś, zwłaszcza pierwszaki, byli wykorzystywani przede wszystkim do sprzątania hal i podwórka. Mieli co robić, bo wszędzie panował nieopisany bałagan. Zaraz na początku spotkali się też z szefową Podstawowej Organizacji Partyjnej, Aldoną Wypych, postawną tlenioną blondynką około trzydziestki, która zawsze miała usta pociągnięte szminką w kolorze jaskrawej czerwieni. Przypominały trochę robotnicze flagi pierwszomajowe albo wstęgi z hasłami wzywającymi do ofiarnej i wydajnej pracy. Powieki zaś ozdabiała cieniami o barwie głębokiego błękitu. Ubrana na ogół w wąską spódnicę i zapinany na małe guziczki jasny sweterek, który opinał jej pulchne, acz kształtne ciało, odcinała się od reszty załogi, bo wszyscy od dyrektora przez technologów po robotników i młodzież zobowiązani byli do wkładania ochronnych szaroniebieskich fartuchów. Z jakiegoś tajemniczego powodu jej ten nakaz nie dotyczył.

Od pierwszego spotkania towarzysza (broń Boże „pani”) Wypych przynajmniej raz dziennie przychodziła na produkcję i wszędzie tam, gdzie się znajdowali uczniowie. Uprzejmie wypytywała o to, jak im się tu podoba i czy zamierzają związać się w przyszłości z Fablakiem. Teresa zauważyła, że chłopakom z klasy towarzysza Wypych bardzo przypadła do gustu. Maślanymi oczyma patrzyli nie tyle w jej oczy, ile nieco poniżej brody. Ona zaś tego nie zauważała lub udawała, że nie zauważa, pragnęła jedynie uświadomić uczniom, jak cenne jest wstąpienie do organizacji młodzieżowej. Chłopcy, licząc na jej częste towarzystwo, z nadzieją podpisywali deklaracje. Teresa, przez wierzącą babkę nastawiona wrogo do komunistów, trzymała się od tego wszystkiego z daleka. Tymczasem towarzysza Wypych nie wiadomo dlaczego jak na złość uparła się, aby właśnie ją wciągnąć do ZMS³. Teresie udawało

się jakoś wykręcać od składanych raz po raz propozycji, niestety, pewnego dnia została przyłapana na nielegalnym handlu. Bo szybko okazało się, że zamiast tracić czas na targu, może w dni pracy sprzedawać nabiał paniom z produkcji. Trudno było nie wykorzystać tej sposobności, ale towarzyszka Wypych musiała mieć już wcześniej na nią oko, bo pojawiła się akurat w chwili, kiedy Teresa, schowawszy do kieszeni pieniądze za butelkę śmietany, zabrała się do zamykania hali.

– Nie przyniosłabyś i dla mnie kawałka cielęciny? – powiedziała do Teresy tonem, który początkowo wydawał się przyjacielski.

– Nie mamy cielaka do zabicia.

– No, ale u jakiegoś gospodarza się przecież znajdzie... Dobrze zapłacę.

Teresa wzruszyła ramionami, co miało w tym wypadku oznaczać zgodę, i po powrocie do domu poprosiła babkę, aby sprawdziła, kto miałby kawałek cielęciny na zbyciu. Kiedy parę dni później przyniosła mięso, towarzyszka Wypych najpierw je dokładnie obejrzała, zapłaciła, niemal się nie targując, potem zaś oznajmiła chłodno:

– A teraz oczekuję wypełnienia deklaracji przystąpienia do fabrycznej organizacji ZMS. W przeciwnym razie zostaniesz surowo ukarana za łamanie norm i zasad socjalistycznego współżycia.

Cóż było robić? Teresa podpisała. Jednak nie mieściło jej się w głowie, że organizacji zależy tylko i wyłącznie na tym, aby ludzie do niej wstępowali. Nie liczyły się poglądy ani chęć działania, ważne były jedynie wskaźniki. Od razu oświadczyła, że nie zamierza uczestniczyć w zebraniach. Co prawda poszła na jedno czy dwa, ale szybko uznała je za stratę czasu, a przecież w domu zawsze czekało coś do zrobienia. Natomiast rzeczywiście towarzyszka Wypych roztoczyła nad handlem Teresy opiekę i sama często bywała jej klientką. Kiedyś poprosiła o zanieśenie zakupów do domu w dzielnicy Ogrody, rzekomo pod pozorem, że mięso może się zepsuć. Mieszkała razem z matką na piętrze jednorodzinnego domu, który po wojnie został zaadaptowany na cztery mieszkania. Miały dwa pokoje z kuchnią i widokiem na piękny ogród.

Ledwie otworzyła drzwi, drobna siwa starsza pani wepchnęła Teresie wiadro ze śmieciami, a po powrocie wręczyła siatkę i trochę drobnych, wysyłając ją do warzywniaka. Zbyt zdziwiona, aby protestować, Teresa skrupulatnie wypełniła wszystkie polecenia. Ich wykonanie trwało tak długo, że nie zdążyła już wrócić do pracy, a kiedy kolejnego dnia zjawiała się

w fabryce, została zaproszona do gabinetu towarzyszek Wypych.

– Dobrze się sprawiłaś, moja mama jest z ciebie zadowolona. Od tej pory w każdą środę zamiast przychodzić tutaj, będziesz oddelegowana do pracy w terenie.

– Czyli? – Teresa nie zrozumiała.

– Będziesz pomagająca u mnie w domu.

Teresa nie wiedziała, co o tym myśleć.

– A obecność na praktykach?

– Zaliczę ci jako pracę w organizacji.

Praca w organizacji polegała na przyjeżdżaniu do Gutowa o siódmej rano, przynoszeniu mleka i bułek, aby towarzyszka razem z matką mogły zjeść świeże. Potem następowało ścielenie łóżek, zamiatanie, ścieranie kurzu, wyrzucanie śmieci i zakupy. Z jednego Teresa była zadowolona: nigdy nie stała w kolejkach, wszystko czekało na nią przygotowane na zapleczu, musiała tylko zapłacić. Z czasem nauczyła się prosić o coś, czego towarzyszka Wypych „zapomniała”, i zawsze były to towary deficytowe, jak chociażby papier toaletowy. Wystarczyło potem ruszyć ulicą ze sznurem dziesięciu rolek papieru przewieszonym przez ramię, aby za chwilę zostać poproszonym o odsprzedanie z godziwym zyskiem. Teresa zawsze się trochę certoliła, ale szybko spieniężała swoje nielegalne skarby.

Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, aby zabrać papier do domu. Wyobrażała sobie babkę i matkę zdziwione, że na takie fanaberie można wydawać pieniądze. U nich w wygodce, z której korzystali wszyscy mieszkańcy czworaków, wieszano się na gwoździu, co kto miał: papierowe torby po cukrze i mące, stare gazety, przebitki faktur z POM-u. Gazety były twarde i aby się nadawały, przed użyciem należało je porządnie zmiąć. Pocierało się nimi, jakby piorąc, wtedy stawały się miękkie i przyjemne w dotyku. Teresa pamiętała też czasy, kiedy do podcierania służył liść łopianu albo garść trawy, dlatego nigdy nie żałowała odsprzedawanego papieru, ciesząc się, że zrobiła dobry interes.

Po zakupach gotowała obiad, zawsze z dwóch dań i deseru. Starsza pani Wypych musiała ją wcześniej trochę podszkolić, bo Teresa nie bardzo umiała gotować, w każdym razie nie jakieś wykwintne potrawy. Wdzięczna za lekcje, szybko się uczyła i po kilku tygodniach radziła sobie zadowolająco. Trudniejsze rzeczy, jak pieczenie ciast, opanowała dopiero pod koniec roku szkolnego, posługując się zeszytem z przepisami zapisanymi ręką babki

starszej pani Wypych, ale za to jej umiejętność rozbierania mięsa i wykonywania z nich rozmaitych wyrobów od szynek przez balerony po kiełbasy i kiszki budziła u gospodyni prawdziwy szacunek.

Przyzwyczajona do opuszczania zajęć Teresa chwaliła sobie pracę u towarzyszk Wypych. Czasem pani Michalina obdarowała ją jakąś starą bluzką czy swetrem, od czasu do czasu, zadowolona z jej pilności, wcisnęła do kieszeni drobniaki na kino lub lody. Ale najważniejsze było obycie, które Teresa zyskiwała przy starszej pani. Lubiła też rozmowy, a raczej opowieści o Polsce przedwojennej. Zabawne, że pani Michalina nienawidziła komunistów, którym tak gorliwie wysługiwała się jej córka. Zwolniona dzięki Teresie z większości prac domowych całymi dniami czytała książki, w czym przypominała trochę Zdzisława Pawlaka. I stale też poprawiała błędy, jakie Teresa mimowolnie popełniała.

– Nie mówi się „wziąć”! Nie mówi się „włanczać”! Nie „proszę panią” w tym przypadku, tylko „proszę pani”! – krzywiła się zabawnie. – Cóż to za okropny język! Czego oni was teraz uczą w tej szkole! Jeśli mamy przetrwać jako naród, nawet w zawodówce powinniście mówić poprawnie po polsku.

Teresa bardzo sobie brała do serca te lekcje i kiedy pani Michalina spostrzegła, że jej nauki nie idą w las, wchodziła do kuchni podczas przygotowywania obiadu i opowiadała Teresie rozmaite wydarzenia z historii Polski. Szczególną estymą darzyła marszałka Piłsudskiego i o nim mówiła najwięcej.

– Oni go teraz opluwają, łajdaki! A to był wódz i mąż stanu, co się zowie! Długo, a może nawet nigdy Polska nie będzie miała na czele kogoś tego formatu! Zapamiętaj moje słowa! Bo ci, którzy nami rządzą, to jakaś hałastrą, zbiorowisko typków spod ciemnej gwiazdy, którzy mają usta pełne frazesów, ale kultury za grosz! Posłuchaj, jak oni mówią! Tego się nie da słuchać! Przecież to nawet małej matyry by przed wojną nie dostało! Rozłupali nam historię Polski na dwa i jak to teraz posklejać? Nie da się. Za nic się nie da! Tamta Polska i ta to dwa różne światy. Pora umierać! – Machała dłonią zde gustowana. – No, jak obierasz te ziemniaki?! Cienie, cienie! Nie tak po chłopsku! Cieniutko i równo! I oczka wykrawaj! Ostrożnie, czubkiem noża!

Teresa obierała ziemniaki i zapamiętywała nauki niczym szkolne lekcje. Dużo z nich skorzystała w późniejszym życiu, choć przez całe lata nie próbowała nawet ujawniać swoich poglądów politycznych. I tak zbyt wielu ludzi, jak chociażby starsza pani Wypych, głośno chwaliło Polskę Ludową,

aby po cichu z sentymentem przywoływać tę sanacyjną, która w ich wspomnieniach jawiła się jako niedościgły ideał, kraina mlekiem i miodem płynąca, raj z pełnymi wszelkich dóbr sklepami, czystą i szybką koleją, doskonałą edukacją, wysoką kulturą.

– Teraz wszystko spsiało – mówiła, krzywiąc się, jakby zobaczyła karalucha.
– Kiedyś mężczyźni chodzili w kapeluszach, co ja mówię, mężczyźni, nawet służące, jeśli chciały uchodzić za porządne kobiety. W kapeluszach i rękawiczkach. A dziś? Mężczyźni z gołą głową, co najwyżej w beretach, kobiety w tych strasznych czapkach z wełny, o elegancji żadna pojęcia nie ma. Ale na kim mają się wzorować? Kiedyś była szlachta, arystokracja, burżuazja, kobiety z wyższych sfer nadawały ton. Teraz mamy tylko klasę robotniczą i chłopów. Resztę wymordowali albo rozpierzchnęła się po świecie, to kto miałby dostarczać wzorców? Pani z MHD⁴? Zresztą cóż się dziwić, kiedy popatrzysz na asortyment, jaki można dostać w sklepach... Chyba żeby szyć u krawcowej, ale co one tam umieją? Natomiast przed wojną suknię modną w Paryżu mogłaś mieć niemal od ręki. Tak, tak, moja droga, rzemiosło upada. Weź chociażby naszą spółdzielnię Razem. Przecież te ich wyroby to się nadają wyłącznie do pracy w polu, przepraszam bardzo, nie chciałam cię urazić.

Teresa tylko wzruszyła ramionami. Nie widziała żadnego powodu do obrazy.

– Kiedyś, proszę cię, taki pan radca albo konsyliarz wsiadał w dorożkę, objeżdżał miasto, potem towarzystwo spotykało się w Klubie Obywatelskim na brydżu, w Hotelu Warszawskim na dansingu albo chociaż przy stolikach Pod Aniołem na kawie, gdzie asortyment był o niebo lepszy niż dzisiaj, bo Cukiermanowie to jednak znali się na swym fachu, i się konwersowało. Teraz o konwersacji można sobie tylko pomarzyć. Otwierasz gazetę, a tam jak nie spust surówki, to stonka ziemniaczana, jak nie Plan Pięcioletni, to Zjazd Partii, jak nie przemówienie Chruszczowa, to dukanie Gomułki. Tego to już szczególnie nie cierpię z tym jego: „Toarzysze i obywateli!”! Jakie on szkoły kończył? Ale co chcesz, moja droga, chamstwo się wdziera drzwiami i oknami. Na każdym kroku chamstwo, że się z domu wyjść nie chce. Wszystko jakieś takie brudne, szare, pokraczne, siermiężne. – Pani Wypych krzywiła się z obrzydzeniem. – I po tośmy przez sześć lat prowadzili wojnę!... – Wzdychała z emfazą. – Wszędzie albo ta siermiężność, albo wstyd przed pokazaniem, że się liznęło trochę literatury czy sztuki, sama już nie wiem, bo wierzyć się nie chce, że Hitler wydusił całą inteligencję. Jeśli tylko ktoś coś

wie, to równa w dół, bo może chłopstwo, które teraz we władzach zasiada, nie zrozumie subtelności. A książka to już wróg największy! I jak ma nie być, skoro połowa wsi to analfabeci?!

Teresa słuchała w milczeniu, zajęta swoją robotą. Babka Bronia też ledwie dukała. Nie mogła się jednak ze wszystkim zgodzić. Po opowieściach babki dotyczących czasów, kiedy w pałacu zamieszkiwali Zajezierscy, mogłaby przysiąc, że świat idzie ku lepszemu. Teraz wszystkie dzieci chodzą do bezpłatnych szkół, chłopci dostali ziemię, kto chce pracować, z głodu nie umrze, a jeśli jest chory, jak na przykład Monika, leży w szpitalu na koszt państwa. Nic nie płaci, choćby i kilka miesięcy chorował. Czy takich rzeczy można się było spodziewać za sanacji? Chyba nie. A przecież babka wiele razy opowiadała, jaka kiedyś była bieda. Jednak nie próbowała polemizować, nie miała jeszcze wtedy własnego zdania. A nawet gdyby miała, to i po co się było narażać?

[3](#) Związek Młodzieży Socjalistycznej.

[4](#) Miejski Handel Detaliczny – państwowa sieć sklepów.

Gutowo, sierpień 2016

Waldemar Hryć odłożył komórkę i westchnął ciężko. Nie chciało mu się wychodzić z domu. Zamierzał jeszcze poleniuchować, odpocząć, bo jutro od rana znowu czekała go harówka. Ale głos mężczyzny brzmiał niepokojąco. Czego mógł od niego chcieć ten prywatny detektyw, przecież już zamknęli sprawę Zbyszka, był zadowolony z kasy, którą otrzymał, o co więc chodzi? Hryć wciągnął cienkie lniane spodnie, zapiął pasek, włożył wiszącą na krześle koszulę, którą mu wcześniej odprasowała Helena, i wyszedł przez podwórko.

Umówili się na bulwarze. Będzie tam dużo ludzi, ale przy okazji Waldemar sprawdzi, jak dziś idzie sprzedaż ciastek i czy klienci wypełniają kupony konkursowe. Najwięcej ludzi jest przy zamku, potem tłum rzednie. Aby swobodnie porozmawiać, musieli pójść dalej, w kierunku zachodnim. Powinni tam znaleźć jakąś wolną ławkę, zresztą chyba rozmowa nie potrwa długo, bo niby o czym mieli dyskutować? Przecinając rynek w kierunku Szewskiej, Hryć zauważył Zbyszka i tę jego dziewczynę, jak nie widząc świata poza sobą, szli na deptak.

Młodość! – Westchnął. – Może się chłopak zakręci i jakieś wnuki jeszcze na świat przyjdą? Oby! – Zatarł dłonie i uśmiechnął się do tej myśli.

Mimo wczesnej pory sprzedaż powinna się zaraz skończyć. Klientów tak ciekawiły wróżby zawarte w ciastkach, że mimo wczorajszych zakupów brali i dziś po kilka, kilkanaście sztuk, być może dla rodziny i znajomych? Spisał się Zbyszek, nie ma co! Waldemar pomyślał, że najwyższy czas dać chłopakowi podwyżkę.

I zacząć odkładać na wesele! – Zachichotał w myśli.

Dzień był piękny i Zbyszkowi też wszystko zaczęło się układać. Co prawda Helena nie bardzo chciała zaakceptować tę dziewczynę, coś jej się w niej nie podobało, ale przecież najważniejsze, aby to młodzi dobrze się ze sobą dogadywali. To Zbyszek ma być szczęśliwy, nie oni, starzy. A jeśli on będzie szczęśliwy, wszystko inne także się ułoży.

Hryć dochodził już do wspinającej się w górę drogi ku restauracji Zamkowej. Z daleka widział plockiego detektywa, który siedząc na ławce nad brzegiem jeziora, przeglądał coś w telefonie.

– Chyba się nie spóźniłem? – zapytał lekko zmieszany i spojrzął na zegarek.

– Nie, to ja przyjechałem wcześniej.

– Słucham, o co chodzi? – rzucił nieco oschłym tonem.

– To, co powiem, wynika z dobrego serca, nie z chęci zysku – zaczął tamten, a Hryć od razu pomyślał, że on coś kręci. Przecież sprawa była zakończona.

– Słucham.

Oficjalny ton nieco stropił Kamila Bańkę.

– Widziałem kilka razy pańskiego chłopaka z tą dziewczyną...

– Tak, zdaje się, że ze sobą chodzą.

– Szkoda, że wtedy uciekł pan tak szybko...

Hryć pomyślał, że tamten jednak chce więcej pieniędzy, i to go rozdrażniło.

– Nigdzie nie uciekałem. Obaj uznaliśmy, że sprawa jest zamknięta – fuknął.

– To pan uznał. Nie pozwolił mi pan dokończyć zdania. Kiedy się okazało, że chodzi o dziewczynę, wydawał się pan zadowolony, i w tym tkwi problem... – Bańka zawiesił głos.

– Czyżby?

– Mówiąc w dużym skrócie, bo widzę, że pan się niecierpliwi, raczej nie chciałby pan, aby syn wiązał się z taką dziewczyną. – Aby zostać dobrze zrozumianym, detektyw mocno podkreślił słowo „taką”.

– Co to znaczy „taką”? – Hryciowi niemal zaschło w gardle.

– Dokładnie to, o czym pan myśli.

– Nie, to niemożliwe! Ona jest młodziutka, przecież to jeszcze dziecko, gimnazjalistka czy coś...

– Gimnazjum to ona skończyła już dawno. A przy okazji urodziła dwójkę dzieci.

– Co?!

– Każde z innym ojcem.

– Ma męża?

– Nie. Kto by się chciał z taką wiązać? – prychnął detektyw. – Dlatego dobrze panu radzę, niech pan to przerwie. Chyba że chce pan niańczyć cudze bachory. A, i wie pan, te wasze ciastka to chyba rzeczywiście są jakieś magiczne – wyjął z kieszeni zwitek papieru i podał go Hryciowi.

Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa.

– Dokładnie tak o tym myślę. Jeszcze jest czas, żeby pan chłopakowi wybił tę niunię z głowy. Nic mi pan nie jest winien – powiedział, zauważywszy, że Hryć sięga po portfel. – Przyjechałem tu, bo trochę głupio się czułem. Chyba sobie kupię jeszcze parę tych ciastek. A wróżbę niech pan zachowa. Może się przyda?

Maciek domyślił się, że Zbyszkowi raczej nie chodziło o prawdziwego szampana. Patrząc na tę jego laskę, to raczej podejdzie jej słodkie wino musujące. Po kilku tygodniach za barem Maciek nauczył się rozpoznawać, jakie wino zasmakuje któremu klientowi. Oczywiście zdarzali się też koneserzy, od nich to on mógłby się uczyć, ale tych było niewielu. Zresztą cud, że taki lokal utrzymał się w mieście, gdzie większość mieszkańców wolała piwo, a margines doił na ulicy małpki z cytrynowką. Maciek miał nawet niejasne podejrzenia, że może winiarnia to pralnia nielegalnej kasy. Ale tego nie dociekał, w końcu zamierzał tu pracować jeszcze tylko przez dwa miesiące, a naprzeciwko niego siedziała Mia – najładniejsza blondynka, jaką spotkał w życiu i dla której gotów był zawiesić na jakiś czas pomysł o wyjeździe do Azji. Dziś był przyjacielem wszystkich i każdego, nawet tego grubaska pod krawatem, który po wczorajszych próbach tak zagustował w zaproponowanych mu winach, że przyprowadził swoją laskę. Siedzieli trochę sztywno, ale skoro zamówili szampan, widać miała się tu rozegrać jakaś poważna scena. Maciek wyjął więc z lodówki specjalnie na takie okazje chłodzone Ca' Degli Ermellini i podał kelnerce, a ta wraz z dwoma wysokimi kieliszkami zaniosiła wino prosto do stolika.

Zbyszek nie bardzo wiedział, jak się oświadczyć, kiedy wyjął z kieszeni czerwone pudełeczko z pierścionkiem, ale gdy kelnerka otworzyła butelkę i naląa, pomyślał, że to odpowiedni moment. I chociaż w gardle mu zasychało, przykląkł na jedno kolano i wypowiedział sakramentalną formułę:

– Czy zechcesz wyjść za mnie za mąż?

Mimo że właściwie tego oczekiwała, Martynę zatkało. Łzy jej się zakręciły w oczach, nie wiedziała, czy ma wstać, czy też klęknąć, a może zostać na miejscu? Ostatecznie tylko patrzyła na Zbyszka załzawionymi oczyma.

– Tak – wyszeptła wzruszona. – Jasne, że tak!

Moment zaręczyn nie uszedł uwagi pozostałych gości. Wstali więc i zaczęli bić brawo, a Martyna i Zbyszek stali speszeni, nie wiedząc, jak się zachować. W końcu ukłonili się, dziękując za aplauz.

A więc mam to już za sobą! – z ulgą pomyślał Zbyszek. – Jeszcze tylko powiedzieć rodzicom i będzie z głowy.

Tak naprawdę nie lubił tych wszystkich korowodów. Głupio się czuł w sytuacjach oficjalnych, zawsze bojąc się, że popełni gafę. Jego królestwem była cukiernia i tam rozwijał skrzydła. Miał nadzieję, że Martyna, jak kiedyś matka jego ojca, przeprowadzi ich wspólny okręt przez rafy życia, on w zamian gotów był zarobić na nią i rodzinę. To chyba dobry układ?

Martyna patrzyła na pierścionek, szczęśliwa. Od dziś jej życie mogło się zmienić. Teraz tylko jeszcze musi powiedzieć Danielowi, że jego syn będzie wychowywany przez innego tatusia. To go akurat nie powinno zmartwić. Owszem, powścieka się, będzie się rzucał, a potem natychmiast poprosi ją o kasę. Trudniej będzie powiedzieć Zbyszkiowi o dzieciach. Ta myśl bardzo ją niepokoiła. Jak zareaguje? Co powie? Zerwie zaręczyny? Czy będzie gotów ożenić się z nią i adoptować jej dwójkę? Jak to rozegrać i kiedy? Na pewno nie dziś, sprawa jest zbyt świeża, gotów się wycofać. Nie, musi się przyzwyczaić, musi dostać trochę satysfakcji, zasmakować w życiu mężczyzny posiadającego kobietę na każde zawołanie i gotową na wszystko. Dopiero wtedy będzie czas, aby przedstawić mu cenę tej transakcji.

Waldemar Hryć nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Jaki interes miał ten Bańka, żeby specjalnie przyjechać do Gutowa i zaszkodzić dziewczynie Zbyszka? Może ma z nią na pieńku? Mimo wszystko nie chciało mu się wierzyć, że ta Martyna zdążyła już urodzić dwójkę dzieci, przecież sama wygląda jak dziecko. Więc po co tamten chciał to właśnie dziś powiedzieć? Na dodatek całkiem gratis? A może chodzi o to, żeby ją jeszcze dokładniej przeświecić? No pewnie! Hryć rozejrzał się, ale nie zauważył już nigdzie niebieskiej koszuli prywatnego detektywa.

I co z tym fantem zrobić? Pogadać najpierw ze Zbyszkiem czy z Heleną? Które powinno się dowiedzieć pierwsze? Zachodził w głowę, gapiąc się w szarozieloną toń jeziora, aż jego wzrok padł na przeciwległy brzeg. Tak! Iga mu na pewno podsunie najlepsze rozwiązanie. Chwila wahania, czy ma jechać autem, i już wsiadał do gondoli płynącej na drugi brzeg. Dookoła toczyło się

święteczne życie miasta, ale on, pochłonięty przez własne niewesołe myśli, nie podzielał tej radości. Jeszcze wczoraj wszystko wydawało się iść ku dobremu. Nawet dziś rano. A tu takie wieści! Kilkanaście minut temu, widząc Zbyszka z tą dziewczyną, ujrzał młodego chłopaka, który jest poważnie zaangażowany. Niełatwo będzie wybić mu ją z głowy. Hryć dotychczas nie miał tego typu problemów. Iga była dobrą córką, mierzyła wysoko i radziła sobie z tymi sprawami sama. Zresztą miała raptem dwóch chłopaków, a drugi, Xavier, został jej mężem. Zbyszek do niedawna w ogóle nie interesował się dziewczynami. Dziwne, że zostawił tę Kasię, to taka porządna panienka. Może to właśnie go do niej zraziło? Chłopaki nie lubią czekać z seksem, a ona nie wygląda na taką, której się do tego śpieszy.

Westchnął, patrząc na zbliżający się przeciwległy brzeg jeziora. Oby tylko chodziło o seks... Bo jeśli to miłość, sprawa może być znacznie bardziej skomplikowana. On, żeniąc się z Heleną, był już dorosły, no i matka nie żyła, bo gdyby żyła, wiedząc, że syn chce wychowywać cudze dziecko, na pewno rozpętałyby piekło. Swoją drogą aż dziw, że do tej pory udało się sprawę utrzymać w tajemnicy! Może już pora powiedzieć Zbyszkowi? Chociaż nie, jeszcze nie teraz...

- Igę zatkało, kiedy zobaczyła ojca w drzwiach swojego gabinetu.
- Tata? Jesteś sam? Co się stało?!
 - Przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale to była nagła decyzja.
 - Świetnie! Bardzo się cieszę! Zjemy coś? Właśnie zamierzałam pójść na obiad.
 - Właściwie to chętnie, ale niedługo zabawię.
 - Ile tylko zechcesz! Jesteś jakiś markotny czy mi się zdaje?
 - Jestem, z powodu Zbynia. Nagle wypłynęły jakieś złe rzeczy o tej jego dziewczynie.
 - I co?
 - No właśnie nie wiem, co robić, bo podobno ona ma dwójkę dzieci i jest wiesz... – zawahał się, nie chcąc przy córce użyć nieprzyzwoitych słów. – Podobno lekkich obyczajów.
 - A co na to Zbynio?
 - Chyba o niczym nie wie. Spacerują gdzieś nad jeziorem. Co robić?
 - A te wieści są sprawdzone?

- Wiem od tego detektywa, co to sprawdzał, czy on nie ćpa.
 - I dlaczego dopiero teraz ci powiedział?
 - Mówił wtedy, tylko mnie obchodziło wyłącznie to ćpanie... Nie sądziłem, że on może się wplątać w tego typu związek.
 - Pogadaj z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Na osobności. Nie denerwuj Heleny, chyba że uznasz to za niezbędne. Ale przecież Zbyszek jest rozsądny i nie będzie się chciał wiązać z... Coś nieprawdopodobnego! A ten detektyw nie kłamał? – zasugerowała Iga.
 - Nie wiem, nic nie wiem. Czuję, jakbym dostał w łeb obuchem. Powiedział mi to dwadzieścia minut temu, jak stałem, wskoczyłem do łódki. Boję się spojrzeć Helenie w oczy, dopóki nie pogadam ze Zbyszkiem. On jest chyba zakochany.
 - Jest, widziałam to. Bardzo się wobec niej stara.
 - Przecież nie powie po prostu: Skoro tak mówisz, to ja z nią zerwę. Czuję, że będzie straszna awantura.
 - Poinformuj go, czego się dowiedziałeś, i daj mu czas do namysłu. On jest dorosły, tato, i ma prawo decydować o swoim życiu.
 - Co ty opowiadasz, to jeszcze dzieciak! Ja w jego wieku...
 - Ty się ożeniłeś ze szkolną koleżanką. Byłeś posłusznym synem i miałeś szczęście, że mama się babci spodobała. On gorzej trafił, ale jeśli będziemy naciskać, to może się źle skończyć.
 - Źle, czyli jak? Jest od nas zależny! Musi to wziąć pod uwagę!
 - Jest albo nie jest. Ma fach w ręku. Robota dla dobrego cukiernika zawsze się znajdzie. Ja bym go zatrudniła!
 - Po znajomości.
 - Nieważne. Jeśli chcesz go zatrzymać, może będziesz musiał ustąpić.
 - Nie pozwolę, żeby mój syn wychowywał cudze dzieci!
- Iga westchnęła przesadnie.
- Przyganiał kocioł garnkowi! Człowiek czasem idzie własną drogą, choćby to zdumiewało lub złościło innych. Już zapomniawszy, jak było między tobą a Heleną?
 - To nie to samo! – fuknął rozwścieczony Hryć. – Przede wszystkim byłem dojrzały i samodzielny.
 - Zbytnio może nie jest dojrzały, ale im szybciej zrozumiesz, że on już jest dorosły, tym lepiej.
 - Mam oddać dorobek życia... latawicy?

Iga popatrzyła na ojca ze współczuciem.

– Synowi, tato. Synowi. Czy dasz radę mimo wszystko coś zjeść?

Gutowo, luty 1965

Zabrzmiął dzwonek. Monika zebrała do teczki podręcznik i zeszyt. Za chwilę lekcja fizyki. Ten przedmiot z oschłym wymagającym profesorem Zawadzkim budził w niej zawsze wielki niepokój. Tymczasem nim zdążyła wyjąć zeszyt i oprzeć się o ścianę, aby powtórzyć sobie pracę domową, pod pracownię fizyczną przyszła dyżurna i wezwała ją do dyrektorki. Monika wzięła teczkę i poszła za nią do gabinetu. W środku był już Grzesiek Hryć, który stał z lekko niepewną miną, jakby go ktoś przyłapał na paleniu fajek w toalecie. Monika dygnęła i czekała, aż dyrektorka zakończy rozmowę telefoniczną. Kiedy ta odłożyła słuchawkę na widełki, przyjrzała się im uważnie.

– Prątko i Hryć jesteście zwolnieni z lekcji. Pójdziecie jako delegacja do Komitetu Miejskiego. Odbywa się tam dziś plenum w sprawie młodzieży, wyznaczam was na reprezentantów naszej szkoły. Zdążycie się przebrać w strój organizacyjny? Plenum zaczyna się o dwunastej.

– Oczywiście! – potwierdziła Monika.

– Zdążę! – odparł Grzesiek, zadowolony, że przypadną mu cztery lekcje. – Czy mamy podczas plenum zabrać głos?

– Raczej nie, ale przeczytajcie porządek obrad i jeśli będą przewidziane głosy z sali, to powiedzcie kilka zdań od młodzieży naszego liceum. Same pozytywy, chyba nie muszę was uczyć? Jesteście członkami ZMS, wiem, że mogę na was polegać. Nie szukajcie dziury w całym, tylko konstruktywnie poprzyjcie linię partii i rządu!

– Naturalnie! Ku chwale ojczyzny! – zażartował Grzesiek i skłonił się szarmancko, wywołując uśmiech pobłażliwości. Wyszli na korytarz. Grzesiek utrzymywał jeszcze przez chwilę oficjalną minę, ale kiedy tylko włożyli kurtki i opuścili budynek, zaczął gwizdać i śmiać się. – Jak ja kocham zebrania plenarne! Miałem mieć klasówkę z matmy! O chwilo niepojęta, Bóg jednak istnieje!

– Ciekawe, że mówisz to akurat w takiej sytuacji! – obruszyła się Monika.

– Czy to moja wina, że nagle spłynęło na mnie olśnienie? Wiesz co, głodny jestem, zapraszam cię na pączka!

Monika o takiej chwili marzyła od dawna. Też gotowa była uwierzyć, że Bóg objawił się właśnie poprzez to plenum. Kazimierz mówił coś dziś rano, że może wrócić później, ale nazwał to „nasiadówką”. Pewnie zdziwi się, widząc ją pośród gości.

– Ciekawe, dlaczego wybrali akurat nas? – zastanawiała się na głos.

– Mnie, bo jestem aktywistą i synem prywatnej inicjatywy, który popiera w całej rozciągłości program partii, a ciebie może za ładną buzię?

Nie mógł powiedzieć nic miłszego. Monika spiekła raka i aby to ukryć, odwróciła głowę w bok.

– Żartowałem! – powiedział nieoczekiwanie. – Zawsze wybierają chłopaka i dziewczynę. Ja – wiadomo, chodzę na wszystkie tego typu nasiadówki. Na studiach zapiszę się do partii i poszukam pracy w aparacie partyjnym. To jedyna droga, żeby się wybić. Ale ty? Nie jesteś zbyt aktywna w ZMS-ie.

– Staram się, jak mogę... Nauka zabiera mi dużo czasu.

– „Nie nauka, lecz chęć szczerą” – jak to mówią.

Imponował jej. Miał wyrobione poglądy i wiedział, kim chce zostać. Monika nie mogła tego o sobie powiedzieć. Zapisała się do ZMS-u, bo sądziła, że tak wypada. Zresztą ZMS zawsze szedł na początku pochodu pierwszomajowego. Ona też chciała iść na czele. Marzyła, aby stanąć w poczcie sztandarowym, być pierwszą uczennicą szkoły. Dziś poczuła, że zbliżyła się do tego celu. Nie wiedziała, dlaczego wybrano właśnie ją, jednak nie zamierzała dociekać. Popatrzyła na Grześka i stwierdziła z przykrością, że on się zgrywał! Albo udawał, że go to nie obchodzi. Wyjął z kieszeni papierosa, podsunął jej pod nos paczkę, ale pokręciła głową. Wziął zatem jednego do ust, zapalił i zaciągnął się mocno.

– Co ty robisz? – zapytała przerażona Monika. – Jeszcze ktoś nas zobaczy! Mamy tarcze szkolne na rękawach!

– Moja się właśnie odpruła – zarechotał nieprzyjemnie, pokazując jej rękaw bez tarczy. – Ojej, nie dąsaj się. Nie wiedziałem, że idę na to plenum ze świętoszką. Chodzisz do kościoła? Przyznaj się, chodzisz?

– No co ty?!

– To skąd to święte oburzenie? W której jesteś klasie?

Monikę prawie zatkało. Jak mógł jej nie pamiętać, jak mógł nie kojarzyć, przecież mijali się tyle razy na korytarzu, czasami nawet mówiła do niego

ciche „Cześć”. Największą przykrość sprawiało jej jednak to, że nie pamiętał wesela w pałacu Zajezierskich. Może powinna mu o nim przypomnieć?

– Do dziewiątej „b”... – wyszeptała.

– A ja myślałem, że do szóstej „b”! – Roześmiał się z żartu. – Dobra już, dobra! No masz, obraziła się! Co to za mina?!

Monice chciało się płakać. Wstała, gotowa wracać do szkoły.

– Idź sobie sam, mądralo!

– Chcesz wracać na lekcje? Chyba ci odbiło? No nie, na żartach się nie znasz?

– Na twoich nie!

– Macie ją! Przepraszam! Chcesz, klęknię! „O Dulcyneo, ja kocham cię!” – zaśpiewał na cały głos, przyklękawszy prawie na jedno kolano.

– Przestań! Ludzie się gapią!

– Co tam ludzie! Niech patrzą. – Grzesiek zaciągnął się mocno i rzucił papierosa w krzaki.

– Zwariowałaś?! Nie śmieć!

– To ostatnie krzaki przed rynkiem, aniele. Jeśli tu nie wyrzucę peta, moja matka mnie nakryje, a chyba tego nie chcemy, prawda? – Widząc zrozumienie w jej oczach, z zadowoleniem otrzepał dłonie. – No, to zapraszam na pączka!

Za ladą cukierni stała wysoka postawna szatynka, pani Hryć, matka Grzeska. Widząc ich, uśmiechnęła się ciepło.

– Nie powinniście być w szkole?

– Idziemy na plenum – z nutą tajemniczości oświadczył Grzesiek. – Reprezentujemy szkołę! Daj nam po pączku, albo jeszcze lepiej po dwa, bo nie wiadomo, ile to potrwa.

Pani Hryć zapakowała do papierowych torebek po dwa pączki, a na papierowe serwetki położyła po maślanej babeczce z budyniem. Monika szeroko się uśmiechnęła.

– Babka z lodem! – powiedziała.

– Nie, z budyniem.

– Tak mówiłam, kiedy byłam mała. Uwielbiam te babeczki. Pączki zresztą też. Macie najlepsze ciastka w mieście. Wszyscy tak mówią.

– Dziękuję! – ucieszyła się pani Hryć. – Wpadnij, wracając, dam ci kilka do domu.

– To my lecimy! – Grzesiek przerwał tę wymianę kurtuazji.

– Gdzie ty właściwie mieszkasz? – zapytał.

- Na Piaskach.
- To po drodze. Ile czasu potrzebujesz, żeby się wystroić?
- Jakiś kwadrans.
- To za pół godziny spotykamy się na mostku. Pasuje?
- Pewnie!

Komitet Miejski znajdował się niedaleko miejsca spotkania, przy ulicy Przodowników Pracy. Sali obrad plenarnych nie musieli długo szukać, szeroko otwarte drzwi na wprost wejścia do budynku i kilkanaście osób kręcących się po korytarzu i palących papierosy, wśród których Monika spostrzegła Kazimierza, było najlepszą wskazówką.

- A co ty tu robisz? – Kazimierz uśmiechnął się na widok wychowawcy.
- Jesteśmy z kolegą delegatami na plenum.
- To zaraz każę wam dać materiały! Będziecie chcieli zabrać głos?

Monikę stropiła ta propozycja.

– Czemu nie? – Grzesiek podjął temat. – Hryć jestem, Grzegorz Hryć. – Ukłonił się, szurnąwszy nogami.

– Janiuk, Kazimierz Janiuk. – Podali sobie dłonie. – Bardzo się cieszę! Nie bójcie się konstruktywnej krytyki, w końcu kto ma to za was zrobić – zażartował i wszedł do sali obrad.

- Znasz go? – zapytał zdumiony Grzesiek.
- No jasne. Jest moim ojczymem.
- A kim on jest w strukturze?

– Chyba sekretarzem? – odparła i zauważyła w jego oczach coś na kształt szacunku.

Nim obrady się zaczęły, zjedli jeszcze po pączku, oblizali palce i weszli do środka, aby się napić oranżady, która stała na stołach. Przez salę ciągnął się długi stół przykryty zielonym sukmem. Udekorowano go pięcioma doniczkami paproci, pomiędzy którymi stały tace z oranżadą i puste szklanki oraz słone paluszki w szklankach. Dookoła stołu ustawiono krzesła. Sala miała jeszcze niewielką scenę, a na niej mównicę. Tło sceny stanowiła ciemnozielona kotara, do której przypięto wycięte z brystolu białe drukowane litery układające się w hasło:

MŁODZIEŻ GODNĄ KONTYNUATORKĄ DZIEŁA MARKSA I LENINA!

Monika i Grzesiek siedli daleko od mównicy. Raz po raz wpadał do sali jakiś delegat, witając się z pozostałymi silnym uściskiem dłoni i krótką wymianą uprzejmości. Ostatecznie miejsca przy stole zajęte były mniej więcej w połowie. Porządek zebrania przewidywał dwa referaty, przyjęcie tez do pracy na przyszły kwartał, półrocze i rok oraz dyskusję i podsumowanie. Przewodniczył Kazimierz, co ucieszyło Monikę, bo Grzesiek popatrzył na nią i podniósł kciuk do góry.

Starła się uważać, ale zapisała zaledwie kilka zdań i znudziła się. Referaty wygłaszane partyjną nowomową działały na nią usypiająco. Grzesiek natomiast notował niezmordowanie. Jednak myliłby się ten, kto by sądził, że jego uwaga skupiona była wyłącznie na zebraniu. Raz po raz podawał Monice karteczkę, w której pisał jej coś miłego. Właściwie tylko z tego powodu warto było tu przyjść. Karteczkowa korespondencja, początkowo niewinna, zaczęła się rozgrzewać, aż wreszcie Grzesiek zapytał, czy mógłby po zebraniu odprowadzić ją do domu. Zgodziła się chętnie, chociaż wiedziała, że musi się z nim pożegnać kilka przecznic wcześniej. Nie chciała, aby matka ich zauważyła. Potem byłoby mnóstwo marudzenia i przypominania o nauce!

Wreszcie po trzech godzinach rozpoczęły się głosowania. Wszystkie tezy przyjęto przez aklamację, zresztą nie było sensu spierać się z oczywistościami typu: „Należy wzmacniać uświadczenie polityczne młodzieży” czy „Młodzież polska ma prawo do bezpłatnej nauki”.

Po krótkiej przerwie Kazimierz odczytał przygotowany prawdopodobnie zawczasu dokument końcowy, który również jednogłośnie przyjęto. Monika miała już wtedy głowę zajętą wyłącznie tym, czy będzie dalej coś między nią i Grześkiem.

Zajezieryce, sierpień 2016

Nim zdążyły dojeść do samochodu, który stał na drodze nieopodal bramy cmentarza, Tessa się potknęła. Omal nie upadła, uratowała ją jednak przytomność córki.

– Mamo, co się dzieje? – zapytała zmartwiona Elena.

– Sama nie wiem, chyba jakiś zawrót głowy.

Monika i Elena ujęły chorą pod ramiona i pomogły jej dotrzeć do furtki.

– Jeśli chcesz, możesz się położyć w moim pokoju. Łóżko jest dwuosobowe, a ja zajmuję tylko jedną połowę.

– Dziękuję, chętnie skorzystam – wyszeptła z trudem Tessa. – Przepraszam was, powinnam zabierać ze sobą laskę. Czy już ci mówiłam, jaką wspaniałą dziewczyną jest Mia? – zmieniając temat, zwróciła się do Moniki.

– Zauważyłam.

– Dokąd ona poszła? – nieco niepewnie zapytała Tessa.

– Jest w mieście. Pewnie romansuje z tym barmanem. Zaraz do niej zadzwonię. Zresztą niedługo powinna przyjechać. Koło pierwszej umówiliśmy się w hotelu na lunch – nie mogąc powstrzymać drżenia głosu, rzeczowo poinformowała Elena.

– Popatrz, Moniko, jeszcze wczoraj tkałam z moją babką Bronią len, żeby sprzedawszy na targu obrębione ścierki, móc sobie kupić buty albo uszyć spódnicę do szkoły, a dziś będę jadła lunch w pałacu Zajezierskich!

– Wtedy nie wiedziałyśmy nawet, że takie słowo istnieje! – spróbowała żartować Monika.

Dotarły do bramy cmentarza. Na szczęście Elena zaparkowała tuż obok. Tessa usiadła z trudem na miejscu obok kierowcy. Oparła głowę i zamknięwszy oczy, oddychała ciężko.

– Mamo?

– Jedź, nie histeryzuj! – Tessa upomniała córkę szorstko. – A wiesz, jak ja ci zazdrościłam tego wesela Grzybówny? – zwróciła się do Moniki. – Tej

atmosfery, elegancji, tych butów, tej wstążki... Śniło mi się po wielokroć, że to ja jestem zaproszona i tańczę w ładnej sukience, w lekkich pantofelkach. Zawsze chciałam mieć takie lakierki. Może dlatego nigdy ich sobie nie kupiłam.

– Mamo, do ciebie nie pasują lakierki!

– Sama widzisz, Moniko, jak to jest... Moja córka wie lepiej... Zawsze wie lepiej...

– Chciałabym mieć córkę. Niechby nawet wiedziała lepiej. Poczucie, że nie zostawię nikogo, coraz bardziej mi doskwiera.

Elena zamierzała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Zresztą skręcały właśnie w bramę pałacową. Tessa nadal miała zamknięte oczy i to Elenę niepokoiło.

– A może pojedziemy do szpitala? – zapytała, choć założyłaby się, że wie, jaka odpowiedź padnie.

– Dobrze, że się wreszcie spotkałyśmy. – Tessa pozornie zlekceważyła słowa córki. – Chyba naprawdę muszę się położyć.

Wysiadły z samochodu i prowadziły ją ostrożnie do pokoju. W hotelu nie zainstalowano windy na piętro. Tessa wspinała się z trudem, odpoczywając co kilka kroków. Kiedy wreszcie dotarła do pokoju Moniki, była wyczerpana i z westchnieniem ulgi usiadła na łóżku.

– Przynieś mi trochę soku z ogórków – poprosiła nieoczekiwanie. – I jeśli można, zasłońcie okno. – Zsunęła buty i przez chwilę przyglądała się swoim stopom. – Mam brudne nogi. Podłóż mi ręcznik.

Monika przyniosła z łazienki ręcznik kąpielowy i rzuciła go w nogach łóżka, a Tessa ostrożnie ułożyła się na boku.

– Pójdę do restauracji po ten sok – powiedziała Monika i wyszła.

Elena zaniepokojona przyglądała się matce. Tessa z zamkniętymi oczyma oddychała ciężko.

– Bez obaw, dowiesz się pierwsza – odpowiedziała nagle na niezadane pytanie córki.

– Po co tu przyjechałyśmy?! – zdenerwowała się Elena. – Powinnaś być pod opieką lekarza, leżeć w dobrym austriackim ośrodku, w jakiejś klinice, gdzie wiadano by, jak ci pomóc! A ja sama tutaj jestem bezsilna. Mogę ci najwyżej zrobić kroplówkę albo zastrzyk przeciwbólowy, to wszystko. Wracajmy do domu.

– Jeszcze nie! – charczącym szeptem odpowiedziała Tessa.

– Czy to, co masz tu załatwić, jest ważniejsze od życia?! – wybuchnęła Elena i rozpłakała się.

– Od mojego tak.

– To porozmawiaj z nią jeszcze dziś. Załatw to wreszcie i jutro jedźmy do domu. Proszę.

– Dobrze, córeczko.

Ostrożnie otwierając drzwi, weszła Monika. Trzymała w ręku szklankę z sokiem z ogórków.

– Nie przeszkadzam?

– Skądże! W końcu jesteś u siebie – mimo wyraźnego cierpienia Tessa zażartowała. – Idźcie teraz na obiad, a ja się zdrzemnę.

Ale ani Monika, ani Elena nie kwapiły się do wyjścia.

– Idźcież wreszcie i dajcie mi odpocząć!

– Zawsze taka była? – zamykając drzwi od pokoju, Elena zapytała Monikę.

– Pamiętam ją inną. Grzeczną, nieco wycofaną, chyba z kompleksem wsi, zrezygnowaną, mimo młodego wieku zatyraną ponad siły. Zawsze gdzieś pędziła, zawsze brakowało jej czasu, a wszystko miało tylko jeden cel: zarobić parę groszy. Bardzo mi zaimponowało, jak silna się stała i co osiągnęła, a najbardziej, że tu jest w takim stanie.

– Nie domyśla się pani, o co może chodzić? Co kazało jej tu przyjechać mimo choroby? Albo właśnie dlatego, że się żegna z życiem?

– Nie mam pojęcia. Od liceum nasze kontakty się rozluźniały. Wpadałyśmy na siebie czasem, ale nie było w tym nic celowego. Zaakceptowałam to, że nasze drogi się rozeszły.

– A jednak musi być coś, co was bardzo mocno wiąże. Matka sądzi, że powinna pani jakoś zadośćuczynić.

Monika zmarszczyła brwi, wyglądała na przejętą.

– Ona mnie? Chyba na odwrót? To ja mam wobec niej dług wdzięczności.

Mia odczytała SMS od matki i wiedziała, że powinna wracać do hotelu, ale siedzenie przy barze winiarni i pogaduszki z Maćkiem były tak cudowne, że nie chciało jej się wstawać.

– Coś poważnego?

– Wzywają mnie.

Maciek nie krył zawodu.

– To dorosłe kobiety, nie dadzą sobie same rady?
– Widziałam minę twojej szefowej – konspiracyjnie powiedziała Mia. – Nie jest zadowolona, że odciągam cię od pracy.
– W poniedziałek mam wolne – szepnął, a ona podskoczyłaby z radości, ale nie wiedziała, czy w poniedziałek nie będzie już w drodze na lotnisko.
– Odezwę się! – obiecała i zeskoczyła z wysokiego stołka.
Tymczasem Maciek wyszedł zza baru i obejmując ją czule, pocałował prosto w usta. Goście siedzący przy stolikach zauważyli to i zaczęli bić brawo, a inni pogwizdywali, czyniąc żartobliwe uwagi:
– Tak trzymać, chłopie!
– Jeszcze jeden!
– Dawaj, dawaj!
Niespeszony Maciek pochylił się nad Mią i znów ją pocałował.
– Pachniesz jak truskawki! – wyszeptał jej do ucha. – Napisz. Zaraz. Proszę.
Mia, spostrzegłszy kątem oka właścicielkę, wywinęła się z objęcia.
– Obiecuję! – Kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia.
Po drodze na rynek starała się nie uronić ani jednej chwili z tych kilku godzin spędzonych z Maćkiem. Szła, machając torebką, lekka, pogodna i po raz pierwszy od dawna tak bardzo zakochana.

Monika i Elena, czekając na Mię, popijały aperitif.
– Matka w ciągu ostatnich miesięcy bardzo się zmieniła.
– Choroba ludzi zmienia.
– Ale ona nie walczy! Zawsze była niezwykle waleczna. Zmagiała się z wieloma trudnościami, nigdy nie odpuszczała, nawet w sytuacjach wydawałoby się beznadziejnych.
– Tak bywa, kiedy rokowania są niepomyślne.
– Nie mogę uwierzyć, że to ta sama osoba! Raz po raz wydaje mi się, że nagle skoczy na równe nogi i krzyknie: „Żartowałam!”.
– Kocha ją pani.
– Organizowała całe nasze życie. Chodziłyśmy jak sprężyny w zegarku nakręcanym jej dłonią. Nie mogłam uwierzyć, że zachorowała, a teraz nie mogę uwierzyć, że odchodzi.
– Mam nadzieję, że jeszcze wiele lat przed nią! – Monika uśmiechnęła się słabo. – Teraz, kiedy się odnalazłyśmy i mamy sobie jeszcze tyle do

powiedzenia, nie pozwolę jej znów zniknąć!

– Lekarze nie dają nam wielkiej nadziei. Odradzali tę podróż, ale mama się uparła.

– Zastanawiam się, o co może jej chodzić.

– Trzyma to w najgłębszej tajemnicy. Myślałam, że może o tym rozmawiałyście? Gdyby dało się przyspieszyć załatwienie tej sprawy, mogłybyśmy zabrać ją do Wiednia, do szpitala lub do domu. Tu chyba nie czuje się najlepiej.

– Właściwie rozmawialiśmy bardzo luźno o teraźniejszości i przeszłości. Nic szczególnego, żadnych poważnych zwierzeń. Matka pani stała się osobą dość zamkniętą.

– Życie tak ją ukształtowało.

– To również kwestia wieku. Myślę, że jestem podobna – stwierdziła Monika i rozejrzała się po restauracji. Zauważyła kątem oka siedzącego nieopodal Waldemara Hrycia.

Widok właściciela cukierni przypomniał jej o sprawie, którą zaniedbała. Chcąc wykorzystać niezobowiązującą sytuację, przeprosiła Elenę i podeszła do Hrycia.

– Dzień dobry, nazywam się Monika Grabowska-Adams, to moja wizytówka. Chciałabym się z panem i pańską żoną spotkać w poniedziałek lub we wtorek wieczorem, czy to będzie możliwe?

Hryć popatrzył niewidzącym wzrokiem to na nią, to na wizytówkę.

– Adams? Tak? W jakiej sprawie? – wyjąkał, co Monikę speszyło.

– Nic takiego, mam upoważnienie dawnych właścicieli do rozmów z państwem.

– Jakich właścicieli? – nie rozumiał Hryć.

– Cukiermanów. A właściwie córek ostatniego z Cukiermanów, Izraela – powiedziała Monika i zauważyła, że źle zaczęła.

Hryć wyglądał na wytrąconego z równowagi, nieomal przerażonego.

– Proszę się nie obawiać, to naprawdę drobiazg. Proszę tylko o chwilę rozmowy. Pół godziny mi wystarczy. Zechcą państwo zadzwonić? Nie chciałabym się narzucać – wyjaśniła, czując, że wybrała fatalny moment.

– Tak, dobrze. Przekażę żonie – odpowiedział Waldemar Hryć, ale jego mina wskazywała, że najchętniej by uciekł.

Do siedzącej nieopodal Eleny podeszła Iga Toroszyn.

– Czy dobrze pamiętam, że są panie zainteresowane pokojem? Właśnie się zwolniła dwójka. Za godzinę będzie do dyspozycji.

– Ale nas jest trzy... I mamy dwa pokoje w Petropolu w Płocku. Chociaż dobrze, niech go pani dla nas zatrzyma – zdecydowała Elena.

Gutowo, wrzesień 1965

Rok pracy u starszej pani Wypych pokazał Teresie całą jej ignorancję i potwierdził to, co wcześniej starała się jej uświadomić nauczycielka polskiego – może zająć wysoko tylko dzięki wiedzy i umiejętnościom. Z dwóch dróg do sukcesu: pracy zawodowca i aparaczyka, mimo protektorki w osobie towarzyszki Wypych, Teresa zdecydowanie wybierała niezależność zawodowca. Po roku chodzenia do szkoły zawodowej zrozumiała, że nie wzbudzi w sobie zainteresowania do farb i lakierów.

Sama jeszcze nie wiedziała, co ją najbardziej interesuje, nie była to jednak ani praca fizyczna w fabryce, ani pójście drogą towarzyszki Wypych, która zresztą protegowała głównie chłopaków, uważając nie bez racji, że to oni najbardziej się sprawdzą w działalności partyjnej. Kilku już pod jej okiem zdobywało szlify, przygotowując zakładowe gazetki ściennie, jeżdżąc w teren na zebrania młodzieży wiejskiej i uczestnicząc w plenach miejskiej organizacji PZPR. Zdążyli sobie przyswoić gotowość do wykonania każdego polecenia i najpopularniejsze frazy języka elity partyjnej.

Teresa się do tego nie garnęła. Pilnowała powierzonej sobie linii frontu ideologicznego, sprzątając mieszkanie i dotrzymując towarzystwa starszej pani Wypych, i jakoś żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, że w socjalistycznej Polsce konserwują dawne feudalne porządki. W drugim roku szkoły zasadniczej dzięki znajomości towarzyszki Wypych z opiekunem praktyk zawodowych Teresa pracowała już dwa dni jako służąca, choć oczywiście nikt nie ośmieliłby się tak nazwać jej stanowiska. Była co najwyżej pomocą domową. Ale jako taka miała niemal nieograniczone dojścia do rozmaitych rzadkich dóbr, jak chociażby cytryny. Umiejętność załatwiania, zdobywania kontaktów, czyli chodów, wyrabiania sobie pleców czy uzyskiwania czegoś po znajomości tak wrosła w zachowania ludzi, że nie uważali jej za nic dziwnego czy zdroźnego.

Nie dla wszystkich rolników wystarczało w sklepach GS sznurka do

snopowiązałek, zajezieryccy dzięki Teresie mieli go niemal w nadmiarze. Trzeba było tylko wymówić magiczne zaklęcie: „Przysyła mnie towarzyszka Wypych”. Kierownik sklepu wiedział, że zachomikowany w magazynie zapas sznurka sprzedany człowiekowi towarzyszki Wypych wymieni kiedyś na brakujące kolory farb i lakierów, którymi ta dysponowała w niemal nieograniczonej ilości. Do takiej działalności Teresie nie brakowało sprytu. Zauważyła też, że nikt nie zwraca uwagi na jej nikczemną posturę i nie zastanawia się nad młodym wiekiem. Nazwisko towarzyszki Wypych otwierało wrota niemal każdego sezamu.

W drugiej klasie Teresa zaczęła obsesyjnie myśleć o Monice i jej wygodnym życiu w liceum. Monika by tak tego nie nazwała, postawiła przecież przed sobą niezwykle trudne zadanie wejścia do szkolnej elity, co wymagało wielu wyrzeczeń. Teresa widywała ją czasami z chłopakiem z cukierni, zawsze jednak byli tak zajęci sobą, że nie zwracali uwagi na to, co się poza nimi dzieje na ulicy.

Grzesiek rzeczywiście trochę odrywał myśli Moniki od wyznaczonego celu. Po wspólnym uczestnictwie w plenum Komitetu Miejskiego zaczął ją poznawać na korytarzach szkolnych, podczas przerw niby przypadkiem zjawiał się pod salą, w której akurat miała lekcje, czasem odprowadzał do domu, choć rozstawali się zawsze na mostku. Miał bujną blond czuprynę, jasnoniebieskie oczy i mocną budowę ciała. Był wysoki i podobał się dziewczętom. Monika jeszcze nie przedstawiła go rodzicom, ale zaczęła już myśleć o wspólnej przyszłości. On był w jedenastej klasie, ona w dziesiątej. Miał zdawać na UW, ona też chciała studiować na uniwersytecie, ale nie historię, raczej prawo i administrację, coś praktycznego.

Pewnego dnia Kazimierz zapytał:

– A gdzie ten twój chłopak? Czemu go nigdy nie przyprowadzisz do domu, tylko się tułasz po kątach?

Monika początkowo się obruszyła, ale w końcu przyznała mu rację. Poza cukiernią Pod Amorem, która z wiadomych względów odpadała, w Gutowie nie było żadnego miejsca, gdzie chodzący ze sobą młodzi ludzie mogliby się spotkać. Kino Zorza, stare i cuchnące, wyświetlało dwa filmy w miesiącu i oczywiście Grzesiek ciągnął ją na każdą premierę, bo świetnie się tam całowało. Ale kiedy spróbował jej wsadzić rękę za bluzkę, wściekła się

i powiedziała, że z kinem koniec. Pozostawały spacer, zwłaszcza nad jezioro Nyć, porośnięte nigdy niekarczowanymi chaszczami, gdzie można było się schować przed wzrokiem ciekawskich. Monika trochę się bała tych chaszcz, bo Grzesiek raz czy dwa namawiał ją do próbowania wina i palenia papierosów, twierdził bowiem, że każdy, kto wybiera się na studia, musi być w tym wprawiony. Tam też dochodziło do prób zbliżenia, na razie jednak udawało się jakoś studzić jego zapędy. Znacznie jej to ułatwiła pierwsza wizyta Grześka w ich domu. Pod srogim spojrzeniem Kazimierza prostował się jak struna i prawie zapominał języka w gębie, a kiedy okazało się, że Kazimierz został pierwszym sekretarzem w miejskiej strukturze, Grzesiek jakby zupełnie zapomniał o seksie.

Wiosną Janiukowie się przeprowadzili. Nieco wyżej, choć też na Piaskach, oddawane były nowe bloki i Kazimierz dostał przydział na trzypokojowe mieszkanie. Nie było co prawda dużo większe od poprzedniego, miało zaledwie czterdzieści dziewięć metrów kwadratowych, ale trzy pokoje robiły wrażenie! Stefania jeździła po meble aż do Płocka, bo w gutowskim sklepie meblowym nic jej się nie podobało. Kupiła szafki do kuchni, nową wersalkę, komplet na wysoki połysk do dużego pokoju i regał dla Moniki, powiesiła matę na ścianie, na podłodze położyła nowy strzyżony dywan z Kowar w kolorze bordowym, który Monice wydał się szczytem luksusu. Leszek też dostał swój pokój, ale często w nocy wychodził z łóżeczka i kładł się z rodzicami, za co Stefania go rano łajała.

Mimo wzrostu zamożności Monika miała opory, żeby spotykać się z Grześkiem w domu. Stefania co prawda udawała kobietę światową, chodziła w kapciach z puszką i paliła papierosy, ale zawsze pod pozorem zrobienia herbaty otwierała drzwi i podsłuchiwała. Grzesiek nie bardzo jej się podobał.

„Prywatna inicjatywa! – prychała. – Pewnie go na studia nie przyjmą, bo zabraknie mu punktów!”

O dziwo Kazimierz był lepiej do niego usposobiony. Zawsze zagadał a to o aktualnej sytuacji politycznej, a to o motoryzacji, bo stał się latem szczęśliwym posiadaczem syreny 103, Grześkowi zaś za dobrze zdaną maturę matka obiecywała kupić używanego trabanta, mieli więc wiele wspólnych tematów.

Ale Monika nie lubiła tych domowych randek. Czuła się nieswojo, a i Grzesiek wydawał się jej wtedy jakiś inny. Wolała spacerować po parku czy ulicami, nawet w deszczu i chłodzie. A najbardziej lubiła, kiedy musieli zostać

w szkole, bo trzeba było przygotować jakąś akademię czy gazetkę ścienną. Marzyła wtedy o przyszłym studenckim życiu, czując już teraz, na dwa lata przed egzaminami wstępnymi, dumę i powagę dorosłości.

Tymczasem Teresa postanowiła zrobić jakiś ruch, aby dotrzymać kroku Monice. I pewnego wrześnieowego dnia wybrała się po raz wtóry do liceum imienia Norwida, tym razem jednak z biciem serca przekroczyła magiczną bramę. Była szesnasta, młodzież już dawno opuściła budynek, czynny był tylko sekretariat liceum wieczorowego znajdujący się na drugim piętrze. Teresa zapukała cicho i usłyszawszy donośne „Proszę”, nieśmiało weszła do środka. Czuła drżenie w całym ciele, kiedy wyłuszczała swą prośbę o przyjęcie jej do tej szkoły.

– Ale już minął termin, a ty jesteś chyba niepełnoletnia, dziecko?... – Znad okularów popatrzyła na nią surowym wzrokiem nobliwa sekretarka.

– Tak, chodzę do szkoły zasadniczej, ale muszę podjąć pracę ze względu na warunki rodzinne i towarzysza Wypych powiedziała, że najlepiej, żebym się tu zgłosiła.

– Ach tak... Towarzyszka Wypych, powiadasz? Ta z Fablaku?

– Ta sama! Mówiła, że zesłała świeża produkcja farby olejnej orzech średni, jeśliby pani reflektowała, to mogę przynieść – Teresa łgała jak z nut.

– Teraz mi to mówisz, jak mąż w Płocku dwie godziny w kolejce się wystął! Ale dobrze, przynieś na jutro świadectwo ukończenia szkoły podstawowej, trzy zdjęcia i podanie, zobaczymy, co da się zrobić.

Teresa aż podskoczyła z radości. Pożegnała się, a kiedy zamknęła drzwi sekretariatu, zamiast najkrótszą drogą do wyjścia, przeszła się powoli korytarzami liceum, przysiadła na niskiej drewnianej ławeczce w łączniku wiodącym do sali gimnastycznej i chociaż jeszcze nie została przyjęta, czuła doniosłość tej decyzji. Sądziła, że chodzi wyłącznie o jej własne życie, nie zagłębiała się w niuanse i nie podejrzewała, jak mocno kiedyś Zdzisław Pawlak rozbudził rywalizację między nią a Moniką, nagradzając kolorowym koralikiem każde dobrze wykonane zadanie. W tej chwili Monika wysforowała się naprzód, zresztą od początku miała łatwiej, ale Teresa nie zamierzała odpuścić. Jeszcze będą sobie równe, choćby jej znowu przyszło wracać po nocy pieszo do domu! Było to bardzo prawdopodobne, ponieważ ostatni autobus z Gutowa do Zajezierzyc odjeżdżał około czwartej, a lekcje

kończyły się po ósmej wieczorem! Jednego się tylko trochę obawiała: że kiedyś spotkają się na szkolnym korytarzu. Mina, jaką zrobi Monika, nie będzie tą, jakiej by oczekiwała. Prawdopodobnie się zdziwi, nieprzyjemnie zdziwi.

Dlaczego tak właśnie Teresa oceniała dawną przyjaciółkę, nie miała pojęcia. Ale niedługo później miało się okazać, że wcale się nie myliła. Pod koniec września, kiedy pokonawszy wszystkie bariery, zaczęła wreszcie chodzić do wieczorówki, stanęły twarzą w twarz. Roześmiana Monika wybiegała ze szkoły, goniona przez tego Grześka z cukierni, a ona, zmęczona po dniu pracy u Wypychowej, szła właśnie na lekcje.

– Teresa? Co ty tu robisz?

Jeszcze długo potem Teresa analizowała tę sytuację, żałując, że nie wymyśliła jakiejś banalnej odpowiedzi, czegoś w rodzaju: „Przyniosłam jednej pani jajka”. To by wystarczyło, a uniknęłyby niezręcznego wypytywania, nie zauważyłaby w oczach Moniki tej wyższości, a może nawet pogardy, którą, jak jej się wydawało, wtedy dostrzegła.

– Przyszłam do szkoły.

– Widzę, ale do kogo?

– Na lekcje przyszłam. Chodzę tu. Do wieczorówki.

– Ty?! Mówiłaś, że idziesz do zasadniczej.

– Do zasadniczej też chodzę.

– Jak to? – nie mogła zrozumieć Monika, a Teresa przez chwilę poczuła się tak, jakby coś jej odbierała.

Nie pożegnały się czule jak dwie przyjaciółki, zresztą już chyba nimi nie były. Z dołu schodów wołał zniecierpliwiony Grzesiek, który był dla Moniki ważniejszy niż ona, zacierające się powoli wspomnienie dzieciństwa. Monika zbiegła, rzucając pośpieszne „To cześć!”, a Teresa, rozczarowana spotkaniem, zagryzła wargi i poszła na lekcje.

Zajezieryce, sierpień 2016

Martyna wiedziała, że musi podziękować Zbyszkowi. Co jak co, ale reguły gry w prezenty od mężczyzn znała bardzo dobrze. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby którykolwiek dał jej coś bezinteresownie, wszystko miało swoją z góry ustaloną cenę. Dlatego kiedy wyszli z winiarni, przytuliła się do jego ramienia i powiedziała słodko:

– Może pojedziemy do lasu?

Czuła, że Zbyszek na to właśnie czekał. Ona sama wolałaby oczywiście jakiś hotel, ale dziś przy święcie mogło być trudno, a już niedługo musiała wracać.

– Tylko wrzuc koc do wozu! – wyszeptła, kiedy odchodził, i znów usiadła na murku fontanny.

Wiedziała, że jest stąd widoczna, ale przecież nie będzie się ukrywać. Matka Zbyszka powinna się powoli przyzwyczajać do myśli, że niedługo będzie miała synową. A może i wnuka? Ostentacyjnie spojrzała na swoją dłoń, odsuwając ją i przyglądając się pierścionkowi. Ciekawe, czy ten ruch jest widoczny z cukierni? Miała nadzieję, że jej przyszła teściowa dostrzeże go i właściwie zinterpretuje. Jeszcze dzisiaj seks ze Zbyszkiem i pierwszy punkt planu zostanie wykonany. Za kilka dni powinno się okazać, czy szczęście jej sprzyja.

Zbyszek zadzwonił, że czeka już na Płockiej, więc wstała i kręcąc pupą i machając torebką, żeby wkurzyć starą, przeszła przez rynek. Zauważył ją zdenerwowany Waldemar Hryć, który wysiadł właśnie z hotelowego busa. To mu jeszcze bardziej popsło humor.

– Widziałaś ją? – zapytał Helenę, nie bacząc na klientów stojących w kolejce po lody.

– Tak? Czyżby się zaręczyli?

– Co?! Co ty mówisz?!

– Moim zdaniem dostała od niego pierścionek.

– Idę na górę! – powiedział zrezygnowany Hryć. – Przyjdź, kiedy będziesz

mogła.

Helena zrozumiała, że sprawa jest poważna, mąż nigdy by jej nie odrywał od klientów. Zrobiła więc głową ruch w stronę ekspedientki, żeby ją zastąpiła przy kasie, i poszła za Waldkiem.

- Mam dwie wiadomości, obie złe, którą chcesz najpierw usłyszeć?
- Tę gorszą.
- Jeśli to prawda, że Zbyszek się dziś zaręczył, jak twierdzisz, to mamy problem, bo ta rzekoma nastolatka ma dwójkę dzieci i okropną reputację.
- Kto ci to powiedział?
- Ten detektyw.
- Teraz do tego doszedł?!?
- Nieważne. Co robić?!?
- Nic.
- Jak to: nic?!?
- Im bardziej się będziemy wtrącać, tym bardziej utwierdzimy go w przekonaniu, że dobrze robi.
- To dziwka! Chcesz, żeby dziwka została twoją synową?!
- Nie chcę, ale przypomnij sobie, co mówili kiedyś o mnie.
- Nie broń jej, oczerniając siebie! Ty nigdy nie byłeś dziwką!
- Karma wraca... – Helena westchnęła.
- Co wraca?
- Nieważne. Musimy sprawdzić, czy na pewno się oświadczył i jakie ma plany. Mimo że wydaje nam się dzieckiem, to już mężczyzna.
- Ma dwadzieścia lat!
- Wiem, wiem... A ta druga wiadomość?...

Mia nie potrafiła ukryć radości, kiedy matka oznajmiła jej, że zwolnił się pokój i któraś z nich będzie mogła zostać z Tessą w hotelu. Zanim zjadły obiad, zwolnił się jeszcze jeden pokój, co prawda o gorszym standardzie, ale Mii, która nie miała zamiaru w ogóle kłaść się tej nocy, tylko przesiadzieć ją na jakiejś ławce z Maćkiem, było to całkowicie obojętne. Szybko zjadła obiad i pojechała do Płocka, aby zapłacić w Petropolu i zabrać rzeczy. Nie omieszkała oczywiście o wszystkim powiadomić chłopaka, który od tej pory obsługiwał gości winiarni, niemal śpiewając.

Kiedy po obiedzie Monika i Elena poszły do Tessy, przywitała je na

siedząco.

– Zjadłabym coś! – powiedziała, robiąc im wielką niespodziankę. – Wiem, że już nie jesteście głodne, ale może zejdzicie ze mną? Wzięłabym tylko prysznic.

Nie miały nic lepszego do roboty, z radością więc przyjęły propozycję.

– Może ucieszy cię wiadomość, że mamy już pokoje w tym hotelu. Mia pojechała po rzeczy.

– Doskonale! To wiele uprości! – rzuciła Tessa i nie bez trudu wstała.

– Pomóc ci?

– Nie, nie, dam sobie radę. Zaczekajcie tylko, aż wyjdę spod prysznica, bo nie wiem, jak mi pójdzie zejście po schodach.

– A może zamówić obiad do pokoju? – zaproponowała Monika.

– Przecież nie jestem obłożnie chora! Dam radę – fuknęła i zauważyła ulgę na twarzy córki. – Mówiłam, że jeszcze nie umieram! Teraz jestem głodna. Mają rosół w karcie?

– Mają! – Monika się roześmiała. – Pewnie, że mają!

Helena patrzyła na męża z powagą.

– Myślałam, że ta sprawa jest już zamknięta. Nie powiedziała, o co chodzi?

– Nie.

– Była tu kilka razy, dlaczego nie zagadnęła mnie ani słowem?!

– Nie mam pojęcia.

– Coś nam jeszcze może grozić? Myślałam, że sprawa własności jest już dawno załatwiona, że Grzesiek cię wtedy chronił, że oni są spleceni.

– Widać nie albo uważają, że dostali za mało.

– Mój Boże, ile to jeszcze będzie się ciągnąć?! We własnym domu człowiek siedzi jak na beczce prochu! Tyle wyrzeczeń kosztowały nas te domy! I teraz co, znowu mamy za nie komuś płacić? Bo przecież nikt z twojej rodziny się do tego nie dołoży, wszystko spadnie na nas, a oni tylko będą ręce zacierać. Gdybyśmy sobie pobudowali pawilon na Piaskach czy koło parku albo nad jeziorem, nikt by nas roszczeniami nie nękał. Może przyjdzie jeden dom sprzedać, sama nie wiem. Mam już swoje lata, ty też, ile nam potrzeba, mieszkanie w bloku by wystarczyło.

– A to oddać jakiejś dziwce?! Niedoczekanie!

– Więc wydziedziczysz syna?! Masz go jednego!

- Jest jeszcze Iga.
 - Iga ma, ile jej potrzeba, a nawet więcej. Myślmy o nas i o Zbyszku.
 - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Grzesiek, będąc burmistrzem, coś zachachmęcił w dokumentach, żeby nam zaszkodzić! – zastanawiał się Waldemar.
 - Jeśliby tak było, podam go do sądu! – wściekła się Helena.
 - Dajże spokój, nie będę się sądził z własnym bratem!
 - To wystąpię o alimenty za dwadzieścia lat!
 - I tak ci nie zapłaci, a tylko zniszczysz życie własnemu synowi.
- Helena chodziła po kuchni zrozpaczona.
- Popatrz, co za dzień! A tak się pięknie zapowiadał! Ciastka prawie wszystkie zeszły, kaw wydałam chyba ze dwieście, lemoniady nie zliczę. Będzie dobry utarg.
 - Może trzeba zacząć odkładać... – Hryć westchnął. – I co? Znowu kredyt? Matko Boska! Zadłużyć Zbyszka na dwadzieścia lat?
 - Kto wie, czy to nie jest dobry pomysł. – Helena zawiesiła głos.
 - Co ty opowiadasz?! – rozłościł się Waldemar.
 - Kiedy wróci, opowiedz mu dokładnie, jak było, gdy tygodniami żyliśmy na kartoflance i kapuśniaku.
 - Po co? Przecież on to wszystko doskonale pamięta!
 - Nie zaszkodzi przypomnieć. I uświadom mu, że nie przychodzi na gotowe, bo jeśli będzie chciał utrzymać firmę, to czeka go taki sam los jak nas: zakasywanie rękawów i odkładanie każdego grosza. A kiedy prawda wyjdzie na jaw, to może się ta dziewczyna zorientuje, że on nie taki bogaty, jak sądziła. Widzisz, nie ma tego złego! Odpocznij sobie, włącz telewizor, a ja dopilnuję kasy. Pańskie oko konia tuczy.
 - Jak zawsze masz rację. Ale nie, nie położę się, pójdę do Grześka.
 - Po co?
 - Zapytam go o tę prywatyzację. Może jeszcze coś pamięta.
 - Tylko się nie pokłóćcie!
 - Dobrze, dobrze!
-
- Ciekawe, do której można zwiedzać liceum, może byśmy pojechały? – spytała nagle Tessa.
 - Nie żartuj, mamó! Dopiero musiałaś się położyć – zaproponowała Elena. –

Chyba wiesz, jakie mniej więcej miałaś stopnie? Możemy sobie pospacerować po parku, ale już żadnych wycieczek do miasta, błagam!

– Dobrze, już dobrze, Cerberze! – niby to obrażona, fuknęła Tessa, ale w gruncie rzeczy dumna była z córki i jej nieustającej troski. – Możemy sobie usiąść na ławce w parku. Zaczekamy tam na Mię, a potem przeprowadzimy się do naszych pokoi. Zajrzałam do tej twojej książki, wiesz? – Tessa zwróciła się do Moniki.

– O, to dopiero nowość! Większość znajomych przepasza, że nie dali rady.

– Dużo zmyśliłaś? – padło nieoczekiwane pytanie.

Monika poczuła się zaskoczona. Na ogół czytelnicy wierzą w fikcję, jakby była prawdziwą historią.

– Wszystko! – odpowiedziała ze śmiechem.

– Szkoda. – W oczach Tessy pojawił się smutek. – Zaczynałam już wierzyć w tę opowieść.

– W literaturze fikcja nie jest wcale gorsza od faktów – usprawiedliwiała się Monika.

– Może, nie znam się na tym. Kiedy to czytałam, miałam poczucie, że poznaję ludzi z krwi i kości, i teraz czuję zawód.

– Ojej, to bardzo przepraszam!

– Zawsze chciałam wiedzieć, jacy byli Zajezierscy, i już mi się wydawało, że się dowiedziałam, a tymczasem to tylko fikcja?

– Jak każda powieść.

– Niewiele czytam powieści, wybieram raczej literaturę faktu.

– Nie zasmucaj mnie! – Monika zrobiła zawiedzioną minę. – Bo pomyślę, że cała robota poszła na marne.

– Na pewno nie na marne. Mimo że to fikcja, i tak uchroniłaś od zapomnienia jakiś mały fragment naszej historii. To warte poświęcenia trzech wieczorów.

Nagle odezwał się telefon Eleny.

– Mia już wraca! Trochę się krzywili w hotelu, ale ostatecznie udało jej się odebrać nasze rzeczy.

– To już tak do wieczora będziemy tu siedziały? – nieoczekiwanie zapytała Tessa.

– Widzę, mamó, że po rosole wstąpiło w ciebie nowe życie!

– Sama nie wiem, jak to się stało, ale chyba tak! Przyniosłabyś mi z restauracji tego soku z ogórków kiszonych? Jest doskonały!

Gutowo, maj 1967

Monika była podekscytowana maturą Grześka prawie jak swoją własną. Grzesiek miał dobre oceny z przedmiotów humanistycznych, ale matematyka, obowiązkowa na maturze, nie była jego mocną stroną. Co prawda przez całą czwartą klasę chodził na korki do najlepszej szkolnej matematyczki, ale czy to wiadomo, na jakie zadania się trafi? Monika bardzo chciała mu pomóc, dlatego zgłosiła się do pilnowania porządku. Miała nadzieję, że może da radę podać Grześkowi ściągawkę z rozwiązaniem zadań, bo pod szkołą dyżurowała obstawa najlepszych matematyków z poprzednich lat, z czystej przekory gotowych rozwiązać zadania i robić ściągi.

Siedząc przy stoliku dyżurnej, Monika czuła wewnętrzny dygot. Na sali przeczytano już zadania, teraz Grzesiek pewnie przepisuje je na małą karteczkę. Potem miał pójść do toalety i wyrzucić kartkę przez okno. Na dole pod oknem ubikacji stali już absolwenci liceum, studenci politechniki. Jak na razie wszystko działo się zgodnie z planem. Chłopcy zauważyli kartkę wypadającą przez okno, biedzili się teraz nad zadaniami. Potem któryś miał podać rozwiązanie jednej z uczennic liceum, a ta przynieść je do Moniki. Monika wzięła na siebie najtrudniejsze zadanie – włożenie kartki do dziurki od klucza męskiej toalety tak, żeby nikt z pilnujących nauczycieli nie zobaczył. Kilka dni ćwiczeń nie poszło na marne. Choć nogi się pod nią ugiwały, wcisnęła zwitek, niby zaglądając na salę, czy nie potrzeba przynieść więcej kanapek. Na tym kończyła się jej rola. Potem już tylko siedziała przy swoim stoliku i szczękała zębami.

Dwie godziny później z sali zaczęli wychodzić najlepsi matematycy.

– Łatwizna! – wydymali wargi, czekali jednak przed szkołą na kolegów, aby porównać wyniki.

Grzesiek długo się nie pokazywał i Monika czuła lęk, że może ściągawka do niego nie dotarła. Dopiero tuż przed końcem wyszedł spokojny, uśmiechając się triumfalnie.

– Jak ci poszło? Zrobiłeś?

– Chcesz wiedzieć, czy spisałem? Owszem. Dziękuję! – wyszeptał i ucałował ją w policzek. – Najgorsze za nami.

– Ale na pewno? Zdasz?

– Ja myślę! – zapewnił ją chełpliwie.

Nawet się nie złościła, czuła tylko ulgę i choć wszystko w niej się jeszcze trzęsło, powoli i ona się uspokajała.

– Spotkamy się wieczorem? Mamy co uczcić, prawda? Chłopaki robią ognisko, przyjdiesz?

– To nie będziesz się już uczył?

– Dziś? Daj spokój, przecież trzeba trochę odetchnąć.

Racja. Po takiej nerwówce i jej należała się odrobina rozrywki.

Umówili się o ósmej nad jeziorem. Każdy miał przynieść po butelce wina, bo zdana matma to prawie jak zdana matura i choć wyniki miały zostać ogłoszone dopiero za trzy dni, większość towarzystwa zaufała nie tyle swojej wiedzy, ile umiejętnościom kolegów z politechniki. Ci zresztą również przyszli, aby wspólnie świętować.

– Za rok ja tobie zorganizuję pomoc – wyszeptał Grzesiek.

– Ja się nauczę, nie umiem ściągać, mnie na pewno by przyłapali – zarzekała się Monika.

– A potem na sali ze strachu wszystko ci wyleci z głowy... Zobaczysz, jak to jest... Nieważne zresztą. – Pocałował ją i nie bacząc na siedzących dookoła ogniska kolegów, wsunął jej rękę za bluzkę.

Monika trochę się wstydziła, ale widząc, że inne dziewczyny nie czuły skrępowania i nawet co jakiś czas któraś para szła w krzaki, zgodziła się na pocałunki i dotykanie. Siedzieli, popijając wino z butelki, krążącej dookoła, i śmiali się. Monice zaczęło lekko szumieć w głowie. Grzesiek to zauważył, wstał i pociągnął ją za rękę. Mimo że nie do końca kontrolowała sytuację, zrozumiała, co on zamierza, i stanowczo pokręciła głową.

– No nie bądź głupia! – syknął.

– Grzesiu, nie! Nie tak... – odpowiedziała niemal błagalnie.

– Przecież widzisz, że wszyscy tak robią!

– Ale ja nie chcę.

– O rany, naprawdę potrafisz zepsuć całą zabawę! Chyba się muszę napić! – marudził i jakby na pocieszenie wziął jedną z butelek.

Zadziwiająco wprawnym gestem otworzył, uderzając w dno, wyjął zębami

korek, wypluł go w krzaki i pił długo i łapczywie. Monika poczuła złość, bo upijał się bardzo szybko, a potem ona musiała holować go do domu. Jak każda dziewczyna wolałaby zostać odprowadzona, tymczasem zbyt często role się odwracały. Zostawiała Grześka pod domem i z duszą na ramieniu, rozglądając się trwożliwie, biegła na osiedle. Punktualnie o dziesiątej wieczorem musiała wracać. Był to pomysł matki, bo Kazimierz właściwie nigdy nie zabierał głosu w tej sprawie. Monika podejrzewała czasem, że Stefania jest zazdrosna o jej młodość. Wciąż wymyślała jakieś prace domowe, byle tylko Monika została w domu. Grześka nie lubiła i powtarzała ciągle: „Jeśli będziesz tak bez opamiętania latać za tym chłopakiem, to ani się obejrzysz, jak robi ci dziecko!”. Monika czasem się z nią kłóciła, czasem nie reagowała, wiedziała jednak swoje: żadnego dziecka Grzesiek ani żaden inny przed ukończeniem studiów jej nie zrobi.

Na drugi dzień Grzesiek się nie pokazał. Monika sądziła, że uczył się do matury, i nawet była z tego zadowolona. Unikał jej jednak do końca egzaminów. Wreszcie nie wytrzymała i poszła do cukierni. Na pytanie o Grześka pani Hryć, bez charakterystycznego dla niej uśmiechu, odpowiedziała, że wyjechał do Warszawy, bo bierze korki przed egzaminami na uniwersytet. Ale przecież z tych przedmiotów, które miał zdawać, Grzesiek korepetycji nie potrzebował...

Nie pokazał się przez całe długie wakacje. Ukarał ją. Celowo złamał jej serce. Monika raz czy dwa spotkała na targu Teresę, miała nadzieję odnowić przyjaźń i zamierzała nawet pomóc jej przy żniwach, ale po tak długim czasie trudno im było odnaleźć dawną zażyłość. Na szczęście zaraz miała się zacząć czwarta klasa i będzie mnóstwo nauki. Tej czwartej klasy Monika w ogóle nie zapamiętała. Chodziła do szkoły i uczyła się jak w transie, ale wciąż myślała o Grześku. Liczyła na to, że on nagle pojawi się na podwórzu szkolnym, czekając na nią, i nie będą musieli nic mówić, ucałują się tylko i wybaczą sobie, zaczynając wszystko od początku.

Ale dni mijały, a jego nie było. Tłumaczyła go nauką, pierwszy rok na uniwerku jest przecież selekcyjny, a on tak bardzo chciał sprawić przyjemność matce! Była z niego taka dumna! Pierwszy Hryć poszedł na studia, a dyplom ukończenia i magisterka otwierały drogę do kariery. Pani Hryć za nic nie

chciała, żeby Grzesiek pracował w cukierni. Widziała tu raczej Waldka, do którego już dawno przylgnęła łąka głąba. A taki wiadomo – umysłowym nie zostanie. Grzesiek stanowił jedyną nadzieję Hryciów. Może dlatego właśnie się do niej nie odzywał? Janiukowie mieli już wtedy telefon, ludzie czasem przychodzili dzwonić w pilnych sprawach, ale niezbyt często, bo zrażała ich niechętna postawa Stefanii. W cukierni też był telefon, Monika wiedziała to bardzo dobrze, bo na papierze firmowym, w który ekspedientki zawijały ciasta i pączki, widniała duża pieczętka z nazwą firmy, nazwiskiem właścicielki, adresem i numerem: 26–31.

Próbną maturę Monika zdała bardzo dobrze. Po próbnej przyszła kolej na tę właściwą. Zgodnie z postanowieniem pisała ją, nie korzystając ze ściągawek. Nie była na sto procent pewna wyników, ale po pisemnym z matematyki poczuła ulgę. Miała nadzieję, że będzie dobrze! I kiedy wychodziła ze szkoły, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, zobaczyła na podwórzu szkolnym Grześka.

Był odmieniony. Jakby wyższy, chudszy, miał zarost. Stał na wprost głównego wejścia do szkoły ubrany w jasnoniebieską koszulę i dżinsy, a na palcu jak na wieszaku trzymał zawieszoną jasną marynarkę. Wyglądał elegancko i nonszalancko. Monika nie wiedziała, do kogo przyszedł, nie sądziła, że do niej, bo jak to tak, ni z tego, ni z owego? Nie patrząc na niego, ruszyła na skos przez podwórko do bramy, ale usłyszała, że ją woła, odwróciła się więc, udając zdziwienie.

– Co ty tu robisz? – powiedziała przez zaciśnięte gardło.

– Przyszedłem na wszelki wypadek, gdybyś potrzebowała pomocy – skłamał wdzięcznie.

Udała, że mu wierzy.

– Przejdziemy się? – zapytał, a ona wzruszyła ramionami, co niby było wyrażeniem zgody, ale w każdym zgasiłoby ostatnią iskierkę entuzjazmu.

Grzesiek nie wiedział, czy ona się cieszy. Co dziwne, Monika też nie wiedziała. Czowała, że on czegoś chce, i po to właśnie przyszedł. Nie dla niej i nie z powodu jej matury. Kiedy znaleźli się na rynku, usiadła przy fontannie.

– Poczekam tu – powiedziała, a on poszedł po lody.

– Chłopaki robią dziś ognisko nad jeziorem, przyjdiesz? – zapytał, siląc się na obojętność.

– Nie wiem, muszę się uczyć do ustnych – odparła, a on, widząc fiasko swoich usiłowań, nagle zmienił front.

– To ja jadę z samej Warszawy, żeby za ciebie zdać maturę z matmy, a ty mi nawet nie chcesz dać buziaka na powitanie?! Wiesz co? Odprowadź mnie na dworzec!

– Może ci jeszcze zwrócić forszę za te lody?! – rzuciła niby w gniewie, a on złapał ją za ramiona i na środku rynku pocałował.

Wtedy Monika pomyślała, że może jeszcze nie wszystko stracone.

Zajezierzyce, sierpień 2016

Słońce już zachodziło i nad jeziorem poczęła się tworzyć leciutka mgła. Elena, Mia, Tessa i Monika obserwowały ją z hotelowego tarasu. Wreszcie zapanowała cisza, bo najgłośniejsi goście wyjechali, a z drugiej strony jeziora nie dobiegały już żadne natrętne dźwięki. Brzeg jarzył się zapalającymi się powoli światłami, które odbijała lekko pomarszczona woda.

– Bardzo długo sądziłam, że już nigdy tu nie przyjadę – powiedziała nagle Tessa.

– Ja też. A potem przychodzi dzień, kiedy rozumiesz, że musisz, i żaden głos rozsądku nie jest tego w stanie zmienić – Monika weszła jej w słowo.

– Ani choroba – uzupełniła Tessa. – Bo myślisz, że bez tego twoje życie będzie niepełne.

– Albo nawet nieważne.

– To może my was zostawimy, dobrze? – zasugerowała Elena i dała znać Mii, której nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Obie wstały. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń.

– Dobrze, córeczko.

– Zazdroszczę ci, to wspaniałe dziewczyny. – Monika westchnęła, popatrując za oddalającymi się Eleną i Mią.

– Powtarzasz się, wiesz? – odparła Tessa.

– Stara już jestem, mam do tego prawo.

– Czy jesteś szczęśliwa?

– Skąd to pytanie?

– Bo czasem myślę, że całe swoje życie przeżyłam dla kogoś, i zastanawiam się, czy na pewno altruizm jest lepszy od egoizmu.

– Według ciebie tylko egoista może być szczęśliwy? To zgoda, jestem egoistką, ale szczęśliwa tylko bywałam. – Monika pokiwała głową w zadumie.

– Zrobiła się z ciebie filozofka.

– A gdyby się nagle okazało, że życie ma dla ciebie niespodziankę? –

kontynuowała Tessa. – Że najlepszy los schowało na sam koniec, potrafiłabyś zmusić się do altruizmu?

– Zależy, za co taka cena? Każdy co innego uważa za wartościowe i w różnych momentach życia my sami inaczej to postrzegamy.

– Rywalizowałyśmy ze sobą zbyt długo. To moja wina. Zawsze mi się wydawałaś taka niedościgła. A na koniec jeszcze napisałaś książkę! Nawet Pawlak by tego nie przewidział.

– Trzeba coś robić w długie samotne wieczory.

– Przecież masz męża.

– Do którego od trzech dni zapomniałam zadzwonić! – żartobliwie skarciła się Monika.

– To jeszcze żaden wstyd. Gorzej, kiedy się nie ma do kogo zadzwonić. Więc jesteś nieszczęśliwa?

– Raczej pogodzona. Wiem, że pewnych rzeczy już nie zmienię. Powoli steruję w stronę portu...

Nagle za ich plecami zrobiło się głośno. W restauracji zapanowało ożywienie, a rozemocjonowana właścicielka hotelu powiedziała, podnosząc głos:

– Szanowni państwo, dostaliśmy z Gutowa wspaniałe wieści! Ciastko z cukierni Pod Amorem, wymyślone przez mojego brata Zbyszka, uzyskało tytuł Ciastka Roku 2016! Z tej radosnej okazji stawiam wszystkim kieliszek wina! Kto z państwa nie skosztował, mamy tu jeszcze kilka nagrodzonych ciastek, proszę się poczęstować. A są to magiczne ciastka z dobrą wróżbą, która się spełnia!

Rozległy się brawa, kelnerzy zaczęli roznosić kieliszki z winem musującym, a jedna z kelnerek przechodziła wśród stolików i rozdawała ciastka. Roześmiane Tessa i Monika sięgnęły każda po swoje ciastko i z ciekawością rozłamały.

Zawsze dostrzegaj prawdę spoza pozorów – odczytała Monika.

Gdy chcesz komuś wynagrodzić krzywdę, zacznij od uśmiechu – przeczytała Tessa i uśmiechnęła się do Moniki.

Zbyszek zaparkował na podwórzu. Widząc światło w oknach, zrozumiał, że

rodzice jeszcze nie śpią. Tym lepiej. Trzeba im od razu wszystko powiedzieć. Mieć to już raz na zawsze z głowy, nie kluczyć, nie lawirować. Uczciwie załatwić, po męsku. Ona, choć nic na ten temat nie wspomniała, na pewno by tego oczekiwała. Otworzył drzwi, dziwiąc się, że nie są zamknięte na zasuwę, i wszedł na górę. Rodzice stali w kuchni z kieliszkami wina w rękach.

– Gratulujemy, synku!

Popatrzył na nich oszołomiony. Skąd wiedzą? Może ta babeczka od jubilera? A może z winiarni zadzwonili? – zastanawiał się w panice.

– Dzień-ku-ję – wydukał, szczęśliwy, że nie będzie musiał niczego wyjaśniać.

– Dostałeś prawie sto procent głosów! – poinformował ojciec.

– Głosów? – Zbyszek nie zrozumiał.

– Wygraliśmy! Twoje ciastko wygrało! – entuzjasmowała się matka. – Godzinę temu zadzwonili z ratusza. Zapraszają jutro po odbiór dyplomu i statuetki.

Mina Zbyszka powiedziała im wszystko. Widać było, że wolałby mieć już za sobą rozmowę w tej drugiej sprawie, nawet nie potrafił cieszyć się z wygranej.

– Super... – westchnął zawiedziony.

– To wielkie wyróżnienie i na pewno przed tobą jeszcze niejeden taki sukces! – Ojciec objął go i przytulił, nie wspominając ani słowem o Martynie.

Zbyszek podniósł kieliszek do ust i upił łyk wina. Nie miał siły się uśmiechać, bo wiedział doskonale, że zwycięstwo w konkursie jest niczym w porównaniu z przeprawą, jaka go czeka w obronie miłości.

Koniec tomu pierwszego

Kto jest kim w Gutowie:

Adams Frederick (ur. 1940) Amerykanin, mąż Moniki Grochowskiej-Adams, partner w firmie prawniczej Adams-Downey-Brightstock.

Bysławska Wanda patrz: Siostra Emilia.

Cukierman Izrael (1924–2014) syn Natana; 1943–1968 pod przybranym nazwiskiem Ireneusz Gawryło; polonista, absolwent UMK w Toruniu. W marcu 1968 wraca do nazwiska rodowego oraz emigruje do Izraela, żona Marta, córki Olga i Milena, syn Piotr.

Cukierman Natan (1894–1943) syn Dawida, ojciec Mojry, Lilith i Izraela, prowadził wraz z ojcem cukiernię Pod Aniołem. Zginął tragicznie podczas ucieczki z getta w Gutowie.

Fabian Agata (ur. 1981) de domo Zdunek; właścicielka winiarni, była żona Tadeusza.

Fabian Katarzyna (ur. 1945) de domo Zaręba; koleżanka szkolna Moniki Grochowskiej, matka Tadeusza, była teściowa Agaty.

Fabian Tadeusz (ur. 1976) właściciel Agencji Nieruchomości Perfekt w Gutowie, były mąż Agaty Fabian.

Gawryło-Frajnic Michalina (ur. 1964) córka Daniela i Bibianny z Rossoszyńskich, matka Mariusza i Dominiki, prowadzi praktykę adwokacką w Gutowie.

Grochowska-Adams Monika (ur. 1947) córka Stefanii Prątki, absolwentka Wydziału Prawa UW, obywatelka amerykańska, prawniczka, żona Fredericka Adamsa.

Grzyb Bartosz (1898–1975) fernal z Zajezierzyc, członek „trójki

parcelacyjnej”, ojciec Benona.

Grzyb Benon (1920–1982) syn Bartosza, pierwszy sekretarz PZPR w Gutowie (1954–1965), ojciec Alicji Majcher.

Grzyb Zbigniew (1877–1966) robotnik rolny w Zajezierzycach, przywódca strajku w 1919 roku, ojciec Bartosza.

Hryć Anita (ur. 1948) żona Grzegorza, matka Mariusza i Karoliny; właścicielka sklepów drogeryjnych w Gutowie i Płocku.

Hryć Celina (1925–1995) z domu Cieślak, ur. w Warszawie; córka Pawła i Zyty; właścicielka firmy cukierniczej Pod Amorem w Gutowie, matka Grzegorza, Marii, Amelii, Romana, Waldemara, Andrzeja i Katarzyny.

Hryć Grzegorz (ur.1947) najstarszy syn Leona i Celiny, mąż Anity, ojciec Mariusza i Karoliny; absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, nauczyciel historii i dyrektor LO im. C.K. Norwida w Gutowie (od roku szkolnego 1995/1996), od 2010 burmistrz Gutowa, od 2015 poseł na Sejm RP.

Hryć Helena (ur. 1959) z domu Nowakowska; primo voto Nierychło; druga żona Waldemara, matka Zbigniewa.

Hryć Leon (1898–1964) ur. w Gutowie; mistrz cukierniczy, od 1946 mąż Celiny, współwłaściciel cukierni Pod Amorem, ojciec Grzegorza, Marii, Amelii, Romana, Waldemara, Andrzeja i Katarzyny.

Hryć Waldemar (ur. 1953) syn Leona i Celiny, ojciec Igi i Zbigniewa, mistrz cukierniczy i właściciel firmy cukierniczej Pod Amorem, absolwent Zasadniczej Szkoły Gastronomicznej w Gutowie.

Hryć Zbigniew (ur. 1996) mistrz cukierniczy, absolwent technikum gastronomicznego, syn Waldemara i Heleny.

Hryć-Tasak Karolina (ur. 1977) córka Grzegorza i Anity z Karpowiczów, absolwentka UW, nauczycielka języka angielskiego, dyrektor gutowskiego liceum im. C.K. Norwida.

Janiuk Pelagia (1885–1961) z domu Kuźma, gospodyni dworu w Długołęce, matka Kazimierza Janiuka.

Janiuk Kazimierz (1905–1976) syn Pelagii, gospodyni dworu w Długołęce, robotnik w Fabryce Maszyn Rolniczych w Gutowie, członek PPR, później PZPR. Podczas wojny w partyzantce (AL). Więzień polityczny (1954–56). I sekretarz KM PZPR w Gutowie. Konkubent Stefani Prątki, opiekun

prawny Moniki Grochowskiej.

Janiuk Lesław (ur. 1963) syn Kazimierza i Stefanii, przyrodni brat Moniki Grochowskiej-Adams.

Karwacki Henryk (ur. 1959) wojewoda mazowiecki.

Kopeć Leokadia (1904–1970) handlarka mięsem.

Kozik Jan (1900–1968) sołtys wsi Łapcie, burmistrz Gutowa (1945–1950).

Kuszel Danuta (ur. 1955) córka Feliksa i Wiesławy, siostra Teresy Kuszel vel Tessy Steinmeyer.

Kuszel Feliks (1923–1963) ojciec Teresy Kuszel vel Tessy Steinmeyer.

Kuszel Józef (1945–1947) syn Feliksa i Wiesławy, brat Teresy Kuszel vel Tessy Steinmeyer.

Kuszel Mieczysław (ur. 1953) syn Feliksa i Wiesławy, brat Teresy Kuszel vel Tessy Steinmeyer.

Kuszel Wiesława (1927–1968) z domu Paździoch, matka Teresy vel Tessy Steinmeyer oraz Mieczysława i Danuty.

Majcher Alicja (ur. 1941) z domu Grzyb, córka Benona, żona Krzysztofa.

Majcher Krzysztof (ur.1939) syn Ryszarda, mąż Alicji, inżynier rolnik, absolwent WSR w Olsztynie.

Majcher Ryszard (ur. 1910) gospodarz w Zajezierzycach, ojciec Krzysztofa.

Majcher Stanisław (1886–1959) jeden z najbogatszych gospodarzy w Zajezierzycach, ojciec Ryszarda, dziadek Krzysztofa.

Marcoveanu Milena (ur. 1958) z domu Cukierman, córka Izraela i Marty, żona Radu, absolwentka i profesor antropologii na Sorbonie, zamieszkała w Paryżu.

Molęda Renata (ur. 1994) asystentka pośła Grzegorza Hrycia.

Nowak Martyna (ur. 1990) matka Daniela Bąka i Oliwii Wyrwał, dziewczyna Zbigniewa Hrycia.

Pawlak Kinga (1872–1934) z domu Bysławska, primo voto Toroszyn, siostra Adrianny i Wandy, żona Zdzisława Pawlaka, matka Grażyny Toroszyn (pseud. Gina Weylen), babka Adama Toroszyzna.

Pawlak Zdzisław (1875–1956) drugi mąż Kingi Toroszyn (z domu

Bysławskiej), absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Dublanach, rządcą w Zajezieryczach (1905–1945), właściciel dworu w Długołęce.

Paździoch Bronisława (1908–1969) matka Wiesławy Kuszel, babka Teresy.

Podedworski Michał Zbigniew (1923–2008) syn Jana Podedworskiego i Stefanii z Jachimowiczów, wnuk Reginy Podedworskiej z domu Zajezierskiej, wychowanek Zdzisława Pawlaka, narzeczony Ewy Radziejwicz.

Podedworski Maciej (ur. 1990) wnuk Michała Podedworskiego, spadkobierca majątku Długołęka.

Prątką Stefania (1929–1969) matka Moniki Grochowskiej-Adams.

Raczko Wanda (ur. 1960) właścicielka sklepu jubilerskiego w Gutowie.

Radziejwicz Edward (1899–1995) zwany Edusiem, herbu Nowina, dziedzic majątku Cieciorka; mąż Marii z Łąckich, ojciec Ewy, Jana, Jerzego i Zbigniewa.

Radziejwicz Ewa (1928–1947) córka Edwarda Radziejwicza i Marii z Łąckich, narzeczona Michała Podedworskiego.

Radziejwicz Maria (1905–1980) z domu Łącka, żona Edwarda Radziejwicza, matka Ewy, Jana, Jerzego oraz Zbigniewa.

Rozpara Włodzimierz (1944–1960) syn właściciela sklepu ze starociami, pierwsza miłość Teresy Kuszel.

Siostra Emilia właśc. Wanda Bysławska (1871–1943), siostra Adrianny Zajezierskiej i Kingi Pawlak; od 1894 w Zgromadzeniu Sióstr Służek Matki Boskiej Kwietnej, przełożona klasztoru w Gutowie (1921–1943), zginęła śmiercią męczeńską.

Steinmeyer Edvin (1923–1990) Austriak, przedsiębiorca budowlany, mąż Tessy Steinmeyer.

Steinmeyer Tessa vel **Teresa Kuszel** (ur. 1947) obywatelka austriacka, dawna przyjaciółka Moniki Grochowskiej-Adams, wnuczka Bronisławy Paździoch.

Toroszyn Adam (1922–2009) syn Grażyny Toroszyn i Wiktora Grabnickiego, uczestnik powstania warszawskiego, od 1947 w Wielkiej Brytanii, dziadek Xaviera.

Toroszyn Iga (ur. 1973) z domu Hryć, córka Waldemara i Bożeny, żona Xaviera, właścicielka hotelu Pałac Zajezieryce, współwłaścicielka cukierni Pod Amorem.

Toroszyn Xavier (ur. 1970) syn Georgiany i Maurice'a, Anglik, mąż Igi.

Valente Elena (ur. 1968) córka Tessy Steinmeyer, matka Mii, lekarz kardiolog.

Valente Mia (ur. 1995) córka Eleny, wnuczka Tessy Steinmeyer, studentka etnologii.

Walczak Tomasz (ur. 1980) nauczyciel WF-u, radny miejski, od 2015 burmistrz Gutowa.

Wańko Edward (ur. 1966) prezes spółdzielni mleczarskiej w Gutowie.

Wańko Cezary (ur. 1996) syn Edwarda, student politologii.

Wypych Aldona (ur. 1930) działaczka partyjna, pierwszy sekretarz POP Fabryki Farb i Lakierów w Gutowie.

Wypych Michalina (1908–1982) matka Aldony, gospodyni domowa.

Zajezierska Adrianna (1875–1932) z domu Bysławska, siostra Kingi Toroszyn oraz siostry Emilii, żona Tomasza, matka Pawła.

Zajezierski Tomasz (1864–1943) herbu Dzierżybór, syn Henryka i Barbary z Sokołowskich, ojciec ks. Pawła Zajezierskiego i Paula Connora vel Pawła Cieślaka, właściciel dóbr zajezieryckich.

Zakrzewska Maria (1923–1986) nauczycielka i wychowawczyni Teresy Kuszel.

Kalendarium wydarzeń

1945	– wyzwolenie Gutowa;
1946	– ślub Celiny z Cieślaków i Leona Hrycia;
1947	– rodzą się: Monika Grochowska, Teresa Kuszel i Grzegorz Hryć; – śmierć Ewy Radzewicz;
1951	– Monika Grochowska trafia do domu dziecka;
1952	– Stefania Prątka związuje się z Kazimierzem Janiukiem;
1953	– rodzi się Waldemar Hryć; – grudzień – zaginięcie Stefanii Prątki;
1954	– Leon Hryć wynajmuje przy rynku w Gutowie lokal na cukiernię i od płaskorzeźby nad drzwiami przywraca jej nazwę Pod Aniołem; – wrzesień – Monika Grochowska i Teresa Kuszel rozpoczynają naukę w szkole podstawowej w Zajezierzycach; – aresztowanie Kazimierza Janiuka;
1955	– cukiernia Pod Aniołem w wyniku nacisków politycznych zmienia nazwę na Pod Amorem;
1956	– październik – powrót Stefanii Prątki; – październik – śmierć Zdzisława Pawlaka; grudzień – Kazimierz Janiuk wychodzi z więzienia;
1958	– lipiec – powrót do Zajezierzyc Wiesławy i Feliksa Kuszłów z dziećmi;
1960	– sierpień – umiera Włodzimierz Rozpara;
1961	– październik – umiera Pelagia Janiuk;
1961	– Monika Grochowska zachorowała na gruźlicę;
1962	– wrzesień – Monika i Teresa spotykają się przed pałacem podczas wesela;

	– październik – Stefania Prątko wraca po raz drugi;
1963	– pałac w Zajezierycach przejmuje państwowe przedsiębiorstwo Orbis; – luty – ślub Stefanii Prątki i Kazimierza Janiuka; – marzec – rodzi się Lesław Janiuk, przyrodni brat Moniki; – maj – umiera Feliks Kuszel, ojciec Teresy; – wrzesień – Monika zaczyna naukę w liceum, a Teresa w szkole zasadniczej;
1964	– umiera Leon Hryć, cukiernią Pod Amorem zarządza jednoosobowo Celina Hryć;
1968	– marzec – umiera matka Teresy, Wiesława Kuszel;
1969	– grudzień – umiera Bronisława Paździuch; – sierpień – umiera Stefania Prątko;
1970	– rodzi się Xavier Toroszyn;
1973	– rodzi się Iga Hryć;
1976	– styczeń – umiera Kazimierz Janiuk;
1987	– umiera biskup Paweł Zajezierski;
1990	– rodzi się Maciej Podedworski;
1993	– spółka Celina Hryć i Syn nabywa od władz miasta wystawione na przetarg dwa budynki w Gutowie, oznaczone numerami: Rynek 17 i Rynek 18, użytkowane dotychczas przez jej firmę na zasadzie wynajmu;
1995	– lipiec – Celina Hryć doznaje rozległego udaru mózgu; – lipiec – przypadkowe odkrycie zmumifikowanego ciała kobiety w korytarzu pod rynkiem w Gutowie; – lipiec – Waldemar Hryć spotyka w Płocku Helenę Nierychło; – wrzesień – Adam Toroszyn przyjeżdża po raz pierwszy od zakończenia wojny do Gutowa; – rodzi się Mia Valente;
1996	– rodzi się Zbigniew Hryć;
2008	– umiera Michał Podedworski;
2016	– sierpień – Tessa Steinmeyer przyjeżdża z córką i wnuczką do Gutowa.

Warszawa, 18 sierpnia 2016 – 18 marca 2017

Spis treści

[Wstęp](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Paryż, sierpień 2016](#)

[Długołęka, styczeń 1945](#)

[Ciechanów, luty 1945](#)

[Gutowo, maj 1945](#)

[Ciechanów, czerwiec 1945](#)

[Warszawa, sierpień 2016](#)

[Warszawa, lipiec 1945](#)

[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)

[Warszawa, lipiec 1945](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Warszawa, sierpień 2016](#)

[Długołęka, lipiec 1947](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Wiedeń, sierpień 2016](#)

[Gutowo, grudzień 1953](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Płock, sierpień 2016](#)

[Długołęka, styczeń 1954](#)

[Płock, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Gutowo, sierpień 2016](#)

[Zajezerzyce, lato 1954](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, jesień 1956](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, jesień 1956](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, zima 1956](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, lipiec 1958](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, sierpień 1958](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Gutowo, maj 1959](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Łeba, lipiec 1960](#)
[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)
[Płock, wakacje 1960](#)
[Płock, sierpień 2016](#)
[Dziekanów Leśny, jesień 1961](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Zajezerzyce, sierpień 1962](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Gutowo, wrzesień 1962](#)
[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)
[Gutowo, wrzesień 1963](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Gutowo, marzec 1964](#)
[Gutowo, sierpień 2016](#)
[Gutowo, luty 1965](#)
[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)
[Gutowo, wrzesień 1965](#)
[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)

[Gutowo, maj 1967](#)

[Zajezerzyce, sierpień 2016](#)

[Kto jest kim w Gutowie:](#)

[Kalendarium wydarzeń](#)